

SFINKS

CZASOPISMO LITERACKO-ARTYSTYCZNE I NAUKOWE

WYDAWANE I REDAGOWANE

przez

WŁADYSŁAWA BUKOWIŃSKIEGO.

ROK II. TOM V.

2 13, 14, 15

WARSZAWA.

Adres Redakcji: Hortensja 4.

1909.

Spis rzeczy, zawartych w tomie V „Sfinksa“.

(Styczeń, luty i marzec r. 1909).

I. Studja i rozprawy literackie, artystyczne i naukowe.

„Stoicy“ przez Aleksandra Świętochowskiego	25
„Polska w dobie wojny siedmioletniej“ przez Szymona Askenazego	62
„Kunegunda z ks. Giedroyciów Białopiotrowiczowa“ (Echo z r. 1831) przez Aleksandra Kraushara	92
„Wybór poezji A. Oppmana (Or-Ota)“ przez A. Drogoszewskiego	101
„Rozmyślenia na temat wystaw sztuki w Warszawie“ przez J. Kleczyńskiego	111
„Współczesna liryka francuska“ przez Zb. Brodzkiego	124, 288 i 454
„Najmłodsza polska pieśń solowa“ przez dr. Adolfa Chybińskiego	141
„Przedświt. Geneza i charakterystyka“ przez Bronisława Chlebowskiego	193
„Uwagi o sztuce“ przez Ant. Potockiego	238
„Karol Darwin i teoria ewolucji“ przez Jana Sosnowskiego . .	369
„Epikurejczycy“ przez Aleksandra Świętochowskiego	382
„Najnowsze dzieło Sz. Askenazego“ przez Ign. Chrzanowskiego	413
„Mieczysław Karłowicz“ przez dr. A. Chybińskiego	478

II. Poematy, powieści, dramaty i nowele.

„Prometeusz skowany“ Aischylosa, przekład Jana Kasprowicza	5 i 218
„Nietota“, cz. II, powieść z tajemnej księgi Tatr przez Tadeusza Micińskiego	44, 307 i 497
„W Kartuzji“ przez Marję Konopnicką	72
„One“ nowela R. Kiplinga, przekład A. Reymontowej	158 i 261
„Echa“ poemat Wł. Bukowińskiego	254
„Chrzest“ poemat T. Nalepińskiego	298
„Pastorale“ przez A. Hertzównę	444

III. Liryka.

„Morski wiatr“, „Słońce“, „Zmierzch“ przez Br. Ostrowską . .	76
„W drodze do brzegu“ przez Z. Dębickiego	78
„Capriccio magiczne“ przez W. Wolskiego	80
„Nieczyszczalny sen“, „Z motywów biblijnych“ przez R. Kreczmara	80
„Przed świtem“ przez Savitri	84
„Jesień“, „Majaki“ przez J. Lipińską	85



0840
II/05

BIBLIOTEKA GŁÓWNA FILII UW
w Białymstoku



FUWC006075

D-5/89 Ww 17/2010

„Przez lzy” przez W. Nawrocką	86
„Sonet” przez K. Gronkiewicza	87
„Na fali” przez W. Zielińskiego	88
„O brzasku” przez M. Czerkowską	89
„Hej, ja mam pole” przez K. Woyczyńskiego	90
„Z cyklu: Rondele o krwi” przez W. Rożena	90
„Hortorum Deus” sonety M. de Heredia, przekład J. Klemensiewicz	278
„Rytm życia” przez J. Lemańskiego	278
„Śród gór i wirchów” przez W. Makowskiego	405
„Green”, „Never more”, „Nokturn”, „Posłuchajcie piosenki” przez p. Verlaine’a, „List” przez T. Corbière’a, przekład Br. Ostrowskiej	472—475
„Grota lodowa” przez J. Lipińską	494
„Powrotna fala” przez R. Kreczmara	495

IV. Wspomnienia pozgonne, odezwy i sprawy bieżące.

„Konkurs poetycki „Sfinks” imienia J. Słowackiego”	1
„Na fali” feljeton przez W. Bukowińskiego	167
„Adam Bełcikowski” przez H. Gallego	354
„Mieczysław Karłowicz” przez J. Frankowskiego	397
Przegląd prasy	173

V. Teatr, muzyka, plastyka.

„Wrażenia teatralne” przez Wł. Bukowińskiego	335
„Wrażenia artystyczne” przez J. Kleczyńskiego	348
„Wrażenia muzyczne” przez J. Frankowskiego	510

VI. Dodatki artystyczne.

Portrety: Kasprowicza, Or-Ota. Przy artykułach mniejsze portrety: Kunegundy Białopiotrowiczowej, H. Melcera, H. Opińskiego, M. Karłowicza i Fitelberga (w zeszycie I); Zygmunta Krasińskiego (w zeszycie II), Darwina i Sz. Askenazego (w zeszycie III).

Do zeszytu I dodano osobno dwa rysunki J. Rembowskiego. Rysunki i winjety: A. Ankowskiego, A. Bronzina, M. Chybińskiej, T. Janowskiego, St. J. Kozłowskiego, A. Kędzierskiego, H. Minkiewicza, Z. Plewińskiej, J. Rembowskiego, A. Welmana, Wł. Włodarczyka i J. Wronieckiego.

Książki nadesłane i ogłoszenia.



SFINKS

• STYCZEN • ROK • 1909

Treść Zeszytu I (13), Styczeń 1909 r.

Konkurs poetycki „Sfinksa” imienia Juliusza Słowackiego	1
Aischylos: <i>Prometeusz skowany</i> . Przekład Jana Kasprowicza . . .	5
Aleksander Świętochowski: <i>Stoicy</i>	25
Tadeusz Miciński: <i>Nietota, powieść z tajemnej księgi Tatr. Część II.</i>	44
Szymon Askenazy: <i>Polska w dobie wojny siedmioletniej</i>	62

ANTOLOGJA WSPÓŁCZESNA:

Marja Konopnicka: <i>W Kartuzji</i>	72
Bronisława Ostrowska: <i>Morski wiatr, Słońce, Zmierzch</i> . . .	76
Zdzisław Dębicki: <i>W drodze do brzegu</i>	78
Wacław Wolski: <i>Capriccio magiczne</i>	80
Roman Kreczmar: <i>Niesziszczalny sen, Z motywów biblijnych</i> . .	80
Savitr: <i>Przed światem</i>	84
Jadwiga Lipińska: <i>Jesień, Majaki</i>	85
Wanda Nawrocka: <i>Przez trzy</i>	86
Kazimierz Gronkiewicz: <i>Sonet</i>	87
Walenty Zieliński: <i>Na fali</i>	88
Maryla Czerkawska: <i>O brzasku</i>	89
Kazimierz Woyczyński: <i>Hej! Ja mam pole!</i>	90
Witold Rożen: <i>„Z oylku: Rondele o krwi”</i>	90
Alexander Kraushar: <i>Kunegunda z ks. Giedroyciów Białopiotrowiczowa</i> . (Echo z r. 1831)	92
A. Drogoszewski: <i>Wybór poezji A. Oppmana (Or-Ota)</i>	101
J. Kłeczyński: <i>Rozmyślania na temat wystaw sztuki w Warszawie</i>	111
Zbigniew Brodzki: <i>Współczesna liryka francuska</i>	124
M. de Heredia: <i>Hortorum Deus</i> (Sonety). Przełożył Józef Klemensiewicz	138
Dr. Adolf Chybiński: <i>Najmłodsza polska pieśń solowa</i>	141
Rudyard Kipling: <i>One. Nowela</i> . Przekład A. Reymontowej	158
Wł. Bukowiński: <i>Na fali, feljeton</i>	167

Przegląd prasy, nowe książki, odpowiedzi Redakcji, ogłoszenia.

DODATKI ARTYSTYCZNE:

Portret Kasprowicza.	
Portret Or-Ota (według rysunku A. Kamińskiego)	104
Okladka i dwadzieścia pięć rysunków i winiet J. Rembowskiego.	
Dodane osobno dwa rysunki J. Rembowskiego.	
Przy artykułach mniejsze portrety: Kunegundy z ks. Giedroyciów	
Białopiotrowiczowej, H. Melcera, H. Opieńskiego, M. Karłowicza i G. Fitelberga.	

Styczeńowy zeszyt „Sfinksa” zawiera 12 arkuszy (192 str.) druku.

Papier z fabryki C. A. Moesa.

Kliske wykonane w zakładzie fotochemigraficznym Wierzbickiego i S-ki.

Cena zeszytu rb. 1.

Dubl. do 29.17.11.1
u. I.52.
R.

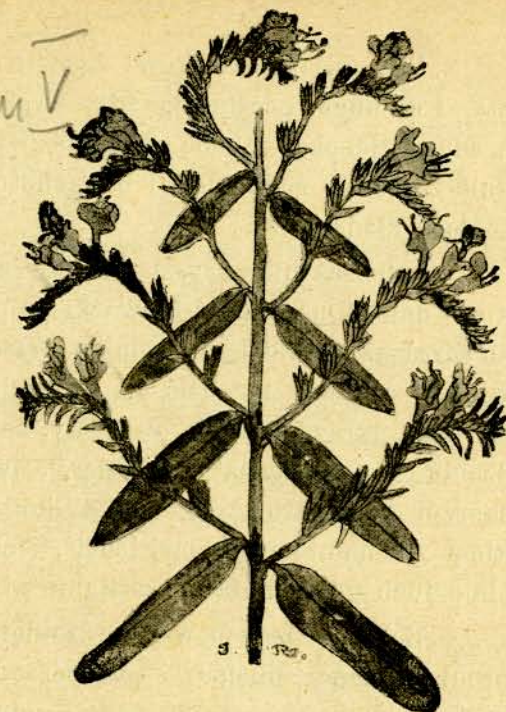
Styczeń 1909 r. Nr. 1.(13)



Jan Kasprowicz

Sfinks
Rok II Tom V
1909

KONKURS
POETYCKI
„SFINKSA“
IMIENIA
JULJUSZA
SŁOWACKIEGO.



...Roję,
Śnię, tworzę, harfy używam lub bicza.
I to jest moja poetyczna droga...
Lecz z mego życia poemat dla Boga...

J. Słowacki.

Poematem dla Boga i ludzi było od kolebki niemal do grobu życie Słowackiego, poematem, zrazu pogodnym, jak słoneczny poranek majowy, potem tęsknym i smutnym, jak noc jesienna, a w chwilach ostatnich wypromienionym dziwnie łagodnymi blaskami zachodu i tą niesłychaną rezygnacją wielkiego Ducha, który na ziemi jeszcze umiał się wyrzec pyłu ziemskiego i wznosił się do patrzenia na życie przez pryzmat i pod kątem Wieczności...

Sfinks.

„Bez świata oklasków“ zgodził się iść wielki Poeta, z dumnem poczuciem siły swej fatalnej jedynie, z wiarą głęboką, że moc ta kiedyś zwycięży i lud pociągnie za sobą, podnosząc i uszlachetniając pospolitych „chleba zjadaczów“.

A chociaż nie przyszła jeszcze chwila upragniona, kiedy daleka moc i pieśń Słowackiego przeobrazi do gruntu serca wszystkie i „niewolnika przedzierzgnie w człowieka“, czujemy już dziś na duszach potężne dotknięcie Jego skrzydeł orlich, czujemy, że w sto lat po urodzeniu, a sześćdziesiąt po śmierci, jest On wciąż tym samym, coraz droższym nam tylko i bliższym Sternikiem „duchami napełnionej łodzi“, i choć odleciał cicho, „jak duch gdy odlata“, pozostanie nim już na wieki.

„Boleścią Jego powietrze zakłęte stało się mocą, bronią, pełne ducha i czasem do nas gra jak harfy święte, ja czasem naszej odpowiedzi słucha“... Na odpowiedź tę przyszedł czas dzisiaj, w przededniu setnej rocznicy urodzin Czarodzieja Pieśni i Słowa, i odpowiedź tę dać Mu winni ci przedewszystkiem, co z Niego są, co, w gwiazdę Jego Ducha wpatrzeni, w czar Jego melodji zasłuchani, pod Jego tchnieniem Pieśń, Słowo, Ideę ukochali, pod Jego tchnieniem tworzyć przed laty lub teraz świeżo zaczęli...

Nie może Naród w roku jubileuszowym wzniesć Słowackiemu w Warszawie posągu z granitu i śpiżu, ale poeci polscy mogą i powinni w Imię Jego, pod Jego patronatem i wezwaniem, stworzyć szereg utworów, godnych Jego nieśmiertelnej pamięci. W tej myśli, pragnąc przyczynić się do uczczenia Juliusza Słowackiego i do wskrzeszenia zarazem zaniedbanego dziś

kształtu poetyckiego, od którego On twórczość zaczął, w którym On i Jemu współcześni pozostawili szereg arcydzieł, (że przypomnimy tylko „Konrada Wallenroda“, „Marję“, „Jana Bieleckiego“, „Ojca zadżumionych“, „Zamek Kaniowski“, „Kirgiza“ i tyle innych), Redakcja „Sfinksa“ ogłasza niniejszem

KONKURS IMIENIA JULJUSZA SŁOWACKIEGO NA POWIEŚĆ POETYCKĄ

i wzywa wszystkich poetów polskich do wzięcia udziału w tym szlachetnym turnieju.

* * *

Treść konkursowej powieści poetyckiej—dowolna, temat zaczerpnięty być może z życia współczesnego lub dawnego; forma — wiersz rymowany; rozmiary — od czterystu do tysiąca wierszy.

Najlepszy z nadesłanych utworów otrzyma nagrodę w kwocie *rubli stu pięćdziesięciu*, a niezależnie od tego honorarjum za druk w „Sfinksie“ w stosunku dziesięciu kopiejek za wiersz.

Sąd konkursowy będzie miał nadto prawo wyznaczyć *drugą nagrodę dodatkową*, oraz wyróżnić zaszczytnie utwory piękniejsze, ogłaszając nazwiska ich autorów — w razie braku zastrzeżenia przeciwnego.

Terminem ostatecznym nadsyłania powieści poetyckich na konkurs „Sfinksa“ będzie setna rocznica urodzin Słowackiego: *dzień 4 września 1909 r.*

Sąd konkursowy tworzą: *Bronisław Chlebowski, Ignacy Chrzanowski, Aureli Drogoszewski, Ignacy Matuszewski, Wład-*

staw St. Reymont, Józef Weyssenhoff, oraz redaktor „Sfinksa“
Władysław Bukowiński.

* * *

Rękopisy na konkurs nadsyłać należy bezimennie, pod adresem Redakcji „Sfinksa“ (Hortensja 4 w Warszawie). Rękopisy zaopatrzone być winny w godło, a w osobnej, zapieczętowanej kopercie, oznaczonej tem samem godłem, podane być mają nazwisko i adres autora. Rękopisy powinny być przepisane *wyraźnie*, najlepiej, choć nie koniecznie, na maszynie.

Utwory, drukowane już w całości lub częściowo, nie mogą brać udziału w konkursie.

Konkurs rostrzygnięty zostanie w Grudniu r. 1909.

Quod felix, faustum fortunatumque sit!

REDAKCJA „SFINKSA”.

Warszawa, 28 Stycznia 1909 roku.

AISCHYLOS.

PROMETEUSZ
SKOWANY.

Z GRECKIEGO PRZEŁOŻYL

JAN KASPROWICZ.



OSOBY DRAMATU:

KRATOS I BIA.

HEFAISTOS.

PROMETEUSZ.

CHÓR OKEANID.

OKEANOS.

IO, CÓRKA INACHOSA,

HERMES

Pustkowie. Skaliste wybrzeże morskie. Hefaiastos, Kratos i Bia prowadzą między turnie skowanego Prometeusza.

KRATOS. I oto stanęliśmy na okrajach ziemi,
Pomiędzy skityjskiego brzegu bezludnemi
Skałami. Hefaiastosie! niech twój umysł zważa
Na rozkaz, dan od ojca, byś tego zbrodniarza,
W żelazne, niezerwalne wzięwszy go kajdany,

Co tchu do tej opoki przykował krzesanej.
 Albowiem płomień ognia, twoją chwałę drogą,
 Ukradłszy, dał go ludziom... Winien-ci jest bogom
 Pokutę: niech ma karę za swój czyn zbrodniczy,
 Z Zeusa niech się władzą nieuchronną liczy
 I rzeknie się miłości, którą ma dla człeka.

HEFAISTOS. Kratosie i ty, Biol! Żadne z was nie zwleka
 Wypełnić woli Boga, lecz mnie brak odwagi,
 Ażebym mógł przemocą do tej turni nagiej.
 Na wichrów tych igrzysko, krewne przybić plemię.
 Lecz muszę to uczynić, ciężkie bowiem brzemię
 Na barki swoje ściaga, kto się, nieposłuszny,
 Sprzeciwia woli Ojca. O ty, wielkoduszny
 Temidy prawej synu, patrzaj, co się święci;
 Z niechęcią mam cię dzisiaj, naprzekór twej chęci,
 Skutego w te spiżowe, niezłomne łańcuchy,
 Do skał odludnych przybić, w tej pustyni głuchej,
 Gdzie głosu nie dosłyszysz, nie ujrzyś postaci
 Człowieczej! Za to ciało twoje kwiat swój straci
 W niesytym ogniu dziennym; noc się utęskniona
 Pojawi, zgasi żar ten, a potem znów skona
 Poranny chłód pod tchnieniem płomiennego słońca,
 I tak cię twa niedola będzie zreć bez końca,
 Bo ten, coby cię zbawił, dotąd niepoczęty.
 Za miłość swą do ludzi takie zbierasz sprzęty!
 Sam bóg, wbrew woli bogów—w ponadmiar wysokiej
 Dla człeka żyłeś cześci, przeto tej opoki
 Strzec będziesz beznadziejnej; wyprężon, kolana
 Nie mogąc zgiąć; pierś twoja, snem nie uciszana,
 Jękami nie rozwieje zaciekłości Boga.
 Tak! każda nowa władza twarda jest i sroga.

KRATOS. Przecz zwlekasz, przecz w daremnem zawodzisz mi
 Czyż bogiem, którym inni wzgardzili bogowie, [słowie?
 Nie gardzisz, chociaż skarb twój ludzkiej wydał rzeszy?

HEFAISTOS. Zbyt silnym jest krwi związek i wspólność pie-
 [leszy.

KRATOS. Rozumiem, lecz czyż myśl cię nie ogarnia trwożna,
 Iż słowa rodzicielskie tak podeptać można?

HEFAISTOS. Zbyt twardy byłeś zawsze i nazbyt zuchwały.

KRATOS. Daremnie łyż tu ronić. Na cóż się przydały
 Twe trudy, gdy z nich żadna korzyść nie wyrosła?

HEFAISTOS. O, jakież wstręt uczuвам do swego rzemiosła!

KRATOS. Nie! Po co masz złorzeczyć? Niech cię to nie boli,
 Nie twoja przecież sztuka winna jego doli.

HEFAISTOS. A jednak przecz kto inny niema mej sprawności?

KRATOS. Prócz w rządach nad bogami, trud we wszystkim
 I tylko Zeus jest wolny, zresztą nikt na świecie. [gości,

HEFAISTOS. Nie myślę się sprzeciwiać, wiem ja o tem przecie.

KRATOS. Więc pęta mu zarzucić przecz się dłoń twa wzbrania?
 Ma-ż Ojciec nasz być świadom twojego wahania?

HEFAISTOS. Wszak widzisz, że pod ręką łańcuch mam gotowy.

KRATOS. Nie zwlekaj, skuj mu ręce w żelazne okowy,
 Do ściany przybij skalnej, nie żałując młota.

HEFAISTOS. Zabieram się do dzieła, wraz pójdzie robota.

KRATOS. Wal silniej, nie ustawaj, zacieśnij kajdany,
 Bo może się wywinąć z ogni w lis ten szczwany.

HEFAISTOS. Przybite jedno ramię, uwięzione do cna.

KRATOS. I drugie niech przykuje twoja ręka mocna,
 Ażebym się przekonał, iż Zeus jest chytrzejszy.

HEFAISTOS. Prócz niego, nikt mi za to sławy nie umniejszy.

KRATOS. A teraz żelaznego klinu straszne ostrze
 Niech, piersi mu przeszywszy, na głąz go rozpostrze.

HEFAISTOS. O biada! Prometeju! Twa boleść mnie wzrusza!

KRATOS. Co? Jęczeć masz odwagę nad wrogiem Zeusa?
 Bodajbyś tak nie płakał nad swą dolą własną!

HEFAISTOS. A tobie, gdy to widzisz, czyż oczy nie gasną?

KRATOS. Ja widzę, że nań kara spadła sprawiedliwa.
Hej! jeszcze jego boki zawrzyj w swe ogniwa!

HEFAISTOS. Uczynić wszak to muszę! Po cóż te rozkazy?

KRATOS. Tak! będę rozkazywał, krzyczał po sto razy!
Zejdź na dół i potężnie skrępuj mu i uda.

HEFAISTOS. Dokonam tego łatwo, nie żadne to cuda.

KRATOS. A teraz gwoździe kajdan silnie wbić mu trzeba:
Pamiętaj; twardy na cię patrzy sędzia z nieba.

HEFAISTOS. Twój język jakżeż twojej dorównał postaci!

KRATOS. Pozostań niewieściuchem! Lecz się nie opłaci
Przyganiać mojej złości i mojej tężyźnie.

HEFAISTOS. Uchodźmy! Z tych on więzów już się nie wy-
[śliźnie.

KRATOS *zwrócony do Prometeusza*. A ty się tu przechwalaj!
[Własność kradnij bożą

Dla tworów, co się tylko na dzień jeden mnożą!
Czyż zwolnią cię śmiertelni z tych pęt? niech odpowie
Twój przemysł! Przemysłnikiem zwali cię bogowie —
Fałszywie! Bacz-że teraz, by przez twe przemysły
Żelazne się łańcuchy na tobie rozprysły.

Odchodzi.

PROMETEUSZ. Skrzydlatych wiatrów pełne niebieskie przestwo-
Potoków wy źródlika i ty, falo morza, [rza,

Rytmiczna, i ty, ziemio, wszystkich nas rodzico,
I ty wszechwidzącego słońca krągłe lico,
Spojrzyjcie, jakie znoszę, bóg, od bogów znoje!
Na trudy popatrzcie się moje,
Na srom, którego ciężar na mych barkach legł,
Po nieskończony wiek!

Takimi więzy chce mnie dzisiaj zmóc
Ten nieśmiertelnych hufców młody wódz.
Nie tylko czas dzisiejszy pogrąża mnie w łzach,
Lecz także dni, co idą! Ach! biada mi! ach!
Kiedyż się skończy moich cierpień bieg?!

Lecz po cóż ja to mówię? Widzę, co się stanie
I jutro, żadna na mnie klęska niespodzianie
Nie spadnie, a niniejszej trza ulegać doli
Jak można najpogodniej: konieczności woli
Przełamać nikt nie zdoła! Darmo krzyczeć „biada”!
Czy milczę, czy nie milczę, na jedno się składa.
Człowieka chciałem zbawić, za to mnie w tej chwili
Do skały zakutego w łańcuchy przybili.
Płomienistego-m ognia źródło skrył w łeczywie:
W nim wszelkich sztuk dla ludzi nauczyciel żywie,
Wszelkiego mistrz pożytku, i za tę przewinę,
Zawieszon na powietrzu, w tych okowach ginę.
O jej! O jej!
Co słyszę? Jakiś zapach płynie do tych stron!
Jakież to ślą go smugi?
Czy człek do tych samotnych zabłąkał się kniej,
Czy bóg? Czy jeden i drugi?
Pragnie-li świadkiem być boleści mej,
Lub czego chce tu on?
Patrzajcie! Oto leży skrępowany bóg,
Przez Zeusa znienawidzon i przez wszystkie bogi,
Co złotych jego zamków przestępują progi—:
Za miłość ku ludziom go zmógł!
Ach! ach! co słyszę znowu? Jakby ptaków lot!
Od skrzydeł fałujących drży powietrze w krąg?
Ach! jakikolwiek zjawi się tu miot,
Nowych to dla mnie trwóg
I nowych źródło mąk!

Na skrzydlatych wozach zjawia się od strony morza.

CHÓR OKEANID Nie lękaj się niczego! Przyjacielski huf
Ciężkiem brzemieniem słów
Zdołał przekonać rodzica
I w chyżym pędzie do twych przybiegł skał;
Wiatr szybkoletny ku tobie mnie gnał.
Szczęk młota w mój podziemny przecisnął się dom,
W tej swojej grozie

Z przerażonego lica
Stał mi dziewiczy srom —
Bosa w skrzydlatym pomknęłam tu wozie.

PROMETEUSZ. O jej! O jej!
Tetydy płodnej córy
I ojca Okeana,
Co wszystkie ziemskie lądy
Niestrudzonymi opasuje prądy,
Na los mój spojrzycie ponury:
Z przepastnej pustoszy tej
Opoka wyrasta krzesana,
A na niej przyjaciel wasz
Spełnia — ach, w jakie pęty
Straszne ujęty! —
Niepozazdrostną straż!

CHÓR. Ja-ć widzę, Prometeju, i na taki kres
Gdy patrzę, chmura łez
Trwożne przesłania mi oczy!
W żelaznych więzach giniesz wśród tych ścian!
Tak! Na Olimpie nowy włada pan —
Bezprawnie sprawia Zeus nowy dzisiaj rząd:
Prawdę, co lśniła
Śród dawnych wieków mroczy,
Uważa dziś za błąd
I wraz ją depce niewstrzymana siłą.

PROMETEUSZ. Czemuż w Hadesu nie stracił mnie dół, —
Między umarłych niezliczony tłum,
Poza tartaru bezbrzeżnego brzeg?
W nierozzerwany choć mnie łańcuch skuł,
Żadenby z tego nie cieszył się bóg,
Ni żaden człek!
Dziś mi urąga lada wichru szum,
Śmieje się lada wróg.

CHÓR. Któż z nieśmiertelnych, któż
Takieby serce miał twarde,

By tak naocznie
Twój niepomierny ból
Radość w nim wzbudzał i wzgardę?
Któżby nie żywił litości
Dla twoich mąk?
Chyba-li Zeus, nieugięty król,
Nowego prawa stróż,
Co Uranowy ród
W gniewie niesytym zgniótł
I w żądy swojej nie spocznie,
Póki mu władzy nie wyrwie kto z rąk,
Chytrze z niebieskich nie wygna go włości.

PROMETEUSZ. Choć sromotnemi zelżył mnie okowy,
Jeszcze-ci temu zwierzchnikowi nieba
Będzie mej rady potrzeba,
Gdy zechce usłyszeć wieści,
Jaki go zamach nowy
Z berła obedrze i cześci.
Daremna wówczas miodnych słów przynęta,
Chociażby brzmiała najśłodziej,
Daremna grózb jego trwoga:
Nie powiadomię boga,
Aże mi zdejmie te krwawiące pęta
I hańbę mą wynagrodzi.

CHÓR. Przestań, zuchwalcze, stój!
Jeszcze cię gorzkie katusze
Nie przełamały!
Czelnych używasz słów,
A ja tu lękać się muszę,
Jaką ci dolę niebiososa
Gotują! Ach!
Groza mną targa, czy skończy się znów
Ten ból okrutny twój?
Jakiego portu czar
Zdejmie ci brzemię kar?
Zakamieniały,

Głuchy na prośby, wykąpane w łzach,
Twardego serca jest-ci syn Kronosa!

PROMETEUSZ. Wiem ja, że srogi to władca i prawa
Kuje dowolne, a jednak się zdarzy,
Iż zmięknie również jego umysł wraży,
Gdy pierwszy spadnie nań cios!
Złość w nim uśmierzy się krwawa,
Tęsknoty głos
Wyrwie mnie z kaźni.
Roztęsknionego przyjaciela
Wezwie do jego wesela,
Do jego powoła przyjaźni.

PRZODOWNICA CHÓRU. Opowiedz-że nam wszystko, wytłomacz
Na jakiej to cię Zeus pochwycił przewinie, [nam ninie,
Że pijesz dzisiaj gorycz tak sromotnej doli?
Mów, jeśli tylko boleść mówić ci pozwoli.

PROMETEUSZ. Boleśnie jest mi mówić i milczeć boleśnie —
Zaiste! w tem i tamtem znów cierpienie wskrześnie.
Gdy pierwiej w sercach bogów gniew się straszny zrodził
I powstał spór wzajemny, ktoby im przewodził,
Czy Kronos ma być zepchnion z tronu, aby dalej
Panował Zeus; gdy inni wręcz się opierali,
Ażeby nad bogami on mógł dzierżyć władzę,
Zdarzyło się, niestety, że daremnie radzę,
Daremnie chcę przekonać słowy życzliwemi
Tytanów, Uranosa płód i matki-Ziemi.
Zbyt pyszni, odrzucili roztropne fortele,
Sądzący, że przemocą działając a śmieje,
Zwyciężają. Ale macierz ma, Temis i Gaja,
Co mnogie w swej postaci imiona zestraja,
Umiały mi obwieścić, jaki los się stanie
Na przyszłość, że nie przemoc odda panowanie
Zwycięzcom, tylko podstęp. Tom ci im w swem słowie
Wyłuszczył, ale słuchać nie chcieli bogowie,
Ni spojrzeć nie raczyli. Przeto mnie i matce

Wydało się najlepszem opuścić te władce
I skrzętnie poprzeć sprawę skrzętnego Zeusa.
I oto dzisiaj czarna Tartarowa głusza
Za moją kryje radą wszystkie sprzymierzeńce
Kronosa wraz z ich panem. Takie ci ja wieńce
Nowemu zgotowałem królowi i za to
Mieczarnią mnie nagroził — o gorzka zapłato!
Lecz ponoć to już królów taki obłęd stary,
Że nawet przyjaciółom swym nie dają wiary...
A jeśli mnie pytacie, za jaką przewinę,
Okryty taką hańbą, w tych katuszach ginę,
Odpowiem: Ledwie zasiadł ten władca srogi
Na tronie swym ojcowskim, począł między bogi
Rozdzielać dostojeństwa, stanowić urzędy
Dla jednych i dla drugich, wszelkie tylko względy
Dla biednych zdeptał ludzi — owszem, dawne plemię
Wyniszczyć nawet pragnął, aby nowem ziemię
Móc obsiać pokoleniem. Nikt się nie postawił
Okoniem, jam się tylko odważył i zbawił
Człowieka, że zdruzgotan nie spadł w Hadu ciemnie.
I za to tak bolesne uczyniono ze mnie,
Tak straszne widowisko: gorzko-ci je znosić
I gorzko patrzeć na nie!... Żem śmiał litość głosić
Dla ludzi, sam litości nie zaznałem! Składnie
Przystroił mnie tu Zeus, niechaj srom nań padnie!

PRZODOWNICA CHÓRU. Z żelaza ma ci serce, albo i z opoki,
W kim ból twój, Prometeju, nie wzbudzi głębokiej
Żalości! Ach! dlaczego na to patrzeć muszę?
Patrząca, czuję mękę, jak mi szarpie duszę.

PROMETEUSZ. Tak, litość w przyjaciółach wzbudza ból mój
[krwawy.

PRZODOWNICA CHÓRU. Czyś więcej nie uczynił nic ponad te
[sprawy?

PROMETEUSZ. Przechemnie człek nie widzi, co za los go czeka.

PRZODOWNICA CHÓRU. A jakiś na to środek znalazł dla czoł-
[wieka?

PROMETEUSZ. Nadzieję zaszczerpiłem ślepą w jego łonie.

PRZODOWNICA CHÓRU. Zaiste, skarb to wielki dały mu twe
[dłonie.

PROMETEUSZ. Prócz tego—jeszczem ogień przyniósł człowiekowi.

PRZODOWNICA CHÓRU. Więc odtąd mają płomień ludzie jedno-
[dniowi?

PROMETEUSZ. Niejednej przezeń sztuki znajomość zdobyli.

PRZODOWNICA CHÓRU. I za to, Prometeju, tak cię Zeus w tej
[chwili — —

PROMETEUSZ. Zbeczcześcił i bezcześcić dalej nie zaniecha.

PRZODOWNICA CHÓRU. Nie widzisz kresu cierpień? Jest-li to
[pociecha?

PROMETEUSZ. Kres będzie, gdy on zechce, siły niema innej.

PRZODOWNICA CHÓRU. Czy zechce? Jest nadzieja? Nie czu-
[jesz się winny?

Lecz mówić o twej winie nacóżby się zdało?

Rozkoszy sobie żadnej, a tobie niemało

Sprawiłabym zgryzoty. Zostawmy w spokoju

Twój grzech, a ty się staraj pozbyć tego znoju.

PROMETEUSZ. Kto z kaźnią się rozminął, ten-ci łatwo może
Pochopne dawać rady noszącym obroże.

Lecz jam to wszystko wiedział, daremne więc żale!

Zgrzeszyłem, bom chciał zgrzeszyć, i nie przeczę wcale.

Śmiertelnym niosąc szczęście, sam w nieszczęście wpadłem.

A jednak nie myślałem, by tak gorzkim jadłem

Karmiono mnie za czyn mój, bym na tej opoce

Przykuty, miał w tej pustce pędzić dni i noce,

Tak marnieć przehaniebnie na tej wietrznej grani!

Lecz rzućcie moją boleść! Lecz nie rońcie dla niej!

Zestąpcie raczej ku mnie, byście usłyszały,

Co czeka mnie tu jeszcze, odartego z chwały.

Słuchajcie mnie, słuchajcie, towarzyszki moje!
Współczujcie razem ze mną! Straciła ostoję
Ma dola: po manowcach omackiem się wlecze
I wciąż jedno za drugim trapi serce człecze.

Z śpiewem na ustach wchodzi Okeanidy na opokę Prometejową.

CHÓR. Chętnie znalazłeś uszy,
O Prometeju ty mój!
Chyżo ten rydwan rzuciwszy skrzydlaty,
Prujący powietrzny szlak,
Którym polotny przelatuje ptak,
Przybiegłam do skalnej twej głuszy,
By poznać ten straszny znój,
Ten los w nieszczęście bogaty.

Zjawia się Okeanos.

OKEANOS. Otom u kresu przedalekiej drogi!
O Prometeju, ku tobie,
Do tych samotnych kniej,
Posłuszny woli mej,
Bez lejc mnie rumak wiatronogi
Z chyżością ptaka wiódł.
Współczuję twojej żałobie,
Albowiem jedna — pamiętać to chciej! —
Łączy nas krew.

Ale i wspólny pominąwszy ród,
Nikt u mnie większej nie zażywa cześci.
Nie lubię przesiewać plew
Daremnych słów,
Dlatego, proszę, mów,
Czy mogę-ć ulgę przynieść w twej boleści?
Przekonasz się też niebawem,
Ze w twem nieszczęściu krwawem
Nie jest ci żadna brać wierniejsza dana
Nad przyjaciela twego Okeana.

PROMETEUSZ. Ha! cóż to! I tyś przybył, by widzieć naocznie
Mą dolę? Co? Odwagę miałeś rzucić mrocznie

Twych jaskiń samorodnych, toń równoimienną
I przyjsz nawiedzić ziemię tę, w żelazo plenną?
Patrzący na me losy, chcesz-li dla mej klęski
Okazać swe współczucie? Spojrzeć, jak zwycięski
Ukarł mnie tu Zeus? Jak mnie, przyjaciela,
Co tron mu wywalczyłem, straszliwie obdziela
Swym gniewem? jak mnie dręczy, uzyskawszy władzę?

OKEANOS. Ja-ć widzę, Prometeju, i dobrze-ć poradzę,
Choć rozum twój przemyślny radę sobie daje
Najlepszą: poznaj siebie, nowe obyczaje
Chciej przyjąć, gdyż bogami król dziś rządzi nowy.
Zaprzestań raz dumnymi wygrażać mu słowa,
Bo Zeus cię usłyszy, choćby wyżej jeszcze
Zasiadał na swym tronie. Przestań, a te kleszcze
Męczarni twych dzisiejszych będą-ć niezem więcej,
Jak tylko jakimś widmem igraszki dziecięcej.
Rzuć gniew swój, o nieszczęsny! niech go już nie drażni,
I bacz, iżby z tej ciężkiej wydostać się kaźni.
Zapewne-ć wypowiadam słowa dawno znane,
Lecz widzisz, Prometeju, jaką krwawą ranę
Zadała ci języka twego czelna pycha!
W niedoli tej pokorą niech pierś twa oddycha,
Czyż do tej klęski jeszcze chcesz dorzucać świeże?
Naukę niech odemnie twa roztropność bierze:
Nie wierzgaj—to ci radzę —przeciw ościeniowi,
Bo widzisz sam, jakiemu dziś władcy gotowi
Podlegać nieśmiertelni. A teraz odchodzę,
Pragnący się przekonać, na jakiejby drodze
Wybawić cię z nieszczęścia. Uczynię, co można,
A przedsię mowa twoja niech będzie ostrożna,
Nie bluźnij! Czyż nie widzisz, arcymędrze luby,
Do jakiej czelny język prowadzi zaguby?

PROMETEUSZ. Zazdroszczę ci, iż żadnej nie doznałeś kary.
Jakkolwiek mężnieś poparł wszystkie me zamiary.
Dziś o mnie ty się nie troszcz, zostaw swego druha.

Zeusa nie przekonasz, niechętnie on słucha!
Sam zważaj, byś się w gorzkiej nie znalazł potrzebie.

OKEANOS. Pouczasz lepiej innych, niż samego siebie.
Po czynach ja to widzę, nie słowach. A przecie
Nie krępuj mojej woli. Jest jeszcze na świecie
Nadzieja! Mam nadzieję, że łaski Zeusowej
Dostąpię i te twoje połamię okowy.

PROMETEUSZ. To wszystko, co mi rzekłeś, w wielkiej u mnie
Nie lubię być dłużnikiem. Jednak ja ci radzę, [wadze.
Zaniechaj swego trudu, bo, mówiąc niekłamnie,
Daremnny trud, jeżeli chcesz się trudzić dla mnie.
Zdaleka stój od tego! Sam będąc w niewoli,
Nie pragnę żadną miarą, ażeby mnie gwoli
Ktokolwiek inny znosił równe moim ciosy.
Toć cierpię już niemało, że tak srogie losy
Dotknęły mego brata, Atlanta: w krainie
Zachodniej, gdzieś daleko, w ciężkim znoju ginie,
Dźwigając słupy niebios i ziemi — ogromne,
Niezwykłe jużci brzemie! Żal mi też, gdy wspomnę
Tyfona: syn ten Gai, stugłowy, straszliwy
Dziwotwór, mieszkający w kilikijskiej niwy
Jaskiniach, groźnej uległ przemocy: wokoło
Zabójczym tchem ziejący, śmiał on stawić czoło
Wszem bogom; z oczu iskry sypiąc coraz krwawsze,
Przypuszczał, że tron Zeusa zdruzgocze na zawsze.
Lecz czujny pocisk Boga, grom płomiennopióry,
Dyszający strasznym ogniem, padł na niego z góry:
Porażon w samo serce, tak pełne przechwałek,
Spopielił się w tym żarze nieszczęsny pyszałek,
Na powal rozciągnięta, bezwładnie dziś leży
Ta bryła nad zatoką, u morskich wybrzeży,
Głęboko w wnętrzu Etny, a z nad jej siedliska,
Na skalnym siedząc szczycie, skry Hefajstos ciska,
Rozgłośnie swym kowalskim kowający młotem.
Tu stąd strumienie ognia rozleją się potem
Na równie sykielijskie, na te łąny żyzne,

Sfinks.



By chciwym zniszczyć zębem plennych żniw ojczyznę.
 Tak Tyfon, wyziewając gniew zapamiętały,
 Ogniste z źródeł ognia rzucać będzie strzały,
 Jakkolwiek Zeus go w węgiel obrócił swym gromem.
 Lecz pocóż cię pouczać? Wszystko ci wiadomem,
 Nie jesteś bez rozumu, niech on cię ocali!
 Ja tutaj swoją nędzę będę znosił dalej,
 Dopóki nie ochłonie Zeus w swym żarnym gniewie.

OKEANOS. Postuchaj, Prometeju, czyż twój umysł nie wie,
 Że z guiewu nas wyleczyć dobre słowo może?

PROMETEUSZ. Tak, serce swe w stosownej gdy zmiękczymy
 Nie zasię gwałt zadając naszej złości wrażej. [porze,

OKEANOS. A jeśli kto się na to w swej trosce odważy,
 Wytłomacz, jakie z tego wynikną mu szkody?

PROMETEUSZ. Daremna wszelka dobroć, stracone zachody.

OKEANOS. Więc pozwól, niech choroby tej w sobie nie tłumię;
 Rozumny, kto swój rozum w czas zataić umie.

PROMETEUSZ. I z tego, zda się, dla mnie wynikłaby nędza.

OKEANOS. Widocznie słowo twoje precz mnie stąd wypędza.

PROMETEUSZ. Ażeby twoja litość nie obmierzła komu.

OKEANOS. Czy temu, co w niebieskim dziś króluje domu?

PROMETEUSZ. Uważaj, byś nie ściągnął na się jego burzy.

OKEANOS. Twój los mi, Prometeju, za przestroagę służy.

PROMETEUSZ. Więc dobrze; odejdz, śpiesz się, wytrwaj w tym
 [zamiarze.

OKEANOS. Co sam uczynić pragnę, czynić mi to każe
 Twe słowo. Niecierpliwie już skrzydłem trzepoce
 Ten ptak mój czworonożny, wszystkie swoje moce
 Wysila, by, powietrzne w lot przebywszy drogi,
 Kolana zgiąć w swej stajni na spoczynek błogi.

Znika.

CHÓR. Jakże ja cierpię, że taki cię kres
 Spotkał, o drogi Prometeju mój!
 Widzę nieszczęście, na twą mękę łase,
 I — ni to deszczu zdrój —
 Płynie mi z oczu chciwy potok łez,
 Pożera lic moich krasę!
 Okrutne dni na nas idą:
 Zeus, ufny w swe nowe prawa,
 Dumnie przeciwko wszystkim bogom stawia,
 Potrząsa nad nimi swą dzidą.
 Jęk głośny płynie po łanach wszech ziem —
 Twej starodawnej chwały zagasł cud.
 Wszystko, co żyje, oplakuje ciebie
 I twój zhańbiony ród,
 Wszystko boleje nad nieszczęściem twem!
 Na stawy twojej pogrzebie
 Azyjskie się żalą okraje;
 Na twoje niegodne losy
 Wszelaki człowiek krzyczy w niebogłoty,
 Do wtóru z boleścią twą staje.

* * *

Płaczą Kolchidy mieszkańce
 I dziewczki, pochopne do wojny,
 Scytowie, co świata krańce
 W ciżbie obsiedli rojnej
 U wód meockich wybrzeży —

* * *

I kwiecie arabskiej ziemi,
 I ci, co ufni żelazu,
 Dzidami chronią ostremi
 Wyniosłych szczytów Kaukazu,
 Tych swoich rycerskich leży...

* * *

Znany mi w poprzód był li jeden bóg,
Którego również nowy władca zmógł:
Atlas, co ziemię i nieba powałę
Na swoje bary musiał wziąć omdlałe
I z trudem je dotąd trzyma.

* * *

Huczy mu ogrom rozburzonych fal,
Głębia swój głośny wypowiada żal,
Hadesu wzdycha ciemny lej głęboki,
Łzy wylewają świętych wód potoki
Nad dolą tego olbrzyma.

PROMETEUSZ. Nie sądzicie, że mnie słabość lub też upór
Bym milczał. Nie! To tylko szarpie się ma dusza, [zmusza,
Że widzę się straconym w taką nędzę srogą.
A któż tę władzę nowym podarował bogom,
Jeżeli nie ja jeden? Lecz i o tem z wami
Nie mówię. Cóż innego, czegobyście sami
Nie znali, mógłbym jeszcze powiedzieć? Jedyne
O ludzkiej posłuchajcie niedoli, o czynie
Tym moim, który głupich na mędrce przemienił
I ducha w nich rozbudził. Nie, iżbym źle cenił
Człowieka, o tem mówię! Pragnę was o całym
Pouczyć dobrodziejstwie, które świadczyć śmiałem
Tym biednym śmiertelnikom. Posiadali oczy,
A przecież, ni to ślepce, chodzili w omroczy;
Słyszający, nie słyszeli. Niby widma senne,
Mieszali wszystko razem. Budowy kamienne,
Ku słońcu strzelające, były dla nich obce,
Nieznana i ciesiołka. Chowali się w kopce;
Podobni nie do ludzi, lecz do nędznych mrówek,
Gnieździłi się wśród ciemnych, jaskinnych kryjówek.
Oznaczyć nie umieli, czem wiosna ponętna
Odróżnia się od zimy i jakie ma piętna
Bogata w plony jesień. Skoro na świat wyśli,
Sprawiali się we wszystkim omacnie, bez myśli,

PROMETEUSZ SKOWANY.

Dopóki nie spostrzegli za mych wskazań wodzą,
Gdzie jasne wschodzą gwiazdy i kędy zachodzą.
I wiedzę-m najprzedniejszą wynalazł, naukę
O liczbach, i kunszt pisma, i pamięci sztukę,
Muz wszystkich rodzicielkę. Jam pierwszy zwierzęta
Oswoił, iżby moc ich, do jarzma wprzęgnięta,
Pomogła człowiekowi dźwigać ciężar wszytek.
Jam konie, uzdom chętne, bogaty dobytek
W bogatym skarbcu możnych, do wozu założył.
Odemnie któż to pierwszy spławne łodzie stworzył,
Pióciennoskrzydłe statki odważnych żeglarzy?
Takimi to sztukami gdy mój rozum darzy
Człowieka, czym pomyślał, że dziś, w tej potrzebie,
Nie znajdę oto sztuki ratunku dla siebie?
PRZODOWNICA CHÓRU. Sromotną znosisz klęskę, płaczesz i na
Bezradnie się mocujesz. Ni lichi ten lekarz, [rzekasz,
Co, wpadłszy, sam w chorobę, opuszcza już ręce.
Wzdyć nie wiesz, jakim lekiem zadać kres swej męce.
PROMETEUSZ. Posłuchaj-że mnie dalej, a większe o wiele
Ogarnie cię zdumienie na one fortele,
Na środki, którem jeszcze wymyślił. Więc powiem:
Największej było wagi, że jeśli ze zdrowiem
Rozminął się kto z ludzi, to na słabość swoją
Porady nie znał żadnej: lekarstwa, co koją,
Co krzepią, posilają, napoje i maście
Bynajmniej nie istniały. Ni powiędłe chaście,
Tak wszyscy usychali z gryzącej choroby,
Dopókim ja nie wskazał, jakimi sposoby
Wypłoszyć precz od siebie zabójcze uwiady.
Jam także ich nauczył, jakie snować sądy
Z przeróżnych wieszczb, jak ze snu odgadywać losy
Idące; wszelkie znaki przydrożne i głosy,
By wiedzieć, czy są wróżbą szczęśliwości złotej,
Czy klęski; jam ich wszystkie odstonił zwyczajem,
Jak plemię to skrzydlate ze sobą przestaje,
Przyjaźnie, czy też wrogo. Nikt już dziś nie pyta.
Czy słuszną mają barwę i gładkość jelita,

By bogom się podobać—wszystko-m to ustalił;
 Kształt zółci i wątroby, by się ogień palił
 Ofiarny należyty; tłustość ud i biodra
 Szerokość zertwiennego mądrość moja szczodra
 Dokładnie oznaczyła: człek już dziś świadomy
 Znaczenia całopaleń... A one ogromy
 Tych wszystkich skarbów drogich, gdzieś w głębinie ziemi
 Tak chciwie przed oczami ukrytych ludzkiemi —
 Żelazo, miedź i srebro i złoto — któż powie,
 Prócz mnie, że je wyszedził, jeśli w swoim słowie
 Chętnie nie chce kłamać? Rzec jedną i drugą
 Złączywszy: Prometeja wszelki kunszt zasługa.

PRZODOWNICA CHÓRU. Zasługa względem ludzi! Dziś ty nie
 [myśl o niej,

Lecz bacz, jakobyś wybrnąć mógł z tej zgubnej toni.
 Nadzieję mam, że skoro rozerwiesz te pęta,
 Zeusowej wnet dorówna twa potęga święta.

PROMETEUSZ. Nie na tej pragnie Moira uwolnić mnie drodze:
 Tysiączne jeszcze męki udręczą mnie srodze,
 Nim prysną te kajdany u mych cierpień granic:
 Gdzie panią jest Konieczność, tam już sztuka na nic.

PRZODOWNICA CHÓRU. A sterem Konieczności któż włada je-
 [dynie?

PROMETEUSZ. Moir trójca i pamiętne wszelkich win Erynie.

PRZODOWNICA CHÓRU. Od mocy ich czyż lichsza Zeusowa po-
 [tęga?

PROMETEUSZ. Nie ujdzie Przeznaczeniu, co po niego sięga.

PRZODOWNICA CHÓRU. Więc Zeusa panowanie nie potrwa na
 [wieki?

PROMETEUSZ. Nie pytaj, nie nalegaj! Próżne twe docieki.

PRZODOWNICA CHÓRU. A zatem jakąś świętość ukrywasz ta-
 [jemną.

PROMETEUSZ. Nie pora o tem mówić. O innych ty ze mną
 Gdy chcesz, pogadaj sprawach. Największą-ć ja muszę

Zachować tajemnicę, gdyż moje katusze
 Inaczej się nie skończą! Tak, jedynie wtedy
 Strzaskane ujrzę więzy, wyrwę się z tej biedy.

CHÓR. Nigdy nie myśli mój duch
 Przeciw Zeusowej wykraczać potędze.
 Zawsze też godne stado byków spędzę,
 Gdzie fal Okeanowych wieczny bije ruch,
 Aby je bogom na ofiarę wieść.
 Nie jest-ci u mnie w pogardzie ich cześć,
 A tylko jedno pragnę zachować w pamięci:

* * *

Błogosławiony jest człek,
 Który żywota długiego koleją
 Kroczy z krzepiącą przy boku nadzieją!
 Rozkoszna już go radość nie puści po wieki
 Lecz, Prometeju, mną szarpie dziś ból,
 Że zlekceważon przez cię jest nasz król,
 Że w tobie się li miłość ku śmiertelnym święci!

* * *

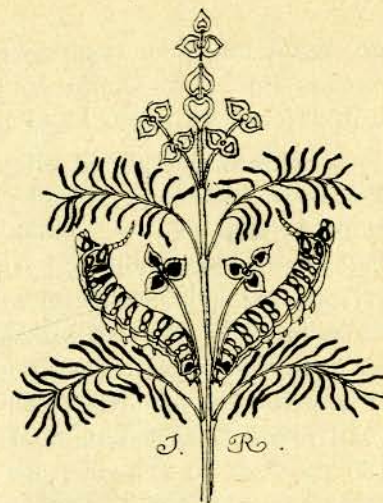
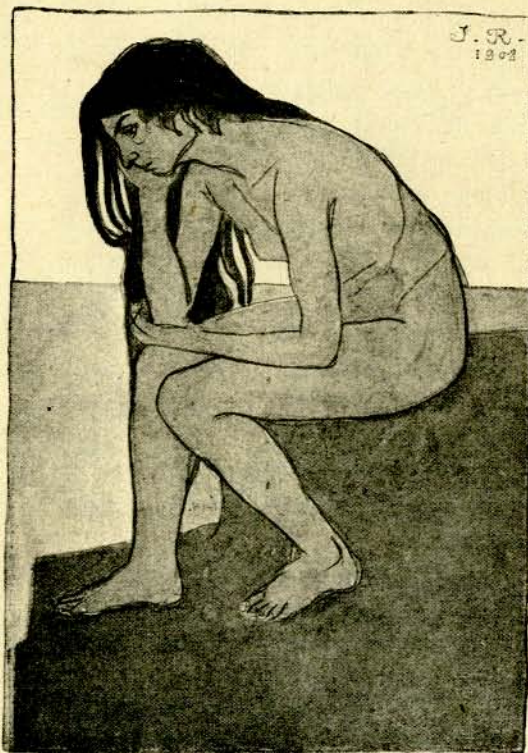
Takiż bezpłodny to szął
 Twa miłość, o druhu ty mój,
 Chcąca uszczęścić ziemię!
 Powiedz, czy może strasznych cierpień zwał,
 Ciężki brzemienno znój,
 Zdjąć z twoich bar
 To nikłe, ślepe, jednodniowe plemię,
 Do sennych podobne mar?
 Przecież to prawda, że co Bóg uchwali,
 Tego już żaden ludzki zamysł nie obali.

* * *

Po twojej doli to wiem,
 O Prometeju! Ach!
 Po twej haniebnej kaźni!

Inne dziś pieśni dźwięczą w uchu mem,
 Nie te—skąpiane w łzach,
 Ale ów wtór,
 Który do ślubnej śpiewałam ci łażni,
 Gdyś jedną z nadobnych cór
 Okeanowych, siostrę Hesjonę,
 Bogatem ją zdobywszy wianem, brał za żonę.

Dokończenie nastąpi.



A. ŚWIĘTOCHOWSKI.

STOICY. *)

Przy portretowaniu mędrca stoickiego pozował jako model Sokrates — powiada jeden z badaczy duszy greckiej (Noack). Rzeczywiście, mędrzec ten ma bardzo wiele podobieństwa z rodzicem filozofów, ale jest to podobieństwo wnuka do dziadka, zmienione nieco wpływem dziedzictwa po ojcu — cyniku. Dziad dał swemu potomkowi umiłowanie praktycznego t. j. etycznego kierunku filozofji i ogromną miarę umocnionej nią charakteru; ojciec — lekceważenie dóbr zewnętrznych i wysoko wybujałą niepodległość wewnętrzną. Pierwszy przekazał mu stałą dążność do poszukiwania i wykonywania cnoty, jako głównego celu i najwyższego dobra w życiu; drugi uniezależnił go prawie zupełnie od otoczenia społeczne-

*) Jest to jaden z 10 odczytów o etyce grecko-rzymskiej, wygłoszonych przez znakomitego Autora na korzyść sekcji etycznego Towarzystwa Kultury Polskiej. Z radością i chlubą dajemy Czytelnikom naszym tę piękną i głęboką pracę, która wywarła wrażenie niezapomniane w sali odczytowej, stanowiąc jak całą zresztą serji zakończonych świeżo prelekcji Świętochowskiego, godną ze wszech miar uwagi wycieczkę w ciekawą niezmiernie, a tak mało u nas znaną i zbadaną dziedzinę. W jednym z najbliższych zeszytów „Sfinksa” damy z tej samej serji rzecz o epikureizmie. (Przyp. Red.).

go, kazał mu, jako rycerzowi cnoty, bez zmaży i trwogi, żyć samotnie w zamku obronnym na wyniosłej skale i wpuszczać do niego ludzi po moście zwodzonym.

Sokrates uczył na ulicy lub w domach przyjaciół; Plato — w Akademji, która była połączeniem szkoły i świątyni; Aristoteles — w podobnym przybytku, zwanym Lykeion, gdzie kształcili się peripatetycy; stoik Zenon w starej opuszczonej, przekłętej kolumnadzie, zwanej *Stoa*, pod którą miało spoczywać kilkanaście tysięcy ofiar panowania tyranów. Jeżeli szereg mistrzów i uczniów tej szkoły zamknijemy pomiędzy Zenonem, który urodził się 330 roku przed Chrystusem, a M. Aureliuszem, który umarł 180 po Chr., to — chociaż ona wygasła jeszcze dłużej — otrzymamy około 5 wieków jej istnienia. Naturalnie w tak rozległym przeciągu czasu przesunęło się zbyt wielu jej wyznawców, ażebyśmy mogli a nawet potrzebowali ich tu pojedynczo przedstawić, zwłaszcza, że z wyjątkiem paru, inni przekazali nam swe pisma w ułamkach a różnice ich twierdzeń nadają się tylko do szczegółowego obrazu historycznego. Warto jednak zatrzymać uwagę na najwybitniejszych, których życie było podkładem realnym ich teorii.

Protoplastą rodziny stoików, która wyszedłszy z Grecji, rozpleciła się później w Rzymie i jego dzielnicach, był Zenon (IV). Syn kupca w Kitonie trudnił się naprzód handlem. Rozmiałowany w pismach sokratyków („Apologii“ Platona), został naprzód uczniem cynika Kratesa a potem Ksenokratesa i innych, wreszcie rozpoczął sam wykłady w Stoi. Podobno zakończył życie samobójstwem. Ateńczycy uczcili go „za cnotę“ pomnikiem.

Kleantes, z zawodu bokser, słuchając Zenona, zarabiał w nocy na życie noszeniem wody i gniecieniem ciasta. Umysł miał nielotny i niechwytny; to też Zenon porównywał go do twardej tablicy, na której trudno pisać, ale która trwale wszystko zachowuje.

Następcą Zenona w szkole był Chrispos (III), ma-

ło oryginalny, ale niezmiernie płodny: miał on dziennie pisać około 500 wierszy i pozostawić razem 705 ksiąg.

Po nim zajął miejsce Djogenes babiloński (II), który, wysłany jako poseł Aten dla wyjednania ulgi w karze pieniężnej na nie nałożonej, łącznie z akademikiem Karneodem i peripatetykiem Kritolausem, przeniósł filozofję grecką do Rzymu. Ich wykłady miały tak wielkie powodzenie, że stary Kato, ten upiór nietolerancji, ten pierwowzór wszystkich późniejszych złych duchów, stojących na straży prawomyślności, który z oddali oklaskiwał stracenie Sokratesa, wyjednał w senacie rozkaz wypędzenia z Italji wszystkich obcych filozofów i nauczycieli wymowy.

Później rolę szerzenia filozofji greckiej w Rzymie podjął Panaetius, który głosił stoicyzm złagodzony — eklektyczny.

Śród następnych wyróżnił się Seneca (I po Chr.), bardziej wszakże talentem pisarskim, o którym świadczą zachowane jego dzieła, niż samodzielnością poglądu, zmieszanego z cynizmem stoicyzmu, platonizmu a nawet chrześcijaństwa. Obdarzany łaską i nienawiścią władców, wychowawca Nerona i jego ofiara, wyganiany, i osypywany zaszczytami, unikając śmierci przymusowej, przeciał sobie dobrowolnie żyły w kąpielach. Według niego „facere docet philosophia, non dicere“, życie ziemskie jest zepsuciem i nędzą, zagrobowe wiecznym spokojem, śmierć narodzinami wieczności.

Na końcu tego szeregu (w I i II wieku po Chr.), wyblęły dwie postaci: Epiktet i cesarz M. Aureljusz. Pierwszy, frygijszyk, niewolnik gwardzisty Neronowskiego, który się na nim znęcał, lecz wreszcie go wyzwolił, po wygnaniu filozofów wywędrował z Rzymu do Epiru, gdzie otworzył wykłady. Biedny nie zamykał nigdy mieszkania, w którym znajdował się tylko siennik, drewniana ławka, rogoża i gliniana lampka. Tę lampkę kupił ktoś po jego śmierci za 1,000 drachm w nadziei — jak żartobliwie dodaje Lucjan — że będzie przy niej równie

małym. Podobno ożenił się w bardzo późnym wieku, ażeby wychować dziecko przyjaciela, który je z nędzy chciał wyrzucić. Jego życiowym godłem było: *anēhu kai apehu* — znos i unikaj. Kiedy pan raz go uderzył w nogę, powiedział spokojnie: „złamiesz ją“, a kiedy uderzył silniej, rzekł: „czy nie ostrzegłem, że złamiesz“? Sam on, jak Sokrates, nie pisał, ale jego uczeń Arrian ułożył z wykładów mistrza kilka książek, z których jedna, p. t. „*Encheiridion*“ — „Podręcznik“ dochowała się w całości; z ośmiu ksiąg drugiej „*Diatribon Epiktetu*“ — cztery, z dwunastu „*Homilion Epiktetu*“ — ułamki.

Natomiast M. Aureliusz spisał „Rozważania z sobą“, piękny pamiętnik czystej duszy.

Rozwój stoicyzmu, rozszczepionego na trzy gałęzie wiedzy: fizyki, dialektyki i etyki, musiał naturalnie w ciągu kilku wieków zmieniać jego kierunek i odchyłać od pierwotnego pionu. Różnice te, o ile dotyczą moralności, są tak mało ważne, że zwykle rozgraniczone bywają podziałem na stoicyzm stary i nowy. Pierwszy uczył:

Głównym celem i najwyższym dobrem jest cnota jako życie zgodne z prawami natury, jako wola ludzka zgodna z wolą boską. Ta cnota jest zarazem szczęśliwością. Wszystko, co się znajduje między tymi krańcami, jest pośredniem — ani złem ani dobrem. Śród tych rzeczy pośrednich jedne są pożądane, drugie niepożądane, inne obojętne. Zasadniczemi cnotami są: poznanie moralne, męstwo, rozwaga i sprawiedliwość. Ten tylko posiada każdą, kto posiada wszystkie.

Istnieje tylko jeden bóg, stwórca i ojciec wszystkiego. Inni bogowie są tylko bądź różnemi jego imionami, bądź też przejawami. „Prawo, czyli prawy rozum — mówi Chrisipos — jest królem wszystkich rzeczy ludzkich i boskich, on jest sędzią dobrego i złego, regułą sprawiedliwości, panem i władcą zwierząt z natury społecznych; on rozkazuje i zakazuje“. Ten prawy rozum jest obecny wszędzie; on ożywia i rządzi niewidzialnie rzeczami martwymi; on przebywa w ludziach i ciałach niebieskich.

Pierwotnie istniał tylko w Zeusie, który przez niego rządzi światem. Sprawiedliwość nie siedzi — jak mniemano — obok Zeusa, lecz jest nim samym. Tylko naiwni mniemają, że prawa stworzył Solon lub Lykurg; stworzył je rozum powszechny, przenikający całą naturę i wspólny wszystkim ludziom. Kiedy świat zniknie, pozostanie tylko Zeus z opatrnością i swojemi myślami.

Kleantes (według Cicerona) wierzył, że kiedyś nastąpi pożar świata, po którym wszystkie rozproszone w nim dusze wrócą do łona boga. Dobrem jest to, co wynika z praw natury i rozumu, czyli z rozumu powszechnego i ludzkiego. Jest to rzecz, którą musimy przyjąć a nie jedna z tych, między którymi możemy wybierać. Kleantes, zapytany, co to jest dobro, odrzekł: „Dobrem jest to, co jest uporządkowane, sprawiedliwe, bogobojne, święte, swobodne, niepodległe, piękne, obowiązujące, chwalebne, nienaganne, sławne, silne, surowe, wolne od bojaźni, smutku, zamętu i dumy, zbawienne i zawsze użyteczne, zgodne z sobą, mocne, trwałe i przebywające ciągle w duszy, do której weszło“.

Istnieją dwie miary etyczne, *katartoma* — cnotliwość podmiotowa, usposobienie moralne, *katekon* cnotliwość przedmiotowa, czyn moralny.

Ariston był przeciwny szczegółowym określeniom dobra i oświadczał się za zasadą ogólną, z którą umysł oczyszczony z błędów a serce — ze złych pożądań, zawsze sobie poradzą. Jeśli mamy przepisywać — mówił — jak mąż powinien żyć z żoną, dlaczegoż nie mielibyśmy wskazywać, jak winien żyć, poślubiwszy wdowę lub pannę, bogatą lub biedną?

Złe nie jest dziełem boga, lecz nieuniknionym wynikiem odstępstwa ludzi od rozumu. Wszystkie występki są w swej przedmiotowej wadze równe, różne są tylko w podmiotowym ich odczuciu. Zapewne — powiada Chryzyp — mniejszą jest zasługą znieść cierpliwie ukłucie muchy, niż męczeństwo na krzyżu, wstrzymać się od zamachu na zgrzybiałą babę, niż na świeżą i ponętą dziew-

czynę. Dlaczego? Dlatego, że chociaż przestępstwo w obu wypadkach jest przedmiotowo równe, w drugim wymaga ze strony sprawcy większego panowania nad sobą.

Kto podlega tylko swojemu sumieniu—powiada Zenon — czyni zawsze, co chce, bo czyni to jedynie, czego chce jego rozum. Niech się nie podoba całemu światu, aby był zadowolony z siebie. Niech wszystko straci, aby zachował cnotę. Stoi on po nad ludźmi i przeznaczeniem. Wyjdzie z pałacu tyrana tak wolnym, jak wszedł. Nawet Zeus nie może go pozbawić swobody.

Jedynym prawodawcą, jedynym urzędnikiem, sędzią, monarchą jest mędrzec. Jest on również jedynym obywatelem i jedynie wolnym. Bo kto gwałci prawa wielkiej ojczyzny (świata), wygania się z niej. Mędrzec nie traci swobody nawet w kajdanach i niewoli; natomiast niewolnikiem jest ten, kto wyłamuje się z praw rozumu i podlega namiętnościom ciała, chociażby był obywatelem Sparty lub Aten a nawet królem. Największą nędzę człowieka, opanowanego przez namiętności, stanowi to, że on jest niewolnikiem nie tylko swojej, lecz także cudzych, które ją mogą pobudzać lub powstrzymywać.

Uczciwość nie zależy od powodzenia. Wysłałem—opowiada Kleantes—moich niewolników do Platona. Jeden przeszukał całą Akademię i wszystkie miejsca, gdzie go mógł znaleźć—daremnie. Drugi zatrzymał się w drodze z jakimś nieponiem a następnie włócząc się i grając z podobnymi do niego, spotkał przypadkowo Platona.

Pierwszego należało pochwalić—choć nie osiągnął celu, drugiego—ukarać, chociaż go osiągnął. Bo wola spełnia obowiązek. Można być mordercą, nie zmazawszy rąk krwią, jeśli się ma zamiar zbrodni.

„Dopóki woli boga nie znam — mówi Chrizyp — wybieram to, co mi się wydaje najodpowiedniejsze i zgodne z naturą. Lecz gdybym się dowiedział, że przeznaczono, ażebym dziś zachorował, pobiegłbym z radością na spotkanie mojej choroby... Gdyby błoto miało swia-

domość swego przeznaczenia, cieszyłoby się, że je deptają nogi przechodniów.

Chociaż mędrzec sam sobie wystarcza, może swoją cnotliwość urzeczywistnić i rozwinąć tylko w społeczeństwie. Ale jest on obywatelem świata. Natura nie stworzyła rozmaitych państw, jak nie stworzyła domów i sklepów — mówi Ariston. Państwo jest jedno — świat i obywatelstwo jedno—wszechludzkie.

Tę pierwotną naukę Stoików musimy składać w mozaikę z ułamków, które z ich pism ocalały i ze świadectw Stobeusza, Diogenesa, Cicerona i in. Pełniejszy i wierniejszy obraz przedstawia ona z późniejszych czasów, z których posiadamy ich całkowite dzieła.

Jakkolwiek Epiktet należał do tej nowszej epoki, zachował surowe rysy starego stoicyzmu. W nim objawia się jeszcze bardzo mocno *apatja* — niezależność od wzruszeń.

Niektóre rzeczy — uczy on — są w naszej mocy. (mniemanie, popęd(?), żądza, odraza), niektóre nie są (ciało, majątek, znaczenie, urzędy). Pierwsze są wolne, drugie zależne. Pierwsze są naszą ułomnością, drugie — cudzą.

Każde nieprzyjemne wyobrażenie spotykaj słowami: jesteś tylko wyobrażeniem. Następnie je zbadaj: jeśli ono odnosi się do rzeczy, nie będącej w twojej mocy, rzeknij: wcale mnie nie obchodzi.

Unikaj tylko tego, co jest w twojej mocy.

Jeśli lubisz garnek, myśl: lubię garnek. Gdy się stłucze, niech cię to nie martwi. Jeśli miłujesz twoje dziecko lub kobietę, powiedz sobie, że miłujesz człowieka. Umrze—niech cię to nie zasmuci.

Idąc do kąpieli, uprzytomnij sobie, co się tam dzieje: ludzie wzajemnie opryskują się wodą, łają, popychają,

okradają. Jeżeli więc coś podobnego cię spotka, rzeknij: wiedziałem — i nie gniewaj się.

Ludzi trwożą nie rzeczy, ale wyobrażenia o nich — nie śmierć np., ale wyobrażenie o niej. Głupiec oskarża innych o swe zawody, początkujący w mądrości — siebie, a mędrzec — nikogo.

Nie bądź nigdy dumnym z tego, co jest zewnątrz ciebie. Piękny koń powinien być dumnym z siebie, a nie ty z niego.

Podczas podróży morskiej, opuściwszy statek dla zaczerpnięcia wody, podnosisz po drodze muszelki i cebulki; tymczasem powinieneś uważać, czy cię sternik nie woła, a gdy zawoła, wracaj natychmiast, ażeby cię nie związane i nie wrzucono, jak baraaa. Podobnie w życiu. Jeżeli zamiast muszelki i cebulki dostałeś kobietę i dziecko, gdy sternik (śmierć) zawoła, porzuć je i nawet się nie obejrzyj.

Nie pożądaj, ażeby tak się działo, jak ty chcesz, lecz tak, jak się dzieje; wtedy będziesz miał życie spokojne.

Choroba może obezwładnić twoje ciało, ale nigdy wolę, która jest zawsze wolną.

W każdym wypadku zastanów się, jaki możesz wyciągnąć z niego pożytek. Jeżeli spotkasz pięknego mężczyznę lub piękną kobietę, znajdziesz przeciw nim środek w panowaniu nad sobą. Spadnie na ciebie hańba, to znajdziesz siłę do zniesienia zła.

Nie mów nigdy: straciłem kobietę, dziecko lub majątek, lecz oddałem. Jeżeli ci zaś je odebrał łośr, co on cię obchodzi? Uważaj rzeczy zewnętrzne za obce.

Odrzuć te myśli: jeżeli będę niedbały, nie będę miał chleba, jeżeli mego syna nie będę karał, zostanie złoczyncą. Gdyż lepiej umrzeć z głodu bez smutku i trwogi, niż żyć w dostatku z niepokojem; lepiej, ażeby twój syn był złoczyncą, niż ty nieszczęśliwym.

Jeżeli ci kto ukradnie resztkę wina lub oliwy, po-

myśl, że za tę cenę zyskałeś spokój umysłu. Darmo nic nie dostajemy.

Jeżeli wołasz służącego (a on nie przychodzi), pomyśl: albo nie słyszał, albo nie zrobiłby tego, czego żadasz. Ale nie sądz, że spokój twego umysłu zależy od jego samowoli.

Jeżeli żadasz, ażeby twój syn nie popełniał błędów, jesteś głupcem, bo wymagasz, ażeby złe nie było złem. A powinieneś uznawać to tylko, co jest możliwe.

Kto chce być wolnym, ten nie powinien żądać tego, co jest w cudzej mocy.

Pamiętaj, że jesteś aktorem w sztuce przez innego napisanej — długiej lub krótkiej. Jeżeli autor wymaga, ażebyś grał rolę żebraka, władcy lub kaleki, — graj ją, bo nie ty wybierasz, co masz przedstawiać.

Jeżeli kruk swoim krakaniem zapowiada nieszczęście, to nie myśl, że ono dotknie ciebie, lecz albo twoje nędzne ciało, albo twoją ubogą kieszeń, sławę, żonę lub dziecko. Dla ciebie to krakanie jest zawsze dobrą wróżbą, gdyż ty ze wszystkiego możesz wyciągnąć pożytek.

Nie ten cię znieważa, kto cię łąje lub bije, lecz twoje o tem mniemanie. Jeżeli się więc gniewasz, to gniewasz się na myśl własną.

Jeżeli cię ktoś źle traktuje, czyni to albo w mniemaniu, że ma słuszność, i wtedy nie możesz mu zabronić, ażeby postępował według swego przekonania; albo jej nie ma i wtedy on ponosi szkodę swego błędu.

Trzymaj się tego, co uważasz za najlepsze, jak gdyby cię bóg na tem stanowisku postawił.

Jeżeli kiedykolwiek zechcesz komuś podobać się, pamiętaj, że straciłeś swoje wewnętrzne stanowisko.

Jeżeli niewolnik stłucze twoje szkło lub umrze ci dziecko, zachowaj się tak, jak gdyby stłukł cudze szkło i umarło cudze dziecko.

Obowiązki odpowiadają stosunkom. Jeżeli twój oj-
Sfinks.

ciec jest złym człowiekiem, powinienes go szanować, bo natura związała cię nie z dobrym ojcem, ale z ojcem.

Trzeba wierzyć w istnienie bogów i sprawiedliwe ich rządy, nie czynić jak ci, których pobożność sięga tylko dotąd, dokąd sięga korzyść.

Mów i śmieję się mało, nie mów i nie śmieję się z powodu rzeczy błachych.

Ciału dawaj tylko tyle, ile ono potrzebuje niezbędnie.

Unikaj kobiet przed małżeństwem, ale nie gań tych, którzy tego nie czynią.

Jeżeli usłyszysz, że ktoś źle mówi o tobie, powiedz: nie zna on innych moich błędów, gdyż nie byłby o nich zamilczał.

Idąc do wielkiego pana, wyobrażaj sobie, że cię będą lekceważyć i drzwi przed tobą zamkną. A gdy cię to spotka, nie gniewaj się, bo to są rzeczy zewnętrzne.

Jeżeli cię jakaś rozkosz pociąga, pomyśl, co czuć będziesz po niej i co, gdy się jej oprzesz.

Czyniąc to, co uważasz za słuszne, nie staraj się ażeby cię nie widziano.

Ktoś wcześniej kąpie się lub pije wino — nie mów: on źle robi, lecz: kąpie się i pije wino.

Nie mów, jak należy jeść, tylko jedz, jak należy. Nie nazywaj się filozofem, ale bądź nim.

Owce nie przynoszą pasterzowi trawy dla pokazania, ile jedzą, lecz ją jedzą, a oddają wełnę i mleko. Podobnie człowiek mądry powinien dawać tylko to, co prze-trawił.

Chcesz się umartwiać, weź w usta zimnej wody, wypuść ją, ale nie mów o tem nikomu.

Prawdziwy filozof oczekuje pożytku i szkody tylko od siebie, nikogo nie chwali, nie gani, nie oskarża; nie mówi o sobie, że czemś jest lub coś wie; gdy go ktoś chwali, śmieje się z chwały, gdy go gani — nie broni się; wszelką żądzę oddala od siebie a odrazę zwraca tylko na to, co sprzeciwia się naturze rzeczy, będących w jego

mocy; z popędów robi umiarkowany użytek; nie dba o to, czy go uważają za głupiego, czy za mądrego. Słowem, pilnuje siebie jak wroga i jak tego, który nań zastawia sidła.

M. Aureljusz stanął o stopień wyżej, podziękowawszy bogom za ojca, za dobrych przewodników, za swą czystość męską, za wszystko, bo nawet za to, że mało zrobił postępy w retoryce i poezji, tak wyklada zasady etyki stoickiej.

Istnieje jeden świat, jeden bóg, który wszystko przenika, jedna materja, jedno prawo, jeden rozum, wszystkim ludziom wspólny, jedna prawda i jedna doskonałość.

Wszystko, co nam się przeciwstawia, zostało według biegu praw świata oznaczone i przystosowane.

Los, najwyższa siła przyczynowa, wyznaczył każdemu, co dla niego jest pożyteczne.

Wszystko więc, co się zdarza, jest sprawiedliwe, (jak Hegel powiedział — rozumne), a chociaż wydaje ci się tak twardem, jest pożądanem, prowadzi bowiem do celu — do zdrowia świata.

Powinniśmy się przypatrywać więcej naturalnym paszczom dzikich zwierząt, niż malowanym.

Całość świata byłaby okaleczona, gdybyś z jego wiązania i układu chciał oddzielić najmniejszą drobinę bądź części składowych, bądź przyczyn działających. Czynisz zaś to, jeżeli nie jesteś zadowolony. Kto się wyłącza z pod zasadniczych praw wszechświata i gani jego objawy, ten jest jego wrzodem.

Co godzi się z wielką całością i służy do utrzymania planu świata, jest również dobrem dla jego części.

Co nie jest pożyteczne dla roju, nie jest pożyteczne dla pszczoły. To samo stosuje się do ludzi.

Nie miej złudzeń i słuchaj zawsze rozkazów królewskiego prawodawcy — rozumu. Trzeba wszystko widzieć tem, czem jest. Jedząc potrawy mięsne, myśl tak: to jest trup ryby, to jest trup ptaka lub wieprza; pijąc wino: to jest tylko sok wyciśnięty z winogrona; patrząc na purpu-

rę: to jest wełna umaczana w krwi ślimaka i t. d., wtedy widzisz, co właściwie jest.

Rozum nam przepisuje powściągliwość w sądach, życzliwość dla ludzi i posłuszeństwo bogom. Cnotliwy jest świątynią boga.

W umyśle człowieka należycie wychowanego i oczyszczonego niema nic, co jest ropne, brudne, zdradne. Los nie wydziera mu życia niedokończonego, niby aktorowi, który zeszedł ze sceny przed końcem sztuki. W nim niema żadnej zależności zewnętrznej, żadnego rozdarcia, niczego, co się obawia nagany i unika światła. Taki człowiek ma w sobie spokój, którem jest czyste sumienie.

Cofaj się w to zacisze, którem sam jesteś, a przede wszystkim nie rozpraszaaj się i nie przeciwstawiaj, lecz pozostań wolnym i patrz na wszystko beztrwożnym okiem, jak człowiek, obywatel i śmiertelnik. Z użytecznych prawd zapamiętaj sobie szczególnie dwie: 1) że rzeczy zewnętrzne nie stykają się z naszą duszą, lecz stoją nieruchomo poza nią, że zatem tylko wyobraźnia może naruszyć spokój twojej duszy i 2) że wszystko, co widzisz, zmienia się i wkrótce zniknie.

Staraj się zajrzeć wewnątrz każdego człowieka, ale pozwól, ażeby każdy zajrzał wewnątrz ciebie.

Kto uznaje celowość i harmonję świata, nie powinien nikomu i niczemu złorzeczyć.

Jeżeli złe pochodzi od ciebie, dlaczego je czynisz? Jeżeli od kogo innego, dlaczego robisz mu wyrzuty? Komu? Bogom czy atomom?

Ten ogórek jest gorzki — odsuń go. Tu krzak cierniowy na drodze — omiń go. To wszystko. A nie pytaj — po co takie rzeczy są na świecie. Znałca natury bowiem wyśmieje cię, jak wyśmiałyby cię stolarz lub szewc, gdybyś im wyrzucał, że w ich warsztatach są wióry i okrawki.

Mędrzec rozumie konieczności i godzi się z niemi. Kto mówi: chciałbym, ażeby moje dzieci żyły, aże-

by wszyscy chwalili moje czyny, podobny jest do oka, które pragnie widzieć tylko zielone lub do zębów, które żądają tłustego.

Człowiek stworzony został do życia z ludźmi. Jest to jego wyższością, że on lubi nawet tych ludzi, którzy go obrażają. To też rozumny nie gniewa się na nich, lecz, albo ich uczy, albo znosi.

Bo jaka racja rozdrażniać się cudzym nierozumem? Czy gniewasz się na kogoś, kto ma przykry pot lub wstrętny oddech? Co on na to poradzi?

Dusza otrzymuje swą barwę od myśli.

Trzeba stać prosto, nie będąc prosto podtrzymywanym.

Nie żądaj niczego, co musi być zakryte murem lub zasłoną.

Bądź skałą, o którą się ciągle fale rozbijają.

W spełnianiu obowiązku nie dbaj o to, czy sztywniejesz od zimna, czy płoniesz od żaru, czy jesteś senny, czy wyspany, chwalony, czy ganiony, czy zbliżasz się do śmierci, czy masz znieść jakie cierpienie, a bądź cnotliwy przede wszystkim dla siebie.

Człowiek, który czyni dobrze, nie otruwa tego, lecz przesuwa się od jednego dzieła dobrego do drugiego, jak łoża winna, która się czepia, aby w swoim czasie wydać grona.

O opinię świata dbać nie należy. Można być człowiekiem boskim a jednak przez nikogo nieuznanym.

Lecz czyż szmaragd straci na wartości, jeżeli nie będzie chwalonym?

Zresztą w ciągu 10 dni tym, którzy teraz patrzą na ciebie jak na dzikie zwierzę lub małpę, będziesz się wydawał bogiem, jeżeli wrócisz do swych zasad i słuchania rozumu.

Jeżeli nie możesz tak żyć, jak chcesz, opuść życie, ale tak, jak gdyby cię nic złego nie spotkało.

Nikt nie jest tak szczęśliwym, ażeby wśród otaczają-

cych jego łoże śmierci, nie znaleźli się uradowani jego bliskim zgonem.

Co to jest zwykłe życie? Czcze zamięłowanie przepychu, widowiska teatralne, stada bydła, fechtunki, kość rzucona między psy lub okruch do wanieńki z rybami, mozolne dźwiganie ciężarów przez mrówki, bieganina przestraszonych myszy, składane lalki podskakujące na drutach — wśród tego ruchu musimy stać przyjaźnie i beznamiętnie i rozumieć, że każdy człowiek ma tę samą wartość, co przedmioty jego zabiegów.

Mały pająk jest dumny z tego, że złapał muchę, jeden człowiek — z tego, że schwycił zajączka, inny, że złowił rybę, inny — że dzika lub niedźwiedzia, inny — że sarmatę. Ale jeżeli zbadamy ich pobudki, wszyscy okazują się zbójami.

Przewróć na drugą stronę swoje wnętrze, jak szatę, i zobacz, jak ono wygląda i czym będzie, gdy je wytrze wiek, choroba i nadużycie.

Przeniknij we wnętrze dusz ludzkich a zobaczysz, jakich to sędziów się obawiasz i jacy to sędziowie sami się sądzą.

Życie nasze codzień się pożera, a jego reszta staje się codzień mniejsza.

Trwanie życia ludzkiego jest chwilą, istota (rzeczy) ciągłym prądem, uczucie—ciemnym zjawiskiem, ciało — gnilną masą, dusza — frygą, los — zagadką, opinia — czemś niezdecydowanym. Być filozofem znaczy: strzedz gienjusza w sobie przed wszelką sromotą i szkodą, ból i przyjemność zwyciężać, nie nie pozostawiać przypadkowi, nigdy nie chwycić się kłamstwa i obłudy, nie potrzebować cudzej pomocy, wszystkie zdarzenia przyjmować jako pochodzące stąd, skąd my sami wyszliśmy, wreszcie oczekiwać radośnie śmierci, widząc w niej tylko rozkład na pierwiastki, z których złożona jest każda istota. Jeżeli zaś dla tych pierwiastków niema w tem nie strasznego, że każdy z nich ustawicznie zamienia się na inny, dlaczego my mamy z zasmuconem okiem spoglądać na rozkład i przemianę rzeczy?

Heraklit uczy: śmiercią ziemi jest to, że ona staje się wodą, śmiercią wody—powietrze, śmiercią powietrza—ogień—i odwrotnie. Czy należy w tym potoku, w którym nie można dotrzeć do gruntu, nadawać szczególną wartość przepływającemu falom? Byłoby to podobne, jak gdyby ktoś zakochał się w przelatującym wróblu. Życie ludzkie nie jest niczem innym, jak wyparowywaniem krwi i wdychaniem powietrza.

Przed nami leżą przepaście przeszłości i przyszłości, w których wszystko znika.

Przypatruj się obiegowi gwiazd, jak gdyby twoje życie posuwało się z nimi i rozważaj ciągle zmieniające się przemiany jednych pierwiastków na drugie. Takie rozmyślanie oczyszcza cię z brudu życia ziemskiego.

Wszystko ginie w ciągu jednego dnia, zarówno sławiący, jak sławiony. Aleksander Macedoński i jego poganiacz mułów znaleźli w śmierci ten sam los.

Jeden pogrzebał tego, drugi innego, ten znowu będzie pogrzebany — a wszystko to w krótkim czasie. Co wczoraj było załączkiem, jutro będzie konserwą mięsna (mumja) lub kupką popiołu.

Co to jest śmierć? Przepłynąłeś morze i zawinąłeś do przystani — wysiadaj. Jeżeli tam jest inne życie, to są również bogowie. Jeżeli tam niema czucia, to kończą się twoje cierpienia i przyjemności.

Imię jest dźwiękiem i oddźwiękiem. Najbardziej cenione dobra życia są czcze, gnijące, małoważne, podobne do gryzących się psów lub klóących się dzieci, które na przemiany śmieją się i płaczą.

Co to jest sława pośmiertna? Głos powtarzany przez szereg szybko umierających ludzi, którzy siebie nie znają a coś dopiero tych, którzy przed nimi żyli.

Jesteś żołnierzem boga na posterunku, oczekującym sygnału, kiedy masz zejść, gotowym opuścić życie bez żalu, niepotrzebującym dla swego słowa ani przysięgi, ani świadków.

Bądź zawsze gotów umrzeć, gardź swoim mięsem—krwią, ciałem, kośćmi, wątłą tkanką nerwów, żył i włókien. Uważaj dech życia za to, czem on jest—wiatrem i to nie zawsze jednakim, bo co chwila wdychanym i wydychanym.

Niech twoje myśli i czyny będą tak przygotowane, ażebyś każdej chwili mógł opuścić życie. Odejść od ludzi nie jest niczem strasznym, jeśli bogowie są, gdyż oni cię uchronią od nieszczęścia; jeżeli ich nie ma lub nie troszczą się o sprawy ludzkie, po co żyć w świecie bez bogów i opatrności?

Wkrótce o wszystkim zapomnisz i wkrótce wszyscy o tobie zapomną.

Posuwam się w moim naturalnym obiegu, dopóki nie upadnę, nie odpocznę, nie oddam technienia w ten pierwiastek, którym codziennie oddycham, i nie wrócę do ziemi, z której mój ojciec otrzymał materję rozrodczą, moja matka—krew, a moja mamka—mleko, do ziemi, od której codziennie przez tyle lat przyjmowałem jadło i napój, która mnie nosi, podczas gdy ja ją depczę i tyle razy nadużywam.

Tak brzmi stoicka rezygnacja, z której odzywają się tony Eklezjasty: „a wszystko jest marnością i utrapieniem ducha“.

Nigdy gienjusz ludzki, hardy i twardy, wpatrzony we wszechświat i wmyślony w nieskończoność, lekceważąc ten punkcik bytu, który się nazywa ludzką istotą, i tę chwilę czasu, która się nazywa ludzkim trwaniem, nie wyraził mocniej swojego lekceważenia życia, a przez to nigdy nie wznosił pyłu człowieczego do dumniejszej godności. Pod tym względem przewyższono stoików tylko teatralnością pozy, efektownością giestu i zdobnością nieszczerego frazesu. Ich zimna, surowa i naga prostota była szczerą. To, co głosili, jednocześnie stwierdzali czynem, zarówno wtedy, gdy chcieli żyć, jak wtedy gdy postanowili umrzeć. Bezsprzecznie wzięli wiele od poprzedników: Heraklita, Sokratesa, Platona, a najwięcej może od cyników. W cy-

nizmie jednak było dużo przekorności. „Zasługują na pochwałę ci — mówi Djogenes — którzy, mając żenić się, nie żenią się, mając odpłynąć na statku, nie odpływają, mając zajmować się sprawami publicznymi, nie zajmują się, wreszcie ci, którzy, mogąc mieszkać w pałacach, nie mieszkają“. Stoicy nie usiłowali wyróżnić się za wszelką cenę swej nauki; oni tylko nie cofali się przed żadną jej konsekwencją i dla zgody z ogólną opinią nie poświęcali żadnego wniosku. Ich etyka jest najsurowszą, ale też najwznioślejszą i najczystsza moralnością, jaka kiedykolwiek zrodziła się na ziemi. Całą bowiem wartość życia uniezależnili od otoczenia zewnętrznego i przenieśli we wewnętrzne człowieka. „Lżyj się, o lżyj się, duszo — woła M. Aureljusz. Do uczczenia się nie będziesz już miała czasu. Doszłaś do kresu, a nie masz szacunku dla siebie, bo szukasz szczęścia w innych duszach.“ Wszystko, co człowiek powinien cenić, kochać i czcić, cały skarb życia, stoik ma nie za sobą, lecz w sobie. Zalecana przez niego *apatia* nie jest dzisiejszem zupełnem znieczuleniem, lecz niezależnością od wzruszeń. Ona pozwala mu utrzymać w niezłomnej sile rozum, ona uczy go sprawiedliwości, ona nakazuje mu łagodność w sądzeniu ludzi, ona wreszcie zapewnia mu swobodę. „Wydrzimy namiętności z naszego serca — mówi jeden ze starych stoików — a jeśli nie możemy tego uczynić bez wyrwania serca, wydrzimy je z sercem... Ciało cierpi? Niech się skarży, co *mnie* to obchodzi“. Okrucieństwo prawie nieludzkie, ale jeśli oni je stosowali, to tylko do siebie. Zresztą przez lodową szybę swej apatii dostrzegali oni żar uczuć. „Cokolwiek zrobi mędrzec — powiada Zenon — nie zdoła nigdy tak zagoić rany namiętności, ażeby po niej nie została blizna i ażeby nie krwawiła, gdy się zdarzy sposobność“. Ale dodaje M. Aureljusz „nie ma takiej przeciwności, której by człowiek nie zdołał znieść“. W tem przekonaniu spoczywa ich hart, którego nie podtrzymuje ani dbałość o dobra doczesne, ani wiara w nagrodę za grobem, ani żadne złudzenie.

„Podobni jesteśmy do dzieci—mówi Seneca — które przerażają się widokiem ukochanych osób w maskach. Zdejmijmy więc maski nie tylko ludziom, ale i rzeczom. Po co, o śmierci, mam przedstawiać sobie miecze, ognie i katów drżących około ciebie? Usuń tę pompę, za którą się kryjesz, ażeby przestraszać głupców. Ty jesteś tylko śmiercią, którą ostatecznie może pogardzić słaba służąca“.

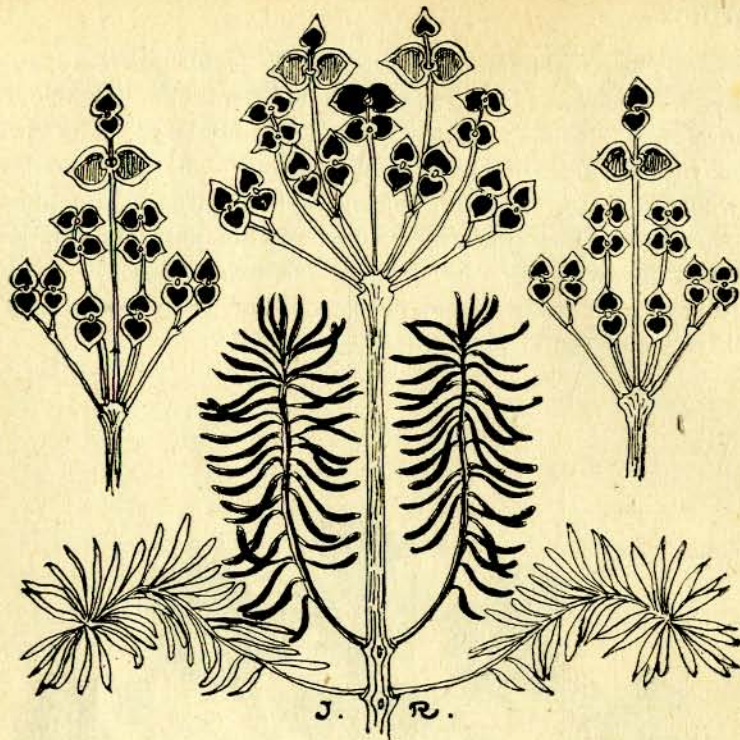
„Śmierć—według najmędrszego z monarchów — jest końcem sprzeczności zmysłowych, wzburzeń popędów, znoju myśli i służby ciała“. A po śmierci? „Jak ciała ludzkie, pogrzebane w ziemi, spoczywają w niej, dopóki się nie rozłożą i nie zrobią miejsca innym, podobnie dusze przebywają czas jakiś w przestrzeni powietrznej, następnie przemienione, rozproszone, oczyszczone wracają do pramaterji wszechbytu, ustępując innym“, aż wreszcie—jak twierdził Kleantes— roztopią się kiedyś wszystkie w duchu świata.

Dopóki ludzie żyją, a ten duch obdziela ich swym rozumem jednak, wszyscy są równi. Tak twierdził Zenon. Dlaczego szlachetny M. Aureljusz, który się kształcił na dziełach niewolnika Epikteta, wtrącił do swych wyznań uwagę, że „kto ucieka od swego pana, jest zbiegiem, bo pan jest *także prawem*“—tej zagadki trudno rozwiązać. Starzy stoicy, którzy pomimo niezależności umysłowej, oddychali atmosferą swego czasu, nie uderzyli w niewolnictwo z tą siłą, z jaką rozbijali inne przeżytki, ale nie uznawali, jak Kato i Aristoteles, jego słuszności i równość ludzi ogłosili za bezwzględną zasadę. Czy jest to skaza ich dusz kryształowych, że uważali się za obywateli świata? Zapewne, ten tytuł nie jest jeszcze pożądanym dla tych, którzy oddzierani są gwałtem od swej ojczyzny, jak kochające dzieci od matki. Ale on niewątpliwie kiedyś, w przyszłości, która zbrata wszystkie ludy, będzie zaszczytem każdego człowieka.

Jeżeli komuś nieobeznanemu z dziejami etyki po-

wiemy: arystotelizm—nie pojmie; ale jeżeli powiemy: stoicyzm—zrozumie. To znaczy, że ten stoicyzm jest czemś odrębnym i czemś, co trwa dotąd między nami. Ale trwa jako ideał bardzo wysoko wzniesiony i bardzo rzadko wcielający się. Jest on zaś nie tyle mądrością, ile mocą charakteru. Jest puklerzem, dziś równie potrzebnym, jak przed 20 wiekami, bo jedynie zabezpieczającym tych, którzy, idąc przez życie, muszą odbijać ciosy walk i wytrzymywać ognie piekła.





TADEUSZ MICIŃSKI.

NIETOTA.

. POWIEŚĆ Z TAJEMNEJ KSIĘGI TATR.

CZĘŚĆ II.

VII. Trochę metafizyki i krwi z płuc.

Mgła zakryła puszcę i Tatry.

Z okien Turowego Rogu widok, jakby na targaną zwątpieniami duszę; chmury Wezuwuszowym popiołem przytłaczały niebo,—zabierając ze ziemi całe światło i oddech; niewidzialne, niezłomne podniebne wirchy, mroczne lasy, zanurzone w mgłach—nie błyskają już w szmaragdowej baśni, nie roziskrza ich słońce; w kaskadach nie śpie-

szą zanurzyć się pluskotnice — tylko Czarni Pankowie, w mgłach zatuleni, zagrzebują ostatnie klejnociki światła w przepastne urwiska.

Osunęła się zasłona Apokaliptyczna, zasłona śmierci, zasłona z wielkimi wlokącymi się szponami Lewiatana, jakby nagle zgaszenie świata — raczej tylko onej lichej zwierchni, na której dzieje się życie ludzkie, bo nad chmurami wieczna jest pogoda — tam słońce — prastary mityczny bóg Światowid. Tylko mityczny? —

Młody Xiądz Bazyljanin patrzył w mgły.

Jego twarz rzymska, jakiegoś z Liwjusza historii dowódcy, który zgnębił hordy Markomanów — jego twarz miała teraz tak dziwny wyraz, że Matka, rozmawiająca z Panią Ameńską, kiedy ta ukazała jej szczególny ból na twarzy Mnicha — porzuciła nagle robotę, pytając:

— Synu, co Tobie?

Nie odrzekł nic, patrzył w dalekie mgły.

Pani Mogilnicka wyszywała dalej ornat: na tle jedwabnej, mieniącej materji o tonach kości słoniowej, przechodzącej w złoto i aż w purpurę — wielkie liście winogrodowe od młodych zielonych pędów aż do macicy, karmiącej fioletowe grona, wokoło zaś brunatno-czarne liście, zjedzone przez gąsienice. Istna symbolika życia zatrutego!

Robotą piękną, wenecką, posuwała już haft ten kończony, bo wkrótce następował czas pierwszej mszy jej syna.

Bazyljanin powstał. Olbrzymiego wzrostu, w czarnej, długiej szacie zdawał się nie kończyć i nie zaczynać.

Pani Mara spytała:

— Bracie Konstanty, co Wam jest?

Milcząc, Bazyljanin wyszedł z pokoju — porwała się już Matka jego — załamała ręce, mówiąc:

— Chryste, Tobie go oddaję, ale mi go nie zabij!

Wtedy z rozdartego jej łona, przez które zdawał

się przeświecić miecz nagi — wypłynęła wielka, jak struga krwi, spowiedź.

Młody Bazylianin szedł w las: naprzód przez potok szalony, po kładce zmurszałej, gdy każda tafla załamującej się wody starała się zmacić uwagę, strącić przechodnia w dół i nieść go, targając na głazach, zatopić w kaskadach, zawirować nim w głębokich, szmaragdowo-mo-drych cysternach. Kiedy już potok minął, zaszumiały wiekowe jodły — każda kościołem będąca, każda arcy-tworem strzelistego aktu, każda samotna — mniszki i wojownicy, kochanki wichru, córki gór, niewymownie tragiczne, nieskarżące się nigdy, może nie mające komu?

X. Konstanty szedł upity winem bólu z węzowego ziela — z tego szaleju, co rośnie na wszystkich drogach duszy, i nawet przy najcichszej chatynie, gdzie kryje się samotność — tam nawet w księżycowych blaskach mdłe kielichy zapraszają do uczt czarnoksięskich, tam ćwiartuje się serce, stygmatyzują wargi rozpaloną krawędzią puharu i spłomienia się język, który wypowiedział: *Ergo — Deus non est!*

Bazylianin począł zrywać paprocie i opędzał niemi jakieś myśli trwożące, niby naszczekujące piekiel widma, wreszcie, spojrzawszy na obumarły jednego drzewa wierzchołek — zadumał się i wzdrygnął, wspomniawszy, że Swift w przeczuciu idącego nań oblędu — do takiego drzewa porównał się, mówiąc przyjaciółom: „Bracia, mnie czeka ten sam los, jakiego to drzewo już doznało: to jest, będę tak jak ono obumierał, począwszy od wierzchołka“. I wskazał na swą głowę, wymawiając te słowa. Nie dosyć na tem — sporządził testament na budowę i uposażenie szpitala dla idiotów i lunatyków. „Z utratą rozumu, pisał, utracę prawo do osobistej wolności: i przeto mą bezwładną istotę zabezpieczycie w domu obłąkanych, na który wam fundusz zostawiam“.

Zrozumiał X. Konstanty, że Polska tak obumarła od wierzchołka swego.

Uprzytomnił nienawiść wzajemną narodowości, które ją składają, zamęt partji, głuche wrzenie i mordercze wybuchy warstw przeciwko sobie — całe rojowisko szkalów, oszczekujących świątynię Ducha — a w tej świątyni martwa, zastygła cisza, przerywana żarzeniem błyskawic! Nikt nie jest powołany, aby tę ciszę przerwał jakimś słowem, przyniesionem z nad rzek Wieczności.... chyba oszust!..

On zaś — czy ma jeszcze prawo bronić krzyża?

Życie jego wstało przed nim w oddali zamierzchlej.

Był jeszcze pacholęciem, miał lat 7, chodził po szuwarach nad Sanem, zamyślał się — i w dzień swych imienin do Matki rzekł: ja muszę być księdzem.

Matka, wierząca głęboko, oddana Chrystusowi służebna, choć magnatka na ziemi — rzekła: „Tak, synku, ale przez 7 lat nie będziesz o tem mówił nikomu, ani nawet myślał“.

— Mówić nie będę miał już więcej komu, ale myśleć muszę o tem, bo to jest moje życie.

Oddali go rodzice do gimnazjum, ćwiczyli jego umysł i duszę, na wakacjach dnie całe spędzał na koniu, lub w lesie i w kniei wśród myśliwych — na niwach szumiących, wśród żeńców, wśród ksiąg i przyjaciół w ogrodzie.

Mając lat 14, przyszedł w dzień imienin, milczący i nieśmiały do Matki. Myślała ona, że to może jakaś prośba dziecinna, że ujmie się za którym z braci i weźmie jego przewinę na siebie, — lecz spojrzawszy w jego oczy niesamowite, już wiedziała, czego chce od niej Chrystus.

I tylko krzyknęła: „Boże, daj jemu moc!“

Matka i syn tworzyli odtąd jedno mistycznie zrosłe drzewo. Konstanty poszedł do uniwersytetu; ukończyw-

szy, przedłożył ojcu prośbę. A była to prośba straszna.

— My jesteśmy renegatami, rzekł. Byliśmy dawniej Rusini, opuściliśmy bracie naszą ciemną, magnacki przepych nie daje nam już nawet do niej dostępu. Nawet wy, Rodzice, nie zaglądacie już nigdy do opuszczonej cerkiewki!

Ojciec surowy, i dumny, zmierzył go wzrokiem raniomego tura.

— Nie wiesz, odrzekł zwolna—że przez cały czas Rzeczypospolitej ród nasz był obrzędu uniackiego? ostatni metropolita był z naszego rodu!

Nie dla faworów Rtej możnej zmieniliśmy wiarę, ale gdy Polska upadła w ostatnim rozbiorze — odrzuciliśmy zarazem i ostatnią zaporę od jej duszy. Byliśmy z dawien matki tej Ojczyzny dzieci, lecz, od chwili rozdarcia, jesteśmy już w godzinę męki jej zjednoczonymi t. j. katolikami.

Któż ma prawo cofać naród w jego rozwoju duchowym? lub może tęsknisz do tych czasów, gdy jako koczaczek nosiłbyś ogon za Potocką?

Zachmurzył się syn. Matka rzekła:

— Tu ma prawo mówić tylko Chrystus.

Rzekł Konstanty:

— On już powiedział mi, bym Tobie, Matko, dał hostję z tej małej cerkiewki, kiedy lud się zbierze, przyniosłszy ziola.

Straszną miał twarz wielki magnat, pan Mogilnicki, jakby słysząc w uszach brzmiały krzyk: „Zdrajca!“ Mimo to siłił się na spokój.

Tak, rzecze, spełniaj Twoją własną wolę, lecz nie przypisuj jej Chrystusowi.

Z mej strony, ja stawiam warunek ostatni: jeszcze dwa lata kształć się za granicą, poznaj przyrodę i współczesną myśl aż do kresów, wtedy pojedziesz na rok zwiedzać wszystkie główne monasteria prawosławne od cerkwi Katarzyny II i soboru Mikołaja w Petersburgu po skity fanatyków Oneżskich, po Sołowiecki Monaster więzienny;

zbadasz świętych w Kijowie, powitasz nowego Iwana Gołowosieka w Berdyczowie, zapoznasz się też z Ojcem Kronsztadzkim i Najświętszym Synodem oraz z — Pobiedonoscewym!

— To nie jest moja wiara, rzekł Konstanty.

— Ale obrządek ten sam, bizantynizm ten sam! rezultaty i na Rusi będą te same.

Ukończona rozmowa. Wyjechał znów syn.

Przeżywał Nietschego i Avenarjusa, Ostwalda chemję i Poincarégo matematykę.

Wyjechał potem na Wschód z listem żelaznym, który mu ojciec magnat wyrobił—i rozwarły się przed nim wszystkie bramy, furty i skrytki klasztorne, zwiedził i poznał hipokryzję, tragikomedję, udany blask, udaną wiarę, nieudane rozpaczę i obłądy, widział rozpustę i nierządne hołdowanie najgrubszym rozkoszom, widział cyniczne oszustwo w imię Przemienionego, zamykanie w imię Taboru wszystkich Bram Życia...

Chrystus na niezmiernym moczarze przyzywał w ciśnie rozśłonecznione, mówił, gdy siedł Konstanty wśród najbezwstydniejszych szaleństw tłuszczy na paryskim Longchamp w dzień wielkopiątkowy—zarówno jak kiedy wychodził z cerkwi, wyłożonych porcelaną i fałszowanym złotem, gdy modliły się tłumy chuliganów, mających rzezać i bić na śmierć „kainowe plemię żydowskie inorodcze“.

Konstanty wznosił nad wszystkim krzyż, — i krzyż ten zmuszał go iść Doliną Niewidzących, ustawiać kamienie węgielne wciąż rozbijanych miłości.

Po latach paru działania wśród ludzi, Konstanty zamknął się w klasztorze, by stamtąd wynieść prawo mówienia do wielkich rzesz; lecz wtedy właśnie wprowadzili tam regułę z IV wieku dla umartwienia ciała, dla zabicia wroga mniemanego.

Konstanty żył w celi, wychudły szkielet, z duszą przetorturowaną, lecz wyniosły i wynoszący.

Jednego wieczora krew mu buchnęła gardłem i lała się, jak z rozplatanego zwierzęcia..

Wyjechał w Tatry, czując, że nie może dłużej dźwigać tego szarego, nie czyniącego już cudów, monasterskiego krzyża.

Wierzył w Chrystusa mocno, niezachwianie—lecz ta rzeczywistość kościelna, jak turyńskie prześcieradło, ukazująca mu zamiast Boga-człowieka jeno tęgie ciało z rozbitym nosem i ponurą twarzą, ta rzeczywistość, która czyni tłum nosicielem instynktów tabunowych pradawnego zlepu Homosimiusów, ta rzeczywistość, która Europejczyka tylko pozorami różni od Buszmena—i jeszcze wyższa, głębsza rzeczywistość przemijania wszystkiego, co wyniosłe, rzeczywistość trwałej równowagi wszystkiego, co poziome, i ta ostatnia rzeczywistość: śmierci—poczciwej Matki, wygrywającej na flecie piosnkę wieczornego zmierzchu... wszystkim...

Nikną wobec takich uczuć wszeświata cierniste chłosty gazet polskich, że zdradził Rusin Polskę! albo w rusińskich, że ten panek polski chce zrobić karierę metropolicką... wszyscy otwarcie tryumfują, cieszą się--że on tam w góry pojechał i umiera z nieuleczalnej choroby.

Zaiste, zgarbiony idzie, jak starzec, smutny bez kropli krwi w sercu.

Miłuje Chrystusa, rozmawiając z nim, jak Nikodem, już nie nad stopniami przezroczystych wód, ale nad niechlujnym moczarem duszy współczesnej, nad moczarem, w którym wyją wszystkie stada wieprzowe, a lśnią gdzieś niedziedzie zatopione góry z gwiazd.

„*Sicut ego nunc Deum non esse, proba!*“ powtarzał machinalnie, przypominając dawną Polskę. Oto wstał przed nim straszny cień spalonego za Króla Jana III ateusza Kazimierza Łyszczyńskiego. Ten wiódł życie nieposzlakowane, lecz, zadumany nad istotą wiary i zwątpiwszy o istnieniu Boga, na 15 arkuszach wypisał zdania starożytnych i nowych autorów, dowodzących, że Boga nie ma.

Sąsiad jego, łajdak, który był mu winien pieniądze, chcąc skrewić dług, doniósł Biskupowi.

„*Polonia non parit monstra*“, mówił na sądzie Instygator, a teraz tego nie można powiedzieć, bo Łyszczyński monstrum!.... I tacy obrońcy Boga, jak prymas Radziejowski, wnieśli karę śmierci w mękach i płomieniach. Skazaniec, zrazu przeświadczony o swej niewinności, mówił w końcu słowa, rozpaczą i obłąkaniem tchnące: „jeżeli przeciw mnie zapadnie ciężki wyrok, wątpię, czy tłoczonym mnie pokusom potrafię się oprzeć“...

Wyprowadzono go na miejsce stracenia. Pastwiono się naprzód na języku i ustach, któremi „srogo krzywdził Boga“.

Potem spalono rękę, to narzędzie najszkaradniejszego płodu, dalej papiery bluźniercze; nakoniec on sam „potwór tego wieku, Bogobójca i Prawołomca — Legirupa, impudens, impurus, inverecundissimus — został ścięty i pożarty błagalnymi płomieniami, jeżeli tylko można przebłagać nimi Boga“ — zastrzegł biskup.

Jakiż potworny widok ciemnoty, którą zaszczepili Jezuici, nieraz wybitni jako pojedynczy ludzie, a niweczący narody, jako Zakon. *)

Przez śmierć Łyszczyńskiego nową sromotą został okryty naród, który utworzył ze siebie jedno wielkie jezuickie kolegium—i w tych zatęchłych murach niszczył wspaniały zasiew Kopernika, Vitelliona, Brudzewskiego, Batorego i tego Jana Ostroroga, który już r. 1449 wnosi pomysł wzorowego urzędnika kraju. Naród, tak przedtem tolerancyjny, że dwóch tylko katolików siadało w Izbie Senatorskiej przy wstąpieniu Zygmunta III na tron, zaś szlachta niekatolicka wybierała Henryka III, aby wstrzymać miecz Hugonotów mordujących — naród ten

*) Swym rymowanym Alwarem i bizunem Jezuici wytepili wszelkie zakusy samodzielnego myślenia. Byli oni w Polsce tyle winni, ile Inkwizycja gdzieindziej. Oni to swego wymarzonego króla Filipa II chcieli zrobić Panem Chrześcijaństwa, a Hiszpanji poddać cały katolicyzm. Podobnie też, po rzezi św. Bartłomieja, papież Grzegorz XIII zanucił radosne *Te Deum* u św. Marka.

uległ całkowitemu przeobrażeniu! Koadjutorami Jezuitów byli Lndwik XIV (wypędzenie hugonotów) i Zygmunt III, niecznie popierający Łżedymitrów w Rosji. Jezuici zmieniili Polskę, jak wyraził się mało znany historyk, w zaczarowany pałac, w którym złe duchy miały dokazywać póty, póki razem z nimi nie runął pałac — w chwili odczarowania Europy!

Bohaterski papież — Klemens XIV wiedział, że przypłaci śmiercią zniesienie strasznego zakonu — lecz na Polsce oglądał potępienieczne otchłanie, wyryte przez tych „trupów“, jakimi czynią się w regulaminie swym; pisał o tem w liście do biskupa Załuskiego. Został nakoniec otruty jadem, powolnie działającym, nie mającym barwy ani woni, ani smaku, jak woda, lecz rozkładającym ciało, zmurszającym je w nagłą starość, tak, że po śmierci rozpada się ono kawałami — i twarz zmienia się w maskę do niepoznania.

Niechybnie była to owa słynna aquatoffana, eliksir złowróźbny, wysączony przez alchemików, zaprzędanych Djabłu.

Jezuici, wypędzani zewsząd, tragicznie, jak z Hiszpanji, wiezieni na okręcie, umierający z niewygód i ze strapienia, po półrocznej wędrówce nie przyjmowani nigdzie, aż wysadzeni na skałach Korsyki — wzbudzaliby w nas dziś już współczucie. Ale widzimy, że znów uzyskują możną opiekę Katarzyny II w Połocku — i Fryderyka na Śląsku. Godni protektorzy — nie pozwalający, aby Zazara przestała osłabiać Polskę! Tak Jezuici doczekali się bulli 1814 r., którą Pius VII, posłuszne narzędzie Napoleona, nieomylnie znów, choć sprzecznie z poprzednim Klemensem, powołał ich do życia. Wysiłki wierzących, pod nazwą neokatolicyzmu — czy mogą wlać życie w tę Camorrę pohańbionych cudów?

Xiadz Konstanty zbudził się z męczącej zmyry rozmyślań — któż to cwałuje na koniu karym? Księżniczka Azudem — wysmukła, z płomiennemi oczyma, jakby Bohun pobratał się z Hanem tatarskim — wtedy za wolnej

Ukrainy! Pałacy step rozgorzał w nim wewnętrznym pożarem wspomnienia:

O, miecza w ręce — jeszcze raz! i na te
krainy dajcie runąć z krzykiem Huna!
wróćcie nam, groby, husarze skrzydlate,
niech nam Czarnieckich całych odda truna!
i hej! przez dawne Attyli bezdroże —
godzinę tylko życia, wielki Boże!

Wyszedł na drogę: tam cwałuje Tatarka z płomiennymi oczyma, z rozpuszczonemi kruczemi włosami — już tu na zakręcie wśród olbrzymich jodeł ukazuje się jej gibka postać.

Może to ona wiosnę niesie — po tej zimie bizantyjskich i alwarowych tortur? Cofnął się Brat Konstanty za drzewa, z twarzą wykrzywioną biegł i między paprociami stanąwszy, runął —

Krew, krew napiera mu do gardła — ha, wybuchła — niechaj!

Koń z szaloną Amazonką kwietne prerje na miazgę potratował. — Cóż, księżę Mogilnicki, zapytał się sam nagle i zimno w swem sercu, taką li masz wiarę w wieczne narodziny Boga — i w naród, któremu siebie miałeś dać na męczennika? Wstał, chwiejąc się — jeszcze z zamglonemi oczyma z nad kałuży krwawej i rzuciwszy zbroszoną chustkę, szedł w mgłę wiosenną, myśląc że może spotka Maga Litwora: z nim chciałby przemyśleć jeszcze ostatnie wierzchołki życia i dalej, za życiem!

Szedł pod górę — stromą kamienistą drożyną wśród lasu. Na tem wzgórzu mieszkają bracia Wyszowici i tam zamieszkał czasowo Mag Litwor.

Ujrzał go wśród wielu mnichów i świeckich mieszkańców Turowego Rogu — w komnacie, z prostego drzewa ukleconej. Mag powitał się z nim, nad miarę piękny, jakby mistyczny Nal królewicz.

— Ktoś mi cię oznajmił, wejdz, bracie Konstanty, rzekł. Usiedli przy sobie. Dłoń nieśmiała Bazyłjanina poczuła magnetyczny uścisk Tego, co miał duszę wszechświata w swej dłoni.

Arjaman usiadł po przeciwnej stronie, nie witając się z nikim, patrzył przez okno wciąż na las.

Wielu mnichów zasiadło wokół płonącego ognia (gdyż było chłodno) w szarych, popielatych, grubych habitach; władał nimi brat Wysz—jeden z najciekawszych ludzi naszego Odrodzenia w sztuce, który był wielkim malarzem, a teraz stał się wielkim świętym.

Jest tu już i Pani Mara, i Pani Mogilnicka, kilka innych pań, X. Azudem, Panna Oleśnicka, Lena i Witeż Włast. Mędrzec Zmierzchoświt rozmawia ożywienie z prof. Rufinem — pan Melanchtonius wie subtelna rozmowę o sekcje Marjawitów z niezwykłym umysłem, jako gienialność i wykształcenie, panem Oleśnickim, ojcem mniszki. Tam było też wiele obcych osób z „ceprów“ i górali, których X. Bazyłjanin nie znał; zwrócił tylko jeszcze uwagę na czarniawego pana Muzaferida, ojca Azudem, który podczas obrad religijnych wyliczał pilnie siłę spadku Wielkiej Siklawy, użytej jako motor do kopalń.

Wreszcie przewodniczący, biały, orli dr. Tytus, udzielił głosu Mędrce z Tatrzańskich Jezior.

— Któż to jest? zapytał X. Bazyłjanin.

— Człowiek najszczerzy, który nigdy nie zdejmuje maski—tak określił Mędrca Mag Litwor.

Mówił Zmierzchoświt, stojąc otoczony obrazami, malowanymi na szkło, a na stole dłoń opierając wśród dzbanuszków góralskich, spin i innych zabytków.

„W tych czasach, gdy zbyt ciasno pojęty pozytywizm w Polsce więził umysły, wszelkie życie fantazją, natchnieniem, wogóle życiem wewnętrznym Duszy — zdawało się nie tylko upiorem przeżytego mistycznego romantyzmu, ale, co gorsza, zdawało się rozsądnikiem wsteczniactwa i tych niezliczonych dawnych przywilejów w Polsce.

Wtedy to utworzył się Turów Róg: klasztor bez reguły innej, niż wewnętrzna prawda, religja bez dogmatu innego, niż Słońce Wewnętrzne.

Tu schodzą się i żyją wielcy uczeni, tworząc lub aperpując traktaty, podziwiane potem w nauce; powieściopi-

sarze idą tu do źródeł języka i w nowej głębinie oglądają myśli, które ich dziełom dadzą trwanie dłuższe, niż mar-nia sława dzisiejszego dnia.

Tu zawiązało się jakby Bractwo, mające dla siebie magiczne zaklęcie: Polska; tu jedynym ceremonjałem jest, żeby nikt podły nie przekroczył murów Turowego Rogu, nikt marny, nikt niegodny, któremu Mickiewicz i Król Batory—nie mogliby uścisnąć dłoni, jeśli mogła chciała nam tych wielkich oddać!...

Robota wciąż postępuje—jest to dalszy ciąg tatrzańskiej lawiny, w której pierwsze szrony otrząsnęli dawni alchemicy i kruszczarze w wieku XVI, kiedy grzmotem prawd nowych wstrząsnęli dusze Kopernik i Kolumb.

Alchemicy i kruszczarze tak Tatry odkryli, jak wielkie bez miary nowe prawdy odkrył Kopernik, jak wielkie królestwo założył jedyny Król, który był w dawnej Polsce, Chrobry, jak przed wielkimi oteklaniem moczaru jeszcze niesformowanego ostrzegł Modrzewski.

Lecz moczar w końcu zwyciężył. I wtedy Sybir staje się dla nas największym z Uniwersytetów, jakim jest Boleść. Wzmacnia nam dusze. Lecz kiedy ludzie załadali już lotów i wirchów i orlego życia—zjawiły się Tatry, w które wprowadził Polskę — lekarz Tytus. Krainy te były czemś w rodzaju Odzyskanego Raju. Tu bowiem człowiek może wrócić do swego jestestwa i zrozumieć się jako władca przepaści swego przeznaczenia.

Turów Róg począł jednaczyć wędrowników, którzy tu przychodzili z Polski, jak umierające zwierzęta w czasie posuchy do wytrysłego z ziemi źródła—na upój.

Brat Wysz przywoził tu swoich chorych zakonników, co poświęcając się dla nędzy ludzkiej—wytrzebili z Krakowa tyfus, a sami tu zaczerpują do swych płuc tlenu. Wielkie owocodajne jest ich dzieło.

Jak wiadomo, w zakładach swoich fabrycznych zatrudniają kilka tysięcy ludzi takich, jak z życia Na Dnie rosyjskiego pisarza Gorkiego; Brat Wysz dał im kawał

zapracowanego przez nich samych chleba i moralne słońce radości św. Franciszka.

Pan Muzaferid elektrycznością, wytwarzaną przez górskie potoki, wodospady, a szczególnie przez przypływ i odpływ morza, zdołał oświetlić, puścić w ruch wielkie kopalnie pod Tatrami, które wydobywają nie tylko węgiel, grafit i ametysty, ale—co ważniejsze—dały nam dostęp do przedziwnych Światów Zamierzchłych—i teraz Mastodont jest takim zwierzęciem w Turowym Rogu, jak w chacie góralskiej był liptowski pies.

To samo uczynili panowie Oleśnicki i Muzaferid w Karpatach dalszych—z tą zdwojoną zasługą, że obracali się wśród środowiska wrogiego, idąc przeciw złączonej szarzy żydowskich lichwiarzy, oraz naszych polskich Targowiczan. — Mimo to wystawili niezłomną strażnicę Odrodzenia Polskiego.

My z naszej strony wraz z współpracą twórczą i niezmiernem poświęceniem architekta Wodnika, dwóch lekarzy i paru obywateli ukraińskich, oraz działając w materiale tak gienjalnym, jak tutejszy lud — zdołaliśmy zbudować zamki, świątynie, chaty, fabryki i szkoły w stylu dawnym lechickim.

Bujny plon dla myślicieli zawarty jest w zbiorach pani Ameńskiej. Można w nich rozświetlać zagadnienia, jakim jest źródło twórczości w duszy góralskiej? ile z niej stać się może własnością duszy każdego Polaka?—w szczególności zaś—jak się wiąże leluja z gałęzmi modrzewiu, czym jest niespodziany krzyżyk—„swastika“, którą góral, budujący chatę, zbożnie i zdjawszy kapelusz, wycina toporem na węglach domu dla uchrony przed Złem; czym są rysie, czym iście niepożyte wiązanie belek i krokwi; w czym wartość architektoniczna i obyczajowa sozrębu; dlaczego elastycznej budowli góralskiej nie przełamie Wiatr Halny? w jakim stosunku do tej organicznej sztuki może być twardy nowoczesny murowaniec?

Mimo pracy naszej i poprzedników, niewielu artystów wnika jeszcze w te motywy roślinne i kosmiczne, niewielu myślicieli odgaduje, jaką jest Mitologia Tatr i jaką ich rzeczywista moc?

Uzbierany widzimy sprzęt góralski dawny niewypowiedzianej wytworności, mocy i prostoty (tu wskazał Mędrzec Zmierzchoświt ręką na zbiory): owe Chrystusy, pełne powagi bolesnej, Madonny z twarzami naiwnej miłości, Aniołki, siedzące na jakimś dziwnym tworze, który ma być chmurą—łyżniki, gdzie wyrzeźbiony jest modlitewny nastrój, niby zaklęta w linje modlitwa ranna i wieczorna; te po dawnych bacach pyszne czerpaki, godne przyjąć miodem czy żętycą Króla Bolka na łowach; te zrabowane (trzeba przyznać!) w kościołach węgierskich z ornatów materje, użyte na gorseciki góralek; te obrazy zbójnickie i święte; spiny wielkie z łańcuszkami, mające w sobie patryjarchalny i nawet kapłański charakter.

Wiele życia bujnego wniosły nam niknące już opowiadania Sabałowe i Gandary, oraz innych starych gazdów z Murza Sichla i Ratułowa, a nawet czarnownic, których zaklęcia są jednym hymnem wielkiego upojenia świętą Adoracją dla Wszechświata i jego Cudów, Męki oraz Tajemnicy.

Teraz stoimy wobec niebezpieczeństw: dawna pustynia Tatr zaczyna w sposób kramarski być zajmowaną przez ludzi o małym utylitarnym światopoglądzie, którzy budują kolejki na Łomnicę, zakładają restauracje nad wszystkimi jeziorami, którzy moreny po dawnych lodozwałach rozkopują na taras dla piwiarni.

Wprawdzie Morze jest dotąd niedostępne, raz ze względu na swoje nagłe i przerażające huragany, powtórze — że jest tu ktoś Niewiadomy, kto wszelką próbę budowania okrętów udaremnia zaś przybywające zagraniczne wysadza w powietrze lub prześwidrowuje.

Musimy jednak zauważyć przerażający objaw: widok

morskiego żywiołu, nie działa już na ogół polski tu przebywający — nikt nie zawoła już, jak dawne 10 tysięcy z Ksenofonta, ujrzawszy morze—Thalassa, Thalassa!.

Zaraza moralna z rozkrytego szeroko bagna staje się chroniczną właściwością okolic za Turowym Rogiem. Tworzymy wysepkę—nie, oazę! której grozi zalaniem wulkan błotny. Wprawdzie musimy zastrzec, że zwykle widzimy aż do końca sferę możliwości podłej natury ludzkiej, lecz któż ogarnie sferę możliwości szczytnych?

Mój anarchizm każe mi ufać, że droga wszechludzkiej miłości i rozjaśniania błędów, nie wiążąca dogmatem nikogo—doprowadzi najprędzej wielkie zrzeszenia ludzkie na wirchy. Tocząca się obecnie wojna z Japonją nie jest w stanie sama przez się roztworzyć zardzewiałych bram Wysokiej egzystencji Polskiej. Jest to praca, zmuszająca nas wszystkich odsłonić przed każdym z nas jego własne przeznaczenie. Krzyż musimy wynieść z podziemi Wawelu i postawić go teraz wśród żywego, zielonego lasu. Nasze dusze musimy otoczyć lasem żywych prawd, wyrosłych z surowej, lecz bujnej ziemi tej“.

Ukończył, ciężko zakasławszy i musząc usta zakryć pod napływem krwawego śluzu; odzywały się głosy szepciem, lecz wkrótce gwar powstał ogólny — z którego wyrozumieć można było tylko potrzebę jednej wielkiej, wiążącej wszystkich Religji.

Ból przeniknął Maga Litwora. Ten wiedział, że Polska jeszcze musi przebyć jakieś okropne piekło — okres władania Mangra i obłąkanego Mnicha—zanim narodzi się w niej nowy zmysł dla istotnej prawdy.

Powstał baron de Mangro Rabsztyński, z racji swego wysokiego patriotyzmu zasiadający ławę między pierwszymi. Zmienił się w swej masce — od czasu, gdy widzieliśmy go wśród muzyki z Zolimą. Zmienił się, w powagę zapięty, jak w dobrze leżący tużurek, z ołówkiem w ręku, kreślący wciąż cyfry i dogmaty. Nieznany

wprawdzie, lecz już przez famę wysoko głoszony—zabierał teraz głos:

„Nie znają mnie tu jeszcze wszyscy. Wspomnę więc, że jestem uczonym bigotem arcybractw, instytucji oraz kongregacji w Tomsku, w Surabaji na wyspie Jawa, w Oxfordzie, w Harvard-University w Ameryce północnej i w Rzymskiej Santa Fede. Wykształcenie me kosztowało miljon franków — minimalny kapitał, jaki pochłonać musi do najwyższej dzielności doprowadzony mózg Polaka.“

Teraz, kupiwszy Tatry, ofiarowuję je najwyższemu z czterech władców naszych, a mianowicie temu, który jest w Rzymie. Słuchajcie, dostojni panowie—chodzą tu pogłoski o jakimś Magu Litworze, który ma łączyć Indje z wiedzą współczesnej Europy; to są brednie!“

Niewiadomo, jakby go dalej słuchali, bo już na wspomnienie Rzymu Zmierzchoświt oblał się purpurą i powstał, inni zaszemrali z przykrem zdumieniem, lecz ogólnie de Mangro spodobał się.

Damy szeptały, ukazując jego zbrudzoną twarz:

„Ile on musiał wycierpieć, nim zdobył taką pewność siebie!“

De Mangro chciał mówić dalej, lecz jakby zwierzyzna, która czuje na tropach swych myśliwego — tak Mangro obejrzał się nagle i ujrzał w ciemnym zakącie Maga Litwora.

Jak to być może, iż dotąd go nie zauważył? Czyżby Mag Litwor miał możność ukazywania się tylko niektórym? bo oto, ku zdumieniu wszystkich, baron de Mangro wydał przeraźliwy kwik, chciał rzucić się przez okno (szczęściem niskie), lecz dzięki mnóstwu przytrzymujących go rąk, usiadł na ławie, odzyskał przytomność i objaśniając to nagłym zawrotem głowy, nawet grzecznie się uśmiechnął w sufit, który był nad Magiem.

Było to tak demonicznie nagle, że nikt nie miał czasu zdziwić się, ani roześmiać.

Na miejscu, gdzie mówił de Mangro, stał już w białej wschodniej szacie Mag Litwor.

I mówił spokojnie, jak kapitan na statku, badający przez lunetę dalekie wybrzeża skał i opisujący to załodze:

„Życie bezinteresowne, życie, niezamykające się w oplotkach sobkostwa, jest warunkiem zasadniczym Wzrostu. Uczeń, zginający się, jak wielbłąd, pod obeliskami swej wiedzy—jeżeli nie żyją tem falowaniem, które przekracza mury egoizmu, nie są bliżsi Prawdy, niż rak, zamknięty w swej skorupie. Ta jest mu potrzebna, lecz gdy chce wzrastać, musi ją odrzucać.

Wiedza indyjska jest urzeczywistnieniem tego, co zwężyło się u nas w Dogmaty. Mistrzem jest ten, kto żyje w sercu wszystkiego, co istnieje. Ten jedyny ma prawo powiedzieć: Ja jestem Tamto, Otchłań i ja,—jesteśmy Jedno.

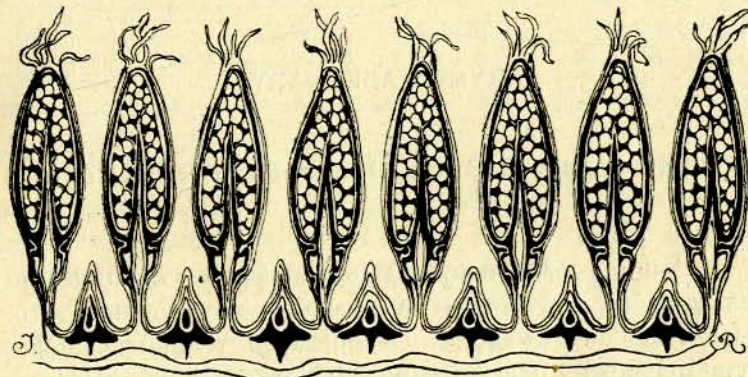
Ten mistrz, zwany tam pod Hiamawatem Kriszną, pod Tatrami tu Królem Wężów, na równinach Iranu Zarathustrą, w świątyniach myśli europejskiej Luciferem—prowadzi zawsze ścieżyną samotną, na której jednak wszechświaty ludzkie spotykają się ze sobą. I niema innego obowiązku nad ten: aby znaleźć Jaźń swą, nie zasklepiac się w tem, co jest tylko pozornie Moje i Nasze.“

Niepostrzeżenie oddalił się Mag Litwor, wszystkim się zdawało, że jeszcze jego wyniosła postać świeci wśród drzew. Muzyka z za niezmiernych horyzontów wibrowała w utajonej głębinie każdego z uczestników.

De Mangro odzyskał przytomność i rzucił 10 tysięcy banknotami na pielgrzymkę do Ziemi Świętej, dla młodzieży. X. Bazyljanin zaśmiał się dziko, lecz niesłyszalnie. Wszyscy weszli w las prawiecznych jodeł. Po-

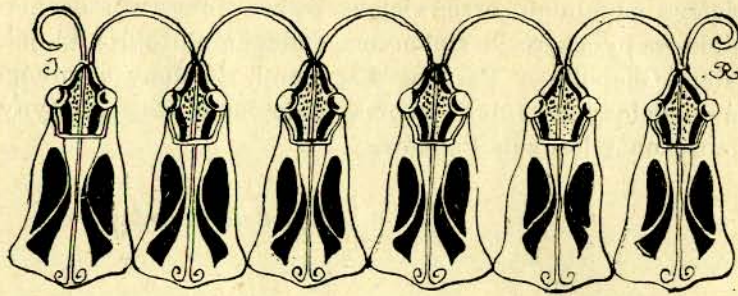
wietrze nappełniało orzeźwiającą cieczą przestwór od ziemi, która była zarosła zielonymi, cudnej architektoniki, jak Sainte Chapelle w Paryżu, skrzypami. Zasłony z miliardów zielonych igieł tworzą sklepienie tej gontyny Dziwożon i leśnych Panków.

Ciąg dalszy nastąpi.



Podobno „Nietota“ dla publiczności jest ciemna i niezrozumiała. Autor uprasza tych wszystkich, którzy uznają, iż warto dalej przedzierać się przez te puszcze, aby napisali pod adresem „Sfinksa“ choćby słów kilka na pocztowych kartkach.

(Przyp. Autora).



SZYMON ASKENAZY.

Polska w dobie wojny siedmioletniej.*)

Dzieje polskie doby saskiej należą do najmniej albo też zgoła nie opracowanych naukowo. Zwróciłem na to, między innemi, uwagę w szczegółowym wywodzie, złożonym Zjazdowi historyków polskich w Krakowie 1900 r., podnosząc zarazem nieodbitą konieczność zapełnienia tej dotkliwej luki. Że dotychczas w historjografii naszej nie zajmowano się dostatecznie epoką saską, rozliczne były po temu powody, a wśród nich i takie, ogólniejszej natury, które utrudniały podobnie porządne opracowanie innych okresów dziejów nowożytnych polskich. Ale były też powody natury specyficznej, a mianowicie fachowej i pojęciowej.

Co do pierwszego: część poważna najcelniejszych źródeł do epoki saskiej spoczywa w archiwach zagranicznych, przede wszystkim w drezdeńskim, obok kilku innych, wchodzących tu w rachubę w pierwszym rzędzie,

*) Władysław Konopczyński: „Polska w dobie wojny siedmioletniej.” Część pierwsza 1755 — 1758“. Monografie w zakresie dziejów nowożytnych. (Tom VII — VIII. Kraków — Warszawa, 1909 r.).

jak paryskie, berlińskie, wiedeńskie, moskiewskie, nawet londyńskie. Oczywiście, i dla innych wcześniejszych lub późniejszych okresów, dla panowania Sobieskiego lub Stanisława-Augusta, rzeczne archiwa zagraniczne stanowią źródło doniosłe i często niezbędne; ale w danym wypadku, dla doby saskiej, stanowią one już wprost punkt wyjścia badań źródłowych, którego nie mogą tutaj wcale zastąpić rozrządzałe, jakkolwiek i tym razem oczywiście nieodzowne, zbiory krajowe, przydatne tu dopiero w charakterze pochodnego czynnika pomocniczego. Tym sposobem w tym wypadku przychodziło z konieczności już nie tylko kompletować studia domowe zagranicą, lecz umieścić tam punkt oparcia i ciężkości całokształtu poszukiwań, pogłębiając je następnie i dopełniając z zasobów krajowych, i to niemal wyłącznie w drodze czysto archiwalnej, wobec zupełnego prawie braku zadawalniających opracowań poprzednich. W tem była niełatwa do przewyciężenia trudność techniczna.

Co do drugiego: z epoką saską łączy się ustalone pojęcie, iż jest ona zarazem i wyjątkowo wstrętą pod względem moralno-politycznym i wyjątkowo nieciekawa pod względem historyczno-politycznym, pojęcie, zniechęcające już z góry do poświęcenia jej wymaganych znacznych wysiłków badawczych. W takim pojęciu, obok części prawdy, tkwi szereg błędów zasadniczych, rzeczowych i metodycznych. Mieści się niewątpliwie ogrom zła w tej epoce, aleści nie z tytułu jakiejś nagłej, oderwanej, w sobie zamkniętej ekscypcji dziejowej, lecz w ściślejszej ewolucyjnej łączności z dobą poprzedzającą i następującą; a nie brak i dobra, które podobnie rozwojowo dostało się tu z przeszłości i przeniesione stąd zostało do przyszłego z kolei okresu dziejowego. Co więcej, dla nauki historycznej, jak i dla przyrodniczej, niemasz racji żadnej unikać zjawisk chorobliwych, a ograniczać się do zdrowotnych; jedno i drugie są dla niej zgoła równoprawnym przedmiotem badawczym. Również nie wytrzymuje krytyki utarty pogląd o nieciekawym rzekomo

charakterze dziejów saskich, mający pozorne usprawiedliwienie, zwłaszcza względem panowania drugiego Sasa, o które tutaj właśnie chodzi. Jeszcze rządy Augusta Mocnego, z jego własną pośrodku, bądźco bądź niezwykłą, przemawiającą do wyobraźni postacią, obok skojarzonych z nim potężnych figur Karola XII i Piotra Wielkiego, rozgrywające się na tle zawieruchy wojennej w samym kraju, gwałtownych zamieszek wewnętrznych, detronizacji i dwukrólewie, rozprawy olkienickiej czy konfederacji tarnogrodzkiej, w wyższym stosunkowo stopniu pociągają ciekawość dziejopisarską, aniżeli rządy Augusta III, wyzute z wydatniejszych wypadków i ludzi, nieruchome na pozór, nieczynne, zmartwiałe, jak grzazka, zgniła, stojąca woda. Ale takie odstraszające pozory nie nie mają do czynienia z istotną doniosłością danej epoki, jako ogniwa w nieprzerwanym łańcuchu rozwojowym, jako zbiornika urastających w niej zwolna przesłanek politycznych wewnętrznych i zewnętrznych, ledwo dostrzegalnych przy pobieżnym wejrzeniu, a przecie warunkujących nieodparcie późniejsze, najbardziej uderzające konkluzje losów Rzplitej. Z tego wyższego stanowiska doba saska wogóle, a ostatnie jej trzydziestolecie w szczególności, jest w całym znaczeniu słowa ciekawem i dokładnego poznania godnem. Z taką rzeczą świadomością rozeznac i okazać pod wodą stojącą czasów Augusta III płynny odłam wielkiej rzeki nowożytnych dziejów polskich, zanurzyć się w nim i należycie go zgruntować, wziąć się do tego zadania dlatego, że jest ważnem i potrzebnem, a bez względu na to, że wydaje się niewdzięcznem, — w tem była do przewyciężenia niemniejsza od uprzedniej trudność myślowa.

Z obydwoma temi trudnościami, fachową i pojęciową, uporał się bez zarzutu p. Wł. Konopczyński. Przeprowadził on systematyczną, kilkoletnią kampanję archiwalną, z kwaterą główną w Dreźnie, potem Paryżu, a nie zaniedbawszy Berlina, Wiednia, Londynu, zaglądnawszy nawet do Kopenhagi. Wyrzec się wprawdzie wy-

padło wyprawy do Moskwy, gdzie w tamecznym oddziale archiwum Państwa mieszczą się odpowiednie akta z czasów Elżbiety Piotrówny, a między niemi również i relacje poselskie z Warszawy; lecz opuszczenie to, usprawiedliwione okolicznościami niezawisłymi od autora, dało się nadto w dostatecznej mierze zastąpić przez ścisłe i pełne zużytkowanie obfitych dokumentów, ujawnionych drukiem ze zbiorów moskiewskich, bądź w wydawnictwach źródłowych cesarskiego Towarzystwa historycznego rosyjskiego i ks. Woroncowów, bądź w opracowaniach Sołowjewa i Masłowskiego. W szerokim również zakresie uwzględnione zostały archiwa krajowe: w Krakowie, Lwowie, Warszawie; a jeżeli i tutaj pewne znaczniejsze i dla danej epoki donioślejsze zbiory, jak Radziwiłłów a zwłaszcza Ptockich, pominięte być musiały, stało się to znowuż nie z winy autora, lecz wskutek niezależnych od niego, istniejących w tym względzie, jeśli nie przeszkód bezwarunkowych, to bądźco bądź nader kłopotliwych utrudnień. Wprawdzie bowiem ostatnimi czasy, jak z uznaniem zaznaczyć można, rzeczono archiwa rodowe przestały być, jak dawniej, hermetycznie zamknięte i zostały w niejkiej mierze uprzątnione badaniu, lecz niestety nie doszło w nich jeszcze przeważnie do należytego uporządkowania samej ich zawartości, ani do prawidłowej organizacji, ułatwiającej stałe w nich studia, do czego, tuż należy, wobec ujawnionych dobrych chęci właścicieli tych archiwów, dojść nareszcie corychlej powinno, gdyż jest to prosty ich obowiązek obywatelski i kulturalny, a nawet elementarne wymaganie dobrze zrozumianej zasady *noblesse oblige*.

Autor obrał sobie za przedmiot wykładu ostatnie siedmioletnie, a właściwie dziesięcioletnie panowanie Augusta III, przedsięwziął przedstawić Polskę w dobie pomiędzy 1755 (1753) a 1763 r. Zadanie obszerne i doniosłe, gdyż mieści się tutaj zarazem i bilans końcowy całej, blisko siedemdziesięcioletniej epoki saskiej, i preliminarz wstępny do rządów ostatniego króla polskiego, do ostat-

nich wysiłków, wstrząśnień i przepraw śmiertelnych Rzpltej. Zadanie trudne i skomplikowane nadzwyczajnie, gdyż dwie zgoła odrębne, a przecież nierozłącznie z sobą splecione kategorie zjawisk i zagadnień, wypadało tutaj ściśle, równolegle i dopełniającą mieć ustawnie na oku: obok strony wewnętrznej pokojowego bytowania Polski w tem dziesięcioleciu, wypadało ciągle mieć na uwadze stronę zewnętrzną tego współczesnego zbrojnego przesilenia międzynarodowego, jednego z największych, jeżeli nie pod względem czysto wojennym, to pod politycznym, w nowożytnych dziejach europejskich, jakim była wojna siedmioletnia.

Zamknięta, zdawało się, oddawna sprawa wojny siedmioletniej wznowiona była nowszemi czasy w drodze wielkiej kontrowersji naukowej, wszczętej pośród historjografii zachodniej, a mianowicie niemieckiej, najżywiej tym przedmiotem zainteresowanej, nie bez przyłożenia się również francuskiej i angielskiej. Najpoważniejszy dziś naprawdę w Niemczech, choć zdystansowany tam doraźnie przez głośniejsze dla tłumu nazwiska naukowe, wyniesione reklamą partyjną i oficjalną, najpoważniejszy siłą wiedzy pozytywnej, a zarazem, rzecz nienajmniejszego znaczenia, siłą charakteru i niezawisłości sądu, historyk dziejów nowożytnych, któremu, jako niegdyś nauczycielowi swemu, złożyć na tem miejscu hołd powinny, miłym jest dla mnie obowiązkiem, sędziwy profesor i akademik gietyngieński Max Lehmann, ten sam umysł głęboki i śmiały, godny reprezentant najcelniejszych, a obecnie zatracających się coraz bardziej tradycji niezależnej nauki niemieckiej, który przed laty kilkunastu, u wstępu ery hakatystycznej, jedyny wśród żyjących historyków niemieckich poważył się w lapidarnym wywodzie o „Prusach i Polsce“, z trybuny Akademii Umiejętności w Gietyndze, wypowiedzieć publicznie Niemcom dzisiejszym gorzką prawdę dziejową o rzeczywistym stosunku polityki pruskiej do sprawy polskiej, miał podobnież odwagę zerwać z uświęconą legendą pruską o genezie wojny sied-

mioletniej, jako samozachowawczej walki ratunkowej Prus przeciw morderczej konspiracji wszech europejskiej z polsko-saskim pośrednictwem spiskowym udziałem, a odsłonić natomiast istotną tej wojny cechę gienetyczną, zaczepno-zdobyczą myśl Fryderyka II, zmierzającą w pierwszym rzędzie do pochłonięcia Saksonji, w drugim — do zaboru niektórych zrazu, najponętniejszych dzielnic Rzpltej. Jakkolwiek zaś niektóre przesłanki tego twierdzenia w świetle ujawnionych odtąd nowych przyczynków źródłowych ulegają częściowemu uzupełnieniu, samo przecie twierdzenie znakomitego historyka, które ściągnęło nań reprobację urzędową i rozpętało przeciw niemu całą burzę ze strony półurzędowej, ortodoksyjnej historjografii pruskiej, ostać się musi raz na zawsze, jako wyraz prawdy niewzruszonej.

Pomiędzy genezą, przebiegiem i wynikiem wojny siedmioletniej a sprawami społecznymi Rzpltej polskiej istniał ciągły i bezpośredni stosunek powinowactwa politycznego, którego wyświetlenie należało do zadań głównych pracy p. Konopczyńskiego. Ośrodkiem tego stosunku był sam fakt bierności Rzpltej wobec tej wojny pośredku trzech najmocniej tu zaangażowanych ościennych mocarstw wojujących, które w najbliższej przyszłości przeobrazić się miały na trójprzymierze podziałowe. Różne przyczyny złożyły się na tę bierność, różne nawet poważne za nią przemawiały względy. Aliści była ona bądźco bądź zjawiskiem anormalnem ze strony wielkiego państwa, którego monarcha przez tę wojnę wyzuty został prostą przemocą sąsiedzką ze swoich dzierżaw dziedzicznych. Co zaś ważniejsza, koniec końcem, w ostatecznych swoich konsekwencjach, była ona niewątpliwie zjawiskiem ujemnego, ponieważ zgubnego nawet znaczenia dla samego biernego państwa polskiego, które, zachowując wyjątkową, wygodną napozór, postawę inercji pokojowej wśród będących dokoła w wysiłonym rozpędzie żywiołów mocarstwowych, wylażało się sztucznie z nieubłaganego prawa dynamiki politycznej, rządzącego powszechnością nowożytnego systematu

europęjskiego. Takie wyłamanie się nie mogło już ujść bezkarnie, gdyż ten systemat stanowił już wtedy nazbyt zwartą, powiazaną między sobą we wszystkich swych częściach składowych, podlegającą wzajemnemu na siebie tych części oddziaływaniu, wręcz nierozdzieloną dynamiczną całość. Po latach kilkudziesięciu, w początku XIX wieku, kiedy w położeniu analogicznem znajdzie się Rosja, mając możność spoglądania w obojętności bezczynnej na ogromną walkę, rozgrywającą się na Zachodzie, ks. Adam Czartoryski, nauczony doświadczeniem swej ojczyzny, w najpierwszym wielkim memorjale politycznym dla Aleksandra I (w 1803 r.) wyrazi jaknajdobitniej tę prawdę zasadniczą, iż wielkie państwo nowożytne, bez względu na aktualne dogodności pokojowego stanu, nie może jednak, pod karą narażenia wyższych swych interesów samozachowawczych, utrzymać się na stanowisku inercji i bierności pośrodku powszechnego ruchu i akcji. Podobnie w następnej dobie i Prusy po traktacie bazylejskim szczęśliwie zabezpieczyły sobie wyjątkowe położenie pokojowe i bierne w ciągu całego dziesięciolecia najgwałtowniejszej dokoła nich zawieruchy wojennej; błogie to były czasy i dla skarbu, i dla poddanych pruskich, nie wyłączając obywatelstwa polskiego, gdyż wysokie były ceny zboża, dostawianego dla sąsiedzkich armji wojujących, a nie było wyjątkowych ciężarów podatkowych i rekrutacyjnych: lecz za wszystkie te pomyślności wypadło w końcu zapłacić katastrofą jenajską i podziałem Prus. Były, rzecz prosta, różnice kardynalne pomiędzy temi okolicznościami późniejszymi a wcześniejszą sytuacją Polski w dobie wojny siedmioletniej; ale były też pewne istotne, najogólniejsze cechy podobieństwa. W czasie tej wojny Prusy, przez ujawnioną nadzwyczajną odporność i energję czynną, pomimo faktycznej w końcu klęski, wywalczyły sobie prawo bytu w pierwszym rządzie wielkich mocarstw; Austria, tak niedawno, podczas wojny sukcesyjnej, nieomal skazana na zagładę, udowodniła utajoną w sobie, potężną jeszcze siłę żywotną, i ówczesnemi tra-

dycjami Daunów i Laudonów aż podziśdzien karmić się będzie; Rosya nieokrzesań jeszcze, czysto materjalną swą wagą gatunkową, zaciężyła na szali międzynarodowej sposobem tak namacalnym, że odtąd nieodwołalnie zapewniła sobie głos jeden z decydujących w zespole potencji europejskich, a zarazem przez swoje, jakkolwiek nieskoordynowane i w znacznej mierze niefortunne, lecz mocne i wydatne uczestnictwo w kapitalnej akcji wojennej Zachodu, stanowiącej pod wieloma względami epokę w rozwoju nowożytnej sztuki militarnej, rzuciła pomost między dawniejszą organizacją swej młodej siły zbrojnej za Piotra Wielkiego i Münnicha a późniejszem jej wyrobieniem i skutecznem zużytkowaniem za Rumiancewa i Suworowa. Polska natomiast, w nienaturalnem oderwaniu od tej całej otaczającej ją przełomowej rozprawy światowej, zażywając błogosławieństw pokoju, zresztą fikcyjnych tylko, bo przerywanych ustawicznym brutalnym gwałtem przemarszów, wymuszeń kontrybucyjnych, porwań rekrutacyjnych i represyjnych ze strony walczących sąsiadów, depreczując co chwila pogardzaną neutralność polską, zarobiła trocha na odbycie swego zboża, dogodziła zobowiązaniu mas szlacheckich i upadkowi w nich tęgości czynnej i ofiarności publicznej, ułatwiła utycie kilku starych, zrujnowanych i kilku dorabiających, się fortun magnackich, a sama zmarniała do reszty wojskowo, społecznie i politycznie.

Autor, przystępując do zbadania tego niezwykle skomplikowanego procesu dziejowego, nie cofnął się przed analizą sprzężonych z nim tak mnogich i różnorodnych powikłań dwojakiego rzędu: w zakresie wewnętrznej polityki europejskiej i wewnętrznej polskiej. Zajął się mową robotą rozplątywania jednych i drugich spraw i zagadnień sposobem ściśle równoległego w obu zakresach wykładu, co już pod samym względem konstrukcyjnym niełatwem było zadaniem, i wypełnił ją z gruntowością i rozważą, o ile tylko rozporządzał, z pierwszej ręki czerpane źródła, możność po temu dawały. Zreasumował

jasno istotę ówczesnego kryzysu w położeniu międzynarodowym ze szczególnem uwzględnieniem jego oddziaływań specyficznych w odniesieniu do Rzpltej. Rzucił sporo światła na wewnętrzne stosunki polskie w połowie XVIII wieku, na wypadki, ludzi, stronnictwa, pojęcia owoczesne. Ograniczając się w tej pierwszej części badania do objęcia pierwszej połowy rozważanego okresu, w latach 1755 (1758)—1758, nakreślił szereg wizerunków wybitniejszych działaczy krajowych, a więc, obok ministra Brühla i przedstawicieli partji dworskiej, wystawił w akcji głowy kierownicze Familji Czartoryskich, pokazał starego Branickiego, czynniejszych Potockich, Radziwiłłów, typy wydatne magnaterji koronnej i litewskiej. Pojaśnił treść głębszą sprawy o ordynację ostrogską, wyszczególnił plan zamachu rosyjskiego na Gdańsk, zarysował fatalne stosunki monetarne, wyraził swój pogląd na zatarg kurlandzki i t. p., zgoła rzucił światło na każdą niemal wybitniejszą kwestję publiczną owych czasów, łącząc konkretny rozbiór każdej z nich z całokształtem polityki krajowej, rozważanej z kolei w związku organicznym z powszechną sytuacją europejską.

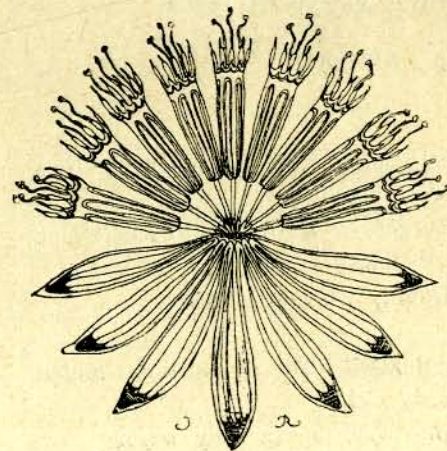
Z dokumentów, ogłoszonych w „Przypisach“, zasługują na wyróżnienie: wyjątki z korespondencji WKsiążny Katarzyny z Bestużewem, oraz listów Stanisława Augusta Poniatowskiego, wyciągi z korespondencji Michała Czartoryskiego z M. Sapiehą, relacje Williamsa, etaty korpucyjne ambasady francuskiej, etat armji polskiej 1755 roku, zebranie instrukcji na Sejm warszawski 1758 r., lista poselska na ten Sejm z oznaczeniem przynależności partyjnej, doniesienia agenta Becka.

Część II, obejmująca dokończenie pracy, t. j. lata 1759—63, ma ukazać się z druku w ciągu roku.

Równocześnie ukaże się wykończona już monografia, stanowiąca pożądane dopełnienie niniejszej, całkiem zresztą niezawisłe podjętej i wykonanej pracy, a traktująca o „Polsce w dobie wojen śląskich 1740—45“.

Wreszcie sędzę, że wolno mi przy tej okazji po-

wiedzieć bez nieprzyzwoitości słowo o całokształcie niniejszego wydawnictwa „Monografji w zakresie dziejów nowożytnych“, a to z uwagi, że rola moja edytorska jest tu na drugim planie, na najpierwszym natomiast praca czysto twórcza młodych historyków naszych, których utwory składają się na to wydawnictwo. „Monografje“, zapoczątkowane przezemnie przed 6 laty, rozwijają się normalnie. Poza obecnym tomem VIII, pójdzie dalszych tomów 8, przeważnie już wykończonych w zupełności w rękopisie, a traktujących o rozlicznych donioślejszych zagadnieniach dziejów naszych w XVIII i XIX wieku. Korzysta już z „Monografji“ i literatura fachowa zagraniczna; oddzielne tomy życzliwie były ocenione i pomieszczone w „Göttingiale Gelehrte Anzeigen“, w pracach takich specjalistów, jak prof. Fournier, Schiemann, Semionskij i inni. Cieszyć się należy z tego sukcesu dziełnej naszej młodzi dziejopisarskiej, w której ręku jest przyszłość nauki historycznej polskiej, sukcesu, który wyłącznie na karb zasługi, t. j. uzdolnienia i sumiennosci samychże tych najmłodszych naszych sił naukowych położyć należy.





MARJA KONOPNICKA.

W KARTUZJI.

W Burgos, w Kartuzji, milczenie trwa
Nie rok, nie dwa.
W Burgos, w Kartuzji, kto ślubił ślub,
Milczy—jak głaz, milczy—jak grób,
Po trumny własnej wieko...

Krużgankiem idzie za mnichem mnich,
A każdy cich.
Złożone ręce, spuszczone wzrok,

Za mnichem mnich, za krokiem krok,
Gdzieś—w wieczność, gdzieś—daleko...

Niegdyś im we krwi grzmiał życia dzwon,
W burzliwy ton,
Niegdyś im dziki huragan wył,
W czeluściach mózgu, w czeluściach żył,
A krzykiem drżały usta...

Wtedy się w piersi bił blady mnich,
Od pokus złych.
Wtedy na czoło kładł trzykroć krzyż,
I krzyżem padał w najcichszej z nisz,
Co w mrokach stała pusta...

Aż się nauczył, po latach prób,
Milczeć—jak grób...
Aż zdusił głos, aż zdusił dech,
Pod świętym znakiem krzyżów trzech,
Aż stał się widmem cichem.

Nie miał już skrzydeł, nie miał już piór,
Szumiących wtór
Do pieśni życia, pieśni bez słów,
Do najtajniejszych z tajemnych snów.
Był doskonałym mnichem.

I szedł z innymi, za krokiem krok,
Spuszczony wzrok,
Ręce na piersiach, z zamkniętych warg
Ni szczęścia krzyk, ni poszept skarg,
I ciemna twarz z asbestu...

A gdy już doszedł nad trumny zrąb,
Nad grobu głąb,
Niemy w nie schodził, niemy się kładł,
jak zeschnięty liść, co w ciszę spadał,
Liść niemy, bez szelestu.

Aż do Kartuzji, z dalekich pól,
Przybył raz Król.
Z myśliwską świtą, rzucając łów,
W wesolej wrzawie dworzan i psów,
Król przybył w Dom milczenia.

Zabrzmiały trąby z srebrzystych blach,
Rozwarł się gmach.
Tętni podwórzec od mnogich stóp,
Bije chór pieśnią, sławiącą łup,
Struchlałe drżą podsienia...

Drży starych tynów poźółkła biel,
Drżą ściany cel.
Za krokiem krok, za mnichem mnich,
Idą kartuzy z samotni swych,
Zdaleka gdzieś, z wieczności...

Wygaste twarze, zmartwiały wzrok,
Za krokiem krok,
W milczeniu idą ślubiący ślub:
— Milczeć jak głaz, milczeć jak grób, —
Królewskich witać gości.

I trzykroć każdy żegna się mnich,
Od pokus złych,
Trzykroć w pokłonie pochyla się,
I grzbiet i głowę przed królem gnie,
I milczy — jak zaklęty.

Aż Król: — Przez Boga! Ten jeden raz
Rozgrzeszam was!
Niech każdy słowo wypowie swe,
I żadość swą, i czego chce...
— Zaczynaj, starcze święty! —

A stał na przedzie, jak gruszy kwiat,
Przeor stu lat.

Biała mu głowa niemocnie drży,
Ostatkiem dnia żrenica mży,
Chce mówić, szuka słowa...

Wyteża pamięć, aż do tych zórz,
Co zgasły już...
Zimne mu poty spływają z lic,
A w mózgu nic i w piersiach nic,
Odbiegła go gdzieś mowa...

Tedy rozwarciem tłumaczy rąk,
Swą mękę — mąk,
I zwraca głowę ku braciom wstecz:
Niech młodzi prawią za niego rzecz
Do Króla, — od zakonu.

Zachwiał się długi Kartuzów rząd:
Stamtąd, to stąd,
Rwie się, jak ptak, niepewny ruch,
Tęży się wzrok, tęży się słuch,
Pierś szuka głosu, tonu...

To w niebo spojrzą, to chylą wzrok
W przyziemny mrok.
W lewo, to w prawo zwraca się skroń,
Szarpie różaniec nerwowa dłoń,
A wargi drżą nerwowo...

I niemo patrzy na brata brat,
Pomocy rad,
Lecz z żadnych głos nie pada ust:
Pusta jest pierś, i mózg ich pust,
Przepadło życia słowo.

A Królem wstrząsnął i gniew, i dziw:
— Przebóg! Kto żyw,
Niechaj przerzecz słowo czy dwa,
Póki mi z oczu nie padnie skra,
Nim zburzę gniazdo mnisze!

Nizko się chylą szeregi głów
I milczą znów.
I jeden tylko przeleciał dźwięk:
Głuchy, zduszony, podziemny jęk,
I wnet się rozwił w ciszę...

A Królem wstrząsnął i żal, i ból,
I znak dał Król:
Śpiesznie się dwór tłoczy do bram,
A Król w zadumie pozostał sam,
Patrzy, jak w trumny wieko...

Idą Kartuzy do uchron swych,
Za mnichem mnich,
Złożone ręce, spuszczone wzrok,
Za mnichem mnich, za krokiem krok,
Gdzieś w wieczność... Gdzieś daleko...

Abbazia.

BRONISŁAWA OSTROWSKA.

MORSKI WIATR.

Szeroki, słony oddech morza,
Mew dzikich krzyki nad wodami...
Serce się z piersi rwie w bezdroża,
Serce — jak skrzydło — w piersiach gra m

Mew dzikich krzyki nad wodami;
Słońce z chmur lotnych patrzy zwoja.
Serce — jak skrzydło — w piersiach gra mi:
Znasz miłość, duszo,—duszo moja?

Słońce z chmur lotnych patrzy zwoja:
Dyszą zielone wodne wały...
Znasz miłość, duszo? duszo moja!
Czy snów cię bezdnie kołysały?

Dyszą zielone wodne wały, —
Serce się z piersi rwie w bezdroża...
Czy snów cię bezdnie kołysały —
Szeroki, słony oddech morza?....

SŁOŃCE.

Miłować, serce! mieć tysiące rąk,
jako hinduskie na lotusach bogi!
Tysiącznych ramion wszechmogący krąg,
aby ogarnąć wszechżywota drogi, —
aby ogarnąć bezmiar szczęść i mąk
i wszechmoc pieśzczoć mieć, i mąk, i trwogi,—
i tylko jeden ust słoneczny kwiat,
co swem pragnieniem zdolne wypić — świat.

Promiennych rąk mieć moc! a w każdej dłoni
twój blask, o słońce! miłościwy żar,
Który granatu bujny owoc płoni,
sny krwawe sączy do kwiatowych czar,
a z mrących płatków ssie szaleństwo woni....
i w tej rozkoszy przewycięski czar, —
złotemi wichry pragnienia zagnane, —
opieść w rąk tysiąc serce miłowane.

I mieć sto żądań! sto śmiertelnych zmij
w każdym promieniu, tak jak ty, o słońce!
I rzec swym jadom: ból żywota spij!
daj w męce śmierci szaty gorejące!

w mgłę ogni złotych świat mu z oczu skryj!
 I na te drogie wargi konające
 złożyć ostatni szaleństwa ratunek:
 słonecznych ust — jedyny — pocałunek.

ZMIERZCH.

Nieruchome sosny stoją w przedwieczornej nieba głuszy,
 We wilgotnym zmierzchu, — ciche, —

jako sen....

Haft żałobny igieł smętnych na srebrzystych tłach się puszy,
 Lelek przemknął bezszelestnie,

jako sen...

Od liljowych land wrzosowych płynie późny flet pastuszy,
 I przepada echem w dali, —

jako sen...

W srebrnym niebie gwiazda błysła. Jakiś szloch się w piersi
 Gwiazda moja — zapomniana — [kruszy:

jako sen...

Noc swe wielkie skrzydła czarne kładnie lekko na mej duszy, —
 Dobra śmierć się zbliża w mroku —

jako sen....

ZDZISŁAW DĘBICKI.

W DRODZE DO BRZEGU.

Otośmy, duszo moja, połów swój skończyli —
 Niewód nasz, zarzucony czasu szczęsnej chwili

W bezbrzeżną topiel morza, ciągniemy powoli,
 Ku spokojnej przystani, gdzie już w aureoli
 Gasnącego zachodu stoi rząd tych łodzi,
 Co przybyły wcześniejsze i usnęły słodziej
 Na kotwicach wywczasu, białych żagli płótno
 Zwinawszy, niby skrzydła... Przecz nam dziś tak smutno?
 I czemu niewód ciężki wlecemy leniwie
 Po wody przeźrocystem, srebrno-jasnym szklwie?

Zaliż nie spodziewamy się wydobyć z sieci
 Żadnej perły, co blaskiem morskich głębin świeci,
 Żadnej muszli, co tryska ogniami opali
 I uchu zdumionemu tajemnicę fali
 Zwierza szmerem, zaklętym w jej konchy zawoje?
 Zaliż próżne połowu były trud i znoje —
 To trwanie bez wywczasu na słocie i wicherze,
 W walce z morzem, gdy łądu marzenia najcichsze,
 Gwiazdne niebo chwyciło w kwitnących pól woni,
 W szumie sadów wiśniowych, pod cieniem jabłoni,
 Gdzie Miłość snuła przędzę, a zaś Spokój słodki
 Obracał monotonne życia kołowrotki.

Zaliż wyrzeczeń droga, którąśmy obrali,
 Brzegi jasne żegnając, a zwierzywszy fali
 Naszą łódź, białym żaglem świecącą zdaleka,
 Była złudą i nic nas u brzegu nie czeka?

Nasze sieci, misterną splecione robotą,
 Zaliż tylko szlam morski i przydenne błoto
 Wraz z matnią wodorostów zabrały po drodze,
 Gdyśmy niewód ciągnęli w słonecznej pożodze
 Dni upalnych i w noc, gdy huczały burze,
 Krusząc nam ster nadziei i żagiel, wichurze
 Podany bez oporu, targając na szmaty?
 Zaliż żadnej nie będzie za nasz trud zapłaty?

O duszo moja! Lepiej wróćmy znów na morze,
 Gdzie wzrokiem nieobjęte woła nas przestworze,

Niż do brzegu zawijać mamy z siecią pustą,
By nikłość jej połowu przykryć wstydu chustą...

WACŁAW WOLSKI.

CAPRICCIO MAGICZNE

(z IV-ej serji poezji).

Moim „przyjaciółom“ poświęcam.

.... Jak Norwid, lub Słowacki, piszę pawiem piórem,
Maczanem w anhelicznych zorzach, w baśni złocie,
Śmiejąc się w twarz, jak Mirjam, symplistów głupocie,
Co na księżyc mej chwały ujadają chórem!...

Bo też na podobieństwo złotego księżyca,
W sennem, złotem marzeniu gwiazd nurzam się gnuśnie,
Szczęsny, że mastodontów grubych skór nie muśnie
Mojej samotnej, dumnej męki tajemnica!...

.... Przepłynę, jak te z baśni mych złote łabędzie,
Śpiewając w boskim, świętym, natchnionym obłędzie,
Na panurgowe wrzaski tłumu obojętny,

W dalekich moich braci oddźwięk zasłuchany,
Niby w echa milknące gwiazdnej *Ramayany*,
Moją wiedzą tajemną aż do śmierci smętny...

ROMAN KRECZMAR.

NIEZISZCZALNY SEN.

Ja nie mam nic, prócz ducha skrzydeł bicia,
Prócz twórczych skier, co w piersi mej się palą

Prócz dźwięku strun, co biją pieśnią życia,
Prócz nerwów drgań, co życia płyną falą...

Lecz owy ton, ta duszy pieśń ogromna,
Ten dziwny żar, palący piersi wnętrza,
Ten akord strun — to moja moc niezłomna,
A nerwów szął — ofiara przenajświętsza!

To moja dań! — to kładę na ołtarze,
Gdy przyszedł dzień i trwoga padła głucha —
Ja moją krwią ziemicy tej nie zmażę,
Lecz jej na skroń koronę włożę ducha.

W korony skrach są perły i rubiny —
Cierniowa więź, w cierpieniach wielkich rwana —
Nie lśnili nią królowie-arlekiny,
Nie lśniła skroń mordercy i tyrana!

Więc tylko sił — a takie ci legjony
Duchowych mar pokażę, o narodzie!
Że staniesz drżąc radosny a zdumiony,
Że tyle słońc oglądasz o zachodzie...

Więc tylko sił — a zdrajce i Kaimy
Upadną w proch przed ducha majestatem;
A z Ziemi łez podniosą się olbrzymy,
wraz na siew duchowy pójdą światem...

— — — — —
Cudowny sen, lecz czyliż sen proroczy? —
— Obłądny sen myśl szczęściem drżąca roi...
Czy prawda? — mów! Spoglądam w twoje oczy —
Przedemną znów twa cicha postać stoi...

I widzę cię, i słyszę twoje tchnienie,
I nerwy drżą ogromną pragnień burzą —
Spoglądam w ócz czarowne, ciche cienie,
A one tak rozkosznie, słodko wróżą...

Sfinks.

Z MOTYWOW BIBLIJNYCH. *)

Długo płakała woli rodzica,
Łamiąc rozpacznie bezsilne ręce...
„Gdzież jest małżeńska moja łóżnica,
Komuż ja oddam ciało dziewczęce? —
O, patrzaj na mnie, patrzaj Jehowa —
Komu tych piersi białość liljowa,
Komu rozkoszne to ciała drżenie —
To oczu czarnych tęskne spojrzenie?
Komu, jak róża sarońska, kwitnę,
Dla kogo biodra te aksamitne,
Dla kogo włosów pachnących fale
I rozchylonych ust mych korale? —

Ach! nigdy, nigdy, okrutny Boże,
Na drżących ustach ust mych nie złożę,
Ni z gorącego zbiorę szkarłatu
Woń i sok, równy sokom granatu...
I nigdy w noce letnie a parne,
Pod jego mięką, gorącą dłonią,
Ciała się mego lilje nie spłonią,
Rękoma szyi mu nie ogarnę! —
— Tobiem, Jehowa, tobiem oddała,
Dziewiczą krasę mego ciała...
O słońce, co się w niebie uśmiecha,
O rzeki, łąki, góry, doliny! —
Zbudźcie żalosne, bolesne echa
I płaczcie ze mną czystej dziewczyny...
... Fale się razem kładą wśród morza —
Jam nie zaznała ślubnego łoża...
... Wieczne zorze rumienia góry —
Jam nie zaznała wstydu purpury...

*) Córka Jęftego Galandczyka, poświęcona Bogu przez ojca.

... Pod wiosennego wiatru powieniem
Smukła się palma miłośnie kłoni,
Jakby ujęta drogiem ramieniem,
Jak pod pieśczętą kochanej dłoni...
... O ziemio, ziemio, wszak i ty co dnia,
Gdy cicho uśnie zorza zachodnia,
Kładziesz — miłosnej pełna niemocy,
Znojne swe czoło na piersi nocy.
— Hej, tylko moja dziewicza wiosna,
Taka samotna, taka żalosna!...

.

Wkoło wonieją łąkowe kwiaty,
Wiodąc miłosne szepty wiosenne...
Odrzucę z ciała dziewicze szaty —
Niech kwitną moje kwiaty bezcenne! —
... O, kraśne róże, białe lilije,
Nikt wam z kielichów woni nie spije —
Nikt pałających ust nie zanurzy
W tej najprzedniejszej, przezystej kruży...

.

... Już nieskalaną, dziewiczą białą
Uprzejme siostry łożę mi ścielą,
Już mi wianuszek ślubny podany,
Jeno — nie przyszedł oczekiwany...

A tam w oddali pomroki czarne
Ścielą pogrzebne śmierci całuny,
Na niebie płoną jarzące łuny —
— To rozpalono ognie ofiarne,
I do ołtarza Lewita stary
Idzie dopełnić krwawej ofiary...

— — — — —

I opuściła bezsilne ręce,
Rozpacznie płacząc woli rodzica —

„O wiedz, moje kwiaty dziewczęce,
Czarna się dla mnie ściele łożnica“.

.

SAVITRI.

PRZED ŚWITEM.

Nagle ze snu się budzę...
Moje szczęście jest ze mną,
moje szczęście tak blisko...

Schodzi świt w ołowianej szarudze,
drzewa szepczą za oknem wieść zamarłą, tajemną...
Coś nademną tu krąży, coraz zwęża kolisko,
coś podstępnie się skrada i czyha...

Moje szczęście jest ze mną, tak blisko,
tak spokojnie, tak lekko oddycha.

Drzewa szepczą, wciąż szepczą:
ktoś w męczarni i we łzach czekał cudu przed laty,
a gdy zszedł, już go nie mógł ujrzeć swoją żrenicą,
wypłakaną i ślepczą.

Ktoś w rozpacznej udręce rozbił głowę o kraty,
skonał, klnąc wielkie myśli, że mu duszy nie sycą.
Było życie tak czarne, jak studnia,
a ja mogłem w nie rzucić blask promienny południa,
lecz nie chciałem zejść w mroki.

Słyszę jeszcze w oddali błakające się kroki,
takie chwiejne, bezsilne,
dłoń ich moja nie wsparła.

Olbrzym deptał z szyderstwem smętne głązy mogilne
i niebacznie wśród nich zdeptał karła...

Drzewa szepczą za oknem wieść zamarłą, tajemną
szumią długie melodje jęklive...
Moje szczęście jest ze mną,
moje szczęście nieżywe...

JADWIGA LIPIŃSKA.

JESIEŃ.

Pochylmy czoła... po zarostej rdestem
I pustej drodze idzie ku nam jesień
Z powiędłych liści żalosnym szelestem,
By kość szalał wiosennych uniesień.
Daremnie złotym przepychem olśniewa
Słonecznych blasków promienna kaskada —
W milczeniu stoją smutne, ciche drzewa
I liść owiedły na twe włosy pada.
Pójdź, siostró moja... czas wrócić do domu
Z szczęściem, głęboko w sercu utajonem,
Aby nam jesień zdradnie, pokryjomu,
Nie powarzyła kwiatów wczesnym szronem...

Wróćmy w czarowną miłości świetlicę,
Kędyśmy przędli szczęścia cud radosny.
Może—w najcichszej nocy tajemnicę —
Przy twojem sercu, drżący i żalosny,
Ukoić zdołam rozpaczłą tęsknicę
I złudzić serce, że to jest czas wiosny...

MAJAKI.

Nocą bezsenną z nieruchomych żrenic
Płyną na pokój majaki, widziadła,

Roje mar sennych, niewidnych szalenic,
 Twarze, odbite na tafli zwierciadła.
 Mrok ciemny mgliste kontury zaciera
 Zwiewnych postaci, nieujętych kształtem...
 I krzyk milczeniem na ustach zamiera,
 Z piersi ściśniętej rwący w ciszę gwałtem.
 Świateł ulicznych jasny ton się mieni
 W oczy, błyszczące spojrzeniem wpółmętne
 I szmer rytmiczny wibruje w przestrzeni —
 Złękiego serca przyspieszonym tętnem.

A kiedy siłą zamknięte powieki
 Znicestwią widma i dźwięki uciszą,
 Widzę świat marzeń tajemny, daleki,
 Kędy ogrody Semiramis wiszą...
 Sny lat dziecięcych, prześnionych na wieki,
 Strwożone serce spokojem kołyszają...

WANDA NAWROCKA.

PRZEZ ŁZY.

Przez łzy do Ciebie mówię. Po smutnem rozstaniu
 Jakby mi słońce zaszło za chmurę ołowiu...
 I oto ja, co w szczęścia wczoraj złotogłowi
 Z dumnie chodzącą czołem, dzisiaj, w dnia zaraniu,
 Jak o przebrzmiałej bajce, myślę o kochaniu.

Przez łzy do Ciebie mówię. Razem z temi kwiaty,
 Co mrą w kryształowego głębinach kielicha,
 Rzucam na Cię garść wspomnień i odchodzę cicha,
 U bram wiecznego szczęścia smutne trzymać czaty.

Przez łzy do Ciebie mówię. Z oddali, z oddali
 Idzie głos mój ku Tobie i roztrąca ciszę,

I płynie aż do Ciebie po powietrznej fali,
 I bajką o bzach białych do snu Cię kołyszę.

„Był sobie król czarodziej, poważny a stary,
 „Co, cudną jak zjawisko wziął młodzieńką żonę,
 „I na jej jasną główkę wkładając koronę,
 „Za królestwo i władzę, żądał tylko wiary.
 „Ale majową nocą, co zakwita bzami,
 „Królowa, paż, lutnista, znaleźli się sami.
 „Ona słuchała pieśni, która, w dźwięki strojna,
 „Kładła skarby u stóp jej—wspaniała a hojna,
 „I granie to pojęła — zalała się łzami,
 „A noc dokoła niosła woń, przesiąknięta bzami.
 „I od tej nocy co noc paż powtarzał granie,
 „Aż królowi donieśli o pazu dworzanie.
 „Wzburzył się król czarodziej, lecz go litość zdjęła
 „I nie chciał, by królowa za zdradę ginęła.
 „Więc mocą czarodziejską ją zmienił w bez białą,
 „A lutnistę w słowika, aby w jego głosie,
 „Cudne tony miłosnych pieśni wiecznie drgały,
 „Aby je echo niosło bzu kiściom po rosie.
 „I odtąd—kto z bzu tego przy słowika śpiewie
 „Jeden choć kwiatek urwie i da w czyje ręce,
 „Kiedy i serce odda—sam nie wie,—sam nie wie,
 „Kiedy ofiarę złoży zeń miłosnej męce!“

Przez łzy do Ciebie mówię. I w wieczorną ciszę,
 Usnutą z wspomnień bajką do snu Cię kołyszę.
 Wiosna przeszła, bzy zwiedły i pierzchy sny złote.
 Przez łzy dziś ślę do ciebie serdeczną tęsknotę.

KAZIMIERZ GRONKIEWICZ.

SONET.

Znów mi te cudne zabłysnęły oczy,
 Jak z chmur płaczących światła jasne groty,

W jakiś mnie cichy świat wiodą przez słoty
Naszej jesieni — do morskich roztoczy,

Do fijołkowych pól. Tyle się tłoczy
Mar o tej wiośnie i tyle tęsknoty...
Zorze, posągi, wierzb płaczących sploty...
Widmowa przeszłość w kole się jednoczy.

Wszystko mi w jednym błysnęło spojrzeniu,
Zbiegło wieczornej błyskawicy lotem...
I znowu do mnie przychodzi z powrotem.

Ktoś dłonie-kwiaty kładzie na ramieniu,
W oczach ma smutek życia, ból istnienia,
Płomień miłości, rozkosz upojenia...

WALENTY ZIELIŃSKI.

NA FALI.

U naszych istnień podwoi,
Gdzie z głazów — źródła życ płyną,
wśród mgieł, u brzegu, łódź stoi —
by odejść z lada godziną.

Korowód dusz się wylania
z oparów mglistych — i czeka
do drogi losu wezwania —
a droga... droga daleka.

Gdy nagle skra się zapali —
i w duszach ogniem rozgorze...
Sygnał!... łódź płynie po fali —
potokiem rwana na morze.

Pracuje ramię wioślarzy,
wezbrana fala się pieni, —
mrok wkoło, jeno się żarzy —
w duszach garść złotych promieni.

I płyniem — płyniem bez końca —
nieznane prując odmęty,
do morza... złotych łóz słońca —
do brzegów wyspy zakłętej...

MARYLA CZERKAWSKA.

O BRZASKU.

W cichym sadzie, o brzasku, co się różem płoni,
I rozplata jutrzence złote, miękie włosy...
Znacząc na wilgłym piasku ślad poranny, bosy,
Zerwałam młodą gałąź rozkwitłej jabłoni.

I pieszcząc ciepłem białych, delikatnych dłoni,
Otrząsałam ustami srebrne ziarna rosy...
O cudne, o przesłodkie młodych kwiatów losy.

Błysły przedemną szczęsne upojenia moce,
Ogród grał szmerem liści, gwarem rojów pszczelich,
Po sam brzeg się napełniał złoty życia kielich...
Wtem—z za furty żelaznej, co w słońcu migoce,

Wyszedł stróż, mówiąc: „Niszczysz przyszłości owoce“...
Uczułam, jak mi ciężar słów tych głowę kłoni,
I w dłoniach więdnie gałąź rozkwitłej jabłoni.

KAZIMIERZ WOYCZYŃSKI.

HEJ! JA MAM POLE!

Hej! ja mam pole! a na tem polu
Cudowne rosną zioła —
O! przyjdź, człowiecze, a zbędziesz bolu,
— Cudowne zioła na mojem polu,
Zasiane dłonią anioła

Na mojem polu strumyczek bieży,
Strumyczek cudownej wody...
Kto jej skosztuje, ten już z rycerzy
Świątym, pancernym hucem pobieży
W bój — na zwycięstwa gody.

Na mojem polu — życie bez bolu,
Wieczysta kwitnie wiosna,
Niema szaleju, cierni, kąkolu...
Hej! ja mam pole — a na tem polu
Mieszka pieśń szczęścia miłosna!

WITOLD ROŻEN.

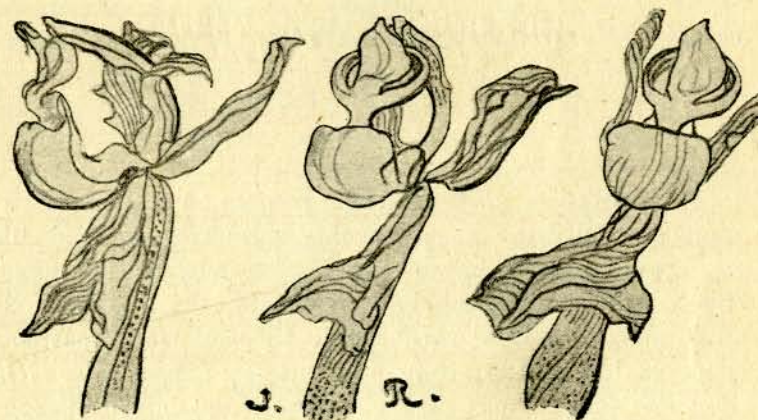
Z CYKLU: „RONDELE O KRWI.“

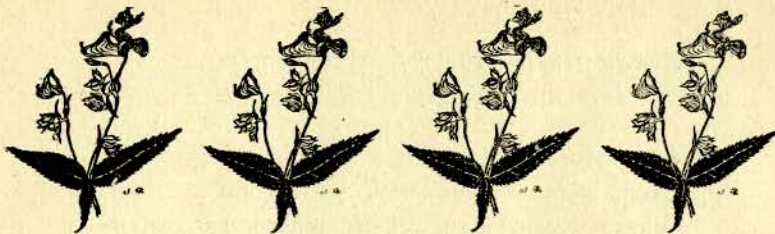
Krwawe łyzy, w rubiny skryształone,
W czerni nocy palą się zarzewiem...
Jaką drogą, w którą iść mam stronę,
By nie splamić szaty białej? — nie wiem.

Z mej komnaty, wysłanej modrzewiem,
Zbiegłem, — ściany tam od krwi czerwone;

Krwawe łyzy, w rubiny skryształone,
W czerni nocy palą się zarzewiem.

Szatan drogi zasiał ostrokrzewiem —
Drogi niema — przez łyzy, zawieszzone
Wkrąg w powietrzu, przejść muszę, zarzewiem
Plamiąc szatę — gdy padną strącone
— Krwawe łyzy — rubiny skryształone.





ALEXANDER KRAUSHAR.

KUNEGUNDA Z KSIĄŻĄT GIEDROYCIÓW BIAŁOPIOTROWICZOWA.

(Echo z r. 1831).

Pożółkły arkusz papieru, wypełniony pismem wyraźnym, delikatnym, płynącym częstokroć z pod pióra troskliwie wychowanej damy ze sfer arystokratycznych, arkusz, odnaleziony w archiwum akt b. Rządu Narodowego z czasów zawieruchy listopadowej, opatrzony datą 26 lutego 1831 roku i podpisem: „*Kunegunda z Giedroyciów Białopiotrowiczowa*“, wskrzesił w umyśle przygodnego szperacza pamięć dwojga siostr rozgłośnego ongi nazwiska, córek b. generała i patrioty, Romualda księcia Giedroycia: Łucji i Kunegundy, które, pożegnawszy w ósmym dziesiątku ubiegłego stulecia żywot doczesny, zaznaczyły się były swego czasu dodatnio w rocznikach emigracyjnych i na kartach literatury.

Pamięci owych utalentowanych siostr poświęcił Kazimierz Kaszewski w „*Kłosach*“ z lat 1884 i 1886 sympatyczne wspomnienie. Jemu też, jako synowi oficera czwartaków z roku 1831, i z tej racji osobiście znanemu generałowi Rautenstrauchowi, mężowi Łucji, podała była

autorka „*Miast, gór i dolin*“, oraz „*w Alpach i za Alpami*“ niektóre o siostrze swej Kunegundzie szczegóły biograficzne. Pominęła wszakże Rautenstrauchowa w swej informacji epizod charakterystyczny, stanowiący treść niniejszego szkicu, a który na pozornie kosmopolityczny żywot Białopiotrowiczowej—spędzony we Francji na dworze Napoleonów: Wielkiego i Trzeciego, rzuca światło dotychczas nieznane, świadczące o jej gorących uczuciach Polki, dla sprawy wybijającej się w roku 1831 Ojczyzny.

Wątpić wszelako należy, czy Rautenstrauchowa, o ileby nawet miała wiadomość o radykalizmie patriotycznym swej siostry, ujawnionym w Odezwie jej z 26 Lutego 1831 roku, zdecydowałaby się na jego ogłoszenie w czasach, gdy drukowane słowo trzymane było w kleszczach cenzury.. I poza ową ostrożnością autorka „*Miast, gór i dolin*“, jako żona osławionego w epoce rządów Paszkiewicza generała Rautenstraucha, miała dosyć powodów do oględnego traktowania spraw, z powstaniem listopadowem skojarzonych. Ciężyło na jej własnym życiu brzemię nazwiska niesympatycznego. Ono też tłumiło zawsze uczucia sympatji społeczeństwa dla autorki jej miary i talentu i nakazało Łucji Rautenstrauchowej pewną rezerwę w stosunkach z otoczeniem.

Czuła się też Rautenstrauchowa odgradzoną od Narodu, któremu w dziełach swoich otworzyła szerokie horyzonty na przeszłość Italji i jej skarbów natury i sztuki, a to uczucie rozgoryczenia i osamotnienia uczyniło ją dyskretną w rozmowach o ukochanej siostrze.

* * *

Była chwila w czasach powstania listopadowego, gdy dla zjednania sobie współudziału ludności w akcji bojowej, za narodową przez Sejm uznanej, Rząd zapragnął poznać opinie różnych sfer w sprawie kierunku, jaki ruchowi powstańczemu nadać należało.

Nadsyłano też zewsząd, bądź uwagi w sprawie włościan, techniki bojowej, bądź w sprawie ulepszeń w administracji skarbowości, w polityce ogólnej, wobec rządów europejskich.

Miedzy temi właśnie opinjami, do uznania Rządu Narodowego przesłanemi, znalazło się pismo młodzietkiej Kunegundy z Giedroyciów, która właśnie miesiące miodowe po ślubie z Jerzym Białopiotrowiczem w Kaliszu spędzając, wystosowała je pod adresem Prezesa Rządu, Adama ks. Czartoryskiego. (Akta Rz. Nar. № 34, Sek. II).

„Pisałam pocztą ostatnią — słowa Odezwy do księcia Prezesa — ale lękam się, żeby, spostrzegłszy podpis *kobiety*, obarczony nagłacemi interesami, nie odrzucił z politowaniem nieczytelnego listu. Może jednak mój projekt nie jest zupełnie od rzeczy dla kraju...

„Mężni nasi, przez niepojętej waleczności czyny, okrywają skronie laurami na polu chwały. I Polki by mogły coś godnego tych dzieł bohaterskich wykonać. Niechaj odpowiedzą swemu powołaniu i zaszczytnemu imieniowi Narodu, do którego należą. Przez Rząd wezwane, niech szczególną zwróćą pilność w dozorowaniu oficerów, a mianowicie — rannych żołnierzy rosyjskich. Ci ludzie, nie liczeni w kraju swoim w poczet ludzi, (nie wyrażnie), gdyby ich po bratersku traktowano, uczuliby godność człowieczeńską. Przedstawić im, żeśmy ich przyjaciółmi, że marnie krew bratnia płynie i pokazać chorągwie nasze, nauczyć napisu. Przekonać, że za swobodę i wolność Rosji, równie jak za nasze walczymy, że gdy się z nami połączą, świetna ich przyszłość czeka, że każdy, co do nas przyjdzie, otwartem przyjęty sercem, znajdzie przytułek, schronienie, wsparcie. Mniemam, że obdarzwszy te biedne ofiary (niewyrażnie), dobrodziejstwa i trochę pieniędzy, których oni u siebie nie widzą i małą ilością się wabia, i posławszy do swoich, możebyśmy (niewyrażnie) zyskali licznych sprzymierzeńców.

„W użyciu do tego osób, trafnego trzeba wyboru, rzecz ta bowiem, oprócz, że wymaga rozsądku i dokładności, poniekąd tajemnie prowadzoną być winna; przewidziana — chybiłaby celu; wracających nie dopuszczonoby do szeregów.

„Druga myśl moja jest, żeby w razie nieszczęścia i konieczności opuszczenia Warszawy, gwałtownym sposobem zmusić do tego mieszkańców. Przy najskrytszej tajemnicy, wielkiej trzeba przezorności, żeby we własne nie wpaść sieci. Może też to jest więcej, niż trudne do wykonania.

„Wybaczcie mężowie gorejącemu sercu Polki, że się poważa Was zatrudniać.

Kunegunda z Giedroyciów Białopiotrowiczowa.

Dnia 26 Lutego 1831 r., z Kalisza.

Dokument takiej treści, pochodzący od kobiety, byłby zagadkowym, gdyby nie pewien szczegół, o którym nie wiedziały osoby, nawet najbliższej z jego autorką zestosunkowane.

Z tego, co Łucja Rautenstrauchowa ogłosiła drukiem za zachętą Kazimierza Kaszewskiego, wiadomo jedynie, że siostra jej, księżniczka Kunegunda, była damą dworską Cesarzowej Józefiny w Malmaison, w owym czasie właśnie, gdy ojciec jej, książę Giedroyć, z adjutantem Laskarysem i szwagrem Jerzym Białopiotrowiczem, wzięty do niewoli przez generała Czernyszewa przed r. 1806, nad Białem przebywał morzem.

Wiadomo nadto, że Napoleon, ujęty wdziękami księżniczki, pragnął ją wydać za mąż za Coulincourt'a, księcia Vincenzy.

Po śmierci Józefiny, Kunegunda cieszyła się względami królowej Hortensji i pani Walewskiej, a po wkroczeniu wojsk sprzymierzonych do Paryża, pozostawała czas niejaki na dworze Ludwika XVIII i miała zaszczyt rozmawiać z Kościuszką.

Wróciwszy z matką do kraju, bawiła w Bryciance, u Jerzego Białopiotrowicza, b. wielkiego pisarza litew-

skiego, swego powinowatego, słynnego na Litwie Nemroda, o którym Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“ z wielkimi dla jego myśliwskiej sprawności wspomina pochwałami. Tam też w Bryciance związał się romans z jednym z synów Jerzego Białopiotrowicza, również imienia Jerzy,



Kunegunda z książąt Giedroyciów
BIAŁOPIOTROWICZOWA.

urodzivym i rycerskim młodzieńcem, z którym dopiero po zgonie pana pisarza litewskiego i po uzyskaniu indultu, wstąpiła w związek małżeński.

Miodowe miesiące młodej pary, spędzone w pałacu Paca w Warszawie, przerwało powstanie listopadowe.

Białopiotrowicze czasowo zatrzymali się w Kaliszu, poczem opuścili z matką kraj i przenieśli się do Paryża.

Coraz częściej w czasach nowszych wychodzą na widownię zrazu skryte, lub też przysłonięte gazą anonimu, nazwiska ludzi, którzy, znalazłszy się po roku 1831 wśród emigracji, wśród krajów i stosunków obcych, usiłowali z braku zajęcia skrócić męki wygnania bezinteresowną pracą piśmienniczą, lub notowaniem wspomnień przeżytej niedawno doli. Talenta twórcze i badawcze pozostawiły nam z owej epoki trwałe ślady natchnień poetyckich i pracy mrówczej na polu historii. Im to zawdzięczamy dzieła, stanowiące po dziś dzień karm duchową narodu, źródło, utrzymujące narodowe uczucie w nieskażonej, wiecznotrwałej sile. Dzięki im, zatamowana przez stłumienie ognisk umysłowości w kraju ciągłość tradycji naukowej i twórczej, mogła się swobodnie rozwijać na paryskim bruku i krętymi drogami przedostawać do kraju, gdzie ją, jako szacowną relikwję, pielęgnowano w ciszy i w ukryciu w kółkach rodzinnych.

W takich to warunkach młoda Białopiotrowiczowa opuściwszy kraj w roku 1831 i znalazłszy się z mężem w Paryżu, poświęciła się opracowaniu naszkicowanych już przedtem wśród szczęku oręża epizodów powstania listopadowego, w książce, wydanej pod tytułem: *„Exquisses polonaises ou fragments et traits detachés, pour servir à l'histoire de la revolution de Pologne actuelle, par une Polonaise“*. Przez czas długi nie znano z nazwiska autora owej ciekawej książki, lecz domyślano się go, przypisując autorstwo „K. Białopiotrowiczowi“, co też Estrejcher w Tomie X swej Bibliografji pod r. 1831 na str. 125 zaznacza. Istotnym wszelako autorem owych wspomnień o roku 1831 była księżniczka Kunegunda; celem zaś wydania było przyjsie z pomocą sprawie narodowej, drogą rejestrowania i utrwalenia w pamięci rodaków epizodów bohaterstwa niedawnej wojny, na które własnymi patrzyła oczami. Z przedmowy, napisanej przez Leonarda Chodźkę, dowiadujemy się, iż rękopis książki nadesłany mu został

z Polski w dniu 3 Maja „*par une dame polonaise, d'une haute position, jalouse de fournir sa part dans la dette contractée envers son infortuné et glorieux pays*“. Nie ulega wszakże wątpliwości, że uzupełnienie przewodniej myśli autorki nastąpić mogło dopiero z chwilą, gdy sama znalazła się w Paryżu i mogła opatrzyć swą pracę słowem wstępnem, wyjaśniającem pobudki, które ją do zgrupowania w jedną całość oderwanych fragmentów własnych wspomnień skłoniły.

„Mało mnie to obchodzi — pisała w swoim słowie wstępnem — czy autor, mający być nazawszenieznanym, zasłuży na pochwałę lub naganę; aby tylko wadliwość wykonania nie szkodziła interesowi sprawy samej...“

„Objąć jednym rzutem oka dany okres dziejowy, zużytkować przeszłość, dla wyświeatlenia terażniejszości, ocenić wpływ kilku podniosłych duchów na rozwój wypadków, i oddziaływanie owych wypadków na resztę osobników, — takim jest zadanie historyka, takimi są trudności, towarzyszące jednej z najcięższych gałęzi literatury... Takimi były myśli, któremi się powodowałam, spoglądając na czyny odwagi i poświęcenia moich współziomków. Sądziłam, że zgrupowanie tych faktów nie będzie bezużytecznem dla sprawy mojej Ojczyzny, że posłuży do wystawienia we właściwym świetle naszej niedoli, naszej wytrwałości i szlachetnych celów, w których imię podnieśliśmy oręż. my wydziedziczone dzieci wielkiej europejskiej rodziny. To, co jest szlachetnem i wielkiem: cnota, prawda, winno się ujawnić, aby wpłynąć na przeświadczenie potomnych. Niech nas poznają, niech poznają gruntownie i innych, którzy usiłowali zmusić nas do poniesienia wszelkich podstaw nowoczesnej cywilizacji. Ach! jeżeli ostatnie słowo straszliwej walki, którą podjęliśmy, jest jeszcze osłonięte tajemnicą przyszłości, niechże przynajmniej wiedzą o tem: kto na zwycięstwo zasługiwał, którym z duchów myślących i serc szlachetnych Opatrzność to zwycięstwo winna była wydzielić...“

Taką przewodnią kierowaną myślą, roztacza Biało-

piotrowiczowa w szeregu obrazowych, z uczuciem nakreślonych fragmentów, epizodyczne dzieje Królestwa kongresowego, charakteryzuje ludzi i wypadki swej epoki, opisuje dwór Belwederski i życie wielkoksiażęcej pary, podnosząc w słowach pełnych uznania słodycz i rezygnację tej, która, jako księżna łowicka, przy boku swego nerwowo usposobionego, niezrównoważonego w czynach i w zamiarach małżonka, bezsilną była wobec krzywd i niedoli rodaków własnych; wylicza czyny bohaterstwa i męczeństwa takich, jak generał Sierawski i major Łukasiński osobistości, przytacza ciekawe anegdoty i sceny z epoki orężnej walki, opisuje nastrój mieszkańców w przełomowych chwilach powstania, słowem, odtwarza w szeregu luźnych obrazków dzieje pamiętnego okresu — piórem myślącej i czującej kobiety.

Epigraf francuski na karcie tytułowej ponad symbolicznym wizerunkiem kolumny i tablic pamiątkowych, z wrytymi na nich nazwiskami bohaterów Polski umieszczony w słowach: „*Ma voix n'est que le dernier son de l'écho...*“ stanowi niejako klamrę owej wiązanki wspomnień naocznego świadka i uwag jego nad właściwościami obyczajowemi wszystkich warstw narodu, któremu autorka całą duszą i porywem szlachetnego serca była oddana. Książka ta jest zwierciadłem umysłu podniosłego i charakteru czystego, wszelkim wzruszeniom szlachetnym dostępnego i trwałą jej zapewnia w sercach rodaków pamięć.

W wydaniu Leopolda Méyeta „Listów Słowackiego do matki“, w tomie I na str. 94 mieści się wiadomość o istnieniu *Pamiętnika księżny G.* i o jego ogłoszeniu w czasopiśmie poznańskim „Lech“, według rękopisu Rapperswylskiego.

Ową księżną G. była Kunegunda Białopiotrowiczowa, a pamiętnik jej („Lech“ № 34—50) opisuje czasy powstania listopadowego, od jego wybuchu aż do upadku i podaje wzmiankę o bytności autorki w Kaliszu w czasie, gdy odezwę swą do Rządu Narodowego przesłała.

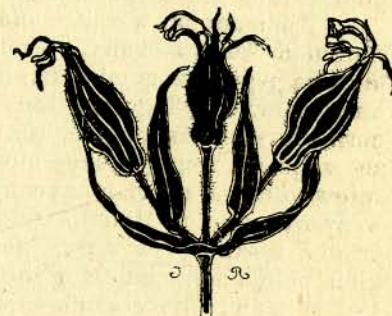
Jakkolwiek księżna o owym dokumencie nie nie wspomina, lecz wszystkie notatki pamiętnika jej odsłaniają nam duszę gorącą, uczucia patriotki, zapal dla sprawy wolności — wręcz odmienne od usposobienia chłodnego i zrównoważonego jej utalentowanej siostry Rautenstrauchowej.

W harmonijnej zgodności z patriotyzmem Białopiotrowiczowej były i cechy jej niewieściego, niepowściągliwego temperamentu.

W liście do matki z 13 kwietnia 1832 r. wspomina Słowacki o wrażeniu, jakie na nim sprawiła, gdy czytał na posiedzeniu Towarzystwa literackiego, pod prezydencją czasową Lafayette'a, utwory swoje, zakończone ustępem z „Lambra“.

„Kiedy po skończeniu — pisze Słowacki — spojrzałem na tłum dam, obaczyłem oczy jednej ślicznej, tak impertynencko zwrócone na mnie, że moje musiałem odwrócić i znów spojrzałem i jeszcze to samo spojrzenie. Żeby tak długo, tobym zwarjował. Potem słyszę głos jednej damy, po polsku pytającej się wszystkich o mnie. Była to pani Białopiotrowicz, którą w Dreźnie znałem. Ta, skoro mnie spostrzegła, przybiegła z krzykiem: „Ach! serce pana...“ Odpowiedziałem, że się cieszę, jeżeli się jej moje serce podoba, potem wymawiała mi, że u niej nie byłem, potem zapytała, czy mam przy sobie pugilares, bo mi chce zapisać swój adres. Gdybym był go miał, to rękę, że w pugilaresie znalazłbym coś ciekawszego niż adres, bo to sawantka...“

Podczas pobytu w Paryżu utracili państwo Białopiotrowiczowie córkę Karolinę. Po upadku drugiego Cesarstwa Białopiotrowiczowa, już jako wdowa, powróciła z wnuczką do kraju i osiadła w „Samotni“ pod Puławami, skąd, jako zgrzybiała już niewiasta, przeniosła się z ową wnuczką, Wielogłowską, (wydaną za mąż za p. Wł. Krauzego) do Radzikowa, gdzie 24 kwietnia 1886 roku zakończyła życie.



A. DROGOSZEWSKI.

WYBÓR POEZJI

A. OPPMANA (OR-OTA).

Przed kilku tygodniami A. Oppman ogłosił wybór swoich poezji. Każdorazowe dokonywanie takiego wyboru może być uważane niewątpliwie za rodzaj porachunku, za zdanie sprawy przed sobą i słuchaczami w pewnym punkcie drogi pieśniarskiej, jakie owoce wydała praca ducha, jakie klejnoty się złożyły do skarbicy poezji polskiej.

Nie po raz pierwszy staje przed nami autor z „wyborem“; oblicze pieśniarza nie od dziś zarysowało się wobec jego audytorjum z dostateczną wyrazistością. Nowy ten zbiór*) świadczy o coraz surowszych wymaganiach autora względem swych twórców; zostały usunięte z nowej książki rzeczy, dziś go niezadawalające, chociaż niejednej możebyśmy ze swej strony pożałowali; zastąpił je autor innemi — i są tu wizje dziwnej lekkości i przejrzystości... Mimo to ogólny koloryt natchnień pozostał niezmieniony, i może tylko uwydatniły się niekiedy mocniej, lecz nie zmieniły ogólne, już ustalone zarysy budowy poetyckiej... Wyżej podpisany zabierał już parokrotnie głos o poetyckiej działalności Or-ota i obecnie, ujmując ogół tej działalności, mógłby rozwinąć jedynie dawne swoje punkty widzenia, pragnąłby więc teraz ograniczyć się na podkreśleniu tych znamion artysty i jego dzieła,

*) Artur Oppman (Or-Ot) „Wybór poezji“, wydanie zmienione i powiększone, z portretem autora. 17 × 9 1/2, str. 300. Warszawa, Nakł. Gebethnera i Wolffa, Krak. G. Gebethner i Sp. 1908.

które w dawniejszych szkicach nie znalazły może dostatecznego uwzględnienia, co do innych stron poezji autora poprzestając na lekkim ich zaznaczeniu.

Niepodobna wszakże ominąć tej kardynalnej w stosunku do Or-ota cechy, iż mamy tu do czynienia z organizacją psychiczną miękką, łatwo wydobywającą z siebie tony rzewne a łagodne, tony melancholijne i tęskne, tak perliście się rozsypujące, tony o tyle śpiewne i melodyjne, że w poezji współczesnej mogą być nieraz brane za miarę śpiewności narzędzi muzycznych innych pieśniarzy. To wszyscy wiemy. Melodja taka tryska z niewysychających źródeł tęsknoty w sercu pieśniarza, lecz źródła te w jakich pokładach, jakich głębinach duszy biorą początek? Co je żywi nieustannie bijącą strugą? Jakim popędem ujście dają, jakim brakom czynią zadość, używając kształtu zewnętrznego jakiej potrzeby? Czy tej postaci właśnie nie przybiera instynktowny popęd samozachowawczy duszy, nie ujawnia się tak nakaz jej istnienia?

Nie dziwota u naszego poety spotkać „rym o wędrownym muzykusie“, postaci dziwnie ujmującej, a zabłąkanej wśród obcego świata, tego świata, który dla niego jest współczesnością. Dlatego z taką ciekawością poglądamy na nią. I Or-ot może się niekiedy wydać zabłąkanym wśród gwaru współczesnego muzykusem... Jego serce przywarło do przeszłości i w barwach jej ujmuje teraźniejszość i przyszłość. Inaczej może. On wizjami przeszłości broni się przed teraźniejszością, zbyt gwarną, zbyt natrętną, zbyt brutalną...

I znowu powracamy do punktu wyjścia... Mamy do czynienia, powiedzieliśmy, z organizacją miękką, zbyt miękką i rzewną, by mogła wydobyć z siebie ton energii, ton nadziei i walki. Nie o tyle bierną wszakże, by bez oporu poddawała się wszelkim wpływom otoczenia, by nie miała własnej samoistnej części, udzielnego królestwa swego. Ale wobec rozgwaru otaczającego nie znajduje w sobie pobudki do ciśnięcia weń własnego, tryumfującego tonu, do podjęcia próby opanowania go, narzucenia mu własnej myśli. Nie, o walce, o czynnej roli nie zamarzy chyba. Obrona jest tu jedna—ucieczka wewnątrz siebie, to oddanie się fali marzenia i rozmarzenia. I wtedy dusza ta czuje się sobą, odnajduje siebie; w ten sposób—urzeczywistnia się dla niej nakaz istnienia. Poeta w swym życiu wewnętrznym musi stwarzać dla siebie otoczenie własne, świat fantastyczny, który ma go od teraźniejszości

oddalić, być osłoną wobec natarczywej, zmiennej i mieszananej a burzliwej fali współczesności... A próżno... Ta współczesność przybiera groźną postać demona, całej zgrai demonów. Nie oprze się marzyciel:

„Życie pełza, jak gad, dzień się wlecze po dniu,
Przeraźliwie jednaki i szary;
Mgłą przesłonił się świat: nic, prócz bólu i snu
I codziennych trosk lichych ofiary!

* * *

Okiełzany mój duch zwinął skrzydła, jak ptak,
Już piersiami o lazur nie trąca!
Wie: tam kędyś wre ruch, nęci złotych gwiazd szlak,
Lecą orły do słońca — do słońca!

* * *

I on rwał się na bój, do ataku im grać,
Kłaść na głowy zwycięskie wawrzyny —
Więźniu! Duchu ty mój! Tobie gnuśnieć i spać,
Zostaw innym marzenia i czyni!“

I nie dziwnego, że przed oczami poety wszystko wokół przybiera barwy posępne, że z piersi jego płyną dźwięki elegijne a rezygnacji pełne:

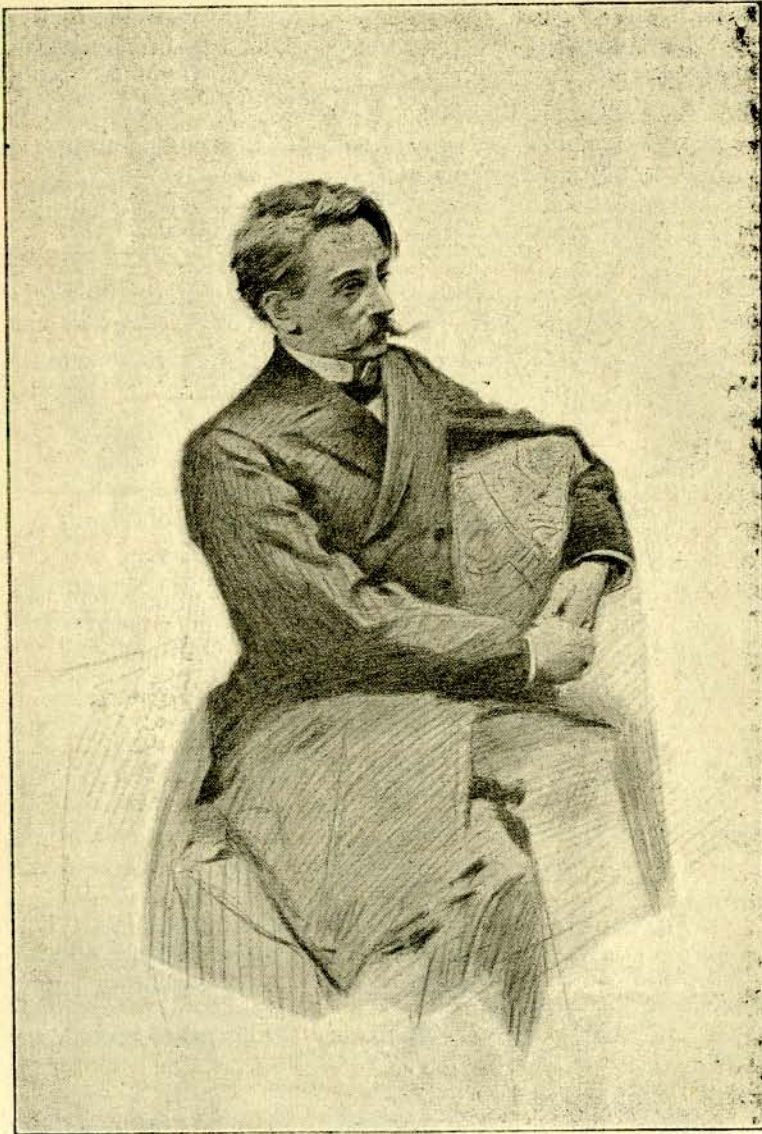
„Smutek jest bytu żywiołem i rdzeniem,
Najistotniejszą duszy ludzkiej treścią,
Li wtedy żyjesz—gdy żyjesz boleścią.
A wszystko inne mgłą jest i złudzeniem!

* * *

Miraże szczęścia na to są jedynie,
By uwydatnić bezmierność tęsknoty...”

Miraże szczęścia... Tak. Z teraźniejszością czyniąc rozbrat, czując się pochwyconym w tonie szarego obmierzłego dnia, czując się okreconym przez węzowe sploty tworu, który się życiem zwie, znajduje przecież poeta ulgę, gdy zatrzymuje zachwycony, rozmarzony, kochający wzrok na złożonych marach, jakkolwiek one potęgują wciąż jego tęsknotę...

Skąd mary te doń spływają? Z przeszłości, oglądanej pod dwóistym kątem widzenia. Z przeszłości osobistej przedewszystkiem... marzenia dawne, uczucia ciche, promieniejące wszelkimi blaskami, które wspomnienie im użyć może, dawno umarłe chwile błogości niewysłowio-



Or - o-ta

nej — wstają przed nim, otaczają go rojem mar znanych i serdecznych... Zbliżają się doń, kładą mu na czoło błogosławiące dłonie... I jakkolwiek często serce mu się ściska bólem: przeszło, minęło, nie wróci... dobrze mu tak z niemi... Oto cykl „bliskiej... dalekiej...” Oto pamiątka po „młodości sielance prześnionej” ...rani serce żal niezmierny:

„Beatrycze, wielbiona tak długo,
Rozdzieliła się na dwie istoty...”

Jedna—żyje we wspomnieniu; drugą się spotyka na ulicy lub w salonie.

„Tamta była „drogą” i „kochaną”,
A ta dla mnie jest dziś tylko — „panią”.

Ale poeta nie odrzuci pamiątki:

„Ty wyblakła fotografjo mała!
Ty pamiątko baśni mej miłosnej!
Chwil szczęśliwych ileś ty mi dała,
Budząc w sercu przypomnienie wiosny...”

I zatrzyma się nieraz jeszcze poeta w rzewnem wspomnieniu: „Pacierz za mamą”... w dal pierzchną zniechęcenia mgły, i znów uśmiech okoli usta, choć po twarzy spłyną łzy...

Taki jest przeważający egotyczny kierunek natchnień Or-ota: zanurzanie się całą duszą w wizjach rzeczy minionych, straconych. Więc jakkolwiek wizje te spływają w jasności wielkiej i we wspaniałe nieraz barwy łuny Zachodu przyodziane, muszą zarazem szatą melancholji i rezygnacji być owinięte. Niedosć tego. Obumieranie i przemijanie staje się dla poety ogólnem prawem wszechrzeczy, prawem uczuć ludzkich: najwyższy rozkwit i spełnienie jest zarazem chwilą ukazania się widma śmierci:

„Oto się spełnia tęsknot twych chimera,
I mówisz: „Wiecznie...” i wołasz: „Nie zgaśnie”,
A śmierć—ów cień twój—wznosi kosę właśnie—
I kwiat mistyczny duszy twej umiera!”

Tak myśleć i czuć musi ten, kto nie zdobywa, lecz wspomina, we wspomnieniu swą samoistność odnajduje.

Ale jest to jedno dopiero oblicze. Drugie—zwrócone jest w stronę, którą ogólnie możnaby określić tak: przeszłość narodowa. Znowu przeszłość. I tu nas poeta

wprowadza w królestwo kształtów minionych. I tu panuje prawo śmierci.

„I te piosenki, co się budziły
Z tęsknoty, w sercu zrodzone mem,
One natchnienie brały z mogiły,
Skrwawionych grobów tętniły tehem“.

I tu ukazują się przed poetą zjawy dni umarłych, postaci huczne i dziarskie, postaci drogie, siłą zaklęcia jeno poetyckiego do życia powołane. I po dawnemu wpatrzona w nie oko poety płomienieje zachwytem, rozjaśnia się dumą i radością, aż się zamroczy łzą, łzą ciężką i gorzką... Minęło, nie wróci... Oto z jaką inwokacją zwraca się śpiewak do drogich, z mogiły wywołanych cieni:

„Dawno, już dawno śpicie pod mogiłą.
A oto z drzemki przebudzam was cichej,
Na twarz łagodne rzucam wam uśmiechy,
I serce wskrzeszam, by jak niegdyś biło!
Dawno, już dawno w ciemnym śpicie grobie,
Na którym wzeszło kwiecie zapominek,
A otom przerwał słodki wasz spoczynek,
A oto znowu chcę was mieć przy sobie!

...
Niech w pieśń was zaklnę, wy, cisi i prości,
Niech was pokażę braci mojej młodej,
Tętnących odbłaskiem słonecznej pogody
I takich pełnych wiary i miłości!

...
Więc, żem uśpionym tak dawno już temu
Na chwilę zmaćcił grobowe milczenie,
Przebaczcie wy mi, ukochane cienie,
Przebaczcie wy mi, śpiewakowi swemu!“

Osjanowska poezja! I smętna, jak pieśń o w mrok zasuniętych czynach Fingala i rycerzy jego!
A w tem ukochaniu przeszłości jest pewna struga żywa i oryginalna, która indywidualizuje poezję Or-Ota i swoiste na niej piętno kładzie. Pomijając spór o pierwszeństwo (z Gomulickim), A. Oppman jest niewątpliwie poetą *starego miasta, starej Warszawy*. I większość typów, przez

pieśniarza ze snu obudzonych, tylko w perspektywie staroświeckich murów i zaułków odpowiednie tło dla siebie znajduje...

„Pieśń starych tynów, srebrnej Wisły szumy,
Serc prostych wiara, dusz pogoda grecka,
Od dziecka w pierś mą złote tętnęły dumy
I duszę moją urzekły od dziecka.

Więc ukaże się przed nami i rynek staromiejski,
i „Fara“, i „stary dom“—

„W tysiąc pięćset pięćdziesiątym
Takie domy budowano.“

Ukażą się nie dla specjalnego efektu, który wywołać mogą, lecz każdy szczegół tu jest częstką ukochanej całości, i jest częstką osobistego przeżycia, w które—dodajmy—jako jeden z pierwiastków—weszła przeszłość.

Wokół *nas* — wspomina poeta dawne, młodzieńcze wędrówki wśród fantastycznie księżycem oświetlonych domostw Starego Miasta—

„Wokół nas dumne piętrzyły się domy,
Kędy garść wspomnień wiek po wieku składał,
I duch przeszłości dla nas był widomy,
I każdy kamień do serc naszych gadał...“

Tak, te mury, które *dziś* jeszcze tak rażą poglądają na świat, już o przeszłości nam mówią... I dawno już z pewnością w grobie się pospały „trzy boginie“; i na próżnobyśmy dziś wypatrywali tego „grajka“, co jeszcze „Napoleona“ pamiętał, a i rotmistrza „Jacka Cholewy“ już nie widać...

„Gdzie błyska buntu zorza wspaniała,
Gdzie zrywał naród łańcuch tyrański,
Tam się za wolność krew polska lała,
I był tam Jacek, rotmistrz ułański!

...
Wiodła Cholewę swobody nuta,
Taka czarowna, taka junacka!
Walczył z Chłopickim, słuchał Kossuta,
I Garibaldi znał pana Jacka!“

Mieszczańskie to dziecko i ukochał cudną mieszczańską dziewę...

Z rozciętym pletnią kozacką czołem
W sybirskich śniegach w grób go złożono...

Spi spokojnie rotmistrz ułański: i nie wiem, czy żyje jeszcze ta, do której pisano „list z Sybiru“, poczynając od słowa: „Mamo“, choć bliższe to czasy... i czy wertuje jeszcze samotnie w sabbat rebe Jawor, czy boli go wciąż świeża rana, czy wspomina, że:

„Jego Eli śpi w dalekiej ziemi,
Tam, gdzie kości katolickie leżą,
Razem z kośćmi leżą żydowskimi...“

Ale może się zdawać, że to było niemal wczora: i Chłopicki, i te czasy, kiedy to kości żydowskie kładły się pospół z katolickimi... Ale oto rozbrzmiewają niby dźwięki menueta... „za króla Stasia“. Oto schodzi z portretu „patrycjuszka“:

„Jak promienisty wid różowy,
Znany z legendy i z dumania,
Zbudzona z drzemki dwuwiekowej,
Cudna się postać z mgły wyłania...“

I rozlega się swawolna piosnka żaków... Stare czasy, starzy ludzie... Nie wchodzę w to, o ile głęboko sięga poeta w przeszłość; nie dotykam i tej sprawy, czy jego wizerunki przeszłości nie są jednostronne. Ale chcę położyć nacisk na to, iż nie są to wizerunki obiektywne. Wracając do sprawy „pierwszeństwa“ i oryginalności, mogłaby mieć ona znaczenie, gdyby tu chodziło o kopanie nowych efektów poetyckich... Otóż Or-Ot stał się poetą „starego miasta“ i śpiewakiem przeszłości, przeszłości mieszczańskiej nadewszystko, nie dlatego, iż do takiej kopalni znalazł drogę czy samoistnie, czy też za czyjąś wskazówką, lecz, że uczuwa *siebie*, jako część tej przeszłości, uosobionej dziś w staroświeckich tynach starej Warszawy, jej krużgankach, obramowaniach okien i drzwi, gmerkach i t. p. Obierając osobisty punkt wyjścia i zwracając się do swej towarzyszki, woła on w „Ofiarowaniu“:

„Tętniące prostą nutą staroświecką
Napoły tęskne—wiesz po kim i czemu?—

Te pieśni moje, ja, *mieszczańskie* dziecko,
Poświęcam tobie, dziecku mieszczańskiemu!

Nie należy mówić: to jest pieśń o „starem mieście“ i jego przeszłości dziejowej... Należy powiedzieć raczej: to przeszłość — przeszłość murów i życia, co wśród tych murów niegdyś kipiało — doszła teraz do głosu, echem w pieśni się odezwała... I dlatego nie mówmy o oryginalnym czy nieoryginalnym efekcie... Z tego punktu widzenia w poezji symboliczny wyraz swój znajduje pewna strona istnienia narodu, pewien pokład geologiczny wśród licznych uwarstwowień dziejowych.

Idźmy dalej: swoiste życie tej warstwy geologicznej, o której przed chwilą była mowa, w usymbolizowaniu poetyckim ściśle jest połączone z pulsowaniem życia ogólnonarodowego. Mówiąc o sobie, że kropła jego niemieckiej krwi została zapłacona, poeta woła:

„Nad moją młodą, dziecięcą skronią,
Latały echa rycerskich lat
.....

Od pól Grochowa, z wałów Warszawy,
Mam list żelazny puścizny krwawej,
Za kropkę mojej niemieckiej krwi.“

Ale w takim oświetleniu ukazują nam poeta również swe ukochane cienie... Oto Jacek Cholewa, który się bił za Polskę i za wolność ludów, oto Berek Jawor, oto żołnierz, który idzie borem, lasem, oto rycerz z pod Saragossy, któremu ramię opada na hasło „nieprzyjacielskie“: za Hiszpanję!

Takie jest samopoczucie, takie są tęsknoty poety i bohaterów jego. Tak się im one ukazują w świetle świadomości...

Lecz poza świadomą tęsknotą i umiłowaniem, wyrusza się naraz widmo niedostrzegane, ale którego obecność melancholję przemijania zamienia w tragizm. To nie Berek Jawor, nie grajek, nie rotmistrz ułański Jacek Cholewa ułożył się do spoczynku w grobie... To znikł bezpowrotnie, nieodwołalnie kształt życia, który odbicie swe kolejno znajdował i w Patrycjuszu, i w Żaku, i w Wędrownym Muzykusie, i później w rycerzach z pod Saragossy i Samosiery, z pól grochowskich, i — w „Trzech boginiach“ nawet. Umarło *stare miasto* — został szkielet

jego — i do życia nigdy już nie wróci... Dziś żyje, żyć może, żyć będzie i Jutro w rzeczywistość wcieli „Ulica“, nie „mieszczańskie dzieci“... „Ulica“, którą poeta przecież dojrzał, której się nie przeląkł i w której rozpoznał Życie i Czyn:

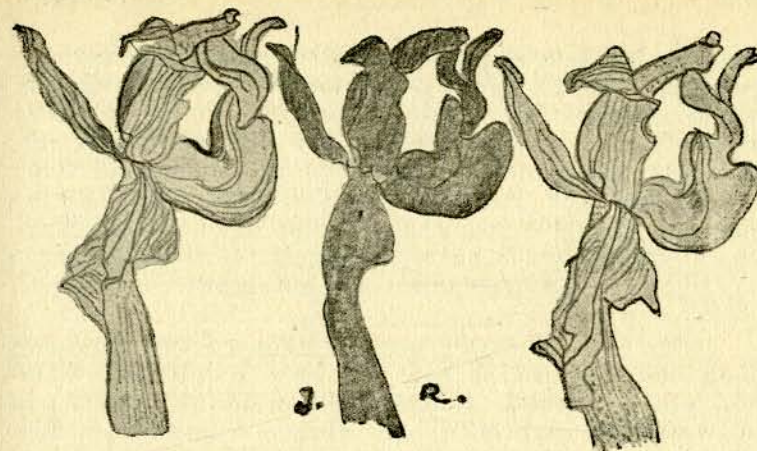
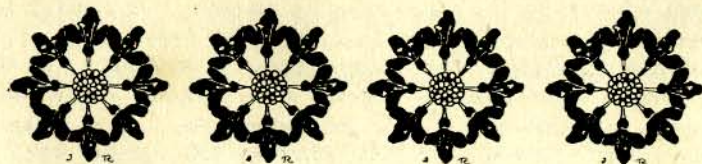
„Prac żywiołowo ku jutrzejszej dobie,
Moc niszczyielską i twórczą ma w sobie,
I chociaż sama w letarg znów zastyga,
Konwulsją walki świat ku górze dźwiga!
Do tego słońca, które z krwi powodzi,
Na horyzoncie gdzieś dalekim wschodzi...“

Ale—jak dotychczas—to chwila tylko. Szlachetna poezja Or-Ota przeszłość idealizuje i przeszłością oddycha, i sam czyn nawet ukazuje mu się w barwach przeszłości, jako echo pieśni chorągwianej:

„Chciałbym umierać, jak marzyłem z młodu,
Słyszac nad głową chorągwany wiew
I tryumfalną pobudkę narodu...“

A gdy się poeta pragnie wydobyć z zakłętego koła wspomnień, tworzy wizje okrętów samotnych, sunących bez szmeru po lazurowej, zadumanej fali, tworzy widmowe obrazy wysp wiecznej szczęśliwości i wiecznej miłości, kędy miłujące się duchy są jak dwa cienie... już nie dążą, już nie walczą, już nie są porywane rzutami namiętności... są ciche, i błogo im, gdyż wzajem czują siebie obok... Ale nie dążą i nie walczą.

Zatoczyliśmy duże koło i oto znowu jesteśmy u punktu wyjścia.



JAN KLECZYŃSKI.

ROZMYŚLANIA NA TEMAT WYSTAW SZTUKI W WARSZAWIE.

Co jest w sztuce prawdą, co zaś kłamstwem?—Krajobrazy.—Na co chorują nasi pejzażyści?—Jakie pejzaże nie należą do sztuki?—V Doroczna.—Salon p. Kulikowskiego.—Karykatury.—Sztuki graficzne i architektura.

Na całym świecie bywają na wystawach sztuki góry utworów, z którymi żadna czująca istota ludzka nie wie, co począć. Nie wzbudzają ani zachwyty, ani miłości, ani żadnego wogóle uczucia—nawet podziwu—nie powinnyby się więc nazywać dziełami sztuki. Przechodzi się koło nich z jakimś udanym zainteresowaniem — to jest niezłe, tamto dobrze zrobione, to znowu „podobne“—ziewa się—i dalej, do następnych.

W Warszawie dawniej wszystkie wystawy, z wyjątkiem świetnego salonu p. Krywultra, pełne były dzieł wyłącznie tego rodzaju. Od lat kilku Zachęta zmieniła się nie do poznania, życie tam wre nieustannie, ciekawe wystawy zmieniają się na jeszcze ciekawsze, dobór prac, zawsze staranny, nigdy bylejszy, niema firm uprzywilejowanych, są i młodzi i starzy, i swoi i obcy artyści. A jednak i tu—jak wszędzie — niepodobna uniknąć tych dzieł obo-

jętnych, które mają wszelkie pozory sztuki, lecz żadnych nie dają wzruszeń. Wielu—ba!—prawie każdy z artystów, którzy urządzali w ostatnich czasach własne wystawy zbiorowe, czy to w Zachęcie, czy u p. Kulikowskiego, ma kilka takich nieszczęsnych twórców na sumieniu. Obok rzeczy pięknych, treściwych, zajmujących—każdy prawie daje coś niepotrzebnego, coś z nadprodukcji artystycznej, ze źle zrozumianych celów twórczości—wreszcie obecna „V Doroczna“ przypomniła mi już prawie dawną „Zachęte“.

Był czas, iż nieraz gorzko wymawiałem sobie swą obojętność wobec tych bądź co bądź poważnych wysiłków pracy ludzkiej. Starałem się wmówić w siebie, że te wszystkie wymyślone na zimno, starannie „wykończone“ kompozycje, gładziuchno ułożone żywe obrazy—t. j., *pardon*, alegorie, tchnące sztuczną pozą, przesiąknięte pracownianym zapachem, odrażające widokiem doskonale odtworzonego aktu głupio pozującego modela, albo te wszystkie popłatne w handlu sztuką „epizody“, po raz setny za innemi powtarzane, wywracania się bryczek na drodze, napady wilków, pikiety ułanów—no i oczywiście większość scenek z miasteczka i pejzażów, które najczęściej polegają na mniej lub więcej „sumiennej obserwacji“ czegokolwiek, co nasunęło się znudzonym oczom malarza, wreszcie większość portretów, robionych „bez żadnego do tego powodu“ (jak mówił Wyspiański), że te wszystkie produkcje mają jakieś znaczenie, jakiś sens. Ale próżno siliłem się, by je obronić przed zarzutem nicości, szarżyzny, nikomu niepotrzebnej... Nikomu? Nie. Byli tacy, którzy w nich właśnie, w tych omyłkach artystów widzieli cel i *usprawiedliwienie* istnienia sztuki. „To mi przypomina wieś Iksów. Tamto—żywem uchwycone polowanie w moim lesie.—Lubię bardzo konie—wszystkie „końskie“ obrazy kupuję.—To, panie, jest sztuka, niema nic niezrozumiałego.“ (Ale co jest *zrozumiałego*?)—Wreszcie najpoważniejszy, druzgocący argument: „To takie prawdziwe! Prawdziwe!—Czyżby?

Czyżby istotnie jakakolwiek rzetelna prawda mogła być tak pustą, nudną i beztreściwą?

Dlaczegoż napady wilków Chełmońskiego nie są nudne, „Wilk“ zaś p. Wierusza Kowalskiego na obecnej „Dorocznej“ nic nie daje? Czemu polowania Fałata nie były beztreściwemi, jego zaś obecnie wystawione „psy nad zabitym zwierzem“ są nic nie znaczącą scenką? Czemu

epizody wojenne Juljusza Kossaka nie były pustemi? Czemu i Chełmońskiemu, i Fałatowi, i Kossakowi zdarzyło się jednak robić obrazy nie zajmujące?—pomimo, iż przecież główny argument—prawdziwość—czyli t. zw. podobieństwo tematu na obrazie do „natury“ było zachowane z całym mistrzostwem środków, na jakie ich było stać?

Czyżby to zależało tylko od „tematu“? Czyżby więc artysta grał rolę wyłącznie pośrednika pomiędzy naturą i widzem—czyżby był jakimś aparatem fotograficznym, czy telefonicznym, jakimś gramofonem, który nie zdaje sobie sprawy z tego, gdzie go przeniosą, aby „chwycił“ podobieństwa do natury“, i z którego potym dowolnie wyjmują tabliczki, klisze z zapisaną melodją, widokiem?

Do licha! Przecież tak rozumując, doszłoby się do nieomylnego wniosku, że nic nie może być „prawdziwszego“ nad fotografię—ergo, że sztuka, mająca za cel krajobrazy, epizody, polowania, scenki, etc. etc.—jest zupełnie zbyteczną—że malarze drzeć powinni wobec wynalazku barwnej fotografii—ta ich zniszczy bez śladu!

Tak źle, na szczęście, nie jest.

Fotografia dla oka ludzkiego jest kłamstwem, jako martwe odbicie. Kłamstwem także—i to kłamstwem od początku do końca—jest wszelki, pusty, nudny, poprawny obraz—choćby był do złudzenia „podobny do natury“. Kłamstwem jest—bo udaje sztukę—udaje mowę uczucia, jest zaś tylko technicznem obrabianiem „tematu“, naśladownictwem kłamiącej zawsze fotografii. Kłamstwem jest—bo w sztuce nic mnie nie obchodzi natura, lecz tylko zachwyt artysty wobec natury. Jeżeli pragnę żyć z naturą, nie pójdę przecież na wystawę obrazów, ale wyjadę na wieś, w góry, czy nad morze, lub patrzeć będę w gwiazdy, w oblicze kobiety, w oczy dziecka. A nawet jeśli wejdę do parku miejskiego, do sklepu z kwiatami, stanę wobec szczerzej natury—nie potrzeba mi jej oglądać przez mętną powłokę farb!

Jestem pewny, że cała ta olbrzymia u nas nadprodukcja wszelkiego rodzaju widoków polega na tem fatalnem nieporozumieniu. Doprawdy, możnaby pomyśleć, że wszyscy żyjemy w więzieniu, w zamkniętych celach, do których nigdy nie przenika słońce. Jedynie artyści żyją na powietrzu, wobec zieleni drzew i błękitu nieba. Oni nam dopiero pokazują naturę! Nic byśmy o niej nie wiedzieli bez nich!

Sfinks.

Nie mam słów do wyrażenia całej olbrzymiej szkody, jaka z tych omyłek, z tego do gruntu fałszywego postawienia artysty wobec społeczeństwa płynie dla samych artystów. Publiczność tak przyzwyczaiła się do takich właśnie zapatrywań na sztukę i naturę, że nie znieś sztuki prawdziwej, wzruszeniowej, wrażeniowej—nie mówiąc już o fantazjach, wizjach etc. Publiczność nasza mało bardzo—prawie że wcale—nie zna mowy malarskiej. Wyspiański był przecież dla niej dziwolągiem, Podkowiński—szaleńcem. Artysci nieraz się skarżą, że najgorsze ich utwory znajdują najbardziej chętnych nabywców. A któż temu winien? Poco się karmi ich złą strawą, krajobrazami, malowaniami tylko dlatego, że przecież się jest pejzażystą (!)—a więc można walić na płótno pierwszy lepszy widoczek, aby był „dobrze“ zrobiony?...

Otóż to właśnie—co to znaczy „dobrze zrobiony“?

Nie wierzę w dobrze zrobioną rzecz, której się nie kocha całą duszą. Taka rzecz musi napewno być *zła* zrobiona, skłamaną—pomimo najefektowniejszych wysiłków.

Kiedy idę na wystawę, pragnę dzieł rzeczywistych—tak rzeczywistych, tak *prawdziwych*, jak sama natura. Idę do świątyni—i pragnę ujrzeć to, co w człowieku najświętsze—duszę jego. Tej nikt mi nie ukaże—tylko artysta—ta dziwna, cudowna istota, która żyje Piękniem i dla Piękna—która posiada moc dla innych niepojętą wypowiedzenia pełni swych uczuć, wrażeń, snów, marzeń. Idąc na wystawę, chcę ujrzeć to, czem żyje artysta—chcę ujrzeć jego najrealniejsze, najrzeczywistsze życie.

I jeśli wtedy zamiast rzeczywistych odczuć widzę tylko chęć zrobienia barwnej fotografii—czyż nie mam prawa przypuszczać, że artysta tutaj zwalczał coś w sobie, zabijał, że był, świadomie, czy nie, nieszczerzy, że zapewne *zmuszał* się do namalowania czegoś, co go wcale nie interesowało, albo też interesowało bardzo powierzchownie? Albo też, co najczęściej bywa, interesowało w pewnej drobnej części? Naprzykład, zajęło artystę piękne oświetlenie sosny, gra światła na sosnie, on zaś namalował brzydki pejzaż, w którym główny cel jego—sosna w świetle—został zredukowany do minimum,—wrażenie bezpośrednie uleciało w mozolnej robocie nad stworzeniem zupełnie zbytecznych akcesoriów, zupełnie szkodliwego zapewnienia widza, że ta a ta sosna stała nad taką a taką brzydką chatą, przy takich a takich drzewach, nad taką kałużą, na tle niezajmujących pól i t. p.

Trzeba umieć wrażenia swoje sobie *uświadomić*, stworzyć z nich *kompozycję*, nie zaś nieszczerze zapewniać widza, że się czuje miłość do wszystkiego w naturze. A więc, w danym przykładzie, trzeba było skomponować obraz, którego tematem byłaby oświetlona sosna, nie zaś kłamać, że się czuje zachwyt do całego pejzażu, którego drobną zaledwie częstką stanowi owa sosna.

Wszystko to, co mówię, nie zmierza ani na chwilę do skompromitowania jakichkolwiek „tematów“, lub obniżenia wartości pejzażów, lecz do obalenia zgubnego przesądu, jakoby, *primo*, malarstwo było rzemiosłem, którego się można nauczyć, i *secundo*, jakoby artystą był ten, kto, „nauczywszy się malować“, maluje wszystko, co zobaczy, nie pragnąc nic własnego, szczerego, bezpośredniego wyrazić. Zresztą przykład wyżej podany bliżej zostanie zrozumiany, jeśli przypomnę jedno nazwisko: Stanisławski. Wielki ten artysta umiał właśnie uświadamiać swoje wrażenia, komponować. W jego obrazach nie było nigdy niczego zbytecznego. Jeśli zainteresowało go drzewo, kwiat, chata, czy złociste kopuły cerkiewek, to malował drzewo, kwiat, chatę i t. d., nie zaś pejzaż, na którym między innymi znajdowały się i te wrażenia. Rzeczy drugorzędne traktował jako nieuniknione tło—ale i tu także o tyle tylko, o ile i w tym pejzażu tło stanowiło nierozdzielalną częstkę wrażenia. Umiał się obejść bez tego, jeśli mu tło nie dogadzało, tło—„dane od natury“. Umiał poprzestać na przesubtelnym narysowaniu samego stepowego bodiaka bez tła. Rzeczy *obojętnych* nie bywało w jego obrazach wcale. Umiał dać girlandę przebogaty w barwie kwiatów, a za niemi, jak widma stojące, cienie drzew, stanowiące cudną dekorację, przeciwwagę dla światła i wydobyć silniejszego koloru. Wogóle każdy obraz jego stanowił żywą, mówiącą całość kolorystyczną, śpiewającą o życiu, o słońcu, o radości, zachwyście i dalekiej zadumie bezbrzeżnych stepów, w dal płynących rzek. Wiedział, co kochał i umiał szczerą swoją duszę pokazać—*prawdę* o sobie powiedzieć.

Nie stoję więc bynajmniej na stanowisku licznych obecnie estetyków, dla których obraz, czy sztuka teatralna, czy powieść, mówiąca o życiu współczesnem, o naturze, o ludziach wraz z ich wszystkimi małostkami, przyzwyczajeniami, nędzą i nędznym odzieniem,—miałyby być konieczne „realizmem“, a więc powtarzaniem rzeczywistości, a więc rzeczą nie należącą do sztuki. Nie. Słynne

„Kuropatwy“ Chełmońskiego, lub jego konie rozhukane, lub jego łąki, lasy, jeziora, księżycy — należą do największych w sztuce arcydzieł — bo wszystkie mówią inaczej, niż u Stanisławskiego, mniej świadomie, lecz równie silnie o jego bezmiernych ukochaniach, zachwytach, o wczuwaniu się w naturę, o jego głębokich przejściach duchowych wobec natury. Miara tu jest jedynie siła odczucia, siła ujmowania swych wrażeń, nigdy zaś „temat“. Tematem jest zawsze dusza artysty. Rzecz prosta, że o tym, co kocham, mówię jak o czemś żywym, nie mogę więc tego czegoś przedstawiać bez jego żywych, charakterystycznych właściwości. Ale z tych właściwości dają *tylko te, które mnie zajmują*. A więc na przykład Chełmoński potrafił kiedyś stworzyć jeden z najcudniejszych obrazów, którego „fotograficzne“ właściwości były żadne. Była to noc — noc księżycowa, w której psy bawiły się na jakimś wielkim podwórzu przed szeregiem dalekich chat. Czy tak wyglądała kiedykolwiek noc? — Nigdy. Ale w tę noc gwiazdzistą, ciepłą, cichą, tak właśnie bez szmeru, cicho, zręcznie a żywo musiały bawić się psy, tak cicho, miękko, tajemniczo lśniły gdzieś gdzieś okna, tak musiało być obszernie a przytulnie, bezbrzeżnie i ciemno, a spokojnie, kojąco. Taką była w owej chwili dusza tej nocy i dusza artysty. Stopiły się w jedność — i rzekły jakąś wielką, cichą, tajemniczą *prawdę* — upajająco piękną.

Jednym słowem, krajobrazy cenię o tyle, o ile dają głębokie, prawdziwe, a więc twórcze wrażenie artysty.

Takie dzieła są rzadkie.

To jest dostępne tylko tym, co wytworzą sobie własne środki wypowiedzenia się, własną mowę. Inni, nawet cudzą mową gwarząc, gdyby mieli tylko szczerą i chęć powstrzymywania się od mówienia byle o czem, mogliby dawać rzeczy ciekawe, a przynajmniej żywe. Ale, jak wspomniałem, każdy prawie hołduje przesądowi, że wszystko, na co spojrzy, jego i widzów zajmuje — nie wierzy w siebie, tylko w naturę. Piękno, a więc silne odczucia własne, wydzierają się z niego jakby przemocą a przypadkowo...

Są zresztą natury tak głęboko intuicyjne, iż te przemocą i przypadkowo, nieświadomie wydzierające się odczucia, bywają również przypadkowo zharmonizowane. Tak bywa bardzo często — prawie zawsze — u Fałata. Jeżeli, jak mówiłem, jego ogromny obraz, z gromadą psów nic nie daje, to zato „Jelenie“, błędzące w jakimś

tajemniczym lesie pod zielonawym, zimnym niebem, wśród zasp śniegowych, są prześlicznym, głębokim obrazem — bo wrażenie tej chwili było głęboko odczuwane i odtworzone, było *rzeczywiste*, nie tak, jak w „Psach“, gdzie może interesowały artystę psy, nie pejzaż, dość schematycznie pojęty, obojętny.

A jakąż prawdę głoszą „Żórawie“ Chełmońskiego? Przecież nie tę, „jak wyglądają żórawie“ na dalekim stepie? Nie. Ale tę, co czuje dusza artysty w chwili, gdy na skrajach horyzontu niebo spływa na ziemię, łącząc się w świetlistej mgłę w jedną całość, gdy żórawie przystanąły na chwilę, gotując się do odlotu w te majaczące oddale, za którymi są inne dalekości i jeszcze, i jeszcze inne — nieznane... Tę chwilę daje Chełmoński, to wzruszenie swoje odtwarza.

Obrazy tego olbrzymiego malarza mają to do siebie, iż nie biją w oczy odrazu. Nie poznałem się na „Żórawiach“ na razie, przyznaję. Wydały mi się za chłodne... Ale to chłód tych mglistych dalekości do mnie mówił, odczuty do głębi przez artystę, oddany mistrzowsko w tonach szarawych, przesubtelnych, przenikających. Jeśli „Głos z Litwy“ — ten człowiek trąbiący na olbrzymim rogu, mniej do mnie przemawia — to może i tu się mylę. W każdym razie i tu jest ta poezja mglistych oddaleń — na poleskich błotach.

Jednym z najpiękniejszych obrazów wystawy — tym, który mnie wzruszył najpierw i trwale — jest „O Zachodzie“ Teodora Ziomka. To się nazywa opanować swoje wrażenie i skomponować z niego obraz. Niepodobna zapomnieć tego miękiego, ciepłego, wieczornego powietrza, otulającego samotną sadybę ludzką. Rzecz mistrzowska, szczerą, bezpośrednią — tak zdawałoby się łatwa, a tak subtelnie przemawiająca. Czyż to realizm? Nie. To sztuka, mówiąca o duszy ludzkiej, co ukochała naturę.

Henryk Weyssenhoff w swoim „Zaciszu litewskim“ stworzył prawie arcydzieło. Jest tam istotnie kojąca cisza w tym wiejskim dworku, w tych dwóch niedźwiadkach, tak rozkosznie bawiących się przed dworkiem, w wędniejących liściach jesiennych drzew. Ale jest coś w tym przemalowanego, coś jakby zlekka lśniącego, co mi psuje tę ciszę, coś prawie że martwiejącego. Być może, iż to chęć zbytnej dokładności, onej pozornej „prawdziwości“, nadwyrężyła zasadniczą prawdę obrazu: duszę artysty, co odczuła ciszę. Brakuje mi jakichś

milimetrów linii, by to żyło silniej, a więc by to było jeszcze cichszym, już zupełnie rozkosznym, już wielką poezją.

Lecz oto artysta, którego kultura mało ma w Polsce równych: Władysław Ślewiński. Jakże on mocno potrafi ogarniać swoje wrażenia, w szerokim a nie schematycznym gnieście, w ramy silnego męskiego rysunku! Jego „Morza“ słynne są już w Europie, zarówno jak „Kwiaty“ i „Martwe natury“, w których nic martwego niema. Co to za smak, co za wykuint barw! Są to jakieś ciche symfonie, jakieś szepty kolorów, drżące, omglone. Wybitna indywidualność autora bije z każdego obrazu. To człowiek, który wchłonął w siebie całą kulturę francuską i dał jej polską duszę.

* * *

Jest taki nawał obrazów na „V Dorocznej“, że niepodobna o żadnym z nich, ściśle mówiąc, napisać *krytyki*. Rozbiór każdego dzieła sztuki winien zawierać logiczne umotywowanie każdego sądu. Tego nie sposób wykonać na osobistych *wrażeniach* i notatkach, dając tylko ogólną przesłankę na froncie artykułu, zlekka znacząc motywy przy wybitniejszych utworach i zamilczając o tym, co wspomnienia nie warte. I jeszcze co do jednego się zastrzegam: jeżeli nawet, dla skrótu technicznego, piszę osobno o portretach, osobno o krajobrazach, osobno o „kompozycjach“, to wiem doskonale, iż czynię podział sztuczny. Żaden obraz, o ile nie jest skomponowany, o ile daje tylko jakieś surowe odbicie czegokolwiek „z natury“, nie zasługuje na nazwę dzieła sztuki. „Temat“ nie obchodzi mnie zgoła. Z wszystkiego można uczynić rzecz piękną. Wszędzie o tyle tylko rzecz będzie coś warta, o ile pracowała w tym *wyobraźnia* autora i jego uczucie. Każdy wie przecież, że niepodobna *nie na pamięć* namalować na przykład zachodu słońca, czy wszelkiego wogóle subtelnego oświetlenia. Można co najwyżej ściśle oznaczyć rysunek chaty, którą ma się stworzyć w danym, przemijającym oświetleniu—ale i to nie zawsze na dobre wyjdzie. Ten rysunek, w razie, jeśli dodamy światło, zmieni się w proporcjach—inne wrażenie czynić na mnie będzie też sama chata. Trzeba ją więc rysować *już* w tem oświetleniu, jakie ma być na obrazie.

* * *

Z pozostałych krajobrazów mało mogę wyliczyć *dział*, mało wogóle rzeczy, zasługujących na uwagę.

Wielką subtelnością barw odznaczają się pejzaże H. Uziembły. Do silnie odczutyh należą krajobrazy pp. J. Rubczaka, B. Kowalewskiego, St. Straszkiwicza, St. Rudzińskiego. Piękne światło mają drzewa p. Podgórskiego na zimowym pejzażu. Świeże w barwie są wrażenia pp. St. Czajkowskiego, R. Witkowskiego, L. Kwiatkowskiego i L. Lasockiego. Do doskonałości w pejzażach przeszkadza p. J. Rapackiemu przedokładne drobiazgowie traktowanie. Sprowadza to martwość w jego ogromnym drzewie na tle nieba o subtelnie cieplej barwie. I chmury na tym niebie widziane są jak przez lornetkę—nie mają przytem tej charakterystycznej suchości barw, zarówno jak pejzaż. Wszystko to szkodzi uroczystej ciszy, jakiej cząstka jednak została wyrażona w obrazie.

Wśród licznych „kwiatów“ wyróżniają się, poza Wł. Ślewińskim, dwie wykuintne kompozycje I. Pieńkowskiego i ciekawe harmonizacje K. Wilkomirskiego.

Pejzaże Wankiego są pracami głębokiego artysty, zaczynającego jednak wpadać w manierę ciężkich mas farb, w których nieraz nastroj ginie.

Portretów jest na wystawie o tyleż za dużo, co krajobrazów.

Portrety Horowitza są sławne, nie wiem jednak, dlaczego. Autor robi z nich „Martwą naturę“, nawet nie raz efektownie ułożoną—ale nie mi nie opowiada o tem, co przeżył na widok danej postaci. Już portrety Mor-dasewicza są żywsze, choć wogóle nie robią na mnie wrażenia dzieł sztuki, lecz fotografii, nawet bardzo podobnych (np. portret Żeromskiego), w robocie zaś, tej suchej umiejętności tworzenia bryły na płótnie, wcale nie są gorsze od portretów Horowitza. Obydwóch autorów łączy ta sama zasadnicza cecha—nie mówią nic ani barwą, ani linią, nie komponują po malarsku, w psychologię zaś zbyt mało wnikają, zbyt nikły portrety ich mają wyraz, by to zastąpiło ów brak zasadniczy. Ale i pod względem wyrazu portrety Żeromskiego i Świętochowskiego stoją wyżej od dzieł Horowitza. Do tej samej grupy fotograficznych portretów zaliczam pp. Augustynowicza i Janowskiego, chociaż przyznać muszę, że dziewczynki Augustynowicza posiadają wiele charakteru—szkoda tylko, że rozmazanego w przegładkiej robocie.

Arcydziełem jest zato portret p. B. — Jacka Malczewskiego — arcydziełem rysunku, służącego do wydobycia wyrazu danej postaci, za którą artysta rzucił precyzyjny krajobraz. Bardzo silnym jest także portret poety L. Staffa, robiony przez p. Fr. Pautscha. Widzimy przed sobą żywego człowieka o płomienistym spojrzeniu. Portret dziewczynki p. Z. Rozwadowskiego ma wiele prawdziwie dziecinnego wdzięku. Ze wzruszającym umiłowaniem malowane są dziewczynki p. Januszewskiego. Jedna z nich jest wprost prześliczną, jak marzenie.

Wspomnieć jeszcze należy o wyrazistym portrecie damy p. F. Piekarskiego, o subtelnej, miękiej pracy p. M. Koźniewskiej i dość swobodnym w układzie „portrecie p. W.“ przez K. Lasockiego.

A teraz spojrzymy na twórczość, w której nietylko wyobraźnia, ale i fantazja gra rolę.

Tu króluje Malczewski w obrazach: „Wspomnienie“, gdzie na tle jakiegoś zaczarowanego krajobrazu górskiego rysuje się przepiękna głowa kobiety, bolesna, przeczysta, tragiczna, i — „O zachodzie“, gdzie do artysty zbliża się postać tajemnicza, niedbale a złowrogo uśmiechnięta, wieszcząc zachód życia — zbliżającą się noc... Te dwa utwory są wielkie, proste i wymowne. Ale czym jest „Złudzenie“ — ta olbrzymia, tragiczna postać starca, spoglądającego z wyżyn drabiny na jakieś w męce kłębiące się sinawe ciała? Malczewskiego dręczą wciąż te same tematy, które mu nigdy dość silnie nie mówią o treści, jaką chciał w nie włożyć. Przypomina się ta sama drabina malarska, na której dziecię ujrzało potworną wizję katorżników, wirujących wokoło, splątanych łańcuchami z cynicznie śmiejącymi się kobietami... Może to podobny temat.

Bardzo ciekawą kompozycję dał p. W. Piechowski. Dziewczyna czyta książkę. Ku niej nachylają się z dwóch stron tajemnicze postacie. Jedna z nich gra na skrzypcach, druga na lirze. Przed dziewczyną globus, trupia czaszka, lampa. Wszystko to stoi na stole, obciążonym zieloną serwetą w deseń. Nazwałem to dzieło w pierwszej chwili rebusową kompozycją. Niewątpliwie, iż jest w tem dużo racji, ale pośrednio tylko tyczy się to owych dwóch postaci, które nachylają się ku dziewczynie. Te są wymowne i piękne w linii. Wrażenie rebusowości zapewne płynie stąd, że one, jako przypuszczalne *wisze*,

są zbyt wyraźne. Ten sam błąd towarzyszy nieraz wizjom Malczewskiego. To osłabia wrażenie. Przytem z całym realizmem, w biały dzień wykończone: stół, lampa, serweta, czaszka — odejmują tajemniczość obrazowi, nadają mu właśnie odcień mechanicznego zestawienia przedmiotów, nie zaś dzieła fantazji. Tymczasem zaś jest w tem wszystkim dużo twórczego pierwiastku, zepsutego tylko przez usiłowanie, zbyt uczucie, realizmu.

W pierwszej chwili olśniła mnie „Aurora“ p. A. Gawińskiego. Jest to istotnie prześliczny *pomysł*, niestety jednak nie wytrzymujący bliższej analizy. Światło „Aurory“ płynie z niej samej — jest ona jakby żywym, czystym płomieniem. Gdyby to było logicznie przeprowadzone, gdyby istotnie od niej jedynie szło naokoło to światło, nietylko zaś na niektóre gałązki drzew, obraz byłby niezwykłą, wspaniałą kompozycją. Tak zaś piękne są tylko części obrazu, które się kłócą z resztą, mającą swe własne, inne światło. Stąd także zapewne niektóre dysharmonie w kolorach, które w razie jednolitości światła, tworzyłyby już same przez się harmonję. Te zastrzeżenia nie dotyczą zupełnie rysunku „Aurory“, mającej w sobie przedziwne, żywe linie, które ją jakby naprzód posuwają, płyną z nią razem. W każdym razie jedna z ciekawszych kompozycji w naszym Salonie.

Osobne miejsce należy się p. Szreniawa-Rzeckiemu za jego żywe, pełne wdzięku sceny prawdziwie stylowe, doskonale studja pejzażowe i świetne karykatury, ale już nie na „V Dorocznej“, lecz w Salonie p. Kulikowskiego. Takich karykatur jeszcze Warszawa nie oglądała. Zielone, czerwone i żółte twarze znanych powszechnie w Warszawie osobistości ze świata literacko-artystycznego są figlami nadzwyczajnym, tembardziej, iż robiono je z niezmierną subtelnością z barwnych bibulek i... okładek od kajetów szkolnych! Te karykatury są arcydziełami w swoim kierunku.

Musimy jeszcze, wracając do „Dorocznej“, wspomnieć choć o nastrojowej „Starej księdze“ p. L. Machalskiego, o pełnej życia i świetnej, jak zwykle, „Utarczce“ uznanego powszechnie mistrza Józefa Brandta, o „Matce Boskiej Zielnej“, barwnej scenie z wieśniaczego życia Wł. Tetmajera i wreszcie o utworach Vlastimila Hoffmana, w których ciągle, co prawda, powtarzają się tematy trzech chłopców na śniegu, ale chłopcy owi mają zawsze wiele wyrazu, no — i „Madonna“ tegoż artysty jest pięknym utwo-

rem. Ciekawym, jako pomysł, obrazem są „Władyki” p. Skotnickiego.

Co do obrazów p. M. Minkowskiego, przedstawiających sceny z życia Izraelitów, to mniej mają one siły, niż dawniejsze, robione pod wrażeniem pogromów. Są to jakby staranne, bezpowietrzne fotografie, wykończone drobiazgowo, bardzo sumiennie.

W dziale grafiki prym trzymają niewątpliwie autolitografie A. Półtawskiego. Są to utwory prawie japońskie w swoim subtelnym układzie. Postać z przepaską na oczach ma wyraz niezapomniany. Tegoż autora „iluminacje” są arcydziełami sztuki zdobniczej. Te stare księgi są owocem takiej kultury i fantazji, jakiej u nas mało kto daje dowody.

Poza tymi utworami zwraca uwagę „portret”, robiony szerokimi płaszczyznami przez p. P. Krasnodębskiego, w drzeworycie, portret rysunkowy p. Malinowskiej-Gałęzowskiej, drzeworyty p. Klejna, akwaforty p. J. Rubczaka (niektóre znakomite), p. Komorowskiej, p. Koniecznego i innych.

W dziale zdobniczym bardzo piękne są wazony p. Jagmina.

W dziale architektonicznym wyróżniają się przede wszystkim prace zmarłego niedawno w młodym wieku wielkiego artysty, Tomasza Pajzderskiego. Są to kompozycje tak różne od bezmyślnych dzieł większości architektów warszawskich, że dają dowód, czem mogłaby się stać architektura polska, gdyby ją pielęgnowali artyści, nie zaś dyplomowani rzemieślnicy.

Czem jest warszawska architektura, pokazują wymownie gipsowe modele domów pp. Grochowicza i Elera. Zrobione bez żadnej artystycznej myśli, rażą koszarową suchością i tępym wyrazem. Dom zaś p. E. robi wrażenie ciężarnej kobiety.

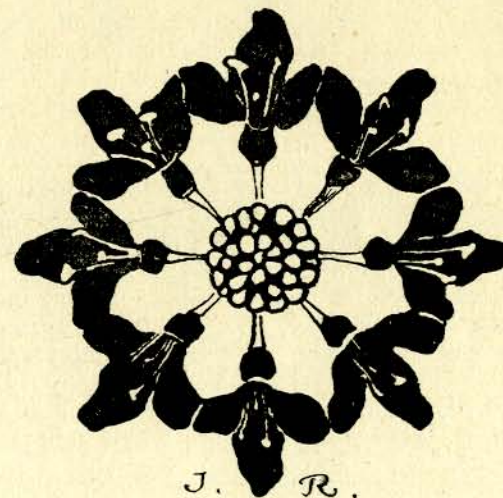
Za to z prawdziwą radością patrzy się na kościoły, którymi ozdobił lub ozdobić pragnął ziemię polską ś.p. Tomasz Pajzderski. Są to dzieła wyczone do ostatniego węgła, stojące niewzruszenie, mocno, wyraziście. To nie są kościoły Św. Florjana lub Zbawiciela, ale wielkie dzieła sztuki. To nie lukrowane, chude baumkucheny, ale świątynie męskie, silne.

Równą zmarłemu kulturę posiadają projekty pp. Kalinowskiego i Przybylskiego. Tam wszystko jest celowe,

a w formie swojej lekkie, mocne i pełne wdzięku. To są talenty, poparte głęboką wiedzą fachową — artystyczną.

Witraż p. E. Trojanowskiego widziałem w naturalnej wielkości, nie w $\frac{1}{4}$, jak na wystawie. Stąd też wnioskuje o jego nadzwyczajnych zaletach. Cała jego lewa strona, a w szczególności prześliczne drzewa są dziełem fantazji, obeznanej dokładnie z materiałem, jakim zawładnęła. Jest to witraż poprostu przebarwny. W kościele będzie wyglądał wspaniale. Robota zakładu witrażowego p. F. Białkowskiego świetna.

O dziale rzeźby napisać mogę tylko to, iż jest bardzo, bardzo ubogi.

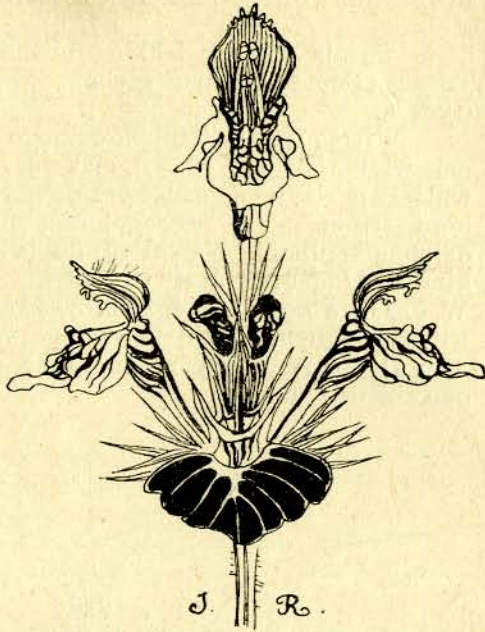


ZBIGNIEW BRODZKI.

WSPÓŁCZESNA

LIRYKA

FRANCUSKA.



I. PARNASISCI A SYMBOLISCI.

Człowiek dziś wyzbył się swej naiwności, która mu pozwalała być lazzaronem, leniwie wygrzewającym się na słońcu i weselem reagującym na tony lub dźwięki, a potem drżącym z przerażenia na odgłos piorunu i błyskawicy. Człowiek dziś to *homo sapiens*. Mózg, instrument, podług jednych gienjalny, bo wspaniale funkcjonujący i misternie przygotowany do pełnej wiedzy, podług innych—naprędce spartolony automat, mogący tylko zadość uczynić najprymitywniejszym, najbardziej niezbędnym funkcjonalnym potrzebom, mózg-refleksja dziś stał się jedynym narzędziem, przejmującym wrażenie i reagującym na nie. Inne zmysły stały się tylko narzędziami pomocniczymi, zatraciwszy swą samoistność. A poezja bez naiwności zmysłowej to nic, to kwiat bez woni, bez kielicha, o samym li tylko badyłu.

A jednak człowiek, i to człowiek najbardziej dzisiejszy, żyć długo i poważnie w stanie okastrowania nie może. Stare zagadnienia odradzają się w nowej formie. Poezja stała się znowu kwestją dnia. Nie znaczy to, aby

ona po dłuższej przerwie nanowo istnieć poczyniała, znaczy tylko, że dziś wiele zagadnień życiowych, nie określonych nawet ściślej w swej przynależności do tej lub innej sfery organizmu psychicznego, sprowadzonych zostaje do szukania ogólnej syntezy, do szukania utrwalenia w przestrzeni i czasie, do — twórczości. Człowiek współczesny to przewaga samowiedzy. Tylko, że ona musiała ulec rozszerzeniu czyli przeinaczeniu. Pozytywizm wysunął na plan pierwszy poznawalność, dążąc do ustalenia horyzontów myśli przez rozgraniczenie poznawalnego od niepoznawalnego. Dzisiejsza samowiedza obaliła to *inaczej* naiwne przymrużenie oczu i ogarnąć pragnie przedewszystkiem całość. Czem jest ta całość bytu, całość życia, całość duszy ludzkiej?...

Definiowanie odgraniczające badań naukowych to tylko jedna strona dążenia do uświadomienia sobie tej całości. Intuicja i uważne przyjmowanie zmysłami wrażeń—to strona druga...

Poezja dąży odrębnie do utrwalenia pojmowania bytu. Pojmowaniem tem nazywam stan, kiedy całem jestestwem mojem, krwią w żyłach, słuchem i wzrokiem, pojęciowością i tęsknoty nieokreślonym drżeniem, wiedzą i smutkiem mówię do życia: wiem... To nie definiowanie tylko i nie analiza, lecz intuicyjne i pełne uwagi a skupienia odezwanie się we mnie tego, czem jestem.

W tem jednolitem zwróceniu się ku życiu człowiek dzisiejszy odrzuca negowanie tego, co nim-człowiekiem jest, odzyskując swój liryzm, swą jedność, swe piękno wyższe i głębsze od wszelkich prawd, znikomych i szybko więdnących w banalność, głębsze bo — nieskończone. Liryka. potrzebą jest i musiem. Dziś jest ona inną, jak inną była wczoraj i inną jutro będzie. Dziś jest ona wgłębianiem się i przeinaczeniem świadomości...

Najbardziej współczesną jest liryka francuska. Współczesność jej datuje się od momentu zetknięcia się parnasizmu z symbolizmem.

Parnasiści są już dziś poniekąd zapomniani. Leconte de Lisle, Banville, Sully Prudhomme, Heredia—są to już tylko fakty z przeszłości. Niektórzy przypominali o sobie więcej, niż poezją, swemi dyletanckimi próbami politycznymi, jak nprz. niedawno zmarły François Coppée.

Parnasizm to poezja rozsądku, to poezja pozytywizmu. Wiele bierze on od swych poprzedników—romantyków, wielki też wpływ wywiera na ich twórczość póź-

niejszą. Przykładem—V. Hugo i jego „Légende des siècles“, wypowiedanie zasadniczych epok z dziejów ludzkości. „Parnasiści byli, jeżeli można się tak wyrazić, romantykami rozsądnymi“.*

Pozytywizm ukształtował analizę, ukazał nowe horyzonty, podkreślając banalność ogólnikowania romantycznego; dając nową treść pojęciową, wytworzył on nową atmosferę. Fakt stał się dogmatem; fakt—rezultat spostrzeżenia, fakt—pyłek formalnej zewnętrzności. Obiektywizm był ułudą, w którą z zapalem wierzone. Liryka przeinaczyła się. Naturalizm wytworzył teoretyczny dziwoląg: badanie laboratoryjne, jako zasadę tworzenia; obiektywizm, jako jego metodę. Piękno stało się, jako odrębność—niczem, prawda—wszystkiem. Naturalizm zaostrzył zmysł spostrzegawczy, przybliżył do człowieka zewnętrzność, dał mu poznać mechanizm trwania życiowego i różne tego mechanizmu kunsztowności. Analiza przeinaczyła stosunek człowieka do siebie samego, rozszerzyła jego świadomość. Taką jest sfera parnasizmu. Sully Prudhomme dąży do wypowiedzenia nowo poznanych prawd psychologicznych. Poznaje siebie i wypowiada poznaniem analitycznem, czyli rozgraniczeniem i określeniem poszczególnych wartości psychicznych; umysł to abstrakcyjny, dbający o ścisłość i definicyjność, bacznie śledzący wyniki badań przyrodniczych i psychologicznych. Poezja jego trzeźwa, ciekawa, jako dokument umysłu bystrego w poznawczości, twórczą nie jest. Istotą jej jest ciekawość abstrakcyjna, szukająca odpowiedzi na pytanie: czym jest szczęście, sprawiedliwość i t. d.—Leconte de Lisle szuka prawdy w dziejach ludzkości. Pesymizm jego uwypukla okropności, które barwią się te dzieje, a w których wypowiada się głębsze dziejów tych znaczenie. Coppée znów moralizuje banalnie.

Celem parnasizmu—zewnętrzność. Nie sięga on poza próg dawnej świadomości, żyje swem poznawalnem definiowaniem. Widzialność dlań dogmatem. Widzialność stała, kamieniowo ujęta w klasyczne normy. Nieraz malarsko poeci Leconte de Lisle, zdumiewa Heredia, lecz pozostają oni zawsze chłodni i niemi. Formę wiersza parnasiści wydostokonalili, dali rytm i rymowi powściągliwą dźwięczność, wydobyli z wyrazów ich plastykę obrazową. Najbardziej z nich ruchliwym jest Théodore de Banville. Ho-

* Henri de Regnier. Sujets et Paysages, 1906.

ryzont jego sięga niedaleko, lecz, jeżeli poety koniecznością jest niewymuszona odruchowość, to jest on bardziej poetą, niż jego uczeni współtowarzysze. Lecz i on w formie widzi tylko cyzellerską misterność.

Niechętni względem „passion“—istoty wierzeń romantyków, widzą parnasiści piękno w linii nieruchomej, a jasno zakreślonej. Na tem opiera się cała ich estetyka. Miała ona znaczenie chwilowe. Minęła szybko i mało pozostawiła dzieł artyzmu. Pragnieniu duszy ludzkiej wystarczyć nie mogła. Zachwyty nad wiedzą prędko osłabły. Marzenie niewiele wchłonęło w siebie chłodu. Równowaga pomiędzy codziennością a życiem istotnem jednostki prysnąć musiała. Życie zewnętrzne stawiało nowe wymagania. Oparte na uprządkowaniu wyniku badań i twierdzeń wtłacza ono człowieka dziś, wtłaczało i przed laty dwudziestu w normy; komplikując jego potrzeby, jednocześnie mechanizuje i dostosowuje do gminnej niezłożoności swym społecznym automatyzmem. Jednostka musiała stać się wrogiem społeczności. Nowe pokolenie o mózgu wyszkolonym musiało ulec przemianie.

To co jest—nie wystarcza; należy tworzyć to, co będzie, co być ma. Ziszczone to banalność; iszczone to głębia.

Artysta nie może długo pozostać na poziomie horyzontów parnasizmu. Zbyt skomplikowanem jest jego działanie się wewnętrzne. Psychiczny niepokój kontrastowo odbija od chłodu mózgowego, różnorodność odczuwań—od zimnego formalizmu techniki. Pierwszą negacją, rzucaną przez nowe pokolenie, było wzruszenie ramionami na łatwowierność dumy poznawczej pozytywizmu, sięgnięcie dalej w wyklinaną „metafizykę“. Laforgue to zwiastun nowego pokolenia. Okres poprzedni dał poznaniu materiał; przeinaczenie go i zjednoczenie błyskawicą woli to zadanie lat następnych. Zwykle widzialne punkty stały się szarą banalnością. Ukształtowany zakres poetyckich polotów—ciasnym kręgiem. „Poznawalność“ dała szereg drobnych punkcików, ustaliła bezpośredni stosunek subiekta do obiektu, wyodrębniła każde „dane“ i szeregowała je podług kategorii....

Nowi poczuli wstręt do szarzyzny, do tego, co jest wiadomem. Poszukiwanie charakterystycznych szczegółów przeszło w przypominające romantyzm umiłowanie odrębności tak zwanych nienormalnych. Powstała estetyka des Esseintes'a. Wszystko to, co się odchyła od normy, przez tę samą negatywną treść posiadało wagę. Zaostrzona ana-

liza doprowadziła prędko do poznania, że poznanie innem być musi. Że dusza ludzka to nie tylko szereg odruchów i skurczów na oddziaływanie okalającego środowiska, lecz i ogrom wewnętrznego życia, ogrom niezliczonych wewnętrznych pragnień, chcień, usposobień, skłonności, a przejawy powierzchni to tylko odgłos, skutek wewnętrznej psychiki. To poznanie innej głębi własnej wyczuliło wrażliwość, skomplikowało świadome trwanie i wzmogło wstręt do tak zwanego życia. W cichych komnatach wewnętrznego swego trwania dusza ludzka z zewnątrzności poza nią istniejącej słyszy tylko hałas, turkot i bezkształtną wrzawę. Zgiełk ten przejmuje wstrętem i odpycha od siebie.

Nowe pokolenie stanęło wobec zagadnienia: albo ordynarny wrzaskliwy tłok, albo ja....

Następnie jeszcze inna strona danego zagadnienia. Płynące ku jednostce wrażenia częściowo tylko mogą być ujmowane malarsko w choć nieco stałe punkty. Istotą ich jest drżenie i wibrowanie zmienne. Parnasiści to miłośnicy nieruchomych linii zimnego rysunku. Przeto horyzont ich obejmował wyłącznie ściśle nieliczne koło spostrzeganych wrażeń. Odczuwalność ich była niezłożona. Odpychała parnasistów wrzaskliwość sentymentalna romantyków, lecz wyczulenie nie poszło dalej. Teraz muzyczność wrażeń musiała zniweczyć wszelkie estetyki, zapoznające ją. Poezja stała się inną. Człowiek wciąż innym się stawał. Kształt stał się też innym dla niego, będąc znakiem, wypowiadającym treść jednostki. Człowiek miast zimna miary poznał wzruszenie rytmu.

„Dla parnasistów w pojęciach, uczuciach, historii i mityce fakt pojedynczy istnieje poetycko odrębnie, sam w sobie. Symboliści wypatrują poprzez fakty pojedyncze czystą ideę ogólną...” *

Przeciw parnasizmowi, jego chłodnej estetyce, jego wyrazistości, stosującej stałe normy wierszowania i uważającej ścisłość za zasadę poezji, stanęło nowe pokolenie z niewiarą do badań, z niechęcią do wrzawy, z szukaniem drogi ku innemu poznaniu samego siebie. Wgłębienie się we własne indywidualne istnienie stało się nową zasadą, a przeciwstawieniem do zgiełku, stało się wieżą samotną, kędy tylko dochodzi rytm fal i poszum sfer powietrznych....

Poznanie ustąpiło miejsca odczuciu, fakt—tajemnicy, ludzkość—jednostce, definicja—marzeniu....

*) J. Moréas (Enquête sur l'Evolution littéraire—J. Huret. 1891 r.)

Ostatnim z Parnasistów jest Heredia. Pośród nowego prądu pozostał on wiernym dawnej prawdzie i zdołał dać rzeczy niezwykle i poważne. Kunsztowne jego sonety skupiają intensywność obrazową, jaką mają w sobie niekiedy wyrazy. Precyzja i ścisłość są u niego artyzmem. Chłód jego przejmuje zdumieniem, lecz i utrzymuje na pewnej odległości od siebie.

II. SYMBOLIZM

A. Zwiastuni.

Symbolizm w literaturze francuskiej to nie tylko pewna konieczna zasada tworzenia, lecz i odrębny kierunek, który powstał, jako reakcja przeciw parnasizmowi, i przy pewnych zmianach istnieje dotąd. Powstał on, jako atmosfera ogólna i jako łączność indywidualnych dążeń poszczególnych jednostek twórczych. Zespół cały wierzeń i upodobań wytworzył umacnianie się nowej kultury. Sięga symbolizm w przeszłość tem zwiastowaniem, jakie niosą jednostki, rzucające intuicyjnie swe upragnienia całem swem „ja” w przyszłość.

Charles Baudelaire nie jest bynajmniej obcym wśród romantyków, lecz najbardziej wyczulonym z nich i najbardziej współczesnym. Odraza do głośnych wybuchów, skupienie i uintensywnienie odruchów wzruszeniowych, pozornie drobnych, przez łączenie i transponowanie wrażeń zmysłowo odrębnych, czyste symbolizowanie—to są rysy, które go czynią współczesnym.

Pierwszymi symbolistami są właściwie Mallarmé i Verlaine. Mallarmé—samowiedza twórcy, wiedzącego, czego chce, jak tęskni i jak utrwała swą tęsknotę w przestrzeni. Verlaine—żywiłowy odruch, sięgający kwiatowo po rozkosz promieni, po pieczętę i lzy rosy.

Mallarmé za życia stał na uboczu i na nim do dziś dnia pozostaje. Natura to skomplikowana, skupiona i trudna. Jak życie jego było obce wrzawie, tak i twórczość jego jest cicha i—inna. Dał on nowe pojmowanie idei. Idea to nie sfera odrębna, lecz tylko faza poszczególna trudu jednostki. Zatraca ona szybko swą barwę, swój rytm i woń swoją. Poeta przywraca jej pierwotną świeżość zmysłową.

Idea to świat snu, świat poza wrzawą, to synteza. Słowo—wyraz posiada swą wagę—dźwięk. Melodja dźwięku

wzrusza i przemawia—inaczej. Poezja melodją jest dźwięku. Mallarmé, zapatrzonej w świat ciszy, wie, czym jest ona.

„Brouillards, montez! Versez vos cendres monotones
Avec de longs haillons de brume dans les cieux
Qui noiera le marais livide des automnes,
Et bâtissez un grand plafond silencieu! (L'Azur)

Mallarmé wie, czym jest rylec, który rzeźbi i **czem** struna, która drga melodją...

Pisał on mało, dążąc do ustalenia jedności tonowej wyrazu z ideą. Poezja jego to sztuka, ukryta w cieniu wielkich a opustoszałych sal, sztuka tylko dla tych, którzy istotnie wrażliwi są na dźwięk wyrazów i na dźwięk idei. Oddziałał on wielce na młodych artystów. Zebrania, na których pędził długie chwile w kole młodych, wśród rozmów o artyzmie i poezji, pozostawiły w duszach uczestników długotrwałe wspomnienia. A należeli do nich prawie wszyscy wybitniejsi. Mallarmé ożywiał się, mówiąc o tworzeniu, o tym swym ideale, ku któremu szedł całe życie i całym swem „ja“. Twórczość była mu wszystkim. Poza nią nie dla niego nie posiadało wagi. Słowo było dlań żywym tonem, który dźwiękowo budził całą treść intelektualną, i było dlań symbolem, wskazującym istotną treść życia. „Każdy jego wiersz przeznaczony jest na to, aby być jednocześnie obrazem plastycznym, ekspresją pewnej myśli, wypowiedzeniem pewnego uczucia i symbolem filozoficznym; przeznaczony też jest on na to aby być melodją i zarazem fragmentem całej melodji danego poematu* (Theodore de Wyzewa—„Nos maîtres“, 1895).

Innym jest Verlaine. I jego cała twórczość to marzenie wszystko ogarniające. Lecz lutnia to nie wiedząca, czemu gra, a wiedząca tylko, że cierpi, tęskni i pragnie. Wiedzenie Verlaine'a odruchowem jest chyleniem się kwiatu ku słońcu. Muzyka jest jego pieśnią, jego duszą całą. Verlaine pierwszy pono odbiegł daleko od kamiennej jasności, pierwszy wyczulił szmer i szept i po wielu latach był pierwszym poetą całą duszą. Verlaine czy sięga po roszkosh i śni o „fêtes galantes“, o dotknięciu kobiety nieznannej, o jej pieszczocie pałacej, czy tarza się u stóp krzyża, zawsze jest zabłąkanem dzieckiem, u którego śmiech i płacz szybko i bezwiednie następują po sobie, jak wibrowanie promieni. Nowa to prostota, która

objęła wszelką dotychczasową złożoność i uczyniła z niej pieśń płynącą z serca, pieśń szczerą, jak szczerem jest fal poszept i szmer liści... Życie dla niego było wiecznem złudzeniem i wiecznym entuzjazmem. Pierwszym był on przez tę odruchowość swych symbolicznych marzeń i snów. Co inni budowali z trudem samowiedzy, on czuł bezpośrednio i intuicyjnie. Życie miał ciężkie, lecz jaśniły mu je hipnotyzujące wizje; one czyniły mu życie stałym marzeniem o cudownym rytmie.

Mallarmé i Verlaine — byli pierwsi. Pierwsi buntem swym przeciw nietwórczym podstawom współczesnej im poezji. Poznali oni duszę ludzką głębiej i wiedzieli tajemnem intuicji wiedzeniem, że poezja nie jest kunstem, lecz znakiem i utrwaleniem głębi.

Muzyczność rytmu, symbolizm mówienia, oto podwaliny tej poezji nowej. Na nich oparta jest cała współczesna kultura artystyczna.

B. Pierwsze wrzenia.

Atmosfera pozytywizmu, aczkolwiek zajmowała przeważające stanowisko dość długo, nie zdołała jednak wytworzyć aryzmu liryki. Parnasiści to tylko moment przejściowy. Po r. 1880 już nie jednostki, lecz grupy całe dążyły świadomie do obalenia muru, przeszkadzającego im żyć i tworzyć. Liczne krótkotrwałe *revues* są najwybitniejszym dokumentem tamtych czasów. „*Révue Indépendante*“, „*Revue Wagnerienne*“, „*Décadence*“, „*Décadent*“, „*Vogue*“, „*Pléjade*“, „*Symboliste*“ efemerydy, dziś tak pilnie badane.

Nowy ruch powstawał różnorodnie. Niepokój duszy, nienawidzącej tam ochronnych, lęk przed znieprawieniem, olśnienie nowem ujściem własnej głębi, odrodzenie w tęsknocie ku nieskończoności... Oko, zmęczone szaremi szeregami doświadczeniowych faktów, szukało wytchnienia w tem, co mu nieznanem było. Ucho posłyszało nowe wibrowanie rytmu; melodją przeinaczyła się dlań w kunsztowniejsze i bardziej złożone fale dźwięków. Prostactwo dokładności zwróciło się ku skomplikowaniu intuicji i nastroju. Nieco uproszczonym i suchym typem poniekąd jest des Esseintes. Zamknięty od zgiełku, stwarza on sobie odrębne istnienie, którego pierwszą podstawą jest, aby innem było, innem i niepodobnem do tego — znanego. Odgłosy wieków dawnych dają mu pe-

wien kształt odrębny. Dziwaczność często przypomina przebrzmiały romantyzm. Lecz to tylko przypadkowość chwilowa. Twórczość, odrzuciwszy normy, wzdrygnąwszy się na ówczesną atmosferę, wysamotniła się i poczęła rozsnuwać atmosferę własną. Poeci, pełni szczerzego wielbienia, skupili wszelki swój niepokój psychiczny, cały entuzjizm swego chcenia na poezji. Ona stała im się wszystkim. Rimbaud leciał za wizją swą oszalały. Nie widział innego życia. „Bateau ivre”—pędzi od brzegu do brzegu, od bieguna do bieguna, nie znając przystani, nie znając wód cichych. Jedną go pcha namiętność, jeden szal upaja: ogień życia. Swym niepokojem dał on poezji francuskiej wstrząśnienie, dał jej nową namiętność. Poezja Rimbaud'a to odruchowy krzyk człowieka, który chce żyć i cierpi, że mu żyć nie dają, który cierpi, szaleje chceniem swym i biegnie przed siebie. Ekstazy duszy, chwile wiru wrzacego, momenty stawania się i przeczuć gorących... Wypowiedział się Rimbaud szybko; rzucał iskry, pomysły, wizje szybko gasnące. Słowo było mu żywym drganiem. Litera — dźwiękami barwnymi. Jak każdy, pozostawił wiele zagadek, nieudomowień, wiele znaków, których istotę tylko ogólnikowo przeczuć można. Choćby słynny sonet o barwie liter: „A blanc — B noir...”

Zaniepokoił on poezję i zamilkł. Podobnie szybkim był meteorowo J. Laforgue, natura wiele od Rimbaud'a odrębna. Szaleńcem jej było świadome poznanie bytu. Poznanie to sięgnęło poprzez wszelkie normy ku Nieznanemu. W nerwowym niepokoju wypowiedział poeta swe metafizyczne lęki i trwogi. Wir jest stanem stałym, a resztą chwilowe bańki mydlane, śmieszne swą nadętą powagą. „Pierrot fumiste”, „Les Complaintes”, „L'imitation de notre dame de lune”... Krótkie życie, pełne skupienia we wnętrznego. Pozornie zimny wiersz jego posiada odcień refleksyjny, nie tracąc świeżości odruchu. Ruch ciągły daje czasem ból, czasem tęsknotę, czasem śmiech nieco gorzki...

Dwaj ci poeci — to pierwsze zjawiska, zmieniające istotę poezji. Za nimi nadeszli inni. Powstał ruch. Poczęło się teoretyzowanie. Zarysował się w swym konturze „symbolizm”. I dziś jeszcze on się nie przeżył. To, czym go uczynili pierwsi jego zwiastuni, to nie ulega negacji ze strony późniejszych. Cała różnica polega na inności

indywidualnej i pewnych nowych, raczej dalszych, przeznaczonych potrzebach psychicznych.

„Mon âme est douloureuse et mon coeur est très las” — mówi Henri de Regnier („Apaisement” 1886 r.)

Przenikniona cierpieniem dusza pragnie odpocznienia. Cierpi, bo wszystko, z czem się styka, drażni ją i rani i tem czyni ból ten inny, ból, będący samem jej życiem wewnętrznem — ciągłą agonją.

„...nous vîmes des morts d'étoiles et les phases
Des astres éperdus au ciel bleu des minuits,
Et l'éternel désir qui nous avait induits
A l'amour nous mentir ses promesses d'extases”*)

Niepokój, ten zwykły niepokój—przeszedł we wstręt i odrazę. Był nie tu, kędy wrzawa łachmani wszelką królewskość.

„Il fait froid, il pâlit quelque chose dans l'heure”—woła G. Kahn w swym „Palais nomades” (1887 r.) Aby najdalej od życia. Bo życiem jest ten rwetes i ta narzucana doza kastrowania. Życiem—ścisłość i określenie. Marzeniem sny o innem królestwie, o królestwie ciszy, a cisza jest pierwszą negacją wrzawy. Kult dla opuszczających szeregi. Rodenbach pieściwie mówi o chorych, starych, konających, o smutnym zachodzie i głośzeniu linji i konturów. Milczące okna beguinage'u, opustoszałe nawy katedry — to znaki, odpowiadające usposobieniu duszy, która trwoży się, aby nią mocniej i brutalniej nie zatacano.

Tylko kraina daleka, marzeń królestwo, wieża nad morzem, noc cicha—to schronienie, kędy dusza odzyskuje siebie samą, kędy zdobywa samowiedzę, zdobywa jasnowidztwo i przeczucie...

„Fermez la porte ouverte sur la vie!”—prosi Charles Guérin. („Le soir léger”, „Le coeur solitaire”, 1898). Zamknięcie oczu daje nowe patrzenie. Inność pozyskuje kształt swój odrębny, swą woń własną i własny swój dźwięk. Turkot rosnącej bezmyślności utworzył iluzję lęku. Jedni strwożeni—Verlaine, Rodenbach, inni obrzydzeni—Mallarmé, inni, że inaczej trwać nie mogą, Reg-

*) Henri de Regnier *Siles*, 1887.

nier—wszyscy odwrócili się od życia, by życie odnaleźć. Wyczulenie przeinaczyło wrażenia, rozpyliło je, wytworzyło nowe ich kategorie. Dawna odruchowość ustąpiła miejsca świadomości, tej świadomości, która uwagą jest całej duszy, która wszelkie odruchy zespaja z refleksją, ujednolicając w ten sposób rozbieżność dysharmonji wewnętrznej.

Przeinaczenie się istoty duszy artysty stworzyło inne wymogi techniczne. Pomysł, przyjmujący zmysłowe ciało obrazów, dźwięków, idei i t. d., wymagał innej rytmiki. Dziś już przebrzmiała walka o „vers libre”. Samorzutnie przeinaczyli rytmikę w kierunku zmienności rytmu Verlaine, Rimbaud, Laforgue. Następni już i teoretycznie uzasadniali niezbędność tego, co nosi miano vers libre. Najwięcej z nich pisał G. Kahn.

Wiersz francuski oparty jest na ilości zgłosek i rytmie. Zmienny rytm wewnętrznej psychiki wywołał zmianę. Rytm oparto nie na jednakowej ilości, lecz na jakości zgłosek, z których jedne—akcentowane—są bardziej rozciągle, niż nieakcentowane. Ilość tonów zgłosek została uniezależniona od wszelkich prawideł; jedynym prawem—niezbędność, płynąca z indywidualnego chcenia artysty. Zmiana rytmu komplikuje melodię wiersza, zbliża ją do psychiki współczesnego człowieka. Klasycy uznawali poważnie wiersz dwunasto-sylabowy, t. zw. aleksandryjski. On im wystarczał, bo wypowiadał ich rytm myśli, uczuć, ich rytm wrażeniowy. Romantycy wprowadzili pewne odstępstwa od dawnych norm, odstępstwa, szybciej myśl wyrażające. Parnasiści cyzelowali poszczególne wiersze, doprowadzając swój kunszt do mistrzostwa. Lecz wszyscy oni utrzymali stałe normy. Symbolizm zniósł je, nie aby przeczyły istocie poezji, lecz że nie wystarczają.

Muzyczność przeinaczyła się. Wychowane na Wagnerze nowe pokolenie pragnęło innej ekspresji dźwiękowej. Spokój był im głazem; pragnąc poezji — zjawu swej duszy, nadali wierszowi zmienność niepokoju. Każdy z nich tworzył własnym rytmem. G. Kahn, Vielé-Griffin, Moréas, Verhaeren i t. d. Usystematyzował rzucane w walce polemicznej (1885—7) poglądy G. Kahn w przedmowie do wydania swych poezji w 1897 r. „Pragnąłem znaleźć w sobie rytm osobisty, któryby zdołał wypowiedzieć me własne liryzmy z wyrazem i akcentem, które uważałem za nierozłączne z niemi”. W ankie-

cie 1891 r. (J. Huret) Kahn daje następujące określenie: „Vers libre, zamiast być, jak wiersz dawny, proza, po-przecinana przez rymy prawidłowe, powinien istnieć sam przez się przez alliterację pokrewnych sobie samogłosek i spółgłosek”.

Całość tej przemiany określa St. Mallarmé w słowach: celem vers-libryzmu jest „zbudować wiersz, zarówno oddalony od formy stałej, jak i od prozy, wiersz, który się nie da sprowadzić do jednej z nich”. (Przemówienie w r. 1896 na bankiecie na cześć G. Kahna.)

Istotę ruchu tego, napozór tyczącego się zmiany tylko rytmiki, wypowiedział już Verlaine w „Art poétique”, wołając:

„De la musique avant toute chose...
Car nous voulons la Nuance encor
Pas le Couleur, rien que la Nuance!
Oh! la Nuance seule fiance
Le rêve au rêve et la flûte au cor!..

(„Jadis et Naguère, 1881)

Pierwszem wyrazistym uczuciem, które wyłoniło się z nowego chaosu, był smutek. Smutek przymglony, roz-tęczony w tęsknocie ku niedoścignionym dalom. Smutek, podstawa i istota życia, przeinacza się różnorodnie, posiadając tysiączne tony i tysiączne tonacje. Wtedy był on reakcją przeciw wzdrygnięciu się i niesmakowi, był on też jednak i twierdzeniem w duszach młodych poetów. Laforgue, zapatrzone w wirowanie zmienne, słyszący rytm niknących i powstających światów, smutny był nowem tem jasnowidztwem, tą nostalgią za bytem opuszczonym czy przeczuwanym. Rodenbach, bardziej smutny przyziemnie, pił mgły równin i kanałów, mgły zachodu i cichych starych domów, kędy wszelkie światło mocniejsze łagodnieje i milknie. Smutek jest w każdym. Przechodzi on różne fazy, różne jakości i intensywne napięcia. Na kanwie smutku tkano dziwne kwiaty. Pozostaje on nastrojem całej poezji. W nim ona znalazła swe własne, odrębne usposobienie...

Dążeniem twórczości jest zbliżenie się do tajemnicy. Ona jest ogólną syntezą. Tajemnica — Nieznane w stosunku do pojęciowości definiującej, — Odczuwane, Bliskie, Własne przez uświadomienie i uwewnętrznienie pojemności odczuwania naszego. Poeta unika dokładności. Okre-

ślić, udokładnić—to zabić, pozbawić rytmu życia, pozbawić okalającej atmosfery, która jest tem życiem, jego istotą, jego nieskończonością. Poeta oddziaływa muzycznie. Celem jego jest dać poruszenie odpowiednim strunom duszy tych, którzy biorą jego słowa, jest rozkołysać je tak, aby wibrowanie ich wpadło w ton tego, czem drga w danej twórczej chwili jego dusza. Unikając pośrednictwa określeń i logizowania, pragnie poeta bezpośrednio sugiestjonować swe porywy, pragnie muzyką rytmu i zestawieniem ukaziwanych obrazów wieść w tajne korytarze swego odrębnego królestwa. Nastrój jest dzisiejszym środkiem technicznym. Klasycznym jest w tym względzie Maeterlinck. Proste linie jego symbolów nie mają w sobie kunsztu złożoności, widząc tylko pewne jakości psychiczne; oddają one niezmiernie czysto pragnienie poety. „Serres chaudes“, a może bardziej jeszcze „Douze chansons“. Przy skupionym wyrazie dramatycznym poeta rzuca krótki, cichy szkic; każde w nim słowo ma „inne“ znaczenie. Wspólnie wywołują one nieokreślone uczucie o stłumionej melancholji i życiowo-ważnej tajemnicy.

„Les filles aux yeux bandés
(Otez les bandeaux d'or)
Les filles aux yeux bandés
Cherchent leurs destinées.

(„Douze chansons“, 1897)

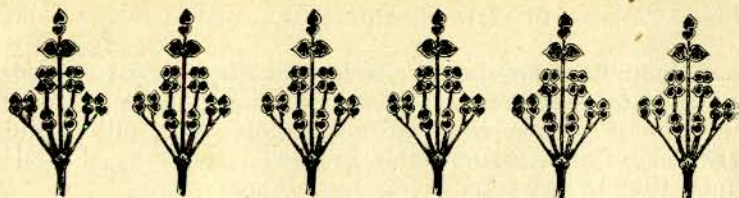
Późniejsi poeci tym samym idą sposobem, bardziej tylko czynią linję arabeską...

Nieokreślone wewnętrzne niepokoje, nie posiadające wyrazistych przyczyn i powodów, dają się ująć w ciche strofy, będące łączeniem obrazowości z muzycznością. St. Mallarmé stawiał za cel niezbędny przywrócenie jednolitości, która została zatraconą. Jego „Apparition“—to jeden z tych wewnętrznych krajobrazów duszy, kiedy pozorne kształtu zewnętrznego przypomnienie wypowiada ukrywane milczące dzianie się wewnętrzne. Mówił je prosto Rodenbach, Gregh. Bardziej złożenie Vielé-Griffin, Stuart Merrill, Moréas i inni. Każdy wypowiada się odrębnie. Wspólnym im jest sposób wywierania wrażenia. Nastrój czyli wewnętrzne usposobienie, to chwila, kiedy różnorodne dysonanse tak cichną, że prócz nich i w nich słychać ogólną melodję uczuciową. Nastrój—to konsekwencja dalsza symbolu.

Pomimo późniejszych przemian psychicznych, powyższa istota tworzenia pozostała niezmienną. „Vers libre“, jako zasada swobody indywidualnej rytmiki, muzyczna sugiestja, jako środek twórczy, pozostały do dziś dnia istotą liryki francuskiej.

Ciąg dalszy nastąpi.





M. de HEREDIA.

HORTORUM DEUS.*)

I.

Idź precz, łupieżco! mówię—idź precz swoją drogą!
Nie zbliżaj się! wiem, czego tobie się zachciewa,
Chcesz rabować oliwkę, co w słońcu dojrzewa!
Przed tobą winne grona ostać się nie mogą!

Czuwam—i nie pozwolę w sad przestąpić nogą!
Wyciosał mnie ogrodnik z figowego drzewa,
A choć niejeden może snycerza wyśmiewa,
Myśl o zemście Priapa wnet przejmie go trwoga.

Niegdyś, wielce przez dzielnych żeglarzy lubiany,
Unosiłem się lekko na dziobie galery,
Radując się z fal gniewu, z pryskającej piany;

Dziś, niestety, przestałem wieść życie tułaczę,
Stróżem jestem, mam w pieczy owoce, selery,
I uśmiechniętych Cyklad więcej nie zobaczę.

II.

Uszanuj, o wędrowcze, choć ta strzecha niska,
I z sitowia spleciona, jej czcigodne progi;
Tu, w otoczeniu dzieci, pędzi żywot błogi
Krzepki starzec, pan tego sadu i źródliska.

*) Priap, bóg żyzności przyrody, był u starożytnych Rzymian jako figura stawiany w ogrodach; tutaj strzeże sadu od napastników.

To on ustawił niegdyś na środku boiska
Moje godło i codzień zmiata kurz z podłogi;
Strzegę go, gdyż on nie zna, co to inne bogi,
On dla mnie sad uprawia i z gron sok wyciska.

Jest to rodzina cicha, pobożna, prostacza,
Przez nią kłosa jęczmienia, maki purpurowe
I pachnące fiołki zdobią moją głowę;

A dwa razy do roku, w dni święte, godowe,
Krew młodego kozłęcia, sprośnego brodacza,
Pod nożem osadnika polny ołtarz zbracza.

III.

Hej, psotne dzieci! Tu są łapki, wilcze doły
I pies! jeszcze się jakie nieszczęście wam zdarzy;
Zresztą nie dam okradać zacnych gospodarzy!
Z tego sadu miód zbierać mogą jeno pszczoły.

Patrzcie, tam rolnik plony sprzęta do słoły,
Udaje, że nie widzi, lecz stoi na straży!
Poznacie, ile z drzewa twardego bóg waży,
Gdy z trzonem ręki spadnie na pośladek goły.

Nuże, puście się ścieżką, skróćcie nią na lewo,
Aż do płotu, gdzie rośnie to wysokie drzewo.
Tam w przyległej winnicy nikt rwać nie zabrania.

Niedbały Priap mieszka w ogrodzie sąsiada:
Nie słyszy cudzych kroków, ni szelestu rwania,
Drzemie, choć mu pod bokiem ktoś grona wykrada.

IV.

Wejdz. Choć moja altanka świeżo jest zrobiona,
Choć w nią słońce się wciska—przyjemnie ocienia.
Czujesz w powietrzu słodkie miodowników tchnienia?
Spojrzyj—kwiecień—kwiatami ziemia ukwiecona.

Oliwki — złote kłosy — żrzące winogrona —
Każda z pór swój plon żyzny kolejno mi zmienia;
A jeszcze mleko krzepnie na krążku z kamienia,
Gdy koza znów mi pełne nadstawia wymiona.

Pan tej zagrody czci mnie, bom godzien. Wiem o tem.
Drozd ani złodziej żaden nie złupi winnicy;
Nikt lepiej nie strzeżony w całej okolicy.

Synowie są tu piękni, cnotliwa niewiasta,
A mąż co wieczór w rękę pobrzękuje złotem,
Gdy po skończonym targu na noc wraca z miasta.

V.

Czekam słońca, znam bowiem dokładnie godzinę.
W której na śnieg Soraktu rzuca pierwsze strzały.
Przykry mój los i ciężki. Człowiek jest niestały.
Drżę z chłodu, jak gałązki te, od szronu sine.

Od zim dwudziestu marznę i samotny ginę
W tej zagrodzie zniszczonej. Na brodzie włos cały
Zjeżony, farba ze mnie odpada w kawały,
Robak się wgryza w drzewa zeschniętego szczelinę.

Czemuż to zwykłym Larem, domowym Penatem
Nie jestem! Byłbym zawsze świeżo malowany,
Wesoły, owocami, miodem opychany,

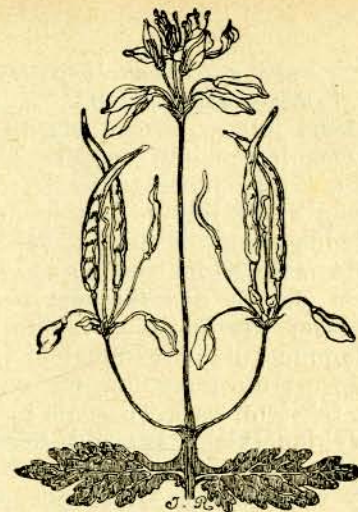
Stałbym wśród przodków z wosku, w jednym z westybuli,
A młodzież wieszałaby, obsypując kwiatem,
Na mej szyi wisiorki w kształcie złotej kuli.

Przełożył JÓZEF KLEMENSIEWICZ.

Dr. ADOLF CHYBIŃSKI.

NAJMŁODSZA POL-

SKA PIEŚŃ SOLOWA.



Jakkolwiek pieśń solowa należy u nas do najbardziej kultywowanych form muzycznych, to jednak dotychczas nikt z muzyków lub krytyków muzycznych nie podjął się skreślenia obrazu współczesnej pieśni solowej w Polsce. Nie ulega wątpliwości, że zbyt przerażająca hiperprodukcja pieśni i jednostronność kierunku, utrwalonego przez Moniuszkę i jego wielu naśladowców, jeszcze bardziej jednostronnych, nie dozwala orjentować się w tej pieśniarskiej puszczy, w której wszystkie drzewa i drzewka są, niestety, nazbyt podobne do siebie. Do niedawna — bo niespełna do lat dziewięćdziesiątych — faktycznie nie można było doszukać się silnych indywidualności twórczych, do siebie nie podobnych, odrębnych i mających samoistne tendencje. Kierunek moniuszkowski, niewątpliwie szanowny dla samego Moniuszki, zrodził — jak powiedziałem — pewną jednostronność, która, jako taka, musiała wywołać reakcję, jakkolwiek utrudnianą przez publiczność, w zasadzie mało muzykalną, mniej jeszcze posiadającą inteligencji muzycznej i nie stanowiącą bynajmniej czynnika kulturalnego, a więc reagującego i aktywnego, czyli interesującego się indywidualnymi talentami. Źródło tej jednostronności nie jest dla bystrzejszego obserwatora i badacza rozwoju muzyki tajemnicą. Źródłem tem jest: *jednostronny i radykalny kult ludowej muzyki i ludowej melodyki, bezwzględny kult absolutnego melodyzmu i wokalizmu ze szkodą pieśni, nietylko, jako formy, ile jako muzycznego zespołu,*

który ma za zadanie zapomocą harmonji między wokalizmem a instrumentalizmem stać się wykładnikiem poetycznego słowa. Czem jest w istocie pieśń, o tem będzie mowa poniżej. Obecnie musimy wyczerpać charakterystykę tego kierunku, który jeszcze dziś jest dla publiczności miarodajny, lecz który jest już na wymarcu, mocą własnej niemocy. Jednostronny kult ludowej melodyki miał już sam w sobie małe widoki *à la longue*. Wiemy, że melodia ludowa ma pewne charakterystyczne zwroty, pewne mniej lub więcej utarte linje rysunku melodji, które nie zawsze są dogodne dla indywidualnej melodji kompozytora, a często wprost nie pozwalają na konsekwentne zespolenie muzyki z tekstem, na stworzenie tematów, będących muzycznym wykładnikiem rytmiki tekstu. Co więcej — wytwarzają schematyzm formy, która, zamiast być zależną od natury tekstu, staje się despoticzną przeszkodą w osiągnięciu harmonji między logiką treści tekstu, a formą czystą muzyczną. Tak powstały i powstają ciągle jeszcze pieśni, w których cezura wiersza jest granicą motywu, a często motyw zmienia się co wiersz, co rym. Uznano każdą z takich pieśni za dobrą, jeśli była muzycznie, t. j. abstrakcyjnie-muzycznie płynną, z łatwo wpadającą w ucho melodją. Często pieśni takie robią wrażenie, jakby ich muzyka była skomponowana przed zaznajomieniem się z tekstem, lub tylko przypadkiem tekst, później znaleziony, został dopasowany do melodji. Ponieważ zwracano uwagę baczna i jednostronna na bezwzględnie ludowy charakter rysunku melodji i ludowo-taneczną rytmikę, więc rzadko zdawano sobie sprawę z tego, czy charakter tekstu pozwala na ludowość melodji. Inaczej mówiąc: „tworzono“ z przesłanką fałszywą, gdyż dotyczącą samej muzyki, nie myśląc o tem, że pieśń, jako nierozzerwalny zewnętrzny i wewnętrzny związek tekstu z muzyką, nie może być *konwencjonalnem* małżeństwem sztuk, nie może być pozorem i pretekstem. W istocie wiele pieśni starszego autoramentu odznacza się tem, że tekst i muzyka są same dla siebie z osobna nie bez wartości, a nawet bardzo wartościowe, razem jednak — nie tworzą całości. W ślad za tem poszły inne błędy; daną melodję harmonizowano według jej charakteru abstrakcyjnie muzycznego bez oglądania się na to, czy w danym razie pewien akord, względnie pewne postępy harmoniczne, które są przecież równie ważnymi walorami psychologicznymi, jak wyraz lub szereg wyrazów — otóż nie baczono na to, o ile harmonja,

wzgl. harmonizowanie danego motywu, jest ekwiwalentem tekstu, względnie jego cząstki, na którą przypada harmonizowany motyw. W takich razach najprostsze konsonansowe akordy mogą sprawiać większą przykrość, niż czysto muzyczne dysonanse. Ryszard Wagner określił ten stosunek tekstu do muzyki w pieśni bardzo trafnymi i prostymi słowy, które mało muzykalnym muzykom mogą się wydać dziwolągiem: „W melodji poety jest zawarta równocześnie harmonja, jakkolwiek niezupełnie wyraźnie.“

Już z tych słów wynika, że kierunek najmłodszej pieśni polskiej jest zgoła inny. Musimy jednak wyczerpać całkowicie charakterystykę dawnej pieśni, aby tem lepiej pojąć nową.

Dwa typy dadzą się zauważyć w starszej pieśni: pierwszym jest pieśń ludowa lub ludowo-stylizowana, a ten typ przeważa liczebnie, nawet jakościowo; drugim jest pieśń niby artystyczna („Kunstlied“), t. j. będąca pozornie muzycznym monologiem (w Schubertowskim tego słowa znaczeniu), w istocie jednak obfitująca w salonowo-popularne akcenty.

Przypomina to stosunek arji i pieśni w „Singspielach“ Hillera (XVIII wiek), w których wyższe sfery śpiewają arje koloraturowe, niższe zaś proste piosenki. Mimo tej różnicy, polegającej zresztą na zewnętrznym polorze opracowania akompanjamentu, „duch“ tych dwóch typów jest identyczny: różnica polega na „dobrem wychowaniu“ (nie muzycznym) pieśni salonowej. „Subiektywizm“ tej ostatniej nie należy przesądzać. Banalnym jest on równie, jak banalna w zasadzie jest wszelka quasi-ludowa pieśń, oprawiona w bezpretensjonalne, lecz równocześnie i konwencjonalne ramki akompanjamentu. „Świeżość“ motywu, osiągnięta zazwyczaj przez skoczne rytmy (choćby w wolnem tempie) i pewne typowo ludowe kroki melodyjne, jest tylko pozorną. To zaś, co jest najważniejsze w tym razie, t. j. tendencja artystyczna i „twórcza“, daje się sprowadzić w obu typach do wspólnego mianownika: jest nim bezwzględna popularność, liczenie się z niskim stanem pojęć muzycznych u „muzykalnej“ publiczności, a zarazem niesłychany despotyzm wydawców, którzy zamieniają nawet zdolnych pieśniarzy w wyrobników lichego muzycznego towaru.

W danej pieśni stosunek wokalizmu do instrumentalizmu jest co najmniej nierówny. Mianowicie rozstrzygającym czynnikiem jest pierwiastek wokalny, instrumen-

talny zaś gra rolę służącego, podążającego często w wielkiem oddaleniu za swoim panem. Towarzyszącym instrumentem jest zazwyczaj fortepian, który możnaby często zamienić na gitarę. Akompanjament służy w takiej pieśni do podkreślania rytmiki i harmonji w najpierwotniejszej zazwyczaj postaci. Dla usunięcia prymitywności garnirowali dawniejsi kompozytorowie — jak i wielu dzisiejszych — partję fortepianową sztuczkami pianistowskimi, które, zamiast utrzymywać jednolitość nastroju, zbyt zwracały na siebie uwagę. Jeśli zaś unikano tych sztuczek, a na ich miejsce opracowywano partję fortepianową staranniej, używając t. zw. wytworniejszych harmonji lub podając maleńkie porcyjki kontrapunktu, to i tak zawsze czyniono to bez oglądania się na charakter tekstu i jego nastrój poetyczny. Nieraz osiągnano nawet bardzo poetyczne nastroje w muzyce lecz zazwyczaj bywały one *same dla siebie* tylko bardzo wartościowe, nie były jednak uzasadnione głębiej, t. j. nie były zgodne z naturą tekstu. Działo się to właśnie w szczególnych sytuacjach psychologicznych, gdyż często, zdoławszy uchwycić *ogólny*, za ogólny nastrój tekstu, znajdowano odpowiedni wyraz muzyczny. Uderzającym jest fakt, że starsi pieśniarze unikali stale trudniejszych tekstów, wymagających odrzucenia ustępstw na rzecz naiwnej popularności. Trzymając się zbyt znanego schematu: a-b-a, rzadko rozwijanego w środkowej części — mało kultywując wolną formę t. zw. przekomponowanej pieśni („durchkomponiertes Lied“), musiano tem samem poszukiwać tekstów o łatwej formie. Dlatego też nie wybierano prawie tekstów o charakterze liryczno-refleksyjnym, w których wewnętrzna budowa muzyczna byłaby uwarunkowana psychologicznym rozwojem tekstu.

Niewiele pozostaje mi do określenia „nowej pieśni“. Przedewszystkiem jej dążnością jest: zgoda między poetą a muzykiem tak w ogóle, jak w szczegółach, a więc muzyczne wyczerpanie duchowej treści tekstu, przyczem „towarzyszenie“ instrumentalne gra rolę czynnika, wyrażającego to, czego sam wokalizm nie jest w stanie wyrazić. Stąd mylnem jest to rozpowszechnione ogólnie mniemanie, jakoby kompozytorowie „nowej pieśni“ silili się na „trudny“ akompanjament, jakoby różnica między starą a młodą pieśnią polegała na technicznych trudnościach t. zw. akompanjamentu. Nie dla techniki palcowej jest ten akompanjament „trudny“, lecz z tego powodu, że

w nowej pieśni środki wyrażania, powierzone instrumentalnej muzyce, są sumiennie i racjonalnie przeprowadzone w zastosowaniu.

Ponieważ obraca się ona w dziedzinie liryki refleksyjnej, przeto wszelkie narodowo-ludowe cechy tylko tam mogą być zastosowane, gdzie tego wymaga tekst. Główny zaś nacisk kładzie nowa pieśń na subiektywizm twórczy, jakkolwiek obiektywizm muzyka wobec poety jest nieodzownym, aby pieśń, jako całość, była logicznie przeprowadzoną. Że ten subiektywizm w istocie istnieje, dowodem tego jest tak wielka różnorodność indywidualnych pieśniarzy młodych u nas, gdy tymczasem starszych twórców pieśni zazwyczaj tylko po tem się rozróżnia, że jedni umieją więcej, drudzy mniej, u jednych widzimy więcej — u innych mniej inwencji. Ta manjera pochodzi stąd, że wszyscy oni pozostawali, względnie pozostają pod sugiestją ogólnego stanu muzykalności i dążenia do popularyzmu, odejmującego skrzydła swobodnym lotom talentów indywidualnych. Młodzi pieśniarze rugują wszelką „salonowość“ muzyczną, tą dobrze wychowaną banalność, która rujnuje talenty na rzecz popieranej przez nakładców tandety. Często spotykamy się z twierdzeniem, że co proste i melodyjne, to szczerze. Kłamstwo! Melodyjnym być można, nie mając wcale inwencji. Jeśli się posiada pewien spryt w tym kierunku i czerpie bezkarnie z melodji ludowych — i pieśni obcych, nietrudno osiągnąć t. zw. melodyjność.

„Wiedza muzyczna“ podaje tyle środków, służących do zatarcia *falsyfikatów szczeroci*, iż *tylko muzyk jest w stanie odkryć je*. Ale też nie dziwnego, że zjawiają się „mistrze“, produkujący pieśni, które mają zbyt tylko ze względu na „markę“ takiego muzykoroba, choćby nie miał właściwego talentu pieśniarskiego.

Nie mogę tu rozpisywać się nad rozwojem pieśni polskiej od czasów Chopina. Zręszta jest zbyt oczywiste, gdyż ewolucja pieśni polskiej w kierunku przez nas określonym, odbyła się w łonie t. zw. Młodej Polski muzycznej, która z początku z natury rzeczy musiała obracać się w zaczarowanym kole pieśni starszej, póki nie wyzwoliła się z jej polipowych uścisków, dzięki muzyce obcej. Co Chopin już raz odkrył, do tego podąża Młoda Polska w muzyce, przyczem uwzględnia te ewolucje, które na zachodzie od czasów Schuberta odbyła pieśń, dzięki Lisztowi, Wagnerowi, Schumanowi, Griegowi i ich głównym następ-

com, jakimi są: Hugo Wolf, Ryszard Strauss, Max Reger, w części Kl. Debussy, Sibelius, Rachmanniow, Greczaniow i inni.

* * *

Najmłodszą pieśń polską reprezentują u nas: Paderewski, Stojowski, Melcer, Opieński, Szopski, Karłowicz, Różycki, Fitelberg, Szymanowski, Szeluta, Friedman, Jachimecki i kilku najmłodszych. Niestety nie mogę niektórych z pośród wymienionych uwzględnić, gdyż pieśni ich nie są wydane, nie mogę również pisać i o tych, którzy stoją na początku kompozytorstwa lub wydali kilka piosenek, nie będących ani interesującymi ani też dokumentami ich indywidualności. Nie uwzględniam i tych którzy wprawdzie wydali sporą liczbę pieśni, lecz nie zdradzili talentu twórczego i dążności do odrębnego wypowiedzania się; pomijam wreszcie dyletantów i plagiatorów.

Jak już wyżej zaznaczyłem—w gronie „Młodej Polski muzycznej” znajdziemy jeszcze sporo reminiscencji dawnego kierunku, który scharakteryzowałem poprzednio. Są to poniekąd reminiscencje stosunków muzycznych i prądów, wśród których ci „młodzi” wzrosli, a których pozbyli się po poznaniu ewolucji pieśni na Zachodzie, ewolucji, której bądź nie znano u nas, bądź też znać nie chciało—i nie umiano.

U Paderewskiego jest ta ewolucja najwidoczniejsza choć nie najwymowniejsza. Pierwsze dwa zeszyty pieśni (op. 7 i op. 19, wyd. u Bote & Bocka w Berlinie) są nad wyraz słabe i niesamoistne. Poza Moniuszkę i jego naśladowców nie wychodzi Paderewski w nich wcale. Nadto znać wpływ Griega (n.p. w op. 7 nr. 1 i 2) i Czajkowskiego (op. 7 nr. 4, op. 18 nr. 1); tym pieśniom brakuje wyrazistej fizjognomji, ludowy charakter kilku z nich jest z ręcznie choć bez trudu uchwycony, a przytem odnosimy wrażenie, że ta prostota jest zanadto bezpretenjonalną. Takich n. p. utworów jak op. 18, nr. 3 p. t. „Pieszczotka” (słowa A. Mickiewicza) nie wydaje się, lecz chowa na pamiątkę głęboko w teczce—nietylko dlatego że i Chopin stworzył do tego tekstu jedną z najcudowniejszych swych pieśni. Mam dla kilku utworów Paderewskiego wielki respekt, ale byłbym nieszczerym, gdybym nie podkreślił przewagi banalności w op. 7 i 18. Przytem jakiś niezdrowy sentymentalizm egzaltowany i ta polska tęsknotka—nie wiadomo za czem, ten bezsilny „romantyzm”, który tak łatwo produkować, a który przez

mało wykształconych krytyków i muzyków bywa podkreślany jako specyficzna polska cecha, przyczem bywa cytowany Chopin!! Owszem, wiele, bardzo wiele *szczerej* tęsknoty wieje z arcydzieł wielkiego Mistrza, tylko doprawdy mimo kobiecości Chopina—jego tęsknota jest bardziej męską, niż „tęsknota” naszych wielu pieśniarzy. W tęsknocie Chopina niema pierwiastku płaczliwego—jego łzy nie są słodkimi..! Również jego „naiwność” nie jest dziecinna. Wreszcie należy zaznaczyć jeszcze jedno: w pewnym miesiecniku warszawskim, zdając sprawę z książki Niechsa o Chopinie, wyraził się Wł. Żeleński o pieśniach Chopina „niezbyt” pochlebnie. Przypuśćmy, iż miał słuszość. Jednego tylko nie zauważyli nasi kompozytorowie pieśni: mianowicie, że Chopin w każdej ze swych pieśni był innym—nawet wtedy, gdy dwa odmienne teksty posiadały identyczny materiał duchowy. To właśnie u Chopina przeoczono.—U Paderewskiego dzieje się podobnie; tylko kilka pieśni odznacza się silniejszą odrębnością charakterystyczną, muzyczną przez tekst, np. op. 7 nr. 3, do słów „Szumi w gaju brzezina”, gdzie szum jest ilustrowany trójkowym rytmem na nutach c i d; efekt ten, stosowany przez mnogą liczbę pieśniarzy polskich także i do szumu rzeki lub strumyka, dowodzi, że i wiele czynników zewnętrznych, ilustracyjnych, rozstrzyga w wyborze tekstów, zwłaszcza, że te ilustrowania można bez większej inwencji masowo produkować. W tej samej pieśni Paderewskiego znajdziemy jednakże bardzo wadliwą deklamację muzyczną, n. p. akcentowanie słów „brzezina”, „może”, „nieboże” i t. d. na ostatniej zgłosce... Dowód, że w op. 7 Paderewski nie zbliżył się do ideału pieśni. Spotkamy się jednak z tym błędem, wynikającym w części z niezbyt gruntownego studjum nad rozwojem pieśni, także u młodszych pieśniarzy (czyżby echo.. Moniuszkowskiego kierunku?). Nielogiczność stosunku muzyki do tekstu widzimy jeszcze w op. 18, nr. 5, gdzie skoczny mazurek („allegretto”) towarzyszy słowom takim jak: „Tylem wytrwał, tyle wycierpiałem, Chyba śmiercią bóle się ukoją...” Niemniejszym dysonansem jest zakończenie tej piosenki tonacją durową... i rytmem zrywany! Wspólną cechą tych pieśni, dowodzącą, że kompozytor jeszcze nie posiada w zapasie większej ilości środków wypowiedzania się, jest znaczna monotonia w harmonicznym i melodyjnym zwrotach. Jakże innemi są najnowsze pieśni Paderewskiego do słów Catulla Mendesa (op. 22). Należą one do zupełnie

innej sfery, tak, że dla zachowania porządku w zakresle-
niu linii rozwoju najmłodszej pieśni naszej, zastanowimy
się nad niemi później.

Do tej samej kategorii, co op. 7 i 18 Paderewskiego
należą pieśni Zygmunta Stojowskiego: „5 Mélodies“ (op.
11, Lipsk, E. Hatzfeld) i „Chanson de mer“ (tekst Sully
Prudhomme'a; Londyn i Lipsk, u Stanleya Lucasa & Comp.).
Stosunek muzyka do poety usymbolizowany jest wymow-
nie w „Melodjach“ tem, że nazwiska poety nie wymie-
niono... Rzecz dziwna: u Stojowskiego spotkamy obok wy-
kwintnych pomysłów wiele banalności i posługiwania się
środkami wątpliwymi (n. p. nr. 1, 3 i 4 z op. 11). Usiło-
wanie zgody muzyki z tekstem jest nawet w tych słab-
ych na ogół pieśniach niewątpliwe (n. p. nr. 5), nie przeje-
mujemy się nawet rozrywaniem myśli w nr. 5 lub akcen-
towaniem ostatniej zgłoski wyrazu, ale mimo to pojęcie
pieśni, jako nierozzerwalnego związku muzyki z tekstem,
jest Stojowskiemu jeszcze obce. W „Chanson de Mer“
ilustruje kompozytor nawet bardzo dowcipnie szmer mo-
rza, tematy wokalne jednakże powstały chyba w chwili,
gdy gentleman Stojowski obserwował zabawę high-life'u
na plaży... Podnieść jednak trzeba, iż n. p. w pieśni „Wę-
drowało sobie słonko“ uchwycił Stojowski bardzo zręcz-
nie ludowy ton bez posuwania się do folkloru — i że już
świadomie i celowo harmonizuje swe pomysły melodyjne,
jakkolwiek często banalne. W każdym razie takiej pieśni,
jak „Nie będę cię rwała“, tak niesłychanie marnej, nie
należy wydawać w tym samym zbiorze, w którym znaj-
duje się piękna piosenka „Wędrowało sobie słonko“.—

Ze starszych „młodych“ wymienić należy Melcera,
Szopskiego i Opieńskiego. Jako pieśniarz wystąpił Mel-
cer dopiero w ostatnich czasach; pieśni jego, dotych-
czas niewydane, znalazły uznanie u fachowo wykształco-
nych krytyków muzycznych, jako należące do nowego
typu, reprezentowanego przez najmłodszych naszych kom-
pozytorów. Wydane dotychczas pieśni Felicjana Szops-
kiego nie są, zdaniem mojem, wyrazem tego, co ten kom-
pozytor umie i jaką jest jego indywidualność. Ten mu-
zyk, rozporządzający — jak z jego krytyk widoczne — wiel-
kim smakiem i trafnością poglądów, zapewne nie uzna
swych pieśni dotychczas wydanych za odbicie dążności
własnych. Powiedzmy wprost: jego „Dwie pieśni“ (słowa
Asnyka i Tetmajera; wyd. księgarni L. Zwolińskiego),
„Barkarola“ (wyd. Piwarskiego i Sp. w Krakowie), „Z ma-

rzeń moich“ (3 pieśni; wyd. Gubrynowicza i Schmidta
we Lwowie) i „Do Preludjów Tetmajera trzy melodje“
(wyd. S. A. Krzyżanowskiego w Krakowie) są to rzeczy
przeważnie banalne i słabe pod każdym względem, a pry-
mitywność pojęć harmoniczných i salonikowość inwencji
kaza się domyslać, że były one pisane z myślą ǳo daleko



Henryk Melcer.

idącej popularności. Nie też w nich niema z tendencji
nowożytniejszych pieśni; są pewne sprzeczności, których
tak subtelny w smaku muzyk, jak Szopski, nie popełnił-
by obecnie. N. p. nie zgodziłby się dziś na to, aby naj-
lepsza jego pieśń „Zawód“ (słowa Tetmajera) kończyła się
wartko płynącemi, dość skocznymi pasażami w *dur*, gdy
tekst wymaga tonacji *moll* i t. d.

Pierwszym, który się wyzwolił z szablonów dawnej pieśni już prawie w swych pierwszych utworach, jest Henryk Opieński. Stosunek tekstu do muzyki stał mu się jasnym zapewne pod wpływem Ryszarda Wagnera, w części może Griega.

Widzimy u niego bardzo wielki postęp w porównaniu ze starszymi kompozytorami, właśnie w dążeniu do osiągnięcia ideału nowoczesnej pieśni (Por. jego „Pięć pieśni“ wyd. u Drozdillego w Paryżu, op. 8, sześć pieśni wyd. u Eulenburga w Lipsku i op. 9 trzy pieśni wyd. w „Spół-



Henryk Opieński.

ce nakładowej młodopolskich kompozytorów“, Warszawa, Gebethner i Wolff). Charakterystycznym jest u Opieńskiego nie tylko jasne zdawanie sobie sprawy z istoty nowoczesnej pieśni, lecz także posługiwanie się prostymi środkami dla wyrażania swych myśli, wyrażania bez reszty. Opieński szuka tekstów odpowiednich dla swej indywidualności, na które składają się: prostota i wytworność, szczerłość i romantyczny sentyment, przejmowanie się naturą w przyrodzie; wyrażanie ich (nie zaś proste illustrowanie) muzyką. Nie rozpisuję się o Opieńskim,

jako pieśniarzu, odsyłając czytelnika do mego studjum o nim w „Młodej Muzyce“ (1908, nr. 4).

Pośrednie miejsce między dawną a nową pieśnią zajmuje Mieczysław Karłowicz, jako pieśniarz. Zaznaczam wyraźnie: *jako pieśniarz*, gdyż Karłowicz-symfonista należy do tych kompozytorów polskich i nie tylko polskich, którzy są w swej technice orkiestrowej i w swym stylu najnowożytniejszymi. O ile w pieśni nie daje nowych absolutnie wartości, o tyle wraz z Fitelbergiem, Różyckim i innymi stanowi nową epokę w naszej muzyce instrumentalnej, epokę, którą nazwałbym „wyzwoleniem“ z pęt schematów i (po największej części)... fuszerki. W pieśniach Karłowicza, stworzonych prawie równocześnie z pieśniami Opieńskiego, znajdziemy wiele postępu w porównaniu z pieśnią epigonów Moniuszki; nie mam na myśli nie nagannej interpretacji prozodycznej, nie mam też zamiaru podnosić bardzo sumiennego opracowania formy i towarzyszenia instrumentalnego, znacznie barwniejszej harmonizacji, wzorowanej czasem na Griegu, którego wpływ w niektórych pieśniach Karłowicza jest zupełnie widoczny, jakkolwiek w nich już nietrudno spostrzec samoistność inwencji. Podnieść należy jednakże rzecz najważniejszą: mianowicie trafność ogólnego uchwycenia nastroju tekstów, zastosowania nawet instrumentalnej części do charakteru poezji, wskutek czego w przeciwieństwie do dawnej pieśni widzimy u Karłowicza wielką rozmaitość, która dowodzi tylko, że młodociany naówczas kompozytor przeczuwał ewolucję w lirycie muzycznej—wraz z Opieńskim, której jednakże nie przeżył, ponieważ przyszedł bardzo wcześnie do przekonania, że jego najwłaściwszem, a może i najodpowiedniejszym polem twórczości jest muzyka symfoniczna. I nie mylił się... Pieśni Karłowicza są u nas nader rozpowszechnione, co jest raczej dowodem bardzo wielkiego talentu tego wybitnego twórcy, który te pieśni tworzył jeszcze podczas studjów warszawskich, aniżeli wartości absolutnej, jaką odznaczają się jego wielkie dzieła symfoniczne. Jedno jeszcze dodać należy: indywidualność Karłowicza-symfonisty jest już w zarodku zawarta w jego pieśniach; t. j. ta melancholja o tragicznym niemal podkładzie, melancholja, która później nie skrzepla, lecz zmężniała i rozwinęła się w kontemplację, do jakiej wraca Karłowicz nawet po najdramatyczniejszych zmaganiach się z fatum namiętności tragicznej. Nie ulega wątpliwości, że najlepsze pieśni dawnego kierunku nie przewyższają

pieśni Karłowicza, ale też fakt, że K. już porzucił pieśniarstwo—jest dowodem, że w przeciwieństwie do zbyt... grafomańskiej, choć często utalentowanej falangi dawnych, względnie starszych kompozytorów, Karłowicz nie pragnie dawać *multa*, lecz *multum*, czyli że się skupił i *pogłębił*, co widać przy porównaniu jego pieśni z jego dziełami symfonicznymi.

Pomostem między pieśniami Opieńskiego i Karłowicza a pieśniami Różyckiego i Fitelberga są najnowsze pieśni Paderewskiego do słów Catulle'a Mendesa (op. 20 wydane w Paryżu). Znać diametralną różnicę między dawnymi a tymi utworami znakomitego pianisty. Związek tekstu i muzyki jest ściślejszy; banalność melodji i bez-



Mieczysław Karłowicz.

pretensjonalność opracowania technicznego (mam na myśli technikę kompozytorską) są usunięte; twórczość we właściwym tego słowa znaczeniu widoczną. Paderewski *zbliżył się* w nich do ideału pieśni współczesnej, choć mu do niej jeszcze dość daleko. „Salonowy” charakter kilku pieśni nie psuje dobrego wrażenia, jakie całość wywiera. Jeśli mimo kilku zupełnie pięknych ustępów nie możemy jeszcze nabrać przekonania, że Paderewski jest urodzonym pieśniarzem, to tylko dlatego, że w partjach instrumentalnych znajdują się szczegóły, pochodzące tylko od wirtuoza, mniej od kompozytora, który może jeszcze nie nabrał przekonania, że „trudność” towarzyszenia instrumentalnego nie może być dyktowaną wyłącznie przez... spr-

wność w palcach. Mimo to wiele poetycznego i szczerego tonu znajdziemy w tych pieśniach, z których kilka mocą swej wartości muzycznej podnosi wartość nienajlepszych naogół tekstów. Nie mogę zaprzeczyć, że specyficznie polski pierwiastek przebija się tu i owdzie, ale życzyliby należało, aby na przyszłość mniej się znalazło w dziełach tego na coraz wyższe szczeble twórczości wchodzącego kompozytora pierwiastków gallijskich nienajciekawszego gatunku. Jeśli ten „zarzut” czynię, to tylko dlatego, że wiem, ile Paderewski dać nam może.



Grzegorz Fitelberg.

Z pośród najmłodszych kompozytorów pieśni największą uwagę zwrócili na siebie: Ludomir Różycki i Grzegorz Fitelberg. Jak w muzyce symfonicznej, tak i w pieśniach, widzimy u nich (podobnie jak w niewydanych, lecz w niezwykle wartościowych pieśniach Szymanowskiego i Szeluty) zupełną odrębność stylu.

Różycki z wolna zbliżył się do ideału pieśni współczesnej, Fitelberg odrazu, choć dopiero niedawno stanął na gruncie nowoczesnej liryki muzycznej. U Różyckiego w pierwszych pieśniach (op. 9 i 16) są jeszcze widoczne związki ze szkołą warszawską, polegające na niezupełnie wygładzonym stosunku tekstu do muzyki. Nie mogę zgo-

dzić się na poglądy, głoszone przez mało lub wcale nie poduczonych krytyków, jakoby *prozodja* i jej jakość decydowały bezwzględnie w wartości pieśni: u Brahmsa, Schumanna, nie mówiąc już o Moniuszce, spotykamy tak dużo błędów *prozodycznych*, że musielibyśmy tych pieśniarzy ignorować. Z tego też powodu pieśni Różyckiego nie wolno za błędy kierunku, któremu w Warszawie z samego tylko początku ulegał, tak dalece „lekcwazyć”. Weźmy jednak te pieśni pod uwagę pod idealnym kątem widzenia, mianowicie co do stosunku ich do *poezji*, a dojdziemy do przeciwnego zdania. Przedewszystkiem jako muzycznie wierne odzwierciedlenie nastrojowej treści *poezji*. W tym kierunku nazwałbym Różyckiego najpoetyczniejszym między polskimi muzykami talentem. Najwięcej w jego pieśniach jest poetycznego pierwiastku, który sprawia, że formę ma bardzo wolną, dawniej może dowolną, dziś logiczną, choć nie schematyczną. Dzięki silnej inwencji, pieśni Różyckiego przedstawiają wielką różnorodność, spotęgowaną jeszcze przez siłę charakterystyki, do której zdolność posiada Różycki w wielkim stopniu, jak tego dowodzą jego poematy symfoniczne, a zwłaszcza „Pan Twardowski”. *) Dlatego nawet w tych pieśniach, w których Różycki nie stara się o utrzymanie nastroju ogólnego, zajmują nas szczegóły pierwszorzędnej wartości charakterystycznej. Nie mówię już o bezwzględnie interesującej harmonice, jaką odznaczają się pieśni Różyckiego i Fitelberga (zapewne i Szymanowskiego, Szeluty, Melcera). To bowiem jest rzeczą ich specjalnej zdolności, wielkiego wykształcenia, bogactwa myśli w tym kierunku mniej lub więcej spontanicznie skierowanych—bogactwa, jakiego u starszych kompozytorów niema ani śladu. Zdara się u Różyckiego niekiedy (ale bardzo rzadko), że wśród tworzenia widzi przed sobą możliwość niezwyklej kombinacji harmonicznej, samej przez się zbyt pociągającej, aby ją ominąć, choć stosunek jej do całego tekstu lub danego wyjątku jest problematyczny, ale w każdym razie jest to nawet w „najgorszym”, razie mniejsze „zło”, niż ingnorancja starszych kompozytorów względem logiki ogólnego charakteru muzyki w stosunku do tekstu lub omijanie tych szczególnych a psychologicznie silnie eksponowanych miejsc w tekście, które powinny znaleźć wyraz w muzyce. Skala wyrażalności u Różyckiego jest

*) Orkiestrowej muzyce polskiej poświęcimy osobną pracę.

dzięki darowi charakterystyki bardzo obszerna i bardzo zróżniczkowana. W niektórych pieśniach jest Różycki mniej, w niektórych więcej szkieletowym; opracowanie jednakże jest zawsze zależne od potrzeby wewnętrznej, nigdy nie bywa napuszone efektami na poły wirtuozowskiemi w partii instrumentalnej. Że zaś tak jest, dowodzą tego te pieśni, w których Różycki nieraz bardzo prostymi środkami osiąga wiele. Ta prostota jednakże nie jest tem „malum necessarium”, jakie spotykamy w niektórych dawniejszych pieśniach polskich; dzięki swemu wielkiemu uzdolnieniu harmonicznemu omija R. komunały, nie będąc nigdzie sztucznym, nie przejawiając modulacji, prowadząc głosy bardzo naturalnie, choć czasem za gwałtownie, prawdopodobnie przed naporem silnego temperamentu, który—jak ubocznie należy zauważyć—popsuł niejedno dzieło w muzyce polskiej, odwołując kompozytorów od pogłębienia swych myśli, od utrwalenia dzieła, jako całości. Na *znacznie* wyższym, na bardzo wysokim szczeblu stoją pieśni op. 12 i op. 14 (do słów Cez. Jellenty, Ibse-na, Nietzschego i Heinego—wydane wraz z op. 9 u Alberta Stahla w Berlinie oraz u Gebethnera i Wolffa w Warszawie w „Spółce nakładowej młodopolskich kompozytorów”). Takich pieśni, jak „Łabędź” (słowa Ibse-na), „Wenecja” (słowa Nietzschego), „Tęsknota” (słowa Heinego), i cykl pieśni z tekstami Jellenty, mało mamy w naszej muzyce. Z op. 12 trudno mi oznaczyć najpiękniejszą: osobiście najbardziej cenię pieśń „Spojrzyj, ach, wokół wiosna rozkwita już”, przypominającą swym nastrojem znany obraz Boecklina. Dramatyczny pierwiastek, którego sporo znajdziemy w całej twórczości Różyckiego, znalazł najsilniejszy wyraz w pieśni „To pełzam jak czerw, w trumny mroku”, gdzie groza tragiczna przejmując do głębi, jak niektóre partje z „Bolesława Śmiałego”, poematu symfonicznego tegoż kompozytora. *)

Znacznie trudniejszym do rozwiązania problemem są świetne pieśni Grzegorza Fitelberga.

*) Op. 16 (sześć pieśni) wydała księgarnia A. Piwarskiego, w Krakowie.

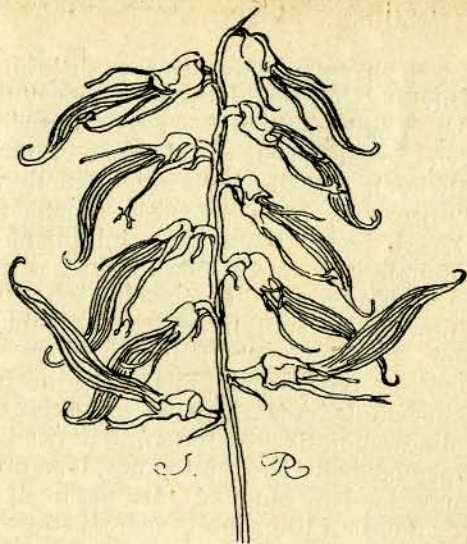
*) Jak już H. Opieński zauważył w swym szkicu o współczesnej polskiej muzyce („Biblioteka warszawska” 1907), u Różyckiego nie jest możliwem dopatrzeć się wpływów jakiegos kompozytora lub jakiegos kierunku. O ile w instrumentalnej muzyce dałoby się skonstatować (choć z trudnością) wpływ R. Straussa, w pieśniach nie można zauważyć żadnych oddziaływań.

Wiemy, że Fitelberg jest przede wszystkim symfonistą, a muzyka instrumentalna tem polem, na którym zdziałał swe najwybitniejsze czyny. Czy przedtem pisał, pieśni, nim powstała symfonia a-moll i a-dur i szereg uwertur i poematów symfonicznych, tego nie wiem; sądzą jednakże, iż raczej żywiołem jego jest orkiestra, instrumentalizm. Wpływ tego pierwiastku jest w wydanych pieśniach **) bardzo silny, a że Fitelberg reprezentuje u nas typ nowoczesnego muzyka, dążącego wszystkimi siłami swego wielkiego talentu do odkrywania coraz nowych wartości z zakresu wszelkich czynników muzycznych, więc też i stosunek swój do pieśni rozstrzygnął w duchu ostatniego stadium rozwoju pieśni europejskiej, głównie niemieckiej (R. Strauss, Max Reger, M. Schillings, daleko mniej Hugo Wolf, do którego czasem jest podobnym Różycki — co do typu i charakteru, będąc jednakże wolnym od wpływów tego genialnego a po Schubercie największego z pieśniarzy. Dziś, gdy muzyka wyłącznie dąży do osiągnięcia jak największego bogactwa środków wyrażania, trudno dzielić kompozytorów na wyłącznie uzdolnionych do tworzenia pieśni lub wyłącznie symfonistów. A ponieważ orkiestra stała się ogniskiem i podstawą tego ruchu, więc nie dziwnego, że i w pieśni odgrywa ona rolę nietylko wystawniejszego akompaniamentu (zamiast fortepianu), lecz jako jedynie zdolny materiał ekspressyjny — stąd też pozornie wokalizm ustępuje na drugi plan, schodząc do rzędu melodyjnego (często w instrumentalnym znaczeniu recytatywu. Nic więc dziwnego, że głos śpiewający rozwija się tak, jak mu każą głosy instrumentalne, innemi słowy — pieśń nowożytna jest poematem symfonicznym w miniaturze z dodanym głosem śpiewającym. Takimi są też pieśni Fitelberga. Polifoniczne ich opracowanie sprawia, że głos śpiewający musi być zależnym od głosów instrumentalnych, że następnie wskutek tego o melodyjności w pospolitem tego słowa znaczeniu niema mowy; że pieśń taka jest do pewnego stopnia — liryką dramatyczną o charakterze symfonicznym („nawet“ z tematycznymi przeróbkami). Widzimy to wszystko w pieśniach Fitelberga. Zajmują one pod tym względem zupełnie odrębne stanowisko w naszej pieśni. Już

**) Op. 19, 21 i 22 („Spółka nakładowa młodopolskich kompozytorów“, Berlin i Warszawa: Gebethner i Wolff). Teksty: Barenta, Dehmela, Momberta, A. Holza, W. Scholtza i M. Stony.

system harmoniczny twórcy „Pieśni o Sokole“ jest najbardziej wyemancypowany i posunięty do nieznanych u nas kombinacji, które zrazu sprawiają wrażenie wielkiej nawet sztuczności, a dyletanci i muzycy słuchający tych dziwnych a ściśle logicznych kombinacji nieco „podręcznikowo“, nie mają możliwości bezpośredniego odczuwania związku poezji i muzyki w pieśniach Fitelberga, który — podobnie jak cała „Młoda Polska“ w muzyce — omija wszelkie szablonu nie dlatego, aby ich z umysłu unikać, lecz z powodu wysubtelnienia i pogłębienia pojęć harmoniczych. Zapewne nie jednemu mogą się wydać dziwnymi a nawet dziwaczniemi modulacje bezustanne u Fitelberga, to bezwzględne zarzucenie wszelkiej tonalności jasno skryształizowanej, ukrytej pod przedziwną nieraz zasłoną t. zw. „harmonicznie obcych tonów“, lecz przy słuchaniu „takiej“ muzyki należy słuchać — nie zaś analizować muzykę. Wtedy zamiast „sztuczności“ znajdzie się właśnie bezpośredniość, jakkolwiek wyrażoną bardzo wyrafinowanym kunsztem wytwornej faktury, w której każdy takt na pierwszy rzut oka może przeciętnego amatora i muzyka przerazić trudnościami wszelkiej kategorii. Ale sztuka Fitelberga nie jest dla każdego i zdaje mi się, że to w naszych kulturalnych warunkach dowodzi nietylko „śmiałości“, ale i szczerości względem siebie i artyzmu. Wydane 2 zeszyty pieśni robią wrażenie, iż nieraz kompozytor w swej staranności idzie za daleko, że opracowuje swój utwór niemal pedantycznie, że zużywa wiele środków dla wyrażenia się. Wrażenie to jest możliwe jednakże tylko — w naszych warunkach. Czy kierunek pieśni Fitelberga będzie trwałym wogóle a w szczególności u samego kompozytora — na to pytanie trudno mi odpowiedzieć. Są one wyjątkowe nietylko jako utwory „najpostępowwsze“ w owych składnikach, ale i jako typy. To nie ulega wątpliwości.

Prócz wymienionych dotychczas pieśniarzy zanotować nam należy kilka najmłodszych nazwisk: Wertheima, Waltera, Raczyńskiego, Wallek-Walewskiego, Friedmana, Wolfsthal, Jachimeckiego, Świerzyńskiego, Bursy i t. d. Jedni z nich wydali zbyt mało, aby już można sądzić o mierze talentów, inni z przekonania są wyznawcami pieśni bądź ludowej bądź obliczonej na najszerze koła melomanów. Dlatego na razie musimy się ograniczyć do wzmiankowania.



R. KIPLING.

ONE

NOWELA.

PRZEŁOŻYŁA Z ANGIELSKIEGO

A. REYMONTOWA.

Mknałem tak szybko, że zdało mi się, iż ziemia ucieka z pod mych kół. Pół hrabstwa zostało poza mną, pędziłem jednak wciąż przed siebie, od widoku do widoku, ze wzgórza na wzgórze.

Już po storczykach, któremi są tak gęsto usiane wschodnie równiny, ukazały się tymianki, dalej ostrokrzewy, wreszcie szara trawa morskich wybrzeży.

Potem przez jakieś piętnaście mil angielskich jechałem przez bogate kraje zbóż i figowców o brzegach tak niskich, że fale nieomal biły o lewe moje ramię.

Skręciłem w głąb ładu, w chaos stłoczonych, krągłych, pokrytym lasem pagórków i znalazłem się w jakimś zupełnie nieznanym kraju.

Za tą przedziwną osadą, której imieniem ochrzczono stolicę Stanów Zjednoczonych, ujrzałem ciche wioski, wtulone pod niebosiężne lipy, że tylko pszczoły, brzęczące w ich konarach, były jedynymi żywymi istotami. Ponad drzewami dźwigały się ciężko szare normandzkie kościoły; swawolne strumyki ginęły pod wielkimi mostami, zbudowanymi snadź dla takich ciężarów, jakich już nigdy dźwigać nie będą; lamusy i śpichrze na dziesięciny, obszerniejsze niż same kościoły; starą kuźnię ze śladami świetnej przeszłości, jako sali Templarjuszów.

Dalej spotkałem cyganów, rozłożonych obozem na gminnych gruntach, gdzie janowiec, paprocie i wrzosa

ONE.

159

walczyły o lepsze na przestrzeni jakiejś mili, wzdłuż drogi rzymskiej. Spłoszyłem lisa o ognistym futrze, wygrzewającego się jak pies w oślepiającym słońcu, aż nakoniec utknąłem wśród lesistych wzgórz, które mnie otoczyły zewsząd nieprzebitą ścianą.

Stałem w samochodzie, by dojrzeć kierunek tej wielkiej dinny, której falisty czób służy za linię demarkacyjną pięćdziesięciomilowej przestrzeni.

Przypuszczałem, że odnajdę z łatwością drogę, prowadzącą na zachód, ale nie brałem pod uwagę tej zasłony z lasów, która mi wszystko myliła.

Zniecierpliwiony skręciłem gwałtownie i nawet znalazłem się na jakiejś zielonej polanie, zalanej po brzegi słońcem, za chwilę jechałem ciemnym tunelem, gdzie zeschłe zeszłoroczne liście zaczęły wirować i fruwać z szelestem pod memi pneumatykami.

Potężne gałęzie leszczyny, zrosnięte w górze, nie widziały zapewne piły co najmniej od dwóch pokoleń, a siekiera nigdy nie przeszkodziła dębom, ni bukom, stoczonym przez mchy, wyrastać wysoko ponad korony leszczyny. Tutaj droga zmieniła się poprostu w mroczny ducht, wysłany kobiercem z brunatnego pluszu, utkany, niby jaspisem, gęstymi bukietami pierwiosnków, gdzie wątle hijacynty o białych łodyżkach kłoniły swe główki w jednostajnym ruchu.

Korzystając z pochyłości, przyspieszyłem biegu, ślizgając się po szeleszczących liściach i oczekując co chwila spotkania z leśnikiem. Lecz tylko w dali słyszałem przekomarżającą się z martwą ciszą sówkę, gdzieś, w mroku drzew.

Droga wciąż spadała. Już miałem zawrócić, skąd przybyłem, gdy nagle silny snop słońca, przedzierający się przez gęstwinę, uderzył mnie w same oczy.

Stałem na miejscu. Rozejrzałem się wokół. Droga szła ciągle w dół, lecz jednocześnie zauważyłem, iż przednie koła samochodu wpadły na trawnik jakiegoś cichego tarasu, gdzie stały na straży cisy, strzyżone w kształt rycerzy z opuszczonymi dzidami i dworskich sztywnych panien o okrągłych głowach i olbrzymich pawach.

Taras ten objęty był lasem z trzech stron—z czwartej wznosił się stary dom, z chropawego kamienia, zjedzony przez wieki, dom z oknami w krzyżownicę i dachem z czerwono-różowej dachówki. Półkolisty mur, także różowo-czerwony, otaczał dom i zamykał taras z czwartej

strony; pod murem tulił się żywopłot z bukszpanów na wysokość człowieka. Dokoła smukłych ceglanych komi-nów siedziały gołębie, a ośmiokątny gołębnik zamajaczył mi przez chwilę, by zaraz zniknąć za zakrętem muru.

Stałem jak wryty; zielona dzida rycerza dotykała mej piersi—nie mogłem oczu oderwać, oczarowany niezwykłą pięknnością tego klejnotu i jego oprawą.

„Jeśli mnie kto stąd nie wyrzuci za najście cudzego domu, lub ten rycerz nie przepędzi, powinni ukazać się przez tę uchyloną bramę Szekspir i królowa Elżbieta i zaprosić mnie na herbatę.“

W oknie, na piętrze, ukazał się chłopczyk, dający rączką jakieś przyjacielskie znaki, ale nie mnie, lecz prawdopodobnie towarzyszowi swemu, gdyż po chwili ukazała się w oknie druga wesola, jasna główka.

Wśród strzyżonych cisowych pawi usłyszałem radosne śmiechy; obejrzałem się w tył (dotychczas nie odrywałem oczu od domu). Za jakimś żywopłotem ujrzałem srebrną smugę fontanny, strzelającą wysoko w górę, na przeloczonem tle nieba.

Gołębie na dachu odpowiadały gruchaniem na bełkot wody, ale między te dwa głosy wdzierał się sciszony i szczęśliwy chichot dziecka, najwidoczniej zajętego płataniem jakiegoś figla.

Ciężka, dębowa brama w murze uchyliła się nieco, i kobieta w dużym ogrodowym kapeluszu ukazała się na jej tle, stawiając ostrożnie nogę na wyżłobionym przez wieki kamiennym stopniu. Zwolna przeszła przez gazon, zbliżając się ku mnie.

Już miałem zacząć się tłumaczyć, gdy podniosła głowę. Spostrzegłem, że jest niewidoma.

— Czy to automobil? spytała pierwsza. Słyszałam go.

— Obawiam się, że zmylił drogę, zacząłem się niezręcznie tłumaczyć. Powinienem był zawrócić nieco wyżej. Nigdy nie ośmieliłbym się....

— Ależ bardzo się z tego cieszę! Automobil i to tutaj, w ogrodzie! (Odwróciła się, jakby szukając dokoła). Czy pan tutaj nikogo nie widział.... przypadkiem?

— Nikogo, ktoby mnie mógł objaśnić. Widziałem tylko zdaleka jakieś dzieci.

— Dzieci?

— Widziałem tam dwoje w oknie, na górze, i zdaje mi się, że słyszałem jakiegoś psotnika, tutaj gdzieś w bliskości.

— Oh! jakież pan szczęśliwy! zawołała. (Twarz jej się rozjaśniła.) Ja mogę je słyszeć, ma się rozumieć, ot i wszystko. A pan je widział i słyszał?

— Tak, pani. I jeśli się znam nieco na dzieciach, jedno z nich płata jakiegoś figla tam, przy fontannie.

— Musiał się wymknąć, przypuszczam....

— Pan lubi dzieci?

Przytoczyłem kilka powodów, dla których nie miałem powodu nienawidzić ich.

— Naturalnie, naturalnie, odparła. Więc pan rozumie? Więc nie będzie to dla pana zbyt śmiesznem, jeśli go poproszę o przejechanie automobilem po ogrodzie.... ostrożnie, wolniutko? Dzieciom musi to sprawić wielką uciechę. Biedne małaństwa, tak mało widzą! Robi się co można, żeby je rozerwać, lecz.... (wskazała ręką na otaczające lasy).... jesteśmy tutaj poza światem!

— Ależ z największą przyjemnością, zawołałem, lecz nie mogę psuć trawnika.

Zwróciła głowę w prawo.

— Zaraz, w tej chwili. Jesteśmy u południowego wejścia, nieprawdaż? Za pawiami idzie aleja, wyłożona kamieniami.

To Aleja Pawi. Stąd podobno jej nie widać, ale trzeba przejechać tuż pod lasem i zaraz za pierwszym pawiem skręca się w Aleję.

Wydało mi się świętokradztwem zakłócanie sennej ciszy tego, zakłętego w marzeniu domu, brutalnym hałasem maszyny, to też manewrowałem tak ostrożnie, by nie dotknąć puszystego gazonu, przesunąłem się zręcznie tuż pod samym lasem i, zatoczywszy półkole, wyjechałem na szeroką kamienną drogę, gdzie połyskiwał basen fontanny, jak wielki gwiazdasty szafir.

— Czy ja też mogę jechać? zawołała za mną.... Nie, dziękuję, proszę mi nie pomagać. To się dopiero dzieci ucieszą, gdy mnie zobaczą!

Z łatwością znalazła drogę do automobila, i stając na stopniu, zaczęła wołać:

— Dzieci, hej dzieci! Patrzcie, co się tutaj będzie działo! Głos jej mógłby chyba wybawić dusze potępionych z piekła, taka przedziwna moc uczucia i tklivości w nim zadźwięczała, nie zdziwiłem się też wcale, gdy między drzewami odpowiedziały radosne krzyki. Musiało to być dziecko z pod fontanny, ale skoro podjechaliśmy do niej, nikogo już nie było, tylko porzucony stateczek kołysał

się samotnie na wodzie, a w oddali, między strzyżonemi drzewami, przemykała się błękitna bluzka.

Pełni najlepszych intencji, defilowaliśmy z jednego końca alei w drugi, wracając kilkakrotnie na prośbę niewidomej. Ale dziecko, które opanowywało najwidoczniej swą obawę, trzymało się zdala i nieufnie.

— Ten malec nas obserwuje, zauważyłem, ciekaw jestem czy nie podobałaby mu się mała przejażdżka?

— One są jeszcze bardzo dzikie. Bardzo dzikie. Ale, mój Boże, jaki pan szczęśliwy. Może pan je widzieć! Chwileczkę posłuchajmy.

Zatrzymałem maszynę w miejscu, a wilgotna cisza, przesycona zapachem bukszanów, opadła na nas, jak ciężki płaszcz. Usłyszałem chrzęst nożyc — prawdopodobnie ogrodnik strzygł krzewy — brzęk pszczoł i urywane jakieś głosy, które mogły pochodzić od gołębi.

— Oh, niedobre, szepnęła znużonym głosem.

— Może się boją samochodu. Tamta dziewczynka w oknie, wydaje się bardzo zaciekawiona.

— Tak? (Podniosła głowę.) Jestem niesprawiedliwa. Nie miałam prawa tego mówić, one mnie poprostu uwielbiają. Jest to jedyna rzecz, dla której warto żyć..... gdy one nas kochają, nieprawdaż? Nie mogę nawet pomyśleć, czem byłoby to miejsce bez nich..... Przy tej okazji, niech mi pan powie, czy tutaj jest ładnie?

— Zdaje mi się, że jest to najpiękniejsze miejsce, jakie widziałem w moim życiu.

— Wszyscy tak mówią. Naturalnie, sama też to czuję, ale przecież co innego zupełnie....

— Czyż pani nigdy nie?.... zacząłem.

Przerwałem zmieszany.

— Nie, odkąd pamiętam. Podobno stało się to, gdy miałam zaledwie kilka miesięcy. Jednak musiałam cośkolwiek zapamiętać, bo jakże inaczej mogłabym śnić o kolorach? We snach widzę światło i barwy, lecz *ich* nigdy nie mogę zobaczyć. Słyszę je tak samo we śnie, jak na jawie.

— Bardzo trudno widzieć twarze we śnie. Pewni ludzie to mogą, lecz wogóle nie mamy tego daru, mówiłem, patrząc w okno na górze, gdzie stało dziecko, żeby tak rzec — ukryte.

— Słyszałam też o tem, odpowiedziała. Mówią, że nigdy nie widzi się we śnie twarzy osoby umarłej. Czy to prawda?

— Myślę, że tak..... teraz, kiedy o tem myślę.

Martwe oczy zwróciły się ku mnie.

— Ah! to tak samo smutne, jak być ślepy.

Słońce opadło za lasy, długie cienie obejmowały stopniowo cisowych rycerzy. Ujrzałem światło, konające na końcu lancy z błyszczących liści, i wszystką mocną twardą zielen, powlekającą się puszystym kirem.

Dom, zapatrzony w jeszcze jeden zachód konający, jakich już widział setki tysięcy, zapadał coraz bardziej w martwą ciszę, wśród tych czarnych widm.

— Czy panu kiedy było tego brak? spytała po chwili milczenia.

— Czasem bardzo, odparłem.

W górze zapadały cienie, i dziecko odeszło od okna.

— Ah, i mnie również; lecz nie przypuszczam, aby to było wolno..... Gdzie pan mieszka?

— Na drugim końcu hrabstwa — ze sześćdziesiąt mil stąd lub więcej, powinienem już jechać. Nie mam z sobą latarni.

— Ale czuję, że jeszcze jest widno.

— Obawiam się, że się ściemni zupełnie, nim zdążę dojechać do domu. Czy nie zechciałaby mi pani dać kogoś, ktoby wskazał drogę? Zbłądziłem bez wyjścia.

— Poszlę z panem Maddena aż do gościńca. Nie się panu nie dziwię, można się zgubić w takim pustkowiu! Tymczasem pokażę panu drogę, którądy zajechać przed dom. Lecz będzie pan jechał wolniutko, nieprawdaż, póki pan nie wyjedzie z naszej posiadłości? Proszę mi powiedzieć, czy ta prośba jest bardzo dziecinna?

— Obiecuję jechać w tem tempie, odparłem, puszczając maszynę bez motoru w dół po kamiennej drodze.

Objechaliśmy lewe skrzydło domu, którego artystyczne ołowiane rynnny warte były same 'dla siebie całodzienną podróży, potem przejechawszy pod wielkim wjazdem, okrytym różami, wybitym w czerwonym murze, stanęliśmy przed wysoką fasadą, o wiele jeszcze piękniejszą i wspanialszą, niż tył domu, który i tak przewyższał wszystko, com widział dotychczas.

— Czyż tutaj naprawdę tak ładnie? spytała zamyślona, słysząc moje zachwyty. Więc pan także kocha te ołowiane figury? Z tyłu, za domem, jest stary azaljowy ogród.

— Przypuszczają, że to miejsce stworzone było dla dzieci..... Proszę pana pomóc mi wysiąść? Chciałabym

jechać z panem aż do gościńca, ale nie powinnam ich opuszczać.... Maddenie, czy to wy jesteście? Trzeba pana wyprowadzić na drogę. Zbłądził, ale.... widział je.

Kamerdyner ukazał się, jak cień, w starym dębowym cudzie, który się zwał głównymi drzwiami, i zniknął natychmiast, aby się zjawić za chwilę z kapeluszem w ręku. Ona stała na miejscu, z podniesionymi ku mnie szeroko, otwartymi, błękitnymi oczami, które nie widziały, i dopiero wówczas spostrzegłem, jak bardzo jest piękna.

— Proszę pamiętać, że jeśli je pan lubi, wróci pan tutaj, mówiła spokojnie i za chwilę zniknęła w głębi domu. Kamerdyner już siedział w powozie i nie odezwał się ani słówkiem. Kiedy mijaliśmy łożę odźwiernego, spostrzegłem pomiędzy krzewami przemykającą niebieską bluzkę, skręciłem więc gwałtownie w bok, z obawy aby djablik, kierujący swawolą dziecka, nie uczynił mnie dzieciobójcą.

— Przepraszam wielmożnego pana, czemu pan to uczynił?

— Tam—dziecko.

— Nasz panicz w niebieskiej bluzce?

— Zapewne.

— Tak, tak, on biega na wszystkie strony. Czy pan go widział przy fontannie?

— Tak, kilka razy.... Czy tutaj skręcimy?

— Tutaj. A czy wielmożny pan widział je też w oknie?

— Na górze? Tak, widziałem.

— Czy to było, zanim pani wyszła z domu?

— Na chwilę przedtem, ale dlaczego o to pytacie?

Nastąpiła chwila milczenia.

— Tylko dlatego ośmieliłem się pytać, żeby się upewnić, czy dzieci widziały automobil, one tak biegają ciągle na wszystkie strony, że o wypadek nietrudno, choć jestem pewien, że wielmożny pan jeździ bardzo ostrożnie. Ale otóż i gościniec. Teraz nie może pan zbłądzić.... Dziękuję, proszę pana, ale u nas niema zwyczaju, nie z.... cofnął się z godnością.

— Przepraszam was, odparłem, chowając brytański pieniądz.

— Oh z innymi wogóle to się robi.... Sługa wielmożnego pana.

Za chwilę zniknął mi z oczu ten sługa, tak wyrażnie zazdrosny o honor domu, i w dodatku interesujący

się niezwykle światkiem dziecięcym, zapewne dzięki niańce.

Minałem drogowskazy przydrożne i obejrzałem się za siebie, lecz widnokrąg tak był zamknięty splątaniem wzgórzami, że nie mogłem się zorientować, gdzie został cudny dom, który przed chwilą opuściłem.

W jakiejś chacie, po drodze, spytałem, jak się nazywa ten zamek, lecz otyła kobieta, sprzedająca tam cukierki, wyjaśniła mi wcale nieuprzejmie, że automobiliści nietylko nie mają prawa do życia, a tembardziej do rozbijania się na wszystkie strony, jak powozowi państwo, lecz nie należą wcale do ludzi, z którymi jest przyjemnie się spotykać.

Wieczorem, gdy wróciłem do domu, szukałem drogi na mapie i nic się również nie dowiedziałem. Okolica nosiła nazwę od starej fermy Hawkina, a dawny słownik geograficzny hrabstwa, zazwyczaj tak rozwlekły, nie podawał o niej żadnej wzmianki. Wielkim domem w okolicy był Hodnington Hall, w stylu z czasów Jerzych, z ozdobami z początków panowania Wiktorji, co poświadczał okropny staloryt. Udałem się z tą sprawą do sąsiada — wybornego znawcy całej okolicy — który mi wymienił jakieś nic nie mówiące nazwisko rodziny.

W jakiś miesiąc potem puściłem się tą samą drogą.

Może to zresztą mój automobil zawiózł mnie tam z własnej woli, bo lotem błyskawicy przebył bezpłodne doliny; skoro się znalazł w labiryncie ścieżek z ubocza wzgórz, objechał z łatwością wszystkie zakręty; przebił się wskroś wysokie ściany leśne w całej pysze zieleni i wychylił się na gościńcu, gdzie mię pożegnał kamerdyner, lecz wkrótce poczułem, że dzieje się w nim coś niedobrego, skręciłem więc na jakąś zarośniętą ścieżynę, wdzierającą się w letnią ciszę leszczynowych zarośli.

O ile mi pozwoliło sądzić słońce i sześciocalowa mapa sztabowa, był to od strony drogi brzeg lasu, który widziałem najpierw ze wzgórz, nad nim się wynoszących.

Wziąłem się z całym pietyzmem do naprawy maszyny, rozłożyłem symetrycznie na derce wszystkie błyszczące narzędzia, klucze, pompę i t. d. Kombinowałem, że na te sidła mógłbym zwabić cały ród dziecięcy, który chyba w taki dzień musi być gdzieś w pobliżu.

Nasłuchiwałem więc w przerwach, lecz las był tak pełen gwaru letniego (choć ptaki siedziały już w gniazdach), że nic nie mogłem z początku rozróżnić. Dopiero

po długiej chwili usłyszałem ostrożne, zwinne kroczki, przemykające cichaczem po suchych liściach.

Dla zachęty zacząłem trąbić, lecz zaraz pożałowałem tego, gdyż wszystko ucichło; widocznie spłoszyłem zwinne nóżki niespodzianym głosem trąbki.

Dokończenie nastąpi.



N A F A L I.

„Pro Italia“. Żniwo śmierci. Twórca „Kirgiza“ i echa dzieiństwa.

Pod okropną gwiazdą zniszczenia i śmierci rozpoczął się rok 1909. Trzęsienie ziemi w Kalabrii i Sycylii zburzyło doszczętnie piękne miasta, a pod ich gruzami zginęło w jednej chwili lub—co gorsza—po długich męczarniach — przeszło 200,000 pracowitej a nieszczęśliwej ludności. Klęska, która dotknęła Włochy na progu roku nowego, przewyższa swą okropnością wszystkie inne w tym rodzaju, o których wie cokolwiek historia, nie wyłączając owego wybuchu Wuzuwjusza, który zasypał kiedyś Pompeję i Herkulanum. Pełne grozy sceny, których widownią była piękna i kwitnąca Messyna, oraz miasta i wioski sąsiednie, przewyższały swą okrutną rzeczywistością wszystko, co wymyśliła ponura fantazja Dantego, były jakimś cząstkowym końcem świata bez odgłosu trąb archanielskich, ale za to z hukiem i trzaskiem walących się domów, z szumem, płomieniami i dymem wybu-

chających co chwila pożarów, z wyciem wichru i wściekłym rykiem morza, pochłaniającego domy i ludzi, zagarniającego bezpowrotnie całe dzielnice miast i wsi nadbrzeżnych.

Cała ta klęska bezprzykładna, na której myśl dreszcz dotąd przechodzi, przy wszystkich swych okropnościach ma jednak w swych skutkach coś jakby promień jaśniejszy. Jest nim to przejawiające się we wszystkich krajach cywilizowanych głębokie współczucie dla pokrzywdzonych tak strasznie, a tak niewinnie Włochów, współczucie, którego wyrazem była od pierwszej chwili szeroka akcja ratunkowa na korzyść dotkniętej klęską ludności. Na pomoc ginącym miastom pośpieszyli najpierw marynarze amerykańscy i rosyjscy i z narażeniem życia własnego ratowali z pod walących się domów nieszczęśliwe ofiary katastrofy. Na wieść o klęsce we wszystkich krajach cywilizowanych zawiązały się komitety pomocy, posypały się wyrazy współczucia i składki. Solidarność międzynarodowa ludzkości wzniosła swój sztandar potężny ponad pożarami i zgłiszczami, ponad zalewami mórz i wstrząśnieniami lądów.

A u nas? U nas cicho dosyć było z początku. Redakcje pism wysłały telegram kondolencyjny, ten i ów pośpieszył z datkiem, w Filharmonji i w cyrku zaprojektowano przedstawienia jakieś, lecz wszystkie te objawy szły sobie luzem, akcja cała pozbawiona była jednolitości, pozbawiona była poprostu charakteru. I dopiero odezwa Marji Konopnickiej „Pro Italia“, ogłoszona 15 stycznia w „Kurjerze Warszawskim“, nadała usiłowaniom luźnym pewną jednolitość, podniosła je i zabarwiła ideowo. Wielka poetka, ta najczulsza u nas, jak ją nazwałem gdzieindziej, na wszystkie drgnienia bólów i radości społecznych i narodowych złotostrunna harfa poezji, uderzyła odrazu w ton właściwy; odezwa jej trafiła do serc, bo z wrażliwego serca wypłynęła, bo była wyrazem tego „czegoś“, co czuliśmy może wszyscy, czego jednak nikt przed Konopnicką nie sformułował.

„Luźna dotychczas akcja pomocy dla Włoch—pisze znakomita poetka—dotkniętych klęską niepowetowaną, zbyt słaba jest i zbyt dorywcza, aby stać się mogła wyrazem bratniej solidarności naszej z ich ciężką żałobą.

Trzeba nam akcję tę rozszerzyć, wzmocnić, pogłębić, trzeba nam całą Polskę do udziału w niej powołać. Istnieją liczne i silne węzły historyczne i uczuciowe między narodem naszym a Włochami.

Stamtąd wyszedł nasz humanizm; tam u wielkich ognisk wiedzy rozpalały się duchy sławnych ziomeków naszych; tam czerpała dech i światło nauka nasza i sztuka. Tam Mickiewicz ogłosił z Kapitolu nienaruszalność prawa narodów, tam rozwinął ostatnią chorągiew natchnionego męką i miłością czynu. Tam też zawiązało się między nami a Włochami nierozzerwalne braterstwo. A gdy pruskie gwałty uczyniły się głośniami w Europie, stamtąd rozgrzmiał najżywszy, najgorętszy protest przeciw barbarzyństwu. Całe Włochy—od stolicy do ubogich osad górskich, od ławy deputowanych do związków robotniczych, obwołały się jednym hasłem: „Pro Polonia“.

Dziś, kiedy kwitnące miasta nieszczęsnej krainy cmentarzem się stały, cała Polska powinna odpowiedzieć na okrzyk ten bratniem: „Pro Italia“.

Niech się poruszają serca, niech wyciągną dłonie. Niechaj padną grosze drobne, liczne grosze narodu całego.

Niechaj nam rozbłyśnie w pamięci złota legienda wspólnych walk i wspólnych nadziei. Niechaj Warszawa, a za nią kraj cały wzruszy się szlachetną żądzą, aby nas nie liczono między niewdzięcznych, między obojętnych.“

Konopnicka nie poprzestała na rzuceniu hasła, lecz pierwsza przeznaczyła „pro Italia“ honorarjum, przypadające jej za wiersz w numerze noworocznym „Kurjera“. Rzuconą przez nią myśl poparł gorąco Henryk Sienkiewicz, przeznaczając również na rzecz ofiar katastrofy piękny fragment p. t. „Sonata księżycowa“, zamieszczony w „Kurjerze“ 24 stycznia. Wielka poetka i znakomity

powieściopisarz spotkali się w myśli szlachetnej, a jako artyści prawdziwi—silniej od śmiertelników zwykłych odczuli ową nierozzerwalną spójnię duchową, łączącą od wieków ziemię włoską z Polską. Inicjatywę ich przyjęto wogóle życzliwie, choć akcji pomocniczej na szerszą skalę nie zorganizowano dotąd. Ale nie chodzi już w danym razie o wysokość tej pomocy—składki w każdym razie popłynęły i płyną jeszcze: ważnem jest, według mnie, to, że w chwili takiej dwa sternicze duchy narodu polskiego wyciągnęły dłoń bratnią ku narodowi włoskiemu, który dawał nam w ciągu wieków nie tylko światło wiedzy, ale i krew ofiarną swych synów najlepszych.

Tu i owdzie dały się wprawdzie słyszeć pomruki o potrzebach i nędzy krajowej, wobec których, panie tego, szkoda i paru złotych — dla obcych, bo my „za biedni jesteśmy“ etc., ale pomruki te były tym razem stosunkowo rzadkie, no i pochodziły, naturalnie, przedewszystkiem od tych, którzy na cele społeczne nie tylko obcym, ale i swoim grosza nigdy nie złożą, choć nie brak im środków na życie dostatnie, niekiedy nawet na zbytki bezmyślne. Są to ci sami szlachetni mężowie, (czasem i szlachetne niewiasty), których miał zapewne na myśli kolega Leo Belmont, redaktor wskrzeszonego po zniesieniu stanu wojennego i zawsze pełnego werwy—„Wolnego Słowa“, gdy prosił swych prenumeratorów, aby nie pożyczali pisma jego tym z pośród znajomych swoich, którzy mają pieniądze na wszystko—brak im ich tylko stale—na książki i czasopisma. U nas jednak bywa tak często: przegrać w karty 10 rub. jednorazowo — to bagatela, wydać drugie dziesięć w kawiarniach, restauracjach, kabaretach—to drobiazg, o którym mówić nie warto. Ale przeznaczyć stale bodaj pięć rubli miesięcznie na poważniejsze czasopisma i książki — byłoby to zbytkiem dopiero, byłoby grzechem nie do darowania, na który — nie stać nas przecież. O tak, my przecież umiemy oszczędzać!..

Nie mieliśmy wprawdzie trzęsienia ziemi i wielkich klęsk żywiołowych, ale śmierć była w miesiącu ubiegłym za mało dla nas oszczędna. Zabrała nam jedną po drugiej —szereg osób zasłużonych, przyczem kosa jej dosięgała nie tylko ludzi wiekowych, lecz i młodych a pożytecznych, których żal zawsze—podwójnie. Z pokolenia starszego zmarli historycy i profesorowie literatury, Władysław Nehring, Adam Bełcikowski i Florjan Łagowski, a świeżo utalentowana komedjopisarka Zofja Mellerowa; z młodszych—poeta, krytyk i działacz społeczny Adam hr. Krasiński, redaktor „Biblioteki Warszawskiej“, rodzony wnuk Zygmunta; dalej Józef Łoziński, wnuk Kraszewskiego, dobry znawca teatru i sumienny sprawozdawca „Przeglądu Porannego“; wreszcie Stanisław Lack, zdolny i oryginalny krytyk i nowelista, którego pracę o nowym dramacie Orkana drukowaliśmy w „Sfinksie“ przed rokiem.

Niektórym ze zmarłych poświęcimy wspomnienie obszerniejsze w zeszycie następnym. Tu słów bodaj kilka należy się jeszcze setnej rocznicy urodzin niezapomnianego autora „Stepów“ i „Kirgiza“, Gustawa Zielińskiego, który przyszedł na świat 1 stycznia 1809 roku. Brak czasu nie pozwolił mi na razie przygotować szkicu dłuższego o niedocenionym u nas i zamało znanym poecie, którego sam cenię wysoko, dla którego mam kult pewien od dziecka. Piękne ustępy z jego „Kirgiza“, słyszane w dzieciństwie jeszcze na wsi od Ojca, który je deklamował często, tkwią mi dotąd żywo w pamięci. „Jak tu technąć miło—cytuję na pamięć—jak ta przyroda i wiecznie piękna, i wiecznie młoda! Może-li człowiek, który ma serce, więzić się pośród murów ciasnoty, mając pod stopą takie kobierce, mając nad głową takie namioty?..“

Przypuszczam, że nie ja tylko pamiętam dotąd ustęp inny, zaczynający się od słów: „O, to nie miłość naszych salonów, tkań słów jedwabnych, zręcznych pokłonów, na tle wybladłem czezej etykiety...“ A jednak—nikt odczytem bodaj lub studjum obszerniejszem nie uczył w Warsza-

wie setnej rocznicy twórcy „Kirgiza...” Zaznaczając więc tylko na razie, że posiadamy drukowane wydanie zupełne jego dzieł, poprzedzone życiorysem obszernym i oceną jego działalności przez Piotra Chmielowskiego (Toruń, własność i wydanie Rodziny, 1-go roku XX stulecia), odsyłamy do niego tych wszystkich, którzy chcieliby poznać bliżej niezwykle koleje życia i godną uwagi twórczość Zielińskiego. Na przyszłość—może niedaleką—odłożyć muszę spłacenie długu wdzięczności względem poety, którego dzieła wzruszały mnie nieraz, opromieniając niezapomniane dni szczęśliwego dzieciństwa...

WŁ. BUKOWIŃSKI.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Niecierpliwiej. Zeszyt styczniowy „Sfinksa” wyszedł z parodniowym opóźnieniem, ale za to zawiera *dwanaście* arkuszy druku, zamiast zapowiadanych dziesięciu. Następne zeszyty ukazywać się będą w czasie właściwym.

Niezadowolonemu z pisowni. Do pisowni naszej wprowadziliśmy od zeszytu styczniowego modyfikację: zachowując pisownię fonetyczną (Marja, geografja etc.), rozróżniamy obecnie rodzaje w szóstym przypadku przymiotników (dobrym synem, dobrem dzieckiem; dobrymi synami, dobrymi córkami lub dziećmi), przyznając słuszną współpracownikom i czytelnikom, którzy uważali, że zaniedbanie tych różnic prowadzi do zubożenia języka i niepożądanego jest zwłaszcza dla poetów.

Nowemu prenumeratorowi. Zeszyty I i II „Sfinksa” z roku ubiegłego są już oddawna wyczerpane. Pozostało nam jeszcze kilkadziesiąt kompletów od marca do końca roku 1908 (dziesięć zeszytów), stanowiących całość zupełną, gdyż zawierają one od początku do końca powieść Zofji Rygier-Nałkowskiej p. t. „Rówieśnice”, całą pierwszą część „Nietoty” T. Micińskiego, całe (w trzech zeszytach) studjum Ign. Matuszewskiego o Żeromskim i „Dziejach grzechu”, studjum Kotarbińskiego o „Duchach” Świętochowskiego, studjum Chybińskiego o „Śpiewakach—mistrzach norymberskich” Wagnera, obszerne studjum Kleczyńskiego o rzeźbie współczesnej, studja Bukowińskiego o Asnyku i Konopnickiej i wogóle szereg prac i utworów, niezależnych zupełnie od zawartości pierwszych dwóch zeszytów. Komplet taki wraz z portretami (portret *barony* Świętochowskiego) i innymi dodatkami artystycznymi nabyć można w Redakcji naszej (Hortensja 4) za rb. 6, a z przesyłką pocztową rb. 7. Zeszyty I i II nabywamy sami chętnie po cenie redakcyjnej.

PRZEGLĄD PRASY.

Grudniowy zeszyt **Biblioteki Warszawskiej** zawiera na wstępie rozprawę B. Koskowskiego p. t. „Turcja w Azji”. Znakomita poetka Marja Konopnicka drukuje dalsze strofy (pieśń X) „Pana Balcera w Brazylii”. Prof. Szymon Askenazy zamieścił ciekawy szkic historyczny o pierwszym „syjonście” polskim, jak nazwał starego Żyda polskiego Salomona Płońskiego, którego pielgrzymka do Jerozolimy w r. 1821 naraziła na prześladowanie ze strony ówczesnej „czarnej kancelarii” z Nowosilcowem i Bajkowem na czele. Trzy arkusze blisko zajmuje w „Bibliotece” ostatniej dokończenie powieści p. Oryelskiej p. t. „Hanka”. Swą obszerną próbę charakterystyki Cyprjana Norwida kończy również w tym zeszycie znany powieściopisarz Adam Krechowiecki, a jeden ze współredaktorów „Biblioteki”, znakomity znawca teatru i literatury Władysław Bogusławski, kreśli krótką sylwetkę zmarłego świeżo, popularnego niegdyś komedjopisarza Wiktorina Sardou. Obszerne zarys ruchu umysłowego w Niemczech przez Jana Kochanowskiego, sprawozdanie H. Mościckiego z wydanych w „Bibliotece” dzieł wyborowych „Pism satyrycznych” Jędrzeja Śniadeckiego, Kronika miesięczna, wiadomości naukowe, literackie i bibliograficzne, oraz dodatek „Praca”—kończą bogaty, jak zwykle, zeszyt „Biblioteki”, której z powodu przedwczesnej śmierci redaktora Adama hr. Krasińskiego przesyłamy szczere wyrazy współczucia.

Obszernym zeszytem jubileuszowym zakończył krakowski **Przegląd Powszechny** dwudziesty piąty rok swego istnienia. Z miesięcznikiem tym, wydawanym przez O. Jezuitów, stoimy pod wieloma względami na przeciwnych biegunach, przyznać jednak należy, że jego dział literacki zawiera często ciekawe i wartościowe, a przeglądy piśmiennictwa polskiego i obcego prowadzone są sumiennie. Część swego zeszytu jubileuszowego poświęcił „Przegląd” pięćdziesięcioleciu jubileuszowi Piusa X, którego portret umieszczony został na czele. Sprawę syjonizmu omawia w tym zeszycie dr. Wł. Czerkaski; ks. Józef Sas kończy swą rozprawką p. t. „Anatol France w sprawie Joanny d'Arc”, prof. Kazimierz Morawski zamieszcza roz-

dział z pracy o Katonie Starszym. Ozdobę zeszytu stanowi początek powieści E. Orzeszkowej p. t. „Hekuba“, którą drukuje jednocześnie „Kurjer Litewski“. „Z książki, która ma wyjść“ daje urywków parę Lucjan Rydel; jeden z nich p. t. „Po latach“ pozwolimy sobie przytoczyć:

„Śpi snem kamiennym królewna zaklęta,
Dokoła rajskie szumią jej ogrody
I po marmurach szemrzą srebrne wody...
Śpi snem kamiennym królewna zaklęta.
Przez nieprzebyte róż kwitnących pęta
Próżno królewicz przedziera się młody —
Śpi snem kamiennym królewna zaklęta,
Dokoła rajskie szumią jej ogrody.

Od tego czasu przeszły długie lata
I dziś oboje są dla siebie niczem.
Królewicz przestał już być królewiczem,
Nad głową jego długie przeszły lata
I odleciała go młodość skrzydlata, —
Lecz rajski ogród z królewny obliczem
Wspomina nieraz — i te dawne lata —
Chociaż oboje są dla siebie niczem.

I błogosławi zaklętej królewnie,
Gdy życia brzemię ciąży mu nadmiernie —
Za rajski ogród, za różę, za ciernie...
I błogosławi zaklętej królewnie —
Za źródło przeczysty w marmurów cysternie,
Za to, że niegdyś kochał ją tak wiernie,
I błogosławi zaklętej królewnie,
Gdy życia brzemię ciąży mu nadmiernie...

Z innych prac i utworów, zamieszczonych w jubileuszowym zeszycie „Przeglądu Powszechnego“, wymienimy jeszcze dwa krótkie fragmenty dramatyczne z puścizny poetyckiej po Stanisławie Wyspiańskim, „Gruszki na wierzbie“ — rodzaj feljetonu — przez Wojciecha Dzierduszyckiego, oraz artykuł A. Mazanowskiego „Z niwy poetycznej“, omawiający parę zbiorów wierszy, jakoto: „Romans“ A. Niemyskiej, „Sonety“ (wschodnie, rzymskie i polskie) Kazimierza Lubeckiego, „Psalm ziemi“ L. H. Morstina, „Poezje“ Z. Ułaszynówny, „Po drodze“ J. Huskowskiego i — „Balladę o słoneczniku“ Kasprowicza, nazwaną przez krytyka orleńmi wlotami ku słońcu.

Na czele grudniowego zeszytu wychodzącego w Krakowie **Przeglądu Polskiego**, znajdujemy portret cesarza Franciszka Józefa, oraz artykuł St. Tarnowskiego p. t. „W sześćdziesiąt rocznicę panowania Cesarza Franciszka Józefa“. Twórczość Lukjana omawia na dwudziestu stronicach dr. Tadeusz Sinko, a dr. Józef Flach dzieli się z czytelnikami „Przeglądu“ wrażeniami i spostrzeżeniami „Z wakacyjnej podróży“, odbytej w lecie r. z. po Austrii, Niemczech, Belgii i Francji. Dr. Marcei Nałęcz-Dobrowolski zamieszcza ciąg dalszy rozprawy swojej p. t. „Sztuka i uosobienie śmierci (ikonografia śmierci)“, a St. Tarnowski ciągnie dalej studjum o Julianie Klacze. „Sprawy krajowe“ (Sejm r. 1908), kronika literacka, przeglądy teatralny i polityczny kończą dwunastoarkuszowy zeszyt wydawnictwa, którego prenumerata roczna wynosi w Krakowie 32 korony, a u nas rubli 16.

Wydawana w Krakowie przez Wilhelma Feldmana **Idea** rozrosła się w porównaniu z rokiem przeszłym. Zeszyt styczniowy, podzielony na dwa działy: polityczno-społeczny i literacko-artystyczny, zawiera razem 164 strony druku, w czem połowa przeszło *petitu*. W dziale polityczno-społecznym obok artykułów St. Grabowskiego, dra Wł. Gumplowicza, A. Grossa i innych, znalazła się niewłaściwie ciekawa rozprawka A. Września (pseudonim jednego z znanych poetów) p. t. „Poezje więzienne“, należąca z treści i formy do działu literacko-artystycznego. Ten ostatni przynosi na wstępie parę wierszy lirycznych Wincentego Brzozowskiego, początek szkicu estetycznego M. Sobieskiego p. t. „Przędziwo Arachny“, początek oryginalnej noweli satyrycznej Władysława Orkana p. t. „Wesele Prometeusza“ (z piękną i sentymentalną warszawianką, panną Irys, z którą się poznali... w Zakopanem), „Historje naiwne“ (cztery wiersze liryczne) Kar. Mustafy, początek ciętej niekiedy, przekraczającej właściwe w polemice literackiej granice), odpowiedzi W. Feldmana na naganę, zapoczątkowaną przeciwko *piątemu* wydaniu jego „Współczesnej literatury polskiej“ przez p. Jana Bełcikowskiego w Warszawie i p. Ignacego Rosnera w „Czasie“ krakowskim. Do sprawy tej powrócimy obszerniej w zeszycie lutowym, tu jednak zaprotestować musimy przeciwko tonowi, użytemu przez p. F. w stosunku do Kazimierza Tetmajera, chociaż i ten przekroczył niewątpliwie w jednej ze swych powieści granice przyzwoitości artystycznej, ośmieszając redaktora „Idei“ bez zmiany niemal, a raczej z przekręceniem tylko nazwiska. W artykule „Schola i Scholiastycy“ p. Tadeusz Dąbrowski poddaje ostrej krytyce prace dra J. Flacha, K. Wróblewskiego i D. Śliwickiego o twórczości Stanisława Wyspiańskiego. „List z Niemiec“ p. Wł. Pińskiego o reformie sceny współczesnej, oraz obfity „przegląd“ literacko-artystyczny z bardzo dobrym artykułem J. Kleczyńskiego o ży-

ciu artystycznym w Warszawie, kończą styczniowy zeszyt „Idei”. Pismo to kosztuje w Warszawie rb. 8, w Królestwie i Cesarstwie rb. 9 kop. 60 rocznie.

Grudniowy zeszyt wydawanej przez Zenona Pietkiewicza **Kultury** zawiera na wstępie dokończenie pracy L. Wasilewskiego p. t. „Nowe prądy w stosunkach polsko-rusińskich”. „Ogólny obraz stosunków polsko-rusińskich—kończy swą rozprawę p. W.—jest w chwili obecnej dość smutny. I z jednej i z drugiej strony widzimy roznamietnienie szowinistyczne, doprowadzające do wybuchu fanatyzmu narodowego, jednakowo szkodliwego dla rozwoju normalnego tak Polaków, jak Rusinów”. Potępiając zarówno hasło „za San Polaków”, wygłaszane przez szowinistów rusińskich, jak hasło nacjonalistów polskich: „żadnych ustępstw dla Ukraińców”, autor widzi lekarstwo w postępie idei demokratycznej, mającej doprowadzić stopniowo do przekształcenia dawnej feodalno-centralistycznej Austrii w związek samorządnych, równouprawnionych narodowości. „Tylko tą drogą—twierdzi on—może być rozstrzygnięta i polsko-rusińska kwestja w Galicji i kwestja zabezpieczenia praw polskiej mniejszości w jej wschodniej części”. „Listy litewskie” M. Römera, „Na łukach słońca” przez Zygmunta Pietkiewicza, rozbiór „Sanina” Arcybaszewa przez J. Iwańskiego, początek rozprawki o totemizmie przez J. Kurnatowskiego, ciąg dalszy dramatu Belmonta „Dla honoru”, parę uwag o przyszłych rządach Bośni przez Wł. Wakara, notatka „Ze sceny” p. St. Barycza (E. St. Rappaporta), polemika p. J. Kurnatowskiego z p. Kmicicem z „Wiedzy” wileńskiej w sprawie solidaryzmu i marksizmu i wykaz nowych książek, nadesłanych do Redakcji, wypełniają zeszyt o 126 stronach druku. Miesięcznik ten kosztuje rocznie rb. 6, a pocztą rb. 8. Adres Redakcji: Wspólna 49.

Od „Kultury” p. Z. Pietkiewicza odróżniać należy **Kulturę Polską**, organ miesięczny Tow. Kultury Polskiej, wychodzący pod redakcją Aleksandra Świętochowskiego. W tym niewielkim rozmiarach, lecz bogatym w treść a niezwykle tanim miesięczniku (dla członków Tow. Kultury Polskiej rocznie rb. 2, kwartalnie 50 kop., dla nieczłonków rocznie rb. 3, kwartalnie 75 kop. Za odosłanie lub przesyłkę pocztową 25 kop. rocznie), znakomity autor „Duchów” stworzył nowy zupełnie typ pisma. Na 16 stronicach dużego formatu daje on w nim treściwy obraz życia społecznego, politycznego i wysiłków kulturalnych ogółu. W artykułach wstępnych i w feljetonach miesięcznych p. t. „Pokłosie” redaktor z właściwą sobie oryginalnością i głębokością, językiem i stylem—Aleksandra Świętochowskiego, oświetla najważniejsze sprawy bieżące. Pismo wychodzi regularnie 1-go każdego miesiąca, a nieraz krótki artykułik jest w nim owocem

mozołnych poszukiwań i badań. W zeszycie styczniowym „Kultury Polskiej” mamy na wstępie artykuł p. t. „Święto omamu” (sprawa jubileuszu papieskiego i naszego stosunku do Rzymu). W artykule „Z polityki” poddana została ostrej krytyce polityka Koła polskiego w Dumie petersburskiej. P. Józef Sawicki z Nowego Yorku poświęca dłuższy artykuł sprawie wychodźstwa polskiego do Ameryki. W artykule „Szkola polska wobec egzaminów państwowych” zwrócono słuszną uwagę, że nowa szkoła polska ma inne zadanie, niż przygotowywanie maturzystów, odpowiadających wszelkim wymaganiom oficjalnych komisji egzaminacyjnych. W feljetonie „Pokłosie” czytamy między innymi: „Układając miesięczne rachunki spraw bieżących, mamy pełne tylko dwie rubryki: jedną, do której należą puste słowa, i drugą, do której należą czyny, obrzucane pustymi słowami. Gdyby tylko pustymi słowami. Ale najczęściej zgnilemi jajami. To, co zrobiła młodzież uniwersytecka z namiestnikiem Bobrzyńskim we Lwowie, może sobie być dzięk, brutalnem, ale jest niewątpliwie swojskiem. Ty twierdzisz, że istniały małpoludy, a stróż księgi Rodzaju jak pawian ciska w ciebie zgnilem jajkiem; ty utrzymujesz, że szafarką czystej wiedzy może być tylko świecka szkoła, a ksiądz prefekt rozbija ci na głowie zgnile jajko; ty dowodzisz, że społeczeństwo może ubezpieczyć swój byt tylko postępem, a „prawdziwy” patriota zatyka ci usta zgnilem jajkiem”. Szereg sprawozdań i krótszych artykułików w sprawach bieżących uzupełniają styczniowy zeszyt „Kultury Polskiej”, która należy niewątpliwie do najlepiej prowadzonych pism naszych i zasługuje w zupełności, aby ją prenumerowali i czytali przynajmniej—członkowie Tow. Kultury Polskiej, którzy jednak niezawsze poczuwają się podobno do tego obowiązku. Adres Redakcji: Krucza 9 w Warszawie.

Taniością i obfitością treści rywalizuje z „Kulturą Polską” nie konkurująca z nią zresztą **Książka**, miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej, wychodzący pod kierunkiem literackim znanego zaszczytnie historyka J. K. Kochanowskiego, a wydawany przez współwłaściciela zastrzeżonej firmy księgarskiej E. Wende i S-ka, p. Andrzeja Turkuła. „Książka” rozpoczęła już rok dziesiąty, charakter jej i zakres znany więc jest już niewątpliwie ogółowi szerszemu. Na czele zeszytu styczniowego znajdujemy artykuł Br. Chlebowskiego „Z powodu piątego wydania współczesnej literatury polskiej p. W. Feldmana”. Sądom krytycznym, wypowiedzianym o książce tej przez zasłużonego historyka literatury naszej, poświęcimy słów parę w zeszycie następnym, gdzie wogóle o Feldmanie i jego krytykach zamierzamy pomówić obszerniej. Pod sprawozdaniami z nowych książek spotykamy dalej nazwiska: ks. Szkopowskiego, J. Halperna, K. Stołyhwy, Cz. Statkiewicza, Br. Chlebowskiego, T. Sfinks.

Smoleńskiego, Ign. Chrzanowskiego, dra Ign. Baranowskiego, J. Biełlińskiego, St. Piotrowskiego, dra J. Kopczyńskiego, W. Gostomskiego, A. Drogoszewskiego, J. Kotarbińskiego, H. Gallego, W. Moraczewskiego, dra W. Karpińskiego, J. Muklanowicza, W. Osterloffa, C. Niewiadomskiej i F. J. Gajslera. Kronika, kurjer księgarski, obfity przegląd miesięczników (o charakterze bibliograficznym wyłącznie, bez uwag krytycznych), wreszcie wyczerpująca Bibliografja—składają się razem na zeszyt trzyarkuszowy. Prenumerata roczna „Książki” wynosi w Warszawie *tylko* rb. 2, na prowincji i w cesarstwie rb. 2½. Adres: księgarnia E. Wende i S-ka w Warszawie.

Grudniowy zeszyt **Przeglądu Narodowego** (miesięcznik, poświęcony zagadnieniom życia narodowego w zakresie politycznym, naukowym, społecznym, literackim i artystycznym pod kierownictwem p. Zygmunta Balickiego), zawiera następujące rozprawy i artykuły: „Na rozstajnych drogach” przez O-a, „Rasa żółta i cywilizacje śródtkowo-azjatyckie” (dok.) przez Adama Szelągowskiego, „Polityka Lubeckiego” przez H. Radziszewskiego, „Odwieczna walka” przez A. M., „O twórczości poetyckiej Leopolda Staffa” (dok.) przez Zygmunta L. Zaleskiego, „Przegląd spraw polskich” przez A. Sadzewicza, „Przegląd polityki zagranicznej” przez B. Wasiutyńskiego. „Z prasy” (bojkot naukowy). Bibliografja. Zeszyt grudniowy zawiera str. 124. Prenumerata roczna w Warszawie rb. 8, z przes. pocztową rb. 10. Cd nowego roku „Przegląd Narodowy” zlał się z „Ateneum Polskiem”, które, niestety, o własnych siłach utrzymać się we Lwowie nie mogło.

W ciągu pisania przeglądu niniejszego otrzymaliśmy podwójny zeszyt (za Listopad i Grudzień) lwowskiego **Ateneum Polskiego**. Jest to zarazem zeszyt ostatni tego czasopisma, które, przetrwawszy samodzielnie rok jeden, zostało zamknięte i łączy się, jak zaznaczyliśmy, z wychodzącym w Warszawie „Przeglądem Narodowym”. Bogata treść zeszytu ostatniego zawiera w dziale artykułów oryginalnych prace: Fr. Bujaka p. t. „Sprawa uprzemysłowienia Galicji”, „Wenedzi”, fragment z tragedji Antoniego Langego, „Ideal i życie kobiety w Polsce wieków średnich” przez St. Kutrzebę, „Rozsiedlenie ludności polskiej i ruskiej w Galicji” przez dra Józefa Buzka, „Z nad brzegu Lewanty” przez Helenę d'Abencourt de Franqueville, „O początkach kodyfikacji międzynarodowego prawa prywatnego w Europie” przez dra Gustawa Roszkowskiego. W dziale „rosglądów i sprawozdań” widzimy na wstępie artykuł Wł. Jabłonowskiego p. t. „T. Dostojewski wobec [nowych] prądów [świadomości rosyjskiej]”, „Dwie książki z dziedziny filozofji przyrody” (H. Poincaré'ego „Nauka i hipoteza” i tegoż „Wartość nauki”) omawia Marjan Smołuchowski,

p. Wł. Horodyński daje sprawozdanie z „Nauki o cywilizacji” H. Majewskiego, p. Emil Niebroj pisze o ruchu narodowym w księstwie Cieszyńskim, p. Leopold Wołowicz daje wreszcie sylwetkę Józefa Gołuchowskiego w pięćdziesiątą rocznicę śmierci filozofa. Kończy zeszyt parę artykułów pomniejszych pod ogólnym tytułem „Fakty i dokumenty”. „Ateneum Polskie” wychodziło przez rok tylko, ale prowadzone było poważnie i starannie. Na szpaltach jego spotykaliśmy przeważnie prace ciekawe i wartościowe, tandety literackiej i naukowej nie bywało. Żałować trzeba, że pismo utrzymać się we Lwowie nie mogło.

Nie zrażony niepowodzeniem „Naszego Kraju” i „Ateneum Polskiego”, występuje we Lwowie **Lamus** „w imię prawdy rzetelnej i własnej, dla bogacenia wzruszeń mocnych i szlachetnych”. „Lamus” jest kwartalnikiem literacko-artystycznym; cztery zeszyty roczne odpowiadać mają czterem porom roku i dawać łącznie 40 arkuszy druku. Niezupełnie szczęśliwy tytuł odpowiadać ma części drugiej każdego zeszytu („Wczoraj”), gdzie ogniskować się będą rzeczy dawne: nieznane portrety i rysunki etc. Obok tego jednak część pierwsza zeszytu („Dzisiaj”) ma być odbiciem twórczości współczesnej. Tak przynajmniej podzielony został zeszyt pierwszy „Lamusa”. W dziale pierwszym znajdujemy w nim utwory M. Smolarskiego, Maryli Wolskiej, Kasprowicza (Z cyklu „Chwile”), Zofji Ryłskiej, Włodzimierza Tetmajera, Stamira, Leopolda Staffa („Śladem stopy artystycznej”), St. Wyspiańskiego (urywek z „Wernyhory”), oraz rozprawy i artykuły Jana Gw. Pawlikowskiego („Słowacki w okresie mistycyzmu”), J. H. Retingera i Marka. W części drugiej ogłosiła Redakcja nieznane utwory lub pamiątniki Ujejskiego, Romanowskiego, Zaleskiego, Asnyka, Norwida, oraz przekład (Kasprowicza) Hymnu polskiego Th. Gordona Hake i „Śpiewu o Thrymie” („ze starszej Eddy”) w tłumaczeniu Maryli Wolskiej. Strona zewnętrzna wydawnictwa i cztery zawarte w niem ilustracje wywierają wrażenie prawdziwie artystyczne. Redaktorem „Lamusa” jest Michał Pawlikowski, kierownikiem artystycznym—Feliks Jasieński. Prenumerata roczna nowego kwartalnika wynosi rb. 5. Do pierwszego zeszytu „Lamusa” powrócimy jeszcze w jednym z najbliższych zeszytów, by zapoznać bliżej czytelników „Sfinksa” z jego ciekawą niewątpliwie zawartością.

* * *

Przechodząc do wydawnictw, ukazujących się częściej, niż raz na kwartał lub raz na miesiąc, zwrócimy naprzód uwagę na pięć zeszytów styczniowych **Tygodnika Ilustrowanego**. Piękną illumina-

cją trójbarwną do poematu Słowackiego „Beniowski“ ozdobił p. A. Półtawski pierwszą kartę numeru pierwszego; na karcie drugiej widzimy „Nową pieśń“ A. Gawińskiego, na trzeciej wspaniały rysunek St. Witkiewicza p. t. „Zima w Tatrach“, a w środku reprodukcję obrazu St. Batowskiego „Procesja z r. 1656 we Lwowie. W dziale artystycznym numerów następnych zwracają uwagę reprodukcje doskonałych obrazów Wojciecha Kossaka („Korowód weselny w Żywcu“ i „Arcyksiążę Karol Stefan na polowaniu“), oraz bardzo dobre ilustracje K. Gorskiego do powieści Józefa Weyssenhoffa p. t. „Uńja“, stanowiącej *clou* działu literackiego „Tygodnika“. Z wierszy, zawartych w pierwszych pięciu numerach, sentymentem dawnym przemawia do nas „Stara gitara z wstążką różową“ Or-Ota, artyzmem i refleksją poważną nacechowane jest „Winobranie“ Z. Dębickiego, zadumą tęskną i smutną zabrzmiały śpiewne skrzypki Słońskiego w wierszu „O śmierci twojej i mojej“, wizję „Tatr w nocy“ dał w dwóch sonetach Wł. Orkan, a oto jakie żywe barwy lśnią na „Spłowiących kartkach“ mistrzowskiego zawsze w formie Wiktora Gomulickiego:

„O! jak duszę mi oplata!
O! jak nęci mię i ludzi
Czar, co bije z twoich lic...
Poza tobą niema świata.
Poza tobą niema ludzi,
Poza tobą niema nic!

Wszystko w tobie się zamknęło,
Com napotkał dobrowieszcze
Wśród obłądnych życia dróg...
Wiem, żeś boskie arcydzieło —
Ale czasem myślę jeszcze.
Żeś — świat, niebo, wieczność, Bóg“...

Wł. Nawrocki umieścił w „Tygodniku“ w setną rocznicę urodzin Edgara Allana Poeego kilka jego niełomaczonych utworów. Z innych prac, zawartych w tem piśmie, wymienimy jeszcze: szkic H. Gallego o piewcy „Kirgiza“ (w setną rocznicę urodzin Gustawa Zielińskiego), artykuł L. Włodka o rewolucji rosyjskiej (z powodu książki Kulezyckiego), „Nieznana kartkę z życia Żmichowskiej“ A. Kraushara, „Zagadkę losów Łukaszyńskiego“ (z powodu dzieła Askenazego) przez H. Mościckiego, doskonale zawsze „Wieczory teatralne i muzyczne“ Czesława Jankowskiego, no i naturalnie—kroniki tygodniowe Bolesława Prusa. W № 5-ym Józef Weyssenhoff poświęcił ciepło napisany artykuł („Strata“) zmarłemu świeżo Adamowi hr. Krasińskiemu.

Żywo, „aktualnie“ prowadzony „Świat“ w pierwszych pięciu numerach z r. b. dał również w dziale literackim sporo rzeczy dobrych i ciekawych. Nowy rocznik rozpoczęty został artykułem wstępnym Kaz. Ehr. p. t. „Rok balonów, przemian i wywłaszczeń“, „Złote wiersze Pytagorasa“ poświęcił odradzającej się młodzieży polskiej Józef Jankowski, zwracający się coraz częściej do literatury klasycznej; o pamiątkach polskich w muzeach moskiewskich opowiada ciekawie Adolf Nowaczyński; o początkach dramatu Wyspiańskiego pisze A. Grzymała-Siedlecki, a Ignacy Chrzanowski poddaje wytrawnej ocenie tom pośmiertny pism Spasowicza. Uważa on, że w samej naturze Spasowicza, przy całej jego trzeźwości i krytycyzmie, tkwiły głęboko pierwiastki romantyczne. „Romantykem — pisze Chrzanowski — był Spasowicz w swojej wierze w łatwość porozumienia się dwu narodów słowiańskich; romantykem w swoich poglądach na społeczeństwo rosyjskie; romantykem w przekonaniu, że dzisiaj nienawiść i zemsta to już uczucia szczątkowe, w przekonaniu, będącem w rażącej sprzeczności ze stwierdzeniem faktu, że do dziś dnia w stosunkach międzynarodowych panuje „dzikość“. Z prawdziwym, rzeczywistym imci panem Maurycym Augustem Beniowskim zapoznaje nas w „Świecie“ p. S. M., przedstawiając dzieje bohatera poematu Słowackiego na podstawie materiału, zgromadzonego w obszernym artykule Szejna, wydrukowanym w „Istoriczeskim Wiestniku“. W nr. 4-ym zwraca uwagę utwór L. Straszewicza p. t. „Wieczny tułacz“, w którym autor na tle znanego podania rozwija taką oto nienową zresztą myśl przewodnią: „Pomiędzy płatkami duszy ludzkiej najpiękniejszym i najwdzięczniejszym płatkiem jest — *współczucie*. Bez współczucia dusza jest kaleką. Bez współczucia dusza jest utrapieniem, jest winą, bo jest i być musi przytułkiem występku. Dusza bez współczucia — nie jest duszą ludzką!“ Dział belletrystyczny „Świata“ przeniesiony do osobnego dodatku „Romans i powieść“, wypełniają z rzeczy oryginalnych powieści: Elizy Orzeszkowej „Bóg wie kto“, Wł. St. Reymonta „Marzyciel“, nowela Z. Bartkiewicza p. t. „63“ oraz znany ze sceny dramat Stefana Krzywoszewskiego p. t. „Przywódca“.

Wychodząca rok trzydziesty trzeci „Biesiada Literacka“ drukuje obecnie powieść z czasów saskich Wiktora Gomulickiego p. t. „Siódme amen Imci Pana Mokrzeckiego“, oraz powieść współczesną Sylwerjusza Kondratowicza p. t. „Cherlaki“. Wymienić nadto należy szkic historyczny Marjana Dubieckiego p. t. „Pierwsze wystąpienie w Polsce Józefa ks. Poniatowskiego“, opowiadanie K. Bartoszewicza p. t. „Ostatnia Wojewodzina Wileńska“, stałe feljetony tygodniowe M. Synoradzkiego, jak również sumiennie prowadzony przegląd książek i czasopism p. t. „Plon literacki“.

Od nowego roku zmieniła format podpisująca obecnie przez pp. J. Jabłońskiego i R. Nowakowskiego **Prawda**. Nowy format jest może dogodniejszy, nam jednak żal dawnego, do którego przyzwyczailiśmy się przez lat dwadzieścia osiem. „Prawda” jest teraz organem Zjednoczenia postępowego i ma komitet redakcyjny, z którego w piśmie występują najczęściej pp. Iza Moszczeńska i Stefan Gacki. Od numeru 1-go z r. b. Aleksander Świętochowski drukuje tu część VI swoich „Duchów”, a w nr. 3-m było jego „Liberum veto” p. t. Zżydziały postęp”. Z artykułów i prac innych zasługują na wyróżnienie bardzo dobrze pisane artykuły polityczne p. M., „Testimonium paupertatis polskiego katolicyzmu” przez Ant. Szecha, „Wolna myśl a nauka i społeczeństwo” I. Radlińskiego, „Normalne podstawy oświaty” przez Wł. Weychertównę; „Wieczory entuzjastek” przez Tadeusza Micińskiego, sprawozdania literackie i teatralne Stefana Gackiego.

Kraj petersburski przekształcił się znowu w tygodnik i powrócił do dawnej swej formy. Obok działu polityczno-społecznego jest w nim, jak dawniej, dział literacko-artystyczny z dodatkiem powieściowym. W tym ostatnim widzieliśmy dwie powieści: „Teror” Teodora Jeske-Choińskiego (z czasów rewolucji francuskiej) i „Szwoleżowie gwardji” Wacława Gąsiorowskiego, której początek drukowany był w „Kraju” w roku ubiegłym. Oby tylko prawda historyczna w powieściach tych autorów ściślejsza była nieco od „prawdy”, zawartej w informacjach literackich p. T. J. Ch., pouczającego czytelników „Kraju” w numerze 1-ym, że p. Tadeusz Konczyński, młody, utalentowany autor „Nocy listopadowej”, wystawił na scenie krzyk wolnej miłości p. t. „Wyzwanie”. Nie bez trudności domyślać się trzeba, że chodzi tu o autora „Nocy lipcowej” — Górczyńskiego. W dziale literacko-artystycznym „Kraju” drukuje stale swe „pogadanki” Wiktor Gomulicki.

* * *

Przegląd prasy codziennej, kresowej (Wilno, Kijów) i prowincjonalnej, oraz niektórych miesięczników, dwutygodników, tygodników etc., nie uwzględnionych w zeszycie niniejszym, odłożyć już musimy do następnego. Tu jeszcze zaznaczymy tylko konkurs dramatyczny, ogłoszony przez Redakcję **Kurjera Warszawskiego** w bogatym i ciekawym numerze noworocznym, poświęconym całkowicie Juluszowi Słowackiemu. Konkurs ma również na celu uczczenie pamięci twórcy „Lilli Wenedy” i „Horsztyńskiego” w roku jubileuszowym, a oto jego warunki:

1) „Ubiegające się o nagrodę utwory dramatyczne, napisane prozą albo wierszem, winny posiadać obok sceniczności znamiona

głębszej poezji. Byłoby również pożądane, aby sztuki konkursowe wypełnić mogły cały wieczór teatralny.

2) Najlepszy z nadesłanych, a odpowiadający warunkom konkursu utworów, otrzyma nagrodę 1000 rb. Utworom, które nagrody nie otrzymały, jury ma prawo przyznać odznaczenie. Nagroda będzie przyznana w całości i rozdzielona być nie może. Odroczenie konkursu jest również wyłączone.

3) Utwór nagrodzony pozostaje własnością autora z ewentualnem zastrzeżeniem dla „Kurjera Warszawskiego” pierwszeństwa druku.

4) Ostateczny termin nadsyłania prac konkursowych, upływa 1 października 1909 r. W razach wątpliwych rozstrzyga data stempla pocztowego.

5) Wynik konkursu ogłoszony będzie 1 stycznia 1910 r.

6) Każdy rękopis winien być napisany czytelnie i zaopatrzoney godłem. Godło to ma znajdować się również na kopercie zapieczętowanej, zawierającej imię, nazwisko i dokładny adres autora.

7) Nazwiska autorów, odznaczonych przez sędziów, będą ujawnione jednocześnie z nazwiskiem nagrodzonego twórcy, o ile na kopercie utworu nie będzie wyraźnego zastrzeżenia, że koperta tylko w razie przyznania nagrody może być odpieczętowana.

8) Rękopisy nadsyłać należy pod adresem redakcji „Kurjera Warszawskiego” (Warszawa. Krakowskie-Przedmieście, 40), z wyraźnem zastrzeżeniem na rękopisie i opakowaniu, że rękopis przeznaczony jest na konkurs.

9) Sąd konkursowy składają osoby następujące: Władysław Bogusławski, Mieczysław Frenkiel, Marjan Gawalewicz, Czesław Janowski, Józef Kotarbiński. Stefan Krzywoszewski, Jan Lorentowicz, Ignacy Matuszewski, Konrad Olchowicz, Władysław Rabski, Józef Śliwicki i Julian Adolf Święcicki.

KSIĄŻKI NADEŚLANE.

Poezja. Lemański Jan „Prawo Własności” tom VIII „Nowości Literackich”. Warszawa 1909. Księg. St. Sadowskiego.—Malewski Karol Jacek „Bez tytułu”. Warszawa E. Wende i S-ka. 1908.—Słoiński Edward „Jeszcze wciąż pełen wiosny”... Nakład autora. Warszawa 1909.—

Powieść i nowela. Grubiński Wacław „Bunt”. Nowele. (Bunt Schadzka. Niedokończony poemat. Zabawa. Pierwiosnek). Skład gł. w księg. Wende i S-ka. Warszawa 1909. Gruszecki Artur „Zaloty biurokraty”, wyd. Bibl. Dz. Wyb.—Heijermans Herman „Miasto dżamentów”, tł. Br. Neufeldówna. Wyd. „Bibl. Dz. Wyb.”—Ewald Karol

„Ciche jezioro. Dwunożne“. Księg. Centnerszvera. Warszawa 1909.—
Szamota Alicja „Orty“ Wyd. Kasy. przez. i pom. Warsz. pomocn.
księgar. Skł. gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. 1909. Wierzbński
Maciej „W przeklętym domu“ t. VI i VII „Nowości Literackich“
Księg. St. Sadowskiego.

Historja. Askenazy Szymon „Lukasinski“ 2 tomy. Warszawa
Księg. E. Wende i S-ka. Lwów. H. Altenberg 1908.—

Studia literackie i estetyczne. Dr. Chybiński Adolf „Stosunek
muzyki polskiej do zachodniej w XV i XVI w.“ Warszawa E. Wende.
Kraków D. Friedlein. 1909.—Méyet Leopold „Słowacki i Komierowski“
Odbicie uzupełnione ze „Sfinksa“. Warszawa, Księg. L. Biernackiego
1909.—Michalski Tadeusz „Młoda Ukraina“. Kijów. 1909.—

Pedagogika. Lewicki Józef „Bibliografja druków. odnoszących
się do Komisji Edukacji Narodowej, pierwszego w Europie Minister-
jum Oświaty“. Lwów.—Lewicki Józef „Nowe szkoły w Anglii, Francji,
Niemczech i Szwajcarii. Ich geneza i organizacja“. Lwów. B. Po-
łoniecki. Warszawa. E. Wende. 1908.—

Badania Naukowe. Kurnatowski Jerzy „Zasady moralne“. War-
szawa 1909.—Prof. dr. Nusbaum-Hilarowicz Józef „Szlakami Wiedzy“.
Wyd. drugie rozszerzone. Lwów, B. Połoniecki. Warszawa E. Wende
i Sp. 1909.—

Wydawnictwa „Przeglądu Filozoficznego“: I Avenarius Ryszard
„W sprawie filozofji naukowej“. II Göring Karol „Pojęcie doświadcze-
nia i O nadużyciu matematyki w filozofji“. III. Siebeck H. „Systemy
metafizyczne w ich wzajemnym stosunku do doświadczenia“. IV Dö-
ring A. „Co to jest myślenie“. V. Vaihinger H. „Prawo rozwoju wy-
obrażeń o rzeczywistości“. VI Wundt Wilhelm „O zagadnieniu kosmo-
logicznem“.—



SFINKS

LUTY, ROK 1909

Treść Zeszytu II (14), Luty 1909 r.

Bronisław Chlebowski: „Przedświt”. <i>Giezieza i charakterystyka</i> . . .	193
Aischylos: <i>Prometeusz skowany</i> . Przekład Jana Kasprówicza. (Do- kończenie) . . .	218
Antoni Potocki: <i>Uwagi o sztuce</i> . . .	238
Władysław Bukowiński: <i>Echa</i> (poemat) . . .	254
Rudyard Kipling: <i>One. Nowela</i> . Przekład A. Reymontowej. (Do- kończenie) . . .	261
Jan Lemański: <i>Rytm życia</i> . . .	278
Zbigniew Brodzki: <i>Współczesna liryka francuska</i> . . .	288
Tadeusz Nalepiński: <i>Chrzest</i> . . .	298
Tadeusz Miciński: <i>Nietota, powieść z tajemnej księgi Tatr. Część II.</i> . . .	307
Władysław Bukowiński: <i>Wrażenia teatralne</i> . . .	335
J. Kleczyński: <i>Wrażenia artystyczne</i> . . .	348

WSPOMNIENIA POZGONNE:

H. G.: <i>Adam Bęćkowski</i> . . .	354
J. Frankowski: <i>Mieczysław Kartowicz</i> . . .	357
<i>Przegląd prasy, nowe książki, ogłoszenia.</i>	

DODATKI ARTYSTYCZNE:

Ary Scheffer: <i>Portret Zygmunta Krasińskiego</i> . . .	193, 238, 261, 275 i 298
J. Wroniecki: <i>Winiety</i> . . .	218, 254, 288, 348 i 353
A. Tabiński: <i>Winiety</i> . . .	253 i 287
J. Rembowski: <i>Rysunek na okładce i winiety</i> . . .	237 i 235
A. Wolman: <i>Winiety</i> . . .	260 i 334
Włodarczyk: <i>Winiety</i> . . .	277
A. Ankowski: <i>Winieta</i> . . .	306 i 354
Z. Plewińska: <i>Winiety</i> . . .	362
St. J. Kozłowski: <i>Winieta</i> . . .	

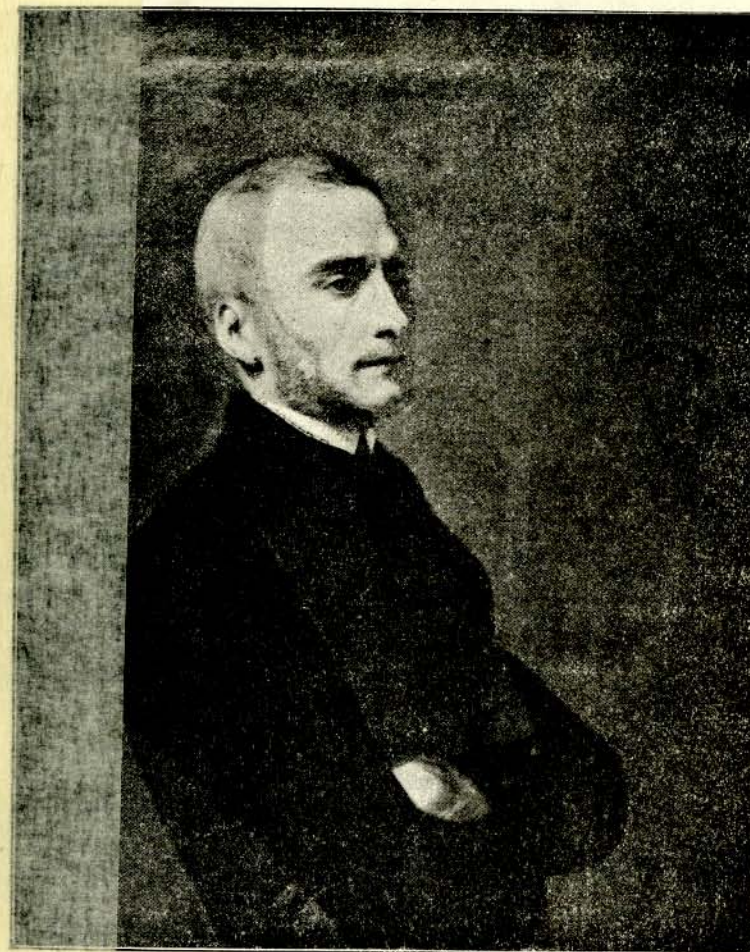
Lutowy zeszyt „Sfinksa“ zawiera 11 arkuszy (176 str.) druku.

Papier z fabryki C. A. Moesa. Papier kredowy na okładkę z fabryki Mirkowskiej.

Kliske wykonano w zakładach fotochemigraficznych Wierzbickiego i S-ki. i Sawickiego.

Cena zeszytu rb. 1.

R.2:1909 2.14



Zyg. Krasiński



BRONISŁAW CHLEBOWSKI.

„PRZEDŚWIT“.

GIENEZA I CHARAKTERYSTYKA. (*)

Jednym z najciekawszych wyników krytyki psychologicznej, zastosowanej do dzieł sztuki, jest dostrzeżenie i uwydatnienie w wielkich pomnikach twórczości człowieka odbicia i utrwalenia wieczystego, olbrzymiego bogactwa duchowej treści, odsłaniającego się powoli, stopniowo, następnym pokoleniom, w miarę ich rozwoju, w miarę uzdolniania się zwykłych dusz do odczuwania i pojmowania stanów i wzniesień duchowych gieńjuszów, nieświadomych zwykle wielkości i doniosłości własnych skarbów, przekazanych potomności w pozostawionych dziełach.

Blizko stu pokoleniom ludzkim Iliada dostarcza rozkoszy duchowej, a każdemu jednak innej, każda epoka odnajduje w niej odbicie swych ideałów, swoje piękno i swoją prawdę. Trudno sobie wystawić nadejście takiego momentu w rozwoju duchowym ludzkości, w którym to arcydzieło wszystkich wieków przestałoby przemawiać do dusz. Na-

(*) Rzeczą tę, czytana na posiedzeniu wydziału języka i literatury polskiej w Tow. Nauk. Warsz., dnia 4 listopada 1909 r., ogłaszamy obecnie w „Sfinksie“, w pięćdziesiątą rocznicę zgonu Zygmunta Krasińskiego, zmarłego w Paryżu 23 lutego 1859 r. (Przypisek Redakcji.)

wet takie drugorzędne arcydzieła, jak Eneida, Jerozolima Wyzwolona, których blask księżycowy, choć przyćmiony dla nas przez zabyśnięcie dawno istniejących, lecz niedawno dopiero spostrzeżonych słońc gieńjusz Danta i Szekspira, nie przestaje przecie pociągać i dziś jeszcze dusz, lubujących się w takim łagodnym świetle—i te utwory odślaniały następnym pokoleniom coraz nowe odcienia piękna duszy swych twórców.

Rosnąca dziś w życiu duchowem rola krytyki literackiej odpowiada zwiększającej się, w coraz szerszych kołach ludzkich, potrzebie uświadomienia sobie względnej wartości i piękności pokarmu, jakim zasilamy, podniecamy i bogacimy naszą duszę. Wzmagającym się, ale i zmieniającym się, wskutek ciągłej ewolucji, potrzebom i upodobaniom dusz, stara się przynieść pomoc krytyk, poddając rewizji przekazane przez przeszłość sądy i oceny, usiłując z pomocą nowych metod badania, nowych, subtelniejszych odczuć i obserwacji, sprawdzić dawniejsze wartości, odszukać nowe i wskazać, w rosnącym bogactwie skarbów sztuki, to co odpowiada najlepiej nowym potrzebom, wyższym pragnieniom i upodobaniom danej chwili. Im bogatszą była dusza twórcy, odbita w dziele pewnem, tem trudniej czytelnikowi dostrzec i odczuć jego wszystkie piękności. Stąd to przeważające, a zwykle w kołach czytających, upodobanie, do łatwo dających się czytać książek, płytkich ale zrozumiałych twórców. Z drugiej strony u młodzieży i starszych widzimy nieufność do powtarzanych w podręcznikach i w prasie sądów i charakterystyk odwiecznych, nieuzasadnionych lub przestarzałych, jako wyraz wrażeń i opinii poprzednich pokoleń, inaczej odczuwających i pojmujących dane dzieło.

Ażeby nawiązać konieczny dla naszego rozwoju narodowego związek z przeszłością, z duchową ojcowizną, tak bogatą a tak mało znaną, rozumianą i kochaną, trzeba jej skarby udostępnić dla obecnego pokolenia, oświecić tak, by czytelnik dzisiejszy dostrzegł wiecznotrwałe i ogólnoludzkie piękno i prawdę w nich zawartą, by utwo-

ry te mogły wejść do jego duszy, odpowiedzieć jej potrzebom i pragnieniom i tą drogą nawiązać węzły duchowe z najlepszymi przedstawicielami przeszłości. Na tem opierać się musi siła i spoistość życia narodowego. W tem widzę główne na dziś zadanie naszej pracy nad literaturą ojczystą. Sama polskość nie jest dostateczną rekomendacją, wystarczającym bodźcem, by skłonić dzisiejszych czytelników do studjowania i miłowania dzieł, nie dostarczających im widocznego dla nich piękna i użytecznej, kształcącej treści. Słabnący dziś bardzo wpływ, zarówno literatury wieku XVI, jak wielkiej poezji wieku XIX, podnieść, umocnić, może jedynie krytyka literacka przez nowe, lepsze, oświecenie najlepszych dzieł, wyszukanie i wskazanie mało uwydatnionych piękności, rozjaśnienie cech duszy twórcy, utrwalonych w jego dziele. Nieskończona różnorodność dusz ludzkich nie przestanie nigdy żywo interesować każdego myślącego człowieka. Nietylko wielkie, bogate i sympatyczne dusze takich twórców, jak Mickiewicz i Słowacki, ale i skromniej uposażone, jak Brodziński i Maleczewski, wreszcie łączące jaskrawe wady moralne z uzdolnieniami wyższymi, jak Orzechowski, Pasek, Opaliński, Trembecki, będą coraz więcej pociągać ku swym utworom czytelników, w miarę tego jak nauczanie szkolne i oddziaływanie krytyki będzie ich uzdolniało do należytego rozumienia czytanych utworów, do odnajdowania w nich odbicia duszy twórcy i życia danej epoki.

I

Z wielkich dzieł naszej poezji dwa najsilniej przemówiły do duszy polskiej, przynosząc jej tak pożądany balsam na smutki i bóle narodowe. Dziełami temi są: Pan Tadeusz i Przedświt. Żaden inny utwór nie odpowiadał w tym stopniu potrzebom, pragnieniom, uczuciom i pojęciom współczesnych im czytelników. „Pan Tadeusz“ owiewał stęsknione dusze tułaczów i wygnańców sybirskich wonią pól ojczystych, czarował obrazami niedawnego życia, chwil pogody i nadziei—„Przedświt“ zaś kołysał i zachwy-

cał wizją promiennej a blizkiej przyszłości, pocieszał i uspokajał niecierpliwych, cierpiących i wierzących, znieczulając ich dusze do pewnego stopnia na ból niewoli, tęsknoty wygnania, męki katorgi. Później w latach od 1861 do 1864 był ewangeliją ruchu, źródłem wiary i zapału patryjotycznego. Obok pięciu wydań (do r. 1862) niezliczone odpisy rozpowszechniały ten utwór, zarówno w kraju, jak i wśród wygnańców, rozproszonych po Rosji i Szwecji.

Po r. 1864 urok i oddziaływanie „Przedświtu“ osłabły niezmiernie, gdyż przestał odpowiadać potrzebom dusz, które straciły ufność do zawartej w utworze syntezy przeszłości i wiarę w urzeczywistnienie wizji przyszłości. O ile, wobec rezultatów pracy nad dziejami naszej przeszłości, nie razi nas rozpięta na krzyżu Polska w widzeniu ks. Piotra w „Dziadach“, bo czujemy w tym obrazie prawdę boleści narodowej, rozpaczliwego położenia po katastrofie 1831 r., o tyle twierdzenie „Przedświtu“: „My umarli pośród świata z świętej dla świata miłości“ wywołuje mimowolny protest naszej myśli i uczucia, nie zdolnych śpiewać tego „unisono“ z poetą.

Ażeby pozyskać dla „Przedświtu“ uznanie należne mu, jako pięknemu pomnikowi myśli i poezji polskiej, ażeby utorować mu drogę do dusz współczesnych, trzeba ukazać w nim wiecznotrwałe piękno i prawdę w odtworzeniu pojęć, zachwytów i wzlotów pięknej i bogatej duszy poety, trzeba wyjaśnić związek tego utworu z mało znanym dotąd życiem wewnętrznym twórcy „Nieboskiej“ i „Psalmów“. Wizje przeszłości i przyszłości Ojczyzny, które zachwycaly poprzednie pokolenia, straciły dziś znaczną część swojego blasku i siły, wysuwają się za to, przy głębszym ujęciu utworu, niedostrzegane dawniej a przynajmniej niedoceniane piękności, pieśni szczęścia i miłości, a przytem, w samych wizjach, kryją się doniosłe, wiecznotrwałe idee które, w innej tylko formie, mogą i powinny znaleźć oddźwięk w naszych duszach.

Rozwój duchowy poety, od chwili wczesnego rozpo-

częcia życia wewnętrznego i pracy twórczej w r. 1828, rozpada się na trzy, prawie równej długości, dziesięcioletnie okresy. Pierwszy cechuje nawał wstrząsających przeżyć moralnych, wzruszeń uczuciowych, wpływów umysłowych, przez studia, lekturę i podróże dostarczanych, wreszcie cierpienie fizycznych, nurtujących cały organizm. Przemagającym w duszy poety nastrojem jest pesymizm, przechodzący to w apatię, letarg, to w rozpacz, pragnienie śmierci. Poeta znajduje w Hamlecie najwierniejszy wyraz własnej duszy. Cały szereg wyznań i sądów poety o przeszłości, chwili współczesnej, i przyszłości, w utworach i listach z tego czasu, nosi piętno ironji, sarkazmu, zwątpienia, rozpacz. Cierpienia fizyczne i zawód marzeń ambitnych stanowią tu, obok ciężkiego położenia ojczyzny, dwa główne czynniki.

Dręczona i szarpana przez ciągle wstrząśnienia i bóle dusza zaczyna szukać ulgi i wyzwolenia, w twórczości, wypowiedaniu się i w dążeniu do przystani spokojnej przez pracę myśli budującej system wierzeń, przekonań filozoficznych, wreszcie przez wytwarzanie, siłą przyciągającą, koła serc przyjaznych. Miłość dla p. Bobrowej, z wyjątkiem krótkich chwil upojenia zmysłowego, przeszła szybko w stosunek przygnębiający i dręczący poetę—stała się ciężarem dla niego. „Przekleństwo nademną“, woła on w wierszu, położonym na czele „Pokusy“. Stopniowo, po r. 1836, godzi się poeta ze swoim losem, nabiera przeświadczenia o potędze swych uzdolnień twórczych; z pojęć zaczerpniętych z filozofii niemieckiej, pomysłów poznanego osobiście Cieszkowskiego, buduje sobie system, ukazujący mu w blizkiej przyszłości początek nowej ery w życiu ludzkości, przekształcenie stosunków, które pozwoli mu urzeczywistnić własne pragnienia i rojenia podniosłe. Jednocześnie, w Delfinie Potockiej, poznanej w Neapolu przy końcu r. 1838, spotyka kobietę, która swą urodą, muzykalnością, słodyczą i spokojem, rozlewa błogi, ożywczy balsam na znękaną, zmęczoną duszę. Po Bobrowej, zamęczającej go swą egzaltacją chorobliwą, spazmami, Delfina, zdol-

na, przy sposobności, jaką jej nastęczyła przebywana przez poetę ośpa, spełniać rolę cichej siostry miłosierdzia, wydała mu się aniołem, który go wywiódł z otchłani rozpaczy, Beatrycę, wyprowadzającą go z „piekła” ziemskiego. To też w liście do Sołtana (z 15 marca 1839 r.) wyznaje już poeta swe uczucia dla nowej władczyni serca, a we wrześniu t. r., usprawiedliwiając się przed Gaszyńskim z przerwy korespondencji, wyznaje: „Ci tylko piszą, co żyją na ziemi—Ja nie na ziemi żyłem, ale w niebie”. Miłość ta przyniosła Krasińskiemu najszczęśliwsze chwile w jego przeważnie z cierpień utkanym żywocie, rozbudziła w nim chęć do życia, wprowadziła pogodę i równowagę do duszy, która zaniecha teraz skarg hamletycznych. Razem z uspokojeniem duszy nastąpi poprawa zdrowia, zbudzi się energia umysłowa i ożywi twórczość. Cały szereg wynurzeń lirycznych, odbijających zachwyty, upojenia, tęsknoty, niepokoje i marzenia zakochanego wypełni karty albumu Delfiny.

Łączyła ona w sobie ideały kobiece Krasińskiego; Elsinoe i Beatrycę, w jednej osobie, siostra, kochanka, współpracowniczka i przewodnicząca Męża - poety, wśród burz i cierpień piekła ziemskiego. Oczyszczając się z tego wielkoświatowego błota stosunków paryskich, w jakie wciągnęła ją czczość bezcelowego życia, szlachetniejąc i podnosząc się duchowo, pod wpływem roztwierającego jej skarby własnej duszy kochanka, leczyła i odradzała ona pogrążonego w pesymizmie Hamleta, wdziękiem swej dobroci, pogodą nastroju, artyzmem muzycznym, a wreszcie podziwem, z jakim słuchała rozwijanych przed nią marzeń, wizji i wywodów filozoficznych. Podczas gdy pani Bobrowa swą miłością dręczyła, upokarzała, unieszczęśliwiała raczej niż pokrzepiała poetę, przybierając rolę ofiary, poświęcającej się dla chorego fizycznie i moralnie uwodziciela, przypominającej mu ciągle swe poświęcenie się, miłość Delfiny rozprasza chmury przysłaniające od lat dziesięciu widnokrąg ducha Krasińskiego, wprowadza do duszy nieznany przedtem nastrój radości, ufności, wiary,

opromieniającej mu zarówno przyrodę, jak świat ludzki, zarówno przeszłość, jak przyszłość, własnego społeczeństwa i ludzkości.

Najsilniejszym wyrazem nowego nastroju, dosięgającego, jak zwykle u Krasińskiego, krańcowych stopni skali uczuć, jest znany wiersz „Do duchów”, utworzony we wrześniu r. 1840:

Ja was wyzywam, duchy i anieli,
Co na błękitu gwiazdach królujecie,
Coście na wieki z czoła smutek zdjęli;
Bom dziś szczęśliwszy na tym smutnym świecie,
Niż wy w niebiesiech

Jak wy, dziś płynę, wśród światła potoków,
Jak wy, wznieść mogę nieśmiertelne pienia!

To odrodzenie duchowe, za sprawę miłości, wpłynęło na kierunek myśli i pogląd na świat, wytwarzający się w duszy poety, pod wpływem współczesnej filozofii niemieckiej, której ważniejsze dzieła z zapalem studjuje. Panteizm, odbierający człowiekowi Boga osobistego i nieśmiertelność indywidualną, dręczył znękanego w latach poprzednich, potęgując rozpaczliwy nastrój chorej duszy. „A jeżeli to prawda, żeśmy błaznami dni kilku — woła wrażliwy na te wywody poeta — a jeśli prawda, że świat tylko nieśmiertelny... jeżeli Bóg to otchłań tylko przemian bez końca...” Nie mogąc pogodzić pragnień swego serca z tym poglądem, szuka innej syntezy, przypuszcza, że pod chaosem zjawisk kryje się nieznana ludzom harmonja, że dusza człowieka jest nieśmiertelną i osobistą, a zarazem duch jego jest powszechnym. Spotkawszy się, jesienią r. 1839 w Medjolanie, z Augustem Cieszkowskim i poznawszy jego pojęcia, wyłożone w świeżo ogłoszonej wtedy pracy: „Prolegomena zur Historiosophie” (1838), tudzież w późniejszej rozprawie: „Gott und Palingenesie” (1842 r.), znalazł w pomysłach tego niepospolite-

go socjologa, filozofa, upragnioną syntezą. Pod wpływem idei Cieszkowskiego zabrał się do rozwinięcia i nakreślenia własnego poglądu na istotę i rozwój ducha jednostkowego i ludzkości. Owocem tej pracy była obszerna, niedokończona, niedawno dopiero ogłoszona ⁽¹⁾ rozprawa: „O Trójcy w Bogu i o trójcy w człowieku”, urywająca się na myślach, odnoszących się do roli Słowiańszczyzny i Polski w rozwoju ludzkości. Praca to powstała prawdopodobnie w ciągu r. 1841 i zawiera całą filozofję i historjozofję, rozwiniętą później w „Przedświcie” i „Psalmach”. Ta filozofja, owoc nie tyle samodzielnych rozmyślań, ile oddziaływania idei współczesnych myślicieli niemieckich (neoheglizmu), zmodyfikowanych w chrześcijańsko polskiej duszy Cieszkowskiego, na wyobraźnię poety, lubującą się w odległych perspektywach i wizjach historjozoficznych, pozwalających ująć przeszłość i przyszłość ludzkości w ramy trzech aktów wielkiego dramatu dziejowego, przyczyniła się, wraz z ożywczym wpływem miłości dla Delfiny Potockiej, do wyzwolenia duszy Krasińskiego z przygniatającego ją hamletyzmu. Ukazała mu ona wysokie cele życia, nowe pole działalności, odpowiedniej siłom i położeniu skrzepowanego warunkami bytu męża - poety, a mianowicie zaszczytne stanowisko wieszczą — wodza ludu, mającego prowadzić Ludzkość ku jej najwyższemu celom.

II.

Pierwszym wyrazem, odbiciem tego przekształcenia duchowego są: „Trzy myśli Henryka Ligenzy”, poprzedzone pełną humoru i szlacheckiej, staropolskiej werwy, przedmową, datowaną z Szafuzy 1 lipca 1840 r. Niepopolita piękność rozpoczynającego tę trylogję „Syna Cieniów”, ma swe źródło w radości duchowej poety, wyzwalającego się z mgieł i ciemności zwątpienia, wspinającego

⁽¹⁾ „Bibl. Warsz.” 1904 r. a następnie w wydaniu zbiorowem pism poety przez prof. Piniego (Lwów 1904).

się ku szczytom, z których obejmuje pogodne przestwory wszechświata. Wszystko mu teraz „zblękitniało”:

Choć z ziemi rodem już ziemią pomiata,
Nektar gwiazd mlecznych ust jego potrzeba.

.....
Ten, co dziś wątpi, co od wieków jęczy,
Gwiazd swych się dorwie i zamieszka z niemi,
Bo w gwiazdę nieba przetrworzy krąg ziemi,
Wiążąc go z niebem innej wstęgą tęczy.

.....
Coś myślą pojał, dosięgniesz ramieniem,
Ujrzysz na oczy, coś przeczuł natchnieniem.

.....
Bądź znów jak Tytan, wielki, silny, dumny!
Wszędzie kolebki—niema nigdzie trumny—
I wszędzie niebo—niema nigdzie ziemi.

We „Śnie Cezary” Chrystus wprowadza do grobu pochod duchów narodu pokonanego, oznajmiając im, iż „Pan czuwa nad waszemi trumny i czeka, aż chwile przeznaczone miną.” Poeta zaś, za przewodnictwem piękności niewieściej, płynie w nieskończoność. „Uczulem, że będę nieśmiertelny, woła w zachwycie, bom nieśmiertelną ukochał — Koło mnie z prochu dźwigali się męże i widmo Chrystusa bielało nad nimi w powietrzu. Zamknąłem oczy i padłem twarzą na ziemię wśród zmartwychwstających.” W różnych szczegółach tej wizji, będącej zapowiedzią, pierwszą próbą wcielenia myśli, które znajdą swe rozwinięcie w „Przedświcie”, czuć wpływ Anhellego i Boskiej Komedji. Wprowadzając tu przyszłą Beatrycę, poeta zaznaczył wpływ jej na swe przekształcenie i odrodzenie duchowe, zespolił tu nowy swój ideał kobiecy z nowym ideałem odrodzonej i przemienionej przez próbę grobu ojczyzny.

Upojenie miłosne doszło u Krasińskiego do swego zenitu w jesieni r. 1841, gdy, w towarzystwie Delfiny, spę-

dził kilka tygodni w cichej osadzie Varena nad jeziorem Como, odgradzony od świata śnieżnymi olbrzymami Alp szwajcarsko-włoskich, tworzących wspaniałe ramy zwierciadlanej tafli wód, odbijających w swym przezroczu błękit niebios, zieleni winnic i ogrodów, zdobiących stoki wyniosłych wybrzeży jeziora.

Po błękitach idylli podalpejskiej horyzont duchowy Krasińskiego przyćmiły nowe chmury. Rodzina Komarow stara się zerwać stosunki poety z Delfiną, a ojciec przynagla do poślubienia wybranej mu za towarzyszkę życia Elżbiety Branickiej. Ostatni, najdroższy pocie, z przydawanych mu przez ojca mentorów - towarzyszków, Danielewicz, mający właśnie poślubić utalentowaną pianistkę niemiecką, umiera po kilkomiesięcznej chorobie w marcu r. 1842. Wypowiadając w wierszu p. t. „Fryburg“ swój żal po tej stracie, w uczuciowym porywie woła pozbawiony przyjaciela poeta:

. Życia mego chwała
Śpi w jego grobie, bez niego ja niczem,
On mi był siłą, co mi rozum dała,
Bo mię gnał naprzód wiecznym prawdy biczem.

Przyjaciół i kierownik lat młodzieńczych poety opuścił go w chwili, gdy, wydobywszy się z otchłani zwątpień, przebywszy okres burz duchowych, osiągał powoli harmonię i równowagę wewnętrzną, która nada nowy kierunek jego twórczości, pozwoli mu zająć stanowisko przewodnika i nauczyciela społeczeństwa.

Tem droższą teraz stała mu się Delfina-Beatrycze, krzepiąca go swą miłością w ciężkich przejściach życiowych, wynikłych z kolizji między marzeniami i pragnieniami lat poprzednich a zadaniami jakie wkładało na niego nowe położenie i obowiązki, spadające na dochodzącego męskiej dojrzałości (lat 30) poetę, małżonka, ordynata. Na trzy miesiące przed swoim ślubem (w lipcu r. 1843 w Dreźnie) a prawie bezpośrednio po oświadczeniach (na

początku r. 1843) wykończy Krasiński w Nizy, w towarzystwie Delfiny, przy współudziale pośredniczącego w ogłoszeniu drukiem i przyjmującego na siebie autorstwo poematu, Konst. Gaszyńskiego, „Przedświt“ napisany w jesieni roku poprzedzającego (1842).

Krasiński, chcąc zbliżyć duchowo ku sobie ukochaną, daleką zapewne w swych zasobach i upodobaniach umysłowych od idei historjoficznych, zajmujących tak żywo poetę, rozwijał nieraz, z właściwym mu w takich chwilach zapalem i polotem, swe pomysły i wizje. Znajdował wtedy w swej Beatryczy „słuchaczkę, poddającą się urokowi nowych dla niej, owianych czarem miłości i poezji porywów i wzlotów myślowych w obszary przyszłości i przestwory nieskończoności, jak o tem świadczy piękny wiersz (z jej albumu), upamiętniający te chwile:

Ty, patrząc w górę, pytasz się żałośnie:
Duch nasz, na miarę bezmiaru, czy wzrośnie?
Czy będziemy kiedy, my smutni, wiedzieli,
Jacy mieszkają po gwiazdach anieli?

.
A ja cię pieśnią kołyszę nadziei,
Ja ci zwiastuję lot Ducha przepływny,
Przez ciąg postępných wszechświata kolei,
I świat nareszcie wieczny, boży, inny.

Cały szereg liryk przygotowuje i zapowiada od r. 1839 ten ostatni, najsilniejszy wylew uczuć w poemacie, opiewającym upojenie radosne, jakim szczęśliwy kochanek, poeta, myśliciel, chce się podzielić z całym światem a najmniej z całą Polską. Nadmiar szczęścia osobistego, wywołanego przez budzącą do nowego życia miłość, przez wyzwolenie ducha z piekła rozpacz, ukazuje pocie, w optymistycznej syntezie, przeszłość i przyszłość ojczyzny, w związku z wyzwoleniem i odrodzeniem całej ludzkości i zaszczytną rolą wieszczą i głosiciela tej nowej ery dziejowej. Z tą samą egzaltacją, z jaką poprzednio wyle-

wał rozpaczliwe skargi na piekło dni naszych, na beznadziejność życia, przedstawiającego się mu jako nieustanne konanie, wybuchnie teraz potężnym Alleluja szczęścia osobistego i powszechnego, wylewem miłości dla Boga, ludzi, przyrody i wszechświata.

Chciałbym objąć te błękity,
Tych wód brzegi, tych skał szczyty,
Ten widnokrąg objąć świata
I przycisnąć świat, jak brata,
Do mych piersi, bom szczęśliwy!

.

Dzięki wszystkim i wszystkiemu,
W wieki wieków, dzięki wszędzie:
Bogu, duchom, ludziom, tobie —
I umarłym dzięki w grobie,
I każdemu kto jest żywy —
Temu światu wszechcałemu
Wieczne, wieczne dziękowanie!

Przed sześciu laty, zrozpaczonemu Hamletowi, świat ten przedstawiał się „przebranej polem“, „rozbicia skałą“, „wiekuistym bolem“. Dla czytelników współczesnych pojawieniu się „Przedświtu i większości dzisiejszych, szczęście i upojenie poety wydaje się przedewszystkiem szczęściem i upojeniem patriotycznym, radością z przewidywanego, blizkiego, odrodzenia i zmartwychwstania ojczyzny. Na tem polegał i polega dotąd urok tego poematu dla dusz polskich, stąd płynął balsam pociechy dla znękanych dusz wygnańców i więźniów, tem budził otuchę i wiarę w lepszą przyszłość. Pod tym względem oddziaływał „Przedświt“ silniej i skuteczniej, na cierpiące i spragnione pociechy dusze, niż wszystkie inne arcydzieła naszej poezji, nie wyłączając „Pana Tadeusza“. A jednakże, w duszy poety wylew uczuć narodowych, apoteoza dawnej i przyszłej Polski, pojawiły się dopiero w ostatniej fazie tego odrodzenia duchowego, przez szczęśliwą miłość, po całym

szeregu liryk, opiewających w tonie, rytmie i nastroju „Przedświtu“, na tle tego samego krajobrazu, upojenia miłosne idylli, przeżytej w Varennie, przy boku Delfiny. Że poeta wtedy poprzestawał na szczęściu, jakie mu dawała miłość, harmonizująca swą pogodą, spokojem, muzyką uczuć, z pogodną pięknoscią linii, ruchów i barw włoskiej przyrody, dolin i jezior podalpejskich—jest rzeczą bardzo naturalną.

Przed tą idyllą, choć czuł się szczęśliwy, choć rozpoczynał jedną ze swych lirycznych spowiedzi („Poeta“) wyznaniem:

Wierzę w nadzieję, miłość nieskończoną,
W dobroć i piękność, straż duchów nademną,
W światło niebieskie i wiosnę zieloną —

łączył jednak z tą wiarą, jako przeżytek okresu pesymizmu to ograniczające a w części sprzeczne z powyższą afirmacją przeświadczenie:

Lecz wierzę razem w potęgę podziemną,
W żart losów wierzę i śmiechy szatana,
W nędzę, ubóstwo i w ból i w chorobę,
W męczeństwo ciała i ducha żałobę,
W rozdział na wieki i samotne zgony.
Świat złego także bywa nieskończony!

Mimo to, poeta pragnął wtedy swą pieśnią walczyć ze złem, zanieść skargę na krzywdy i cierpienia braci przed tron Boga, zginać z ręki mściwego wroga, by zmartwychwstać „w ducha ludzkiego ponadziemskim Rzymie“ i zasłużyć sobie na „posąg ducha niemarmurowym wykuty kamieniem“. Ta wiara w zło i jego moc nieskończoną znika w wierszu, skreślonym rok później (1840 r.), zapewne pod świeżym wrażeniem dni spędzonych nad brzegami Como i wpływem historjografii Cieszkowskiego. Wiersz ten, zatytułowany: „Na skale“, stanowi poniekąd pierwszy szkic „Przedświtu“. Wpisując go do albumu

Delfiny, chciał utrwalić Krasiński minione bezpowrotnie chwile szczęścia, unieśmiertelnić tonami poezji melodię i akordy tego duetu miłosnego, jakim śpiewały tam ich serca. Wiersz ten daje nam już melodię uniesień i zarysy obrazów „Przedświtu“, zwłaszcza tego pochodu duchów, sunących po falach jeziora „Chrystusowym chodem“. Poeta ze swą towarzyszką zachwycali się nieraz ruchem białych, wielkich żagli statków rybackich, rozpostartych „w łabędzich skrzydeł pychę“ a które „jak sen ciche..... po wierzchołkach fal stapały Chrystusowych stópami wzorem..... niby dusze wracające tych, co niegdyś nas kochali.“

Ot nas porwą w gwiazd bezmiary,
W inną przestrzeń, w inne dole.
W łąki przejrzyste, w łżejsze bole,
W szersze myśli, świętsze wiary.

.

Na pół w grobie, na pół w raju,
My już byli w martwych kraju,
Magnetycznych widzeń siła
Dusze nasze pochwyciła.

Tak odtwarzał i upamiętniał te chwile poeta w wierszu, przeznaczonym dla samej Delfiny i pisanym zapewne, pod świeżym jeszcze wspomnieniem rozkosznych dni, a więc w końcu r. 1841, na rok przed utworzeniem „Przedświtu“. Jednocześnie rozwinał swe historjozoficzne pomysły w ciekawym i pięknym liście (do Gaszyńskiego prawdopodobnie), ogłoszonym w początkach r. 1842 bezimiennie w „Dzienniku narodowym“ (Paryż), przedrukowanym w rozprawie Sternała („Przedświt“ Kraków 1889). List ten jest poniekąd zawiazkiem późniejszego wstępu do „Przedświtu“. Zamiar podzielenia się z ogółem upojeniem błogich dni, radosnemi przeżyciami i wynikami rozmyślań i porywów wyobraźni, był naturalnym wynikiem doniosłego znaczenia tych przeżyć i wiążących się

z niemi owoców pracy myśli, otwierającej nowe widnokreśgi w poglądach na przyszłe losy ojczyzny i ludzkości. Poeta zapragnął w sercach współziomków wzbudzić oddźwięk dla hymnu szczęścia, jakim brzmiała jego wyzwolona dusza, pokrzepić i pocieszyć swojemi promiennymi wizjami cierpiących i przygnębionych. Na lazurowym wybrzeżu Nizy, wczesną wiosną r. 1843, wykończył Krasiński jedyny swój radosny, pogodny utwór, mający do ciemnic zrozpaczonych dusz polskich wpuścić blaski przedświtu lepszych dni.

III.

Przywykliśmy uważać „Przedświt“ za poemat, poprzedzony przedmową, pomijaną często przez czytelników śpieszących poić się muzyką i wizjami części poetyckiej. W rzeczywistości jednak ten wstęp, pisany prozą, nakreślony wcześniej, oddzielnie, stanowi, jako wyraz myśli poety, główną część całości, dając pełne, wymowne rozwinięcie idei zasadniczej utworu. Poemat zaś, będący właściwie szeregiem wylewów uczuciowych i wizji, ilustrujących myśli we wstępie rozwinięte, najwięcej nas pociąga i zachwyca odtworzeniem upojenia miłosnego poety, wobec którego obrazy i wywody historjozoficzne wydają się w wielu ustępach wierszowaną rozprawą. Momenty największego blasku i siły artyzmu nie schodzą się w utworze z chwilami występowania najdonioślejszych myśli. Uważany jako całość „Przedświt“ przedstawia, obok wstępnej rozprawy, ciąg luźno powiązanych lirycznych wynurzeń, wizji, wywodów wierszowanych, odbijających różne stopnie podniecenia uczuciowego, pogłębienia myślowego i stałe właściwości artyzmu myśliciela-poety.

Stała cecha twórczości poety, forma wizji, i tu służy do odtworzenia przeżyć, przekonań i marzeń. Pogoda duszy odbija się w spokoju i harmonii przesuwających

się scen i obrazów, w piękności i naturalności ram, ujmujących te widzenia i tło, na którym się rozwijają. Wstępne wynurzenia poety stanowią charakterystykę zamkniętego już okresu życia, „piekła“ zwątpień i rozpacz i akt hołdu wdzięczności i miłości dla tej, która, go wywiodła z „otehłani“, siostry, Beatrycze, dzielącej z nim cierpienia korony cierniowej i pijącej z jednego trucizn „piekielnego źródła“. Ona to uleczyła chorą i cierpiącą duszę, wróciła jej „szczęście wiary i siłę nadziei“ i wydobyła z niej pieśń radości. To też ukazuje nam poeta w tej siostrze - wybawicielce, współtwórczyni pieśni, połączonej z nim na wieki „jednych pamiątek i uczuć pierścieniem“ i odtwarza nam w rozszerzonych rozmiarach, przez wprowadzenie wiążących się ściśle w duszy poety z jego odrodzeniem wewnętrznym wizji, apoteozy przeszłości i przyszłości odrodzonej ojczyzny—nieraz już wyśpiewaną, dla Delfiny wyłącznie, pieśń upoień radosnych, przeżytych przez kochające się dusze w uroczym zakątku podalpejskim.

Choć pieśnią swą chce pocieszyć naród cały, zwraca się w niej ciągle do tej, której zawdzięczał zdolność wyśpiewania nowej, pierwszej i ostatniej w życiu swem pieśni szczęścia. Przez wprowadzenie do utworu wizji i syntezy historjograficznej przeszłości i przyszłości Polski uświećniał, opromieniał, unieśmiertelniał poeta swą miłość, swe najszcześniejsze chwile życia i tę której te chwile zawdzięczał.

Najpiękniejszym, jako wyraz upojenia uczuciowego i jako obraz, jest pierwszy ustęp („Czy pamiętasz nad Alp śniegiem rozwieszone Włoch błękity“), odtwarzający chwile niepowrotnej przeszłości, w blaskach oświeślenia księżycowego, z muzyką rozmarzonego, tęskniącego za niemi serca. Doszedłszy w crescendo uczuciowym do stopnia, na którym upojonemu szczęściem osobistem „zdaje się, że w tej chwili, ze snu trumny, nasza święta gdzieś tam wstaje“, przechodzi stopniowo do rozpląnięcia się w marzycielskiem pianissimo cisy wieczornej.

Płynmy, płynmy, tak bez końca,
W ciszę, jasność, w błękit, w dal!
Rzeczywistość się pomału
W świat przemienia ideału,
W sen ze srebra i kryształu;
Daj mi teraz marzyć, daj!

Cudowne zespolenie symfoniczne rytmu i melodji serca, wspominającego chwile szczęśliwe, z harmonją blasków oświeślenia wieczornego krajobrazu, ruchem łagodnie kołyszących się fal jeziora i cichem sunięciem się łodzi, nadaje temu ustępowi czar piękna zespalających się tu form i środków ekspresji: malarskich, muzycznych i poetyckich, którego nie osiągnie żaden z dalszych obrazów i wynurzeń uczuciowych poety.

To, co zachwycało, chwytalo za serca współczesnych czytelników i późniejsze pokolenia do r. 1864, ta optymistyczna historjofilia, ten apoteozujący nieszczęśliwą, jęczącą w ucisku ojczyznę, messjanizm, ukazujący w Polsce niewinną ofiarę, cierpiącą za błędy ludzkości, Chrystusa narodów, mającego poprowadzić ludy świata nowymi torami ku lepszej przyszłości—dziś nie przemawia tak silnie do dusz, patrzących na tę przeszłość ze stanowiska współczesnej historjografji. To też zawarty w dalszych ustępach, wymowny, miejscami z wielką siłą przekonania i słowa skreślony, wykład wierszowany historjofili mesjanistycznej nie znajduje w naszych krytycznych umysłach pełnej i ufnej aprobacji, nie przyjmujemy do naszych, rozczarowanych tyłu zawodami dusz, upewnień i obietnic poety, jako wieszczych zapowiedzi. W jednym tylko zgodni z nim być możemy i czuć się w harmonji z jego sercem, w przekonaniu, wierze niezachwianej, żeśmy „próbę grobu zwycięsko odbyli i że prawem naszym Zmartwychwstanie“. Przekonania tego o słuszności i świętości naszej sprawy żadne zawody i argumenty zachwiać nie potrafią.

O ile wypowiedający to ustęp wypłynął w prost z serca poety i brzmi muzyką ulatującego ku niebu uczucia,

o tyle następujący po nim wykład sam, przerabianie wierszowane pomysłów rozprawy „o Trójcy“ i myśli wstępu, illustrowane wizją powstających z grobu przedstawicieli przeszłości, przychodzi poecie z pewnym trudem, wysiłkiem, powtarzaniem się, dociąganiem wierszy przez wstawki i rymów przez zestawianie powtarzających się, bliźniących brzmieniem i formą wyrazów (wszechzgoda — wszechpogoda; nosim — prosim; kusim — musim). Trzeci z kolei ustęp („My umarli pośród świata z świętej do świata miłości“), będący omówieniem myśli Mickiewicza („Ksiąg narodu“), usprawiedliwionej w r. 1832 przez świeżą wtedy klęskę i rozpacz zawiedzionych, rażącej jednak już w r. 1843, zwłaszcza w ustach człowieka który niedawno jeszcze tak surowo, niemiłosiernie („Nieboska“ i list do ojca z r. 1836, którego sądy powtórzył Słowacki w „Grobie Agamemnona“) sądził i charakteryzował przeszłość narodu i jego błędy — dziś tembardziej niechce przez usta przejść myślącemu czytelnikowi. Dalszy ciąg dopiero, ten szczery i silny protest przeciw przewadze fałszu, podłości, interesu materialnego w życiu współczesnem („O wy nizcy, o wy ciemni“!), a gorące poparcie ofiarności jako znamienia Boskości tkwiącej w duszy ludzkiej, pozwala nam zespolic się uczuciem i myślą z gromiącym zło poetą. Siła przekonania, szczerość wzruszenia i oburzenia, nadają temu wybuchowi piękno i podniosłość dantejską. Następująca z kolei wizja ma za tło krajobrazowe widownię pokuty Irydjona i pielgrzymki Anhellego, „ziemię mogił i krzyżów“, w zimowem pokryciu lodów i śniegów, przejmującym dreszczem rozpieszczonego przez włoskie niebo tułacza - poetę. Ten bezgranicznie rozszerzający się cmentarz otwiera swe groby, z których wysuwa się „antentów blade mnóstwo, dawne króle, radne pany i rycerze i hetmany“ — a na ich czele ten, co nie z soli ani roli, ale z tego co boli“ wyrósł na wodza - wybawcę, ofiarny, bohaterki Czarnecki. Oznajmia on, iż zgon polityczny Polski był łaską Bożą, gdyż wyrwana z piekieł ziemskich ojczyzna nie stała się „kramem“, nie podliła się, jak inne

ludy, ale przez swoją mękę i grób dąży do wyższej doli, przekształca się w „Ludów lud jedyny“, który wystąpi na widownię, „nim ten jeszcze wiek przeminie“.

Stwierdzeniem i rozwinięciem przepowiedni hetmana są następujące z kolei dwie wizje przyszłej Polski, w roli przewodniczki odrodzonej przez jej mękę ludzkości, — wznoszącej się z gronem ludów ziemskich w sfery nadziemskie. Pierwsza wizja ma jeszcze za tło krajobrazowe drogie tak poecie jezioro podalpejskie, następna zaś przestwory nieskończoności. Uniesienie ducha poety wieszczą — upojonego pięknem wcielonej w wizję myśli historjograficznej, zespala się z uczuciem patryjotycznym w cudowną muzykę, jakby harmonję „grających przed Jehową sfer“, melodję tonów, dobywanych z tej nadziemskiej harfy, na której strunach „duch przygrywa“ i dobywa z nich pieśń, będącą „zgoda, ciszą świata“.

W zamykającym utwór radosnem Alleluja poeta przewiduje — niezbędne zresztą dla spełnienia tak wielkiej misji — pojawienie się na ziemi ojczystej nowego plemienia ludzi, „jakich jeszcze nie widziano“, a zarazem udział czynny kobiet w życiu społecznem. Podstawą tej wiary, ufności i radości jest przeświadczenie, że „duch Polski już nie skona“, skoro „wzbił się w kraj idei“, bo wszystko na świecie, „co widome tylko oku“, przejdzie i zginie, lecz „idea“ nie przeminie.

W końcowem przemówieniu czyni poeta swą siostrę Beatrycę współtwórczynią tych wieszczych wizji i obiecuje stwierdzić życiem i czynami prawdę swych marzeń i przeczuć, siłę swej wiary i przekonania, „bo słowa tylko to marna połowa arcydzieł życia“. To też świadom, iż w swej pieśni, wraz ze współtwórczynią, „całe wyśpiewali serce“, oznajmia, iż „tu jest nasze ze słowem rozstanie“. Jednakże wołając: „Zgińcie me pieśni, wstańcie czyny moje“, wyłącza od współpracownictwa swą Beatrycę, mającą tylko czuwać, przy tej pracy, nad wieszczem, realizującym swe ideały w „trudów arcydziele“ i rozplywającym się siłą wszystko ogarniającej miłości w „poświęcenia hymnie“.

IV.

Jak widzimy, poeta nie przybiera w „Przedświcie“ tonu i roli wieszczą, przedstawia on swe wizje przeszłości i przyszłości, jako „marzenia wygnańca i wygnanki“. Wieszczą powagę, ton nauczyciela i wodza duchowego narodu spotkamy dopiero w „Psalmach“. Tem wywołały one znany protest czującego się takim wodzem, królem duchem, Słowackiego.

Jednakże już i „Przedświt“ nie znalazł sympatycznego oddźwięku w duszy niedawnego brata Wenedy. Z wyżyn, na jakie wzbil się teraz twórca „Beniowskiego“ i „Księdza Marka“, posiadacz tajemnicy świata, wyłożonej w ukrywanej przed ludźmi „Genesis z ducha“, kierowany przez nadziemskie natchnienia, „słowem bożem skrzydlaty“ wieszcz, widzi on w niedawnym „archaniele wiary“, jak nazwał r. 1839 w uniesieniu uczuciowym Krasińskiego, sypiącego „perłami“ wirtuoza pięknych myśli i obrazów. W każdym razie wydaje mu się Krasiński niepowołanym, nienatchnionym „duchem bożym“, a mimo to usiłującym kierować duszami współbraci i wskazywać społeczeństwu drogę i cele dążenia. „Książ Marek“, „Poeta i Natchnienie“ odbijają już w kilku miejscach zamiar przeciwstawienia wizjom i myślom „Przedświtu“ pojęć i widzeń czującego swą wyższość i swe wieszczce powołanie współzawodnika. „Samuel Zborowski“ wreszcie, w całej, do tysiąca wierszy liczącej przemowie obrończej, stanowiącej najważniejszą część utworu, jest odpowiedzią, a raczej przeciwstawieniem „Przedświtowi“ własnej wizji przeszłości i przyszłości narodu. Stanowisko wieszczą - karciciela, które, opuściwszy sferę marzeń przedświtowych, zajął Krasiński w „Psalmie miłości“, by z trybuny rozpraw społeczno-politycznych zagrznieć piorunami potępienia, wobec dążeń obozu, od którego Słowacki oczekiwał urzeczywistnienia swych rojeń co do ewolucji dalszej „wiecznego rewolucjonisty ducha“, wywołało wreszcie ten najsilniejszy i najświetniejszy protest i atak otwarty na niedawnego przyjaciela,

porywającą pędem uniesienia uczuciowego i wyobraźni „Odpowiedź na Psalmy Przyszłości“. Wiersz ten, rozpowszechniony właściwie dopiero z chwilą ogłoszenia go przez Małeckiego r. 1866, w wydaniu Pism pośmiertnych, przyczynił się też, w pewnym stopniu, do uszczuplenia „Przedświtowi“ siły pociągającej i znaczenia, jakie przedtem posiadał. Sam Słowacki, w ponownym przerobieniu, poopuszczał jaskrawsze ustępy i złagodził charakter tego wyzwania, wyznaczając przeciwnikowi za plac spotkania sfery nadziemskie i wzywając na sędziego sporu Chrystusa. Dziś możemy ze spokojem śledzić przebieg tej „gigantomachji“, której poezja nasza zawdzięcza szereg arcydzieł. Pod względem artystycznym zwyciężył w tym boju Słowacki, którego arcydzieła przyćmiewają swym blaskiem owoce słabnącego po „Przedświcie“ artyzmu Krasińskiego. Jako myśliciel - nauczyciel jednakże, zwycięsko wyszedł śpiewak „Psalmów“, którego poglądom historjofizycznym nie był zdolnym twórca „Króla Ducha“ przeciwstawić jasno sformułowanego systemu własnych pojęć o przyszłości narodu i prowadzącej do niej drodze.

V.

Krytyka nasza mało się zajmowała „Przedświtem“. Nieliczne oceny dawniejsze, Siemieńskiego nawet, były nietrafne i chłodne. Krytyk ten zestawiał „Przedświt“ z „Pieśnią o ziemi naszej“ i dopatrywał się w końcowym wykrzyku: „Zgincie me pieśni, wstańcie czyny moje!“ wezwania do ruchu zbrojnego. Klaczko, w rozprawie francuskiej o Bezimiennym poecie (r. 1862), potępił, ze stanowiska polityczno-historycznego, mesjanizm, rozwijany tu przez Krasińskiego. Tarnowski, w przedmowie do wydania lwowskiego pism poety i w osobnem o nim dziele („Zygmunt Krasiński“ Kraków 1892), nie dzieląc w zupełności przekonań poety, uważa je za trafniejsze jednak od wieszczów mesjanicznych Mickiewicza. Krasiński nie podaje swych wizji przyszłości za objawienia, ale za marzenia jedynie, nie nazywa Polski Chrystusem narodów

ale widzi w niej społeczeństwo, które najlepiej wcieliło w swe życie zasady chrześcijańskie. Powstanie „Przedświtu“ przypisuje zamiarowi przeciwdziałania Towianizmowi, widzi w utworze jedynie myśl patryjotyczno-polityczną, wykład historjografii poety, stąd upatruje podobieństwo z „Duchem od stepu“. Proponuje nawet miano: „elegji patryjotycznej“ dla poematu, który jest przede wszystkim pieśnią radosną, Alleluja osiągniętego przez poetę szczęścia osobistego i wiary w zbliżające się szczęście zmartwychwstania narodu.

Jedyna specjalnie „Przedświtowi“ poświęcona rozprawa Sternala (w Przegl. powsz. r. 1889 i osobno, Kraków) mieści w sobie pracowicie nagromadzony materiał świadectw, ściągających się do tego utworu, i wiele trafnych spostrzeżeń co do budowy i osnowy poematu. Badacz jednak upatruje gienezę utworu, za poprzednikami swymi, w zamiarze przeciwdziałania współcześnie szerzącemu się Towianizmowi.

W przeciwstawieniu do chłodu niezbyt trafnych i głębokich ocen krytycznych, dawniejsi czytelnicy, spragnieni, w ciężkich warunkach życia narodowego, pociechy i nadziei lepszej przyszłości, ciepłem własnych serc, ufnością w nieomylną natchnień poety, rozgrzewali wizje i wywody „Przedświtu“, opromieniali blaskiem wieszczego objawienia. My dziś odczuwamy subtelniej od nich względny chłód szczerych zresztą i podniosłych rojeń, dostrzegamy słabość wywodów historjograficznych i dajemy się porwać głównie artyzmowi poety, osiągającemu tylko w niektórych ustępach świetność nieporównaną. Dopiero praca myśli badawczej pozwoli czytelnikom, obecnym bliżej z przeszłością naszego życia duchowego, dostrzec wewnętrzny związek pojęć i marzeń wielkiego poety z myślami i wierzeniami nie tylko wielkich dusz ostatniej epoki (od Brodzińskiego i Mickiewicza aż do Wyspiańskiego) ale i najlepszych dusz wieków dawniejszych. Surowość sądów o przeszłości i chwili obecnej, wygłaszanych w „Nieboskiej“, rozwijanych w korespondencji

poety, gorycz i sarkazm poglądów, których echo spotykamy w „Grobie Agamemnona“, sądy o arystokracji w liście do Sołtana z r. 1841—nieustępujące siłą oburzenia i sarkazmu sądom Wyspiańskiego w „Weselu“ i „Wyzwoleniu“—świadczą, że w duszy poety, od lat młodych, tkwił i rozwijał się, przy gorącym patryjotyzmie, podniosły ideał Polaka i wysokie pojęcie Polskości.—„Polska to wielka rzecz“ Wyspiańskiego—tłumione, ukrywane w głębi duszy, w fazie pesymizmu i hamletyzmu, sformułowane i wypowiedziane w epoce, gdy praca myśli i osobiste szczęście, przez miłość sprowadzone, doprowadziły do równowagi duchowej i na niej pozwoliły oprzeć nadzieję i wiarę w zbliżający się dzień zmartwychwstania. To też w końcowym optymizmie, który zapanował teraz w duszy poety, każe on „błogosławić ojców winie“, gdyż ona to, przez mękę i próbę grobu, doprowadziła do świtającej już chwili tryumfu odrodzonej ojczyzny, mającej poprowadzić ludzkość całą nowymi torami.

Mesjanistyczna wizja, w jakiej wyraziła wielka poezja polska pierwszej połowy wieku XIX ideę posłannictwa i odrodzenia narodowego, odbija w sobie pragnienia spotęgowanego, przez krzywdy, nieszczęścia i daremne wysiłki, patryjotyzmu, szukającego pociechy i przeciwwagi przygniatającym ducha warunkom chwili obecnej, w widokach promiennej przyszłości, — nie odpowiada jednak ani naszym pojęciom o krytycznie zbadanej przeszłości, ani przewidywaniom przyszłości, opartym na współczesnym stanie naszej kultury i warunkach bytu. Mimo to, jako bodziec energii, we współzawodnictwie ludów, dążących do przewagi i zwierzchnictwa, opartego na przewadze kulturalnej, na wyższości organizacji społecznej i wcielonego w nią ideału stosunków ludzkich, idea ta, o ile znajdują się dusze zdolne ją umiłowić i stopniowo realizować, może stać się potężną dźwignią rozwoju narodowego i społecznego. Stopniowe uświadomienie i unarodowienie mas ludowych, z których przeważnie składać się będzie przetwarzające się obecnie z trudem nasze społeczeństwo,

pozwole mu w przyszłości, z chaosu ścierających się dziś, w słabych i ubogich duszach, pragnień, dążeń, pojęć, wyłonić ideę—jednoczącą i pobudzającą — wyższych ogólnoludzkich zadań zbiorowego życia i nawiązać ją do idei i ideałów przeszłości, wyrobionych pracą poprzednich pokoleń, przekazanych przez najlepsze i najwyższe dusze minionych wieków. W ten sposób program Krasińskiego „z szlachtą polską polski lud“ znajdzie swe — konieczne zresztą dla ciągłości i odrębności życia narodowego—ureczywistnienie. Klasy społeczne, stronnictwa i epoki, dzieli i oddala to, co w nich jest niskiego, złego, samolubnego—łączą i godzą je wyższe pragnienia, czyny, dzieła. Pojęcie społeczeństwa, narodu, musi ogarniać nie tylko wszystkich żyjących w danej chwili jego członków, ale też i wszystkich, którzy przed nami żyli, a także i tych, co po nas żyć będą. Tak pojmują i takie koło dusz ogarniają myślą i uznaniem nie tylko ludzie wyjątkowi, jakiś Dante czy Mickiewicz lub Krasiński, ale i całe ludy, dla których kult przodków (u Japończyków i Chińczyków między innymi) stanowi prawie istotę ich religii, lub jak u Anglików, Niemców i tylu innych ludów, podstawę rozwoju kulturalnego, opartego na ściślejszej spójni z przeszłością i zostawioną przez przodków pascizną duchową. Lekceważenie lub pogarda dla przeszłości, cechujące młode z ubogą kulturą narody, usiłujące zerwać węzły, wiążące je z poprzednimi pokoleniami, uniemożliwia raczej niż ułatwia postęp, zatrzymując normalny bieg ewolucji duchowej i społecznej, której faz koniecznych nie można ominąć ni sztucznie przyspieszyć.

Przyswojenie i ukochanie przekazanych nam przez poprzednie wieki podniosłych idei i ideałów, wytworzonych w krwawym trudzie i wysiłkach żywota praociów, może dopiero uzdolnić obecne i przyszłe pokolenia do udziału skutecznego w tej zbiorowej pracy wieków i ludów, nad urzeczywistnianiem stopniowem ideału człowieka, społeczeństwa i ludzkości. Tę konieczność, to prawo ewolucji

społecznej—wypowiedział w „Przedświcie“ Krasiński, w słowach Czarneckiego:

I przez ojców waszych życie
Porywani dotąd skrycie,
Mimowiedzy — wy musicie
Ku Królestwu iść bożemu,
Co ma jaśnieć na tem świecie!
My szli tamże po staremu,
Wy dziś z młodu tam idziecie.
Jedną spójnią, w jednym duchu,
Jak ogniwa na łańcuchu,
Pan powiązał ojców z syny,
Ni ten łańcuch kiedy pęknie....

Jak jednostki, tak i społeczeństwa, uszlachetniają i umacniają moralnie jedynie podniosłe, wysokie cele, jakie wytknęły swym dążeniom, ideały, w których zbliżeniu, jeśli nie w ziszczeniu, widzą swe posłannictwo. Idea posłannictwa narodowego, przeświadczenie o obowiązku pracy dla wyższych zadań, mających doniosłe znaczenie zarówno dla zmierzającego ku nim narodu, jak i dla całej ludzkości, jest koniecznym warunkiem postępu i rozwoju pomyślnego życia narodowego i pracy kulturalnej. Bez tego nie można osiągnąć ni spójności, jedności narodowej, ni energii, płynącej z wiary w świętość i wielkość celów ostatecznych pracy zbiorowej i wyższych dążeń jednostkowych. Bez tego niemożliwy jest postęp.

To też znaczenie „Przedświtu“ polega na tem, że i dziś i długo jeszcze, dzięki bogactwu podniosłych myśli, wytworzonych pracą dwóch niepospolitych dusz (Krasińskiego i Cieszkowskiego) i świetności artyzmu, szerzyć może i powinien takie przeświadczenie, a przytem ogrzewać i podniecać dusze ludzkie siłą przekonań i uczuć, płynących z serca jednego z największych wodzów naszego życia duchowego.

AISCHYLOS.

PROMETEUSZ
SKOWANY.

Z GRECKIEGO PRZEŁOŻYL

JAN KASPROWICZ.

(Dokończenie).



Wpada Io z rogami na głowie.

Io. Co to za kraj?
Co za lud?
Któż to tam leży? Któż?
O skalny powalon cios,
Za coś igraszką burz?
W pętach za jakie cierpisz winy?
Wiadomość mi daj,
Do jakiej mnie dzisiaj wwiódł
Dziedziny
Mój los?...
Ach! Ach!
Znowu napada mnie giez!
Argos, syn ziemi,
Znów mnie oczami ściga tysięcznemi!

PROMETEUSZ SKOWANY.

219

Strach! Co za widok! Strach!
Pies! stróż! naganiacz! Pies!
Przeszywający wzrok! Hej! czyje
Zniosą go oczy?
Ziemię przewierci!
Ziemia go nawet po śmierci
Nie skryje!
Z ciemnego jej wnętrza wyskoczy,
Zęby wyszczerzy
I wcwał! wcwał!
Będzie mnie biedną gnał,
Śród morskich przepędzał wybrzeży.

* * *

A oto woskiem pozlepiana trzcina
Jużci mi nucić zaczyna
Usypiający wtór!
O jej! O rety! O jej!
Do jakich mnie kniej,
Mnie najnędzniejszą z cór
Rozdrożne prowadzą drogi?
O srogi
Synu Kronosa, o ty boży synu,
Jakiegoż ja się dopuściłam czynu,
Że nie chcesz folgi dać niedoli mej!
O jej!
W straszne-ś mnie jarzmo wprzągł!
O męko mąk!
Znowu mnie bodzie giez!
Gdzie kres?! Gdzie kres?!
Spal mnie swym gromem, spal,
Lub strąć mnie w ziemi głąb,
Lub zagrzeb w odmęcie fal!
Zstąp ku mnie, władco, zstąp,
Usłysz mój żal!
Śród błędnych błędę dróg

I nie wiem, ktoby dziś mógł
Wybawić mnie z doli niezbożnej?

PRZODOWNICA CHÓRU. Czy słyszysz to wołanie dziewczki kro-
[wioróżnej?

PROMETEUSZ. O jakżebym nie słyszał? Gzem-ci to pędzona
Inacha młoda córą, co miłość wśród łona
Zbudziła Zeusowego. Z bólu snąć umiera:
Po drogach ją rozstajnych mściwa pędzi Hera.

Io. Skąd ci nazwisko mego ojca znane?
Odgadłeś duszy mej ranę,
Ty, który cierpisz sam!
O jej! O rety! O jej!

Powiedzieć mi chciej,
Kogo przed sobą ja mam —
Któż moje straszne cierpienia
Wymienia

Ach! tak prawdziwie? Przez mściwą boginię
W gorzkiej chorobie dziś me życie ginie!
Przez nią przypędził mnie do pustki tej —
O jej! —

Rozpaczy morderczy szął!
Hery mnie gnał
Nieposkromiony gniew.

Jak burzy wiew,
Biegłam, wśród błędnych błędząc dróg,
W ten skalny biegłam kraj,
Ścigana nawałą trwóg!

Lecz ty lekarstwo mi daj,
Mów, ktoby mógł
Złagodzić mój cierpki los?
Bo ciężki tych dotknął cios,
Co w równej, jak ja, giną nędzy!

PRZODOWNICA CHÓRU. Jeżeli tylko zdołasz, mów, pomóż co
[prędzej.

PROMETEUSZ. Nie ciemną, zawikłaną i nie zagadkową,

Lecz jasną na to wszystko odpowiem ci mową,
Do takiej bowiem przyjaźń usta moje zmusza:
Masz ogniodawcę ludzi, mnie, Prometeusza!

Io. O biedny Prometeju, zbawicielu człeka,
Mów, z jakiejci przyczyny ten ból dziś dopieka?

PROMETEUSZ. Dopiero-m się poprzestał na swą dolę skarżyć.

Io. A zatem już mnie nie chcesz swą łaską obdarzyć?

PROMETEUSZ. Odpowiedz, czego pragniesz? Wszystko ci wy-
[jaśnię.

Io. Kto przykuł cię do skały? To chcę słyszeć właśnie.

PROMETEUSZ. Zeusa twarda wola, Hefajstosa ręka.

Io. Za jakąż cię to zbrodnię taka kara nęka?

PROMETEUSZ. Ponadto nic ci więcej powiedzieć nie mogę.

Io. Więc wskaż, czy mnie nieszczęsną, na tę błędną drogę
Rzuconą, jaki kiedy spoczynek ukoi?

PROMETEUSZ. Nie wiedzieć o tem—lepiej jest dla duszy twojej.

Io. Przynajmniej nie ukrywaj, co mam cierpieć jeszcze.

PROMETEUSZ. Tej łaski nie odmawiam; jeśli chcesz, obwieszczę.

Io. Przecz tedy się ociągasz? mów, z jakiej przyczyny?

PROMETEUSZ. Nie chciałem cię zatrwożyć, to powód jedyny.

Io. Nie lękaj-że się więcej, niżli ja się trwożę.

PROMETEUSZ. Chcesz tego, więc posłuchaj! wszystko ci wyłożę.

PRZODOWNICA CHÓRU. Nie jeszcze... Racz i naszej pofolgować
[woli:

Niech ona nam opowie o dzisiejszej doli,
A skoro to się stanie, ty uczyn jej zadość
I wyjaw, co ją czeka: smutek, czy też radość.

PROMETEUSZ. O Io, twą to sprawą nie odwracać lica
Od prośb ich, wszak to siostry twojego rodzica.
A zresztą czyż nie dobrze na swe losy wraże

Pożalić się słuchaczom, którym płakać każe
Współczucie razem z tobą, cierpieć razem z tobą?

Io. Nie mogę się nie poddać, dzielę się żałobą —
Słuchajcie więc, opowiem, chociaż wstyd mnie ściska,
Że muszę się do tego przyznać pośmiewiska,
Do klęski, którą Bóg mnie tak sromotnie płaci,
Kazący w tej zmienionej błdzić mi postaci.
Co nocy mą dziewiczą zwiedzały komnatę
Ułudne sny i, w słowa pokusy bogate,
Mówiły: Hej! dlaczego, dziewico szczęśliwa,
Twój żywot tak ci długo w dziewictwie upływa,
Gdy oto najświetniejsze czeka cię zamęście?
Ukłuty strzałą żądy, Zeus chce dać ci szczęście,
Podzielić pragnie z tobą jego miłość boża
Kipridy rozkosz! Dziewczę, nie odpychaj łoża,
Na łaki śpiesz lernejskie, bujną tchnące krasą,
Na trawy, gdzie się stada twego ojca pasą —
Tam widok twój niech oczy nasyci Zeusowe...
Sny takie opadały mą nieszczęsną głowę
Co nocy, aże wreszcie nabrałam śmiałości,
By wyznać przed rodzicem, jakich miewam gości.
Do Pyto i Dodony słał-ci mnogie posły
Mój rodzic, by mu stamtąd wiadomość przyniosły,
Co czynić, co ma mówić, chcący przyjaźń bogów
Zachować po dni swoje. Od świątynnych progów
Wracali ci wysłańce, przynosząc wyrocznie
Niejasne, zagadkowe. Lecz Inach nie spocznie,
Dopóki wyraźnego nie zyszcze rozkazu,
Ażeby mnie za próg swój wypędził odrazu
Za krańce swej dziedziny: na okrajach ziemi
Mam tułać się, tak słowa rzekł mi okrutnemi,
Bo jeśliby nie wygnał, jest-ci Zeus na niebie,
Co gromem swym ród cały w popiele pogrzebie.
Posłuszny wyrocznemu parciu Loksyasza,
Z rozpaczą mnie, rozpaczy pełną, precz wypłasza:
Przemocy uległ bożej, bo komuż to sprostać

Wędzidłu Zeusowemu? W te tropy ma postać
Zmieniła się i duch mój; z rogami na czole —
Spojrzyjcie, jak wyglądam! — popędziłam w pole,
Szaleństwa żądłem kluta. Ni podmuch zawiei,
Do wzgórz mknęłam ternejskich, do źródlisk Kerchnei,
A za mną, w trop śledzący wszystkie moje kroki,
Biegł Argos, pasterz wołów, syn Ziemi stuoki —
Odebrał-ci mu życie los niespodziewany,
Lecz ja się błakać muszę. Tak z łanów na łany
Bogini mściwym biczem bez tchu mnie popędza!
Słyszałeś teraz wszystko, wiesz, jaka ma nędza,
Więc jeśli możesz wskazać, co jeszcze mnie czeka,
To mów — lecz tylko prawdę! Litości daleka
Niech będzie twoja wieszczba, Najgorszej boć znamię
Choroby, jeśli słowo w naszych uściech kłamie.

CHÓR, Ach! ach! Umilknij! stój!

Ach!

Przenigdy, przenigdy mój

Nie myślał duch,

Że mi się takie niesłychane słowa

Wrażą gdykolwiek w słuch.

Ból, męka, rozpacz, strach

Miecz dla mnie kowa!

Miecz, obosiecznie ostrzony,

Pierś mi przeszywa!

O dolo nieszczęśliwa!

O dolo, ty dolo lony!

PROMETEUSZ. Zawcześnie pełnaś trwogi, jęczysz w niebogłoty,
Poczekaj jeszcze końca, przyszłe poznaj losy.

PRZODOWNICA CHÓRU. Mów, poucz! Rad jest chory, jeśli
[w czas się dowie,

Co spadnie na to jego skołatane zdrowie.

PROMETEUSZ. Bez trudu wasze pierwsze spełniłem żądanie —
Już wicie, coście chcieli; sama o swej ranie
Mówiła wam okrutnej, teraz ja wam w szczerzej

Wyjawię opowieści, jakie ją z rąk Hery
Czekają jeszcze trudy. Córkę Inachowa,
Dziewico, wraź-że sobie w serce moje słowa,
Byś stała się świadoma swej tułaczki końca,
Nasamprzód więc, zwrócona ku wschodowi słońca,
Przebiegniesz ugorzyska, kraj pusty i dziki,
Aż dotrzesz, gdzie skityjskie, bitne koczowniki,
W dalekonośne łuki zbrojne, mają z łoży
Plecione kosze-strzechy, rzucone na wozy.
Ty do nich się nie zbliżaj, lecz pędź jak najzwawiej
Wzdłuż brzegu, co się w szumach morskich głębin pławi.
Po lewej Chalibowie mieszkają, kowale,
Lud srogi, gościnności nie znający wcale —
I tych unikać trzeba. W tej drodze dalekiej,
Do słusznie tak nazwanej Rwisłej dojdiesz rzeki*),
Lecz nie myśl o przeprawie — nikt jej nie przepłynie —
Dopóki na najstromej nie staniesz wyżynie,
Na szczycie góry Kaukaz, skąd właśnie ta rzeka
W szalonych, rozhukanych bałwanach ucieka.
Przebywszy gwiazdosieżne wierzchoły, na stoki
Zawróć się południowe, aż chyże twe kroki
Wypoczną wśród Amazon mężowrogiej rzeszy,
Co ma wśród temiskirskich zamieszkać pieleszy,
Okolo Termodontu, gdzie w morskiej rozścieży
Zdradliwa Salmidessu opoka się jeży,
Nieprzyjaciółka statkom, macocha żeglarzom.
Tu one ci przechętnie dalszą drogę wskażą:
Ku bramie dojdiesz morskiej, ku wąskiej cieśninie
Kimeryjskiej, byś potem, gdy tę krok twój minie,
Meocką przepłynęła zatokę — przeprawa,
Skąd wielka u śmiertelnych wyrośnie ci sława,
Zaś przesmyk ten na wieki będzie od tej doby
Bosporu miał nazwisko. Takimi sposoby,
Rzuciwszy Europę, wraz powitasz kraje
Azyjskie... Ha! Powiedźcie, jakżeż wam się zdaje?

*) Hybristes.

Azali władca bogów, nie jest-ci jednaki
Gwałtownik w wszelkiej mierze? Na obłądne szlaki
Wypędził tę śmiertelną, z którą chciał się wprzód
W miłosnym spleść uścisku,—na nędzę i trudy!
O gorzki to zalotnik! Coś tu usłyszała,
Ma dziewczko, mąk to twoich li przygrywka mała.

Io. O biada mi, biada!

PROMETEUSZ. Co? łkasz i jęczysz znowu? A cóż koniec zada
Twym płaczom, skoro dalsze klęski ci obwieszczę?

Io. Więc pragniesz mi wyjawić i coś więcej jeszcze?

PROMETEUSZ. Tak! bólów niesłychanych rozburzone morze!

Io. Ach! Poco żyję nadal? Poco tak się trwożę,
Miał rzucić się co prędzej z poszarpanej grani
I męki swej się zbawić w przepastnej otchłani?
Nie lepiej to raz umrzeć, skryć się w grobu głuszę,
Niżeli codzień znosić bezmierne katusze?

PROMETEUSZ. A jakżebyś ty zniosła te ciężkie brzemiona,
Gniotące mnie, skazańca, co nigdy nie skona?
Nie dla mnie śmierć, jedyna szczerą zbawicieika,
Zakończy się zaś wówczas ma niedola wszelka,
Gdy Zeus swe nad bogami straci panowanie.

Io. Azali stracić może? Kiedyż się to stanie?

PROMETEUSZ. Już widzę, jak ogromne czułabyś rozkosze.

Io. Jakożby nie? Przez niego te cierpienia znoszę.

PROMETEUSZ. A zatem wiedz, że wnet się ta godzina zbliży.

Io. Któż berło mu wytrąci? Któż go tak poniży?

PROMETEUSZ. On sam, przez nieroztropne, zuchwałe zamiary.

Io. Mów, jeśli się nie lękasz jakiej nowej kary.

PROMETEUSZ. Przez śluby marnie zginie, przez małżeńskie
[śluby.

Io. Bogini czy ziemianka sprawczynią tej zguby?

PROMETEUSZ. Napróżno mi się pytasz, tego-ć nie wyjaśnię.

Io. Przez żonę więc królewska jego władza zgaśnie?

PROMETEUSZ. Silniejszy, niżli ojciec, syn mu się narodzi.

Io. Odwrócić nikt nie zdoła ciosu, co weń godzi?

PROMETEUSZ. Ja tylko, gdy opadną ze mnie te okowy.

Io. Któż może cię uwolnić wbrew woli Zeusowej?

PROMETEUSZ. Wiedz: jeden z twych potomków zdejmie te
[obroże,

Io. Co mówisz? A więc syn mój wybawić cię może?

PROMETEUSZ. Potomek w rodzie trzeci po innych dziesięciu.

Io. Zagadka to zbyt ciemna mojemu pojęciu.

PROMETEUSZ. Dlatego przestań pytać o swe dalsze znoje.

Io. Przysiękłeś, nie odmawiaj, spełnij prośby moje.

PROMETEUSZ. Z dwóch spraw ja tylko jedną chcę wyłuszczyć
[tobie.

Io. Więc pozwól mi wybierać i wymienić je obie.

PROMETEUSZ. Wybieraj: o czym mówić? O twej przyszłej
[doli,

Czy o tem, kto mnie z ciężkich tych kajdan wyzwoli?

PRZODOWNICA CHÓRU. O jednym tę objaśnij, zaś drugą
[sprawę

Mnie wyłóż. Jej twe słowo oznajmi łaskawe,
Na jaki jeczczę pójdzie tułaczy manowiec,
A mnie, kto cię uwolni — o to błagam — powiedz.

PROMETEUSZ. Jeżeli tak pragniecie, przeto niech tak będzie.
Niczego nie zataję w tym i tamtym względzie.
Wprzód, Io, twych wędrówek odsłonię ci nędzę —
A wszystko to głęboko zapisz w ducha księdze:
Przebywszy wpływ cieśninę, dzielącą dwa lądy,
Masz rzucić się w nurt morza, w rozpienione prądy,
Gdzie słońca wschodzącego palą się płomienie,

Dopóki w gorgonejskiej nie spoczniesz Kistenie!
O kształtach tam łabędzich trzy Forkisa córy
Mieszkają, pogrążone w wieczny mrok ponury.
Tym strasznym, jednookim, jednozębnym tworom
Ni słońce nie przyświeca, ni też nocną porą
Księżycą krag, srebrzystą siejący poświatę,
Tuż obok wężowłose trzy siostry, skrzydlate
Gorgony, nienawiścią żyjące do ludzi —
Na widok ich — śmiertelnym krew się w żyłach studzi:
Tych strzeż się, to ci mówię! Również dla przestrogi
O jednym jeszcze wspomnę, o sforze złowrogiej
Psów Zeusa, ostrożnych, niemych gryfach. Dalej
Unikaj Arimaspów, jezdnych, co u fali
Błękitnej Plutonowej harują. Na krańce
Ziemicy potem dojdiesz, gdzie czarni mieszkańce
Źródłiska Heliosowe oblegli, skąd bierze
Początek rzeka Aisiops. Na jego wybrzeże
Miej oko, aż nie dotrzesz hen ku wodogrzmotom,
Gdzie z szczytów wzgórz byblińskich swoją falę złotą
Przelewa święty Neilos. Wybrzeżami swemi
Zawiedzie on cię potem do trójkątnej ziemi
Neilotis. W tym dalekim kraju, o Iono,
I tobie, i twym dzieciom osiąść przeznaczono.
Jeżeli w moich słowach widzisz jakie ciemnie,
Zapytaj, a o wszystkim dowiesz się odemnie,
Boć wczasu mam tu więcej, niż wytrzymać mogę.

PRZODOWNICA CHÓRU. Już wszystko jej powiedział na tułaczę
[drogę?

Czyś może co zapomniał? Jest co do dodania,
To dodaj, a zaś język twój niech się nie wzbrania
I nam wyświadczyć łaskę. Pomnisz, o czym mowa.

PROMETEUSZ. Zna całą swą wędrówkę. A że się nie chowa
Kłamliwość w mojej wieszczbie, więc jej dla pewności
Przytoczę, jakie dotąd przebiegała włości —
Tem stwierdzę wróżb mych prawdę. Lecz, aby nie wielu
Używać słów, odrazu zwrócę się do celu

Jej drogi. Skoroś przysła do równin Molossy
 I świętych wzgórz Dodony, tak ci dębów głosy,
 Zeusa tesprockiego spełniając wyrocznię,
 Przyjęły jasną mową — cud-ci to widocznie
 Przedziwny, niesłychany — jako pełną chwały
 Oblubienicę Boga: czyż ci się nie zdały
 Pochlebstwem te ich hołdy? Stamtąd wzdłuż wybrzeży,
 Przez gza kāsana, biegłaś ku miejscom, gdzie leży
 Zatoka wielka Rei, by potem, śród burzy
 Pędząca, tu się w znoonej zatrzymać podręży.
 Lecz wiedz, że od tej pory kąt owej topieli
 Jońskiem nazwano morzem, aby ludzie mieli
 Pamiątkę twej tułaczki. Niechaj ci to będzie
 Dowodem, iż duch mój w swym wieszczym zapędzie
 Odkrywa, co innemu zakryte jest oku...
 Teraz, do pierwotnego powracając toku,
 Wyłuszczyć już wam razem los jej ostateczny.
 Na samych kresach ziemi, w krainie nadrzecznej,
 Gdzie Neilos ma swe ujście, jest gród, co się zowie
 Kanobos. Tam ci Zeus powróci już zdrowie,
 Łagodną pogłaskawszy cię dłonią; tam, w onej
 Dziedzinie, znów odzyskasz rozum utracony
 Za jego li dotknięciem; przez nie się też z ciebie
 Epafos zrodzi czarny, co będzie na glebie,
 Neilosa nurtem złanej, owoc zbierał mnogi.
 Lecz piąte pokolenie rzuci te rozłogi —
 Pięćdziesiąt młodych dziewic, nie chcących małżeństwa
 Z stryjecną swoją bracią, od tego krewieństwa
 Ucieknie, wbrew swej woli, do Argos. Za niemi
 Popędzą jednak tamci, jak skrzydły lotnemi
 Sokoły gonią stado gołębi. Zdobyczy
 Nieprawnej przedsię bóg im tutaj nie użyczy,
 Zazdroszcząc im ciał dziewic: w Pelasgji polegna,
 Albowiem gdy ich żądze niewczesne rozżegna,
 Powali ich wnet czujna bezsenność odwagi:
 Niewiasty we krwi mężów zrumienia swój nagi,
 Dwusieczny miecz! Niech Kypris tak mych wrogów kładzie!

Lecz jedna z owych dziewczyn nie stanie na zdradzie
 Swojemu kochankowi. Miłością wiedziona,
 Pozwoli się przebłagać i ducha mu z łona
 Nie wydrze: jedno z dwojga wybiera, chce raczej,
 By zwano ją niewiastą, którą słabość znaczy,
 Niżeli morderczynią. Z niej się też narodzi
 Królewskie plemię Argos. Lecz by w słów powodzi
 Nie gubić się, toć rzekę: Przestawny wyrośnie
 Z twojego szczepu łucznik, mąż, który miłośnie
 Uwolni mnie z tych cierpień. Oto wróżba wielka!
 Temida mi ją dała, moja rodzicielka,
 Tytanka praodwieczna. A jak się to stanie
 I kiedy? Próżne słowa; czasu niema na nie!

Io. O jej! O jej! O jej!
 Żar na mnie bije! Płonieję!
 Szaleństwo wżera się w mózg,
 Rozum mój zczezł!
 Ognisty mnie siecze giez!
 W znękanej piersi mej
 Strwożone serce się tłucze
 Bez tchów! bez tchów!
 Żrenice krwawy załzania mi bluzg!
 Uciekam! Pędzę!
 Precz za mej drogi koleje
 Burze rzucają mnie krucze!
 Język kołczeje,
 Zwichrzonych zamęt słów
 O straszną rozbija się nędzę!

Wybiega.

CHÓR. Mędrzec to, mędrzec olbrzym,
 Co pierwszy rozważył w swej duszy
 I pierwszy tę myśl zamknął w słowa,
 Ze w związku li równych z równymi
 Szczęście się chowa!
 Więc jeśli uniknąć masz zguby,
 Nie chcesz się spotkać z zawodem,

Nie wchodź przenigdy w śluby
Z tym, co bogactwem się puszy
Albo się chełpi swym rodem.

* * *

Nigdy, przenigdy, o, proszę,
Nie dajcie mi, mojry, by kiedy
Miał Zeus mnie przywołać w swe łóżce
I z innym też z niebian rozkosze
Dzielić się trwożę!
Bo jakież to ból we mnie wzbiera
Na widok dziewicy Iony!
Okrutnie zamęcza ją Hera,
Na nowe skazuje wciąż biedy,
Choć przez nią bóg odszedł wzgardzony.

* * *

Gdy równa z równym połączą swe dłonie,
Związku się tego nie boję.
Niechaj więc żądzą ku bogom nie płonie
To oko moje.
Wszelka tu walka daremną,
Bezbronna będę w obronie,
Koniec już ze mną!
Gdy Zeus zapragnie,
Wolę mą nagnie,
Przed nim się nie ostoję!

PROMETEUSZ. A jednak przyjdzie chwila, że ten władca boży
Choć tak jest dzisiaj dumny, głowę swą ukorzy,
Albowiem postanowi takie zawrzeć śluby,
Co z tronu go powalą, strącą w przepaść zguby.
Wypełni się naonczas klątwa jego ojca,
Kronosa, którą wyrzekł, gdy z niebios ogrojca
Przemocą był wypędzon. Jakby mógł zwycięski,
Uniknąć tej niechybnej a sromotnej klęski,
Nikt z bogów tego nie wie, oprócz mnie jedynie —

Ja środki znam ku temu. Na swojej wyżynie
Niech sobie więc króluje, niech wierzy, zuchwały,
W swe gromy napowietrzne, w swe płomienne strzały.
Już nic go nie ocali, nic go nie powstrzyma —
W haniebną runie przepaść! Straszego olbrzyma
Gotuje przeciw sobie, cudo niezmężonej
Potęgi! On-ci iskrę rzuci w nieboskłony,
Jaśniejszą od błyskawic, on stworzy łoskoty,
Co hukiem swym zagłuszą piorunowe grzmoty.
On mocy swej doświadczy nawet na trójzębie,
Na berle Poseidona, które morza głębie
Rozburza i przestachem wkrąg napętnia lądy.
Przekona się naonczas Zeus, co znaczy rządy
Mieć w rękę, a co w kaźni jęczyć służebniczej.

PRZODOWNICA CHÓRU. Z życzeniem twego serca twa groźba
[się liczy.

PROMETEUSZ. Nie! z prawdą! Acz przyznaję: mam takie ży-
[czenie.

PRZODOWNICA CHÓRU. Więc będzie ktoś, co Zeusa straci
[w mroki ciemne.

PROMETEUSZ. O, stokroć większych jeszcze doczeka się znoić.

PRZODOWNICA CHÓRU. Twe serce czyż się słów tych bluźnier-
[czych nie boi.

PROMETEUSZ. Ja — bać się! Ja, co nigdy nie złożę się
[w grobie.

PRZODOWNICA CHÓRU. Lecz bole jeszcze krwawsze może spra-
[wić tobie.

PROMETEUSZ. Niech sprawi! Mną już żadne męki nie za-
[chwieją.

PRZODOWNICA CHÓRU. Ten mędrce, kto się kornie godzi
[z Adrasteją*)

*) Nemezis.

PROMETEUSZ. Czczij, módl się, schlebiaj, klękaj przed kata
[obliczem!

Lecz dla mnie moc Zeusa jest już dzisiaj niczem.
Niech sierzni się do woli, niech się władzą mami,
Niedługo, a utraci berło nad bogami.
Lecz patrzcie! Oto ku nam poseł Zeusa bieży,
Tyrana-samodzierny służka-ci to świeży,
Zapewne coś mi całkiem nowego obwieści.

Zjawia się Hermes.

HERMES. Do ciebie ja przychodzę, ty, co z bożej cześci
Igrzysko uczyniwszy, przez miłość dla człeka
Zostałeś ogniokradcą! Niechże-ć już nie zwleka
Twój język, arcygorzki mądralo, w tej porze
Wyjawić, jaki związek z rąk wytrącić może
Naszemu rodzicowi świętą jego władzę?
Bo wszak się tem przechwalasz! Dlatego ci radzę,
Wyłomacz mi się jasno, bez żadnych zagadek,
Nie zmuszaj mnie tu wracać. Sam-ci jesteś śwfadek,
Że Zeus się niezbyt gładko z takimi obchodzi.

PROMETEUSZ. Wyniosłe twoje słowa i butne! Ja—złodziej.
Odpowiem: tak przystało mówić służalcowi!
Na nowy dzisiaj sposób rządzicie wy, nowi
Bogowie, nie myślący, że się w gruz rozwali
Grodziszczce waszej mocy królewskiej. Azali
Tyranów dwóch ginących nie miały me oczy
Przed sobą? Teraz ujrzą, jak się trzeci stoczą
Sromotnie i niebawem! Mniemasz-li, że z trwogi
Pokornie zechcę sławić twoje nowe bogi?
Dalekim-ci od tego, daleki! Ty zasię
Uciekaj, skąd przyszedłeś, w jak najprędszym czasie!
Niczego się nie dowiesz odemnie zaiste!

HERMES. Twój upór tu cię wtrącił, tve cię oczywiste
Błuznierstwa do tej strasznej przystani zawiodły.

PROMETEUSZ. Ja-ć wolę me nieszczęście od twej służby podjąć—
Wiedz o tem, mego losu na twój nie zamienię!

HERMES. Przykutym być do głazu we większej masz cenie:
Niż wierną pełnić służbę u ojca Zeusa.

PROMETEUSZ. Tak bywa, że pogarda do wzgardy nas zmusza.

HERMES. Za szczęście więc uważasz tę swoją niedolę?

PROMETEUSZ. Za szczęście? Takie szczęście niech zmiażdży
[w swem kole

Mych wrogów! Rad i ciebie ujrzałbym w tym stadzie.

HERMES. Więc język twój i na mnie jakąś winę kładzie?

PROMETEUSZ. I owszem. Nienawidzę wszystkie bogi twoje,
Że takie mi za dobroć zgotowały znoje.

HERMES. Niemała śnać choroba mocije się z tobą.

PROMETEUSZ. Tak, jeśli nienawidzić wrogów jest chorobą.

HERMES. Któż z tobą by wytrzymał, gdybyś był przy zdrowiu.

PROMETEUSZ. O biada!

HERMES. Zeus nie słyszy; wołasz na pustkowiu.

PROMETEUSZ. We wszystkim nas pouczy czas, gdy idzie
[w lata.

HERMES. Jak dotąd, mądrość twoja wcale nie bogata.

PROMETEUSZ. Zapewne! Nie gadałbym z parobkiem daremnie!

HERMES. Nie powiesz, o co ojciec pyta się przezemnie!

PROMETEUSZ. A juści! na tę łaskę wszakże on zasłużył!

HERMES. Co? Będiesz mnie, jak chłopca nieletniego durzył?

PROMETEUSZ. Nie jesteś-że ty głupszy od chłopca, jeżeli
Sądziłeś, że ci tego język mój udzieli?

Chytrkości niema takiej, ni takiej katuszy,

By Zeus mógł to wyznanie wycisnąć mi z duszy,

Dopóki mnie z tych więzów nie zwolni! W swym domu

Siedzący napowietrznym, niechaj na mnie płomie

Ogniste rzuca z góry; śniegowe szarugi,

Czy wstrząsające ziemią gromy, jego sługi,

Niech wszystko w proch roztrąca, rozniesą, zdruzgocą,
Mnie zaś i największą nie przynagli mocą,
Ażebym miał powiedzieć, kto go z tronu zwali!

HERMES. O rozważ, czy ten hardy upór cię ocali?

PROMETEUSZ. Już wszystkom ja rozważył i zarządził.

HERMES. Nieba!
Zastanów się, szaleńcze, zastanów, jak trzeba
Rozsądku, aby wiedzieć, co dobre, co szkodli.

PROMETEUSZ. Poprzestań-że mnie topić w pustych słów po-
[wodzi!]

Wiedz o tem, że mnie żadna nie przymusi twoga,
Bym miał nienawistnego zaklinać tu Boga,
Bym, tchórz najostatniejszy, załamywał ręce
Niewieściom obyczajem i zebrał, aż męce
Tych więzów kres położy!... Nie moją to rzeczą!

HERMES. Napróżno-m tyle mówił; snąć już nie wyleczą,
Nie zmiękczą cię me prośby! Ni ten rumak młody,
Raz pierwszy zaprzęgnięty, rozbijasz przeszkody,
Wędzidło gryziesz, dęba stajesz i niesforny
Rwiesz lejce poza sobą. Lecz duch twój przekorny
Omamion: nie jest siłą upór, jeśli straży
Rozsądku nie podlega! Niech serce twe zważy,
Na jakie będziesz jeszcze wystawion wichury,
Na jaką falę cierpień, jeżeli tak zgóry
Odrzucasz moją radę! Śród łyskań i gromów
Zeus strzaska tę opokę na kawały złomów,
Zaś postać twą nieszczęsną okrutnie pogrzebie
W otchłannym, pełnym mroków nieprzebytych żlebie.
A światło kiedy ujrzysz znów po długim czasie,
Wnet Zeusa pies skrzydlaty, orzeł, co się pasie
Krwi strawą, na kęs ciała twego wraz się rzuci
I będzie, nieproszony gość, w żarłocznej chuci
Codziennie się skradając, twą czarną wątroba
Straszliwy głód swój sycił. A końca już z tobą,
Znoszącym takie męki, nie będzie dopóty,

Dopóki się nie zjawi bóg, co, twojej lutej
Męczarni pragnąc ulżyć, zejdzie w Hadu ciemnie,
W czeluścię tartarową. To wiedząc przezemnie,
Zastanów się! Nie zmyśla mój język, nie trwoży
Groźbami, mówi prawdę! Wszakże wardze bożej
Zeusowej kłamstwo obce: ziści się, co powie.
Więc rozważ to, roztrząśnij dobrze w swojej głowie,
Ażebys wreszcie doszedł do myśli tej wątku,
Że upór nie powinien być panem rozsądku.

PRZODOWNICA CHÓRU. Zda mi się, Hermes słuszną wypowie-
[wiedział radę:]

Chce, iżbyś rzucił upór i bezpłodną zwadę.
Posłuchaj, niech się duch twój roztropnością rządzi,
Albowiem wstyd to wielki, jeśli mędrzec błądzi.

PROMETEUSZ. Dawno mi znana tej nauki treść!
Lecz ja wiem dobrze, iż nie zhańbion wróg,
Jeżeli wróg mu szarpie jego cześć.
Niechże naciągnie swój płomienny łuk,
Dwuzębnym berłem niech godzi w mój kark!
Od jego grzmotów niechaj zadrży w krąg
Ogrom powietrza! Niech się zerwie wark
Wichrów szalonych! Chciwe krwawych mąk,
Niech rozpętają złość swą stada burz,
Ziemię na strzępy niech starga ich szpon!
Niech się zakłębią głębie wszystkich mórz
I fale miecą aż po gwiezdny skłon!
Niech mnie w Tartaru czarna strąci noc,
Na Konieczności twarde rzuci łoże,
Przecież mnie jego rozwścieklona moc
Całkiem uśmiercić nie może!

HERMES. Oto szaleństwa niechybnego znak —
Wyniosła pycha przebluźnierczych słów!
Do obłąkania cóż ci jeszcze brak?
Jakbyś się sprawiał, wyswobodzon? Mów!
A wy, dziewice, którym jego błąd
Rozbudza w sercach miłosierdzia źródło,

Jak najpośpieszniej uciekajcie stąd,
Zanim żywiołów rozpocznie się bój.
Albowiem zamęt błyskawicznych różg
Nawała grzmotów i gromów w przestworze,
Łatwo zamąci przerażony mózg,
Do szału przywieść was może!

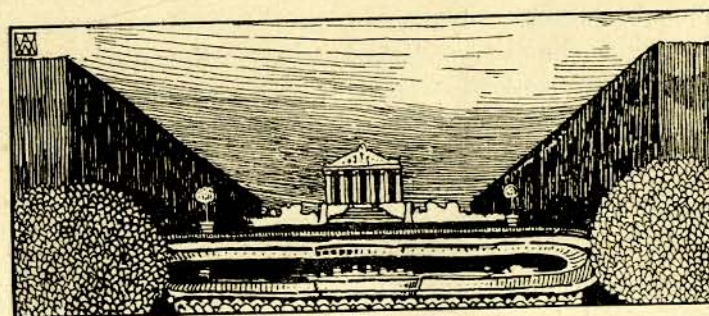
CHÓR. Innych, Hermesie, udzielaj mi rad,
Jeśli chcesz we mnie mieć posłuchu dość!
Wszak do haniebnych nakłaniasz mnie zrad,
W słowach się twoich nędzna kryje złość.
Lecz nie uwiedzie mnie twój lichy kłam!
Cierpieć z nim razem będę aż po wiek,
A zaś dla zdrajców tylko wzgardę mam.
Obyś się zbrodni tej na zawsze strzegł,
Bo z wszystkich chorób, które zsyła los
Na tego świata nieszczęsne rozdoże,
Cóż ponad zdrady niespodzianej cios
Obrzydliwszego być może?

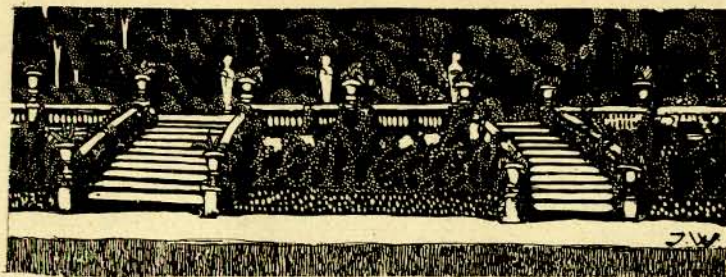
HERMES. O, bądźcie pomne, o to błagam was,
Tych słów życzliwych, co padły z mych warg,
Byście, gdy Doli pojawi się czas,
Nie uciekały się do pustych skarg,
Byście nie rzekły, że was niebios Król,
Znienacka strącił w ten nieszczęścia dół!
Nie! Z waszej winy spadnie na was ból!
Że nierozsądek tak wam ducha skuł,
Dola w swą wielką uwikła was sieć:
Wszak wyjawilem wam zamiary boże,
Byście się mogły na baczności mieć —
Rozum li zbawcą być może!

Znika. Błyskawice. Gromy. Trzęsienie ziemi.

PROMETEUSZ. Oto się słowo zamienia już w czyn.
Ziemia się trzęsie w krąg!
Obłoków czarny zwał
Rozdziera łysk i grom!

Orkanny szaleje młyn,
Burze prą śladem burz,
Złom się rozbija o złom,
Kłębami zrywa się kurz
Z lecących w przepaście skał!
Wyją wichury,
W zamęcie mąk
Strop się już zlewa ponury
Z smaganą głębią mórz,
Strasznie zwichrzoną aż do dna!
Oto się spełnia już
Wyrok, co na mnie padł
Z zeusowych rąk!
Spojrzyj, o matko czcigodna,
Na moje leże!
Spojrzyj, jak cierpi twój syn!
O ty, Eterze,
Co światłem zapładniasz świat,
Patrz, jakie muszę
Bezprawne znosić katusze!





ANTONI POTOCKI. UWAGI O SZTUCE.

I. Sztuka i Liczba.

Przeszacowanie wartości w sztuce jest równie nieuchronną koniecznością jak przeszacowania, które się dokonywały i dokonywają w innych dziedzinach życia.

Potężny jeden a niespodziewany i, zdawałoby się, wiekiście obcy sztuce czynnik wtargnął w jej królestwo z niepohamowaną siłą i dokonał oplakanego dzieła niwelacji, żeśmy chwilami poznać tej najczystszej ongi ostoi ducha nie zdolni.

Czynnikiem tym jest liczba. Wyzwolenie się liczby do życia decyduje o konieczności przeszacowań. Ilość pokonała jakość. Objawy masowe, produkcja fabryczna przysły na miejsce wyjątkowości i zazdrośnej o swą samotność twórczości. Wreszcie twórczość sama przestała być objawianiem się istoty człowieczeństwa i poczęła być przeraźliwie a z konieczności zniżać lat ku wirtuozostwu. Pisarze stali się literatami, twórcy—wirtuozami. Na miejsce spowiedzi ducha, prorocत्व i zapłodnień—pojawily się koncerty.

Wybrana ludzkość nie tworzy wybranych światów, lecz koncertuje przed szanowną publicznością we wszystkich dziedzinach sztuki.

Ten stan rzeczy jest nowym w ludzkości i spowoduje, powtarzam, ustalenie nowych miar w sztuce.

Zechciejmy jednak spokojnie zrozumieć istotę tej przemiany i wyprowadzić z niej wskazania dla przyszłości.

Wiemy, że istotę samą sztuki stanowi twórczość, wiemy, że twórczość jest kształtowaniem indywidualnej wizji życia.

Otóż, rzuciwszy okiem wstecz po wszystkich gościńcach i manowcach sztuki — jak tylko w zmierzch przeszłości sięgnąć może nasz wzrok — dostrzegamy owych nieustrudzonych wędrowców sztuki, owych nieśmiertelnych pielgrzymów swego idełu, że idą krok po kroku ku temu ostatecznemu celowi życia. Pieśń czy marmur, Judeja czy Hellada, wielcy odrzuceni czy wodzowie epok — wszyscy wszędzie i zawsze jawią się nam z troską o tę istotę swego posłannictwa.

Wszyscy są mniej lub więcej samotni, wyrażający siebie samych i szczupłe gromadki swych wyznawców. Przez wieki nieraz całe samotny leci okrzyk takiego wędrowca, herostratowo straszny i niezrozumiały sennym pokoleniom — nim go znowu jakaś bratnia pierś pochwyci, powtórzy i rzuci dalszym pokoleniom.

Ludzkość zgola jest nieliczną, nielicznymi wśród niej ci wybrani. Każdy surowo i do głębi wierzy w wartość swego posłannictwa. Każdy wie, że niesie swoją prawdę i wie, że niesie ją przez morza, dal wieków, jak okiem zasięgnąć. Nie koniec na tem: i każdy z nich wędruje do bożyszcza swego, do swojej wizji z nadzieją, nie, nawet z pewnością, że ta dopiero jego świętość jest objawieniem, jest prawdą dla wszystkich i po wszystkie czasy. Rzecz ciekawa, jak tym samotnikom myśl o sankcji powszechności dodawała powagi, znaczenia, siły.

Powtórę te nieliczne w nielicznej ludzkości wyjątki (które miały ufnosć, że się staną prawem) znały jeszcze jedną ograniczającą i tak szczupły ich zastęp próbę.

Oto zdobywało się wszystko *mozolem*. Mozół, praca stała na straży sztuki: spracowane ręce pierwotnej ludzkości, imające się pędzla dla najsubtelniejszych poematów wyrazu i kolorytu — jakież to mozół! Jaki ogrom pra-

cy dla poety, który z kanonów, dogmatów, formuł katolicyzmu wytłaczał wino swej poezji i zamieniał je w krew, mającą odtąd przez wieki krążyć w duszy ludzkości!

Ich twórczość była razem techniką. Rzeźbiarz - architekt był razem inżynierem, kamieniarzem. Odkrywca nieśmiertelnego piękna był razem jego rzemieślnikiem. Poeta był razem zakonodawcą mowy. Praca, praca, mozoł święty uświęcały posłannictwo sztuki. Już to, że pisać umiał poeta w epoce, gdy sztuka pisania była rzadkim w ręku wybranych fachem—jakąż wartość, jaką mozolnie nabytą wyższość zapewniało mu nad tłumem całej ludzkości.

A tak— szli nieliczni, a naznaczeni płomiennym językiem posłannictw wędrowcy—nieutorowanymi drogami życia. Szli z wiarą w samotną wyższość nad tłumem wieków i pokoleń wczesnej ludzkości i razem z przekonaniem, że tejże ludzkości ich *wyjątkowe* proroctwa staną się *prawem powszechnem*. Szli w mozole ogromnej, wszechstronnie twórczej pracy, rzemiosłem jak motyką wpierw kształtując nieokrzesaną bryłę życia, by znów potem dłu-tem sztuki kuć z niej posąg swego ideału. Potężny spłot życia i sztuki, bohaterskie wodzenie się za bary siły ducha z siłą żywiołu — choćby żywiołem była sama ludzkość pierwotna.

Oto obraz posłannictwa sztuki w epokach, gdy cała była prometejską.

Nie sądzimy, żeby epoki te były zbyt od nas oddległe. Niewolnictwo masowe ludu od niedawna dopiero stworzyło masową produkcję całych klas pasożytniczych, którym się zdaje, że uprawiają sztukę. Do niedawna jeszcze ludzkość była zbyt zakłopotana losem swoim—dniem powszednim lub jutrem ideału. Do niedawna jeszcze mozoł i niedostępność cechowały wszelką wyższość. Do niedawna technika, nauka, wiedza były jeszcze przywilejem lub wymagały cudów pracy i zaparcia się dla ich zdobycia.

Wszystko to się zmieniło nagle, zmieniło niemal

w naszych oczach, gdy ponury gienjusz industrii ujarzmił tłumy, pędząc je w straszliwy jasyr walki o byt —gdy na straży tych nowoczesnych niewolników stanęły same siły elementarne przyrody — maszyny - olbrzymy, splecione ręką Gienjusza po to, by same znów strzegły pęt roboczych milionów.

To wszystko stało się niedawno. I niedawno dzięki tej przemianie rząd nad światem zamiast królów dynastycznych objęli królowie bawełny, miedzi, wieprzowiny. I niedawno miast feodalnych dworzysk z lutnistami lub, „czwartkowych wieczorów“ królewskich — utworzyły się na rozstajach wielkomiejskich bazy sztuki, hale literatury i concertmonstry wszech sztuk i harmonji.

I niedawno, w oczach naszych, odbył się i uświęcił faryzejski proces dziejowy, zwany „demokratyzacją“, a polegający na tem, że wielomilionowa oligarchja posiadaczy uzurpowała miliardom ludzkości jej prawa do życia i twórczości. Że otworzyła łatwy dostęp dla swych wybranych do owych przybytków, do których ongi wiódł krwawy mozoł i zuchwalstwo myśli. Że uczyniła zabawkę swym pannom dostępną z pędzla i dłuta, z lutni i pióra. Że, odebrawszy sztuce moc obcowania z życiem, zamknęła ją w kole „publiczności“ jako błazna, pobrzękującego dzwoneczkami „talentów“ nad jej opasłą drzemką.

To wszystko stało się niedawno. Wyjątkowość, posłanniczość, mozoł—znikły z dziedziny sztuki. Wyjątkowość zabiła liczba: poprostu w progresji rozradzania się ludzkość doszła tej chwili, kiedy już sama „wybrana mniejszość“ jej liczy się na—miliony. Wskutek tego każdy mniej więcej „Wyjatek“ przychodzi na świat od razu w setkach egzemplarzy, jak laksusowe „numerowane“ wydanie poczytnego dzieła w poważnej firmie.

Posłanniczość—zabiło oderwanie się od powszechności tych, którzy dawniej, nawet *przeciwstawiając się* jej, żyli—i czuli *za miliony*; którzy zaś dziś myślą „tworząc“ co najwyżej o t. z. „publiczności“.

Zabiła ją poradoksalna, faryzejska „demokratyzacja“

sztuki w bazarach, halach i Varietés służącej ku zabawie uprzywilejowanych, nie zaś ku pożytkowi ludzkości.

Mozół wreszcie zniknął w udostępnieniu, popularyzacji wszelkiej techniki w tysiącnych szkołach i uczelniach, które troskliwa oligarchja ludzkości stworzyła dla swych panienek i paniczów.

I oto dziś tysiączne numerowane, luksusowe wydania (stereotypowe) artystów i literatów koncertują wobec publiczności na bazarze wirtuozowstwa wszech sztuk.

Literat, artysta—nie pisarz i twórca, stereotyp—nie naznaczony płomiennym językiem odmieniec, bazar wirtuozowstwa—nie samotna a gorejąca porywem pracy uczelnia mistrza, szeroka publiczność—nie zaś powszechność Człowieczeństwa.

Oto są faryzejskie podstawienia demokratycznej i cywilizowanej doby obecnej—na miejsce dawnych owych naiwnych, świętych, pierwotnych pojęć o sztuce i jej posłannictwie.

Przeszacowanie zatem jej miar, jej wartości w świecie dzisiejszym jest koniecznością. Sceptycyzm, pesymizm, cynizm i t. p. odrętwienia duszy, branej na tortury przez taką sztukę i taką ludzkość—to pierwsza zapowiedź powszechnego wymiatania śmiecia.

Lecz nie zwołamy do tej czynności ni zbirów moralności, ni kościarek—o, nie!

Sztuka sama potężnym wybuchem twórczym oczyści z martwych płodów swe łono.

II. Swoboda twórcy.

Zarazem takie postawienie sprawy daje nam dokładnie zrozumieć stosunek sztuki do życia, dalej zaś i do społeczności.

Społeczność każda, t. j. rodzina, klasa, kasta lub wreszcie najbardziej organiczna ze społeczności, naród, ma zazwyczaj pewien swój koncept życiowy. Ten koncept jest mniej lub więcej żywotny, mniej lub więcej szeroki, humanitarny, mniej lub więcej uświadomiony

w formie prawidłowości, lecz zawsze ma pewną siłę—jest to swojego rodzaju indywidualność zbiorowa. Ludzie w ludzkości łączą się w grupy, wypróbowując jakby żywotność każdej z nich, jak to czynią władze w indywiduum. Tylko że ludziom zdaje się (czasem słusznie), że czynią to świadomie. I dużo już takich grup, takich jednostek, indywidualności społecznych znają dzieje: rodzina, klan, plemię, horda, państwo, naród, kościół, stan, klasa, kasta, korporacja i t. d. i t. d.

Otóż każda taka jednostka społeczna, powtarzam, ma pewne kryteria wartości, które w celach swoich mierzy wszystko, co wewnątrz jej się staje, lub z zewnątrz przychodzi—mierzy więc i dzieło sztuki, t. j. indywidualne objawienie życia. Czynność tę spełnia zazwyczaj mniej lub więcej policyjnie, gdyż policja jest rodzajem sumienia w pracy społecznej.

W stosunku jednak zbiorowości do dzieła, względnie twórcy, możemy znaleźć dużo pouczających momentów. Zwłaszcza jeśli tę sprawę oddzielimy i zastanowimy się teraz nad tem, jak twórca, indywidualność ustosunkowuje się do społeczności?

Bywa, że wypowiada rzeczy te same, które czują wszyscy—wówczas jest poetą zbiorowości. Jeżeli wypowiada rzeczy, które się harmonizują z zasadniczymi rysami społeczności—będzie długowiecznym. Jeżeli to są rysy, pokrewne innym związkom ludzkim—będzie wszechludzkim. Może tu wyprzedzać epokę lub iść z nią w miarę—ale to już tylko kwestja czasu.

Przeważnie jednak zdarza się, że twórca jest swojego rodzaju niewydarzeńcem, t. j. że przynosi ze sobą koncepcję życia inną, niż koncepcja powszechności, w której żyje. Otóż wtedy jest rzeczą niezmiernie doniosłości, ażeby niewydarzeniec ów żył istotnie podług swojej koncepcji. Jeżeli bowiem nagnie życie samo do panujących w jego otoczeniu norm, to próżno się ludzi, że sztukę niesie całą. Będzie tworzył tylko pół-sztukę, tylko pół-objawienia,

jeśli zgoła nie utonie w obmierzłej fali przystosowań i kompromisów.

Po części widzimy, że tak jest: romantycy stwarzają sobie cały swój odrębny świat egzystencji: świat pozy, sentymentu, barwy — w przeciwstawieniu do „bezdusznej, brutalnej egzystencji“ współczesnych. Bajron aż do Grecji jedzie realizować bohaterską koncepcję życia, która stanowiła jego gienjusz—ludzie Odrodzenia żyją wśród marmurów, kruszców, nagich ciał, planów architektonicznych i orgji.

Przerzuciwszy paręset biografji zauważymy snadnie, że indywidualności stwarzały sobie egzystencje na obraz i podobieństwo swoje — potężne i bohaterskie, jeśli to było ich cechą, sztuczne, haszyszowe, dziwaczne — jeśli tak czuły—lecz zawsze *inne*.

Rzecz pouczająca, że taka sztuczność, taka odrębność egzystencji twórców jest zjawiskiem niemal powszechnem — mniej więcej od czasów chrześcijaństwa. Egzystencja Sofoklesów, Homerów, Praxitelesów — różniła się od przeciętnego typu tylko siłą expresji większej, tylko ilościowo. Czciła zaś w gruncie ten sam ideał.

Przez chwilę—to samo było w świecie chrześcijańskim—przez krótką chwilę, gdy świat ten żył w katakumbach, a poetami jego byli prorocy i męczennicy. Potem w nim poczał występować ten charakterystyczny rozdźwięk: próżno Odrodzenie—powrót do koncepcji helleńskich—staralo się przywrócić harmonję, przywracając stary koncept życia. Ten się nie utrzymał — i odrodzenie było tylko oazą w oceanie sprzeczności.

Zjawisko to jest tak potężnie powszechnem—że musi kryć jakąś ogromną prawdę. Im dalej zaś, tem więcej sztucznych egzystencji w świecie prorokujących kształt życia. Bo kształt ten prawdziwie często zapowiada i treść nową.

Oto stolice europejskie: podział świata na gromady milionowe t. z. filistrów i garść artystów, dziwactwem odgradzających się od zwykłego życia.

Oto postaci Verlaine'ów, Baudelere'ów, Poe, Maiterlinek, Swinburn, V. Hugo, Montesquieu—mieszam ich rozmyślnie. Jedni protestują na wygnaniu, póki siły żywotne starczą na protest i na iszczenie swojej harmonji życia nie tylko w pieśni. Inni zaś chwytają się rozpaczliwie bodaj dziwactwa, manji, nałogu, pozy—byle tylko nie utonąć w obmierzłej fali.

Oto znowu egzystencje wielkich samotników, wielkich starców, w których przedziwnie obfitowała Europa schyłku XIX w.—Tołstoj, Ibsen, Ruskin — wielka trójca nadludzi na ludzką miarę.

Oto znowu grupy zdzieczalych realistów, stada albinosowatych dekadentów, oto znowu zastępy rewolucjonistów, tak zawsze blizkie sercu twórcy.

Cóż oznacza zjawisko to, od czasów chrześcijaństwa, od czasów runięcia koncepcji helleńskiej, coraz bardziej rozwielniające się wśród ludzkości?

Jest to akt samoobrony, którym nowa, dawnej przeciwna koncepcja życia w człowieczeństwie, broni się przed obmierzłą nawałą hipokryzji i ustępstw życia.

Cywilizacja zbankrutowała—to darmo: jest to bankructwo z rodzaju złośliwych i podstępnych—ale jednak nie tajne ono tym, co niosą w sobie w nowym kształcie i nową treść istnienia. Cywilizacja zbankrutowała—i ten tryb życia, który dziś jest tryumfem bytu, którym żyją dygnitarze, arystokracja, kobiety publiczne, bankierzy, złodzieje wielkoświatowi — ten tryb życia, powtarzam, zbankrutował.

Wielu się zdaje, że to społeczność sama zbankrutowała—społeczność, jako taka. Tymczasem to tylko upadłość jednej z jej form, jak ongi pod natarciem tejże cywilizacji—upadły inne formy bytu społecznego, inne indywidualności zbiorowe —jak kościół, rycerstwo, cechy i t.d.

Upada, rozkłada się *Państwo*—„samo z władz swych się rozbiera“, przekazując swe drapieżne i brutalne procedery ludzkości w osobie demokracji. Upada *Kapitalizm*—podstępnie zatruwając w tym upadku swym towarowym

składem bytu byt samej że sztuki. Bo w tym ustroju sztuka to towar, równie jak praca, szczęście, honor, bawelna. Upada ten całokształt fałszu i przemocy, blichtru i nędzy, który się nazwał *Cywilizacją*, t. j. uobywatelnieniem świata, a który w gruncie rzeczy doprowadził człowieka do takiego zdziwienia, że równego nie masz w dziejach.

Ale na razie to do nas nie należy. Nam chodzi o stosunek *indywiduum* do danej, do swojej *społeczności*.

Zdarza się, iż koncepcja bytu indywidualna zgadza się z koncepcją bytu społeczności. Wówczas może to być Homer, Michał Anioł, św. Franciszek z Assyżu — jeżeli w obydwu koncepcjach punkt zgody stanowią siły, żyć mające.

Zdarza się, iż koncepcja indywidualna zgadza się z koncepcją powszechną właśnie w rysach śmiertelnych, ułomnych — wówczas mamy literaturę salonów i przedpokojów królewskich, włoski gongoryzm, naturalizm w stylu lupanaru, mamy fanatycznych „ojców“ i ich rymotwórczych satelitów.

Zdarza się, że koncepcja indywidualna przoduje i wybiega daleko w przyszłość, że za nią zbiorowa koncepcja podążyć nie może. To są Schelley'e lub Słowaccy, po części Bajron lub Cervantes. Zdarza się to często, choć nie tak często, jakby się zdawać mogło. Jedna i ta sama koncepcja jest w społeczeństwie przeżytkiem, wyrazem i prorocstwem.

Tak naturalizm jest dziś przeżytkiem sztuki i życia wobec nowych zdobyczy; jest wyrazem rzeczy najwyższych dla ciężkiego mieszczaństwa i jest prorocstwem dla sfer, które i tej miary uduchowienia nie dorosły.

Chodzi o to, że w społeczeństwie każdym tkwi wiele społeczności, wiele jakby zborów poszczególnych. A gdy jedno z tych zborów stoją na poziomie wieków średnich, kultu czarownic, inne jeszcze żyją odbłyskami greckiego piękna, inne jeszcze — już realizują typ istnienia przyszłości.

Indywidualność wtedy tylko w pełni ziszcza swój ideał, gdy jej emanacje twórcze są prorocstwem. W pełni

zaś siłę prorocstwa osiągnąć mogą tylko wówczas, gdy iszczą *maximum* zewnętrznie i wewnętrznie żywotności.

Wewnętrznie, t. j. gdy indywidualność snuje w harmonii z tem, co jednostka przeżywa.

Kompromis życia w imię wyższej ustalonej zasady jedności życia nie może przejść bez śladu dla samejże twórczości: kompromis uboży samą jej szczerość, siłę proroczą, t. j. to, co jest gieńjuszem sztuki: kompromis nuży duszę, zatracą ją. Jeżeli dusza jest wielka, to mimo to może być wielkiem jej prorocstwo, lecz stokroć potężniejsze by było, gdyby płynęło z zupełnej pełni życia. Są poeci, którzy tylko tem trwają wieki.

Streścimy się:

Indywidualność bywa w rozmaitych stosunkach do swej zbiorowości. Z natury jednak twórczości samej wypływa, że stosunek ten musi być nowatorskim. Z zasady zaś jedności życia, w interesie pełni i żywotności prorocstwa leży, żeby twórca żył jak tworzy.

Na całej skali rozdziewków pomiędzy temi zasadami polega patologia sztuki, której współczesność daje nam mnogie przykłady.

III. Społeczeństwo wobec sztuki.

Podobnie jak ludzie przesądni po wysłuchaniu wszelkich argumentów o niedorzeczności upiorów, wilkołaków i strzyg, zgodziwszy się pozornie na wszystko, skończą na tem, że „jednak jest coś w naturze“.... — podobnie my wszyscy, punkt po punkcie wysłuchawszy argumentacji o niedorzeczności wszelkich ograniczeń, zastrzeżeń i policyjnych przepisów w sztuce — skończymy zawsze na twierdzeniu, że „jednak są pewne prawa“ i t. p.

Władza przesądu jest potężna, w jakiejby formie przesąd nami władnie....

Gdzieindziej starałem się wykazać, jakie są *wewnętrzne*, w samym twórcy tkwiące — nie granice, lecz konieczne warunki twórczości. Ta synteza różnic i podobieństw człowieczych, rządząca z głębi jego duszy samą nawet jego

wola, stanowiąca najwyższą, jedyną, rozstrzygającą instancję jego koncepcji życia, a więc jego sztuki — nie jest poznawalną, nie jest podświadną żadnym ograniczeniom zewnętrznym. Sama zaś, rzecz to konieczna, bodaj po trupie człowieka iść ideał *stworzyciela*. Tu więc nie szukajmy nie ponad ową raz już zaznaczoną szczerłość — szczerłość, co prawda, rozumianą nie zdawkowo, lecz ową czystą i wzniosłą władzę, przez którą sam sobą staje się duch ludzki.

Natomiast chcę tu zwrócić uwagę — proszę poniższych wierszy nie brać za niewczesny paradoks — na pewną koniunkturę społeczną, którą chciałbym uważać za jedyną treść realną owego „jednak jest coś w naturze“, czy — „jednak są pewne granice“.

Przenieśmy się odrazu od twórcy do owego chłonnego ciała, które chciwie każdą twórczość wsysa, choćby po to, żeby następnie oddać, co przyjęło, w obelgach swemu stwórcy — przejdźmy słowem do społeczeństwa.

Wyobraźmy sobie społeczność, idealnie oświeconą, silną charakterem, mocną, dzielną — przybliżenia do takiego ideału widywała historia gdzieś w rozkwicie hellenickiej kultury, gdzieś może w młodzieńczej dobie rwania się do życia europejskich społeczeństw.

Czy nie prawda, że tam kwestja „granic“, narzucających twórcy, gdzieś znika? Jest tam z moralnością, jak bywa z higieną na wsi, t. j. wcale jej niema, bo wszyscy mają ją w sobie — w tej mocy, w sile. Potężna taką siłą żywotności społeczność „granic“ znaczy twórcy odpornością własną — wzruszeniem ramion rozprawia się z głupstwem, które się tam przypadkiem ulęgnie — litością odpowie chorobliwej manji.

W społeczności takiej, powtarzam, niemasz „granic“ wytycznych i lęklawie a zdradnie strzeżonych przez kastratów (bo tylko ci podjąć się mogą celnictwa ducha).

I dziś mamy gdzieś takie społeczności. Zdarzają się na wsi w Polsce, w Paryżu nad brzegiem cuchnących bulwarów, wszędzie — dobrane takie grupy ludzi

żyjących potężnem, odpornem życiem, nie lękających się niczego — nie truchlejących wobec „nowinek“, lecz spotykających je bez uprzedzeń i odrzucających to, co im niepotrzebne — bez wahania.

Otóż wśród takich ludzi kwestja „granic“ nie istnieje.

Rzućmy teraz okiem w inną stronę.

Oto miljonowe, bezgłowe, dojutrujące tłumy dzisiejszej „cywilizacji“. Oto ojcowie i matki, których jedynym celem w życiu było uciulanie renty i którzy, odkąd swego dopięli — czas trawia na t. z. przyjemnościach — przedtem ich gwiazdą przewodnią był banknot, obecnie zaś — afisz uliczny.

Oto politycy i mężowie stanu, którzy wynaleźli „oportunizm“ i, nie czując nawet, jak śmiesznie wstrętną jest ta najniedorzeczniejsza z utopji — pędzą na jej leniwe manowce ludy Europy.

Oto progienitura tych ojców i mężów: nędzna, anemiczna lub przekrwiona i przepasiona, stosownie do „pozycji socjalnej“ rodziców — a zawsze równie obojętna wobec prawej i lewej strony życia, skoro nie czas jeszcze na własną „rentę“, a oportunizm skrzydeł nie przyprawia. Jak stado na ugorze, tak ta młodzież nie żyje, lecz popasa, przeżuwać kwiaty i osty, byle tylko dobić się jakiegos odurzenia.

I oto niezliczone kohorty niewolników nowoczesnych.

Oto ci, którym nie wolno czuć, tylko funkcjonować — urzędnicy. Oto ci, którym nie wolno chcieć, tylko słuchać — armje. Oto te, którym nie wolno myśleć, czuć i chcieć inaczej, jak nakazuje wola ich panów — kobiety.

Oto klasy i kasty, pełne przesądów, oto trzęsawiska nędzy i rozdroża zwyrodnień wielkowiejskich.

Oto ugory i pola stratomane, odłogiem leżące w duszach nad tem, żeby „było tak, jak jest“.

Czyż nie jest rzeczą jasną, że tu wśród chronicznie chorych, zdzieciniałych, wśród całych klas zmanjakowanych na użytek całej jednej połowy rodzaju ludzkiego — mądry dzierżyciele przywilejów i stróże porządku — wy-

kreślą tysiączne granice, na granicach postawią celników, celnikom w pomoc dadzą żandarmów i upowiją wkońcu ciebie, czytelniku, tylu niewidzialnymi pajęczymi nićmi konwenansu, że sam nawet przez sen wreszcie zawołasz, oburzony czyjś nadużyciem takich swobód, „że jednak są jakieś granice“.

I otóż kwestja granic swobody twórczej w sztuce sprowadza się dla mnie do tego na pozór paradoksalnego wskazania na niewolę społeczną w życiu.

Im więcej tej niewoli, im bardziej niszczeje duch, im słabszem życiowo społeczeństwo—tem głośniejsze jego alarmy, tem złośliwiej eunuchy sądzą każdego, kto ma wszystko, jak należy.

Im mniej dzielnego życia, tem więcej chimerycznych obaw i bezradności, szukającej ucieczki — wśród celników.

Że twórczość sama w tych warunkach paczy się i ziejże trupim rozkładem, to pewna. Lecz nie obroni przed tem żaden zakaz. Obronić może tylko pełne, potężne, wolne życie całej społeczności. A tak, wszędzie tam, gdzie eunuchy nadto podniosą głos, żądając ograniczeń i hamulców na twórców; wszędzie, gdzie faryzeusze rozdzielają szaty, bolejąc nad nieprawością poetów—tam wszędzie niech baczenie ci, co miłują społeczność swoją, czuwają, nad jej zdrowiem. Bo tam jest źle: zagrożoną jest sama społeczność w sobie i przez siebie. I tak daleką jest od ideału owej cudnej, helleńskiej, wybranej ludzkości — jak tylko daleką może być niewola i słabość od siły i swobody.

Tak więc wołanie o „granice“ dla twórców prowadzi nas nieuchronnie do myśli o zniedołężnieniu samej społeczności. Ten tylko tutaj zachodzić może wypadek. I nie dziwnego, że zazwyczaj w tych właśnie epokach, gdy społeczeństwa zbyt głośno skarżą się na swoich przodków—reformatorzy zabierają się do ich naprawy i nie w poetów, ale w społeczność godzą ich potężne razy.

Niech mi tu wolno będzie zakończyć ten rozdział

figlarną fraszką Kochanowskiego, którą napisał—prawie jakby myśląc o poezji i społeczności:

Dlaczego biją w zadek, kiedy
błądzi głowa,
Bo głowa, kiedy błądzi, rozum
w zadku chowa.

IV. Socjologia sztuki.

Socjologia sztuki jest wielce zbliżoną do socjologii miłości.

Gienjusz gatunku, ów gienjusz złośliwy z Szopenhau-
erem, dobrotliwy z Chrześcijaninem, naturalny z Grekiem—
rządzi tą sprawą.

Gdy para kochanków po raz wielomiljonowy wymie-
nia między sobą wiecznie nową przysięgę miłości i gdy
się potem spaja w uścisku miłosnym, wówczas gienjusz
Szopenhauera złośliwie zaciera ręce, wołając, że okpił
tych dwoje i załatwił sprawę statystyczną rozmnożenia
tam, gdzie oni widzą—cud miłości. Gienjusz chrześcijań-
ski twierdzi, że to Bóg dobrotliwy uświęca nowem po-
koleniem plemię swych chwalców. Grek twierdzi, że to
bogowie się bawią w tych rzadkich chwilach, kiedy sami
nie czynią tego samego.

I Schopenhauer, i chrześcijanin, i Grek mają rację:
tak jest—człowiek służy społeczności nawet wtedy, kiedy
zrywa z nią związek, by się oddać ukochanej.

Lecz cóż stąd? Wszak t. z. proces myślenia, bra-
ny *nazewnątrz*, jest pewną sprawą fizjologiczną, polegającą
na zużywaniu się i odbudowywaniu odpowiedniej tkanki.
Ale czyż idzie za tem, że ten „proces“ *z wewnątrz* jest
tem samym? Nie: proces fizjologiczny wewnętrznie mo-
że być poematem Bajrona lub symfonią Bethowena.

Toż samo miłość: *nazewnątrz*, w porządku społecz-
nym może ona być tem, czem chce ją mieć Schopenhauer,
chrześcijanin lub Grek.—*Wewnątrz* zaś dla tych dwojga
jest ona znowuż—poematem i symfonią.

Uwagi te w całej pełni dają się zastosować do sztuki.

Jak widzieliśmy, sztuka to jest romans twórcy z Nie skończonością — sztuka to proroctwo nowych kształtów bytu, — miłość ją poczyną, wieńczy ją, jak miłość, plód — dzieło.

W sztuce twórca traci wszelki związek ze społecznością, prócz tego, jaki mu zostaje, gdy jest tylko sobą, niczem, tylko sobą, choćby „kochał i cierpiał za miliony“.

A jednak złośliwy gienjusz Schopenhauera, czy dobry Bóg chrześcijanina, czy wreszcie swawolny amor Greka — ma tu tak samo obfity połów.

Z samej natury to wynika.

Sztuka jest indywidualizacją bytu — sztuka jest tą mennicą wartości, któremi potem posługuje się społeczność, jak skarbem.

Więc społeczność chciwie chwyta to, co tworzy sztuka, i wciela w życie.

Sztuka — idąc dalej torem tych, którzy pisali bez miłosnie o miłości — jawi nam nawet cały ten arsenał „przebiegłych“ środków, które gdzieindziej widzi uczony w sprawie t. z. „doboru miłosnego“.

Oto rytm i rym poezji: to jakby środki upamiętnienia się, wrażenia się w twardą wrażliwość ludzką. Oto harmonja i melodia barw czy dźwięków — to jakby środki wykołysania w duszach ludzkich uczuć podniosłych. Ażeby zaś monotonna nie ujednolajniła zbyt tych wrażeń — oto całe arsenały usubtelnień, odcieni, szkół, osobliwości, któremi dzieła sztuki — istna lekcja pogładowa mnemoniki w duszach ludzkich — upamiętniają swoją treść w człowieczej niepamięci.

Pocóż tedy te sonety i ody, ody i epody, strofy i antistrofy, rytmy wielomierne i złote rymy, te nieprzebrane formy, te bogactwa melodji, taktu, miary, kolorytu w sztuce? Z punktu widzenia złośliwego gienjusza to wszystko *po to*, żeby ludzkość *zapamiętała sobie* to bogactwo życia, które jej wyprorokowali wieszcz. — Zaczem cały powab sztuki — to sztuczka złośliwa i utylitarna gienjusza

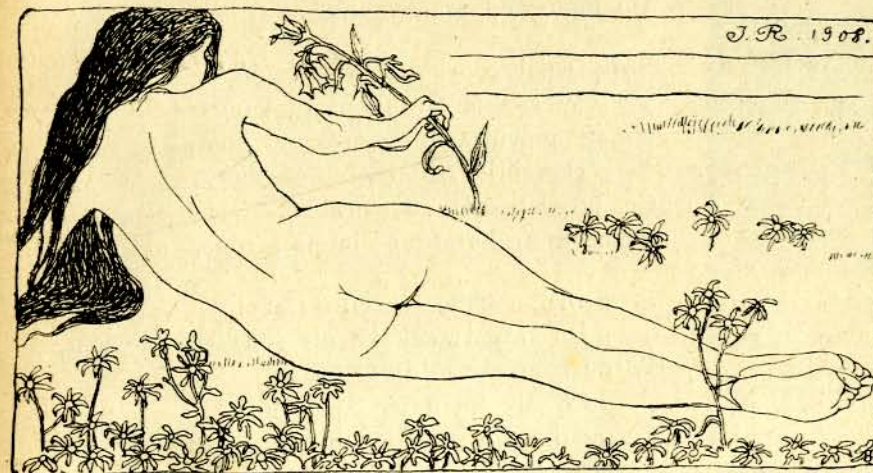
życia! I nic więcej, a wiesz tu tyleż oszukany, co owdzie miłosna para?

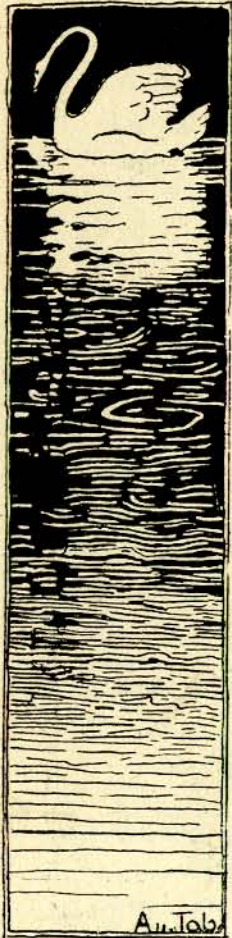
Bez pamięci oddawał się rozkoszy tworzenia — a to tylko po to, żeby wrazić w pamięć tępej ludzkości swoją lekcję życia.

Pocieszmy się: tę samą sprawę inaczej przedstawi seraficzny doktor katolicyzmu, niż bakalarski umysł zdziwaczałego Niemca, — zaczem inaczej przedstawi ją Grek, pełen prostoty i pogody.

Więc prawdą będzie tylko tyle, że w sztuce iści się cud życia i że do tej krynicy cudu od początku świata pochyla spragnione usta ludzkość cała.

Tylko tyle — i to jest socjologia sztuki.





WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI: ECHA.

VI.*)

Z bólem, co za mną gnał w pustynię,
Staję nad brzegiem wielkiej rzeki.
Prastary Nil przedemną płynie,
Więc — przybysz obcy i daleki —
Wyciągam tęskne swe ramiona
Do jego wód szarego łona.

Stoję wpatrzony w mętne tonie,
W rozhovor fali zasluchany.
Na jej powierzchni wzrokiem gonię
Dahabij**) białych karawany,
Co, jak łabędzie rozmarzone,
Sznurem w katarakt ciągną stronę.

Pozdrowion bądź, o Nilu stary!
Do stóp twych kornie schylam głowę...
W pustyni wywołujesz czary,
Co rok jej dając życie nowe
I zapładniając ziemi łono
Potęgą twórczą, nieskończoną.

*) Poprzednie pieśni tego poematu drukowane były w „Sfinksie” w zeszytach za lipiec, sierpień i wrzesień 1908 r.

**) Nazwa wielkich łodzi żaglowych, krążących po Nilu.

O praegipski Ozyrysie!
U stóp twych dusza moja pada...
Czasem nieśnione nawet sny się
Spełniają. Jutra nikt nie zbada!
I nikt, niestety, nie przewidzi,
Jak zeń pojutrze los zaszydzi...

Obrazów nowych i widoków
Tysiące snują twoje krosna:
Ten błękit nieba bez obłoków,
Te gaje palm, ta wieczna wiosna...
Tak, moc twa daje wszystko duszy,
Jej bólu tylko nie zagłuszy.

On trwa i z nami idzie wszędzie,
Ukryty gdzieś i zaczajony.
Czasem się nagle wydobędzie,
Zatopi w sercu krwawe szpony
I znowu pyta z dawną mocą:
„I po co żyć? I walczyć po co?...”

Ach! różnie bywa... Lepiej, gorzej,
Lecz pamięć chętnie w przeszłość wraca,
Wspomnienia dawne budzi, mnoży,
Zaciera smutne, a wyzłaca
Te, które dla nas już do końca
Zostaną jak promienie słońca.

Jedno z nich dzisiaj o pamięci
Lustrzaną szybę skrzydłem bije,
Jak ptak, którego w chacie nęci
Ciepło, gdy wkoło zamieć wyje,
Więc je na sznurek strof naniżę,
Choć nad niem dziś już — trumny w kirze.

Facjatka. Balkon. Dwa pokoje.
W jednym stół prosty, szafa, łóżko,

Na oknie jakieś butle, słoje,
 Akt starych trocha pod poduszką;
 W drugim — kanapa wyściełana,
 Komoda, szkło i sztych hetmana.

Ten, który tutaj gospodarzy
 I kręci się wśród krzeseł żwawo,
 Dobroci wyraz ma na twarzy.
 Pracował tydzień cały krwawo —
 Niedziela dziś, więc czeka gości...
 Przyjdą serdeczni, młodzi, prości.

Dzwonek—i dwóch odrazu wpada,
 Trzech innych słychać już zdaleka.
 Twarz gospodarza, nieco blada,
 Rumieńcem lekkim się powleka;
 Malutka postać, przygarbiona,
 Rośnie, gdy bierze nas w ramiona.

Tu wchodząc, myśl porzucaj czarną!
 Garbusek ręce trze wesóły...
 Robi się ciepło, ludno, gwarno,
 Jak gdy do ula wpadną pszczoły,
 Albo jak na wsi, gdy na święta
 Zjadą się dzieci i wnuczeta.

Gorących rozpraw zapal młody
 Pana Franciszka nie przeraża.
 Dwa wieki tu—nie antypody...
 Zaczego mamy gospodarza:
 On razem z nami w te wieczory
 Z zapalem—świata zmienia tory.

Gwar rośnie, zapal barwi lica:
 „Ha, przyszłość, przyszłość wam pokaże,
 „Że poryw nasz—nie błyskawica...“
 „Szczęścia nie łudzą mnie miraże...“

„Przysięgam, że w łeb sobie strzelę,
 Gdy zginą nasze sny, Arjele!...“

Lub obraz inny. Księżycowa
 Noc wysrebrzyła parku drzewa.
 Jak harfy, szemrzą zakłęb słowa.
 Sam nie wiem: chór słowików śpiewa,
 Czy duszy mej najgłębsze chóry
 Gdzieś mnie unoszą pod lazury.

Miłości pierwszej i ostatniej
 Zabłysła dla mnie gwiazda złota,
 Która—wśród życia trosk i matni—
 Na kłębku wspomnień dotąd mota
 Garść nitek, lśniących barwą tęczy,
 Gdy zadrwi los lub życie zmęczy.

Są ludzie, którzy kochać mogą
 Raz, drugi, trzeci, dziesięć razy:
 Im każda miłość równie droga,
 Każda kochanka im bez skazy,
 Kochanek każdy ideałem...
 Inaczej trochę ja kochałem.

Pełen podziwu zwykle patrzę
 Na te łzawnice i świątynie
 Miłości, pewno dziś nie rzadsze,
 Niż te, z których wiek peruk słynie.
 Co to, obficie oplakawszy
 Męża—wnet wietrzą, rychło żwawszy

Znajdzie się po nim spadkobierca.
 Nasiawszy lilji i rezedy
 Na grobie, znów szukają—serca.
 Widok to częsty, lecz niekiedy
 Wśród takich, jak ja, dziwnych ludzi
 Poprostu — obrzydzenie budzi.

Ach! my kochaliśmy inaczej,
 Spóźnieni ultra-romantycy...
 Ta liczba mnoga tutaj znaczy,
 Że—wśród przyjaciół mych—w stolicy
 Gubernji, gdzie brał wykształcenie,
 Co drugi — kochał się szalenie.

Co trzeci pisał hymny, ody,
 Ballady, pieśni lub sonety;
 Każdy odczuwał, że jest młody,
 W każdym co najmniej pół poety
 Pod szkolnym kryło się mundurem.
 Co do jednego, wszyscy, chórem —

Ilu nas w gronie owem było —
 Jedną pieśń mieli w głębi duszy:
 „Dalejże z posad, świata bryło!
 Młodości zapal cię poruszy
 I ludzkość uszczęśliwić zdoła,
 Choć może—cierniem skrwawi czoła...”

Młodości pierwsi przyjaciele,
 Gorących marzeń powiernicy!
 Lat, zda się, przeszło niezbyt wiele,
 A jednak coś, jak od gromnicy
 Ow odblask śmierci żółto-blady,
 W duszach okropne ryje ślady.

Policzmy: ilu nas zostało
 Wiernych sztandarom swym młodzieńczym?
 I cóż tu wreszcie moc ma trwała,
 Gdy one, one dziś pajęczym
 Podobne pasmom, co jesienią
 W słońcu unoszą się i mienia?...

Wiatr rozwiął nas, jak zeschłe liście,
 I rzucił w różne strony świata.

Nie ten ja dziś już, nie tacyście
 I wy, jak w te cudowne lata,
 Gdy rzeczywistość i marzenia
 Łączyły się, jak dwa westchnienia

Dwuch serc, dwóch rozkochanych piersi...
 Mówimy: życie zmienia, gnębi —
 Być może, ale—bądźmy szczerzy,
 Dość niewinności tej gołębiej:
 Sprobujmy szukać źródeł zmiany
 I w duszach własnych. Ach! są rany,

Których nie szarpać może lepiej
 I nie rozogniać własną dłonią,
 Póki ich życie nie zasklepi...
 Lecz dość! Na Anioł Pański dzwonią.
 Ten srebrny odgłos wśród pustyni
 W uczuciach dziwny przewrót czyni.

Na Anioł Pański dzwonią. Komu?
 Tym, których śmierci dłoń uśpiła,
 Tym, co—nie mając swego domu,
 Nie wiedząc, kędy ich mogiła,
 Jak ptaki, z gniazda wypędzone,
 Samotni idą w obcą stronę.

Na Anioł Pański ludzkiej rzeszy,
 Co, trudy znosząc syzyfowe.
 Żyje i życiem swem się cieszy,
 Gorąco wierząc w jutrznie nowe,
 Wierząc, że oto już za niemi
 Świt błyska wszystkim synom ziemi.

Przez żółte piaski, palm zieloność,
 Za Nil i za piramid szczyty
 Śpiew dzwonu płynie w nieskończoność,
 Płynie, o piersi skał odbity...

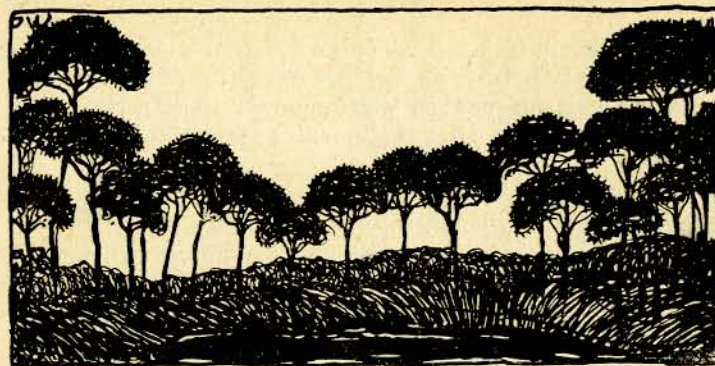
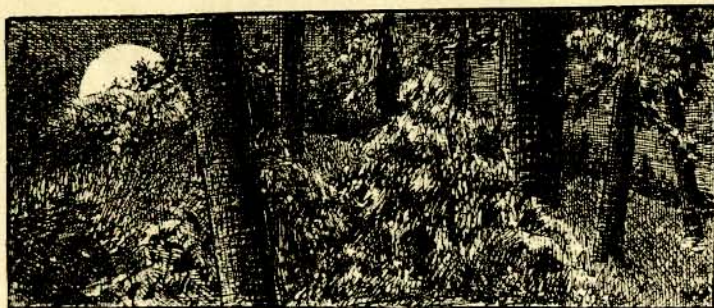
Nim zmiłkł, tuż obok się zaczyna
Modlitwa śpiewna muezzina.

To Wschód... Lecz gdy tak grają dzwony,
Ich śpiew wytwarza cud prawdziwy:
Jak żywe stają nasze strony,
Zielone grusze, złote niwy
I lipy wonne przy kościele,
I ludu barwny tłum w niedzielę.

W świąteczny czas, po ciężkim trudzie,
Po sześciodniowej, znoonej pracy,
Gromadą przyszli wiejscy ludzie:
Dziewczęta kraśne i chłopacy
Na schwał i starszych zacne grono,
W sukmanach, z twarzą wygoloną...

Świece się jarzą, dzwonki brzczą
I dym się kłębi z kadzielnicy.
Przez szyby wpada światło tęczą,
Wewnątrz śpiewają pieśń rolnicy:
„Od głodu, ognia... Święty Boże!...”
A tam gdzieś w polu pachnie zboże...

Ciąg dalszy nastąpi.



R. KIPLING: ONE. NOWELA.

PRZEŁOŻYŁA Z ANGIELSKIEGO A. REYMONTOWA.

(Dokończenie).

Pracowałem już z pół godziny, gdy nareszcie uszu moich doleciał słodki głos niewidomej: „Dzieci, hej dzieci, gdzie jesteście?” Upłynęła długa chwila, zanim cisza zapanowała znów nad niewysłowionym urokiem tego okrzyku. Wkrótce ukazała się wśród drzew, szukając po omacku drogi między pniami; wydało mi się, że dziecko trzyma się jej sukni, lecz skoro tylko podeszła bliżej, mała istotka rzuciła się, jak królik, w gąszcz leśny.

— Czy to pan—spytała—tam, z drugiego końca hrabstwa?

— Tak, to ja, z drugiego końca hrabstwa.

— Czemu pan nie przyjechał przez lasy, górą? W tej chwili były tam dzieci.

— One były tutaj przed paroma minutami. Przypuszczam, że wiedziały o zepsutym automobilu i przybiegły cieszyć się z mej klęski.

— Mam nadzieję, że to nie poważnego? Jak się psują automobile?

— O, proszę pani, jest na to pięćdziesiąt sposobów, ale mój wybrał sobie ten pięćdziesiąty pierwszy.

Zaczęła się śmiać serdecznie z mego niewinnego żartu, zsuwając kapelusz na tył głowy.

— Niech mi pan to wytłumaczy, rzekła.

— Proszę o chwilczkę cierpliwości, zawołałem, tylko przyniosę pani poduszkę.

Postawiła nóżkę na derce, założonej przyrządami do naprawy, i pochyliła się szybko nad nią.

— Jakie to śliczne! (Ręce, za pomocą których działa, jaśniały w rozproszonym słońcu.) Tutaj jakieś pudełko... drugie pudełko! Ale pan to wszystko ułożył, jak w sklepie z zabawkami!

— Wyznaję teraz, że ułożyłem to wszystko, aby je zwabić! Faktycznie, potrzeba mi zaledwie połowy tych rzeczy.

— Jak to pięknie z pana strony! Usłyszałam pańską trąbkę tam na górze, w lesie. Pan mówi, że one tu były przedtem?

— Jestem tego pewien. Czemu one są tak dzikie? Już ten mały obywatel niebiesko ubrany, który był z panią przed chwilą, mógłby opanować swoje tehorzostwo. Śledził mnie, jak jakiś Czerwonoskóry.

— Pewnie pana trąbka je spłoszyła. Kiedy schodziłam w dół, słyszałam, jak przebiegały obok mnie. O, one są dzikie... bardzo dzikie, nawet ze mną.

Przechyliła głowę przez ramię i znów wołać zaczęła:

— Dzieci... dzieci! Chodźcie no tutaj!

— Musiały już pewnie wszystkie wrócić do swych zabawek.

Była to z mej strony insynuacja, ponieważ słyszałem za sobą szept cichych głosów, przerywanych tłumionymi wybuchami śmiechu. Wróciłam do pracy, a ona pochyliła się naprzód, wsparła twarz na dłoni i słuchała z zajęciem.

— Ile ich jest? spytałem w końcu.

Robota była skończona, ale nie widziałem powodu do odeścia.

Zmarszczyła lekko czoło pod naciskiem myśli.

— Sama nie wiem dobrze, odpowiedziała naiwnie.

— Czasem jest ich więcej, czasem mniej. Przychodzą i zostają ze mną, bo je kocham, rozumie pan.

— Musi to być bardzo zabawne, odparłem, wsuwając szufladkę na miejsce.

Mówiąc to, zdawałem sobie jednocześnie sprawę z głupoty mej odpowiedzi.

— Pan... pan nie żartuje sobie ze mnie? krzyknęła.

Przecież ja... ja nie mam ani jednego dziecka. Nigdy nie byłam zamężną. Ludzie z powodu nich wyśmiewają się ze mnie, bo... ponieważ....

— Ponieważ ludzie, to bydlęta! zawołałem. Niema się pani czem smucić. Wszak ten świat drwi ze wszystkiego, co nie jest częścią jego trywialnego życia.

— Nie wiem. Jakże mam to wiedzieć? Ale nie lubię, gdy drwią ze mnie z powodu *nich*. To tak boli, a kiedy się jest ślepą... (jej podbródek, gdy to mówiła drżał żalostnie, jak u dziecka) zdaje mi się, że my ślepi jesteśmy cali w nerwach. Każda rzecz uderza nas prosto w serce. Z wami inaczej! macie wiernych obrońców w oczach, prawdziwą straż — zanim wam ktoś naprawdę zasmuci duszę! Świat w stosunku do nas zapomina o tem.

Milczałem, myśląc nad tą niewyczerpaną kwestją — buntując się przeciwko brutalności epoki, pełnej jeszcze barbarzyństwa. Zapadałem coraz głębiej na dno własnej duszy.

— Nie rób pan tego! krzyknęła nagle, zakrywając twarz rękami.

— Czego?

Poruszyła ręką.

— Tego! To... całe purpurowe i czarne. Nie, błagam pana!

— To jest kolor, który mi sprawia cierpienie.

— Ale cóż może pani wiedzieć o kolorach, zawołałem prędko, było to bowiem dla mnie prawdziwe odkrycie.

— O kolorach, jako o takich? spytała.

— Nie, o tych kolorach, które pani ujrzała.

— Pan o tem wie równie dobrze jak ja; inaczej nie postawiłby pan tego pytania, odparła, śmiejąc się. Tych kolorów niema wcale na świecie, one są w *panu*... kiedy się pan tak rozgniewał.

— Czy ma pani na myśli ciemną, fioletową plamę, jakby wina, zmieszanego z atramentem?

— Nigdy nie widziałam atramentu, ni wina, ale kolory nie są wcale zmieszane; przeciwnie, one są bardzo rozdzielone.

— Pani mówi o plamach i smugach, przechodzących przez czerwony kolor?

Kiwnęła głową.

— Tak, jeśli ono są ułożone w ten sposób (uczyniła zygzakowaty ruch ręką); ale to jest raczej czerwone niż purpurowe.... to zły kolor.

— Jakie są kolory u góry tego.... co pani widzi?

Wolniutko pochyliła się i zaczęła rysować na derce kontury Jaja ¹⁾.

— Oto, jak je widzę, mówiła, pomagając sobie łożką trawy: najpierw biały, dalej zielony, żółty, czerwony, purpurowy, a gdy się ludzie gniewają — jak pan przed chwilą — czarne smugi na tle czerwonym.

— Kto pani o tem pierwszy mówił? spytałem.

— O tych kolorach? Nikt. Jeszcze będąc dzieckiem, lubiłam pytać, co to takiego kolor — w dywanach, serwetach, firankach, rozumie pan — bo są kolory, które mi sprawiają cierpienie lub radość. Mówiono mi więc, a później, gdy byłam starsza, widziałam w ten sposób ludzi.

Żnowu rysowała Jaje, które tak niewielu z nas da-nem jest widzieć.

— Wszystko to pani wie sama z siebie?

— Tak jest. Nikt mnie tego nie uczył. Dopiero później odkryłam, że ludzie nie widzą tych kolorów.

Oparła się o pień drzewa, splatając i rozplatając zdźbła trawy, które machinalnie rwała koło siebie. W lesie zbliżyły się dzieci. Widziałem je, patrząc z ukosa, swawo-lące jak wiewiórki.

— Już teraz pewna jestem, że nigdy nie będzie pan szydził ze mnie, zaczęła po długim milczeniu. Ani z *nich*.

— Boże miłosierny! Nigdy! zawołałem, wyrwany z mych myśli. Człowiek który się wyśmiewa z dzieci, musi być co najmniej poganinem.

— Nie to chciałam powiedzieć. Samo przez się rozumie się, że pan nie mógłby drwić z dzieci, ale myśla-łam.... zawsze myślałam.... że mógłby pan drwić z *nich*. Więc też proszę pana o przebaczenie. Czemu się pan śmieje?

Nie wydałem żadnego głosu, lecz odgadła.

— Na myśl, że pani mnie prosi o przebaczenie. Gdyby pani chciała spełnić obowiązek, jako podpora Państwa i obywatelka, powinna była pani zaskarżyć mnie za naj-

¹⁾ Autor mówi tutaj o astralnej otęczy, którą posiada każda żyjąca istota, a widocznej jedynie dla duchowego wzroku tych, którzy się poświęcają pewnej gałęzi psychologii

ście wówczas, gdy objeżdżałem tak brutalnie jej lasy. Do-prawdy, to było bezecnie z mej strony, nie do darowania.

Słuchała mnie, z głową opartą o pień drzewa, długo i uważnie — ta kobieta, która widziała nagą duszę.

— Jakie to ciekawe, szeptała półgłosem. Tak cie-kawe, tak bardzo.

— Dlaczego? Cóż takiego uczyniłem?

— Pan nic nie rozumie.... a jednak o kolorach pan zrozumiał odrazu. Czy pan jeszcze nie rozumie?

Mówiła z przejęciem, którego nie nie usprawiedli-wiało, patrzyłem więc na nią oszołomiony, gdy się pod-nosiła.

Dzieci, zbite w gromadkę, kryły się za krzakiem cierniowym. Jakaś świetlista główka pochyliła się nad czemś jeszcze niższem, a ruch małych ramion wskazy-wał, że trzyma paluszki na ustach. One także kryły ja-kąś straszną tajemnicę dziecięcą. Tylko ja jeden znalaz-łem się tam zbłąkany bez wyjścia.

— Nie, odparłem, wstrząsając głową, jakby te mar-twe oczy mogły mnie widzieć. Cokolwiek to może być, nie a nie nie rozumiem. Może kiedyś, później — jeśli mi pani pozwoli wrócić tutaj.

— Pan tutaj wróci z pewnością. Musi pan wrócić *przechadzać się po lesie*.

— Może i dzieci poznają mnie lepiej i pozwolą ba-wić się z sobą.... w drodze łaski. Pani wie, jakie to są dzieci.

— To nie jest kwestja łaski, to jest prawo, odparła.

Zacząłem rozmyślać, co przez to chciała powiedzieć, gdy na drodze ukazała się jakaś nieprzytomna kobieta, pędząca przed siebie na oślep, z rozwianym włosiem, z czer-woną twarzą, z poszarpaną odzieżą, rycząca prawie z bólu. Była to moja szorstka i gruba znajoma ze sklepiu z cu-kierkami. Niewidoma żywo podbiegła ku niej.

— Mistress Madehurst, co się stało? pytała.

Kobieta zarzuciła sobie fartuch na głowę i, tarzając się literalnie w piasku, krzyczała, że jej wnuczek śmiec-telnie zachorował, a lekarz miejscowy pojechał na ryby, Jenny, matka dziecka, już sama nie wie, co począć z roz-paczą itd. itd. powtarzała jedno i to samo z krzykiem.

— Gdzie mieszka najbliższy doktor? spytałem mię-dzy dwoma atakami.

— Madden pana objaśni. Proszę iść do domu i wziąć go z sobą. Ja się zajmę tą kobietą. Spiesz się pan!

Prawie zaniosła grubą kobietę w cień, pod drzewo. W dwie minuty zatrafiły wszystkie trąby Jerychońskie przed Pałacem Zachwytu, a Madden, który był wówczas w kredensie, stanął na wysokości zadania, jako kamerdyner.... i człowiek.

Kwadransiem niedozwolonej szybkości zdobyliśmy lekarza o jakieś pięć mil. Nie upłynęło i pół godziny, gdyśmy go dostawili, pełnego uznania dla automobilów, do drzwi sklepiku i cofnęliśmy się na drogę, oczekując wyroku.

— Te automobile są bardzo pożyteczne! zauważył Madden, już zupełnie człowiek, nie kamerdyner. Gdybym go miał pod ręką, gdy zachorowała moja mała, nie straciłbym jej z pewnością.

— Co to było? spytałem

— Krup. Pani Madden nie było wtedy w domu. Nie wiedzieliśmy, co robić. Zrobiłem osiem mil wózkami, szukając doktora. Gdy wróciłem, już się udusiła. Automobil byłby ją uratował.... Miałaby teraz prawie dziesięć lat....

— Bardzo mi przykro. Zdaje mi się, że bardzo lubicie dzieci, sądząc po tem, coście mówili wtenczas, gdyśmy szukali gościńca.

— Czy wielmożny pan widział je znów dzisiaj?

— Tak, ale one się już znudziły automobilem. Nie mogłem zwabić żadnego bliżej nad dwadzieścia kroków.

Spojrzał na mnie tak uważnie, jak rekonesans patrzyłby na wroga, nie jak sługa winien podnosić oczy na władcę, daną mu od Boga.

— Ciekaw jestem, dlaczego..... szepnął tak cicho, jak westchnienie.

Czekaliśmy dalej. Lekki wietrzyk morski błakał się z góry na dół po długich linjach lasów, a trawy przydrożne, ubielone letnim pyłem, wznosiły się i chwiały blademi falami.

Jakaś kobieta wyszła z sąsiedniej chaty, obcierając zamydlone ręce.

— Słuchałam na podwórzu od tyłu, zawołała żywo. Mówi, że Arturek jest śmiertelnie chory. Czyście panowie słyszeli, jak krzyczał przed chwilą? Śmiertelnie chory! Wnoszę z tego, że teraz na Jenny przyszła kolej *przechadzać się po lesie*, panie Madden.

— Przepraszam, wielmożnego pana, ale fartuch spada na ziemię, zauważył Madden z uniżonością.

Kobieta poruszyła się niecierpliwie, dygnęła i śpiesznie odeszła.

— Co to ma znaczyć, to „*spacerowanie po lesie*“, które tak często słyszę? spytałem.

— Musi to być jakieś miejscowe wyrażenie. Co do mnie, pochodzę z Norfolk. W tej okolicy jest cała kolekcja Niezależnych. Wzięła wielmożnego pana za szoffera.

Nakoniec wyszedł z chaty lekarz, którego ręki czepiała się obdarta dziewczyna, jak gdyby człowiek nauki mógł dla niej paktować ze śmiercią.

— Moje małenstwo—jęczała. Kocham je, jakby było ślubne. Tak samo! Tak samo! Bóg pana wynagrodzi, jeśli je ocalisz. Nie zabierajcie mi go, Miss Florencja powie panu to samo. Nie opuszczaj go, panie doktorze.

— Wiem, wiem, powiedziała poważna osobistość. Teraz już będzie spokojny. Trzeba jak najprędzej zdobyć lekarstwa i dozorczynię.

Dał mi znak, abym podjechał, starałem się być obojętnym widzem tego, co się działo, ale niestety ujrzałem zakrzepłą i zoraną bólem twarz dziewczyny i poczułem rękę bez ślubnej obrączki, która chwyciła mnie za kolaną. gdyśmy ruszali.

Doktor był to jakiś oryginał, przypominam sobie, że bez litości wyzyskiwał nie tylko moją maszynę, ale co gorsza moją osobę, bez skrupułów, w imię samego Eskulapa. Zaczęliśmy od tego, żeśmy przewieźli panią Madchurst i Miss Florencję do łóża chorego, miały tam czuwać do przybycia dozorczyń. Potem zrobiliśmy najazd na czystuśkie miasteczko po lekarstwo (doktor określił chorobę jako *meningitis*), a skoro szpital, który otoczyło ze wsząd wystraszone przez nas bydło z jarmarku, orzekł, iż chwilowo nie posiada dozorczyń, rzuciliśmy się bez pamięci na okolicę. Miewaliśmy konferencje z magnatami, zamieszkującymi zamki w głębi sklepionych alei, których solidnie zbudowane damy opuszczały wielkimi krokami stoły zastawione do herbaty, aby posłuchać bezwzględniego doktora. Nakoniec jakaś siwowłosa dama, siedząca pod cedrem z Libanu, podała doktorowi łaskawie piśmieniny rozkaz, a on go przyjął z takim pietyzmem, jak z rąk królowej. Zawieźliśmy go do klasztoru francuskiego, od-

ległego o niezliczone mile, licząc po szybkości, z jaką jechaliśmy.

Wzamian za to dostaliśmy siostrę, całą drżącą i o bladej twarzy.

Natychmiast ukłękła w głębi pudła i wzięła się do odmawiania różańca bez przerwy, póki nie wysadziliśmy jej u drzwi sklepiu.

Było to długie popołudnie, przeładowane tak szalonymi epizodami, które się rozpraszały równie łatwo jak kurz pod naszymi kołami; jakieś profile dalekich i niepojętych bytów, przez które pędziliśmy pod prostym kątem, że skoro się znalazłem pod wieczór w domu, rozbity, ciągle mając przy sobie rogi splecione bydła, zakonnice o wystraszonych oczach, przechadzające się w ogrodzie grobowców, przyjemne podwieczorki w cieniu drzew; szaro malowane i pachnące karbolem korytarze szpitalne; płochliwe kroki dzieci w lesie i ręce, które objęły me kolana, gdy automobil ruszał.

Postanowiłem tam wrócić za jakiś dzień lub dwa, lecz Los trzymał mnie pod rozmaitymi pozorami w innej stronie hrabstwa, aż i na bzach i na głogach pokazały się owoce.

Nareszcie nadszedł dzień, dzień jasny, dobrze wdmuchany południowo-zachodnim wiatrem, który zbliżył góry, że nieledwie można ich było ręką dotknąć,—dzień przelotnych zefirów i wysokich, poszarpanych chmur.

Dzięki jakimś sprzyjającym okolicznościom, byłem wolny i znów puściłem maszynę na dobrze już znaną drogę.

Gdy wjechałem na szczyt płaskowzgórza, poczułem, że się coś w spokojnym powietrzu zmienia, zaczyna się ściemniać, a rzuciwszy okiem w dół na morze, byłem świadkiem w tej chwili metamorfozy błękitu La Manche'u na polerowane srebro, i przypalonej stali—na ciemną cynę. Naładowana węglarka, sunąca tuż przy brzegu, wypłynęła na pełne morze, szukając głębszej wody, a po-przez miedzaną mgłę ujrzałem rozwijające się żagle, jeden po drugim, na flotyli rybackiej, stojącej na kotwicy.

W głębokiej rozpadlinie skały, poza mną, nagły tuman wiatru zahuczał w konarach osłoniętych dębów i zakręcił w powietrzu pierwszymi próbkami zeschłych jesiennych liści.

Kiedy wyjechałem na drogę wybrzeża, mgła morską dymiła już nad cegielniami, a morze opowiadało wszystkim groblom o huraganie, który zaczynał szaleć. W niespełną godzinę nasze lato angielskie rozwiał się bez śladu, na jego miejsce zapanowała nad ziemią szarość zimna. Staliśmy się znów zamkniętą wyspą Północy, u której niebezpiecznych brzegów ryczały okręty całego świata, a wśród tych brząsków przedzierało się czasem jęklive zawodzenie mew,

Moja czapka ociekała wilgocią, z której tworzyły się w fałdach fartucha małe jeziora, spływające cienkimi strumykami, a szron soli oblepiał mi usta.

W głębi ładu zapachy jesienne przesycaly mgłę, gęstszą jeszcze pod drzewami, która stopniowo przechodziła w drobny deszcz. Jednakże jesienne kwiaty, ślasy na stokach wzgórz, skabiozy polne i dalje w ogrodach stawały mężnie czoło szarudze, a osłonięte od morskich wiatrów mało jeszcze nosiły znamion bliźkiej śmierci. Po wioskach drzew chat stały otworem, na wilgotnych progach siedziały dzieci z gołymi głowami, bose i krzyczały za mną „hau — hau“.

Zatrzymałem się przed sklepikiem z cukierkami, gdzie gruba kobieta przyjęła mnie wielkim płaczem. Dziecko Jenny umarło w dwa dni po przybyciu Siostry. Dzięki Miss Florencji, pochowano je z taką pompą, że pokryła ona w zupełności fakt, iż było nieślubne. Opisała mi wymownie trumienkę wewnątrz i zewnątrz, katafalk cały z luster i kwiaty, przystrojające jego mogiłę.

— A jak się czuje matka?

— Jenny? Oh, ona się uspokoi. Przeszłam to sama z jednym czy z dwójgiem. Ona się nie da. Obecnie—*przechadza się po lesie*.

— W taką pogodę?

Miss Madehurst zmrużyła oczy, [patrząc na mnie z nad kontuaru.

— Nie wiem, czy mam być z panem szczerą. Et, czy tracić czy nosić najedno wychodzi koniec końcem, jak my tutaj mówimy.

O tak, mądrość starych kobiet przewyższa wszystkich Ojców Kościoła, a ta ostatnia wyrocznia pograżyła mnie w taki chaos myśli, że omal nie rozjechałem jakiejś kobiety z dzieckiem, gdy wjechałem pod górę, na leśnym zakręcie przy łożu odźwierzego z Pałacu Zachwyty.

— Co za wstrętny czas! krzyknąłem, zwalniając na zakręcie.

— Nie tak bardzo znów zły, odpowiedziała spokojnie z głębi mgły. Mój jest do tego przyzwyczajony. Przypuszczam, że pan znajdziesz swoich w domu.

Zajechałem przed dom, gdzie na spotkanie wyszedł Madden, witając mnie z istic zawodową grzecznością i pytaniem uprzejmem o stan automobilu, który miał zawieźć pod dach.

Kazano mi czekać w cichym hallu, brunatno-złotego koloru, pełnym kwiatów jesiennych, z rozkosznym ogniem z drzewa na kominku,—miejscu dobrych natchnień i wielkiego ukojenia. Ludzie potrafią czasem z wielkim trudem wmówić nieistniejące cnoty, lecz dom, który jest ich przybytkiem, zawsze mówi prawdę o swych mieszkańcach.

Dziecinny wózek i lalka leżały porzucone na czarnobiałej posadzce, z której dywan ściągnięto nogą w pośpiechu. Czułem, że dzieci musiały stąd uciec, aby się ukryć—może w niezliczonych zakrętach wspaniałych kamiennych schodów, piętrzących się majestatycznie w głębi hallu, a może się czają za lwami i różycami rzeźbionej galerji.

Usłyszałem głos niewidomej, śpiewający piosnkę Browninga, i za chwilę ujrzałem ją wychylającą się przez poręcz galerji, przytem białe jej ręce zajaśniały, jak perły, rzucone na ciemnym tle dębu.

— Czy to pan, z drugiego końca hrabstwa? pytała wesoło.

— Tak, ja we własnej osobie.

— Dużo czasu upłynęło, nim pan zechciał do nas wrócić.

Zbiegła szybko ze schodów, dotykając lekko poręczy.

— Już dwa miesiące i cztery dni upłynęło od tego czasu. I lato też już minęło.

— Chciałem wcześniej, lecz los mi nie pozwolił.

— Wiedziałam o tem. Czy nie zechciałby pan poprawić ognia. Nie pozwalają mi się doń zbliżać, a czuję, że tam jest coś złego.

Obejrzałem ze wszystkich stron kominek i znalazłem tylko nawpół zwęgloną żerdź, którą zacząłem bić w zecerznięte polana, aż się zajęły ogniem.

— Ten ogień nigdy nie gaśnie, nawet w nocy. Na wypadek, gdy się wraca ze zziębniętymi nogami, rozumie pan.

— Tutaj jeszcze jest piękniej wewnątrz, niż na dworze, szepnąłem.

Czerwone światło rozlewało się po ciemnych ścianach, wygładzonych przez wieki, aż róże i liry Tudorów na galerji nabierały barwy i życia.

Stare wklęsłe zwierciadło, z rozpostartym orłem u góry, skupiało w swem sercu cały ten obraz, łamiąc już i tak połamane cienie i nadając galerji wygięcie statku. Dzień kończył się prawie burzą w miarę tego, jak mgła przechodziła w ulewny deszcz.

W krzyżownicach wielkiego okna bez firanek widziałem strzyżonych rycerzy na trawniku, zrywających się co chwila i stawiających mężnie czoło wichurze, która je smagała tumanami suchych liści.

— Tak, musi tu być pięknie. Czy chce pan zwiedzić dom? Jeszcze jest dość widno na górze.

Weszliśmy po tak szerokich schodach, że można było jechać moim wozem, a rzeźbiona galerja, na którą wychodziły drzwi, delikatnie rzniete w rowki, pochodziła z czasów Elżbiety.

— Niech pan zobaczy, jak są nisko klamki, to przez wzgląd na dzieci.

Popchnęła lekkie drzwi.

— Nawiasem mówiąc, gdzież są te dzieci. Nawet ich dzisiaj nie słyszałem?

Nie zaraz odpowiedziała. Wreszcie szepnęła:

— Ja tylko, niestety, mogę je słyszeć. Potem dokończyła słodko:

— Oto jeden z ich pokojów... wszystko mają, jak pan widzi.

Wskazała na pokój o ciężkiej buazerji. Stały tam niskie dziecinne stoliczki i krzeselka. Domek dla lalki, z otwartym frontem na zawiasach, stał nawprost dużego jabłkowitego siwka na biegunach, z którego miękkiego siodła jeden był tylko skok na szeroką kanapę pod oknem, wychodzącem na taras. Mała fuzyjka leżała w kącie obok złożonej drewnianej armatki.

— Musiały tutaj być przed chwilą, zauważyłem.

W szarym mroku zaskrzypiały ostrożnie jakieś drzwi. Usłyszeliśmy szelest sukienki i odgłos lekkich kroków—szybkich kroków—przebiegających gdzieś w oddalonym pokoju.

— O, czy pan je słyszy—zawołała tryumfująco. Ja słyszę je doskonale?.. Dzieci, dzieci, gdzie wy jesteście?

Słodki głos nappełnił mury, które go powtórzyły miłośnie, aż do ostatniego dźwięku, lecz nie odpowiedział nań wesóły okrzyk, jaki słyszałem dawniej w ogrodzie. Biegaliśmy z pokoju do pokoju, po dębowych posadzkach, to wbiegając po jednym stopniu do góry, to zbiegaliśmy po trzy w dół, w labiryncie korytarzy — za naszą nieuchwytną marą...

Zupełnie jakby ktoś chciał polować z jedną łasicą w otwartej królikarni. Niezliczone były tam nisze w ścianach, skrytki, framugi tak głębokich i wysokich okien, że wydawały się tylko szczelinami, ginącymi w mroku, a skąd każdej chwili one mogły wyskoczyć za nami; puste kominy wgłębione na sześć stóp w ściany, nie licząc gmatwaniny drzwi.

Przedewszystkiem one miały za sobą, w tej zabawie w chowanego, ciemności. Uchwyciłem kilka razy stłumiony i radosny śmiech, że się wymknęły, to znów na tle okna zamajaczyła jasna bluzka i niknęła w głębi ciemnego korytarza; lecz w końcu wróciliśmy na galerję z pustymi rękoma w tej samej chwili, gdy jakaś starsza kobieta ustawiała w niszy lampę.

— Nie i ja ich też nie widziałam wieczorem, Miss Florencjo, mówiła, ale przyszedł ten Turpin w kwestji swej obory.

— Widocznie bardzo mu pilno zobaczyć się ze mną! Niech przyjdzie do hallu.

Spojrzałem z góry na hall w dole, który za całe światło miał tylko gasnący ogień na kominku, i nagle w najgłębszym cieniu ujrzałem je wreszcie. Musiały się tutaj wsunąć, gdyśmy biegali po korytarzach i czuły się zupełnie bezpieczne za staroświeckim ekranem ze złoconej skóry.

Wedle obyczajów dziecinnych moja bezowocna gonitwa starczyła za prezentację; lecz postanowiłem je ukarać, udając zupełną obojętność, czego znów one nie nawidzą.

Stały cichą, zbitą gromadką, prawie jak cienie; czasami tylko pełgające światełko wydobyło jakiś kontur.

— Teraz napijemy się herbaty, powiedziała niewidoma. Zdaje się, że powinnam była od tego zacząć, ale nie zawsze je-

stem na wysokości dobrych manier, tembardziej gdy się tak żyje samotnie, jest się uważaną... hum!.. za trochę dziwną istotę.

— Czy potrzeba panu lampy do jedzenia?—dodała z figlarnem lekceważeniem.

— Zdaje mi się, że światło kominka jest przyjemniejsze.

Zeszliśmy w ten rozkoszny półmrok, a za chwilę Madden wniósł herbatę.

Postawiłem krzesło w kierunku ekranu, przygotowany na to, żeby je zaskoczyć niespodzianie, albo być zaskoczonym samemu i—za zezwoleniem gospodyni¹⁾—pochyliłem się i zacząłem bawić się ogniem.

— Skąd pani ma te śliczne drzazgi?—spytałem. Ale one mają jakieś nacięcia.

— Naturalnie. Ponieważ ani czytam, ani piszę musiałam się uciec do tego sposobu przy robieniu rachunków. Daj mi pan jedną, a zaraz mu wytłumaczę, co znaczy.

Podąłem jej gałąź leszczynową, mającą jakąś stopę długości, po której zaczęła delikatnie przesuwac dłonią.

— Ma pan, tutaj oto, rachunek za mleko, w garncach, które dała ferma zamkowa za miesiąc kwiecień. Pytam, co bym poczęła bez tych karbów na gałęziach. Stary mój leśniczy nauczył mnie tego sposobu. Co prawda, dawno już wyszedł z mody, ale moi dzierżawcy z nim się liczą. Otóż właśnie jeden z nich chce się ze mną widzieć.

Oh! proszę, zostań pan, poza wyznaczonemi godzinami nie ma prawa tutaj przychodzić. To chciwy i głupi człowiek... bardzo chciwy, bo... inaczej nigdyby się nie odważył przyjść o tej porze.

— Jak dużo ma pani ziemi?

— Dla siebie mam zaledwie 200 akrów, resztę, 600 akrów, mam wydzierżawioną ludziom, którzy znali jeszcze moją rodzinę, gdy mnie nie było na świecie. Ten Turpin jest to nowy człowiek i rozbójnik ostatniego kalibru.

— Ale czy ja naprawdę nie będę pani przeszkadzał?

— Absolutnie nie. Pan ma prawo. On zaś nie ma dzieci.

¹⁾ W Anglii trzeba być w domu conajmniej lat siedem, aby móc dotknąć się do ognia.

— Ach, dzieci! (Odsunąłem krzesło w tył, że prawie dotykało parawanu, za którym się kryły). Jestem ciekaw, czy one mi się ukażą.

Słychać było jakieś głosy—Maddena i drugi grubszy—pod bocznymi, niskimi i ciemnymi drzwiami. W tej samej chwili stanął w nich, a raczej wepchnięto go z zewnątrz, olbrzym, z włosami koloru imbiru, w płóciennych kamaszach—klasyczny typ dzierżawcy.

— Mister Turpin, proszę tutaj bliżej, do ognia.

— Mnie tutaj, proszę Miss, równie dobrze przy drzwiach, trzymał przytem za klamkę, jak wystraszone dziecko.

Zrozumiałem, że walczy z niepokonaną obawą.

— A więc?

— Przyszedłem w sprawie tej nowej obory, dla jałowizny.... Te pierwsze dni jesienne.... ale ja wrócę, Miss...

Zęby mu tak samo dzwoniły, jak klamką, za którą trzymał.

Jego oczy, rozszerzone strachem, biegały niespokojnie po wszystkich kątach. Uchylił drzwi, któremi wszedł, lecz zamknięto je gwałtownie z zewnątrz.

— Pisał to, co mu kazałam. Ferma w Dunett nigdy nie wyżyła więcej, niż pięćdziesiąt wolów — nawet za czasów Wrighta. Przytem on im dawał makuchy. Wy ich macie 67 i nie używacie makuchów. Pogwałciliście umowę. Dewastujecie fermę.

— Ja... ja mam zamiar sprowadzić jakieś nawozy — superfosfaty — w przyszłym tygodniu. Nawet mogę powiedzieć, że zamówiłem prawie cały wagon. Jutro pojedę w tej sprawie na stację. Czy mogę przyjść jutro we dnie rozmówić się z panią?... Ale ten pan nie odchodzi, nieprawdaż? krzyknął na cały głos.

A ja tylko odsunąłem krzesło trochę dalej w tył i zastukałem lekko palcem w skórę ekranu, na co on skoczył, jak szczur.

— Nie. Proszę mnie posłuchać, Mister Turpin.

Odwrociła się ku dzierżawcy, trzymającemu się mocno drzwi, i zaczęła tłumaczyć, iż nie pozwoli się w taki sposób oszukać. Słuchając jej wywodów, podziwiałem stopień chciwości tego człowieka; widząc, jakie męczarnie obawy znosi dla niej, mniejsza o to, jakie są tego przyzyny, dość, że pot spływał mu ciurkiem z czoła.

Przestałem stukać palcem w ekran, pochłonięty całym obliczaniem ceny obory, gdy naraz uczulem, że delikatne dziecinne paluszki chwytają mą opuszczoną rękę i lekko ją unoszą. Nareszcie zwyciężyłem! Jeszcze chwila a odwrócę się i zawrę przyjaźń z tymi szybko nogami włóczęgami.

Lekki pocałunek, jak muśnięcie kwiatu, spadł na mą dłoń, niby słodka wymówka dziecka, które czeka i nie przywykło do obojętności, nawet gdy dorośli są najbardziej zajęci.

Nagle zrozumiałem wszystko! Wydało mi się, że wiedziałem zaraz od pierwszej chwili, kiedy patrzyłem z tarasu w okno na górę.

Usłyszałem zamykanie drzwi. Kobieta odwróciła się do mnie w milczeniu. Poczułem, że zrozumiała.

Ile czasu upłynęło? Nie umiałbym powiedzieć. Oprzytomniałem na odgłos spadającej główki i machinalnie podniosłem się, aby ją poprawić. Potem wróciłem na swoje miejsce, na krzesło tuż przy ekranie.

— Ach, nie, odparła spokojnie, hum... Nowa obora. Co wam pisał rzadca na piętnastego?

— Ja myślałem, że gdy przyjdę i pomówię sam na sam. Ale...

— Teraz już pan rozumie? wyszeptała w gęstym mroku.

— Tak, zrozumiałem... teraz. Dzięki.

— Ja... ja je tylko mogę słyszeć. (Ujęła głowę w obie dłonie). Nie mam do nich prawa, wie pan... żadnego prawa. Ani je nosiła, ani traciła...

— Więc bądź pani z tego szczęśliwa!

Miałem w sobie duszę rozdartą.

— Przebac mi pani!

Ona była spokojna, a ja wróciłem do mych smutków i do mych radości.

— Stało się to dlatego, że je tak bardzo kochałam, zaczęła przerywanym głosem. Dlatego, już od samego początku... zanim nawet wiedziałam, że... że były wszystkim, co mogę tylko mieć. I tak je kocham!

Wyciągnęła ręce ku cieniom, pogrążonym w mroku.

— Więc przyszedł, bo je kochałam... bo tak bardzo było mi ich potrzeba. Ja... ja musiałam je zmusić do przyjścia. Czy bardzo źle uczyniłam, co?

— Nie... nie...

— Przyznaję, że te zabawki i wszystko inne było absurdem, ale... ja sama tak niecierpiałam pustych pokoi, gdy byłam dzieckiem! (Wskazała ręką na galerję). I korytarzy całkiem pustych... I jak można znieść bramę ogrodu wiecznie zamkniętą. Pomyśl pan...

— Dosyć. Przez litość dosyć! zawołałem.

Z nocą rozpadał się siekący zimny deszcz z wichurą, bijącą ze wściekłością w szyby, sprawne w ołów.

— To samo, co się tyczy ognia przez całą noc. Nie sądzę, aby to było tak śmieszne, — a pan?

Spojrzałem na wielki murowany komin i zobaczyłem, zdaje mi się przez łyż, iż nie miał kraty ani z boku, ani z przodu. Spuściłem głowę.

— Wszystko to uczyniłam i wiele innych jeszcze rzeczy... tylko aby uwierzyć. Potem one przyszły, usłyszałam je; ale nie wiedziałam, że nie mnie się z prawa należą, aż Miss Madden mi powiedziała...

— Żona kamerdynera?

— Ja słyszałam... ona widziała... jedno z nich. Zrozumiałam. Jej dziecko! Nie dla mnie przyszło. Z początku nie mogłam sobie zdać sprawy. Może byłam zazdrosna. Dopiero później zrozumiałam, iż tylko dlatego, że je kochałam, nie zaś... Oh! trzeba je rodzić lub tracić, zawołała żałośnie. Innego niema sposobu... chociaż one mnie kochają. One powinny mnie kochać! Nieprawdaż?

Nic już nie było słychać prócz syczenia ognia, ale słuchaliśmy uważnie i uspokajała się tem, co słyszała. Opanowała się nieco i wstała. Siedziałem nieruchomo na mem krześle pod ekranem.

— Niech mnie pan nie uważa za nieszczęśliwą istotę, że się tak roztkliwiam sama nad sobą, lecz... przecież pan wie, że jestem cała w ciemnościach, kiedy pan widzi.

Istotnie widziałem, i to moje widzenie utwierdzało mnie w postanowieniu, co znaczyło to samo, jakbym sobie wyrwał duszę z ciała. W każdym razie pozostanę jeszcze chwilę, wszak to po raz ostatni.

— Więc pan myśli, że jestem bardzo winna? krzyknęła szorstko, choć nie powiedziała.

— Pani, nie. Pani nie jest winna... Jestem pani wdzięczny ponad wszelki wyraz. Z mojej strony to by łoby złem. Tylko z mej strony...

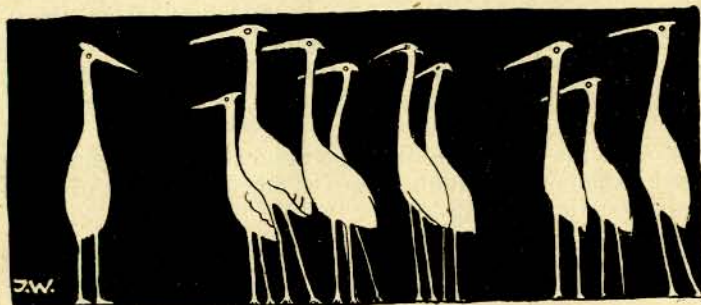
— Dlaczego? spytała. (Przesunęła ręką po twarzy, jak za naszego spotkania w lesie). Oh! widzę, mówiła z dziecinną prostotą. Dla pana to byłoby bardzo złe.

Potem z półśmiechem dodała:

— A przypomina pan sobie? Nazywałam pana szczęśliwym... kiedyś... na początku... Pana, który już tu nigdy nie powinien wrócić!

Zostawiła mnie, siedzącego jeszcze chwilę na krześle pod ekranem, zasluchanego w odgłos jej kroków, giniących w galerji na górze.





JAN LEMANSKI: RYTM ŻYCIA.

I.

Chociaż o sobie samym
Ja sam trzymam skromnie,
Lecz przykro mi, gdy bliźni
Lekce myśli o mnie.

Jak pogodzić JA z NIE-JA?
Trudna rzecz ogromnie.
Darujcie mi, że problem
Ten wam uprzytomnię.

Jeśli bliźnim wesoło —
Myśmy zasmuceni;
A jeżeli *nam* smutno —
W *nich* się radość pieni.

Gdy *my* wołamy światła —
Oni pragną cieni.
Jak żyć? Kto zna to słowo,
Niech mi je wymieni.

RYTM ŻYCIA.

276

Jeśli sprzyja los *jemu* —
Dola *mnie* urzekła;
Jeślim *ja* był kochany —
Jego zawiść piekła:

Jeśli *on* jest jagniątko —
Jam jest bestja wściekła.
Jak rozwiązać ten problem
Wzajemnego piekła?

Bo choć o sobie samym
Ja sam trzymam skromnie,
Lecz gdy bliźni to czynią —
We mnie gniew się pieni.

Jak żyć, byśmy nie byli
Zawsze poważnieni?
Jak żyć, ażeby moje
Z twojem się godziło?

Jak żyć, by przykazanie
W życiu się ziściło:
Nie czyn drugiemu tego,
Co tobie nie miło?

Przed wami rzecz tę stawiam
Trudną i zawiłą.

II.

Każdy swego bliźniego
Klął, lub klnie go ninie,
Każdy był zakochany
W jednej z nim dziewczynie;

Każdy pragnął być przez nią
Kochanym *jedynie*:

Któż się od złorzeczenia
Bliźniemu wywinie?

Dzisiaj *mnie* powiedziała
Dziewczyna, że kocha,
Dziś *on* szaleje z gniewu
I z boleści szłocha.

Jutro jemu wypadnie
Rola jej pieszczocha:
Jutro będę *ja* cierpiał,
A może kłął trocha?

Pojutrze na rzecz *moją*
Serce jej się zmieni:
Pojutrze więc *on* może
Z gniewu się zapieni?

Albo może znów *jego*
Pokocha jedynie:
I może *moja* we łzach
Dusza się rozplynie?

Wtedy mi *ona* może
Znowu szepnie zcicha:
Że tylko do mnie, do mnie
Nie do niego wzdycha?

Ale wtedy *nim* może
Furja zakołycha
I będzie chciał usunąć
Mnie z ziemskiego globu.

Jak żyć? Jeśli ja raj mam:
On mi życzy grobu;
Ja zaś jemu, gdy *on* jest
U fortuny złobu.

Powiedzcie mi, kochani:
Jako żyć nam obu?

III.

Chociaż o sobie samym
Ja sam trzymam skromnie,
Lecz przykro mi, gdy bliźni
Lekce myśli o mnie.

Dziś *jemu* powiedziała
Dziewczyna, że kocha:
Dziś *we mnie* udręczona
Dusza moja szłocha.

I chociaż sobie w płaczu
Ten raj uprzytomnię:
Że ona jutro spojrzy
Na mnie słodziej trocha,

Ale *dziś*, udręczony
Przeklinam ogromnie:
Dzisiaj ona wybrała
Jego na pieszczocha,

Chociaż jutro jej serce
Ku mnie się odmieni,
Ale dziś... Ach, szczęśliwsi,
Którzy *dziś* lubieni.

Chociaż jutro mi swoje
„Kocham“ szepnie cicha,
Ale dziś... Ach, tem jednem
Moja pierś oddycha.

Bodajby jutro zawiść
Mnie najsrożej piekła,

Byleby jeno dzisiaj
„Kocham“ *do mnie* rzekła.

Byle jeno kochała
Dziś mnie najszalenięj:
Nie dbam, chociażby wczoraj
Życzyła mi grobu.

Nad *dziś* niema słodsze-
go
Istnienia sposobu!
Tak... Lecz jeśli to hasło
Jest hasłem nas obu?

Jak żyć? Kto zna odpowiedź,
Niech mi ją wymieni!

IV.

Oto mój bliźni — bestja
Pocziwa ogromnie —
Ukochaną niewiastę
Miał u swego żłobu

Na uwięzi... Przysięgła
Wierność aż do grobu,
Ale zerwała więzy
I przybiegła — do mnie.

Swoje *dziś* wzięłem słodko,
Choć może nieskromnie,
I zostałem człowiekiem
Najszczęśliwszym z globu.

Carpe diem! Żyj dzisiaj!
Tu wam uprzytomnię,
Że to hasło klasyczne
Jest hasłem nas obu.

.

Miałem dziewczę. Bliźniemu
Memu „kocham“ rzekła,
Chociaż *myśmy* do grobu
Byli zaślubieni.

Posiadł ją. Swe rozkoszne
Wziął *dziś* — bestja wściekła.
Chociaż dożgonną miłość
Wczoraj... *mnie* przyrzekła!

.

Carpe diem! Dziś chwyta
Rozkosz najszalenięj,
Chociażbyś jutro poszedł
Na samo dno piekła.

Jeżeli mi kochanka
Dzisiaj „kocham“ rzekła,
Czem jest wczorajsza boleść,
Niech mi kto wymieni?

Tak... Lecz jeśli my obaj
Z jednakową siłą
Pragniemy, by to *dziś* nam
Obu się ziściło?

Jak żyć? Kto z was rozwiązał
Tę sprawę zawiłą?

V.

Jak żyć? Jeśli żyć trybem
Ascety i mnicha,
Po bożemu, jak święci
Pańscy wyzwoleni:

To któż, u Boga, dziewczyn
Cudowność oceni?
Jak żyć, jeżeli miłość
Sercem zakocha?

Czy mamy ją odepchnąć,
Gdyśmy polubieni?
Czy mamy kląć, jeżeli
„Kocham” szepnie cicha?

Czy mamy błogosławić,
Jeśli nas odpycha?
Jak żyć, kto zna odpowiedź,
Niech mi ją wymieni.

Czy żyć lękiem, że kochać
Jest może nieskromnie?
Czy należy się nękać
Tem, że bliźni szlocha?

Czy samej cnoty pragnąć?
Czy i grzechów trocha?
O jakże udręczony
Duch mój jest ogromnie!

Żle, jeżeli dziewczyna
Cudza mnie pokocha;
Żle, jeżeli odpycham
Garnącą się do mnie;

Zle, gdy mękę bliźniego
Sobie uprzytomnię...
O jakże udręczona
Dusza moja szlocha!

Jak żyć? Jeśli jam w raju —
On mi życzy grobu;

Jeżeli on w Edenie —
Ja go zmieść chcę z globu?

Powiedzcie mi, kochani:
Jako żyć nam obu?

VI.

Jeżeli bliźnia żona
Grzesznie i nieskromnie
Urwala się z uwięzi
I przybiegła do mnie:

Czy mam ją z oburzeniem
Ascety i mnicha
Odepchnąć, jeśli miłość
Sercem zakocha?

Czy jeżeli się bliźni
Na mnie z gniewu pieni:
Czy ja go pójść przebłagać
Mam najuniżeniej?

Czy też on swój powinien
Zciszyć gniew przytomnie,
Chociaż jego dziewczyna
Dziś przybiegła *do mnie*?

Jak żyć? Czy mam bliźniego
Wtrącić *ja* do grobu?
Czy też *on* mnie powinien
Z ziemskiego zmieść globu?

Jak żyć, aby się *moje*
Z *twojem* nie kłóciło?
Jak nie czynić bliźniemu
Żle, gdy nam to miło?

Czy żyć *dziś*, choćby wczoraj
 Serce boleść piekła?
 Czy żyć *dziś*, choćby jutro
 Pójść w głębinę piekła?

Czy samej cnoty pragnąć?
 Czy i grzechów trocha?
 O, jakże udręczony
 Duch mój jest ogromnie!

Źle z Bogiem żyć, jak święci
 Pańscy wyzwoleni,
 I źle z szatanem grzechu
 Istnieć najszałeniej.

Jak żyć? Kto zna to słowo,
 Niech mi je wymieni.

VII.

Ażali to jest cnota,
 Czy też zbrodnią piekła,
 Gdy odpycham dziewczynę,
 Która „kocham“ rzekła?

I czy to jest występkiem,
 Że przybiegła do mnie,
 Żem ją objął serdecznie,
 Choć może nieskromnie?

Czy może to jest cnota,
 Jeśli najszałeniej
 Kochamy się, choć wolni,
 Choć nie - poślubieni?

Czy jeżeli bliźniego,
 A nie mnie pokocha,

Czy jest cnotą, czy grzechem
 Doli kłać pieszczocha?

Jeśli z tobą dziewczynę
 Życie raz złączyło:
 Czy ma być ono wam już
 Na zawsze mogiłą?

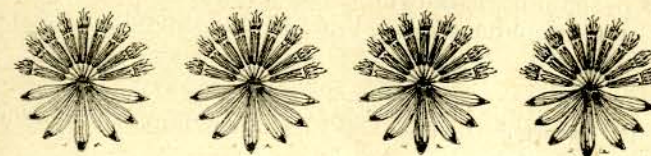
Od cnoty — do występuku,
 Od światła — do cieni,
 Wkrąg się fala życiowa
 Nieustannie mieni.

Cnota i grzech, szczyt — przepaść:
 Dwa bieguny globu;
 Rozkosz i ból — dwa krańce.
 Jak nam żyć bez obu?

Dziś jeżeli rozkosznie
 Pierś twoją oddycha,
 To jutro z tej wyżyny
 Grzech cię w przepaść spycha.

Czy więc po kres od kresu
 Jesteśmy kłębieni,
 Jak fala oceanu,
 Gdy się rozkołysza?

Jak żyć? Kto zna to słowo,
 Niech mi je wymieni.



ZBIGNIEW BRODZKI.

WSPÓŁCZESNA

LIRYKA

FRANCUSKA.



III. ISTOTA SYMBOLIZMU.

Poeta istnieje jasnowidztwem, które mu wskazuje tajemną łączność między linią, dźwiękiem, kształtem a jego własną duszą, a nieskończonością. Łączność ta stanowi istotę symbolicznego na świat patrzenia.

„Poeta mniej dążyć będzie do tego, aby wypowiadać, niż aby poddawać. Poezja zrzeka się swej dawnej mocy retorycznej, którą się przez tak długo posiłkowała. „Elle ne chante plus, elle incante...”

„Symbol jest zakończeniem całego szeregu czynów intelektualnych, które rozpoczynają się przy samym wyrazie, idą przez obraz i metamorfozę, zawierają w sobie emblemat i alegorię. Symbol jest najdoskonalszym i najzupełniejszym upostaciowaniem Idei.“ (*)

„Patrzenie na przedmioty, kiedy obraz znika ze snień, przez nie budzonych, jest śpiewem. Parnasiści ujmowali dany przedmiot całkowicie i ukazywali go; dzięki temu, brak im tajemniczości; odbierają oni umysłem tę pełną

(*) Henri de Regnier — Poètes d'Aujourd'hui. „Mercure de France“ août 1900.

roskoszy radość, która daje im wiarę, że tworzą. Nazwać pewien przedmiot, jest to pozbawić poemat trzech czwartych weselenia, które powstaje ze szczęścia, że się zwolna odgaduje coś ukrytego; poddawać—na tym polega marzenie. W tem jest doskonale użycie tajemniczości, która stanowi symbol; wywoływać zwolna dany przedmiot przez ukazywanie stanu duszy, lub naodwrot, wybrać pewien przedmiot i zeń wylaniać stan duszy za pomocą szeregu odcyfrowywań...” (*)

„Poezja symboliczna dąży do przyodziania idei w formę zmysłową, która nie byłaby tylko tem, lecz, służąc do wyrażenia idei, pozostałaby czemś subiektywnie istniejącem. Idea ze swej strony nie powinna dać się ujrzyć bez analogji zewnętrznych; bo zasadniczą istotą symbolizmu jest nie posuwać się nigdy do koncepcji idei samej w sobie. Co się tyczy zjawisk, to one są tylko zmysłowymi pozorami, przeznaczonemi na to, aby reprezentować łączność wewnętrzną z Ideami pierwotnemi“. (**) Trzy te określenia są wyraźne. Wyraźne co do samowiedzy twórczej symbolizmu. Poeta, nie będąc już bezwiednym głosem natury, staje się jej samowiednym odruchem, jej skupioną wewnętrzną intensywnością. W stosunku do przeszłości symbolizm jest też i negacją; niesie on „porzucenie nauczanych norm, dążenie ku temu, co jest nowem, dziwnem i nawet dziwaczne; pogarda dla anegdoty społecznej, antynaturalizm i t. d.“ (***)

Uwaga została skupioną na symbolu. Symbol jest znakiem ustalającym w czasie i przestrzeni, lecz ustalającym bez zerwania nici łącznej z tajemnicą. Symbol daje klucz do odgadnięcia drugiego człowieka i znalezienia w sobie podobnej mu a odrębnie innej mowy. Samowiedza artysty to ciągle skupione wsłuchiwanie się w ocean szmerów. Przyzwyczajenie się, oswojenie z jedną ich gamą czyni dostrzegalnemi nowe skale tonów, i tak bez końca. Wszelkie poznane już sfery duszy stają się ponieważ zewnętrznymi; istota jej kryje się wciąż w Nieznanem. Pokłady psychiczne zatracają dziś swą nieprzejrzyistość skorupową i odzyskują wzajemność oddziaływującą.

(*) St. Mallarmé—w Ankiecie J. Huret'a. 1891.

(**) J. Moréas—Manifeste—Figaro 18 sept. 1886.

(***) Remy de Gourmont—Livre des Mosques I.

Sfinks.

Wgłębienie się w siebie pozornie odsuwa od wszelkiego nie-ja, a właściwie daje inne bardziej własne jego rozumienie. Na dnie duszy kędyś ukryte wspomnień jezioro; milczące jego wody snują przypominanie o tem, co niegdys, niegdys istniało w marzeniu.

„Je suis ce roi des anciens temps
Dont la cité dort sous la mer
Aux choes sourds des cloches de fer
Qui sonnèrent trop de printemps...
Avec la lune sur mes yeux
Calmes, et l'épée à la main
J'attends luire le lendemain
Qui tracera mon signe aux cieux.“ *)

Ciche wspomnień jezioro, kędy nie dochodzi nawet pamiętanie o tem, co ponad powierzchnią się dzieje, to skarb poety, w nim siła jego odporności i jasnowidztwa. Byle tylko nie trwoga—byle nie pytanie:

„Le vierge, le vivace et le bel aujourd'hui
Va-t-il nous déchirer avec un coup d'aile ivre
Ce lac dur oublié que hante sous le givre
Le transparent glacier des vols qui n'ont pas fui. **)

Idea posiada łączność z barwą, dźwiękiem, wzruszeniem, będąc do pewnego stopnia ich następną fazą. Poeta mówi ruchowi: stój, i odzyskuje całość skali wibrowania, przeinaczającego wrażenia. Tworzy on nowe prawdy psychiczne, prawdy proste, lecz nową złożoną prostotą. Przez to poezja, będąc odruchową i czystą, skupia w sobie całą syntezę. Nieokreśloność nie jest zawadą, lecz pomocą w poznaniu; nie nie płoszy lękliwej trwogi, i człowiek może wtedy odczuć świadomie całą moc swoją.

Poezja symboliczna, pomimo pozornej prostoty swojej, wymaga silnego uwewnętrznienia się, bo przebywa między szczytami. Treść jej, aczkolwiek zjednoczona w paru czystych liniach, obejmuje całe arabeski trudu psychicznego i daje nowe jego przekształcenie. Żywiłowa bezświadomość staje się indywidualnym wiedzeniem. Ciche słowa skupiają najogólniejszą syntezę. Początkowo nowa męka najwyraźniej skupiła w sobie te twórcze niepokoje. Dusza poczuła się, cudnie mówi Al. Samain, wygnanką wśród opustoszałych pałaców—ogrodów.

*) Stuart Merrill—Petits Poèmes d'automne 1895.

**) St. Mallarmé Poésies.

„Mon âme est une infante en robe de parade,
Dont l'exil se reflète, éternel et royal,
Aux grands miroirs déserts d'un vieil Escorial,
Ainsi qu'une galère oubliée en la rade...“ *)

Tęsknota utrzymuje ducha w stanie naprężenia; drżenie jego zatracza odcień lęku, trwogi i przechodzi w rytm cichy, wolny, często zmieniający się, a wiecznie wracający do stałej intensywności.

Dopóki artysta zdobi swój wazon, to żyje w nim to, czem go zdobi; przeżywa wtedy sny cudne. Gdy dzieło ukończone—

„Mon ivresse était morte avec la tache faite—
..... tandisque seul, parmi à jamais la unit sombre,
Je maudissais l'aurore, et je pleurais vers l'ombre“ **)

Drżenie nie milknie.... Rzecz prosta, jest to tylko też obrazujące porównanie; sugiestjonuje ono najbliższej to, co wiemy o dzianiu się wewnętrznem naszym. Wiemy, że mowa nasza — cały ogrom słów z ich sugiestywnością dźwiękową i obrazową, to narzędzie kruche, które tak często paczy i niweczy usiłowania twórcze. A jednak...

„Ah! parler est un peu salir ce que l'on aime!
Mais sans l'élan qui fait que l'on se donne à tous,
Sans ce frémissement de nos nerfs, de nous—mêmes,
Sans ce cris déchirant, au fond, que valons—nous?...“ ***)

Usiłowanie wytworzenia innego porozumiewania się ludzi między sobą celem twórczego poznania i twórczej rokoszy mija wszelkie zwątpienia i zniechęcenia. Powstaje podwójna atmosfera ducha. Siła ciszy, będąca spokojem i pewnością, obok niepokoju, trwogi i goryczy. Liryka francuska, jako głos długiej kultury i refleksyjnej jasności, oddaje ten stan duszy wyraźnie i pewnie. Symboliści pierwsi przenieśli punkt uwagi na to ogólne dzianie się psychiczne li tylko wewnętrzne. Byli oni inicjatorami. I dziś kwestja ta tak samo się przedstawia. Pomimo całej różnicy psychicznej. Symboliści wcześniejsi, znaleźli nowe twórcze zasady, uczynili to, ku czemu szła kultura intelektualno-wzruszeniowa ich epoki. W niej wypowiadział się różnorodny głód chcenia poszczególnych ar-

*) Au Jardin de l'Infante—1893.

**) Henri de Regnier. Le Vase. Les Jeux rustiques et divins 1897.

***) Maurice Magre. Les Lèvres et le Secret 1906.

tystów. Poezją ich wypowiedziało się przeinaczenie psychizmu, i echem poszło ono poprzez inne sfery sztuki.

Samowiedza, będąca koniecznością, wpływająca z wzrostu i przekształcenia się pierwiastku intelektualnego, wyodrębnia współczesną lirykę francuską. Refleksyjna powściągliwość łączy się z bezpośredniością odruchową, muzyczny kompleks dźwięków przywraca idei jej sztukę zmysłową. —

Symbol przeinacza kształt. Usuwa zeń szczegóły, usuwa wyraziste ostre kontury, a bierze ogólne linie, bierze linie ukryte, które zarysowuje kontur ten inny, skupiający wagę każdego kształtu. Symbol stylizuje widzialność. Maeterlinck bierze punkt jeden i weń sugiestjonuje treść, unikając bliższego dojrzenia. Inni czynią to samo. Każdy ma własną prostotę w sobie. Moréas naprz. a Maeterlinck. Moréas z dawnych, rzecz prosta, dni. Smutek, tęsknota, a tak inny nastrój. Maeterlinck spokojny, jednolity, Moréas pełen niepokoju, gorączkowy, śpieszący się...

Symbol prowadzi ku przyrodzie. Przyroda nie jako suma kształtów, lecz jako przedewszystkiem wielka nieskończona całość. Wszechwładza tajemniczej mocy, która przenika wszelkie istnienie, która daje mu odrębną cechę i przeinacza pozornie suchą rzeczywistość, znalazła swe wypowiedzenie w nowej poezji. Pozorne szematy poznikały. Pozorne banalne płytkości pozostały śmieciem bez znaczenia. Poeta odzyskał słuch i słyszy rytm ziemi, lasów, wód i znajduje w nim jedność z rytmem własnej swej odrębnej duszy. Chwila, kiedy kształt niknie w ostrości swej kanciatej, chwila zachodu jest dziś przeważnie najbardziej momentem twórczego zespołu duszy ludzkiej z przyrodą. Elegijny ton często przeważa. Samain—Rodenbach snują wśród mroku nie kończące się marzenia. Późniejsi owładnięci smutkiem, utrzymali młodą świeżość. Paul Fort w przyrodzie jest jak jeden z jej kwiatów, jak jedna z jej fal. Poezja jego, pełna odruchowego życiowego entuzjazmu, pełna woni i szmeru—rozgwaru... Zmartwychwstaje Pan helleński; wody odzyskują wesole boginie, wśród zieleni chichoczą kosmate satyry i gonią płochliwe dryjady. Przyroda odżywa w odczuciu człowieka. Słońce płoszy mgły wschodu i wstrzymuje opary zachodu. W obcowaniu z przyrodą P. Fort wyzbywa się intelektualizmu współczesnego. Inni tego nie mają w sobie. Retté odczuwa las, drzewa—pustynię zieleni, lecz w swem odczuciu wyodrębnia osobiste swe niepokoje. Boschot

w naturze widzi raczej znak dziania się powszechnego. Lacuzon szuka w niej wiedzenia, wołając: „O Nature, permets que ton ciel clair m'enseigne...” Marie Dauguet stoi bliżej bezpośredniości. „Ona szuka w przyrodzie zaspokojenia własnych swych pożądań, własnych swych niepokojów, szuka realizowania się marzenia czysto ludzkiego o szczęściu.“ *)

W przyrodzie dziś najlepszy znak dla wypowiedzenia nieokreślonej mowy, która staje się coraz odrębniejszą i bardziej samowiedzącą. Ona daje nie kończący się szmer i poszum. Ona daje rozkołysanie i zapomnienie o szarzyźnie kształtu. Ona łączy się ze wzrastającą rozlewnością wewnętrznego życia jednostki. Niektórzy symboliści intelektualizowali ją, inni, P. Fort najcudniej, stali się jednym w niej głosem. Inni wzięli z niej posępność i grozę. Verhaeren przeinaczył symbolizowanie, podkreślając halucynacje żądz i niepokoju. Wizyjność stała się ciągiem dalszym symbolizmu... Wizyjność, dar rzucania znaków niespodziewanych, sugiestjonujących całość tego, co zwiemy życiem...

„Il est d'étranges soirs où les fleurs ont une âme,
Où dans l'air énérvé flotte du repentir,
Où sur la vague lente et lourde d'un soupir
Le coeur le plus secret aux lèvres vient mourir...
„Il est de clairs matins, de roses se coiffant,
Où l'âme a des gaités d'eaux vives dans les roches,
Où le coeur est un ciel de Pâques plein de cloches,
Où la chair est sans tache et l'esprit sans reproches... **)

D. Jednostki.

Symbolizm ze wspólnej potrzeby duchowej stworzył nowy kierunek artyzmu. Lecz technienie, którem ta poezja istnieje, to indywidualny samowiedny rzut w nieskończoność, jaką jest treść jednostki. Wyczulenie odczuwalności dało przewagę zmysłowi bezpośredniej intuicji, przemieniło stosunek do bytu i jego zjawiskowej strony. Pierwszem poruszeniem było odsunięcie się od brutalności szczegółów i samotnictwo, czujące li tylko najcichsze, ogólne linie życia. Poezja lekka przeciw poryskom brutalnym, cicha i zamknięta w sobie. Wagę mają tylko szmery; one jedne skupiają na sobie rozmyśl twórczy.

*) Remy de Gourmont. Promenades Littéraires 1906.

**) Al. Samain. Au jardin de l'Infante. 1893.

Pierwsi z szeregu—to żywiołowo niespokojni. Lafor-gue w rozumieniu migotliwości fenomenalizmu i wyczuwaniu innej strony bytu dochodzi do mistrzostwa, ironji i melancholji. Sny o czystej, białej lilji rosną na poznaniu błota i cuchnienia, jakie idą od gnicia, a gniciem jest zmienność zjawiskowej strony bytu. Obcym jasnowidztwu metafizycznemu jest Rimbaud, lecz pełen tego samego niepokoju i podobnych snów. Żar życia. Pęd ruchu. Szał zmysłowego wchłaniania. Rzucenie momentalnych wizji. Halucynacje widmami duszę trwożącymi. Noto-wanie momentów szybko zanikających... Nieco bliżkim był mu mniej gwałtowny i mniej wulkanowy Tristan Corbière...

Ruchowi przeciwstawieniem jest cisza. Szału kontrastem — smętna melancholja. Pierwszym odruchem na zmęczenie szarą prawdą i szematową teraźniejszością—łękliwe proste pragnienie spokoju. Niewyszukanie odzywa się Rodenbach. Nastroje pełne czystego marzenia. Senne mgły zmarłych miast. Półmrok zasłoniętych szczerlnie od słońca pokoi, półcień opustoszałych, przycichłych świątyń. I urok płynącego pod sklepieniem łuki kadzidła. I urok śpiewnych dzwonów wieczornych. I urok smutku. Smutku, dążącego w bezkresy, wypełniającego duszę całą. Młodo zmarły Ephraim Mikhael... Ekspresja uczuciowa była dlań czynem dokonanym. Nad całą jego poezją unosi się smutne przecucie i smutny lęk przed latem...

„Quand le vent automnal sonne le deuil des chênes,
Je sens en moi, non le regret du clair été,
Mais l'ineffable horreur des floraisons prochaines.“ *)

Przecuciem smutny jest Albert Samain. I on ci-cho usnął wśród marzeń o tworzeniu. W nim symbolizm jest najodrębniejszy. Wszystkimi były mu ciche wewnętrzne poruszenia duszy. Śnione marzenia — jedynym istnieniem. Poezja — absorbująca rzeczywistością. Poeta to smutnego marzenia, samotnej tęsknoty i cichej nocy...

„O Nuit magicienne, o douce, o solitaire!“ **)

Głośniejszymi byli ci, którzy mniej samotniczo się odzywali. Poezja ich pełna samowiedzy. Samowiedzy

*) Tristesse de Septembre. Oeuvres 1890.

**) Incantation. Le Chariot d'Or 1901.

tej artystycznej pełen Maeterlinck. Refleksja stała się momentalnym odruchem na wrażenia, odruchem zjednoczonym z momentem pierwszego odczucia wrażenia co do czasu. Liryzm jego jest spokojny, wystylizowany w swych kunsztownie prostych liniach. Poznał on inność świadomości i wiedzenia i to stanowi jego zasadę tworzenia. Krótkie, spokojne zaznaczenie paru punktów inspiruje rozległe, niekończące się wrażenie. Podobnie wiedzącym jest jeden z pierwszych, którzy głosili nowe wierzenia—Vielé-Griffin. Dusza to pełna jasności i słońca. Niepodobna do wielu współczesnych. Cień mu jest uludą.

„... tu sauras des rêves vastes
Si tu sais l'unique loi:
Il n'est pas de nuit sous les astres
Et toute l'ombre est en toi“ *)

Poeta jasnych marzeń. Idąc za ogólnym prądem, i on od miłych snów zbliżył się do silnie tętniących hymnów. Przyroda dlań to ogrom głosów harmonijnie pogodnych i słonecznych. Życie mu jest miłą uludą, która go kołysze i upaja. Vielé-Griffin, zapoznając lęki i trwogi, marzy o upojeniu i rozkoszy. Widzi on w sobie i wkoło siebie technienie czyste i wabiące. Dusza jego to siła słoneczności. Mistrz to w rytmie zmiennym. Melodja wiersza jego ujmuje prostotą i świeżością. Pełno w niej pogodnej harmonji dźwiękowej. Muzycznie miłym jest André Ferdinand Hérold. Pisze on mało. Wyodrębnia go pragnienie opisowe, dążące do naszkicowania paru linjami obrazu, któryby dźwiękowo działał...

Wielostronną jest twórczość Jean Moréas'a. Przeszedł on wielką skalę. Jeden z namiętniejszych głosicieli symbolizmu, dał Moréas cały szereg poezji niezwykle ciekawych i pociągających swą odruchowością i prostotą. Potem pocięgnęła go jasność przezrocza. Stanął na czele „Ecole romane“. I to go jednak nie zadowoliło. Jego „Stances“ to klasycyzm współczesny, skupiający w sobie intensywność spokoju i wyrazu. Jasnością obrazowania i darem skupienia malarsko-muzycznego nieco mu bliższy Valéry, Signoret, Louys—natury różne wielce między sobą. Signoret, pełen siły ekspresyjnej, ozdobił kunsztownie swe wiersze. Niby G. Moreau słowa, cyzelował on klejnotowe ozdoby, przepelniał wiersze swe wyrazistością. Valé-

*) Fleurs du chemin. Poèmes et Poésies 1895.

ry, bardziej jasny w stylu helleńskim, w nielicznych swych utworach posiada spory dar ekspresji plastyczno-muzycznej. Wizje jego posiadają trwałość w swym ruchu. Podobnie jasnymi są krótkie obrazowania P. Louys'a.

Obrazową jest też poezja Laurent Tailhade'a. Zna-ny ze swej działalności publicystycznej, mało znany jako poeta. A poetą jest wielkiej miary. Dziwnie odbija od jego namiętnych polemik panteistyczny ton jego poezji, pełen uroku świetlanej jasności rozlewnej. Ekspresja jego to ukochanie piękna.

„Garde-moi de l'ennui, de la vieillesse immonde;
Garde moi, si jamais l'espoir toucha ton coeur,
O reine qui maintiens et gouverne le monde,
Avant tout, garde—moi de l'infâme laideur!“ *)

Inna grupa poetów w symbolizm włożyła przewagę intelektualizmu refleksyjnego. Gustave Kahn, obcy mistycyzmowi, czyni poezję kunsztem racjonalistycznym. Świat dlań jest sumą sensacji. Poeta tworzy je nowe i niemi operuje. Kahn posiada wielki zasób nowych efektów. Wiersz jego „libre“, rytm odpowiedni do zmienności wrażeń. Racjonalistycznie ujmując poezję René Ghil. Wypowiada ona podług niego prawdy ukryte ludzkości, zasadę jej rozwoju i ruchu. Utworzył on nową teorię dźwiękową, opartą na barwności zgłosek. Teoria ta, jako wysuwająca na plan pierwszy umyślność i kunszt, dla innych poza jej twórcą wartości nie posiada. Wiersze Ghil'a są posępne i mózgowe. Posępnym też jest i Pierre Quillard. I jego poezja to szukanie rozwiązania zagadnienia bytu. Duch błądzi po ziemi, duch, który zna najwyższe słowo i najwyższy ból — radość; na dany przezeń znak wszystko odżywa, odzyskuje swą inną treść. Bohaterstwo jest w tej włóczędze i sens życia w niej.

Intelektualistyczny pierwiastek przeważa też w poezji najbardziej indywidualnego teoretyka symbolizmu — Ch. Morice'a. Inaczej intelektualnym jest Saint-Pol-Roux w swojej prozie lirycznej. Chce on wydobyć dreszcz nowy, chce wydobyć nową prawdę — piękno. Mówi podniosłe, równoważnie; dobiera wyrazy dźwiękowo i barwnie

*) Hymne à Aphrodite. Le Jardin des Rêves 1880.

Trudny jest, niezrozumiały; marzy o odrębnym mówieniu bez baczenia na ustępstwa.

Stuart-Merril to poeta bardziej wyłącznie współczesny. Najbliżej on, może, stoi Mallarmé'go swą muzycznością. Dźwięki są dlań barwą idei. Merrill zna ciche nastroje, lubi chwile jasne, lecz i skupiony czeka, kiedy uderzą do drzwi pięści...

„Entends-tu tous ces poings qui frappent à la porte?“ *)

Życie dla niego jest jednością i to nadaje jego poezji odrębny wyraz. Ten sam rys ogólny poglądu na życie ma Adolphe Retté. Przeszedł on różne fazy. Wiele w nim niepokojącej namiętności i palącego wewnętrznego żaru. Czuje przyrodę blisko. Rytm ma dźwięczny, miękki. Brał udział gorliwy w szerzeniu hasel symbolizmu. Cześć dla Tajemnicy i Mocy przywiodła go przez entuzjizm panteistyczny ku ukorzeniu się u stóp krzyża.

Do pierwszego pokolenia symbolistów należą też dwaj może najwybitniejsi — Verhaeren i Regnier. Silny namiętnościowo Flamand mało wziął z ogólnego wyczulenia cichego, mówił i mówi szorstko, brutalnie, porywczo. Od pocucia żywiołowości przeszedł do pocucia czarnej grozy i wrócił ku wierzeniu w moc życia. Halucynacje jego wizyjne obrazują mocny ostry rytm. Przeczucie jest dlań siłą budującą.

Henri de Regnier — zrównoważony samowiedzą artystą. Pierwsze jego wiersze przejęte są ciszą symbolizmu. Później przejął on spokój skupiony parnasistów i zbliżył się do życiowych pragnień następnego pokolenia. Regnier posiada dźwiękową pełnię formy. Obrazowanie jego sugiestjonuje. Dusza ta o bogatej i różnorodnej skali posiadała spokój, panujący nad cierpieniem i niepokojem. Piękno linji odzyskuje prostotę przezrocza. Symbol staje się szmerem intuicyjnym uczuciowo. Wiersz pełen wyczulenia zmysłowego, należy do najwykwintniejszych.

Dokończenie nastąpi.

*) Les poings à la porte. Les Quatre saisons 1900.



TADEUSZ NALEPIŃSKI: CHRZEST.

(CZĘŚĆ DRUGA). *)

...Ktokolwiek wielbi ciebie dziś, ojczyzno,
kamieniem niechaj ciśnie we mnie—brata,
bom też nie szczędził na twą rolę żyzną,
a na rolników nie żałował bata...
Byłaś mi krwawą wyszczerzoną blizną
i wstyd widziałem, jak nad tobą lata,
lecz gdym chciał targnąć nad tobą pochodnię,
klaskano wkoło: oto śpiewa godnie...

I była pora, gdy rozpękły skały.
Tatry przyjęły wielkiego grzesznika,
w sercu mnie swoim ukryć się nie bały,
bo czuły świętość, co duszę przenika,
kiedy ją ogień rozplómił śmiały.
Niesamowita pieśń wybuchła dzika,
chmurom ją czarnym śpiewałem, błękitom,
i lodowatym w grotach stalaktytom:

*) Część pierwsza: o Polsce strof czterdzieści i cztery.
Napisana w marcu r. 1908 w Petersburgu, drukowana w październiku tegoż roku w miesięczniku krakowskim „Krytyce“.

Znacie wy serce Polski granitowe?...
Na czarnych stawach wygwieżdzone runy
i srebrnych turni księżycową mowę?
Znacie wy białe osmętków całuny,
gdy bładzą woje, sny śniąc pogrobowe,
a w grotach warczą wygasłe pioruny
i gania wichry poprzez martwe piargi — —
Znacie wy Polski granitowej skargi?...
.

Doliną jedną potok rwie drapieżny;
wyblakłe olchy splotły nad nim dłonie;
gonitwie fal zazdrości żwir wybrzeżny,
lecz gna je, żegna i żenie na tonie...
W piennym potoku smutek mieszka śnieżny,
a śnieg ten łka i błyskawice chłonie,
w sny nieprześnione wdławia wieczną trwogę...
Tak ją kochałem... Dziś kochać nie mogę.

Jeżeli wracam do ciebie — ty piano,
której syk każdy znam na górskim zlebie,
to jeno przeto, że jutrznię różną
ujrzałem dziś na grzbiecie twym. Więc ciebie,
która mi duszę powracasz splukaną
i zwierciedlącą twarz w rozwartem niebie —
ciebie dziś kocham, wiecznie żywa falo,
zanim mnie nowe rozbrzaski zapalą...

I jeśli tęsknię za wonią tych włosów,
które noc jedną były mi wezgłowiem —
wiem, że twa dusza wonniejsza od wrzosów,
wiem, żeś ty rdzawem na wiosnę listowiem,
żeś najcudniejszym ze strzelistych kłosów,
choć z ziemi tryskasz zalanej ołowiem...
Ja wiem, żeś boska—jam widział, żeś szczodra,
gdy całowałem piersi twe i biodra...

Twym ustom ileż wróżyłem potęgi,
gdy w jedną wspólną kryłem cię mogiłę!

Gasnęły słońca tęczobarwne kręgi,
 gdy w konsze ust twych odwilżyłem siłę...
 Malarz wykrasi twarz twą w złote wstęgi,
 poeta w strofy cię wplecie zawile,
 rzeźbiarz w marmury zaklnie duszy bladość —
 ja ci nic nie dam... Dam ci swoją radość.

Wyniosłem ciebie ponad dymne zgliszczu
 i puhar blasków piłem z tobą do dna —
 dałem ci napój, co słońce oczyszcza,
 bom czytał z oczu, żeś ty słońca godna —
 dałem ci napój, przez który się ziszcza
 w człowieku-bogu Agni siła rodna,
 i gasząc żaru płomienne wytryski —
 byłem — o powiedz — tęsknot twoich blizki?...

Wiem, że od ciebie mam to drugie życie...
 W poranek jasny naszego rozstania
 spokojny byłem. Nie tak po błękicie
 obłoków lotnych stado wiatr przegania,
 nie tak ukojnie szemrze zdroj w granicie,
 nie tak po halach biała mgła się slania,
 jako pogodne były oczy moje,
 gdy w czarne skrzydła wrośliśmy — my dwoje.

Zębate głązy były nam jak puchu
 kobierzec szary, wyścielony zdradnie —
 szeptały wargi: przyjdź, o dobry duchu,
 dłoń podaj—weź—tęsknotę ukój na dnie...
 Tak nad przepaścią trwaliśmy bez ruchu,
 patrząc, jak mrok się na doliny kładnie,
 a tedy, kończąc sen swój przebogaty,
 pod stopy twe cisnąłem sine kwiaty...

Kwiaty moje... hej, wy dzwonne
 kwiaty wonne —
 w was ukoję me przedzgonne
 żądze płonne...

Kwiaty sine... hej, wy korne
 łyżki nieszporne —
 w was spowinę me przestworne
 sny wieczorne!...

Kwiaty woje... hej — wy dumne
 woje tłumne—
 wami zbroję moją trumnę
 w sny piorunne!...

Kwiaty moje — — —

Stał się cud... Martwe ożyły kielichy
 i mową szklanych dzwoneczków zabrzękły,
 i usłyszałem płacz serdeczny, cichy,
 i czujny słuch mój zastygł wylekły...
 Bom nagle ujrzał zbrodni czyn tak lichy,
 że piersi skalne me wstydem rozpękły
 i zrozumiałem ze łkania twych piersi,
 żeśmy nad własną wyobraźnię szczerzy...

Odeszłaś... smutkiem żywiona łodyga,
 odeszłaś — kwiecie bez cierni, samotny,
 jak poszum gaju, gdy pierzcha — zastyga — —
 We mnie się nagle ogień zżagwił lotny,
 ujrzałem — staje słoneczna kwadryga,
 ja cię na stopień prowadzę pożątny —
 rumaki-sępy rwą złocistym szlakiem —
 ja w świat cię puszczam, wolnym znacząc ptakiem.

Leć, ptaku mój... w błękitach niech zawiśnie
 promienny hymn — tęsknoty twojej lot!
 Niech błyskawicą dusza twa rozbłyśnie,
 niech stargnie szczęście, zanim ryknie grzmot!
 Bo tu już żadna trawka nie kołyśnie
 nad bólem twym... Tu w rękę trzymać młot
 sądzono mi — w samotną walę kielnię,
 i dzieło tworzę z głązów — nieśmiertelnie...

Lecz gdy powrócisz, zorzą snów pijana,
 lecz gdy zastukasz do mej kuźni wrót —
 dam ci chleb czerstwy i wody ze dzbana,
 a potem ust twych będę sycić głód...
 Tysiącem skier rozwidnię noc do rana,
 w mirjady gwiazd mych wpręgę ciebie—cud!
 Kochanko moja — patrz — my z tobą gwiazdni —
 Brunhildo, spojrzysz — my z tobą najezdni...

.

I znowu was w doliny białe głązy
 nad zamarłego stawu wiodę toń...
 Świętą ta woda — bądzcie wy bez skazy,
 nie mąćcie jej, bo skamienieje dłoń...
 Rozchylcie wargi w pacierza wyrazy,
 ujrzyjcie bóstwo i módlcie się doń — — —
 Na stawu dnie drży słońce w aksamicie —
 tam topiel — sen — a sen wasz — nowe życie.

Kwitnie mech czarny na cmentarnej bieli,
 tajemne znaki kreśląc na olbrzymach;
 z jasnego wirchu czasem kamień strzeli
 i pęka w słońcu śnieg po wielu zimach —
 Z was, choć omszałych, któż się dziś ośmieli
 dalekiej wiosny tchnienia szukać w dymach
 lub w czarnych zgłiszczach Polski rozpękniętej?
 Och, wierzcie, bracia — staw to bardzo święty...

Jedni z was wyspę umarłych Bökliną
 wyciosać może na stawie zapagną —
 inni z modlitwą świętą muezzina
 na spiektych wargach nad wodą się nagną —
 inni — niesyte plemię Ugolina —
 szalonym nurkiem stargną kryształ w bagno...
 nikt że się w marmur martwy nie skamieni,
 wy, bracia moi, mlekiem lwów karmieni?...

Więc was nie będę chrzcil krwią gołębicy,
 kaskadą śmiechu duszy nie omamię —
 oskrzydłę was jak orłów — niewolnicy —
 dłoniom dam miecze, których nic nie złamię,
 od prometejskiej oderwę strażnicy
 chrzęszczące stałą, spancernione ramię —
 u stawu was, skrzydlatą stawię wartę —
 dusze dam jasne, serce dam otwarte.

— Pędźcie orły wy moje, — stado dzikich gołębi,
 bożych ptaków łaskawych — płoszcie za turnie, za bory
 Hufcu waszego lotem morze mgieł się wykłębi,
 ryknie wicher po piargach, pęką lodowców kory,
 trysną snopy wulkanów z mroźnych granitu głębi,
 człowiek królewski wyżre, wstaną przedwieczne stwo-
 Słońce pogrzebanych pożoga pyłem Tatry wyrdzawi — [ry,
 gońcie, orły wy moje!... hufiec wasz we krwi się
 [pławi...

Orlic u gniazda płacz was dumnych nie roztkliwi,
 szpony wbijcie w ich pierś, serca ciśnijcie w staw —
 Miłość niosła wam śmierć — teraz wy życiem żywi,
 zbyjcie żałości chrztu, zbyjcie spróchniałych praw!
 Wicherze halny mój — dmij!... pędźcie pioruny-myśliwi,
 szczyty rozszczepcie do den — ty, burzo, grzyzy dław!...
 Na rumowisko Tatr para struchlałych rogaczy
 z kniei wypadła — hej!... zorza ta cóż znaczy?...

— Tyś to jest głaz czerwonym wichrem smagan,
 tyś na ruinach gorejącym krzakiem,
 całuny mroków pruje twój jatagan,
 orla każdego znaczysz ty Polakiem —
 piersi ze stali rozsada huragan,
 noc skronie twoje gwiazdnym świetli makiem —
 poznaję ciebie, kwiatów sinych pani,
 tęczę ci rzucam, tron królewski na niej...

Iżem cię w bólu wielkim słał na boje,
 w słońc twych kołysce usypiając żądze —
 witam cię—strojną w siedmiobarwną zbroję —
 za twym mirażem dzień ostatni błądzę...
 Oto się modłę — przyjdź królestwo twoje,
 przyjdźcie, skrzydlate na gruzach wiciądzę —
 witaj mi, jasna kwiatów moich pani —
 witajcie, woje — pancerni, świetlani — —

Jesteś mi, Polsko, jak to wojsko białe
 piramid śnieżnych w jaśnieniu miesiąca —
 ach, niewinnością życie twe zuchwałę,
 jako ta piana skałoburcza, wrząca — —
 Rapsody czynów twoich wklęte w skałę
 bard ślepy śpiewa i łzy z arfy strąca —
 a tyś jest, Polsko, jak dziecię sieroce...
 Któż z mroków twych wytargnie słońca moce?...

Lecz wiem, co miłość..., Rycerze wicherni!
 Powiem ci, Polsko, w czym to twoje szczęście—
 a jeśli jeszcze nie wierzycie, wierni —
 o pierś stalową strzaskajcie swe pięści!...
 Wy, coście byli wiecznie miłosierni,
 w grotach dusz swoich szaleństwa nie więź—
 [cie —
*jeśli kochacie — w pył wykruszcicie Tatry —
 wulkan miłości — czynem Kleopatry!*

Wam to powiadam — którzyście boleśni,
 iż pióra orle wasze, lecz nie loty...
 Żałobnie wyje duch wasz, głodny pieśni,
 coby syciła żarzewie tęsknoty
 w zamkach kryształnych... Ale mu się nie śni
 pochód zagłady przez zgłiszczę, wykroty —
*o bracia moi — miecz wasz obosieczny,
 przecz duch wasz ufny, a nigdy zaprzeczny?*

O łez — o krwawych łez oszczędźcie oczom,
 wy, na wądołnych karczowiskach żeńce!
 Spójrzcie na ręce — ręce we krwi broczą,
 spójrzcie na czoła — wyryto: straceńce...
 Nie!.. są szarańcze, co wam lazur mroczą,
 jest wyrok zmierzchu, co was topi w męce—
*jeszcze żyjecie — żyjecie jak karli,
 lecz przyjdzie jutro — i rzecze: umarli.*

Więc bracia moi — bądźcie bezimienni —
 na ostrej grani wystrzelone słupy,
 wiecznie królewscy, a przenigdy lenni...
*Bo ci szczęśliwi, co własne skorupy
 rozmiękli z wichrem, i siedmioramienni
 na czyny ojców patrzą jak na lupy,
 wydarte wichrom — lecz ich nie chcą dzielić,
 ni płeśń wystawiać, ani się anielić...*

Żyć!... o nie bądźcie wy strażą wawelską —
 siermiężna śmierć z kosami w garści luta...
 Żyć!... to rozumcie: chore Polski cielsko,
 ale w niem żyje tęga polska buta,
 i wszystkim burzom ona przyjacielską
 będzie, bo w ogniach fantazji wykuta!...
*Żyć — nie w popiołach, i żyć — nie z popiołów,
 żyć — to mieć serce, lecz serce, jak olów...*

A tedy o tym zdroju Polski myślę,
 którego rączy prąd nie zna łozyska —
 biegiem przeznaczeń żwiry gna po Wiśle,
 szemrze i warczy, pianę rwie i pryska —
 Nie wiem, czy słońce, czyli mrok go wyśle,
 lecz słyszę, jako drżą już usypiska...
*Syn Polski nowej skruszy stary Synaj —
 żagwią przemówi: Jestem!... więc poczynaj...*

Jestem!... zmurszały wszystkie testamenta.

Jestem!... rozwarte na oścież wierzeje —

Jestem!... jak zwiędły liść sypią się pęta —

Jestem — to znaczy, że otwieram dzieje...

Dusza ocean — niemowląt oczęta —

pył ruin — ziarno, w którym bóg szaleje —

to jestem ja — tęczy sen człowieka —

Jam ten na stawu dnie — jam ten, co czeka...

.....

Dziś, gdy marzenie moje dawno szczęło,

na górkim żlebie oniemiałym siadam —

widzę, żeś złudną tylko ty, a nie złą

boginką była — ja grzeszny, jak Adam...

Przeto cię stroję w pokutnicze gieżło,

na skronie wianek postrzępiony wkładam —

jakże mi smutno — kwiatów sinych pani —

że tylko strzep ten mogę ci nieść w dani...

.....

Nad Giewontem gwiazda lśni szalona,

Noc złotemi łzami gwiazd wytryska —

Jeszcze pieśń ta moja nieskończona —

Jeszcze w mrokach wulkan jakiś łyska...

W sercu rdzawi się jesień, myśl kona —

ach, gdzie mego dziecięctwa kołyska?...

z jakich łzy moje zmyte ołtarzy?...

.....

Nad Giewontem gwiazda jedna jarzy.

Tatry, jesień 1908.



TADEUSZ MICIŃSKI.

NIETOTA.

POWIEŚĆ Z TAJEMNEJ KSIĘGI TATR.

VIII. W kuźni pod Ornakiem.

Stary Orel, Sabała, kosił siano przy księżycu —
wszyscy jego domowi też się uwijają — baba i synowie.

Wnuczek ciągnie Sabałę za cухę.

-- Dziadku, napowiedzcie nam bajkę.

— He he-cekaj! w samą kwilę trafieś, kiedy muse
odpykać habrykę we fajce. —

Jak na ten raz idzie Wieszcza Mara. Usłyszawszy,
o co Jędrus molestuje, i ona przyłącza swą prośbę, której
nigdy nie prociwil się Sabała.

(Mówi Baśń, usiadłszy na kopie; synowie i maleńka,
nizka jego żona z wolna zasluchują się, wsparci na gra-
biach i kosiskach).

— S dąwna n nas bęła ta gwara między ludziami o zaśnionem wojsku, co królowi ma skądesi na pomoc wyjechać. —

Ba, przecie bęł taki kowál w Kościeliskach, co im chodził konie kuć.

Przysęł raz wojak do niego, jużci padá: „my haw nie prec w Ornaku stoimy, pudzies nam konie kuć“. Narobił moc podków i poseł z ónym wojakiem, a hań w Ornaku popod skałę, kryjome miejsce, dziura do ziemie. Wleśli do tej piwnice, godna tego bęła przestroność, toż to moc wojska na koniak stoi, sytko zaśnione w siodłak, głowy poschylane na piersi, pojeden siedzi przy koniu na ziemi, powódki dzierży w ręcak i spi...

Kowál od strachu nie nie pedział, ino chodzi wartko od konia do konia, podkuł sytkie; pieniędzy mu dali, co mu sie patrzyło; toż to poseł — i zawarło sie za nim.

A i Franek Kostka ze Siziny, znałek go, dobry gazda, kowala we wsi ku niemu nie było, to mi tyż gadał, jako raz poseł, cy z chałupy do pola wyźreć, cy kany, a tu widzi na trzynastu białych koniak jakisi wojaków. Jużci pyta: a to panowie zprecka?

„Ni“ — pojadam, — „my tutejsi, my jest wojsko polskie, nie prec ztela w Babigórcie stoime, kie pora przyńdzie królowi swemu na pomoc pudziemy“. —

To zaś pote, świnią (przepytujem) tego gazdy kansi sie straciła, jużci posła za niom dziwka, zaśła do ty dziury, kany wojacy spali, każdy przy swoim koniu spi schylony, ta zaś świnią popod żłoby je ten obrok, co go ko nie ozsypały.

Dziwka skrzyknęła na niom: „ksy, ksy!“

Toż to jeden wojak głowe dźwignon: co to burniawe robi — ba, wirny mu zara nakazuje:

„Śpij, śpij — jesce nie cos!“ —

Jużci dziwka od strachu uciekła, a za niom ino klupło —

zawarła sie dziura. —

Sabała wziął kosę do ręki.

Bierzta sie do roboty — haj — przy miesiacku kielo telo musim umęczyć te zioła boże pachnące, aby się stały w naszym chlewisku zywoyciem, krwią Pana Jezusową. —

Koszą, Wieszcza Mara spogląda w tę stronę, gdzie Ornak niewidzialny —

widzi, że idą dwaj wędrowcy —

zdumiewa się — bo jakaś wieczność unosi się nad ich głowami, jeden z nich patrzy wzwyż i przedsię, drugi głowę ma pochyloną, jakby przygnieciony winą jakąś — wśród jodeł zniknęli. Wieszcza Mara podchodzi do płotu i patrzy tam w ciemność.

Inni koszą. Sabała spogląda w księżyc, i wtedy okazują się jego wielkie, nieruchome, ślepe oczy —

kosę kładzie, nadziewa na się torbę, do rąk gęslicę, a za kołnierz ciupagę — aby nie myśleli, że on już tak nie widzi.

ŻENA. A ty haw kany idzies, zmiłuj sie Boga, stary! i nie dowidzisz.

SYNEK. Musi być po sadło świstaka, łamie Ojeyka po kościach. Hej, syćkie świstaki wybiere on w Tatrach. Chocia ślepy je — do kazdej jamy świstaka trafi — taki ma cuch!

ŻENA. Robota je, sam pilis, a ty w góry idzies, jak by jakowy pan z Warsiawy na wycieckę.

SABAŁA. Bądźta zdrowi.

(Odchodzi).

ŻENA. Pewno znowu ze trzy tyżnie będzie przepadał.

(Ozwał się i Gandara, co hipkał po otawie):

— Ej podeżrałem ja, ka on zagrzebał wielgi skarb — modlił się nad nim —

wiecie przy Kościeliskik wrotak, hań pod Pysną — na wirsku skały — na prawą rękę tsa sie brać!

SYNOWIE. Idźwa.

ŻENA. A nie hańba wam — a jak was Matka Ludzimirska skarże?! Ojca okradać keecie — i tak stary, grób mu blizki—pod nogami trzęsacemi!!

SYNOWIE. Nie nam haw zagrzebał te złote dudki — ba, innym — mówi, że narodowi potrzebne — jakisim tym bajdom wierzy o zaśnionem wojsku—ze to im tsa bendzie na umundurowanie, czy co?

GANDARA. Który z was je Hadwokat? niech mi napise list do śmierci, ino wartko!

SYN I. A gdzie ona żywie, jaki jej hadres?

GANDARA. Jak ci dam w kark ciupagą — zaraz będziesz wiedział, gdzie ona mieska. Trzeba mi śmierci, ino wartko.

(W synach budzi się chciwość, mówią szeptem już, aby ich obca Pani nie dosłyszała — jeden Gandara nie da się uciszyć i wykrzykuje głośno).

SYN II. No, Wojtusi, powiedziecie nas — a psed śmiercią najecie się kiełbasy i kukielkę wam damy.

GANDARA. A kto mi odda moje hole, moje grunta? krowy? cemuście me nie bronili, osiusty jedne, jak mi Tatry zabrali? wszyśko było moje.

SYN I. Będziemy li mieć dudki — damy ci na marki, napises do Cysorza—do Miłościwszego Pana.

GANDARA. A i wina musicie mi dać, com go pił w Nietalii, jak byłem w Weronii z pułkiem Princ Preis von Fridlik este regiment — rozumiecie po niemiecku?— Syćkie panny kochały się we mnie—

SYN I. Idźmy po śmierć —

ki djabli nadali—chciałem pedzieć, po dudki.

No, bierzcie płachte —

a ty, Matko, waruj sie gadać sąsiadkom, bo hareśt niehaw —

ani nawet nie idź pod figurę jojcyc, bo tylko zepsujesz babskiem modleniem. Waruj, patrz!

(Odchodzą).

Gandara tańcząc zaczyna nucić piosenkę, synowie uderzają go po karku, aby milcząc szedł. Matka zasiada na kopie siana.

— Mój Ty Jezu — niekze ten Gandara i na mnie sprowadzi śmierć — hej, grają tam gęślicki Sabałowe, grają! —

(Słychać muzykę w dali.

Wieszczka Mara idzie ścieżyną tam, gdzie przemknęli wędrowcy—i rozmyśla, żeby się to jej tak zdarzyło znaleźć jamę do Zaśnionej Duszy narodu — i Wiernemu powiedzieć: Już czas“.

(Wychodzi z za skał św. Kowal z rozbitem krwawem czołem—okryty łańcuchami.

Widać jaskinię, niby więzienie, zawarte kratą.

On trzyma palec na ustach—surowo patrzy ku Niewiadomemu, wreszcie odwraca się i, widząc, że tylko potok mówi do Niego, on mówi z nim).

Strumieniu mroczny, który płyniesz wśród lasu zielonej Tragiedji jodeł —

iskrzac srebrnym węzarem — —

przebudź nas w tem więzieniu szarem!

Ty, upadek swój z wysokich granitowych wrót

w niziny ludzkich zadżumionych marem,

okupujesz walką Wolności, witą z nieśmiertelnych

Ty jęczysz jak rozbity ręką Boga kruz! [burz!

Ty, Wieczny Wędrowniku! zamknij nurt w mej ciem-

[nej pustyni,

aż zgłębi się w toń Antarktycznego Morza,

gdzie krew Tatrzańskich olbrzymów

z podziemnych niewiadomych źródeł

stanie się falą światła — skrzydlatych gromem Che-

[rubimów!

Mszy twojej słucha Zaśnione Wojsko! Twe modlitwy

do słońca—to dawnych bachant szalejący śpiew— —

Nadchodzi wiew

od Morza i z dalekiej Litwy...

Hej—niby w Zaduszkach—duchy wirują nad Tobą,
śmigają gwiazd procami i w Mamutowe idą kolum-
[nady.

gdzie nad Żiniczów olbrzymich żalobą
iskrzą pochodnie i Chrystus dawne już utracą władzę!
Jezu! jesteśmy w starej indyjskiej świątyni —
nad nami Majestat Duszy — i Uniwersytet najwięksi
[szy: Boleść-Mistrzyni!

Zawory żelazne łamię z mych przysięg sarkofagu,
bo wiedz: Grób Polski ja znalazłem pustym!
gdzie Ona? mów—prorokuj, zwyciężony Magu —
lub się kłoń—przed Archaniołem Krzywoustym!
lekarzu dusz, chodź za mną! w ciemnym jodeł zamy-
[ślonych borze

świecile chata! nad magicznym zwierciadłem wód —
tam Wieszcza umiera bólem Polski. Mróz załśnił
[jej łoże

i coraz groźniejszą jest jej Wawrzyńcowa krata —
i został przy niej tylko już umarłych lud.
Żywioty mroku! unieście me serce na krzyżu
i jej wielkie, jak księżyc, łzy,
w to Morze, które wszystko już wie —
i objawia tysiącem dzwonów ze spiżu,
że jest błogosławiwszy, niż Wisznu z Purany Bha-
[gawata,
olbrzyszy, niżli Jazń—i świętszy, niżli Chrystusowe
[dnie:

Niedosiężonych szczytów ból,
mówiący strumieniem ludzkich nędz — w tę Noc ta-
[jemniczą...

(Św. Kowal podchodzi do krzyża kamiennego wśród
dwojga jodeł — wokoło śniegi; mroczne lasy, niby nie-
dźwiedzie wielkie, co się układały; tumany przeświecają
jakiś dziwny z za góry złotem jaśnieniem — to zamek
mistycznego nieba! Mrok wszedł—olbrzymiem skrzydłem
zagasił złote jaśnienia — w krwawych otchłaniach widać
daleką Polskę).

NIEWIADOME GŁOSY MÓWIĄ: Szatan stał w mroku
tak wielkiej, jak ból ziemi, [na mogile—
głębokiej, jak żądza ziemi,
zamilkłej, jak przekleństwo Wiecznego po siedem-
[kroć Matce swej ziemi.

Księżyc wziął maskę krwawolicą!
umarły księżyc do Mszy zaprasza nekrofile.
Jodły podobne na bagnach dzwonnicom.
Różany blask wschodzi ponad wodami,
(wspomnienia miłości z Płanetnicą!)
w kępy tych drzew wlatuje złotem Dantejskimi
[odami...

Mrok huczy. Powódź wzbiera Wisłę niby Nile
boskie i groźne. Rzeka wspieniona cicho powoli
płyń—jak dni człowiecze, przeżyte w niewoli:
wśród miasta zadżumionych —
wśród tłumu żyjącego kłamstwem i wrzawą —
nad rynsztokami łez wyciśniętych
w Ojczyźnie Targowicz, o której wspomnieć had-
[ko—i aż śmiertelnie, Panie Jezu, boli!

Mrok huczy—błyska jednym ślepiem krwawo
nad oświetlonymi grobami w Zaduszkach—Warszawą!
Hej, wiatr! powiał z Łomnicy, Lodowego stoku,
z piekielnych, huczących Gnozą, głębin Tatr —
z dolin, gdzie żyje królowa, porzucona smoku —
z lasów jedn groźnych.

Tam, jak Alchemik, szuka w jeziorach lazuru,
z węzową świecą idzie wśród burzliwej nocy,
wzywając — Duszy. Broni mu Król Duch — Anioł
[gwiazdzistych nadmocy,

Konrad-guślarz zakłęcia czyni nad miljonami;
i Ten z pod Maciejowic bohater ludowy—
Mędrzy i legjony w febrze z wysp Antylskich!
męczennicy i wieszczki idący na Sybir tundrami —
i w Ostrej Bramie Bogarodzica...

GŁOS... szyszcząca wiecznie — nad Wielkim Moczarem—
[i wami!

(Widać gotyckie katedry wirchów, chmury—i wśród piorunowych retort Szatana Trismegistę).

TRISMEGISTA. Moje łzy zanurzyły się w pięć Ran
[Polski —

w pod Zawratem jeziora. Jam obłąkany z miłości
szedł na nieobjęte, w niebie płomieniące góry —
lecz sposępniałem, jako ten Staw Zmarzły!
otrząsałem pióra swoje, jako chmury,
na skałach! w otchłań leciałem Bytu ciemnym wo-

[dospadem —

miażdżonej Tęczy buddyjskim uśmiechem,
aż wreszcie ujrzałem wolności głębinę:

Jam ból zabił i jam zabił mych wierzeń wielką moją
[winę!

Hej — śmierć we mnie rozpasana — łun marznięcych
[zmora!

W nocy na koniu olbrzymim lecę, jak mrok mógł,
[gdzie piorun wiruje!

Hej—jam jest Ziemi królem!—jam jest Władem!
hej, księżyc magicznem winem hydrę truje siedmio-
— moje serce! [głową
hej, hej! wśród planet mieszkalnych, ni w kręgu
[zatracenia,

niema żebraka tak lichego,
jako ja!—wchodzę do boru tajemniczego —
tam widma stoją i króle wśród płomieni —
tam kował mi pancerz wykuje —

(Uderza gromem w drzwi kuźni —błyska—widać św. Kowala,
kującego wielki Dzwon).

NIEWIADOME GŁOSY *mówią*: Meteor upadł z nieba wy-
sokiego, niedosiężnego,
łśni u stóp Trismegisty — który, jak Memnon z lodu
[nagi,
zamarzły—wsparty na księżycu wśród jedlanych cieni.
KOWAL (śpiewa): Na przełęczy wysokiej, gdzie w dole
z turmalinu błyszczy Chrystusowy staw —

ujrzałem ciemne podwoje: krwaw się—krwaw,
żelazo, na anielską zbroję.

(Bije młotem, iskry lecą jakby komeciane chwosty).

TRISMEGISTA. Zmagam się z gwiazdą potępień —
[wśród zamarzłych

mroków z duszą mą na wieki chorą —
mówię do Niej: zbaw!
żadam ja od niej, by wróciła z tych przestrzeni,
gdzie padła już...

NIEWIADOME GŁOSY (nuca): O, przyjdź! — jak Wene-
[cjanka po złotych wschodach na Ca d'oro —
jak Burza tropikalna żądz mych —
jak bóstwo Atlantydy!

TRISMEGISTA. Wszakże was, gwiazdy, nikt tak na
głębinach nie kochał! [ziemi i w oceanu
nikt, jak ja teraz nie warjował —i nie szlochał!

(po chwili)

Ostrołuki gotyckich szyb —
migotliwy znaku Trismegisty —
substancje księżycowych law—trupie księgi Bytu!
wyjawcie—Kto jest z moim Duchem? żem jest wieczny!
i u tych lodowych murów Piekła — nie ziemi pod-
[rzutek?!

NIEWIADOME GŁOSY z góry. Ziemia wpatrzona w wiecz-
[ność, z tym odruchem
Matki Izidy, gdy kona jej Syn Światła—i napróżno
pokarm Drogi Mlecznej wyciska mu ze sutek.
Mileczy zła otchłań... napływają chmury —
gwiazdy mu gasną zdradziecko...

TRISMEGISTA. Płomienie jasne! jam zawarł z nicością
[przymierzel
Mroku! ten krzyż wciąż świeci—czart komunję bierze—
gryzie drzew korę—śpiewa hymn ponury —
sto oczu błyska we mnie: Ezechjela zwierzę—!
Tej nocy zgłębiam całe odwieczne życia zło!

tej nocy Moc moja niechaj się przesili!

jam Konrad! lecz już odziany w upiora gzőł!

Hej, lotu! kruku pędź—jakby już ludzie nie żyli...

KOWAL. Ktoś ty jest? czemu tutaj wchodzisz Mroku
[wiekuistny—zły?]

TRISMEGISTA. Stań się mną — ! jam Twój wieczny!
[jam jest Ty!]

KOWAL. Dam im klucz do mych sklepień — otworzę
[im wrota —

wielki Pan są oni—a na dworze kurniawa i słota!

Niebo rozwarte na wieki — w otehlaniach śpi mocno
[nasz król Gad —

możecie się przyjrzeć.

TRISMEGISTA. Czyj ten uwięziony świat?
(kował milczy).

TRISMEGISTA. Widzę mury krasne—mury Ewangelji—
muzyka gra pięknie na skrzypcach z piszczeli.

KOWAL. W kazamatach więzień chciał zwalczyć
[Monstrum,
które niszczy wiosenny siew Królestwa Bożego.

TRISMEGISTA. Medei miłość wwiodła go do ciemnicy!
to są me syny—bez wiar—buntownicy.

Zawarczał bęben na kaźń:
z mrocznych cel wyciągają bladych jak fosforescen-
[cje robotników — —

bój szponów przeciwko bagnetom. W złowrogi Dom
[Warjatów

zmienia się więzienie — mózg szarpie strach! jęk za
kłatwy—łamanie kości kolbami! — [życiem

— — — — —
Zamilkły mury warszawskiego Kolizeum!

— — — — —

W workach niosą ciała złodziei i Promethidionów.
Nikt nie chce uciekać.

KOWAL. Zjawia się w masce niewiadomy kat —

zrywa im schodki z pod nóg —

zawisli w konwulsjach sprężeni — Maska upadła —

Wzdrygnął się Gienerał obcy — coś mówią!

(Widać scenę kaźni — General do kata pod szubienicą).

GIENERAL. Dla wrażenia Książę wieszaleś rewolucjo-
niechaj zajedzie mój powóz—nie, inny! [nistów?
Tu jest pięćset rubli. Należy przyjąć—lecz nie mam
[koperty.

Wrażenie to warte, Książę, dobrze zgranych wistów.

Spotkamy się w salonie, jeśli nas nie zmoże

Japońja, bunt chłopskie i stare zatrute obroże.

O was—zapomniał Pan Bóg, jak o podwodnym
statku w głębinach Bizerty.

Dzwon huczy w mroku—jak Pan niewolników.

(Kował zamyka wrota—scena kaźni znika).

TRISMEGISTA. Mój kruk mówi—mój kruk zgadł!

mrok dokoła—we mnie mrok,

który już światów księdza Piotra zatopił otehlanie.

Wiśla się krwawi od księżyca, niby leżący, zdeptany
[grom.

Wzdrygam się, patrząc na ten dwór, skapany w księ-
[życowem winie.

tam wśród topól brzmi nokturn —

nie winograd, lecz krew toczy się z tych murów —

tam bez maski Książę — uroczne ma oczy — gra na
[fortepianie —

gra pięknie ten Kat. Ręce w pierścieniach ma star-
[te od sznurów.

(Widać salon i Trasmegistę-Księcia grającego).

KSIAŻĘ-KAT. Hej, zbudował mi Pan Jezus piękny
[dom —

na dole moje dwie leżą miłości—i tli się gromnica—

Mogilę im kopię i mym głuchym łzom.

Za światem ja mam wielkie królestwo księżyca— —

tylko kaftan warjata czemu wisi na ścianie —
 czemu słyhać za oknem wściekłych jędz ujadanie?
 Kruku mój, co masz lice astralnej Chimery
 i tętent Burzy!
 ty krzyże wiedzą mroków ómij —
 jam się znalazł: Ja przedwieczny i wiedzący Żmij.
 Z trumien dwojga ja zrobiłem mocną zbroję—
 weselę się, że nie żyją już dwie królewienki moje —
 W karacenie czarnej jadę na turniej z wielkim wro-
 [giem —
 modliłem się kiedyś przed nim — nazywałem świata
 [carem.

Św. KOWAL. (wstaje od Krzyża). Konradzie —
 ta pieśń jest nieczłowiecza! — to jest pieśń szatańska!
 ty olbrzymim głazem zgmiotłeś kwiecie — tam mo-
 [dlitwa Pańska!

TRISMEGISTA. Ha ha! Konrad jestem, co nie mdleje
 [i nie klęczy w prochu już!
 wkoło chmury wirujące —
 jam jest w mrokach lazuruwe Oko Burz!
 Z gór tych krzyże już strąciłem
 i uderzam w średniowieczny Mogił Dzwon.

(Bije młotem. Dzwon poczyną grać głucho, jakby mnó-
 stwo cmentarzy pod ziemią jęczało).

Czytam napis na nim straszny, co potrzasa gór opoką:

Vivos plango! mortuos voco!

Tam u ognistych bram ktoś Nieznany
 miesza mi potępionej wiary dawnej ton!

NIEZNANE GŁOSY (daleko).

Jedzie witeź, ubroczony krwi wężowej złą posoką — —

TRISMEGISTA. Ty ziemio Chrobrego — spocznij pod
 [Oceanu

ciemną huczącą nawłoką!
 Ja trwam — umarłych przywołuję —
 gromy na skałach potwornych zagadnień hartuję!
 Kruku, leć!
 na oknie Magnat z obwiązaną głową —
 w swych ręku trzyma nic—a na jej krańcach gwiaz-
 [dę biegunową!

KSIAŻE-KAT (wizja oblędu, stojąca na oknie). Nie
 [przyjdą umarli —
 dozorczy za mną drzwi mocno przywarli!

(Kowal bije młotem w rozjarzoną sztabę).

TRISMEGISTA. Wisła się krwawi od księżyca, jak że-
 [lazną, rozpaloną sztangą
 ściśnięte moje serce!

(Uderza gromem w dzwon).

Fulgura frango!

Idę po wzgórzach, ciężko wlokąc trumny —
 idę ani pokorny—ani w świetle tłumnej —
 sam — ot, wściekły upiór, co nachleptał z kołysiek
 [krwi!

idę — pełzam jak Echidna — to wskakuję lwi!
 Na wysoką—hej! wieżycę! w głębiny milczenia —
 aż stanę na najgłębszej Górze!

(Wchodzi Rycerz, Zawisza Czarny, z ogromnemi nie-
 znanego ptaka skrzydłami, z gwiazdą na hełmie).

ZAWISZA CZARNY. Czemu ten dzwon niespojony?
 [czemu te pęknięcia nowe?
 wspomnij nasz układ — My budujem kościół — wielki
 [po nieba posowę!
 jeśli zdradzisz —

TRISMEGISTA. Puściecie mnie wolnego, jak Judasza —

KOWAL. Nie wiem, co większe: Golgota — czy Oj-
 [czyzna nasza.

ZAWISZA CZARNY. Nie mędrkuj! złe wykuwasz
[słońca!
nam trzeba Morza i Tatr: początku i [końca!

(Trismegista zachmurzył skrzydłami swemi.)

Kto zacz jest?

KOWAL. Wędrowiec jako i ja wieczny!

ZAWISZA CZARNY. Więc tyś nie człek jest prosty?

KOWAL. Prosty — i słoneczny.

ZAWISZA CZARNY. Lecz ten — jakby księga o Marno-
[ści króla Salomona —
potęga ta czy służy Polsce? wyklęta? zgaszona?!

(dobywa miecz, lecz hamując się mówi).

My tam niedaleko w Ornaku stoimy —
Pójdiesz nam konie kuć.

(Kowal biorąc naręcz podków, idzie za nim. Odchodzą —
robi się mrok. Przez szpary wpadają świty).

TRISMEGISTA. Na cóż im nowy tej mogiły dzwon? —
[wiem, że bezemnie go nie dźwigną!]

Już wałęsają się posągi — ich wędówek wirch
zbluźniony krzyżem! dość tych synagog i kirch!
W mój Zamek Mroku wezmę dzwon — tam burze
[zamigną

gromami, jakich świat nie znał!

(Dźwiga Dzwon i niesie. Dzwon głucho jęczy. Tris-
megista idzie — rozsuwają się horyzonty).

Podemną węzlar wijących się rzecznych lazurów —
lasy miedzianych jodeł —

(jak w antycznym chórze mowa Rapsodu)

Obłok potworny spienia się, zrywając obroże —
a tam — dalekie Antarktyczne Morze!

Hej, góry płyną — rozstąpiły się nagle żyzne okolice,

„pozłacane pszenicą, posrebrzane żytem“!

Zamykam Bramę Jutrzni z przeraźliwym zgrzytem!

(Huk zamykanych bram — zlewających się ze sobą pioru-
nów — błyskawice nagle oplatają Trismegistę, jak węże
Laokoona. On idzie, niby posąg Mrocznej Nieugaszonej
Energji, i wznosi dzwon wyżej — wciąż wyżej nad głową —
mając zamiar rzucenia go w otchłań!...).

Tworzyło się wielkie życie w Turowym Rogu. Zbie-
rali się ludzie wieczorami i radzili.

Dniem rozlegały się huki młotów parowych pod zie-
mią, wywożono, jak zwykle, węgiel, naftę, grafit i ame-
tysty.

Lecz zarazem wiązano się tam w jakąś dziwną zmo-
wę, niby Templarjuszów polskich — mających na celu od-
rodzić Ojczyznę.

Słowacki tak pisał o Matce swej, jak oni czuli
o Polsce:

błogosławieństwa Twego miałem blaski
gwiazdom podobne i cień w puszczach Gazy!...
nieraz ówiek rdzawy u podróźnej laski
rył imię Twoje... Tam, gdzie same głązy
i słychać tylko fal libijskich wrzaski,
Eschyłowymi budzone wyrazy,
echa słyszały Twoje święte imię —
i słyszał je on laurów las, co drzymie!

Kto widział ludzi tych, najdziwniejszych w Polsce,
ten na twarzy ich mógł spostrzec wyraz, jaki tylko znał
Mickiewicz u tych, co szli z Napoleonem w roku 1812:

„Urodzony w niewoli, okuty w powiciu,
Ja tylko jedną taką wiosnę miałem w życiu“.

Pieśniarz żydowski z Antyllów, gdzie dawał koncerty, przyjechał tu do Polski, którą uważał za drugą, a raczej już jedyną Palestynę; widząc mnóstwo zwierząt, jakich od potopu nie widziała ziemia i typy ludzi niezwykłych—chciał to nazwać zwierzyńcem, a mówiąc fatalnie po polsku, nazwał Zwierzeniem: „u państwa takie jest Zwierzenie“!

Lecz wymówiło się mu dobrze: z najtajniejszych tęsknot zwierzały się dusze, w mrokach tych więzień wiekowych rósł kwiat prometejański i napelniał się mocą czarowną, zupełnej życia przemiany.

Niebyło tu jednak żadnych koturnów i bawili się czasem sobą, jakby w Arce Noego, tem wysypaniem się wszystkich gatunków szczytnego cudactwa na małym płaskowyżu góry Ararat czyli Turowego Rogu — — —

Jedynym, który patrzył na wszystkich tu ludzi, jako na karykatury, był książę Hubert. Cały Turów Róg uważał za jedną wielką komedję i teraz, siedząc po południu wraz z panem Melanchtoniusem, czynił wycieczki przeciw Romantyzmowi.

Pani Ameńska leżała na werandzie, będąc na prawach kuracji, bo jakaś trawiła ją męka płucna, z nią zaś byli inni, dbający o jej ciszę i humor — wtem rozległ się wystrzał, potem krzyk!

Wybiegli — oczywiście prócz Księcia, który pokazywał jakiś perwersyjny japoński rysunek p. Melanchtoniusowi — ujrzeni, jak pan jakiś leży omdlony bez ruchu, zaś profesor Rufin Zawirro, znakomity z Marburga przyrodnik, chłop ogromnej struktury, rzuciwszy flintę, podnosi go i cuci z tklivością matki.

— Nowa historia Rufinka — rzekł Zmierzchoświt — słuchałem z okna, alem nie domyślił się, że do tego aż dojdzie!

Profesor Rufin nosi, jak wiadomo, zawsze przy sobie rewolwer, kastet, a jeśli mu pozwala czas wyjść na polowanie i choćby na dwór, bierze ze sobą sztucer lub w najmniejszym razie dubeltówkę.

I teraz tak było.

Tamten pan, który chciał przejść kładkę, był to dawny kolega uniwersytecki Rucfia, i zbliżał się do niego, machając radośnie rękoma.

Ale profesor, mimo, że jest zagorzały myśliwy, bez sześciu par okularów nie widzi nic! Krzyknął więc w pasji: „Tędy się do Turowego Rogu nie przechodzi — albo będę strzelał“!

Kolega dawny wziął to za żart. Profesor, nie namysłając się dłużej, wystrzelił. Miał widać wadę sercową kolega, bo chwycił się za pierś — i zemdlął.

Żał było patrzeć na profesora Zawirre, jak zbladły, chmurny, ratował swą ofiarę.

Nakoniec tamten pan zdecydował się podnieść powieki, z przerażeniem wejrzał na swego druha, który go już czule tłamsił w swych niedźwiedzych uściskach.

Zakończyło się na podwieczorku pysznym: maliny i miód z leśnych pasiek, oraz kawa, ser luptowski i ciasta wypieku Księżniczki Zolimy, która w tem przy najmniej nie była antyseksualną, szepnął Książę, patrząc na złoto-szafranowe baby. Wreszcie profesor prosił wszystkich do swego laboratorium, gdzie badał wpływ warunków psychicznych na chore zwierzęta. Wszystkim pacjentom: małpom, królikom, świnkom morskim i psom zastrzykiwał suchotnicze zarazki, lecz jednych trzymał na słońcu, gładził i czule pielęgnował — inne hodował w mrocznej klatce, i choć na tym samym pokarmie, ale krzyczał na nie, lub choćby tylko obchodził się obojętnie: śmiertelność była tam przerażająca. Osobniki, traktowane czule i słonecznie, przychodziły mimo zarazków do zdrowia.

Profesor był naturą niepohamowaną.

Będąc jeszcze małym pacholęciem, wyskoczył z wieży płockiej katedry, trzymając się parasola, aby wypróbować powietrzną jazdę.

Podnieśli z bruku biedactwo, mające pogruchothane ręce i nogi. Choć wrócił do zdrowia, nigdy nie byli

pewni w domu, czy Rufcio kogoś nie zabije, lub sam nie zatrue się własnym preparatem. Po latach wyrósł na sławę europejską, stał się wielkim uczonym, którego zazdrościli sobie uniwersytety. Bardzo kochał mędrca Zmierzchoświta, a formalnie drżał przed panią Marą, jego natura żywiołowa, nie hamująca się nigdy, żeby kogoś nie ustrzelić, mający miljon zawsze pojedynków i awantur — ten wybuchający materiał torpedowy, który nienawidził i kochał równie gorąco — był jedynie hamowany w momentach najwściekłej furji tem słowem, jakoś dziwnie wypowiedzanem przez Mędrca Zmierzchoświta, który ile lubił, tyle bawił się panem Rufinem:

Ona!

Poważny mastodontowy profesor, w którym tak wiele było dziecka — nagle wsrubowywał się w siebie, łagodniał i zmykał przez okno. Wogóle ten sposób ulatniania był stosowany również przez Mistrza Teodoryka, kiedy uciekał przed natręctwem dam, lornetujących go, jako narodową chwałę.

Profesor Zawirro w zachości swej ratował wszystkich, ilekroć komu zdarzyła się ciężka choroba; nie cofał się nigdy przed zrobieniem kilkuset mil do Turowego Rogu, aby tam zastosować swe medyczne, jak mawiał, owezarstwo; najlepszy z ludzi na uczucie był tu jednak ciągłym wichrzycielem. Pani Mara mówiła, że należy go, jak ruskiego kata, trzymać w kajdanach, przyprowadziwszy do chorego rozkuć, a potem znowu kajdany nałożyć.

Nienawidził mnóstwo osób, implicity zaś nieznosił pana Melanchtoniusa, który nigdy tego tego nie domyślał się i często wciągał go do rozprawy naukowej.

Ach, wszyscy oni — ileż tworzyli ciągłych burz!!

Mędrzec Zmierzchoświt zawsze był łagodny w rzeczach powszednich lub najwyższych — lecz i on miewał swoje głębokie, nie dające się zagoić już, zadry.

Gdyby określić można było współczesnych nam przez ideały średnich wieków, byłto Bajard: życie swe założył na dwóch ideach — nie czynić nikomu bólu — bronić zawsze źródeł nieugiętej, niepożytej prawdy.

To jednak wprowadzało go w nieuniknione konflikty, gdy np. musiał powstać przeciw baronowi de Mangro, który, otrzymawszy w posiadanie całe Tatry i mając wielkie wpływy we wszystkich 3 stolicach kraju, związał się z kliką, obejmującą Kasyno Zabaw.

Walka była nierówna. Po tamtej stronie użycie wszelkiej broni, osobiwie wysypywanie kosztów ze skorpionami i węzami kalumnji, przekup świadków w sądzie — ferowanie wyroków na raucikach u szefów — po tej zaś, wypowiedzenie się potężnym spiżem czynu: wzbudzenia Polski Lechickiej i zamilknięcie tak zupełne, jakby nie tylko Kasyna Zabaw, warszawskich bazgraczy i barona de Mangra, ale nawet Moczaru potargowickiego i ludzi w nim żyjących nie było.

Mędrzec Zmierzchoświt jest jednym z ostatnich przedstawicieli tych w Polsce, którzy uważają się jednocześnie za przynależnego Litwy i Polski. Bałtyk i Tatry połączył tak w swej duszy, iż zdało się mu, że morze północy rozbija swe fale o groźne fortece naszych gór. Między tymi dwoma kresami Polski widział naród, jakby jedną duszę, nie rozdzielał Żydów ni Litwinów, Polaków ni Rusinów, ponad rasowemi waśniami, nad partyjnymi obrachunkami — jeden wielki Znicz wszystkich miał oświecać, rozgrzewać i wskazywać wszystkim drogę: była to Mickiewiczowska idea wolności wewnętrznej, wiedząca do rozerwania olbrzymich krat życia zewnętrznego; cicha o promieniach złotej jutrzni miłość wyżynna; pęd tragicznie rozkwitającej wznwyż jodły w lińjach surowych i cudownych, jakby kościół Wiecznej Prawdy.

Spędziwszy młodość na Sybirze, widział go tuż przylegającym do Tatr: nieodzowną dziedzinę Polski, nabytą wiekowemi wędrówkami narodu, po światło zorzy. Na nie-szczęście Mędrca Zmierzchoświta, był on przykut do

gór; większość ludzi w Turowym Rogu byli skazańcami, utrzymującymi się tylko w łańcuchach górskiego powietrza, za kratami żywicznych świerkowych borów. Choroba wyżłabiała Turowczykom płuca, wkradając się nieraz podstępnie i podle w ich wielkie umysły, mącąc jeziora nieposzlakowanego kryształu charakterów. Nerwowi, skłonni do melancholji, a z drugiej strony—do niezem nieuzasadnionego optymizmu, równie jak do niedających się pokonać uprzedzeń, nie mówiąc o ekstazach lub ekstrawagancji miłosnej.

Nie rozumiał tego nikt lepiej niż Mędrzec Zmierchoświt; z Panem Melanchtoniusem i Panią Marą przewartościli życie, ludzkie wiary, obłędy, religje i pokuszenia.

Zostało im na dnie potwornego młyna analizy kilka wielkich, prostych głazów prawd, jak te monolity, z których niegdyś lud Egiptu wybudował system kosmiczny w kształcie piramidy.

Na tle najgłębszych mrocznych puszczy uczucia, wiecznie gotowy był Zmierchoświt świecić dobrocią i uśmiechać się jakimś kresom nadludzkim, ponad niziną mrocznością...

Życie jego istotne najlepiej symbolizuje powieść Tołstoj: „Czem ludzie żyją?“ podobna do opowiadania Sabały „o Śmierci“. Raz Anioł użalił się nad matką i nie chciał jej zabrać dwojga dzieci, przeto Bóg rozkazał mu zapoznać się z ziemią i z warunkami, w jakich ludzie realnie żyć muszą—stracił go z nieba.

Idzie szwec drogą. Chłopi go zawiedli — ktoś mu wypłacił tylko 20 kop. Na głód w chałupie—cóż to znaczy? chyba tylko warto, aby przepić! Wtem widzi na drodze golutki człowiek! Okrył go kataną, prowadzi do chałupy. Baba poczuła wódkę, widzi gołego, wpada odrazu we wściekłość.

Ostatecznie, Michał Anioł staje się czeladnikiem, robi doskonałe buty. Cichy jest, a wszystko zawsze umie.

Raz przyjechał magnat, każąc zrobić obuwie wspaniałe na podziw — Michajło zrobił mu proste pantofle do

trumny. Niedługo przyszedł ktoś w imieniu żony magnata, wymagając, aby już nie robili butów, bo pan umarł.

Kiedy już Anioł poznał, że miłość duchowa jest tem, co ludzi utrzymuje w ich okropnej nędzy istnienia—wraca do nieba.

Została po nim tylko jasność w chacie.....

Takim niezwykłym stworem w chacie ubogiej—wprawdzie nie szyjącym butów, lecz wznoszącym świątyniowe budowle z myśli, głazów i z jodeł — był Mędrzec Zmierchoświt, którego życia realnego dotknąć nie wolno kronikarzowi. Nie wybaczyłoby tego osobiście pan Melanchtonius, który jest Wielkim Instygatarjuszem Turowego Rogu -- nie zniósłby, zapiorunowałby na zgon, żeby cośkolwiek, choćby przez pietyzm, Muza mitów i historii Herodotowej miała zwulgaryzować.—Prócz tych osób, które kronikarz al fresco maluje, ileż postaci z demo i z arystokracji o najdziwniejszej historii rodów, z tyraństwem matek, co wspaniałe kwiaty swych cór wydawały za męża przeżytych magnatom, złośliwym i tępym, a które potem same rodziły synów z jakimś postrzałem w głowie, choć uważały ich za ósmy cud!

Matka barona Rabsztyńskiego była taką ofiarą tyranji swojej macierzy, takim udatnym okazem zaszczerpnego daltonizmu magnackiego. Będąc najgorętszą patryjotką, nie miała bynajmniej wrażenia, że syn tej Polsce służy źle. Wiemy, że Mangro wykazał się dokumentami za jej zaginionego syna; służyła mu ślepo, wierzyła w niego niezachwianie. Wykształcona aż po wielkie obszary Sejencji wraz z narzeczem chińsko-hebrajskiem dla studjów nad szczepem żydowskim, zamieszkującym w Chinach, a mającym pono własne tradycje biblijne, z językiem arabskim dla przekonania mahometańskich rabich o bóstwie Chrystusa—pani Marszałkowa nie rozumiała nic ze spraw Wielkiej Przyrody, z dziejów spokrewnionej z Aniołami i z małpami Ludzkości. Jej cudna, choć stara twarz mumji, jej wspaniała heraldyczna postać tkwiła wśród życia ta-

kich ludzi, którzy byli jeno monstrami, nieraz po pachy zanurzonymi w nikczemność.

Dom jej z XVII wieku zachowany cały. W nim mieszkaly tylko dwie staruszki — pani Rabsztyńska, chodząca w czarnym habicie, i siostra jej — w gorscie długim, jak u hiszpańskich duen Velasqueza, cała w stylu pradawnym.

Pokoje były też szczególne: na suszę jest pokój o szarych zasłonach, smutnych i jakaś fontanna szemrze łzawo nastroja. Na deszcz zaś jest pokój o tonach brzasku, zasłony i draperje rozweselające, obrazy miłe. Pokój morski z zielonemi i szafirowemi obiciami. Jadalnia z cedrowego drzewa, przywiezionego aż — z Libanu, z takimi loggiami, jak w Wieczerzach malarzy włoskich.

Pani Rabsztyńska żyje Biblją i ta jej nadaje styl patryjarchalny; siostra jej — przesycona epoką krynolin z przed Lamartine'a — ma życie swe zanotowane w najdrobniejszym szczególe na albumach i w minjaturach. Miała czterech mężów, każdy z nich zapisał się najtkliwiej.

I właśnie kiedy Zolima była raz z nią sama, siostra pani Rabsztyńskiej rzecze:

— Widzisz, ja już blizka zgonu — pokażę ci wszystko!... — Rozmowa oczywiście po francusku, bo już jak poszło na czułość, nie można mówić inaczej! i wydobywa starowinka ze skrytki minjaturę pana, jeszcze innego, niż czterej mężowie — i listy, przewiązane włosami.

— Cet homme que jamais j'aimais...

Zolima aż się zarumieniła... I wierz teraz najtkliwszym uczuciom w albumie po czterech mężach!...

Ks. Bazyljanin dziwił się wielu rzeczom, ale nie mógł sobie wyrobić ani opinji, ani tembardziej zająć miejsca czynnego wśród aktorów ludzkiej i nadludzkiej dramy Turowego Rogu.

Tak więc, chodząc z Wieszczką Marą i Ks. Wisznu wśród przepysznych gąszczy tej puszczy z jodeł, świer-

ków, cedrów i limbowych drzew, nad zagłębiami ucichających fjordów morza Pratatr, nad turmalinowemi głębinami, które kołysały dumne żaglowce, napelnione snami ich serc — wsłuchiwał się, jak w grocie nadmorskiej Zolima, chodząc wokoło, mruklawie zgłębiała statystykę, a zamilknawszy, komponowała referat, wysyłany co tydzień do powag uczonych *Harward University* w Ameryce. Zazdrościł sobie niegdyś tego wielkiego szczęścia, że Turów Róg istnieje, lecz teraz czuł zbyt straszny malsztremowy wir serca. Myślał o Arjamanie, który teren walki jeszcze zwiedzał, należąc do walczących, choć nie wiadomo po czyjej stronie; myślał o Magu Litworze, który już wrócił z nad ujścia Leny do Lodowatego morza, gdzie pono wznosi się założona przez wygnańców świątynia. Wtem ujrzał Bazyljanin w płaszczu wędrowniczym idącego człowieka, o twarzy żmujdzkiego boga, w którym poznał właśnie Zmierzchoświta, Mędrca z wysp tatrzańskich jezior — tych, co graniczyły już ze Sybirem. Człowiek ten ciemniał w słońcu wielką, bujnie uwłosioną głową, z jasnymi, bławatkowemi, choć jak stal lodowatemi oczyma i witał towarzystwo. Ale najwyższy podziw, obawę i nawet krzyk przerażenia wzbudził wilk skrwawiony i ziejący, z ochłapem krwawej piany u pyska: Mędrzec niósł zwierza na rękę i pod płaszczem tulił. Sytuacja stała się niemożliwą, każda próba złożenia wilka na ziemię, napotykała się z groźnem warczeniem.

Myśl Zolimy, aby to zwierzę, tak przywiązane do Arjamana, które wściekło się z tęsknoty za nim nieobecnym, stracić znienacka w morze, była o tyle nieurzęczywistnialna, że wilk na widok wody jeżył się, drżał, piana mu ciekła jeszcze obfitsza, a zęby jeszcze bliżej dotykały twarzy Zmierzchoświta. Rozstrzygnęła ten rebus dopiero Ks. Wisznu, przypomniawszy o kuli magicznej z kryształu, którą nosił przy sobie niegdyś Arjaman, nim zniknął z Turowego Rogu — i podstawila wilkowi przed oczy. Okropnym, nieruchomiejącym wzrokiem wilk jął się wpatrywać, wreszcie stężał.

Zmierchoświt złożył go wtedy w grocie Zolimy, która wilka koniecznie chciała mieć, mówiąc, że właśnie już zaczyna się nudzić, zaś ta nowa sytuacja utrzyma jej wolę w skupieniu.

Ks. Bazyljanin założył łańcuch i uwiązał przy drzewie, wilk był w zupełnej katalepsji.

Wyszli. Ks. Bazyljanin z niezwykle zajęciem słuchał mocnych, jak ze spiżu wykutych, tajemnic religijnych, dowodzeń Zmierchoświta, który miał umysł szeroki jak Tolstoj, lecz bez zajątrzeń doktryny innej, niż Wszechmiłość.

Mówili o Polsce, której gazda przynosi do chlewa jadło konstytucji, nie dlatego, żeby ją kochał, ale że ją chce utuczyć na Wielkanoc. Partja polska, najgłówniejsza dziś, nie stawia żadnej polityki, t. j. nie buduje ani jak Bismark, ani jak Cavour. Na to, aby rządzić, niszczy, tępi i prześladuje wszelkie wyżyny w narodzie. Paktuje z kłamstwem świadomem i z ciemnotą nieświadomą. Teraz jest dopiero właściwy, bo od wnętrza rozbiór Polski.

Odpada Litwa i Białoruś, my sami jesteśmy podzieleni na różne parcele i serwituty. Wprawdzie, pociesza się Zmierchoświt, Litwa musi odpaść na to, aby ze chciała pokochać nanowo przyszlą właściwą Polskę.

Jedyna drapieżna potęga w Europie — Prusy upadły ideowo z chwilą zupełnie nowego wojowania Japończyków którzy umieją wroga miłować i umierają ze satysfakcji nie tylko z „obowiązku“.

Ta rozmowa wśród gąszczy wielkich tulipanowych drzew i mangowców, okrytych purpurą, gdzie kołysały się małpki — była dla Bazyljanina tak przejmująca, jak biesiada z Książęcym Duchem tej puszczy.

I w zachodzącego słońca promieniach myśli swe nakreślił na korze brzozy białej; drzewo to jakby fontanna wystrzeliło w mroku jodłowego lasu.

„Tak mi jest cudnie tu!
jakkdyby raj zeszedł na chwilę do ziemi!
Niebo turkusmi świeci bezbrzeżnemi..
Zachodzi za borem słońce, jak w Micie
indyjskim — ziemia i niebo mówią: już wiemy! już
I tylko dusze nieukojne, [wiecie!
przybite do ziemi,—wstają—i Mocem Groźnym wy-
[taczają wojnę,
w której polegna!...

Tak mi jest cudnie tu!...

W tem rozpojeniu wszystkich władz szczęścia siedł w tem słońcu, tak umiędacem chronić dęby, jodły i walisnerje Turowego Rogu, zarówno jak i zwierzęta przedpotopowe, spożywające niezmierną ilość traw, dobroczynstwem słońca znowu się odradzających.

Zbierała Xięźniczka Wisznu krokusy i fijołki, zbierał Bazyljanin ślady jej stóp drobnych, obutych w białe kierpce i całował.

Była ona Savitri—promieniem tych miejsc.

Kochały ją żarłoczne aligatory i Iguanodonty, olbrzymie jak gotyckie wieże — nadewszystko zaś krążące i przeplatujące z drzewa na drzewo, migotliwe tęczowe rajskie ptaki, lub białe pawie ze złotemi zbrzeżami ogonów—nad głową X. Wisznu leciały, śpiewając, na ile ich stać było donośnie, choć nie pięknie.

Była li to miłość stworzenia do X. Wisznu?

Lecz czemu, gdy nad morzem nachyliła się, zbierając wodę w swe cudne artystyczne ręce o linjach wielu ukrytych nieszczęść, które zdążył wyczytać Mag—czemu Morze modrym mrokiem przepojone, nagle błyskało fosforycznym wirem, do szaleństwa upajającym? Nadbrzeżne brązowe wzgórza, okryte lasami sosn i złotawymi kwiatuskami janowca, wznosiły się nad modrocarnym, groźnym, niezmierzonym żywiołem, ponurym jak duch Wallenroda.

Najbliższym swym Zmierchoświt jał opowiadać dzieje życia Maga Litwora. Mag, dotykając kwiatów wysmukłej dziewanny, niepodległy czasom, zbudowany jakby z adiantu Platońskiego, z płomieniami wulkanizujących oczu, miał tak nieprzeparty czar, że wyszeptał, wpatrując się w niego, Bazyłjanin:—Oto, któremu by los winien oddać wszystkie Ofiry szczęścia! Lecz obłok patryotycznego bólu zachmurzył dusze słuchaczy. Rozwarły się przed nimi dantejskie obrazy minionej Polski.

Z głębokim smutkiem, występującym, jak lawy z pęknięć wulkanu, opowiadał Mędrzec Zmierchoświt.

—W Mickiewicza trzeciej części Dziadów wywożą młodych uczniów kibitkami na Sybir. Jeden z chłopców, mających już kajdany na ręku, krzyknął:—Jeszcze Polska nie zginęła!—Mickiewicz nazywa go Janczewskim, lecz właściwie był to młodzieńczy Jan Witoldowicz, założyciel stowarzyszenia w Krożach pod nazwą Czarnych Braci. Zapędzono ich na wieczne czasy do bataljonu pod Uralem i ostrzyżono w żołdacy.

Mijały dziesiątki lat, nikt z rodziny nie mógł i nie miał prawa dowiedzieć się o losach dziecka.

Humboldt, kiedy zakończył podróż po Sybirze, wracając przez Petersburg, był przedstawiony na dworze. Zapytał go Car Mikołaj:—Cóż najciekawszego widziałeś pan w mojej monarchji?—Wielki uczony odrzekł:—Podziwiam naturalne bogactwa kraju, lecz mnie najwięcej zdumiewa wykształcenie rosyjskich żołnierzy.—Zdumiał się Car Mikołaj, który nie oczekiwał zgoła takiej odpowiedzi. Zapytał więc niedowierzająco:—Cóż to znaczy?—

—Wiedziałem, że jest wojsko dzielne, ale wyobraź, Najjaśniejszy Monarcho, moje zdziwienie, gdy zastałem raz deńszczyka, szorującego rondle—a przed nim rozłożone dzieła naukowe. Z rozmowy przekonałem się, że wiadome są mu i jego towarzyszący nie tylko wielkie odkrycia przyrodnicze, lecz że posiada gruntowną wiedzę, jakiejby mógł pozazdrościć niejeden rozgłośny uczony. Nadto mają własne zbiory geologiczne, oraz tworzą nowe poglądy na

formację tamtejszych skał. Osobiście byłem pochlebiony: entuzjazmowali się moim Kosmosem.

—Nazwiska ich?—spytał Car Mikołaj.

—Nie znam ich nazwisk, rzekł Humboldt, tam noszą żołnierze tylko numery.—

Wielki i zacny człowiek, chcąc ratować skazańców, odgadł trafnie, że wymienić polskie pochodzenie byłoby dla nich wyrokiem na bramie Piekła: tu niema nadziei!

Car Mikołaj kazał natychmiast podane numery uczyńnić oficerami z prawem awansów.

Tak, dzięki Humboldtowi, Jan i towarzysze jego stali się wolnymi ludźmi.

Witoldowicz nadzwyczaj prędko został pułkownikiem, choć świeżą była tradycja powstania r. 31. Na stepach bezbrzeżnych Chiwy i Buchary, wiodąc oddziały zdobywcze, chciał zaciągnąć Rosję najdalej na Wschód, aby nastąpiło zderzenie Rosji z Anglią, jedyną wówczas potęgą, zdolną przeciwstawić się rosyjskiej.—Rozjeżdżając po dawnym władztwie Dżyngishana, z oddziałem kawalerji, poznał dokładnie Wschód—z emirami złączyły go tajemne, głęboko przyjazne stosunki. Skarby, które od nich i od Hanów otrzymywał, rozdał tamtejszym mieszkańcom, aby zdobyć ich zaufanie i nie wzbudzać niechęci wśród ludu, że cudzoziemcy wywożą bogactwa z ich kraju.

Ludy wschodnie uznały go za proroka, który ma wybawić Wschód. Przebrany za kupca wschodniego, musiał raz pojechać z Kaukazu do Petersburga.—

Mędrzec Zmierchoświt zamilkł.

Wieszczka Mara wydobyla listy Tomasza Zana i jąla odczytywać tę straszną opowieść.

Jan spędził na rozmowie noc z dwoma czarno ubranymi panami w hotelu; szpieg służący nie dopuszczał nikogo na korytarz, słyszano głośnie, do krzyku dochodzącą rozmowę, potem wyjechali w nocy karetą do ministerstwa wojny, nad ranem wrócili wszyscy trzej; na koniec zaś wyszli tylko dwaj tajemniczy nieznajomi. Służący w południe zrobił alarm; Zan i towarzysze chcieli ujrzyć niebosz-

czyka: zastali drzwi opieczętowane, zamknięte na kłódki, przy nich zaś straż.

Pogrzeb odbył się bez zawiadomienia; uczestniczyć w nim nie mógł nikt z przyjaciół Jana.

Historja tego nieznanego ogółowi, istotnego i zapewne, jedyne Wallenroda, stała się przedmiotem badań dla stosunków angielsko-rosyjskich w Afganistanie.*)

Nieocenione zbiory i rękopisy, które wiozł ze sobą, posiadał towarzysz dawny z wygnania, druh jego blizki i dotąd ma je zagrabione, i mieszka spokojnie na jednej z wytworniejszych ulic Warszawy. —

Tu znowu zabrał głos Mag Litwor i prosił, aby nie wspomniano już tych spraw mało znaczących zbyt, wobec istotnej grozy zmartwychpowstania, jakiego doznał w Petersburgu, i potem, gdy poznał Jogę, zamieszkawszy w Indjach.

Płomienie mają ogarnąć świat słowiański. Mag, zginający się pod tragicznym przeznaczeniem Wallenroda, zapalił na Wschodzie ludy—już goreją.

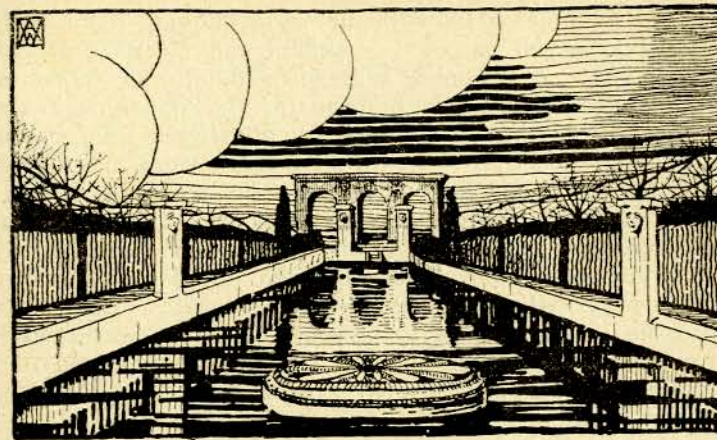
Wszyscy stali nad morzem zasłuchani.

Myśli tytaniczne jak chmury płynęły, brzemienne piorunami. Księżyc odbijał potężne, groźne zarysy skał w mrocznych, zdających się nieruchomymi, głębinach.

Ciąg dalszy nastąpi.



*) Historyczne.



WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI: WRAŻENIA TEATRALNE.

Teatr warszawski, który przez szereg lat, w dobie rządów gieneralskich i herszelmanowskich, był jednym z najniezszczęśliwszych teatrów na świecie, gdyż dbano w nim i troszczono się o wszystko, z jednym jedynym wyjątkiem—nie dopuszczanej systematycznie do głosu lub obniżanej tendencyjnie sztuki polskiej, doczekał się nareszcie dni lepszych. Ma dyrekcję—w warunkach obecnych—możliwie dobrą, inteligentną i dbałą, z młodym, energicznym i szczerze sztuce oddanym, a co ważniejsza—znającym się na sztuce—prezesem Małyszewem na czele. Ma w osobach pp. Kamińskiego i Śliwickiego dwóch doskonałych wprost reżyserów, którzy w ciągu kilku miesięcy ostatnich podnieśli poziom przedstawień do wyżyn prawdziwego artyzmu. Ma niewątpliwie szereg bardzo poważnych sił aktorskich, niekiedy, w męskim zwłaszcza personelu, niezrównanych. Gdyby cudzoziemcy zobaczyć i zrozumieć mogli takiego n. p. starego Leszczyńskiego, jako wojewodę w „Mazepie“, takiego Frenkla we wszystkim, czego się dotknie z gienjalną wprost intuicją, zarówno w zakresie ról komicznych, jak poważnych i dramatycznych; takiego Rapackiego lub Kamińskiego w niektórych rolach, że tylko na tych czterech poprzestane,—zazdrościliby nam sił takich, nie ustę-

pujących w niczem najwybitniejszym obcym, a niekiedy przewyższających nawet rozreklamowanych aktorów zagranicznych. A przecież Warszawa dzielić się musi talentami aktorskimi, nie mówiąc już o Poznaniu, Łodzi i — o teatrze Małym Gawalewicza, z dwiema jeszcze stolicami ziem polskich — Lwowem i Krakowem, z których teatr krakowski ma już od szeregu lat tradycję świetną i utrzymuje się obecnie, pod dyrekcją Solskiego, na bardzo wysokim poziomie. Z sił młodszych pozyskać by w każdym razie należało chodzących dotąd luzem, a częstokroć poprostu znakomitych — Tarasiewicza i Adwentowicza, no i postarać się o powrót na scenę warszawską Siemaszkowej i Federowiczowej, gdyż w personelu niewieścim czas porobił szczerby poważne, chociaż talentów i tu nie brakuje.

Od szeregu miesięcy chórem zgodnym domagaliśmy się dla teatru kierownika literackiego, a głos ogółu powtarzał uparcie, że stanowisko to należy się Józefowi Kotarbińskiemu, który jest sam zdolnym aktorem i doskonałym znawcą sceny, rozmiłowanym w niej od ławy uniwersyteckiej, a przytem pisarzem o poważnej kulturze literackiej i artystycznej. I oto cieszyć się możemy, że przynajmniej w zakresie stosunków teatralnych liczyć się u nas zaczęto z życzeniami ogólnymi, bo Kotarbiński otrzymał już nominację na kierownika literackiego dramatu i komedji; a że być nim potrafi — złożył nie tak dawno dowody w Krakowie, składał je i przedtem jeszcze — mimo trudności wszelkie — na stanowisku reżysera w Warszawie.

Więc pragnąć tylko należy, by danem mu było rozwinąć w teatrze warszawskim skrzydła wielkiej poezji, której holdował w Krakowie; by za jego kierownictwa przemawiać znów stale zaczęli ze sceny Szekspir i Słowacki; by „Wesele“ Wyspiańskiego, wystawiane już wszędzie literalnie, oprócz Warszawy, poruszyło wreszcie i nas tutaj potęgą swych wizji i melancholijnym smutkiem swych melodji; by talenty młode a krzepkie, których nam nie brak doprawdy, doznawały zawsze w teatrze życzliwej zachęty i poparcia, zwłaszcza, że z tem niezawsze, niestety, spotkać się mogą na łamach — życzliwej niby teatrowi i literaturze prasy warszawskiej...

W prasie tej na palcach jednej ręki wyliczyć by można organy, których recenzenci znają się naprawdę na

teatrze, wiedzą, czego chcą, i mają dla usiłowań dobrych dobre słowo, a nie kaprys fantastyczny, czasem nawet złą wolę, a najczęściej znudzone oblicze rzemieślnika, traktującego obowiązkowe recenzje ze sztuk nowych, jak coś w rodzaju przykrej pańszczyzny, albo nawet krótko-terminowych ciężkich robót. Na dziwny dosyć nieraz, niekiedy wprost bałamutny stosunek prasy do teatru zwracać będziemy uwagę w przeglądach dalszych; na razie podkreślimy tylko jeden lub dwa wypadki jaskrawsze.

Wymownym przykładem stosunku do teatru znacznego odłamu naszej krytyki było przyjęcie przez nią wystawionej przy końcu roku ubiegłego czteroaktowej sztuki Knuta Hamsuna „U królewskich wrót“. Dramat ten posiada niewątpliwą wartość literacką, porusza odwieczne, ale zawsze nowe zagadnienie walki indywidualności z szablonem, jednostki z usiłującym ją zetrzeć i zniwelować otoczeniem, ale — nie miał szczęścia podobać się przedstawicielom „wpływowych“ organów prasy warszawskiej, którzy przyjęli go szeregiem mniej lub więcej złośliwych uwag pod adresem — głównego reżysera. Inne pokolenie „wpływowych“ krytyków „położyło“ w podobny sposób przed laty byronowskiego „Manfreda“, którego wystawił z pietyzmem dużym Kotarbiński, ówczesny reżyser główny sceny warszawskiej! „Manfred“ i „U królewskich wrót“ — to naturalnie dzieła różnej zgoda miary artystycznej, charakterystyczną była jednak w obu wypadkach niechęć recenzentów teatralnych do — literatury na scenie. A zdawałoby się, że teatry warszawskie, poświęcające aż nadto czasu i miejsca wszelkiego rodzaju „scenicznym“, choć nieraz bezmyślnym rozrywkom, bawiące codziennie publiczność w Nowościach i w Saskim ogrodzie, mają wprost obowiązek dawać od czasu do czasu rzeczy mniej „sceniczne“ może, ale zmuszające do poważniejszego zastanowienia się nad życiem i poruszające jego zagadnienia głębsze, choćby nawet dany utwór miał przeważnie wartość „literacką“. U nas jednak utarł się zwyczaj surowego bardzo stosunku krytyki do poważniejszej komedji i dramatu, oraz pobłażliwości bez miary dla farsy i operetki. Nic dziwnego, że publiczność woli chodzić na wychwalane głupstewka, niż na ganione zawzięcie sztuki głębsze i poważniejsze.

* * *

Powodzenie duże w sezonie zimowym zdobyły sobie w teatrach warszawskich — w części znowu wbrew opinii p.p. krytyków przysięgłych — dwie sztuki: „Smocze gniazdo“ Nowaczyńskiego w teatrze Wielkim i „Wyzwanie“ Gorczyńskiego w Rozmaitościach. Należałem do tych, którzy upominali się parokrotnie o wystawienie w Warszawie „Smoczego gniazda“, znanego od r. 1905 z wydania książkowego. Bo chociaż starcia dramatyczne są w tej sztuce w gruncie rzeczy blahe dosyć, autor z rozmachem dużym roztacza przed oczyma naszymi szereg scen barwnych i zajmujących, ukazuje nam kilka postaci, pełnych plastyki i życia, potrząsa wprost przed nami talentem i werwą pisarską, podobnie jak w późniejszym nieco „Carze Dymitrze Joannowiczu“, cieszącym się powodzeniem dużym w Krakowie. Główna postać dramatu — Stanisław ze Żmigrodu na Łańcucie Stadnicki — jest może niejednolita trochę w rysunku; stosunek autora do niej jest niezawsze dosyć wyraźny, lecz gdyby o życie chodziło, to czyż nie pełnymi sprzecznymi porywów i dążeń były właśnie w wieku XVII zawadjackie, okrutne, to znów szlachetne i rozbijające typy w rodzaju Stadnickiego, mogące dziś budzić odrazę, jutro współczucie lub podziw?

Na scenie teatru Wielkiego „Smocze gniazdo“ dowiodło zresztą, że ma do niej prawo wszelkie. Bolesna epoka samowoli szlacheckiej, burd, gwałtów, najazdów i morderstw zarysowała się tu z siłą dużą, niektóre sceny wywierają wrażenie niezatarte, do czego przyczyniła się i wyborna naogół gra wykonawców.

Główną postać niepomamowango królewiatka polskiego z epoki Wazów, urągającego prawom i rozkazom królewskim, posłusznego jedynie bezbrzeżnej samowoli i dumie, odtworzył świetnie Kotarbiński. Stadnicki jego miał doskonałe warunki zewnętrzne i jednocył w sobie — zgodnie z intencją autora — ujemne, demoniczne chwilami cechy zawadzaki i gwałciciela praw ludzkich i boskich z pociągającym urokiem jakiejś poezji dzikiej, która tę postać owiewa. Bardzo dobrą partnerkę miał p. Kotarbiński w p. Barszczewskiej, która w roli Stadnickiej przypominała raz jeszcze, że jest artystką niepospolitą. Z długiej listy wykonawców wyróżniłbym jeszcze p.p. Bednarczyka i Śliwickiego w rolach Herburtów — stryja i synowca, oraz p. Wilczyńskiego, jako przewielebnego księdza opa-

ta tynieckiego. Sztukę wyreżyserowano i wystawiono bardzo starannie, co zresztą jest obecnie w teatrach warszawskich zjawiskiem stałym.

Że „najwplywowosi“ nawet krytycy i recenzenci warszawscy niezawsze na szczęście wywierają wpływ decydujący na losy sztuk wystawianych, dowodem najlepszym „Wyzwanie“ Bolesława Gorczyńskiego, wygwizdane w przerażliwy sposób po przedstawieniu pierwszym przez p. Rabskiego w „Kurjerze Warszawskich“, przyjęte z łaskawą pobłażliwością przez paru innych wpływowych i wielkich i — święcące tryumfy prawdziwe na *trzydziestu* już przedstawieniach (w ciągu dwóch miesięcy) na scenie teatru Rozmaitości. Nową i niewątpliwie nie tylko najlepszą z utworów tego autora, ale wprost wyborną sztukę Gorczyńskiego, zaatakowano najpierw za jej rzekomą niemoralność. No bo rzeczywiście, czyż może być coś ohydniejszego? Młoda dziewczyna, pod wpływem chwilowego uniesienia miłosnego, ośmiela się mieć dziecko nieślubne; nie morduje go jednak i nie ukrywa, nie uważa nawet macierzyństwa swego za „hańbę“, lecz niemal dumną zdaje się być z niego, a co gorsza — odtrąca rękę uwodziciela, który ją rzucił w chwilach krytycznych i który potem dopiero, pod wpływem rodziny, decyduje się oświadczyć nami formalnymi winę swą zmyać czy naprawić. Lecz młoda matka czuje, że teraz już nie mają nic wspólnego, że dusz ich ślub żaden nie złączy, niech wraca więc — do narzeczonej. Ona z dzieckiem pójdzie mężnie przez życie. Prostý, jasny i naturalny pogląd na życie Antosi Krzyckiej jest rzeczywiście wyzwaniem, rzuconem w twarz wszelkiej obłudzie, od której u nas roi się w życiu i w prasie. Nic dziwnego, że ta ostatnia nie zniosła spokojnie policzka, lecz — zasyczała.

Pomijając jednak samą „tezę“ sztuki, ujmującą w sposób serdeczny i młodzieńczy (ale nie studencki bynajmniej) jedno z tych zagadnień życia, które wywołują starcia i kolizje dramatyczne jedynie właśnie wskutek niedoskonałości urządzeń ludzkich i rozpanoszonej w nich wszechwładnie obłudy, trzyaktowy „prolog dramatyczny“ p. Gorczyńskiego jest sztuką bardzo dobrze zrobioną. Tylko że uderza w nim przede wszystkim nie jakaś zimna doskonałość techniczna majstra teatralnego, ale to gorące ukochanie życia, pięknego, słonecznego życia w jego naturalnych przejawach, oraz nienawiść do fałszu, konwenansu, filisterstwa, pozy i udania we wszelkiej postaci. A rzeko-

ma „niemoralność“ sztuki? „Niemoralność“ ta—to drwiny z publiczności, którą się zachęcało gorliwie do uczęszczania na pieprzne i tłuste farsydy i operetki, dopóki te wypełniały przeważnie repertuar t. zw. scen mniejszych, a ochrania z miną pobożnisią przed potokiem życia i prawdy. Wstrętna obłuda, nie więcej, bo na nową sztukę Gorczyńskiego ludzie rozumni nie wahali się nawet zaprowadzić swych dzieci dorastających — i mieli słuszność zupełną.

Rzecz charakterystyczna, że w nagance na „Wyzwanie“ nie wziął właśnie udziału obóz konserwatywny. Do najlepszych recenzji z tej sztuki zaliczam uwagi, skreślone o niej przez Czesława Jankowskiego w „Słowie“ i „Tygodniku Ilustrowanym“. Pisarz ten w swych przeglądach teatralnych umie utrzymać się zawsze w granicach umiarkowania i kultury artystycznej i nie rozdziera przedwcześnie szat tam, gdzie ich wcale rozdzierać nie trzeba.

Świetnie gra rolę Antoniny w „Wyzwaniu“ p. Przybyłko-Potocka. Niepospolicie utalentowana i wrażliwa to artystka! Zwróciwszy przed laty uwagę na siebie w „Popychadle“ Szutkiewicza, któremu zapewniła długi szereg przedstawień, występowała kolejno w Krakowie i Warszawie we wszystkich prawie sztukach polskich repertuaru współczesnego; talent nawskroś rodziły, pełen szczerości i wdzięku. Czy to jako Wojewodzianka w „Zaczarowanym kole“, czy jako „Panna Młoda“ w „Weselu“, czy jako Cesia we „W sieci“, czy jako Bronka w „Śniegu“ Przybyszewskiego i w „Edukacji Bronki“ Krzywoszewskiego, czy wreszcie w „Żabusci“ Zapolskiej, lub „Nocy lipcowej“ Gorczyńskiego, we wszystkich tych i winnych rolach, które mi na myśl w tej chwili nie przychodzą p. Przybyłko-Potocka podbija widzów prostotą i naturalnością swej gry, oraz uczuciem szczerem, które w każdą postać odtwarzaną prosto z duszy wlewa. Nie pozuje na nadzwyczajność i wielkość, skromną wydaje się niemal, a jest naprawdę obecnie jedną z najwybitniejszych artystek scen polskich, w niektórych rolach nieznówną i niezastąpioną. Skala jej repertuaru jest zresztą, jak zaznaczyliśmy, dosyć obszerna, a sądzę, że bez obawy można by ją jeszcze powiększyć znacznie. W „Wyzwaniu“ Gorczyńskiego wszystkie cechy jej talentu — wdzięk i urok młodości, naturalność i szczerość, wrażliwość i uczuciowość głęboka — składają się na całość tak znakomitą, że

dla samej już gry p. Przybyłko-Potockiej warto na tę sztukę przyjść po raz drugi i trzeci. Obsada jest zresztą wogóle bardzo dobra. Panie Bogusławska, Lubicz-Sarnowska, K. Lorentz w rolach przyjaciółek Antosi, pani Junosza, jako jej sąsiadka o sympatiach — więcej, niż sąsiedzkich, dalej p. Brydziński w niezbyt wdzięcznej a dyskretnie traktowanej roli płytkiego uwodziciela młodych i ładnych panien, wreszcie pp. Żółkowska i H. Grubiński, jako przedstawiciele poglądów i uczuć pokolenia starszego, nie orjentujący się zupełnie w fanaberjach Antosi i usiłujący „ratować“ ją po swojemu, wszyscy wogóle, których widziałem w tej sztuce, aż do p. Toski Pleskot w roli dziewczynki, przychodzącej do chorej Antosi na lekcje muzyki, (w rolach mniejszych zmieniała się obsada) złożyli się na całość bardzo dobrą, doskonale zharmonizowaną i wyreżyserowaną, każącą zapominać chwilkami, że się patrzy na scenę i aktorów, a nie na kartek parę, dziwnym jakimś cudem wyrwanych bezpośrednio z życia.

Nieszczęśliwie, bo w piątek (29 stycznia) wystawiony po raz pierwszy, przestarzały już nieco dramat hiszpański Emanuela Tamayo y Bausa p. t. „Żona Yorycka“ nie zdobył sobie u nas dłuższego życia scenicznego, może poprostu dlatego, że publiczność wołała chodzić na „Smołce gniazdo“ i „Wyzwanie“, niż na nieźle zrobiony, ale melodramatyczny trochę utwór nieznanego jej bliżej, obcego autora. Rzecz, osnuta na tle życia aktorów angielskich za czasów Szekspira, ma za osnowę współzawodnictwo zawodowe, „występną“ miłość i zazdrość, co wszystko razem doprowadza do dwóch morderstw, jednego w oczach widzów, drugiego za sceną. Sztuka daje pole do popisu grą aktorską, które wyzyskał znakomicie Frenkiel w pełnej dramatycznych wstrząśnień roli aktora komicznego Yorycka, mordującego na scenie kochankę swej żony Edmunda (p. Brydziński). P. Tekla Trapszo, jako Alicja, p. Ładnowski, jako aktor tragiczny, p. Bednarczyk w roli — Szekspira, wreszcie pp. Wojdałowicz i H. Grubiński w rolach autora dramatycznego i inspicjenta — byli wszyscy w swoim żywiole i grali bardzo dobrze, co zresztą nie mogło zapewnić sztuce powodzenia dłuższego, gdyż inne są dziś wymagania publiczności naszej, niż przed kilkudziesięciu laty w Hiszpanji, a poczciwy Szekspir, usiłujący wszystkich pogodzić i wszystko załagodzić, a na-

stępnie, jak deus ex machina, karzący śmiercią zbrodniarza, tak mało ma wspólnego z wyrosłym w duszach naszych obrazem twórcy Romea i Hamleta, że najlepsze usiłowania jego przyjąć mogliśmy co najwyżej—pobłażliwym uśmiechem.

Z powodu wyjazdów z Warszawy nie byłem na benefisowo-jubileuszowym przedstawieniu zasłużonej i utalentowanej bohaterki dramatu p. Heleny Marcello-Palińskiej. Nie dane mi było przez to ujrzeć na scenie teatru Wielkiego sztuki w pięciu aktach p. Jerzego Żuławskiego p. t. „La Bestia“ i sprawdzić, czy rzeczywiście utwór ten, osnuty na tle dziejów weneckich w w. XIV i posiadający niewątpliwie pewne zalety literackie, tak dalece nie nadaje się na scenę, że po paru przedstawieniach został z niej usunięty zupełnie. Niesceniczość dramatu tego podkreślili jednoznacznie wszyscy sprawozdawcy, więc czytelnikom „Sfinksa“ mogę tylko podać tę ich opinię.

Drugą uroczystością teatralną, która mnie już jednak nie ominęła, był pożegnalny wieczór Walerji Niewiarowskiej. Po *pięćdziesięciu* pięciu latach rzetelnej pracy na scenie, znakomita artystka rozstawała się z nią, jako zasłużona i żalowana ogólnie emerytka. Na występ swój pożegnalny wybrała jubilatka popisową swą rolę pani Kasztelanowej w dramacie Korzeniowskiego, która tak do niej przylgnęła, że nawet w życiu prywatnym otrzymuje często ten tytuł. Przyjmowana gorąco i owacyjnie była, jak zawsze, kasztelanową wspaniałą, wielką panią w każdym rysie, przypominając najlepsze tradycje sceny warszawskiej, z którymi złączona jest tak ściśle. Mimo wzruszenia i zmęczenia sił jej starczyło jeszcze i do odtworzenia roli pani Dobrojskiej we wznowionych również na jej benefis „Ślubach panińskich“ Fredry. Przedstawienie całe miało charakter uroczysty, ale i smutny zarazem. Czuliśmy wszyscy, że oto z odejściem tej w najszlachetniejszym znaczeniu tego wyrazu artystki rozwiązuje się jedna jeszcze nić, łącząca chwilę obecną teatru warszawskiego z świetną epoką jego rozkwitu, o którym my młodszy wiemy już coś tylko ze słyszenia. Smutnem jest zresztą wszystko, co przemija i odchodzi, choćby to była tylko garść liści, strąconych z drzewa przez wiatr jesienny, a cóż dopiero żywa i czująca dusza ludzka, kapłanka sztuki, przywiązana do niej gorąco! Lecz życie

całe jest przemijaniem i żegnaniem się ciąglem, i w tem podobno tkwi jego tragizm najgłębszy...

Dyrekcja obecna nawiązuje jednak nić łączności z przeszłością przez wznowianie sztuk wybitniejszych. Obok wystawionych starannie „Ślubów panińskich“, którym jednak nietylko w dekoracjach i meblach, ale i w rolach niektórych, należałoby się pewne odświeżenie, wznowiono niedawno „Mazepę“ Słowackiego, a w ostatnich dniach „Wicka i Wacka“, najlepszą komedję szlachecką zmarłego niespodziewanie w sile wieku Zygmunta Przybylskiego. Wybitne sztuki repertuaru dawnego wznowiane bywają również na sobotnich przedstawieniach popołudniowych dla młodzieży, stanowiących jeden z lepszych pomysłów dyrekcji obecnej.

Na wznowienie niegranego od dłuższego czasu „Mazepy“ recenzenci teatralni nie pofatygowali się jakoś. Z przedstawicieli literatury i prasy, oprócz sprawozdawcy „Przeglądu Porannego“, widziałem jednego tylko bobaj p. Kazimierza Zalewskiego. A szkoda, bo „Mazepa“ z Leszczyńskim w roli wojewody, Rapackim w roli Jana Kazimierza, Marcello-Palińską, jako Amelję, z Rolandem Mazepą i Śliwickim-Zbigniewem—zasługuje z pewnością na widzenie i pochwałę, nawet ze strony wymagających dużo od teatru—krytyków i recenzentów warszawskich. Leszczyńskiego w roli wojewody podziwiałem już przed dwudziestu laty na gościnnym występie w Radomiu, i w naszym gimnazjalnem, ukrywanem przed władzą starannie pisemku, któreśmy wydawali z nieżyjącymi już Kazimierzem Krauzem i Zygmuntem Rostkowskim, oraz paru innymi kolegami, pisałem sprawozdanie z tego występu. Od tego czasu sporo wrażeń przeszło przez duszę. Leszczyńskiego widywałem w lepszym, niż w Radomiu, zespole, zarówno w roli wojewody, jak we wszystkich chyba które grywał, lecz dziś—po latach dwudziestu—wspaniała kreacja jego w „Mazepie“, potęga uczucia, siła głosu, majestatyczność całej postawy, ten sam bodaj zachwyt budzi we mnie, który budziła wtedy, a podziw—bodaj jeszcze większy. I nie wyobrażam sobie doprawdy, kto mógłby zastąpić u nas w tej roli Leszczyńskiego, kto będzie miał kiedykolwiek odwagę objąć po Bekwarku lutnię. „Patrzcie, patrzcie, młodzi—ma się ochotę zawołać—oto ostatni, co tak poloneza wodzi“, ostatni wielki przedstawiciel jednej z najpotężniejszych postaci wielkiego poety, ostatni wojewoda prawdziwy naszej sceny... Nietyl-

ko Leszczyński zresztą ma tu rolę popisową, całość przedstawienia „Mazepy” wywiera wrażenie wysoce artystyczne, a cudny wiersz Słowackiego wart chyba, aby go jak najczęściej ze sceny słuchano.

Inny charakter miało, naturalnie, wznowienie „Wicka i Wacka” z pp. Rolandem i Owerllą w rolach dwóch wiusów szlacheckich o złotych sercach i Wojdałowiczem, jako dobrodusznym ich ojcem. Dowiodło ono w każdym razie, że sztuka, licząca już również lat ze dwadzieścia (tytułowe role grywali w niej kiedyś wybornie Wolski i Szymanowski), nie zestarzała się jednak i dziś zamasyistością swą i werwą budzi sympatję w publiczności, szukającej w teatrze przede wszystkim paru chwil pogodnej rozrywki. Tej pogody, tego humoru szczerzego, niepozbanionego przytem głębszego trochę podkładu, nie daje nam już, niestety, w tym przynajmniej stopniu żadna z licznych komedji późniejszych autora „Wicka i Wacka”.

Ciekawem byłoby przekonanie się, jakie wrażenie wywierałyby dzisiaj na scenie najlepsze sztuki Kazimierza Zalewskiego, „Nasi zięciowie” n. p. lub „Małżeństwo Apfel”. Najnowszy jego utwór, „szkice z życia” w 4-ach aktach p. t. „Dla rubla”, wystawiony świeżo (20 lutego) w Rozmaitościach, przepełnił na premierze salę po brzegi i wywołał wiele sprzecznych sądów i komentarzy. Poważniejszej wartości artystycznej sztuka ta nie posiada; w dwóch pierwszych aktach stoi na poziomie dawnych sztuk Zalewskiego, w dwóch następnych—niżej tego poziomu. Trudno, cokolwiek powiedzieć mogą przyjaciele i obrońcy autora, nie wmówią w nas, że na owem zebraniu akcjonariuszów wielkiego banku, gdzie zmienia się tak radykalnie stosunek baronowej Liouville do protegowanego przez nią Wojzgirda, dawna znajomość warunków scenicznych i psychologii widza dopisała autorowi „Przed ślubem”, że wszystko tam jest logiczne i usprawiedliwione, lub nawet choćby prawdopodobne. Sztuka zawiera w każdym razie parę śmiałych przebłysków satyrycznych, a ma rację bytu na scenie, choćby jako utwór pisarza, który dla niej przez lat czterdzieści pracował w miarę sił i możliwości, podtrzymując repertuar oryginalny w epoce, kiedy teatr był jedyną niemal trybuną publiczną, z której mogła rozbrzmiewać mowa polska. „Dla rubla” wystawiono i odegrano starannie. Ważniejsze role miały wykonawców bardzo dobrych w osobach Frenkla, Ludowej, Grubińskiego, Wojdałowicza, Śliwickiego, Pichorów-

ny, Nowickiego, Szymanowskiego i innych. Panna Pichorówua zwłaszcza w roli pani X, żony urzędnika bankowego, wyludzającej dla męża awanse i nagrody daleko idącymi umizgami do zwierzchników instytucji, powiększyła galerję swych świetnie zwykle zarysowanych sylwetek kobiecych jeszcze jednym typem, pochwycyconym na gorąco z życia, a odtworzonym i wycieniowanym przez tę wybitną już dzisiaj również artystkę z właściwym jej talentem i subtelnością.

Jeżeli wspomnimy jeszcze o niepotrzebnie może połączonej z przedstawieniem pożegnaniem p. Niewiarowskiej, ale dobrej skądinąd jednoaktówce M. Maurey'a p. t. „Protekcja”, w której p. Kamiński ze zwykłym mu wirtuozostwem stwarza z niczego prawie świetną sylwetkę poszukującego posady jegomościa, umiającego sobie radzić we wszelkich okolicznościach życia i wkraść się prędko w łaski zwierzchnika, to wyczerpiemy, zdaje się, repertuar dramatu i komedji w ciągu ostatnich dwóch miesięcy.

Doprowadziliśmy przegląd nasz do ważnej niewątpliwie chwili, gdy, zgodnie z życzeniem całej prasy, teatr warszawski otrzymał wreszcie kierownika literackiego w osobie najodpowiedniejszego dziś chyba na to stanowisko, zasłużonego artysty i literata Józefa Kotarbińskiego. Pragnąć tylko należy, aby prasa nasza, która dzwoniła długo na to kazanie, okazała się stałą w swych sympatjach, dała czas kierownikowi nowemu rozwinąć akcję szerszą, nie zatruwając mu życia przy łada drobnostce, jak się to, niestety, zdarzało już u nas nieraz.

Teatr nasz w ciągu półroczu ostatniego wszedł w każdym razie na dobrą drogę; każdy nieuprzedzony przyznać musi, że praca nowej dyrekcji i reżyserów obecnych nie była w tym czasie bezowocna. Jeżeli, z początku zwłaszcza, repertuar pozostawiał dużo do życzenia, jeżeli latano go parokrotnie lichotami, bez których moglibyśmy śmiało wytrzymać, to w ostatnich miesiącach i pod tym względem zaszła już zmiana pożądana. Poziom repertuaru, poczynszy od „Aspazji” Świętochowskiego i „Wesela Figara” Beaumarchais'go, podniósł się znacznie. Dano nam w każdym razie parę niezłych, lub nawet dobrych całkiem sztuk oryginalnych, a to już dużo znaczy. Zwalczo no przytem dezorganizację, anarchję niemal, która panowała za dyrekcji poprzedniej, a to znaczy jeszcze więcej. Potrafiono skupić kadry aktorskie i techną w nie życie nowe, pokazano nam szereg sztuk starannie

wystawionych i dobrze, czasem nawet świetnie wyreżyserowanych, przygotowano materiał, z którym wszystkiego bodaj dokonać można, a to może znaczy najwięcej. Zasluga to niewątpliwa nowego prezesa p. Małyszewa, głównego reżysera p. Kazimierza Kamińskiego i reżysera p. Józefa Sliwickiego, którzy nie szczędzili usiłowań i pracy, aby obumarła już niemal instytucję podtrzymać, ożywić i pchnąć na tory nowe. Zasluga to zresztą i całej naszej drużyny artystycznej, która im to zadanie talentami swymi, zapalem i pracą ułatwiła. I zasługę tę dzisiaj, w przełomowej, bądź co bądź, chwili w życiu teatru warszawskiego, podnieść, zdaniem mojem należało.

Że pewien prąd nowy ogarnął różne dziedziny naszego życia teatralnego, mamy na to dowodów więcej. Oto p. Kazimierz Zalewski, kierownik szkoły aplikacyjnej przy teatrach warszawskich, wystąpił z paroma interesującymi przedstawieniami utworów klasycznych z wyłącznym udziałem swych uczniów i uczenice. Oto nawet w dziedzinie farsy i operetki, którą nie zajmujemy się bliżej, daje się zauważyć pewien zwrot pożądany, pewne podniesienie poziomu artystycznego i usunięcie zbyt jaskrawych wybryków pornograficznych, z jakimi dawniej w „Nowościach“ można się było spotkać często. Zarówno „Krysia leśniczanka“, jak wznowiona świeżo „Zemsta nietoperza“ — dwie operetki, które w ostatnich dwóch miesiącach cieszyły się powodzeniem największym, utrzymane są w stylu dosyć szlachetnym; to samo powiedzieć można o ostatnich nowościach krotocwilowych w teatrze Letnim, a zwłaszcza o wdzięcznych bardzo „Naiwnych“.

Jeżeli teraz z p. Kotarbińskim dotrze wreszcie do teatru warszawskiego upragniony oddawna powiew wielkiej poezji; jeżeli ze sceny dramatycznej przemówią częściej Szekspir i Słowacki; jeżeli Wyspiański przestanie być na niej mytem niemal; jeżeli wreszcie nowa atmosfera teatralna zachęci do pracy dla sceny poetów prawdziwych, których nam nie brak przecież, i jeżeli usiłowania ich w tym kierunku spotkają się w teatrze z przyjęciem życzliwym, — to będziemy mogli powiedzieć wówczas dopiero, że zaczęła się naprawdę w życiu teatru warszawskiego era nowa, że zbliżyliśmy się do ideału, który do niedawna nie stawał przed oczyma naszymi nawet w marzeniach sennyh...

*

*

*

Teatrowi Małemu Marjana Gawalewicz a dzieje się stanowczo krzywda na szpaltach „Sfinksa“. Pomimo szczerzej sympatji, jaką mamy dla wieńczonych nieraz powodzeniem usiłowań grona artystycznego, które pracuje pod kierunkiem autora „Mechesów“, po raz drugi już musimy odłożyć do chwili sposobniejszej obszerniejsze nieco omówienie jego działalności. Podkreślimy więc tylko na razie pomyślny rozwój niewielkiej scenki w Filharmonji i ruchliwość jej kierownika, ujawniającą się zarówno w wystawieniu szeregu oryginalnych utworów autorów młodszych, jak w wyborze sztuk tłumaczonych i wznawianych. Grono artystyczne teatru Małego zgrało się już i wytworzyło atmosferę odrębną, w której czuć się daje szczere umiłowanie sztuki. Są w tem gronie zresztą siły bardzo poważne, talenty prawdziwe, że wymienię panie: Pytlińską, Łacką-Pawłowską, Duninównę, Bartoszewską, Dulębiankę, Staszowską, panów: Orlińskiego, Staszowskiego, Lipczyńskiego, Noskowskiego, Zielińskiego, — cytuję z pamięci, więc mogłem kogoś niesłusznie pominąć. Występowali na niej i zapewne nieraz jeszcze występować będą — Adwentowicz i Lenczewski; pod nieobecność dyr. Gawalewicz a kierunek artystyczny spoczywał przez pewien czas w rękach Tarasiewicza, nie dziwnego więc, że rezultaty są naogół bardzo dodatnie.

Odegrani u. p. na tej scenie „Samotni“ Hauptmana, z pp. Bartoszewską, Łacką-Pawłowską, Duninówną, Adwentowiczem, Staszowskim i Zielińskim w rolach głównych, przynoszą wprost zaszczyt teatrowi i wytrzymują porównania najsurowsze. To samo stosuje się zresztą i do wystawionego (po latach trzydziestu blisko!) „Ojca Makarego“ A. Świętochowskiego. Sztuka straciła może nieco ze swej aktualności dawnej, ale zachowała głębię filozoficzną i niezwykły artyzm słowa, cechujące wszystkie dzieła znakomitego twórcy „Duchów“, a wystawienie jej, choć tak spóźnione, w bardzo dobrej obsadzie, złożonej z pp. Pytlińskiej, Staszowskiego, Lipczyńskiego, Dobrzańskiej, Dulębianki i innych, zaliczyć również należy na karb prawdziwych zasług Gawalewicz a. Ze sztuk oryginalnych, wystawionych ostatnio w teatrze Małym, powodzeniem największym cieszyła się dobra satyra sceniczna Tadeusza Konczyńskiego p. t. „Białe pawie“.



A. Tal

J. KLECZYŃSKI: WRAŻENIA ARTYSTYCZNE.

Dekoracja sali na balu „Młodej sztuki”. — Wystawy: Fałata, Biegasa, Jasińskiego, Kuny, Januszeńskiego i Bagińskiego. — Marcin Zaleski. — Warszawa w sztuce.

W ostatnich tygodniach, po V Dorocznej, zaroilo się od wystaw w Warszawie. J. Fałat, Z. Jasiński, H. Kuna, B. Biegas, St. Bagiński, J. Januszeński — każdy z tych artystów dał zbiorowe wystawy albo w Zachęcie, albo w salonie St. Kulikowskiego. Oprócz tego mieliśmy „Warszawę w sztuce” w stowarzyszeniu artystów malarzy i rzeźbiarzy przy Krakowskim Przedmieściu № 6.

Tyle wrażeń — prawda? Ale mało z nich było treściwych, prawdziwie artystycznych. Najsilniejsze odebrałem nie na wystawach, ale — na balu „Młodej sztuki”.

To, co uczniowie Warsz. Szkoły Sztuk Pięknych uczynili w sali Filharmonii dla swego balu, jest czynem artystycznym wielkich, bujnych talentów. Gdyby takie dekoracje urządzono w Monachjum, Paryżu, Wiedniu, Berlinie — pisma ilustrowane wypuściłyby specjalne numery, poświęcone tak ciekawym dziełom. Nazwiska autorów w jednej chwili stałyby się głośniami na cały świat, U nas — nie zdawano sobie dobrze sprawy, na co patrzono na tym balu.

Ornament jest w malarstwie wszystkim. Obraz, który jednocześnie nie jest pięknym ornamentem, który nie wypowiada się za pomocą harmonii barw i linii, nie jest dziełem sztuki. Może on sobie być najpodobniejszym do

natury, może być nawet interesującym psychologicznie — ale do malarstwa nie należy. Malarstwo powstaje dopiero przez pewne indywidualne ujęcie natury i tworów fantazji, co daje styl.

Malarz musi nosić w sobie pewne, jemu tylko właściwe syntezę barw, inaczej może się stać jedynie mniej lub więcej dobrym ilustratorem życia, ale nie artystą. Malarz bez wyobraźni nie może nawet zrozumieć życia, nie mówiąc już o jego odtworzeniu. Wyobraźnia dopiero tworzy sztukę. Tylko ten, kto sobie coś może wyobrazić, może malować — inaczej stanie się niewolnikiem modelu. Sztuka bez fantazji i wyobraźni jest to *contradictio in adjecto*.

Otóż dekoracyjność w malarstwie powstała ze skojarzenia tych dwóch najczystszych pierwiastków sztuki, z fantazji i wyobraźni. Powstała z przeczuć najwewnętrzniejszych o wymowie linii i kolorów, dając ich spłoty w formach takich, jakich próżnobyśmy szukali w naturze. Jest w tem jakaś do dziś dnia niezbadana jeszcze tajemnica, w czem leży życie lub martwota pewnych kombinacji linii i barw, dlaczego dywan perski, makata indyjska, lity pas polski, lub stanik dziewczyny krakowskiej jest czemś żywszem, więcej mówiącem, niż na przykład sfotografowana głowa lub niezły krajobrazik. Że sztuka japońska tak nas zachwyci, składają się na to dwa warunki: niesłychane życie, jakie w przedziwnych skrótach bije z namalowanych tam ptaków, zwierząt, drzew i ludzi, życie, podkreślone przez niedoścignioną stylizację — i życie, będące tej stylizacji treścią, a więc przesubtelna mowa linii i barw, wziętych już nie jako wyrażalniki istot żyjących, ale same w sobie, a raczej same dla siebie, *jako całości dekoracyjne*.

Tajemnicę życia ornamentacyjnego zrozumieli u nas pionierzy t. zw. „Sztuki stosowanej”. Zrozumieli oni szczególną odrębną wymowę polskich ludowych ornamentów. Wyspiański na wymowie ornamentacyjnego piękna oparł całą swoją twórczość. Z tych źródeł czerpała i czerpie Warsz. Szkoła Sztuk Pięknych i dzięki wszystkim jej profesorom, a szczególnie zmarłemu prof. Pajzderskiemu, oraz dzięki prof. Edwardowi Trojanowskiemu, a teraz też przy współudziale tak wielkiej powagi artystycznej, jak prof. Ślewiński, wykształciła swoich bardzo utalentowanych uczniów specjalnie w tym kierunku. Jest to zaśluga olbrzymia, która może zmienić całe życie polskie

z szarego na pełne barw, z cudzemi sokami żyjącego na świeże i samodzielne, narodowe.

Lecz wróćmy do sali balowej. Był to czarodziejski kraj, a nie sala Filharmonji. Przebarwne, fantastyczne witraże, pełne dziwacznych postaci, stylizowanych kwiatów, żywych ornamentów. Wściekły fryz na galerji 2-go piętra, fryz, drgający szaleństwem, zapamiętaniem się, życiem, młodością, bajecznym temperamentem — a wszystko to nie wychodzące z granic artystycznej miary, wszystko w stylu tego samego balowego roznamietnienia. Przepyszne kilimy na 1-em piętrze, wśród których całe poematy bajek. Drgający tem samem rozmachem życiem fryz na dole — wszędzie rysunek dosadny, dojrzały, tak wymowny, że podziw ogarnia dla tak wielkiej pracy — i dla takiej siły, świeżości i oryginalności talentów.

Salę zdobili pp. Boruciński, Radwan, Baranowski, Gołębiowska, Nawroczyński i inni.

Zapewniono mnie — i czytałem to nawet w krytykach, że zdolności dekoracyjne posiada p. Z. Jasiński, którego wystawę oglądałem w Zachęcie. Zdolności — może. Ale talentu — nie. Jego „Junona“ jest czemś nietylko mdłym, ale ledwie narysowanym. Jego kwiaty — konwencjonalne w barwie. Jego obrazy — to szkice, w których jedna linja nietylko że nie jest dociągniętą, ale wogóle mało wyraża. Taka „Zakonnica“ — to jakiś kolor bez wyrazu — szarawo-buraczkowy — i martwota układu. Jego „Jawnogrzesznica“ pędzi w otchłań — farb, cały koloryt jest gliniasto-bengalskim, rysunek postaci poza poprawnością nie w sobie nie ukrywa.

Jedynie tylko „Chmura“ posiada lekkość i pewien wdzięk dekoracyjny, a „Jabłoń“ — piękny kolor. Ale i tam nie ma tych mocnych, stanowczych, syntetycznych linii, bez których o dekoracyjności mowy być nie może. Rysunek wszędzie jest tylko *znaczony*, tak samo jak kolor, który nigdy nie zostaje doprowadzony do ostatecznych konsekwencji — zawsze to tylko banalność, zawsze tylko coś „mniej więcej“, nie stanowczego, śmiałego. Są to więc zdolności dekoracyjne, będące zaprzeczeniem wszelkiej istotnej dekoracyjności, która nie polega przecież na szkicowem omijaniu rysunku, (jak to widzimy u p. J.) ale przeciwnie — na doprowadzeniu go do czystości i *prostoty* wyrazu.

O ile jednak dekoracyjne obrazy nie sprawdzają pogłosek o talencie w tym kierunku p. J., o tyle znów portret damy jest żywym, naturalnym. Ręce kobiety bardzo swobodnie opierają się o poręcz krzesła, ruch ten jest uchwycony znakomicie — zdaje się, patrząc na obraz, że dama wstanie, podejdzie do nas. Ale znowu kompozycja „Chleb“ jest czemś pasującym może do „Familienblatu“, ale nie do wystawy. Jak te sprzeczności w jednym talencie pogodzić — to już rzecz nie moja. Zdaje się jednak, że prawda leży w tem, że p. J., nie posiadając wyobraźni, może jednak tworzyć dobre rzeczy, malując wprost z natury i nie puszczając się na dekoracyjność, której istoty nie pojmuje.

Fałat wystawił, obok kilku pięknych i nowych oświetleń (miedzianej barwy śnieg i czarna woda — rzecz bardzo silna i oryginalna, wiernie odtwarzająca wrażenie pewnej chwili, pod wieczór), wiele obrazów, będących powtórzeniem samego siebie. Kompozycja „Dwa światy“, w której artysta waha się w wyborze pomiędzy światami fantazji i rzeczywistości, jest czemś w twórczości Fałata nowem, swobodnem w układzie i pełnem świetnych szczegółów — na przykład cała grupa rzeczywistości wraz z pięknym pejzażem za oknem. Ale chmura fantazji jest brudnawa w kolorycie i nie mówiąca w liniach.

Rzeźby Biegasa w salonie St. Kulikowskiego należą do arcydzieł portretowych. Delikatność i siła wyrazu przy mistrzowskiej technice tworzą rzadkiej piękności głowy, żywe, myślące, czujące. Obrazy malarskie wielkiego rzeźbiarza są znacznie lepsze, niż dawniej malowane i — dwa z nich nawet mają zupełnie oryginalny i subtelny koloryt. Jeden z nich, to głowa mistyczna, wpół-hieratyczna, drugi — to delikatny portrecik. Ale dwie drugie głowy — to znowu coś podobnego do dawniejszych nieudolności. Jakieś silnie podkrążone, naiwne w wyrazie oczy na twarzach rozmazanych, nie uchwyconych w żaden rysunek — te dwie głowy nie powinny być wystawione — szkodzą sławie pierwszorzędnego rzeźbiarza, który, nie mając dostatecznego przygotowania, chce malować. Ale może to tylko dziwactwo — te dwie nieudolne głowy? Może Biegas opanowuje środki malarskie, jak to widać z obrazu, hieratycznie mówiącego o przeznaczeniu? Nie wiem — tymczasem malarstwo jego pozostaje dla mnie zagadką.

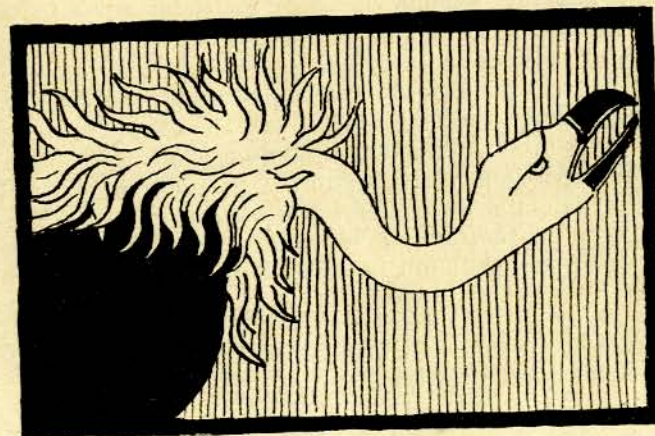
Wśród rzeźb p. Kuny (w Zachęcie) zwraca uwagę „Hijob“, rzecz opanowana, spokojna, o dużej sile wyrazu w głowie podniesionej, w ustach wpółotwartych, których wyraz mówi wiele nawet pomimo pokrywającego ich zarostu. Jest to Hijob lamentujący, wąpiący, ale zdolny nawet do przekleństw. Cała postać doskonale zbudowana. Niemniej silną w wyrazie jest „Niewidoma“. Co do „Irydiona“, to ma on pewną siłę i dużo dumy — ale zarazem może nieco arogancji. Inne rzeźby p. Kuny (portrety) mają wiele miękkiego sentymentu i pomimo iż nie są zaznaczane silnemi, syntetycznemi rysami, zbudowane są jędrnie, kilka tylko jest sztywniejszych.

W salonie p. St. Kulikowskiego ciekawą wystawę dał p. Jan Januszewski. Jest to artysta o subtelnej poczuciu barw. Każdy jego obraz to przede wszystkim kompozycja kolorystyczna. Ale obrazy te chorują na jakąś nadmierną miękkość, której tylko świetny portret mężczyzny jest pozbawiony. Miękkość ta szkodzi najbardziej lekkim baletniczkom, których nóżki przypominają róże we walki z waty. We wnętrzu pokoju, delikatnie pod względem barwności ułożonym, i w ślicznych kwiatach (róże) miękkość ujęcia przetwarza całą naturę. Liście i ich łodygi wydają się przepojone chłodną wilgocią, cały pokój tonie w niedostrzegalnej mgle — wszystko jest jakby przemoczone, choć nie lśniące. Jest to i oryginalne, i jakieś chore, chwilami nawet jakby rozkładające się. Nawet znakomita i miła w wyrazie i barwie dziewczynka ma kosteczki jakby za miękkie. Taki rodzaj ujmowania rzeczy może się stać oryginalnym, o ile nabierze tężyzny wyrazu i nie przetworzy się w mańjerę — siostrę bliźnię nieudolności. To ostatnie byłoby ze szkodą dla sztuki, bo p. Januszewski jest bardzo subtelnym kolorystą, rzeczywistym talentem.

Osobne miejsce należy się bardzo ciekawej wystawie (w „Zachęcie“) obrazów Marcina Zaleskiego, jednego z pierwszych artystów, jacy w Polsce malowali (1796—1877). Są to pod pewnym względem arcydzieła — pod względem mianowicie szczerości i uczciwości artystycznej. Bije z nich umiłowanie murów Warszawy i Krakowa — w epokach, które wstrząsały krajem do podstaw, bije ciepło, które znalazło swój wyraz nawet w kolorystyce wielu tych obrazów, słonecznym, pogodnym. Te metody malowania takich światła udoskonaliły się w ostatnich

dziesiątkach lat, lecz to nie odbiera obrazom Zaleskiego ich artystycznej wartości, jako dziełom uczucia. Zaleski nie był orłem, ale w każdym razie także nie rzemieślnikiem, ani tandecistą, co robi na sprzedaż. Był artystą nie wysokiej miary, ale prawdziwym artystą, w którego naiwnościach kryły się złote ziarna piękna.

Wystawa Zaleskiego zepsuła szyki „Warszawie w Sztuce“, wystawie, urządzonej przez „Towarzystwo artystów i rzeźbiarzy“ — bo tę Warszawę widzieliśmy już wszyscy, uwiecznioną w najpiękniejszych pejzażach — na wystawie Marcina Zaleskiego. Więc też zapewne dlatego na Krak. Przedmieście nr. 6 nikt nie zaglądał.



ZNIWO ŚMIERCI.

WSPOMNIENIA

POZGONNE.



ADAM BEŁCIKOWSKI.

Dnia 13 z. m. nadeszła z Krakowa wiadomość o śmierci zasłużonego historyka literatury i dramaturga, ś. p. Adama Bełcikowskiego.

Los zawistny, a może wrodzona skromność—nie dały mu zająć widoczniejszego w społeczeństwie stanowiska: nie cisnął się do zaszczytów i godności, katedr i szumnych tytułów, pozostał długie lata na skromnym stanowisku urzędnika Biblioteki Jagiellońskiej.

W roku 1885 świat uczony i literacki polski święcił 25-lecie działalności pisarskiej Bełcikowskiego. Nie poprzestano na toastach i wiwatach jubileuszowych, ale wzniesiono zasłużonemu pracownikowi nierównie trwalszą pamiątkę—wydano obszerny tom jego prac historyczno-literackich, p. t. „Ze studjów nad literaturą polską“ (Warszawa, 1886), a Piotr Chmielowski poprzedził go ciepłym słowem przedmowy.

I przypominał epokę, kiedy rozwijał się dziecięcy i młodociany umysł Bełcikowskiego, kiedy tworzyły się i utrwały jego pojęcia. Urodzony 24 grudnia 1839 r. w Krakowie, dojrzewał w epokę przekwitania romantyzmu, kształtowania się nowych dążeń pozytywistycznych. Współczesny Matejki, Grottgiera, Bałuckiego, Lubowskiego, Tarnowskiego, Szujskiego, zaczął tworzyć pod wpływem wznowionego wówczas ruchu umysłów w Krakowie

któremu sprzyjała też i chwila dziejowa. Na ruinach biurokratyzmu metternichowskiego. Austria przystąpiła właśnie do budowy nowego gmachu państwowości współczesnej.

W r. 1859 Bełcikowski, po ukończeniu nauk szkolnych, wstąpił na wydział filozoficzny uniwersytetu jagiellońskiego. Wkrótce potem, w ostatnim kwartale 1860 r. założone przez J. K. Turowskiego czasopismo p. n. „Niewiasta“ zamieściło, pomiędzy płodami kilku młodocianych piór (Szujski, Bałucki), pierwsze utwory poetyckie Bełcikowskiego.

Były wśród nich i dłuższe utwory: poemacik opisowy „Zofjówka“, dIALOG dramatyczny „Serafina“, wszystko jeszcze odgłosy kierunku romantycznego. Na nowe prądy jeszcze czas nie przyszedł.

Wkrótce po ukończeniu studjów uniwersyteckich Bełcikowski zostaje powołany, w charakterze docenta prywatnego, do wykładania historii literatury polskiej w warszawskiej Szkole Głównej. Prelekcję wstępną, p. n. „O znaczeniu historii literatury i rzut oka na całość naszego piśmiennictwa“, wygłosił w dn. 22 listopada 1866 r. Ale niedługo dane mu było pozostać na tem tak ważnem stanowisku: już w r. 1868, z chwilą przekształcenia Szkoły Głównej na uniwersytet z językiem wykładowym rosyjskim, Bełcikowski opuszcza Warszawę na zawsze. Jakiś czas wyklada w jednym z gimnazjów lwowskich, habilituje się, jako docent literatury polskiej, w uniwersytecie krakowskim, katedry wszakże nie otrzymuje, ubieżony przez Stanisława Tarnowskiego—i usuwa się w cień. Bo nie można nazwać areną szerszej działalności wykładów historii literatury powszechnej na kursach dla kobiet dra Adryana Baranieckiego, ni skromnego urzędu skryptora Biblioteki Jagiellońskiej, na którym pozostał do śmierci, pracując wśród umiłowanych książek, zadowolony ze swego losu, nieżądny zaszczytów i odznaczeń. Człowiek cichego serca i niepospolitych zalet charakteru!

Zrezygnowawszy z ambicji profesorskich, straciwszy nadzieję otrzymania katedry, która dwukrotnie mu się z rąk wymykała, nie złamał wszakże pióra. Przeciwnie, działalność jego pisarska wzmogła się z ustaleniem jego losu. Przybywają jej nawet nowe ogniwa: w utworach lirycznych dają się słyszeć nowe dźwięki, głoszące umiłowanie „prawdy nagiej“ i zapomnienie o „ułudach malowanych kwiatów“; zjawiają się utwory dramatyczne, po-

wieści i nowele. Rozpoczął od tragiedji z dziejów węgierskich z XV w., p. t. „Hunjady“ (wydanej w r. 1870 we Lwowie) i dramatu z czasów saskich: „Adama Tarły“ (w „Dzienniku Literackim“ w r. 1869), a potem przeszedł pod chorągiew lżejszej Muzy, napisał komedyjkę współczesną: „Nie jesteśmy sobie nic winni“ i krotoczwile: „Wizyta pana Feliksa“, komedję obyczajową p. t. „Protegujący i protegowani“, a wreszcie — i w tym rodzaju najbardziej celował — kilka komedji historycznych, t. zw. „kontuszowych“, jak: „Król Don Juan“ (z czasów Augusta II) i „Dwaj Radziwiłłowie“ (wiek XVII, Władysław IV), o dużej sile komizmu, żywym djałogu i zręcznej robocie scenicznej.

Niebawem powrócił do tragiedji i dramatu. Od roku 1873 powstaje cały szereg dzieł cenionych, a z nich niektóre cieszą się nawet powodzeniem teatralnem. Przedmioty do nich bierze przeważnie z historii Polski („Kmita i Bonarówna“, „Król Władysław Warneńczyk“, „Przysięga“, oraz najlepsze z nich: „Król Mieczysław II“, „Bolesław Śmiały“, oraz dramat, osnuty na tragicznych wypadkach 1794 roku, p. t. „Przekupka warszawska“), rzadziej — z dziejów obcych, jak np. „Franczeska di Rimini“.

Plon beletrystyczny Bełcikowskiego — nieobfity: dwie powieści („Dług honorowy“ i „Patryjarcha“), oraz dwie nowele („Domowe ognisko“ i „Stary kawaler“) — oto i wszystko.

Wśród studjów historyczno-literackich Bełcikowskiego do najwcześniejszych należą wizerunki poetów w. XVII, owoce sumiennych studjów warszawskich, skrupulatnego przygotowywania się do wykładów; takie np. prace, jak o Samuelu Twardowskim, o Wacławie Potockim, Andrzej Morsztynie, o satyrykach polskich w. XVIII, o najdawniejszem romanopisarstwie polskiem, to rzeczy na owe czasy bardzo pouczające, a nawet i dziś nie straciły swej wagi, chociaż przyszły nowe odkrycia i publikacje.

Wieku XVI dotyczą dwie wyczerpujące charakterystyki: Reja i Kochanowskiego, prócz tego osobno wydana, obszerna, doskonała monografia o Stanisławie Grochowskim; z pisarzy XVIII stulecia ze szczególną drobiazgowością opracował Bełcikowski Drużbacką, a potem Bohomolca, Zabłockiego, Karpińskiego.

Mniejszą już wagę posiadają studia z XIX wieku; z pośród nich wyróżniają się: rzecz o Brodzińskim, „Gustaw i Werther“, o ideałach kobiecych dwu poetów, o „Baldadynie“, „Irydjonie“, o dramatach historycznych Józefa Korzeniowskiego.

Tak przedstawia się całokształt puścizny piśmiennej Adama Bełcikowskiego. Człowiek nie dzisiejszy, szerszemu ogółowi obecnego pokolenia mniej znany, nie ubiegał się za łatwą popularnością. Niemniej jednak zajmie chlubną kartę w dziejach naszej literatury ostatniego półwiecza.

H. G.

MIECZYSLAW KARŁOWICZ.

Kilkanaście dni upłynęło zaledwie, jak po raz pierwszy usłyszeliśmy ostatni utwór Karłowicza, „Odwieczne pieśni“ pod dyrekcją samego kompozytora, i nikt z obecnych zaiste nie przypuszczał, aby to miał być utwór w istocie ostatni, aby to miała być „pieśń łabędzia“ wielkiego artysty, aby pieśnią „o śmierci“ sobie samemu „Requiem“ żałobne wyśpiewał...

Tęskną była zawsze dusza Karłowicza, należał on do tych organizacji duchowych, które na świat przez łyżę patrzą jedynie, którym „wszędzie smutno i zawsze jedno i zawsze źle i źle będzie“. Tęskniła dusza jego za tem, co przeszło i nigdy już nie wróci, za tem, co piękne, co jasne, co dobre, a czego nie widział naokoło...

Tęsknota już w kolebce owładnąć nim musiała: wysłał on ją ze swych stron rodzinnych: szum oczeretów z nad uroczych brzegów Prypeci kołysał do snu cichego małe dziecię, budziła je tęskna ligawka pastusza, rzewne poleskie pieśni pierś młodą tęsknotą poły... To też w pierwszych utworach młodego twórcy przebija przedewszystkiem bezbrzeżna, niczem nieukocona tęsknota; dość wziąć dla przykładu: „Smutna jest dusza moja“... „Skąd pierwsze gwiazdy“... lub „Pamiętam ciche, złote, jasne dnie“... Ale to była jeszcze tęsknota młodzieńcza, tęsknota cicha, uległa, bez buntu porywów, bez złorzeczeń i bluźnierstw. Dusza artysty tęskniła, bolała, lecz ulegała w końcu, czuła, że tak, jak jest, być musi, że źle jest na świecie, ale że jest to zło konieczne, że istnieje jakaś siła fatalna, jakieś fatum złowieszcze, co w cudny

dzień letni chmurą jasne słońce przysłania, co węzem trup dziecka obwija, co wstrętną ropuchą w łonie dziewczicy się kryje...

Złorzeczyć temu „czemuś”, temu straszliwemu widmu—niedoli, nie śmiał jeszcze, nie czuł się na siłach; to też w tym okresie swej twórczości lkał tylko cicho, skarżył się i ronił łzy...

Aż przewrót zaszedł w jego życiu: ze smutnych zapadłych stron, gdzie „martwa woda opalami błyska”, gdzie szumią sinutno trzciny nadwodne, gdzie smętna pierś chłopska zawsze jednak smętną pieśń zawodzi, zarówno w godzinie wesela, jak smutku, czy kochanków do ołtarza prowadzi, czy do snu wiecznego ich układa — wznosił się Karłowicz na szczyty wirchów Tatrzańskich; surowa, dzika, niedostępna, tragiczna w swym królewskim majestacie potęga Tatr nie mogła nie oddziaływać na nadwrażliwą duszę artysty, nie mogła pozostać bez echa w jego usposobieniu i twórczości. Tu szumiały mu wicherzy halne, tu kołysały go potężne smreki, tu dzika — nieokiełznana przyroda, urągająca gienjuszowi ludzkiemu, rozwinęła w Karłowiczu nowy pierwiastek: pierwiastek tragizmu — nieznany mu dotąd, wzbudziła bunt w jego duszy, przywiodła mu na usta najstraszniejsze ze słów ludzkich: „poco, dlaczego?”

Dlaczego ludzkość cierpi i wije się w męce, za czym tęskni przez wieki całe, poco żyje, jeśli marzeń swych urzeczywistnić nie zdoła, poco tyle krzywdy na świecie, czemu „człowiek człowiekowi wilkiem”? Po raz pierwszy wyraźnie odbiło się to w jego „Powracającej fali”, ale potężniej, dobitniej jeszcze w ostatnim tryptyku symfonicznym „Odwieczne pieśni”.

W części pierwszej „Pieśń o wiekuistej tęsknocie”, przedstawia on duszę, co tęskni za czemś wiecznym, ale i buntuje się zarazem, nie tę, co łązy ciche roni i losowi się poddaje, ale co ujścia szuka i zaspokojenia swych pragnień i uciszenia burz—„z Bogiem czy mimo Boga”. A jeśli ten Bóg, o którym mówią, że jest wszechmocny, próśb jego wysłuchać nie zechce, to ona walkę Mu wypowiada, walkę straszliwą, walkę do ostatka, bo czuje, że nie jest stworzona do wiecznej tęsknoty, że ma prawo do szczęścia, do radości — i o to swoje prawo upominać się będzie zuchwale. Kiedyż więc na koniec czas przyjdzie uspokojenia bólów wszelkich, kiedyż przyjdzie jakiś wiel-

ki Paraklet, który wszystkie burze uciszy, wszystkie łązy otrze, wszystkie tęsknoty ukoi... kiedy?...

I znowu straszne—tragiczne pytanie...

A tymczasem łązy płyną, straszne, krwawe łązy, łązy krwi przelanej niewinnie, łązy niesprawiedliwości i krzywdy, łązy niespełnionych nadziei, niewyśnionych snów...

A ręka śmiałka wznosi się ku niebu, a głos jakiś woła:

„Gdzie ten Bóg, co mnie zmógł?”...

Jeszcze beznadziejniejsza jest część druga: „Pieśń o miłości i śmierci”. Czyż nie straszliwie tragiczne jest samo zestawienie tych dwóch pojęć: miłości — tej potęgi twórczej, co życie rodzi i szczęście — i radość rozsiewa naokół — i nowe siły do życia wlewa w serca ludzkie — ze śmiercią — co dreszczem grozy przejmuję — co wszystkie ludzkie węzły zrywa, co ze wszystkim kochanem rozłącza... Takie zestawienie mogło powstać tylko w duszy, wielce męką życiową steranej, duszy, co pierwiastek śmierci dawno już w sobie nosiła... Tu miłość nie jest tem uczuciem promiennym, które chmurki nie zna na swem niebie, nie jest tem uczuciem bez troski, bez myśli o jutrze, bez przeczuć złowieszczych — tu w najpiękniejszy akord dwóch dusz splecionych wzajemnym uściskiem, wkłada się syk węża, tam jakiś fałszywy, straszliwy zgrzyt jakiś; tu miłość przez łązy się uśmiecha, tu słońce przez chmury przeziara, tu kwiat świeży chłodny powiew mrozi, tu w czasie wesela dzwou pogrzebowy się rozlega... Aż śmierć—wybawicielka nadchodzi — śmierć, co wszystkie łązy osuszy i wszystkie rany zagoi — i na jej powitanie rozlega się przepotężny hymn umęczonej duszy; śmierć — ten koniec katuszy, wyzwolenie — to zapomnienie i nicość... Lecz w tym tryumfalnym akordzie rozlega się znów krzyk straszliwy: to krzyk skargi za życie złamane, za czas stracony, za łązy napróżno wylane — to wyrzut straszny, w oblicze Stwórcy rzucony, za wszystko, co na marne tak poszło, za wszystkie niespełnione nadzieje, za wszystkie marzenia nieziszczone...

Ostatni to bunt: wielka wybawicielka cierpiących zbliża się, bierze w swe zimne dłonie umęczoną duszę tułaczka i uchodzi z nią — w nieskończoność... Bądź pozdrowiona, śmierci!...

I przyszła śmierć — ale nie ta oczekiwana, upragnio-

na, przyzywana po wielokroć śmierć—wybawicielka—ale przyszła tragiczna, straszna, zimna, w śniegowy całun spowita, zakradła się, jak złodziej—i porwała jednego z wybrańców naszych, i wydarła nam jednego z najbliższych braci, jednego z tych, którzy jako słońce jasne wschodzą na niebie, a których zajście mrok gęsty po sobie zostawia. Odszedł jeden z tych, których nie codziennie ziemia wydaje...

J. Frankowski.

Otrzymałmy zawiadomienie następujące:

Dnia 1-go marca 1909 r. zmarł słuchacz Wszechnicy Jagiellońskiej.

Zygmunt Drozdowicz

Kim był — o tem wie młodzież akademicka. Dziś, gdy mamy oddać Mu ostatnią przysługę koleżeńską, gdy już tylko pamięć Jego czcić możemy, uczcijmy ją w myśl Jego życzeń, wieńcem czynu. Ostatnie słowa, jakieśmy od niego słyszeli: „Zbudujemy dom Bratniej pomocy w Zakopanem“. Koledzy i Koleżanki! Jeżeli chcecie uszanować i uczcić pamięć Zycha według jego woli, składajcie zamiast wianków ofiary na budowę Domu Zdrowia Bratniej Pomocy w Zakopanem.

Cześć Jego prochom i pamięci.

„SPÓJNIA“

Stow. młodzieży postępowej
w Krakowie.

PRZEGLĄD PRASY.

PRASA KRESOWA I PROWINCJONALNA.

Feljeton *Dziennika Kijowskiego* zawiera zwykle rzeczy ciekawe i pożyteczne. Znajdujemy tam między innymi artykuł bez podpisu o pracach naukowych dra Guelpy. Autor omawia twierdzenia dra Guelpy, że alkohol jest odnowicielem organizmu. Poza tem znajdujemy „Kartkę z tak zwanej sprawy unickiej“—interesujący przyczynek do charakterystyki duchownych, sprowadzonych z Galicji do gubernji Siedleckiej i Lubelskiej. Działalność biskupów takich, jak Kuziemski, spory tego ostatniego z Gromeką, w sprawie naturalizowania czyli uprawosławiania unitów — aczkolwiek szkicowo, informuje dokładnie. czem było to naturalizowanie dla unitów polskich. Na opornych pisano wtedy do prokuratorów skargi, by pociągali ich do odpowiedzialności za świętokradztwo, lub karano cielesnie. Odcinek zapełnia Edwarda Schurego „Legiend Pompejańska“ w przekładzie I. K. Z tam pisma dowiadujemy się również, że dotychczasowy redaktor i wydawca „Dziennika“, hr. Grocholski, opuszcza zajmowane stanowisko. Redakcja przechodzi pod kierownictwo pp. Tomasza Michałowskiego i Antoniego Czerwińskiego.

W numerach lutowych *Gońca Wileńskiego* znajdujemy dowcipny artykuł, p. t. „Reforma sztuki scenicznej w Etyjopji“. Autorem tej pracy jest p. Jan Buthak. Gdyby nie podtytuł: „Luźne kartki z pamiętnika etjopskiego optymisty w wieku XX przed Chrystusem, odnalezione przy rozkopywaniu góry Bekieszowej w styczniu r. p. 1909“, możnaby, zwłaszcza początek, wziąć *à la lettre*, gdyż autor, doskonale symuluje stosunki etjopskie w Adisabebie, pokpiwa sobie z wileńskich stosunków teatralnych. P. Ludwika Życka zamieściła: „Egle, królowę węzów“, balladę z ludowych podań litewskich. W odcinku: Paweł i Wiktor Margueritte: „Piękna suknia“.

Bronisław Bouffał drukuje w *Kurjerze Litewskim* ciekawą monografię historyczną p. t. „Kościół a Państwo“. Ze szpalt pisma dowiadujemy się, że teatr wileński nadal prowadzić będzie p. Młodziejowska-Rezurkiewicz. Katastrofa więc zażegnana, a była chwila, że Wilno miało znów pozostać bez teatru. Kierowniczka literacka „Kurjera Litewskiego“ Eliza Orzeszkowa drukuje w nim powieść swą p. t. „Hekuba“. Niedzielne numery „Kurjera“ miewają stały dodatek p. t.: „Życie ilustrowane“. Nowela Marka Twaina „Pięć da-rów życia“, wiersze p. Rogowskiej, oraz ilustracje wydarzeń bieżących wypełniają ostatnie numery dodatku.

W Wilnie wychodzi tygodnik społeczno-poetyczny, popularno-naukowy i literacki p. t. „Wiedza”. Stałymi współpracownikami tego pisma są pp. L. Krzywicki, Aleksandrowicz, Kucharski, Posner Makowski, Korezak Czekalski, Strug. Ostatnie numery przyniosły pracę p. Zygmunta Wiśniewicza: „Ligi nabywców”; w nr. 9. omówione są dzieje „Królestwa Kongresowego”. Interesującym jest również artykuł p. J. Grabca: „Syn szlachecki — Zygmunt Krasiński”. W dziale beletrystycznym wyróżnimy: „Obrazki szpitalne” Janusza Korczaka. Redaktorem pisma jest p. Dominik Rymkiewicz. Prenumerata wynosi 4 ruble rocznie z przesyłką, bez przesyłki rubli 3, za granicą kor. 12.

W **Gazecie Kieleckiej** znajdujemy artykuł p. Hieronima Kołębryny p. t.: „Co myśli chłop polski o sprzedawaniu ziemi Niemcom?” Fakty, przytoczone przez autora, świadczą o znacznej stopniowo pochoptności do sprzedaży ziemi przez lud. I dlatego to p. Kołębryna pyta przy końcu swej pracy: Za co cię tak znienawiedzili, Polsko, że na cię sprowadzają przybyszów, jako by na tobie chcieli założyć Państwo niemieckie i sprowadzić zagładę Polski? Z innych artykułów, zamieszczonych w „Gazecie”, wyróżnimy jeszcze pracę Ks. Witalisa Grzelińskiego: „Monografia Chęcin”.

Wychodzący w Lublinie **Kurjer**, zamieścił w Nr. 36. pracę p. Eugenjusza Sokołowskiego p. t.: „Rosną!” Mowa w tym artykule o działalności Stanisława Konarskiego i Hugona Kołłątaja. Autor omawia znaczenie ich pracy społecznej, na tle epoki ówczesnej.

W **Gazecie Kalliskiej** w artykule niepodpisanym „Przed stu laty” znajdujemy ciekawy opis utarczek i bitw koło Nadarżyna, Rasżyna, Sandomierza i Zamościa. Krwawo zdobyte święto wkroczenia wojsk polskich do Warszawy w dniu 18 listopada 1809 roku przyniosło niewiele, bo tylko nadzieje—które niezadługo miały się rozwiać.



Otrzymałmy z prośbą o umieszczenie następujący

Komunikat:

*Przystępując do wydawnictwa listów, mów i poezji księcia **Kazimierza - Nestora Sapięhy** (generała artylerji Litewskiej i marszałka konfederacji Litewskiej; 1757 — 1798), zwracam się z uprzejmą prośbą do tych wszystkich, którzy są w posiadaniu wymienionych lub innych pism **Kazimierza-Nestora Sapięhy** (lub mają w tym kierunku jakąkolwiek wiadomość) o łaskawe udzielenie mi o nich informacji.*

Władysław ks. Sapięha.

Krasieczyn (Galicja).

W administracji „Sfinksa” Hortensja 4, (tel. 110-99) i w księgarniach są do nabycia następujące

WYDAWNICTWA „SFINKSA”:

- Cyprjan Norwid:** „Odczyty o J. Słowackim” (z portretem Norwida) kop. 60
- Henryk Heine:** „Pieśni współczesne” (przekład Wł. Nawrockiego, z portretem Heinego) „ 45
- Bernard Kellerman:** „Ingeborga”, powieść (przekład Br. Neufeldówny, okładka A. Gawińskiego) „ 75
- Jan Kleczyński:** „Rzeźba współczesna” (z reprodukcją „Myśliciela” Rodina) „ 60
- Na przesyłkę pocztową każdej z tych książek dołączyć trzeba kop. 15.*

- Portret barwny A. Świętochowskiego** według portretu K. Mordasewicza . . . kop. 60, pocztą „ 75
- Portrety pisarzy polskich, serja I:** Mickiewicz, Słowacki, Norwid, Asnyk, Konopnicka, Wyspiański, Żeromski, Kasprówicz. Kop. 80, poczt. rb. 1

LAMUS

KWARTALNIK.

Wydawnictwo podjęte w imię prawdy rzetelnej i własnej dla bogacenia wzruszeń mocnych i szlachetnych... Zgłębienie własnych źródeł, służba rycerska i część dla tego, co nasze, co czyste i szlachetne, szukanie wrażeń, bogacących dusze i serca — oto streszczenie dążeń LAMUSA.

Treść zeszytu pierwszego Lamusa:

Część pierwsza—Dzisiaj:

Smolarski Mieczysław: Gdzie huf ten wasz?
Wolska Maryla: Była raz królewna...
Kasprowicz Jan: Z cyklu „Chwile”.
Rylska Zofja: Dalekie echa.
Tetmajer Włodzimierz: Bronowskie wieczory.
Stamir: Mgławice.
Staff Leopold: Śladem stopy antycznej.
.: Rondo.
Wyspiański Stanisław: Wernyhora.
Pawlikowski Jan Gw.: Słowacki w okresie mistycyzmu.
Retinger J. H.: Humorysta dni dzisiejszych—Jules Renard.
Marek: Na czasie.

Część druga—Wczoraj:

Kornel Ujejski: Moja autobiografia.
Kornel Ujejski: Erotyki.
Mieczysław Romanowski: Z pamiętnika.
Bohdan Zaleski: Wzrok anielski.
Adam Asnyk: Sonety.
Cyprian Norwid: Przyczynek do „Rzeczy o wolności słowa”.
Cyprian Norwid: List.

Ze starszej Eddy — wedle miary oryginału przełożyła Maryla Wolska.

Różnorodności: Wiersze okolicznościowe i polityczne — Antologia.

ILLUSTRACJE:

Leon Wyczółkowski—Lamus (okładka).
Artur Grotger — Świt—Zmrok—Noc.
Jan Matejko—Przyjęcie Chrześcijaństwa w Polsce.
Portret C. Norwida (według współczesnej fotografii).

Redaktor **Michał Pawlikowski**, kierownik artystyczny **Feliks Jasieński**, wydawcy **A. Altenberg** i **J. Mortkowicz**.

Prenumerata roczna rb. 5. Cena zeszytu I-go rb. 1.40, porto 20 kop. od zeszytu.

Skład główny w księgarni **G. Centnerszvera** i **S-ki 143** Marszałkowska w Warszawie.—Prospekty na żądanie darmo.

Prenumeratę przyjmują oraz pojedyncze zeszyty sprzedają wszystkie księgarnie.

PRAWDA

NAJSTARSZY POSTĘPOWY TYGODNIK POLSKI

Wychodzi 28 lat przy najbliższym współudziale **Aleksandra Świętochowskiego** i **Aleksandra Lednickiego**.

Do komitetu redakcyjnego należą:

Stefan Gacki, Józef Lange, Wacław Łypaciewicz, Adam Zakrzewski i Kazimierz Życki.

Z dniem 1 Stycznia zaczęliśmy drukować w odcinku VI część poematu:

„D U C H Y”

Aleksandra Świętochowskiego.

W odcinku książkowym wyjdzie w tym roku dzieło

KAROLA GIDE'A

p. t. Rozwój instytucji społecznych XX w.

Adres: **Warszawa, ulica Rysia Nr. 3.**

Prenumerata roczna w Warszawie rb. 8. Na prowincji, w Cesarstwie i za granicą rb. 10.

Jedyny na całą Polskę

TYGODNIK ILLUSTROWANY, POŚWIĘCONY
teatrowi, muzyce i sztukom plastycznym

„SCENA I SZTUKA”

wychodzi w Warszawie, pod red. Ign. Chabielskiego przy współudziale najwybitniejszych sił literackich.

CENA PRENUMERATY WYNOŚI:

w Warszawie (z odnośzeniem)

Rocznie rb. 6, półrocznie rb. 3, kwartalnie rb. 1 kop. 75

W Królestwie, Cesarstwie i Zagranicą

Rocznie rb. 7 kop. 40, półrocznie rb. 3 kop. 70,
kwartalnie rb. 1 kop. 90.

Numer pojedynczy kop. 15.

ADMINISTRACJA „SCENY I SZTUKI”,

ul. Trębacka 10, telefonu 144-40.

Na prowincji i zagranicą można zamawiać przez księgarnie.

„Młoda muzyka“

dwutygodnik poświęcony muzyce wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca

Zawiera artykuły z dziedziny muzyki oryginalne i tłumaczone, sylwetki osób pracujących na niwie muzycznej, obszerny dział krytyki koncertowej, korespondencje ilustrujące ruch muzyczny całej Europy, wyczerpującą kronikę etc.

„Młoda muzyka“ ze względu na swój program śmiało się może nazwać

jedynym polskim pismem muzycznym.

Prenumerata: W Warszawie, Kraju, Cesarstwie i Zagranicą rocznie rb. 3 kop. 60, półrocznie rb. 2, kwartalnie rb. 1.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i zagranicą. Pojedyncze numery nabywać można w kioskach i księgarniach.

Adres Redakcji: **Warszawa, Krucza 7.**

„KULTURA POLSKA“

miesięcznik pod redakcją

Aleksandra Świętochowskiego,

zamieszcza studia, artykuły i sprawozdania, dotyczące życia politycznego i społecznego, nauki, sztuki, literatury, wogóle wszystkich dziedzin kultury polskiej.

Prenumerata: dla członków Tow. Kultury Polskiej rocznie 2 rb., dla nieczłonków 3 rb.; za przesyłkę i odnośnienie kop. 25 rocznie.

Adres: **Warszawa, Krucza 9.**

TYGODNIK ILLUSTROWANY

drukować będzie w roku 1909:

Nowe powieści: „UNIA“ przez Józefa Weyssenhoffa, powieść litewska z ilustracjami Konstantego Gorskiego i „CAR WIDMO“ przez Wiktora Gomulickiego, powieść ilustrowana z czasów zasiadania Władysława Zygmunta na tronie Rurykowym.

Przegląd literacki prowadzić będzie J. Weyssenhoff. Wieczory teatralne i muzyczne — Cz. Jankowski. Sprawy społeczne i polityczne — Wł. Rabski. Sztuki Plastyczne — A. Gawiński, T. Jaroszyński i H. Piątkowski. Przegląd historyczny — H. Mościcki. Każdy artykuł ilustrowany — Kroniki tygodniowe Bolesława Prusa. W każdym numerze kilkadziesiąt ilustracji.

Dodatki nadzwyczajne!! Reprodukce barwne najświetniejszych obrazów współczesnych malarzy polskich. Reprodukce dwubarwne na oddzielnych kartonach, z których utworzy się czasami galeria najnowszej sztuki polskiej.

W dodatku powieściowym najwybitniejsze utwory literatury europejskiej.

W roku przyszłym wydamy szereg numerów specjalnych, bogato ilustrowanych, z których wymienimy: Numer jubileuszowy „Tygodnika Ilustrowanego“. — Numer Słowackiego z powodu stulecia urodzin poety. — Numer Norwida, ułożony przez Miriamę. — Numer Jagielloński. — Numer Masonerii polskiej. — Numer „Zapomnianych“.

Nadzwyczajne premium Tygodnika Ilustrowanego:

Dla uprzywilejowania najszerszym warstwom nabycia szeregu dzieł wartościowych, pióra pierwszorzędných pisarzy polskich i obcych, postanowiliśmy zniżyć cenę **12 tomów cennych** i zajmujących powieści, nowel, poezji i dramatów, zniżyć tak, aby nabycie ich było możliwe dla wszystkich. Jakoż oznaczamy cenę tę na **rb. 2**, czyli zaledwie **po złotówce za duży tom**, zawierający od 200—400 str. ścisłego druku.

Na premjum omawiane przeznaczyliśmy książki następujące: A. Krechowiecki: „Mrok“, powieść historyczna. — K. Gliński: „Boruta“, powieść historyczna. — T. Jaroszyński: „Miasto“, powieść współczesna. — A. Gruszecki: „Zwycięzcy“, powieść współczesna. — T. J. Choiński: „Różycki“, powieść z dziejów poznańskiego. — F. Morzycka: „Powrotne fale“, nowele. — F. Brodowski: „Chwile“, opowiadania, nastroje, nowele. — Konar: „Panny“, powieść współczesna. — K. Laskowski: „Melodje“, poezje. — J. Słowacki: „Zawisza Czarny“, dramat. — Z. Sarnecki: „Szklana Góra“, baśń sceniczna. — M. Gorkij: „Dzieci słońca“, dramat.

Nazwiska wymienione mówią same za siebie, reklamować ich nie trzeba; jest to naprawdę jedyna sposobność wzbogacenia biblioteki domowej za bajecznie niską cenę, zwłaszcza, że możemy przyjmować po 50 kop. kwartalnie, wydając w takim razie po 3 tomy co kwartał. (Przesyłka 12 tomów rb. 1).

Prenumerata „Tygodnika Ilustrowanego“: w Warszawie, rocznie rb. 8, półrocznie rb. 4, kwartalnie rb. 2. Z przesyłką pocztową: kwartalnie rb. 3, półrocznie rb. 6, rocznie rb. 12.

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa, Zgoda 12, tel. 4-14.**

Helena z Massalskich Sumowska.

„SFINKS” WALC.

Okladka ozdobna.

Cena kop. 60.

Skład główny u L. Idzikowskiego w Kijowie.

Warszawa, Gebethner i Wolff. — Kraków, St. A. Krzyżanowski. — Lwów, Seyferth i Czajkowski. — Odessa, E. Ostrowski. — Wilno J. Zawadzki.

Tylko co wyszło nakładem redakcji „Sfinksa”:

WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI

„Poeta melodji i głębin i Poetka Idei“

(rzecz o Asnyku i Konopnickiej).

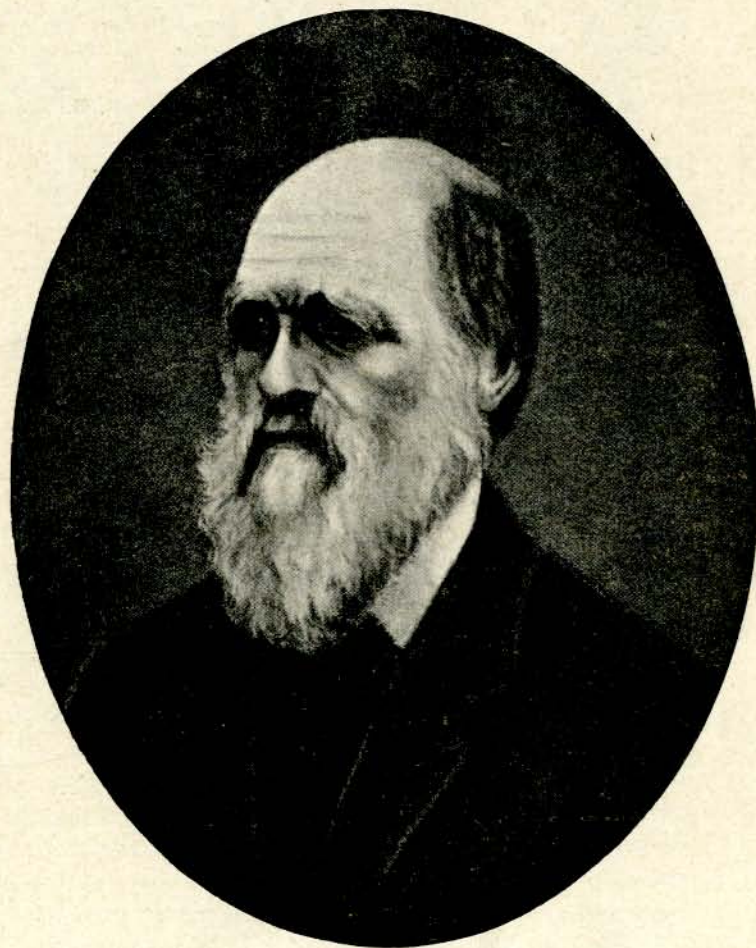
Dwa portrety, okładka Jacka Malczewskiego, ozdoby i winiety J. Rembowskiego i St. Wyspiańskiego.

Cena kop. 75, pocztą kop. 90, za zaliczeniem poczt. rb. 1.

Prenumeratorzy „Sfinksa”, nabywający tę książkę bezpośrednio w Administracji naszej (Hortensja 4, telefon 110-99), nie ponoszą kosztów przesyłki pocztowej.

Redaktor i Wydawca: WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI.

Druk A. Pęczalskiego i K. Marszałkowskiego, Erywańska Nr. 2-4.



Karol Darwin



JAN SOSNOWSKI.

KAROL DARWIN I TEORJA EWOLUCJI.

24 listopada 1859 roku, t. j. dzień ukazania się pracy Karola Darwina „O pochodzeniu gatunków“ będzie na wieki jedną z najważniejszych dat w historii myśli ludzkiej. Minęło zaledwie od owej chwili lat piędziesiąt, a wpływ mędrca z Down dotarł do wszystkich dziedzin wiedzy, ujarzmił je, stworzył pewien pogląd jednolity na wszechświat cały. Wprawdzie jeszcze Heraklit uczył, że wszystko płynie, wprawdzie po głowach wybitnych myślicieli wszystkich czasów błąkała się myśl zmienności form wszelkich—ale były to tylko pierwsze błyski ożywczych idei, były to intuicyjne odczucia jakiegoś procesu, odbywającego się w przyrodzie; dopiero Karol Darwin proces ten uchwycił i wykazał go oczom ludzkości całej. Rewolucja myśli z 1859 roku da się porównać chyba tylko z wpływem dzieła Kopernika „O obrotach ciał niebieskich“. Tu wszechświat przestał być sługą ziemi, a stał się całością jednolitą, harmonijną — tam nauczyliśmy się czytać w przeszłości światów, poznaliśmy miejsce, zajmowane przez nas wśród przyrody. Sam Darwin opracował głównie zagadnienie stawania się przeróż-

nych form organicznych, ale tem samem otworzył naoścież wrota dla wielkich koncepcji ewolucyjnych, które poprzednio z nieśmiałością i powolnością torowały sobie drogę do uznania.

W sferach naukowych myśli Darwina spotkały się odrazu z należytem uznaniem, opór zasadniczy był bardzo krótki i słaby, gdyż teoria zjawiała się w samą porę, kiedy wszystko było na jej przyjęcie gotowe, kiedy umysły dzielniejsze wyczekiwały jej niejako. W szerokich zaś warstwach nie przyrodników poglądy Darwina znalazły bądź zdecydowanych stronników, bądź przeciwników namiętnych. Nie poruszajmy jednak tych spraw! Zatrzymanie się nad niemi, szczególnie w roku jubileuszowym, uwłaczałoby pamięci tytana myśli. Nauka ma swoje królestwo, położone na szczytach podniebnych, dokąd nie sięga poziome nieuctwo. Ani zachwyty, ani oszczerstwa gawiedzi nie przeszkodziły Darwinowi zająć miejsca poczesnego wśród gienjuszów ludzkości, a zwałom jego spocząć w Opactwie Westmisterskiem wśród królów Anglii—z ducha i z rodu.

Urodzony 12 lutego 1809 r., Karol Darwin studjował początkowo medycynę w Edynburgu i wtedy już wykazywał zainteresowanie się kwestjami biologicznymi oraz wielki dar spostrzegawczy. Był potem na teologii w Cambridge, ale i wtedy wrodzone skłonności ciągnęły go do obcowania bezpośredniego z przyrodą, to też urzędowe studia szły bardzo źle, i niktby w owym studencie nie przewidział przyszłego prawodawcy myśli ludzkiej. Ale wkrótce sytuacja się zmieniła. W 1833 roku dwudziestoczteroletni Karol Darwin wstąpił na pokład koreswety Beagle, udającej się pod komendą kapitana Fitz-Roy w podróż dokoła świata. Był to fakt przełomowy w życiu Darwina. Zaznajomienie się z fauną i florą w jej przejawach różnorodnych, na odległych wyspach i kontynentach, zbudziło drzemiący gienjusz. Po latach pięciu z podróży wrócił Darwin już jako wielki uczony, z niepospolitą bystrością umiejący patrzeć w przyrodę,

w głowie jego kielkowała idea ewolucyjna, której opracowaniu poświęcił resztę swego żywota. W majątku swoim Down pod Londynem z niezmordowaną energją zbierał on materiały do interesującej go ponad wszystko kwestji. Po paru latach zaznajomił on ze swymi poglądami kilku przyjaciół najbliższych i pracował dalej, nie śpiesząc z ogłoszeniem wyników swej pracy. Traf zrządził, że w 1858 roku Wallace, studjujący przyrodę archipelagu malajskiego, przysłał Darwinowi rękopis swej pracy, w której wypowiadał poglądy bardzo zbliżone do myśli Darwina. Z namowy przyjaciół, Lyella i Hookera, zdecydował się Darwin razem z komunikatem Wallace'a ogłosić wyciąg ze swoich notatek. Wkrótce potem ukazało się dzieło „O pochodzeniu gatunków“, oraz szereg innych, poświęconych dalszemu opracowaniu zagadnień ewolucyjnych.

Spróbujmy przyjrzeć się bliżej wielkiemu dziełu Darwina — i zaraz na wstępie zauważymy, że mamy tu do czynienia z dwiema zupełnie różnemi stronami tego samego zagadnienia. Po pierwsze zastanowić się trzeba, czy sam fakt ewolucji—przynajmniej form organicznych—jest stwierdzony dostatecznie. Jednocześnie musimy wskazać jego ślady, musimy wykryć mniej więcej drogi, jakimi szedł rozwój organizmów. Po drugie musimy zrozumieć przyczyny, wywołujące przekształcenie się gatunków. Co do zagadnienia pierwszego, to obecnie między biologami panuje prawie zupełna jednomyślność; niemal wszyscy zgadzają się na to, że postacie zwierzęce i roślinne mogą się przekształcać, że życie na ziemi pojawiło się w formach najprostszych, a z nich drogą przemian ustawicznych powstały gatunki dziś istniejące. Paleontologowie wykazują nam w różnych warstwach ziemi kolejne następstwo gatunków, znikanie jednych, występowanie powolne innych. W niektórych przypadkach udało im się krok za krokiem wysledzić przemiany pewnych organów. Znamy np. szereg szkieletów, wykazujących, jakim sposobem przekształcała się kończyna pięciopal-

czasta w nogę końską, która posiada jeden tylko palec rozwinięty. Anatomowie uczą, że w budowie zwierząt przeróżnych znajdujemy znaczne podobieństwa, że wiele organów, pozornie bardzo odmiennych, stanowi tylko modyfikacje jednego pierwotnego typu — co nazywamy homologją. Dość jest choćby przytoczyć, że ręka człowieka, skrzydło nietoperza i pletwa wieloryba posiadają układ kości identyczny w zasadzie. Takie podobieństwa występują z wyrazistością szczególną u zwierząt młodych, u zarodków. To też dawno już wypowiedziano pogląd, podnoszony do godności zasady rozwojowej (biogienetycznej), że rozwój osobnika jest jak gdyby skróconem powtórzeniem rozwoju rodowego zwierząt. Widzimy, na przykład, że w zarodku ssaków zarysowują się na szyi łuki skrzelowe, które uważać można chyba jedynie za wspomnienie po przodkach odwiecznych, którzy mieszkali w wodzie i posiadali skrzel. Wreszcie i fizjologia w czasach ostatnich złożyła poważny przyczynek na ołtarzu teorii ewolucyjnych; udało się mianowicie wykazać, że krew i wogóle ciecze organiczne pod względem chemicznym i chemiczno-biologicznym są tem bardziej do siebie podobne, im bliższe jest pokrewieństwo gatunków, ocenione na zasadzie ich cech anatomicznych.

Daleko już mniejsza jednomyślność panuje co do drugiego z wymienionych zagadnień — t. j. wyznaczenia dróg, któremi szedł rozwój postaci zwierzęcych i roślinnych, a tem samem zbudowania drzewa gienealogicznego organizmów. Możemy obecnie czynić to tylko szkicowo, w niektórych jedynie grupach, a są i takie organizmy, o których pokrewieństwie bardzo niewiele można powiedzieć.

Najgorzej jednak przedstawia się zagadnienie może najciekawsze ze wszystkich — t. j. zagadka przyczyn ewolucji. kształtujących ją sił. Tutaj Darwin jest wzorem niedoścignionym; następcy jego starają się wykończyć szczegóły w budowlu mistrza, wykazują słabsze jej miej-

sca, ale zasadniczo nowej koncepcji nikt dotychczas nie stworzył.

W rozważaniach, dotyczących przyczyn przekształcania się gatunków, Darwin oparł się na znajomości sposobów, których używają hodowcy dla wytwarzania nowych ras. Metody te są w zasadzie bardzo proste; ze wszystkich dostępnych mu osobników wybiera hodowca do rozmnażania te tylko, które pożądaną dla niego cechę posiadają w stopniu wyższym od innych. Pokolenie, zrodzone z takich osobników będzie ową cechę posiadało na ogół silniej rozwiniętą, niż to było poprzednio; dobierając w ten sposób przez szereg pokoleń, możemy otrzymać rasę nową, obdarzoną własnościami, zgodnemi z celem hodowcy. Grają tu rolę trzy czynniki: zmienność, dzięki której nie znajdujemy w obrębie gatunku dwóch osobników identycznych; dziedziczność, dążąca do przekazywania potomstwu nie tylko gatunkowych, ale również indywidualnych cech rodziców, wreszcie dobór osobników, przeznaczonych do rozplodu. Jakże wyniki tą drogą osiągnąć można, wskazuje jeden rzut oka na przeróżne rasy zwierząt domowych, które wszystkie w ten sposób powstały. Jako ilustrację potęgi doboru sztucznego przytacza Darwin, że po ogłoszeniu konkursu na wyhodowanie koguta rasy hiszpańskiej ze stojącym grzebieniem, w ciągu pięciu lat warunki konkursu zostały wypełnione.

Zastanówmy się teraz, w jaki sposób możnaby zastosować zasadę doboru do organizmów, żyjących poza sferą działalności człowieka. Zmienność i dziedziczność istnieją wśród nich bezwątpienia; brak nam tylko hodowcy. Rozwiązanie tej kwestji podsunęła Darwinowi książka Malthusa, w której uczony ekonomista starał się dowieść, że ludzkość rozmnaża się znacznie prędzej, niż na to pozwala wzmożenie się wytwórczości i bogactw. Idea Malthusa jeszcze lepiej daje się zastosować do świata organizmów; Darwin oblicza, że jedna para słoni w ciągu lat 584 da-

łaby dziesięć milionów osobników, o ile wszyscy jej potomkowie mogliby bez przeszkody rosnąć i rozmnażać się. A przecież słoń należy do istot bardzo wolno się rozradzających, gdyż samica żyje koło 90 lat i przez ten czas wydaje zaledwie trzy pary młodych. Cóż więc dopiero mówić o tych zwierzętach, które w ciągu krótkiego życia składają tysiące jajek! Wszak dla utrzymania gatunku w niezmienniej ilości egzemplarzy, trzeba tylko, żeby każda para rodzicielska pozostawiła po sobie dwoje następców. Widzimy z tych przykładów, jak wielka ilość istot, przychodzących na świat, skazana jest z góry na śmierć przedwczesną. Pozostaje tylko pytanie, czy podczas takiego niszczenia osobników zbytecznych gra rolę jedynie przypadek, czy też o śmierci lub życiu danej istoty decydują pewne, jej właściwe cechy indywidualne. Darwin właśnie zakłada, że w owej walce o byt, w walce o pokarm, o miejsce na ziemi, zapewniają zwycięstwo osobiste zalety, wady zaś nieuchronną pociągają śmierć. W ten sposób walka o byt usuwa cechy szkodliwe, a zachowuje korzystne, przytem o szkodliwości lub pożyteczności danej cechy organizacji, decyduje całokształt warunków życia zwierzęcia; w jednym przypadku może się okazać korzystną ruchliwość, w innym zaś powolność, w jednym odwaga — w innym tchórzostwo. O ile zgodzimy się na wszystkie przesłanki powyższe, to wytłomaczenie powstawania cech pożytecznych u różnych organizmów nie będzie przedstawiało żadnej trudności; zrozumiemy tą drogą wszystkie różnorodne, a tak ciekawe przystosowania do warunków bytu, jakie na każdym kroku spotykamy. Ażeby nauczyć się władać tym orężem myślowym, jaki dał nam w ręce Darwin, w postaci teorii doboru, rozpatrzmy choć jeden z przykładów. W naszych lasach sosnowych jesienią spotkać można bardzo łatwo małe koniki polne (z gatunku *Tettix*), rdzawo-czarnej barwy z żółtą pręgą, ciągnącą się wzdłuż grzbietu, która do złudzenia naśladuje barwę zeschłych igieł sosnowych, podczas gdy boki nie dadzą się odróżnić

od ziemi nagiej. Zdarzało mi się nieraz widzieć, gdzie siadał ów konik, nie mogłem go jednak dojrzeć, gdy siedział bez ruchu. Powstanie i utrzymanie zwierzęcia tak zabarwionego teoria doboru naturalnego tłumaczy nam w sposób dość prosty. Z pomiędzy wszystkich koników polnych, zamieszkających w lasach sosnowych, tylko osobniki podobne do wyżej opisanych mogły unikać wzroku wrogów, szczęśliwie ująć niebezpieczeństwa, wydać na świat potomstwo i przekazać mu swoje barwy ochronne.

Teoria doboru naturalnego tłumaczy nam powstawanie cech użytecznych dla organizmu, ale całkowicie okazuje się bezsilną wobec szczegółów budowy obojętnych z tego punktu widzenia. Jakkolwiek trudno jest bardzo orzec, co jest dla organizmu korzystne, a co obojętne, to jednak istnieją takie cechy, co do których nie może być chyba wątpliwości. Taki ogon pawia, upierzenie ptaków rajskich, chyba nie mogą być uznane za pożyteczne. Dla wytłomaczenia barw i kształtów ozdobnych Darwin wprowadził pojęcie doboru płciowego. Zdaniem jego osobniki łączą się w pary małżeńskie nie przypadkowo, samica nie oddaje się pierwszemu samcowi, spotkanemu na swej drodze, ale czyni pewien wybór. Innemi słowy, samiec, posiadający najwięcej cech miłych dla samicy, ma najwięcej szans pozostawienia potomstwa i przekazania mu tych cech, z pomocą których podbił serce swej małżonki. Jednak i dobór płciowy nie wystarcza, zdaniem Darwina, do wytłomaczenia wszystkich cech budowy organizmów. Przyjmuwał on też bezpośrednie działanie kształtujące warunków otoczenia, oraz działanie t. zw. korelacji, to jest zależności wzajemnej różnych części organizmów.

Przyjrzyjmy się teraz krytycznie wszystkim wyżej wymienionym poglądom Darwina. Przedewszystkiem, czy jest słuszne zasadnicze twierdzenie, że zalety osobiste decydują w walce o byt. Zarzut niejednokrotnie stawiany polega na tem, że większość obserwowanych wahań

indywidualnych jest bardzo nieznaczna i nie może chyba stanowić dostatecznego punktu oparcia dla doboru naturalnego. Każda cecha może być dopiero wtedy użyteczna, jeżeli osiągnie znaczny stopień rozwoju, a jej pierwowciny, jej zaczątki nie mogą zwykle odgrywać żadnej roli. Jeżeli np. podobieństwo do zeschłego liścia może być dla motyla korzystne, gdyż chroni go przed okiem zwierząt owadożernych, to jakiś szkic takiego podobieństwa nie może chyba złudzić nikogo. Niestety, bezpośrednich obserwacji mamy niewiele, a wszelkie zastanowienia się w ciszy gabinetu nad prawdopodobieństwem tych zjawisk do niczego nie prowadzą. Umiejętność i chęć bezpośredniego obserwowania przyrody zanikła jakoś w młodych pokoleniach przyrodników, a bez tego nie można zrobić kroku naprzód w rozumieniu zagadnień biologicznych. Sprawa zabarwień ochronnych, naśladowania jednych form przez inne, czyli mimetyzmu i t. p. źle stoi. Coraz częściej rozlegają się głosy, że wszystko to jest bajeczką dla grzecznych dzieci. Wszyscy obserwatorowie zgadzają się, że motyle rzadko bardzo są chwywane przez inne zwierzęta i przez to ich barwy nie mogą mieć znaczenia ochronnego. Z drugiej strony mamy dowody, że cechy indywidualne mogą decydować o przeżyciu osobnika; Bumpus zbadał 136 wróbli, które zginęły podczas wielkiej burzy 1 lutego 1899 roku. Okazało się, że wszystkie one wykazały pewne odstępstwa od typu normalnego wróbla; innemi słowy, burza owa z pomiędzy wróbli usunęła wszystkie osobniki, które pozwoliły sobie na wahania indywidualne, upośledzające zdolność lotu, a pozostawiła wszystkie, zbliżające się do przeciętności, oraz prawdopodobnie te osobniki, które lepiej jeszcze od normalnych przystosowane były do unoszenia się w powietrzu. Trudno wobec takich faktów zaprzeczać całkowicie istnieniu i działaniu doboru, jakkolwiek co do zakresu jego działania mogą istnieć poważne różnice zdań. Podczas gdy jedni uczeni z Wejsmanem na czele mówią o wszech-

potędze doboru, inni twierdzą, że wpływ jego na tworzenie się gatunków jest bardzo mały, albo żaden.

Drugą postacią doboru jest dobór płciowy. O jego istnieniu w przyrodzie wiemy bardzo mało na zasadzie bezpośrednich obserwacji. Hartmann obserwował w Ameryce, jak samice piewików przylatują do śpiewającego samca, i Darwin przypuszcza, że najlepsi śpiewacy przynęcają najwięcej samic i tą drogą sama umiejętność śpiewu rozwinąć się mogła. U pajaków również jakoby zauważono, że samice wybierają z pośród samców takiego, któremu się oddać zechcą. Samce ptaków bądź to śpiewem, bądź wyglądem swym starają się pozyskać samice. Te wszystkie przykłady zdają się dowodzić, że pewne formy doboru płciowego istnieją, jakkolwiek znane są i takie przypadki, kiedy samica bez wyboru oddaje się pierwszemu lepszemu samcowi.

Obie kategorie doborów mogą wywrzeć działanie dopiero przy istnieniu odpowiedniej zmienności, oraz dziedziczenia tych cech indywidualnych. To też badania nad temi dwiema własnościami organizmów zadecydują o losach naszych teorii ewolucyjnych.

Obserwacje lat ostatnich wykazują, że istnieje kilka rodzajów zmienności. Najpospolitszą jest zmienność, zwana fluktuacyjną. Cechę jej charakterystyczną stanowi stosowanie się do zasad przypadku czyli prawdopodobieństwa. Dla każdej własności w obrębie gatunku będzie istniała pewna wartość przeciętna, od której poszczególne osobniki będą się mniej lub więcej odchylały. Im większe będzie odchylenie, tem prawdopodobieństwo jego będzie mniejsze, czyli tem rzadziej spotykać się ono będzie. Dla przykładu pozwolę sobie przytoczyć tabliczkę, wskazującą rozdział pewnej cechy, t. j. w danym razie siły, pomiędzy ludźmi. Do doświadczeń należało 519 młodych mężczyzn między 23 a 26 rokiem życia; siłę każdego z nich mierzono siłomierzem.

Wyniki dadzą się zestawzić w sposób następujący:

S I Ł A.	IŁOŚĆ OSOBNIKÓW
poniżej 50 funtów	10
" 60 "	42
" 70 "	140
" 80 "	168
" 90 "	113
" 100 "	22
powyżej 100 "	24

Widzimy, że najwięcej osobników posiadało siłę średnią, t. j. od 70 do 80 funtów. Podobne rezultaty otrzymamy, badając jakąkolwiek inną własność człowieka czy zwierzęcia: wzrost, wagę, wielkość liścia i t. d.

Prócz tej zmienności istnieje inna jeszcze, nosząca nazwę mutacyjnej, zbadana głównie przez holenderskiego botanika Hugo de Vriesa. Zauważył on mianowicie, że z nasion wiesiołka (*Oenothera Lamarckiana*) wyrastają od czasu do czasu osobniki bardzo się od przodków swych różniące, posiadające nowe zupełnie cechy budowy. Z chwilą zwrócenia uwagi na te mutacje okazało się, że nie są one jedyne w swym rodzaju; spotkać je czasem można i u innych organizmów, a historia nauki przekazała nam również kilka takich przykładów; znał je już Darwin, ale nie przywiązywał do nich wagi. Zasługi de Vriesa na tem polu są olbrzymie, lecz praca to ledwie zaczęta. Wiemy, że mutacje różnią się od fluktuacji, że występowanie ich nie podlega prawom opisanym powyżej—ale nie wiemy nic o stosunku wzajemnym tych obu rodzajów zmienności, nie przeczuwamy nawet przyczyn

mutacji. Dla sprawy powstawania gatunków, co ma znaczenie większe — mutacja, czy fluktuacja? Oto pytania, emocjonujące obecnie biologów. Darwin wiedział o mutacjach, ale nie przypisywał im znaczenia większego, następcy jego wyraźnie stanęli po stronie zmienności fluktuacyjnej, jako czynnika głównego w sprawach tworzenia się form nowych. Hugo de Vries i jego stronnicy twierdzą, że jedynie drogą mutacji można wytworzyć nowy gatunek gdyż cechy mutantów przenoszą się na potomstwo całkowicie. Wahania fluktuacyjne dziedziczą się inaczej nieco; jeżeli dorozpłodu użyjemy z danego pokolenia typów skrajnych, t. j. odbiegających od wartości przeciętnej, to w ich potomstwie owa wartość przeciętna przesunie się nieco, ale nie osiągnie nigdy wysokości rodzicielskiej. Jeżeli np. wartość danej cechy w pewnym pokoleniu oznaczmy liczbą dziesięć, a do rozpłodu użyjemy osobników posiadających cechę, równą trzynastu, to w pierwszym pokoleniu potomnem otrzymamy przeciętną, równą dwunastu, t. j. wartości przeciętnej rodziców, czyli dziesięciu więcej dwie trzecie różnicy wartości rodziców, oraz przeciętnej ich pokolenia. Ta różnica wynosi trzynastcie mniej dziesięć czyli trzy, a dwie trzecie trzech wypada dwa; dziesięć i dwa, czyni razem dwanaście. W ciągu pokoleń następnych powiększanie cechy żądanej drogą doboru będzie szło coraz wolniej, aż wreszcie dojdziemy do kresu. Kiedy zaczęto hodować buraki cukrowe, to zawartość cukru wynosiła w nich 7%—8%; w ciągu krótkiego czasu udało się podnieść ją do 14% lub nawet 16%, ale dalszy postęp okazuje się niemożliwym. Jeżeli zwrócimy jeszcze uwagę na to, że takie uszlachetnione przez dobór rasy wracają zaraz do postaci pierwotnej, o ile dobór działać przestanie, to zaiste musimy pesymistycznie patrzeć na możliwość wytwarzania tą drogą nowych gatunków. Darwin przypuszcza, że rasa ostatecznie po wielu pokoleniach może się ustalić—ale niestety, dowieść tego niepodobna bezpośrednio. Póki nie będziemy znali dokładnie praw zmienności i dziedziczności, póty wszystkie

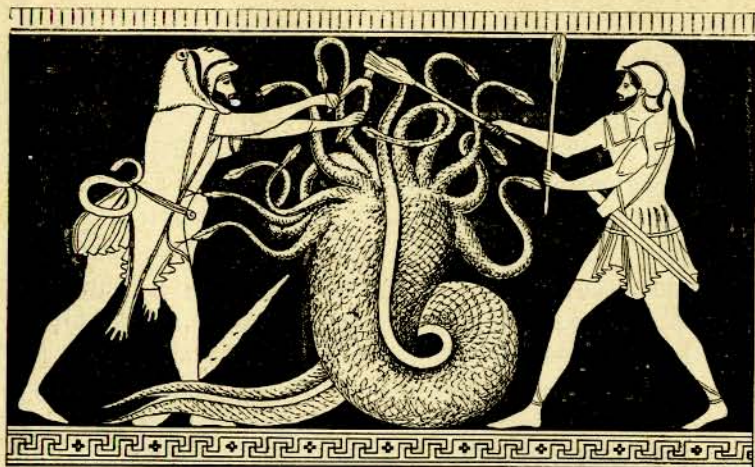
nasze zastanawianie się nad powstawaniem gatunków będą miały charakter oderwanych konstrukcji umysłowych, mało posiadających podstaw realnych.

Jeszcze przed Darwinem gieñjalny Lamark widział przyczynę przekształcania się gatunków w bezpośrednim wpływie otoczenia, oraz w używaniu i nieużywaniu organów. Darwin uznawał działanie tego czynnika—a następcy jego rozdzielili się na dwa obozy. Zwolennicy wszechpotęgi doboru negują całkowicie znaczenie czynników, wskazanych przez Lamarka, inni zaś badacze, przybrawszy miano neolamarkistów, skłonni są mniemać, że organizm jest jako glina plastyczna w ręku przyrody otaczającej. Niektórzy z nich uznają nawet, że chęć sprostania warunkom życia, że wola zwierzęcia jest głównym czynnikiem powstawania form nowych. Ten kierunek przekracza zdaniem mojem granice ścisłego przyrodoznawstwa, pomijam go przeto i chciałbym słów parę poświęcić działaniu bezpośredniemu warunków życia. Nikt obecnie nie może wątpić, że czynniki zewnętrzne mogą bardzo silnie wpływać na szczegóły budowy organizmu. Prace Fiszera i Standfussa nad zabarwieniem motyli, Gebela, Klebsa nad roślinami dostarczyły bardzo wielu danych w tej mierze. Ale dotychczas nie jest rozstrzygnięte pytanie, czy cechy w ten sposób wywołane, czy cechy nabyte w ciągu życia mogą się przenosić na potomstwo. Wszelkie okaleczenia zewnętrzne napewno się nie dziedziczą, a co do zmian innych, głębiej sięgających, zdania są dotychczas podzielone, jakkolwiek zwycięstwo przechylać się poczyną na stronę zwolenników dziedziczenia cech takich. Czyż możemy jednak widzieć tu jedyną przyczynę ewolucji? Wszak jedną z najbardziej rzucających się w oczy cech organizmów jest ich przystosowanie do warunków bytu. Jeżeli te przystosowania są wynikiem wpływu bezpośredniego otoczenia na organizm, to chyba musielibyśmy przypuścić jakąś zgóry przewidzianą harmoniję, jakąś zasadę celowo działającą i obcą przyrodoznawstwu. Tu leży zagadnienie, któremu

dotychczas jedynie dobór naturalny — w teorii przynajmniej — sprostac potrafi.

Dobiegamy końca. Od czasów Darwina zagadnienie przyczyn ewolucji niewiele posunęło się naprzód. Do jego poglądów nie wniesiono nic zasadniczo nowego, pogłębiano tylko i podkreślano tę lub ową stronę teorii gieñjusza z Down. Dopiero badania nad zmiennością i dziedzicznością, ściśle — sine ira et studio — prowadzone, zaprzestanie spekulacji gabinetowych, wniknięcie w życie przyrody — pozwolą nam posunąć się nieco naprzód. Trzeba nam obecnie zebrać nowy materiał, który posłuży za punkt wyjścia nowej syntezy. Co można było zrobić z faktami nam znanymi, to wszystko uczynił Darwin.





ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI: EPIKUREJCZYCY.*)

Epikura trzeba tak odkopywać z bajek w historii, jak Pompeję w zasypie wezuwiuszowym z ziemi. Wulkan stoicko-chrześcijański pokrył go takim nalotem lawy i popiołu, a późniejsze oszczerstwa taką warstwą zmyśleń. że powstała z tego ogromna mogiła, pod którą miał spoczywać samolubny rozpustnik, a spoczywał mędrzec. Czego na tę górę nie zwalono!

Z Olimpu wypędził wszystkich bogów, prócz pijanego Bachusa i rozpasanej Wenery; z moralności wykreślił wszystkie obowiązki, prócz nakazu tuczenia leniwego ciała; w sercu pogasił wszystkie uczucia, prócz popędu zmysłowej rokoszy. On to w duszy człowieczej zdławił szlachetne drgnienia, on w niej zaszczerpił lub rozbudził najgrubsze instynkty i wskazał im najsprośniejsze zadowolenia. Na co moralność rzuciła zawsze osłonę wstydu, to on zuchwale na jaw wydobył i za cel rozumnym żądaniom postawił.

Odczyt ten w części jest oparty na rozprawie autora o „Epikureizmie“, 1880 r.

Dotąd jeszcze nie ci tylko, którzy karmią swe niewybredne dusze plotkami tradycji, ale nawet uczeni zniesławiają pamięć Epikura. Gruntowny znawca dziejów filozofji, a w każdym razie poważny jej badacz i profesor uniwersytetu, H. Struve, w takim wizerunku przedstawił zeszłego roku typ epikurejczyka: jest to bezwzględny egoista, który poza sobą o nikogo i o nic nie dba; sypia spokojnie, ale dziwi się, że jego wierzący nie cierpią na bezsenność; lekką ręką strąca swoje dzieci w wiry losu, wyzyskuje przywiązanie żony i pracę podwładnych, pali dobre cygara, zapewnia sobie cudzym kosztem wszelkie wygody, obojętnie patrzy na nędzę i potrzeby społeczne—i nie poczułby dreszczu, gdyby cały świat obok niego w gruzy się rozpadł, aby tylko na tej ruinie on zadowolony ocalał.

Tak potwornem, zgniłem lub wystudzonem z wszelkich szlachetnych uczuć ma być żyjące dotąd potomstwo Epikura.

„O, ty — wołał w swym poemacie przed 2000 lat jego uczeń—który pierwszy zdołałeś wydobyć dobroczynne światło z wielkiej ciemności i oświecić niem dary życia, ozdobo greckiego narodu, wstępuję dziś w ślady, które stopami swemi odcisnąłeś! Nie pragnę wcale z tobą się mierzyć; miłość jedynie pobudza mię do naśladowania ciebie. Bo czyż jaskółka mogłaby współzawodniczyć z labędziem? Czy na wyścigowym torze drżący koziołek dotrzymałby kroku silnemu rumakowi? Tyś ojcem, wynalazcą rzeczy, jak ojciec dajesz nam wiedzę; tyś sławiony przed wszystkimi, my jak pszczoły, które na ukwieconych łąkach wszystkiego kosztują, obrywamy z pism twoich złote słowa“. „Tak—mówi tenże poeta w innem miejscu—on był bogiem, który pierwszy zbadał prawa życia, zwane dziś mądrością, który sztuką wyciągnął to życie z otchłani i przywiódł do spokojnego portu — on przeżył duchem wszystkich śmiertelnych i zgasił ich, jak wschodzące w eterze słońce gasi gwiazdy“.

Trudno o większą sprzeczność! Tam odraza, tu

czeń; tam patron rozpusty, tu bóg; tam wizerunek Epikura czarną sylwetką na jasnym tle myśli ludzkiej, tu świetlanem odbiciem od ciemności; blisko nas wrzawa szynerskich lub wzdurliwych głosów, wypłaszających z życia pamięć bezwstydnika, a w oddali dziejowej uroczysta do wielkiego ducha modlitwa.

Zaiste, dziwnie połamana linją przebiega głos opinii o wielkich ludziach.

Postarajmy się ją sprostować.

Koniec V. wieku przed Chr. był w Grecji chwilą najwyższego jej politycznego wzniesienia się, po którym zaczęła ona upadać. Już z ostatniem tchnieniem Peryklesa uleciał potężny duch, który ją dotąd ożywia.

Późniejsze błyski bohaterstwa Alcybiadesów i Epaminondasów były tylko świetnemi meteorami, które olśniewały naród na krótko i gasły, nie zdoławszy rozwidnić zapadającego mroku. A mrok ten podążał tak śpiesznie, że w drugiej połowie czwartego stulecia rozpościera się już nad Helladą posępna noc, w której łonie huczy groźna burza i rozlegają się grzmoty. Nareszcie wielka chmura, którą stróż narodu oddawna wskazywali, stoczyła się z północy, obciągnęła cały widnokrąg i jednym piorunem pod Cheroneą zdruzgotała polityczną niezależność Grecji. Daremnie wśród tego uraganu i gromów natchniony Demostenes przebiegał kraj z pochodnią w ręku, rozświecając ziomkom zbawczą drogę; daremnie pioruny wojennej siły Filipa starał się odeprzeć piorunami ognistej swej wymowy; on i jemu podobni, pokonani przez swoich i obcych, musieli truć się lub wygryzać sobie języki, jeżeli nie chcieli, ażeby im nieprzyjaciół je powyrywał.

Pomimo więc cząstkowych i nieraz rzeczywiście bohaterских wysiłków, Grecja uległa. Los jej jednak nie był jedynie wypadkiem przełamującej wszelką obronę siły. Filip i Aleksander, dwa te macedońskie orły nie spadły i szponami swemi nie rozdarły Hellady młodej, dzielnej, zdrowej, lecz starą, osłabioną, schorzałą. Już psuć się począł jej organizm, gdy go macedońska ręka

dusić zaczęła. Grecja IV. wieku nie była już zdolna do zwycięstw Maratonu i Salaminy, lecz do porażek pod Cheroneą i Tebami. Już niezmordowanie przez Demostenesów i Hiperidesów krzesane iskry nie zapalały wojennym ogniem całego narodu. Przed macedońskimi rotami wpłynęły macedońskie pieniądze; zanim kraj uległ orężowi, uległ przekupstwu. Najęci Judasze uwijali się po nim w trop za drużyną uczciwych patryjotów i zdradzieckimi namowami osłabiali wrażenie ich przestróg. Tę samą bramę Termopilów, którą przed półtorawiekim zamknął Kserksesowi bohaterski Leonidas, otworzył Filipowi przedajny Eschines. Naród się zestarzał, znieczulił na obywatelskie powinności, stępił w sobie młodzieńczą energję i zapął. Ciągłe wewnętrzne przewroty nie przywiązywały go do własnego ustroju, ośmieszeni bogowie zniechęcali do religji, wyciowane krytycyzmem mity nie osłaniały urokiem przeszłości, przeorana sofistyką moralność nie dawała życiu stałego gruntu. A plemię Demostenesów nie było liczne.

Śród takiego rozkładu, podczas owej niszczącej helłeńską niepodległość burzy, bo w trzy lata zaledwie po cheronejskiej klęsce, narodził się (341 przed Chr.) w ateńskiej wiosce Gargetos, czy na wyspie Samos—Epikur. Nauczycielski zawód ojca snąć wcześniej pobudził do myślenia syna, bo już czternastoletni chłopiec nabawiał podobno kłopotu swych przewodników filozoficznemi pytaniami. Zdobywszy potrzebne wiadomości w gramatyce i literaturze, pomagał ojcu, czy też, jak inna wieść twierdzi, trudnił się kształceniem młodzieży samodzielnie. Nie poprzestając jednak ani na tej wiedzy, ani na tem stanowisku, rozpoczął studia filozoficzne. Słuchał naprzód w kolonii Samos wykładów Platonika Pamfilusa, które widocznie nie odpowiadały wymaganiom jego realistycznej natury, bo je wkrótce porzucił i przyszedł do Nausifanesa, wyznawcy Demokryta. Następnie poznał się z filozofją cyrenajską. Z atomizmu tedy Demokryta i hedonizmu Aristippa wyrosła filozofja Epikura.

Już liczył trzydzieści kilka lat życia i odznaczył się w filozoficznym nauczycielstwie, gdy przybył do Aten (306) dla utworzenia własnej szkoły. Nie kwitła tam wówczas ani jedna, chociaż niektóre tradycją wielkości swych założycieli utrudniały przybyszom współzawodnictwo. Arystoteles już oddawna nie żył, a naukę jego wykładał w liceum uczeń jego Teofrast; akademja Platona, również prowadzona przez uczniów, przeradzała się w nową postać; cynicy dogasali w swoim Kynosarges, ustępując miejsca pokrewnym w duchu stoikom. Zwyczajem dość powszechnym w Grecji, gdzie lubiano filozofować na świeżem powietrzu, Epikur umieścił szkołę swoją w ogrodach. Nad bramą widniał napis: „Kochany gościu, tu możesz żyć szczęśliwym, tu jest najwyższe dobro—rozkosz. W tem mieszkaniu znajdziesz ludzkiego i uprzejmego gospodarza, który cię ugości białym chlebem i czystą wodą, pytając: czy dobrze jesteś obsłużony. Ogrody te nie podrażnią twego głodu, lecz go uspokoją; nie podsyca pragnienia, lecz ugaszą naturalnym i niekosztownym środkiem. W tej rozkoszy żyłem i zestarzałem się“. Oto co w tym ogrodzie mistrz wykładał otaczającym go i zasłuchanym w jego słowa uczniom:

Celem filozofji jest umiejętność zapewnienia człowiekowi szczęścia. Wszystkie więc nauki (teoretyczne) nie dążące do tego celu, lecz wiodące tylko do poznania—jak np. dialektyka, matematyka, filologja—nie mają wartości. Muzyka np. jest rzeczą przyjemną, ale teoria muzyki bezużyteczną. Badanie natury daje nam korzyść, bo nas uwalnia od przesądów i obawy śmierci. Pojęta w ten sposób filozofja rozpada się na trzy części: kanonikę, fizykę i etykę. Kanonika, zastępująca miejsce dialektyki i logiki, jest przygotowaniem do fizyki, bo określa warunki i prawa poznania. Źródłem jego jest uczucie zmysłowe, które wskazuje nam zarówno, co jest przyjemnem i nieprzyjemnem, jak—co prawdziwem i fałszywem. *Wrażenie* mylnem nigdy nie jest, błędem być może tylko wnioskowanie—sąd. Bo i jak zaprzeczyć świa-

dektwu zmysłów? Rozumem? Alboż on od nich nie jest zależny i posiada inne źródła prawdy? Z powtórzonych spostrzeżeń powstaje *pojęcie*, które nie jest niczem innem, tylko utrwalonym w pamięci, ogólnym obrazem przedmiotu. Pojęcia są podstawą naszego myślenia a język środkiem przypominania ich. Nie poprzestając na samem spostrzeganiu zjawisk, szukamy ich przyczyn i dochodzimy do *mniemań*, prawdziwych o tyle, o ile znajdują potwierdzenie we wrażeniach zmysłowych, które są odbiciami przedmiotów w duszy.

Fizyka jest znowu przygotowaniem do *etyki*. Nie pragnie ona wcale rozstrzygać zagadnień teoretycznych, czy np. świat jest kulisty lub trójkątny — ale stara się oderwać zjawiska od przyczyn nadnaturalnych i powiązać je z naturalnemi. Wszystko bowiem da się do tych przyczyn sprowadzić bez jakiegokolwiek udziału bogów. Z niczego nie powstaje nic, inaczej wszystko mogłoby się rodzić z wszystkiego. Co jest, jest ciałem, wyjąwszy próżną przestrzeń. Ciało może być pierwiastkiem albo związkiem pierwiastków. Pierwiastki owe, atomy, są niepodzielne niezmiennie, w liczbie nieskończone. Nie posiadają żadnych własności (np. barwy, woni temperatury i t. p.), tylko rozmaitą wielkość, postać i ciężkość. Skutkiem tej ciężkości poruszają się w próżni kierunkiem, który możemy nazwać z góry na dół. Ponieważ taki prostopadły deszcz atomów nie wytworzyłby żadnych ciał, niektóre więc w spadaniu swoim zbaczają, a przez to wywołują między sobą skupienia, z których narodziły się i wiecznie rodzić się będą światy. Ilość ich nieskończona. Ciała niebieskie są mniej więcej tak wielkie, jak się nam przedstawiają. Pomiędzy niemi i ziemią mieszkają bogowie. Zwierzęta i ludzi wydała ziemia. Dusza, jak wszystko, jest także ciałem, złożonem jednak z najdelikatniejszych, najlżejszych i najruchliwszych atomów, podobnem do materji ognia i powietrza. Rozumna jej część, która jest źródłem wszystkich czynności umysłowych i poruszeń woli, właściwa *dusza*, ma swoje siedlisko w piersi, bezro-

zumna, *duch*, przenika cały organizm. Śmierć ciała jest śmiercią duszy.

Jakże w niej tworzą się wyobrażenia? Oto z powierzchni przedmiotów odrywają się cząsteczki i w tym samym układzie dobiegają do nas, o ile ich w drodze jakaś przeszkoda nie powstrzyma i nie rozproszy. Wola, zależna od każdorazowych przedstawień naszego rozumu, jest wolną. Język nie jest wytworem wolnym, lecz zbiorem zgodnie przez ludzi wydawanych dźwięków, które świat zewnętrzny wywołuje, a czas je utrwała.

Skoro wszystkie zjawiska dadzą się wytłumaczyć przyczynami naturalnymi, niknie potrzeba i racja przyjmowania nadnaturalnych. Nie znaczy to, ażeby bogów nie było. Są oni, ale wobec świata zachowują się biernie. Podobni do ludzi, składają się z najdelikatniejszych atomów, wiodą życie w bezczynności, spokoju i niezmaconem zadowoleniu. Ani świata nie stworzyli, ani nim nie rządzą. Nie ten jest bezbożnym, kto ich na stanowisko bierne usuwa, ale ten, kto im do spraw ziemskich czynnie mieszać się każe.

Fizyka poznajamia człowieka z naturą, etyka wskazuje mu sposób szczęśliwego życia wśród tej oczyszczonej z przesądów natury. Pożądamy rozkoszy, a unikamy cierpienia. Rozkosz zatem (*hedone*) jest dobrem, cierpienie złem. Oba jednak te uczucia posiadają rozmaite odmiany i stopnie. Trzeba więc w każdym wypadku porównywać przyjemności między sobą i z cierpieniami, wybierając lepsze. Nie tylko bowiem jedna rozkosz jest trwalsza niż inne, ale nadto są takie, które sprowadzają większe od nich cierpienia, lub naodwrot, są cierpienia, które powodują większe od nich rozkosze. Ponieważ zaś każda przyjemność jest zadowoleniem pewnej potrzeby, będącej także cierpieniem, przeto najpożądany stanem jest zupełny spokój, *ataraksja*, w której nie doznajemy żadnych cierpień i potrzeb. „Jeżeli więc rozkosz nazywamy celem życia, dowodzi Epikur, nie mówimy o rozkoszach rozpustników, ani o tych, które dają używanie, jak sądzą

ignoranci, przeciwnicy naszej nauki lub nierozumiejący jej, lecz o spokoju ducha i braku cierpień ciała. Nie pijatki bowiem i biesiady, nie rozpusta, nie przysmaki czynią życie przyjemnem, lecz trzeźwy rozum, badający czyny, dla których winniśmy jednych rzeczy unikać, a do innych dążyć, i rozwiewający wrogie ludzkiemu spokojowi przesady“.

Pożądania nasze są trojaki: 1) naturalne i konieczne, 2) naturalne i niekonieczne: 3) ani naturalne, ani konieczne. Pierwsze *muszą* być zadowolone, jeśli nie mają sprawić nam cierpień; drugie *mogą* nie być zadowolone, a trzecie *nie potrzebują*, gdyż są poprostu wynikiem mniemania. Pożądania pierwszego rodzaju są nieliczne i mało wymagające. Głód i pragnienie, gdy nie przekraczają granic natury, poprzestają na kawałku chleba i kubku wody. Natura wymaga rzeczy łatwych do znalezienia; rzadkie i niezwykłe są bezużyteczne i służą jedynie nadużyciu i próżności. Zwykle pożywienie sprawia tyle przyjemności, co i zbyt kłówna uczta; chleb i woda są wybornymi potrawami w chwili głodu i pragnienia. Wstrzemięźliwość jest nieocenionem dobrem, zachowuje zdrowie ciała i zaostrza przyjemność, gdy wypadkiem znajdziemy się przy lepszej uczcie. Nadewszystko ubezpiecza nas przeciwko zmianom losu. Przyzwyczajeni zadawać się małym, nie bolejemy, gdy nie mamy wiele.

Pożądaniem naturalnem, ale niekoniecznem—jest miłość. Chociaż to popęd przyrodzony, roztropność każe nam unikać kłopotów małżeństwa i ojcostwa. Każdy powinien zastanowić się, czy jest zdolny znieść spokojnie ustawiczne kłótnie swarliwej żony, krzyki, choroby i wady dzieci. Bezżeństwo daje nam przyjemność życia małżeńskiego bez jego niewygód. Jeśli wszakże okoliczności narzuca rodzinę, trzeba uzbroić się w odwagę i cierpliwość dla zniesienia tego ciężaru.

Rozproszmy zwojne marzenia, a miłość nie będzie niebezpieczniejsza i trudniejsza do uspokojenia, niż głód i pragnienie. Wyobrażając sobie nieskończone i urojone

rozkosze, przywiązując myśl do jedyne go przedmiotu, który ją zajmuje i całą wypełnia, wymagając od kobiety szczęścia, którego ona nam dać nie może, gotujemy sobie nieuniknione troski i bolesti. Miłość, którą nazywamy czarem bogów i ludzi, staje się plagą, gorączką, chorobą, która nas pożera.

Jedno tylko uczucie zapewnia nam korzyść i rozkosz — przyjaźń. Jest to najwyższe z dobrodziejstw życia. Wiecej waży to, *z kim*, niż *co* jemy i pijemy. Dla przyjaciela warto znieść największe cierpienia, a nawet śmierć.

Pożądania naturalne, nieujęte w karby, przechodzą w sztuczne i zbytkowne. Mniemając, że dla zadowolenia natury potrzeba bardzo wiele, gromadzimy bogactwa, staramy się o piękne kobiety, wytworne wina, wspaniałe domy, wreszcie o władzę. Im bardziej rozszerzamy namiętności, tem więcej stają się one nienasycone. Zbytek podtrzymuje i powiększa zbytek dla jednych, a nędzę dla drugich. Najpiękniejszym i najszlachetniejszym bogactwem jest ubóstwo. Nie mnożmy pieniędzy, lecz uszczuplajmy żądze. Nie jest biednym, kto żyje według opinii. Żądza władzy nie mniej jest próżną, niż żądza dostatku. Bo która droga przykrzejsza nad ciasną ścieżkę ambicji, gdzie współzawodnicy tłoczą się i gniotą wzajemnie? Alboż zło to i purpura rozpraszają przesady, obawy, dręczące troski i nieskończone pragnienia? „Było to wielkiem dla mnie szczęściem — woła Epikur — że nigdy nie mieszałem się do rozterek państwa i nigdy nie starałem się podobać ludowi, bo on nie uznaje moich, a ja jego przekonañ. Roztropny żyje w ukryciu. Śród tylu dobrodziejstw, jakie nam zapewniała mądrość, ani ja, ani Metrodor nie uważaliśmy wcale, ażeby to było złem dla nas, że owa sławna Grecja nietylko nas wcale nie znała, lecz nawet nie słyszała wymówionych naszych imion. On i ja byliśmy wzajemnie dla siebie dość pełnym teatrem. Zapamiętajmy to sobie raz na zawsze, że najwyższa rozkosz jest w zdrowiu ciała i spokoju duszy; przeniknijmy się tą my

ślą, a doznamy prawdziwej radości, umiając obchodzić się bez pozornego dobra, które jest rzeczywistą nędzą“.

Rozkosz zmysłowa sprawia przyjemność krótką, duchowa — trwałą; podobnie boleść fizyczna przemija szybko, moralna — pozostaje długo. Ciało bowiem cierpi tylko od zła obecnego, dusza — od przeszłego i przyszłego. Zarówno więc rozkosz duchowa jest lepsza od fizycznej, jak cierpienie duchowe gorsze od moralnego.

Ponieważ szczęśliwość jest najwyższem dobrem, więc cnota może być tylko środkiem do niej — roztropnością, rozumem. Cnota nie uszczęśliwia sama przez się, lecz przez rozkosz, jaką nam sprawia. I tak: powinniśmy być mądrzy, bo poznanie uwalnia nas od bojaźni bogów i śmierci, od nadmiernych pożądań i próżnych życzeń, uczy nas znosić chwilowe cierpienia i żyć według natury; powinniśmy być rozważni, ażebyśmy umieli zawsze o ile można najwięcej używać rozkoszy a najmniej bolesti; powinniśmy strzec sprawiedliwości, bo ona umożliwia nam życie bez strachu przed bogami i ludźmi, który przestępcy nigdy nie opuszcza. Roztropność czyli mądrość jest główną twórczynią naszego szczęścia, główną cnotą, inne są tylko jej pomocnicami. Gdyby wszystkie przyjemności były równe i gdybyśmy, unikając wszelkich cierpień, nie ściągali na siebie gorszych, dość byłoby słuchać pobudek natury; ponieważ zaś tak nie jest, więc potrzebna nam rozważa. Nie samo spełnienie obowiązku, lecz korzyść ze spełnienia go jest ceną cnoty. Korzyść jest również podstawą praw. Nie są one wrodzone, lecz wypływają z ugody jednostek, zapewniającej im wzajemne bezpieczeństwo. Naturalnie, praw powszechnych i niezmiennych niema; zmieniają się one stosownie do miejsca i czasu; obowiązujące są dopóty, dopóki są użyteczne. Najlepszą formą rządu jest monarchia.

Wizerunek epikurejczyka, skupiającego w sobie i uosabiającego wszystkie powyższe znamiona, nakreślił w jednym ze swoich listów sam mistrz. Jego mędrzec pragnie poznać naturę, ażeby umiał szczęśliwie żyć. Poznawszy,

widzi, że rozkosz, którą uważa za najwyższe dobro, tkwi w spokoju ducha i zdrowiu ciała. Będąc roztroptym, jest wstrzemięźliwym. Nie rozkielznywa namiętności, jak cyrenaik i nie zabija, jak stoik, ale je miarkuje. Zamiast gasić pragnienia, tylko je ochładza. Nie wyrzeka się zadowolęń, ale ścieśnia potrzeby. Nie gardzi dostatkiem, ale nie trapi się ubóstwem. Każdą przyjemność i każde cierpienie waży, porównywa, wybierając, co lepsze. Nie goni za bogactwem, władzą, zbytkiem, bo pod temi rozkoszami dostrzega ukryte boleści. Nie obarcza się rodziną, bo z pośród jej kwiatów kłują go ciernie. Stoik zbrzydza sobie życie, on je upiększa. Nawet na stosie umie zawołać: „jakże mi słodko“! Raz tylko—powiada—rodzimy się, nie odraczajmy więc życia i użytkujmy z niego. Każde dziś uważajmy za dzień ostatni, a każde jutro za dodany. Kto nie umie korzystać z chwili obecnej i skarży się na ostatnią, wygląda jak umarły, płaczący, że go grzebią. Umiejący żyć opuszcza życie jak biesiadnik ucztę — bez skargi na skąpstwo gospodarza. Śmierć go nie trwórzy. Dopóki żyje—tłomaczy sobie—jej niema, gdy umrę, mnie nie będzie. Cóż więc mię ona obchodzić może? Również gniewu bogów się nie lęka, bo ich zna i wie, że pogrążeni w swym spokoju do ludzi się nie wtracają.

Przesady, według epikurejskiego mędrca, są głównem źródłem zła. Kto chce być szczęśliwym, niech będzie rozumnym, a kto chce być wolnym, niech będzie niewolnikiem mądrości. Nie jest on jak stoik republikańcem, lecz monarchistą. W sprawach państwa udziału nie bierze, prawa szanuje dlatego, że one mu zapewniają korzyść i bezpieczeństwo. Najpożądańszy dlań złoty stan średni, stanowisko odosobnione, niezależne. Nie pragnie istnieć długo, ale szczęśliwie. Jest to wystudzony, umiarkowany, obojętny filozof, bez gwałtownych uniesień, ale i bez rozpaczliwej zgryzoty; umysł jasny, w równowadze i niezależności od pokuszeń zewnętrznych ciągle utrzymywany, charakter beznamiętny, pogodny, wszelkiej sprężystości pozbawiony. Uczucia w sobie pomroził, z wy-

jątkiem jednego, które ze szczególną troskliwością pielęgnuje—przyjaźni. Nie jest synem, mężem, kochankiem, patrjotą—tylko gorącym przyjacielem. Ale za to przyjacielem, jakiego nie wychowało i nie posiadało żadne, z wyjątkiem może pytagorejskiego, towarzystwo filozoficzne. Pominąwszy boską prawie cześć dla mistrza, uczniowie szkoły Epikura połączeni byli między sobą węzłem szczerej serdeczności. Uczucia ich, zatamowane w innych kierunkach, wylały się w tym jednym ze spotęgowaną siłą, z przesadną, rzec można, patologiczną czułością. Ci ludzie, którzy nikogo nie kochali, kochali siebie aż do zapamiętania. W ich ogrodzie panowała rycerskość, galanterja, skłonność do wzajemnych poświęceń, zadziwiająca w wyznawcach samolubstwa. W najpóźniejszych pokoleniach epikurejskiego rodu silnie bije to tętno.

Sam Epikur był wzorem tej cnoty, jak wogóle doskonałem swej nauki wcieleniem. Z uczniami spajały go najserdeczniejsze stosunki. Życie jego odznaczało się nieustanną skromnością. Co innym zalecał, to samo robił. Wspomnienia o nim mówią, że często po kilka dni się głodził, ażeby potem doznać rozkoszy w spożyciu... chleba i wody. Gdy mu wskazywano uczniów, którzy żyli dostatniej od niego, odpowiadał: więcej potrzebują; mnie wystarcza pół bochenka, Metrodorowi cały. Napastowany i spotwarzany przez przeciwników, odpierał pociski wzgardą i dumą, która często niesprawiedliwą się stawała. Lekceważył innych filozofów, a co gorsza tych (jak np. Demokryta), którym wiele w swej nauce był winien. Dla okazania swej oryginalności nigdy nikogo nie cytował. Po Chryzypie był najpłodniejszym z filozofów greckich. Bijograf jego Djogenes Laercyusz wylicza długi szereg dzieł, które do nas nie doszły lub dochowały się w ułamkach. Były to pisma polemiczne, logiczne, fizyczne i teologiczne, wreszcie okolicznościowe i listy. Nadzwyczajna płodność nie pozwalała Epikurovi starannie pracować. Ani o ścisłość w wywodach, ani o formę mu nie szło; dbał tylko o przystępność wykładu. Stąd też

w jego systemacie brak często porządku, konsekwencji i ścisłych określeń, co wywołało później liczne nieporozumienia i dało powód do fałszywych jego nauki tłumaczeń.

Zgodnie z tą nauką wiódł on życie odosobnione, w gronie uczniów i przyjaciół. W sprawach publicznych nie brał żadnego udziału, w stosunkach z ludźmi zimny i łagodny, okazywał dobroć nawet dla niewolników. Obce mu było wszelkie, nawet wpływami czasu usprawiedliwione okrucieństwo. Pomimo samolubstwa w teorii, w czynach ujawniał nieraz rzadką czułość. Chociaż pozostał bezżennym, dzieci własnych mieć nie chciał, wziął pozostałe po Metrodorze (uczniowi swojemu) sieroty i wychowywał je z ojcowską troskliwością. Umierając polecił je usilnie wykonawcom testamentu. Pięknem świadectwem jest ten zachowany nam przez Djogenesa testament. Epikur wszystkie ogrody i domy zapisuje uczniom swoim, upominając ich, by wytrwali w dążeniu do prawdy. Jakkolwiek choroba sprawiała mu widoczne bólesci, do ostatniej chwili, jak prawdziwy epikurejczyk, który z każdego położenia rozkosz wydobyć umie, zapewniał, że nie cierpi. Rozporządziwszy własnością i spisawszy ostatnią swoją wolę, umarł 70-kilkoletni starzec w r. 270 przed Chr.—pomimo całej dumy, nie przeczuwając, że po dwudziestu jeszcze wiekach ludzie, jak my tu obecnie, zajmować się nim będą, ciekawi poznania jego filozofji.

Śmierć mistrza nie rozwiązała szkoły.

Ster jej, jako scholarcha, ujął naprzód nieznanymi nam bliżej Hermarchus, a za nim długi łańcuch następców, których ledwie imiona i to niedokładnie historia pamiętała: Polystrat, Hippokleides, Dionizyusz, Basilides, Protarchus, Demetriusz, Djogenes z Tarsu, Apollodor, Zeno z Sydonu, Fedrus, wreszcie Patron, który ród scholarchów epikurejskich w Atenach dociągnął prawie do naszej ery. Żaden z nich, a przynajmniej nie wiemy o tem, nie rozwinął całej nauki mistrza w kierunku umiejętnym, lecz wszyscy widocznie starali się tylko o przechowywa-

nie jej i objaśnienia. Z owych to odmiennych objaśnień wyrosły rozmaite gałęzie epikureizmu, które wszakże tylko mimowolnie odchodziły się od wspólnego pnia, nie pragnąc wcale od niego się odłamać. Tak potężnie zacharował mistrz późniejsze pokolenia swej szkoły i tak niewiele miała ona po jego śmierci własnej siły, że zmartwiała, zamieniła się na dogmatyczny kult, ale jednocześnie przeżyła wiele innych. Współcześnie najgroźniejszą jej współzawodniczką i najzawziętszą przeciwniczką była stoicka. Walkę prowadzono tak, jak ją zwykle prowadzi tanatyzm. Oskarżano epikurejczyków o niemoralność i ateizm, a gdy nie było faktów, podrabiano je i wyzyskiwano pozory. Sprzyjał tym atakom brak ścisłych określeń w nauce Epikura. Celem życia jest rozkosz — mówił on; wyobraźmy sobie ten frazes, puszczonego na pytel złych języków, jak one go zmiela i co z tej maki wypieka. Zamiast zdrowia ciała i spokoju ducha—jak swą zasadę pojmował Epikur—wystąpi cały chór szkarad moralnych. To też w dialogach Cyserona znajdujemy ustawiczne protesty epikurejczyków przeciwko niewłaściwemu rozumieniu (*hedone*) rozkoszy. Nadto zwrócić trzeba uwagę, że hasło ich wybornie nadawało się do oskarżeń. *Cnota* stoicka, chociażby nawet sfałszowana, nie przedstawiała tak dobrego materiału do wykuwania śmiertelnych grotów, bo taka, czy inna, zawsze to była *cnota*, a dla tłumu wyraz jest siłą; tymczasem epikurejska *rozkosz*—ile z niej można było wyprowadzić zbrodni! Węć wyprowadzono, a dopomagali do tego sami przedstawiaiele szkoły.

Gdyby nawet wiernie Djogenes Laercjusz i Cysero zapisali zdanie Epikura, że „jeśli odejmę rozkosze smaku i miłości, oraz te, które uszami lub na widok pięknych kształtów oczami czerpiemy, nie wiem, co mam dobrem nazwać”—gdyby, nawet, mówię, zdanie to było autentycznym, dałoby się ono łatwo usprawiedliwić, t. j. pogodzić z logiką systematu. Bo wszakże był on nawskroś sensualistycznym, a zmysły uważał nie tylko za źródło rozkoszy, która u niego była jednoznaczniakiem dobra, ale także za

probierz prawdy. Inaczej rzecz się ma z uczniami, którzy niedokładnie rozumieli naukę mistrza, sprowadzali ją do nedorzecznosci lub dopełniali własnym pomysłem. Ci, przenosząc punkt jej ciężkości na daleko posunięte konce, utrzymując np.—jak Metrodorus—że wszystko dobre odnosi się do żołądka, dostarczali przeciwnikom niebezpiecznych dowodów i nierozważnie mnożyli złą sławę swego systematu.

Ale poza nimi stała jeszcze rzesza ciemnych lub zepsutych przyjaciół, którzy najskuteczniej osłabiali kredyt epikurejskiej szkoły. Za każdym obozem naukowym postępuje gromada umysłowych ciurów i awanturników, którzy nie uzbrojeni do walki, nie należąc do szeregów, solidaryzują się z ich chorągwią. Podobny a niepożądany ogon włókł się za epikureizmem. Niedouczeni, próżniacy a zuchwała złota młodzież, hulający panowie, płocze kobiety, wszystko to zasiadało do zbyt kownej uczt życia pod wezwaniem Epikura, do której on nikogo nie zapraszał. Im niżej moralnie grzęzły promienie jego nauki, tem bardziej się załamywały. Zasada, postawiona u góry, że „cnota uszczęśliwia nie sama przez się, lecz przez zawartą w niej rozkosz“ (Djogenes), zamieniała się na dole w brutalny okrzyk, że „wszystkie cnoty razem wzięte bez rozkoszy nie warte są złamanego grosza“ (Plutarch). Satyrycy owych czasów przesadzili niewątpliwie, wpisując na rachunek mistrza wybryki rozpustnego humoru; byli jednak zapewne wiernymi malarzami epikurejskich mętów, wkładając w usta swych bohaterów takie np. wyrazy: „Posiadać piękną kobietę, upoić się winem lesbijskiem—to dopiero prawdziwa mądrość i najwyższe dobro. Gdyby wszyscy ludzie, prawi dalej ta postać, wiedli podobne do mojego życia, nie byłoby ani łotrów, ani uwodzicieli. Jedźmy, pijmy i używajmy! Po śmierci nie dadzą nam nawet jednego węgorka; umarli nie wyprawiają sobie sutych biesiad“. *Rozkosz*, mówił Epikur, *rozkosz*, powtarzali jego uczniowie, *rozkosz*, krzyczeli chęciwi zadowoleń sybaryci, i słowo to w każdej duszy potraçało inne struny, które naj-

silniej i najprzyjemniej dźwięczały. Nieuwiedziony taką przynętą ogół, który mistrza nie słuchał, ksiąg nie badał—poznał i sądził jego naukę z żywych, najbliższych i najrozumialszych jej wcielen. A wcielenia te przedstawiały czasem bardzo posłedni gatunek ludzi. Nie był za nie odpowiedzialnym filozof, ale nie była odpowiedzialną za swe wyrzuty i zarzuty masa, która rzucała kamieniami na to, co widziało i co ją odrażało.

Niedość tego, epikureizm miał inną stronę, którą przekonania ogółu drażnił z daleko większą jeszcze mocą; mówię tu o jego stosunku do wierzeń mitologicznych. Widzieliśmy, że Epikur całą swoją filozofję skierował przeciwko zabobonom. Według niego one są głównem źródłem nieszczęść, należy więc je wykorzenić i na ich gruncie zasiać ziarna prawdziwej wiedzy. Ku temu celowi zamierzała zarówno jego Kanonika, jak i Fizyka, które dostarczyły rozumnych wskazówek Etyce, określającej warunki szczęśliwego, nietrapionego przesadami bytu. Nagannym głosem krytyki filozoficznej, odsadzającym epikurejczyków od wiedzy i uczciwości, wtórowało oburzenie mass, mszczących się za krzywdę swych duchów i bogów. Istnienia tych ostatnich Epikur nie zaprzeczał, deizm jego wszakże był tak sztucznie przyczepiony do całosci niezgodnego z nim systematu, a przytem tak wysunięty poza wszelką religję, że na współczesnych sprawiał tylko wrażenie przymusowego ustępstwa i obłudy. Jeżeli bogowie—mówiono—nie stworzyli świata i nim nie rządzą, to po cóż są? Czy po to tylko, ażeby w przestrzeniach prowadzić leniwy żywot w zadowolonym spokoju? Może niesłuszne były podejrzywania Epikura o obłudę, ale że słuszne były te pytania, zaprzeczyć trudno. Bezczynni bowiem, wszelkich praw i władzy pozbawieni bogowie wyglądali—że użyję współczesnego wyrażenia—jak spadli z etatu urzędnicy, którym naród miał wypłacać do niedalekiej śmierci część wysłużonej emerytury. Nic też dziwnego, że wierni, którzy w nich uzna-

wali jeszcze swych najwyższych władców, przyjęli bluźnierstwo ze zgrozą.

Taki to umysłowy proces odbył się pod wpływem epikureizmu w Grecji. Szkoła ta, posiadająca niezwykajnie zapalonych wyznawców, musiała oddziaływać i na żywiącą się helleńskim duchem filozofię rzymską. Kiedy przelały się pierwsze fale epikurejskiej nauki z Aten do Rzymu, oznaczyć trudno; w każdym razie od początku pierwszego wieku przed Chrystem spotykamy już widoczne objawy tego związku. Spajali go nie tylko terminujący u greckich nauczycieli młodzi studenci rzymscy, ale także szukający znieczulenia lub chciwi wrażeń panowie, którzy ze skwapliwością chwyтали przylatującą z za morza filozofję rozkoszy. Jednym ona cierpienia życia łagodziła, drugich do używania go zachęcała — a tych i tamtych było w rozkładającym się społeczeństwie rzymskiem bardzo wielu. Że wraz ze sławą przybyła z Grecji i wspomniana wyżej niesława epikureizmu, dowodem wczesna i namiętna opozycja literatury rzymskiej, dowodem samo junackie wyrażenie Horacego, który nazywał się „wielkim epikurejskim trzodem”.

W ostatnich latach istnienia rzeczypospolitej społeczeństwo rzymskie nie było już twardem krzemieniem dawnej formacji, ale dziurkowatą gąbką, obficie nasiąkłą wpływami cywilizacji greckiej. Przeróżne szkoły filozoficzne rozbiły już tu swoje namioty i zwerbowały zwolenników, najpoważniej jednak między niemi stanęły, ustawicznie sobie wrogie: stoicka i epikurejska. Pierwsza pociągała szczupłą garstkę republikanów surowych, druga zgarniała szerokie koło ludzi nowego szczepu, między którymi były zarówno umysły trzeźwe i z przesądów wyzwolone, jako też lekkie korki, które w wesołej filozofji szukały sposobów najwygodniejszego unoszenia się na burzliwym morzu ówczesnego życia. Jedni lotnym jej płynem odświeżali zatęchłe powietrze moralne, drudzy odurzali nim zmysły; tamci rozświecali nauką materję, ci zaciemniali materję naukę. Na czele pierwszych stanął po-

eta dużego talentu, najznakomitszy między wyznawcami Epikura—T. Lukrecjusz Karus.

Z życia jego nie zachowały się prawie żadne szczegóły, prócz dwu niepewnych dat urodzenia na początku i śmierci w środku pierwszego wieku przed Chrystusem. Wierszowany utwór jego *De natura rerum*, w którym ściśle filozoficzny wykład epikureizmu wzlatuje czasem na skrzydłach poetycznego natchnienia, jest płodem wysoce oryginalnym, rzecz można, jedynym. Nigdy bowiem muza nie wyśpiewała prawd naukowych z takim zapalem, chociaż nie zawsze bez pewnego dla ich ścisłości uszczerbku. „Bez wątpienia—mówi Lange—filozofja epikurejska w swojej czystości, a zwłaszcza w tem rozwinięciu, jakie siłę charakteru Lukrecjusza winna, zdolna była wywołać taki nastrój ducha; lecz właśnie ta czystość, moc i siła ujęcia, jaką on okazał, objawiała się w tej szkole rzadko, a może od niego do naszych czasów ani razu”.

Poemat, przypisany przez autora przyjacielowi Memmiuszowi, dzieli się na 6 ksiąg, wypełnionych przeważnie treścią *kanoniki* i *fizyki* epikurejskiej. Przy każdym niemal rozdziale Lukrecjusz zwraca się do cieniów mistrza i czci go najgorętszą pochwałą. „Haniebnie przedstawiało się oczom—mówi on—życie ludzkie na ziemi, przygniecione okropnym uciskiem przesądów, które rzucały na śmiertelnych straszne spojrzenia groźby. Wtedy znalazł się mąż grecki, który pierwszy odważył się wznieść swój śmiertelny wzrok i przeciwko nim wystąpić. Ani błyskawice, ani gromy nie zdołały go powstrzymać; silniej tylko pobudziły jego siłę duchową do rozbicia mocnego zamku u więzienia, w którym natura jeszcze cierpiała. Tym sposobem żywa moc ducha zwyciężyła, przeniknęła w dal przez płomieniste fale świata i ogarnęła nieskończony wszech-byt swoją myślą. Stamtąd przyniósł on nam jako zwycięzca (wiedzę o tem): co może być, a co nie może, jakie prawa ograniczają rozwój każdej rzeczy i zakreślają jej cel ostateczny. Tak zdeptana religja leży znowu powalona, nas zaś zwycięstwo wznosi do nieba”.

Lukrecjusz wychodzi z tego samego, co mistrz założenia. „Ludzie, nie znając przyczyn, zmuszeni są wiele rzeczy uznawać zależnymi od woli i władzy bogów; wszystko bowiem, czego przyczyny w żaden sposób nie mogą odnaleźć, uważają za skutek boskiej mocy“. Filozof więc dla uwolnienia ludzi od nieuzasadnionej i szkodliwej bojaźni, dla usunięcia wrogich życiu przesądów, wyklada prawdziwą *naturę rzeczy*. Natura owa jest taką, jaką poznaliśmy w epikurejskiej szkole. Trudno nam dziś stanowczo orzec, czy oprócz poetycznej formy i drobnych uzupełnień Lukrecjusz nie nie dodał do nauki mistrza, czy też wprowadził do niej jakieś ważniejsze zmiany; to tylko zdaje się być pewnem, że poemat jego jest wzmocnieniem głównej idei systematu. Epikur, jak nam wiadomo, zamierzył oderwać życie świata od przesądów, nadać mu prawa samoistności w warunkach doskonałego spokoju; czy Lukrecjusz myśl tę z większym podjął zapałem, czy że ona w ujemnościach religii rzymskiej znalazła większe uzasadnienie, dość że on ją ostrzej zaakcentował. To też utwór jego jest niejako aparatem, potęgującym prąd starożytnego epikureizmu, chociaż mniej pragnącym wstrząsnąć światem starożytnym, niż go znieczulić. To dążenie Lukrecjuszowskiego dzieła bardzo trafnie uwydatnia Mommsen. „W Helladzie przed Aleksandrem—powiada on—powszechnie i głęboko najlepsze umysły wyznawały to przekonanie, że największem szczęściem było się nie rodzić, a następsem—umrzeć. Z pośród wszystkich opinii pokrewnej epoki cesarów czułem i poetycznie usposobionemu umysłowi najszlachetniejszą i najbardziej uszlachetniającą wydawała się ta, że dobrodziejstwem dla człowieka jest uwolnić się od wiary w nieśmiertelność duszy i od złej, ludzkiej jak dzieci w ciemnym pokoju straszącej bojaźni przed śmiercią i duchami; że jak sen nocy bardziej pokrzepia, niż udręczenia dnia, tak śmierć, wieczny wypoczynek po wszystkich obawach i nadziejach, lepsza jest, niż życie, gdyż sami nawet bogowie poety niczem innym nie są i niczego więcej nie posiadają nad błogi spokój“.

Najzapamiętałej obrzucali kamieniami „trzędę“ Epikura stoicy. Zwłaszcza skrajny ich zastęp nie spuszczał nigdy napiętej na łuku cięciwy przeciw temu, który, mówiąc słowami Cycerona — „rozkosz wprowadził między cnoty, jak rozpustnicę między uczciwe kobiety“.

Byłoby to wielką niespodzianką dla obu stron, tak namiętnie zwalczających się, gdyby im powiedziano to, czego one wówczas dostrzec nie mogły; a co dziś krytyka filozoficzna powszechnie uznała, że pomimo wszystkich ostrych różnic, stoicy i epikurejczycy stoją w etyce na gruncie wspólnym. Wspólność ta dotyczy głównie dwu zasadniczych rysów ich etyki, mianowicie: 1) jedni i drudzy — jak to słusznie uwydatnił Wundt — zamykają szczęśliwość w dobru osobnika, mędrca, odsuniętego od spraw zewnętrznych i 2) jedni i drudzy nadają szczególną wagę negatywnej stronie tego dobra, zalecając przede wszystkim unikanie jego zamaceń zewnętrznych. Rzeknawszy po staranniejszem przyjrzeniu się dostrzegamy w stoiku i epikurejczyku braci rodzonych.

Posłuchajmy:

„Gdyby ludzie, którzy w swem wnętrzu mają ciężar przygniatający ich do ziemi, zbadali, skąd on pochodzi i skąd w ich piersi gromadzi się taka masa nieszczęścia, z pewnością prowadziliby inne życie. Nikt nie wie, czego chce, a jednak szuka ciągle, zmienia miejsca, jak gdyby pragnął pozbyć się brzemienia.“

Tam tylko, gdzie pierś jest czysta, życie może być szczęśliwem.

Kto niema czystej piersi, jakże rozliczne musi staczać walki i znosić niebezpieczeństwa! Jak wielkie troski rozdzierają śmiertelnika, gdy dzikie żądze wpędzą go w trwogę! Ile szkody wyrządza pycha, brudny charakter, zuchwałe postępowanie, rozpusta i zgnilizna!

Nieraz powinienes to sobie powiedzieć o nienasyconym.

Czyż nie stracił światła oczu dobry Ancus, który przecie w wielu rzeczach był lepszym od ciebie? Zginęli inni królowie i władcy, którzy panowali nad potężnymi narodami. Nawet ten, który sobie utorował drogę przez wielkie morze, poprowadził legjony przez głębie, nauczył je stapać przez słone otchłanie i, przejeżdżając na koniu, uragał gniewowi fal — nawet ten zgasł i wyzionął duszę z umierającego ciała. Potomek Scypiona, grom wojny i postrach Kartaginy, także oddał ziemi swe kości, jak najnędzniejszy pachoł. Dołącz do tego wynalazców sztuki i nauk, towarzyszków muz, między którymi zdobył sobie berło Homer i w takimże śnie spoczywa, jak inni, gdy go późny wiek ostrzegł, że w nim osłabła dotychczasowa żywość ducha, przyniósł dobrowolnie sam śmierci swoją głowę. A ty ciągle wzdragasz się i opierasz śmierci, ty, który jeszcze żyjesz i patrząc jesteś prawie umarłym? Ty, który w drzemce przepędziłeś najwięcej czasu? Ty, który czuwając chrapiesz i nie przestajesz śnić? Ty, który ciągle nosisz w swym umyśle męki daremnej trwogi i nie możesz odkryć, jakie zło cię dręczy, gdy podobny pijanemu, taczasz się w troskach i błądasz się na rozkołysanych falach ducha?“

Czyż to nie brzmi, jak ustęp z psalmu stoika? A jednakże to mówi epikurejczyk — Lukrecjusz Karus. Ta sama wiara w wiedzę i czystość moralną, ta sama rezygnacja, ta sama śmiałość spoglądania w oblicze śmierci.

Ateneusz opowiada, że Sardanapal taki ułożył dla siebie napis grobowy: „Wiedząc, że jesteś śmiertelnym, oddaj się radości biesiad, gdyż po śmierci niema dobra dla ciebie. Patrz, ja, władca Niniwy, jestem popiołem, i wziąłem z sobą tylko to, co zjadłem, tylko uciechy rozpustnego życia i miłości. Reszta mojego szczęścia zniknęła. Używaj—oto mądra rada, którą ci daję“. Stoik Chryzyp proponował zastąpić ten napis następującym: „Wiedząc, że jesteś śmiertelnym, udoskonalać swój ro-

zum wiedzą. Nie odniesiesz żadnej z tego korzyści, że dobrze jadłeś. Byłem nędznikiem, który kosztował i szukał rozkoszy, lecz pozostało mi tylko to, czego się nauczyłem, tylko myśli, które zdobyłem i tylko dobra, które z nich osiągnęłem. Inne rozkosze zniknęły“.

Epikur zgodziłby się na ten napis, może by go tylko skrócił i powiedział: „Unikałem namiętności i błędu; w równowadze ducha znalazłem rozkosz, a w wiedzy spokój“.

O jego nauce wyraził się słusznie jeden z badaczy (Denis), że „żadna moralność nie była mniej rozkoszną i bardziej smutną“; dodajmy, że żadna nie była przez tradycję więcej sfalszowana.

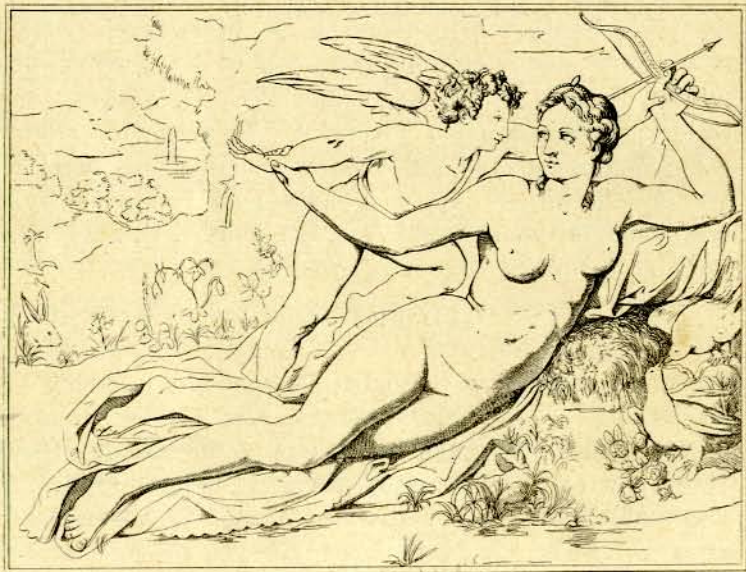
Ze światem starożytnym kończą się prawie dzieje epikureizmu, ale nie kończą się dzieje jego licznych i aż do nas sięgających przemian. W pierwszych wiekach naszej ery chaos nowonarodzonych i konających pojęć miotał dziwnie losami tego żywiołu. Była nawet chwila—jak wykazuje jeden z badaczy tej mgławicy (Renan), z której się wyłamał świat nowy—mianowicie w II wieku po Chrystusie łączono chrześcijan i epikurejczyków wspólnem mianem ateistów, gdyż jedni i drudzy występowali przeciwko bogom pogańskim.

Raz jeszcze wybłysnął epikureizm, wszakże nie jako etyka, lecz fizyka, w XVII w., rozdmuchany z iskier zagasłego ogniska przez księdza Gassendego i jednego tylko doczekał się wszechstronnego oświecenia w osobnej pracy niedawno zgasłego filozofa francuskiego, Guyau. U nas pewien, może zresztą przypadkowy, wpływ mistrza z wesołych ogrodów dostrzec można w pismach Staszica.

Dziś epikureizm jest tylko mianem rozpartego w wygodzie samolubstwa, nazwą gazu rozweselającego i znieczulającego wrażliwość na bóle życia. Pomijając wszakże wywołane przezeń nieporozumienia historyczne i zwyrod-

nienia moralne, czy w nim nie zachowało się zdrowe jądro?

W marzeniach Morrisa lub fantazjach Nietschego ukazuje się typ przyszłości, z którego błyska jasność spokojnej duszy i który może kiedyś w zmienionych warunkach szczęścia ludzkości będzie powszechnym. Bogiem jednakże dzisiejszego czasu nie jest Apollo, oblubieniec muz, obwożący słońce po niebie, lecz Apollo, mściciel krzywd i stróż stad, które strzeże od wilków i zarazy.



WACŁAW MAKOWSKI.

SRÓD GÓR I WICHRÓW.

I.

W górską szczelinę, tam kędy dwie skały,
jak dwa olbrzymy, potwory, szaleńce,
idąc na siebie pierś w pierś, skamieniały, —

już mieli w górę wzniesć mieczowe ręce —
zastygli w ciszę. — Śnieżne pióropusze
i kosodrzewin dwa na głowach wieńce

i dwie na wieki w sen ucichłe dusze,
dwa w bojach zdarte mocarne puklerze,
już na się wpadłe w walki zawierusze, —

stanęły ciche, — zawarły przymierze,
przez piorunowy nakaz zniewolone — — —
Pomiędzy kamieńcami stoją dzwierze

wązkie, zakłète, te nieprzekroczone —
Z ramion kamieńców płaszcze srebrem szyte
wzorzyste, świetne, białe i zielone,

A pod puklerzem i płaszczem ukryte
zapewne serca dzisiaj już kamienne —
Między te piersi przez wieki poryte,

pomiędzy łby te na wieki już senne
uciekam — został świat kędyś daleko,
daleko pola pełne i niepełne — — —

Skały nademną nawisły, jak wieko,
śnieg się w krąg ustał, jak runo jagnięce,
słońce się mgłami stoni, jak powieką,

już się zmęczyło, ludzkiej świecąc męcę — — —
Idę w śnieg, tulę się pod skał kolebą
i jakąś cudność skamienienia święcę — — —

tam kędyś, hen, szarzeje jeszcze niebo — — —
Zostać na wieki, wkamienić się w ścianę,
przekleństwo śląc człowieczym łzom i chlebom,

w omszałych skał utulić się nirwanę
i zasnąć tak na długo, lat tysiące,
aż kiedyś przyjdzie to niewyczekane,

to wielkie, święte i jedyne słońce,
kamienną moją pierś blaskiem rozgrzeje,
rozpali ognie te już nie tlejące,

w tęczę umarłe rozkwieci nadzieje — — —
— — — wtedy się zbudzić. — — —

II.

Zszedł z wyżyn wicher złowrogi,
śnieg zwinął w mleczne słupy,
zasypał ludzkie drogi,
kładał na nich smreków trupy, —

w pierś bije różeg pękiem,
zamięcią nogi wiąże, —
bór się pochyla z jękiem,
szaleje biały księżę, —

szaleje niewstrzymany,
gniew go ślepiący pędzi, --
złe chmury zbił w bałwany
gnał przeciw skał krawędzi —

Olbrzymy stoją ciche
i wichru śniąc nie widzą,
próżno się wzdyma w pychę,
milczeniem z niego szydzą —

Otoczył je chmurami,
sam chmury potem zgania,
szarpie się skał zębami
wściekły wśród nich się stania —

Odbiegł, — idzie na niżej,
śniegiem przygina sosny,
kładzie przydrożne krzyże,
włada mocą radosny — — —

Znowu ku szczytom sięga,
znów siły wszystkie tęży,
chmur ciężka czarna wstęga
chwyta skały, jak węży

splot, spina moce, targa,
czai się, słucha — — — oto
wnet z głazu jęknie skarga, —
chmury mocniej oplotą,

wichry szarpną, — zajęczy
głaz i wnet się zachwieje — — —

Przez chmur szczelinę tęczy,
blask, — szczyt w słońcu się śmieje — — —

III.

Żył ongi zastęp duchów marzących na ziemi,
co ukochał nad wszystko słońca blaski złote,
chował w piersiach przeczystą ku słońcu tęsknotę,
i modlił się o skrzydła, by w wyż leciec niemi,
modlił się o cudowną w przestrzenie drabinę,
któraby wiodła tam w słonecznych blasków morze — —
i słońce wysłuchało modlitwy i w sine
niebo wzniosło gór szczyty — jasne słońce łoże.

Ujrzał człowieczy duch marzenia skamieniałe
w bryły ogromne, słońcem, jak szczęście, świetliste
i począł piąć się w wyż, plamiąc ich śniegi białe,
nogi kalecząc o zręby dróg kamieniste —

A gdy stanął na szczytów marzonych wyżynie,
spojrzał wokrag na słońce, dołem na chmur grzywy,
zdało mu się, że ujrzał wszystkie sny już w czynie,
słońce ślepiło wzrok, wkrag niebo, był szczęśliwy —

I zapomniał, że drwi nielitościwe słońce, —
bo własną jego chatę piorun spalił w dole,
gdy on nad chmury prężył ramiona w bezkońce,
bo grad spustoszył potem użyznione pole — — —

I schodził człowiek znowu smutny ku dolinom, —
nie poszła za nim świecąc, ta powódź słoneczna,
została w wyżach tam w dalekość skryta siną,
nęcająca, pyszna, święta, zła — tęsknota wieczna.

IV.

Śród śnieżnej zamieci idę na urwiska,
jak wilk ścigany, kryję się w kolebach;

nigdzie w ciemnicy gwiazda nie połyska; —
jak wielkie dzwony na wszystkich pogrzebach
w jeden stopione ryk, — wicher bije w skały,
targa, szamocze, zrywa się na pola;
młodej smreczyny pęd, tak gnie się cały,
jakby nie śnieg nań padał, lecz niedola
kładła na głowie swoje ciężkie ręce — — —

W dolinach kędyś przez śnieg zamigota
okno człowiecze, w nim światła jarzące; —
tam ciepła chata, strawa, sen, pieszczota — — —
Precz, precz, — tam w chacie trup wisi na belce.
tam w chacie krwawa kałuża u proga,
tam szła zdradziecka śmierć i głodne kielce
poiła, ze śmiercią weszła tam trwoga,
tam w oknie żółte świecą się gromnice — — —
Dziko roześmiał się wicher, szaleje,
w górach chychocą gdzieś skalne dziewice,
skrzypią zaklętych uroczysk wierzeje,
strach, strach przychodzi, za gardło mnie dławi — —

Uciekłem w góry, szukać wielkiej ciszy,
tej przeogromnej świętej, co się pławi
w słonecznych blaskach, którą dusza słyszy,
jak nieskończoną szczęścia pieśń, — w marzenia,
w wielkie potężnych snów ludzkich widziadła,
między olbrzymy klęte w sen kamienia,
szedłem za słońcem, — a dusza mi zbłądła: —
krwawy niedoli głos w ślad za mną bieży — — —
precz, precz, — nie zwiedzisz, — jest nad ziemią słońce — — —
nie wszędzie śmierć zgłodniałe zęby szczerzy, —
i oprócz klęsk — są walki tryumfujące,
i oprócz krwi — jest czerwień zórz radosna,
i oprócz łez — są gwiazdy na błękicie,
i oprócz zim — jest kolorowa wiosna,
i oprócz śmierci — jest śmiejące życie — — —

Nad biały śnieg zakwitną wiosną kwiaty,
takie maluchne, niebieskie kielichy, —
będę je rwał, będę, jak król, bogaty,
a w słońcu kwiatów łąn będzie tak cichy — —

Okruchy nieba, jej oczy, giencianny! —
będę się z wami pieścił, — o! nie zgniotę! —
przybiegnę do was wesół w czas poranny,
gdy się z za gór wytacza słońce złote, —
jak biedny brat wasz, co w życia rozterce
stracił niebieskość, zwiądl w śnieżnej zamieci,
ale zostało mu to kwietne serce,
i może z wami w słońcu się rozkwieci — — —

V.

A kiedy wicher się nad borem rozjęczy,
kiedy ku ziemi gną się w lęku smreki,
to wówczas śni mi się mój sen o tęczy
i o słonecznej tęsknocie dalekiej —

i chciałbym w piorun się zamienić złoty
przerazić wichry udarem gromowym,
do nóg swych zginać ich szalone loty,
wprzódz w rydwan, gonić szlakiem nadorłowym

ponad te zręby białych skał w błękicie,
ponad w szafirze gwiazdy jaśniejące,
ponad człowiecze. smutne szare życie,
w wyż hen do słońca, wyżej, ponad słońce — — —

A wichry z mego śmieją się marzenia,
chychoczą, tańczą, zawodzą, — jak biesi, —
smrek powaliły u mego podsienia,
zda się rozerwą chaty mej przyciesi.

Chodźcie tu wszystkie do mnie, złe, szalone,
idę na wasze spotkanie, — wy wiecie,

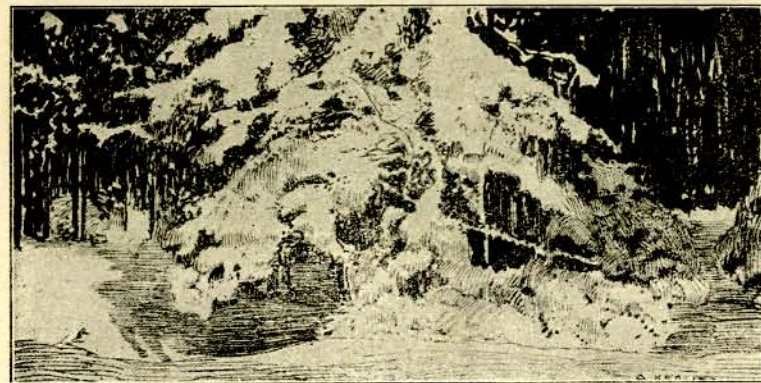
żem brat tych skał, że wasze moce płone,
że mnie wasz dziki szal nie tknie, nie zgniecie,

ja idę tam, gdzie wasze legowiska,
idę i dojdę, bijcie w piersi moje,
kryjcie chmurami pod stopą urwiska,
nie lękam się, nie spadnę, dojdę i dostoję —

Tęsknotę moją skryliście odemnie,
głupcy, myślicie, że mię ryk przełęknie,
że mię zawrócą z drogi chmur tych ciemnie,
że moje serce jak smrek, na pól pęknie.

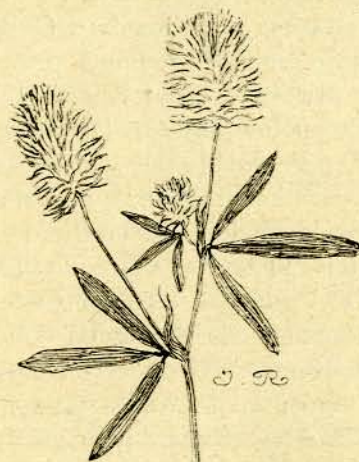
Próżno przycichłe, czaicie się — węże,
nad waszą moc, ja mocą moją władnę
i przyjdzie dzień i dojdę i zwyciężę,
przemocą wydrę, nie, jak wy, — ukradnę

i zejdem potem z gór, ze słońc i z gwiazd bezpieczny,
za mną się tęcza pyszna rozpromieni,
z tęsknotą moją zejdem na tryumf wieczny
w promieniach słońc, w niezgasłych zórz czerwieni
na nieśmiertelny dzień, na tryumf wieczny. —





Szymon Askenazy



IGN. CHRZANOWSKI

NAJNOWSZE DZIEŁO

SZ. ASKENAZEGO. *).

Życiam wiek cały przemarnił w więzieniu,
W nędzy—w chorobie—w ciemności—w milczeniu,
Pamięci ziomków coraz niewidomszy,
Tym, co mnie znali, coraz nieznajomszy,
Od kochających coraz mniej kochany,
Aż teraz pewno całkiem zapomniany.

Gdyby po wiekach, kiedy dzisiejszy system więzienny stanie się — na równi z wojną — już może tylko okropnem wspomnieniem, gdyby ktoś po wiekach, czytając poemat „Ostatni“, posadził Krasińskiego o przesadę, gdyby wątpił, czy możliwą była taka kara i taka męka w „cywilizowanym“ wieku dziewiętnastym, ten przestanie wątpić, kiedy usłyszy historję Polaka, urodzonego w roku 1786, Walerjana Łukasiewskiego, majora czwartaków, twórcy wolnómularstwa narodowego, założyciela i organizatora Towarzystwa Patrijotycznego. Bo historia to tak straszna, że, jak słusz-

*) Szymon Askenazy. Łukasiewski. Tom I, str. 416; tom II, str. 420. Warszawa (Kraków), 1908. E. Wende i Sp.

nie powiedziano*), żadne męczeństwo polityczne z tem, jakiego Łukasieński doznał, porównać się nie może. Niczem tortury „Ostatniego“, niczem i „Więźnia z Chillon“,—chyba jeden jedyny Dante umiałby godnie i prawdziwie taką mękę w poezji odtworzyć. Żył Łukasieński lat osiemdziesiąt dwa: przeszło połowę życia, lat czterdzieści sześć, przemęczył się w samotnem więzieniu. Aresztowano go dnia 25 października roku 1822; więzienie śledcze (w Warszawie) trwało blisko dwa lata. Wyrok sądu wojennego zapadł dnia 14 czerwca roku 1824, skazujący Łukasieńskiego na lat dziewięć ciężkiego więzienia. W kajdanach odstawiono go do Zamościa; „dotychczas, choć w więzieniu śledczem, był oficerem, obywatелеm, człowiekiem; odtąd być nim przestał, — rozpoczął kaźń“ (II, 257). Z Zamościa przeniesiono go do Góry, z Góry do Warszawy, gdzie go męczono i dręczono nowem śledztwem. „Odbył się i zakończył Sąd Sejmowy,... odprawiła się koronacja Mikołaja I na króla polskiego,... doszedł czwarty, ostatni sejm królestwa..., Łukasieński tymczasem ciągle pozostawał w niewoli,... trzymany wciąż w absolutnej tajemnicy w koszarach wołyńskich w Warszawie, w małej, na drugim piętrze, izdebce półciemnej;... siedział... na stolku, przymocowanym do ziemi, sam okuty w te same kajdany, jakie mu w czasie egzekucji na polu powązkowskiem nałożone były“ (II, 284). Przyszła noc 29 listopada 1830 r. W sercu nieszczęśliwego więźnia zabłysła nadzieja.

Dreszcz w moich piersiach dziwny nieskończenie,
W każdej mi żyła drga, jak luteń drgnienie.
Krew moją słyszę, jakby się już cała
W dźwięk idealny jakiś przedźwiczęła
Lekko mi—lekko—prawie mi bez ciała --

*) A. E. Koźmian w „Pamiętnikach“. Ob. K. Kwiecieński, „Ostatni“ Z. Krasińskiego (Przewodnik Naukowy i Literacki, 1908); nagromadzono tu wiele dowodów, że Krasiński miał na myśli Łukasieńskiego, ale ani jeden z nich nie jest rozstrzygającym.

Już mi te ciężkie nie ciążą kajdany —
We mnie—przede mną—jakaś światłość błoga --
Wynieśmiertelniam się z pod ręki wroga —
Ot, lochu mego przejrzytnieją ściany.

Ale nadzieja zawiodła. Stała się rzecz straszna, okropna: zrywająca się do boju Polska zapomniała o Łukasieńskim, a kiedy sobie przypomniała, już było zapóźno. Bo pamiętał o nim—Wielki Książę Konstanty: „30 Listopada o 10 zrana Wołyńcy w szyku bojowym, w widocznym już odwrocie przed rewolucją, wystąpili z koszar i, wzięwszy go przemocą w środek szeregów, uprowadzili;... po raz ostatni widziano Łukasieńskiego we Włodawie, w nędznej siermiędze, z brodą po pas, ciągniętego pieszo na postronku, pod strażą konną z dobytymi pałaszami, jak go prowadzono z kraju, za Bug“ (II, 285). W nocy 5 stycznia roku 1831 zamknięto go w podziemiach „Sekretnego Zamku“ w Schlüsselburgu. Na tydzień przedtem oznajmiono komendantowi twierdzy następującą wolę Najwyższą: „Przestępcę z Królestwa Polskiego, Łukasieńskiego, przyjąć i trzymać w twierdzy Schlüsselburskiej, jako przestępcę stanu, jak najtajniejszym sposobem (*самым тайным образом*), tak, iżby, oprócz komendanta twierdzy, nikt nie wiedział nawet o jego nazwisku, ani też skąd do więzienia przysłany został“. (II, 289).

Ha! czy nie wyrwę cię, haku, ze ściany?
Czy was, ogniwa, nie rozodpierzście?
Naprzód wy, piersi,—naprzód wy, ramiona! —
Tak—ot, tak dobrze—lej się, krwi czerwona!
— Może czas jeszcze! naprzód—ah, daremno!—
Coraz mi słabiej—w oczach już tak ciemno —
A nikt—nikt w świecie—nikt nie pomoże! —
.....
..... W mózgu gdyby kleszcze —
Gdyby sztylety;—chyba po tych głazach
Tarzać się będę w tych zgrzytnych żelazach —
Sam zgrzytający.—Co się ze mną dzieje?
Wiem—znam—rozumiem—czuję: ja szaleję!

„Tak żył, albo raczej tylko nie umierał przez długi szereg lat Łukasiński. Odtąd w ciągu całej ćwierci wieku brak wszelkiego śladu jego istnienia“ (II, 290). Pierwsza naoczna o nim wiadomość pochodzi dopiero od Bakunina, który od roku 1854 do r. 1857 był więziony w Schlüsselburgu. Udało mu się raz, podczas przechadzki więźniów, zamienić kilka słów z Łukasińskim. „Sposobem umówionym zawczasu, niepostrzeżony od współwięźniów — opowiadał później Bakunin — doszedłem go zblizka i półgłosem zawołałem: Łukasiński? Drgnął na całym ciele, obrócił na mnie wpółzaciemnione oczy: Kto?—zapytał.—Odpowiedziałem.—Kto w Polsce?—Mikołaj.—Konstanty?—Nie żyje.—Co w Polsce?—Wkrótce dobrze będzie,—odpowiedziałem. Odwrócił się nagle, stanął, widziałem przyspieszony oddech jego, obejrzał się, po chwili szedł znów swym zwykłym, słabym, miarowym krokiem, powoli, ze spuszczoną głową“. (II, 292).

Umarł cesarz Mikołaj, na tron wstąpił Aleksander II-gi; manifest amnestyjny przywracał wolność najcięższemu nawet skazańcom poprzedniego panowania: dla jednego Łukasińskiego miłosierdzia nie było,—pomimo, że, właściwie mówiąc, nie trzeba było dla jego wyzwolenia amnestji, tylko sprawiedliwości: przecie termin kaźni więziennej, nawet dowolnie zdwojony przez wielkiego księcia Konstantego, upłynął w roku 1838, a to był już rok 1855!... W czerwcu roku 1858 siostra Łukasińskiego, Tekla Lempicka, złożyła najpoddaną prośbę za nieszczęsnym bratem. Daremnie. Zarządzający „Trzecim Wydziałem“, generał-major Potapow, napisał na prośbie rezolucję: „Zostawić bez odpowiedzi“.

Dopiero rok 1862 przyniósł Łukasińskiemu nie wolność wprawdzie, ale znaczną ulgę w niewoli. Komentantem twierdzy Schlüsselburskiej został uczciwy i dobry człowiek, generał Leparskij; jego to starania, poparte przez ks. Aleksandra Suworowa (wnuka zdobywcy Pragi!), sprawiły, że Trzeci Wydział wystosował o Łukasińskim obszerny raport, w którym zaświadczone pomiędzy innemi,

że więzień „w ciągu 31 lat zamknięcia w twierdzy Schlüsselburskiej zachowuje się dobrze, znosi swój los bez szemrania, z pokorą chrześcijańską... i uważałby dla siebie za największą łaskę uwolnienie z zamknięcia w „Sekretnym Zamku“. Opiewa dalej raport, że z uwagi, iż więzień jest zgrzybiały, stary, źle słyszy, dotknięty chorobą kamienia..., generał-major Leparskij wystawia, iż on uważałby za właściwe uwolnić tego aresztanta od zamknięcia i umieścić go w jednej z izb kazamaty dolnego piętra, pozostawiając na jego utrzymanie asygnowaną dotychczas w tym celu kwotę 30 kopiejek dziennie, za co wolnoby mu było otrzymywać zwyczajną strawę, przyrządzaną dla aresztantów, do pełnienia zaś nad nim dozoru, wyznaczać mu kolejno szeregowca komendy strażniczej, z którym wolnoby mu było przechadzać się wewnątrz twierdzy“ (II, 295). Na raporcie tym, pomimo, że przy końcu zawierał w sobie zabójczą insynuację, napisał Aleksander II-gi: „Wykonać podług zdania generał-majora Leparskiego“.

Z tych właśnie czasów, po wypuszczeniu Łukasińskiego z lochów fortecznych, kiedy wolno mu było, po tylu latach, czytać książki i gazety, oraz posiadać przybory do pisania, pochodzą jego zapiski. Przebija się w nich tu i owdzie rozstrój umysłowy, ale są miejsca wręcz wspaniałe — przez bijące z nich serce wielkie, zawsze miłości ojczyzny, wiary i nadziei pełne, niepokalanie czyste i szlachetne. „Wkrótce spodziewam się stanąć przed tronem Wszechmocnego...; prosić będę nie kary, nie zemsty, a nawet nie surowej sprawiedliwości, lecz tylko ojcowskiej poprawy dla winnych, pocieszenia i ulgi dla cierpiących i na koniec zgody, pokoju i błogosławieństwa dla obydwóch narodów... Mój głos jest mniej, jak głos w pustyni, on nie będzie słyszany przez żadne żyjące jestestwo... Z urodzenia i wychowania Polak, ja nienawidziłem Rosji i jej mieszkańców. To były skutki wrażeń, jakie na mój dziecinny umysł zrobiły krwawe sceny 1794 r. Wiek, a z nim doświadczenie i lepiej poznana re-

ligja, umiarkowały moje skłonności i uczucia... Nie przestając kochać nad wszystko moją ojczyznę, ja nie mogę nienawidzić żadnego narodu... Oświadczam, że, chociaż urodzony i wychowany w religji katolickiej rzymskiej, ja jestem chrześcijaninem w duchu i prawdzie, szanując każde wyznanie i jego obrzędy; uważam tylko moralność i dobre uczynki“.

Trudno uwierzyć naprawdę, żeby człowiek, co się lat czterdzieści męczył w okropnem więzieniu, tak myślał i tak czuł! A cóż dopiero powiedzieć o modlitwie Łukasińskiego, z której bije iście nadludzka pokora, ale zarazem — ludzka skarga! „Szczególniejsze to skojarzenie kornej wiary chrześcijańskiej z wypominającą samemu niebu prawa i krzywdy narodu argumentacją historyczno-polityczną, to połączenie błagalnego jęku bezsilnej, umierającej ruiny ludzkiej z mocnym głosem Polaka, schodzącego z tej ziemi w ciężkiej trosce o Polskę. Łukasiński, rozmodlony w godzinę blizkiego zgonu, kiedy z głową podniesioną a osiemdziesięcioletnią, pół obłąkaną, zbielała, znękaną niewysłowionem cierpieniem, w okropnem osamotnieniu, wśród milczących murów schlüsselburskich, taką prowadzi rozmowę, tak prawuje się z Bogiem, — to niezrównany obraz i świadectwo niezmożonej niezem, niepożytej potęgi tlejącego jeszcze w tym szczątku i cieniu człowieczym, wiecznego ducha narodowego“ (II, 304).

I ta właśnie wielkość duszy Łukasińskiego, ten ogrom jego szlachetności, ta ofiarność jego ducha i ofiarność męki—to jedyny promień w ciemnych otchłaniach jego męczarni, ale promień tak blasku słonecznego i słonecznego ciepła pełny, że duszę naszą, buntującą się i przepełniającą bólem, goryczą, żalem i grozą na myśl o tem bezprzykładnem męczeństwie, — koi i goi, godząc nas niejako z męczeństwem, jeżeli nie w znaczeniu etycznym, to przynajmniej... estetycznem: tak, bo heroizm duszy Łukasińskiego, zadokumentowany w jego zapiskach i „modlitwie“, to właśnie—w całej rozciągłości znaczenia tego wyrazu — owa *katharsis* Arystotelesa, oczyszczenie

i podniesienie duszy naszej przez wielką tragedję. Gdyby nie zapiski i „modlitwa“, męka Łukasińskiego byłaby dla nas nietylko okropną, ale w tej okropności—potworną, karykaturalną; tymczasem, dzięki zapiskom i „modlitwie“, okropną być nie przestaje, ale nie jest karykaturalna: przeciwnie jest piękna—najwyższą pięknnością, bo wielkością moralną.

Na wiosnę roku 1866 Łukasiński, podług świadectwa studenta medycyny, Stepusza, ruszał się jeszcze, „mówił mieszaniną języka rosyjsko-polsko-francuskiego... i nie tracił nadziei odzyskania wolności“. „Z 1867 r. niema żadnego żywego śladu o Łukasińskim. Zdaje się, że w tym czasie zupełnie utracił przytomność. 28 lutego 1868 r. nowy komendant twierdzy schlüsselburskiej, generał-major v. Grünblatt, złożył Aleksandrowi II raport następujący: W. C. M. najpoddaniej donoszę, iż trzymany w powierzonej mi twierdzy sekretny aresztant Łukasiński dnia dzisiejszego z woli Bożej pomarł“ (II, 305). Na marginesie dopisano ręką generał-adjutanta Szuwałowa: „Najjaśniejszy Pan raczył czytać dnia 29 lutego“... (II, 406).

* * *

Oto w krótkim streszczeniu historia więzienna Walerjana Łukasińskiego, o której się dawniej coś niecoś zaledwie słyszało, a która teraz staje przed nami w całej swojej grozie—w najnowszym dziele Askenazego.

Lecz historia ta nie wyczerpuje bynajmniej całości tej książki, wypełnia jedynie jej część, i to nie największą i nawet nie najważniejszą. Nie tylko bowiem pietyzm względem Łukasińskiego i świadomość obowiązku unięśmiertelnienia jego historii, w nauce polskiej i w sercach polskich, skłoniła autora do napisania dwutomowego dzieła: „Łukasiński—czytamy w przedmowie—sam przez się ostatecznie człowiek mały, dzieło jego osobiste zniszczone w zarodzie, męka bezpłodna. Ale był on w usiłowaniach swoich i cierpieniu wykładnikiem pewnych mniej znanych, a nader doniosłych *stron wewnętrznych bytowania Królestwa*

Polskiego. Był, właśnie w szczupłym swoim życiowym i publicznym, zakresie, tem dobitniejszym wykładnikiem społecznych prób i porywów targającego się ze swoim przeznaczeniem, krzywdzonego, łudzonego, złe, obłudnie i nierozumnie rządzonego narodu. Okropny, bezprzykładowy los tej jednej niepokątej ofiary związany jest tajemnicami z całym kompleksem pierwszorzędnych spraw i zagadnień zakulisowych, stanowiących o losie ówczesnym społeczeństwa i kraju. Tu spoczywają w półmroku pewne zjawiska i sprężyny specyficzne, warunkujące w znacznej mierze *calokształt widomych dziejów Królestwa. O te rzeczy powszechniejsze chodzi tutaj najglówniej*“. (I, 2).

Taki był zamiar autora, i z tego to stanowiska należy jego dzieło sądzić: jest ono nietylko wyczerpującą biografią Łukasieńskiego, ale zarazem obszerną i. powiedzmy z góry, świetną, ze wszech miar znakomitą monografią o „stronach wewnętrznych bytowania Królestwa Polskiego“, poczęści nawet całej Polski porozbiorowej — w najistotniejszych prądach i objawach jej życia, mianowicie w jej czynach i dążeniach politycznych, płynących ze wzmagającej się wciąż świadomości narodowej. Krótko mówiąc, dzieło o Łukasieńskim jest historią rozwoju naszej świadomości narodowej (od rozbioru aż niemal do powstania 1830 r.) — w kierunku, w którym podążał i Łukasieński i jego towarzysze i jego następcy; innemi słowy, jest historią związków tajnych, osnutą na bardzo szerokiem, bo ogólnoeuropejskiem, a doskonale podmalowanym tle. Historia to smutna i straszna (losy Łukasieńskiego są jej wykładnikiem), a w znacznej mierze albo wcale dotychczas nie znana, albo znana niedokładnie, albo, co gorsza, fałszywie: pierwszy Askenazy opowiedział ją szczegółowo i we właściwym wystawił świetle — na podstawie całego ogromu źródeł, zgromadzonych w bibliotekach i archiwach, jawnych i tajnych, Warszawy, Petersburga, Krakowa, Lwowa, Krasieczyna, Rapperswyłu, Paryża, Wiednia, Berlina.

Z natury rzeczy najwięcej uwagi poświęcił autor

tym dwu najważniejszym przed powstaniem r. 1830 związkom, które założył Łukasieński: wolnomularstwu narodowem i Związкови Patryjotycznemu. Ale to tylko dwa ogniwa, chociaż niewątpliwie największe, w olbrzymim łańcuchu; ogniwa mniejsze — to Centralizacja warszawska, Towarzystwo republikanów polskich, tajna inicjatywa organizacyjna w wojsku polskiem, akcja Andrzeja Horodyskiego; a potem stowarzyszenia młodzieży: Panta-Koina warszawska i jej filja berlińska, Związek polski w Berlinie, Czeiciele Nauk, Towarzystwo literackie (Miłośnicy narodowości), Powszechny związek uniwersytetu warszawskiego, Związek celem krzewienia uczuć wolności, miłości ojczyzny i narodowości, Wolni Polacy; wreszcie różnorodne związki młodzieży i nie-młodzieży na Litwie i na Rusi, w Krakowie, w Poznańskiem. Dodajmy do tego obrazy tajnej policji warszawskiej, sądów wojennych, systemu więziennego, a będziemy mieli pojecie o niezwykłym bogactwie treści dzieła o Łukasieńskim.

Ale pojęcie — jeszcze niezupełne, dopiero częściowe. Przecie wszystkie „strony wewnętrzne bytowania Królestwa Polskiego“ kształtowały się i rozwijały w jak najściślejszym, często przyczynowym związku z pierwiastkami bytowania zarówno Rosji, jak Europy zachodniej. Otóż ten związek pragmatyczny, to współdziałanie albo też równoległość, znakomicie uwydatnił w swem dziele Askenazy. Z jednej strony scharakteryzował te strony życia współczesnej Rosji, które bądź wpływały na życie Królestwa, bądź też płynęły ze wspólnego, zachodnioeuropejskiego źródła, a z drugiej, odszukał i odsłonił z niemałą bystrością kanały podziemne, łączące to źródło z Królestwem i Rosją. Mamy więc w dziele o Łukasieńskim obraz wolnomularstwa rosyjskiego i rosyjskich związków tajnych, oraz stosunku opinii rosyjskiej do Królestwa Polskiego, która na jego losach tak ciężko zaważyła; mamy dalej doskonałą charakterystykę polityki rosyjskiej w Polsce, wszystkich jej sprężyn i wszystkich jej kierowników. Właśnie do najświetniejszych kart całego dzieła należą charakterystyki wielkiego

księcia Konstantego, oraz Nowosilcowa i tej olbszymiej, po raz pierwszy w tak pełnym i jasnym świetle uwypatnionej roli, jaką on w dziejach, nie tylko Królestwa, ale w ogóle Polski i polskości odegrał; wreszcie — mistrzowska charakterystyka postaci i polityki cesarza Aleksandra, jego niedoszłych zamiarów względem wcielenia Litwy do Królestwa, jego nieureczywistnionych marzeń o konstytucji rosyjskiej, jego początkowego liberalizmu i późniejszej reakcyjności.

Tę zaś całą politykę Aleksandra I i w ogóle całe życie polityczne Polski i Rosji ujął Askenazy pod niezmiernie szerokim kątem widzenia, bo ze stanowiska współczesnej sytuacji politycznej w całej Europie zachodniej. W tym celu skreślił obraz wolnomularstwa i tajnych związków politycznych w ziemiach niemieckich, we Włoszech, w Anglii, we Francji; scharakteryzował europejską politykę reakcyjną w dobie restauracji, zwłaszcza we Francji, która „nie przedstawiała na swój sposób wywierać nie mniej wydatnego ciśnienia na ducha publicznego Europy, jak w poprzedniej epoce, rewolucyjnej i napoleońskiej“; to zaś ciśnienie „wyjątkowo silnie odczuwane było w Królestwie Polskiem“, a stąd „bez dokładnej znajomości spraw francuskich doby restauracji“ (np. orgji prowokatorskiej, białego terroru i t. d.) „niepodobna zgoła zrozumieć należycie współczesnych spraw Królestwa“. Oczywiście, nie zapomniał autor i o tem ciśnieniu, jakie na sprawy Królestwa wywierała podła, jak zawsze, insynuacyjna, denuncjatorska i prowokatorska polityka pruska. Tam, gdzie pomiędzy wypadkami nie było związku przyczynowego, wykazuje Askenazy przynajmniej ich równoległość, ich podobieństwo, posługując się tą metodą porównawczą nawet przy oświetleniu szczegółów. Mówiąc np., że Łukasińskiemu, kiedy organizował wolnomularstwo narodowe, dostarczono pewnego manuskryptu niemieckiego o urzędzeniach masonskich z papierów Haukego, zaznacza zaraz, że szczegół ten przypomina podsuniecie statutów *Tugendbundu* założycielom rosyjskiego Związku Dobra Publicz-

nego. Albo jeszcze uwypatnia autor „liczne analogie pomiędzy okrutną akcją prześladowczą, którą z Wiednia wywierano wtedy na królestwie lombardzko-weneckiem i na którą mógł naocznie zapatrywać się Aleksander na kongresie weronańskim, a pomiędzy tą dotkliwą represją, jaka równocześnie schodziła z Petersburga na Królestwo Polskie“. „Nie brak wcale — mówi dalej autor — rysów podobieństwa pomiędzy takim Torresanim, dyrektorem generalnym policji austriackiej w Wenecji, a naszym Łubowidzkim, pomiędzy piekielnym Salvottim, inkwirem austriackim w Medjolanie, a naszym Hankiewiczem, albo nawet pomiędzy oskarżycielską recenzją policyjną wierszy Leopardiego i Manzonięgo przez naczelnego cenzora austriackiego Bramillę a druzgocącą ekspertyzą cenzuralną naszego Szaniawskiego i Nowosilcowa o Wallenrodzie Mickiewicza“ (I, 295).

Nakoniec nie zapomina autor o wykazaniu wpływu, jaki sprawy Królestwa wywierały na zewnątrz, t. j. jak się odbijała na Rosji polityka rosyjska względem Królestwa. Oto np. „rzecz godna uwagi i podobne nasuwająca refleksje, jakie następczało przeszczepienie żandarmerji do Rosji z Królestwa, że podobnie i Biuro Centralne warszawskie stało się pierwowzorem słynnego Trzeciego Wydziału petersburskiego: zaraz po objęciu rządów przez Mikołaja I, w myśl zapiski Benckendorfa ze stycznia 1826 r., przypominającej poniekąd wcześniejsze wywody Nowosilcowa względem konieczności Biura Centralnego, utworzony został Ukazem z lipca t. r., jako organ centralny policji tajnej w całym Cesarstwie, Trzeci Wydział Własnej J. C. M. Kancelarji, którego naczelnikiem, a zarazem szefem żandarmów, został Benckendorf, przyjaciel i naśladowca Rożnieckiego“ (I, 324).

W posługiwaniu się tą metodą pragmatyczno-porównawczą wykazał Askenazy zarówno ogromną wiedzę historyczną, wszechstronną znajomość epoki dziejowej, jak ogromny talent badawczy, zwłaszcza niepospolitą bystrość i przenikliwość w ocenie faktów dziejowych i w łączeniu

ich w jedną nierozdzielalną, odpowiadającą rzeczywistości, całość. I właśnie dzięki tej metodzie i talentowi autora dzieło, poświęcone niby to tylko Łukasińskiemu i Królestwu polskiemu, w istocie jest świetną monografią w zakresie historii ogólnoeuropejskiej; bo, jak postać Łukasińskiego ukazuje się w przedstawieniu autora nie odosobniona, nie wisząca w powietrzu, ale powiązana tysiącami niemi z losami Królestwa i całego narodu, tak znowu Polska owoczesna nie wygląda, pod piórem Askenazego, jak wyspa na oceanie albo jak odcięte od całego świata więzienie.

„Wszystko, co z dziejami polskimi miało jakikolwiek stosunek i związek, co się zdawało przydatnem do ich objaśnienia, osadziłem za rzecz godną pozbierać zewsząd i wcielić razem do niniejszej księgi“: o tem zawsze młodemu przykazaniu starego Długosza czy nie zapominają nazbyt często nasi historycy? czy dzieła o szerokim widnokręgu, którego niema i być nie może bez wzniesienia się na wysokość metody pragmatycznej i, co za tem idzie, porównawczej, nie należą, jak dotychczas, do wyjątków w naszej historjografji? Otóż takim wyjątkiem, wyjątkiem świetnym, jest „Łukasiński“ Askenazego, jest—właśnie przez pozbieranie zewsząd i wcielenie razem do księgi wszystkiego, co z dziejami polskimi miało jakikolwiek stosunek i związek—księgą w wielkim, europejskim stylu.

* * *

Pozostawił po sobie Długosz inne jeszcze mądre przykazanie: historyk powinien „zatykać sobie uszy na ludzający śpiew Syren, aby prawdy i czystości dziejów nie skazić ani zawiścią, ani przychylnością, ani żadnemi względami i pochlebstwem, w opisanu tych zwłaszcza rzeczy, na które zdarzył mu los własnymi patrzeć oczami“. I to przykazanie, także wieczyście młode, wiernie wypełnił Askenazy.

Zdawałoby się, że, skoro pisał o rzeczach, na które los nie zdarzył mu własnymi patrzeć oczami, więc przyszło mu z łatwością zatykać sobie uszy na ludzający śpiew Syren: w istocie zadanie było wcale nie łatwe, owszem bardzo trudne. „Wiecznie ta sama płynie zjawisk fala i wciąż odnawia obrazy te same“, mówi Asnyk: treść „Łukasińskiego“ jest dla nas do dziś dnia aktualna, jeżeli nie we wszystkich swoich szczegółach, to w swoim kierunku zasadniczym, w swojej istocie dziejowej, która nie zmieniła się u nas i dla nas od lat stu czterestu. Te same zagadnienia polityki narodowej, które wówczas poruszały umysły i pchały do czynu, nie przestały być i dzisiaj jedną ze sprężyn naszego życia: i tutaj właśnie tkwiła największa trudność bezstronnej opowieści, a cóż dopiero sądu bezstronnego. Aby politykę narodową i jej aktorów w prawdziwym wystawić świetle, niedosyć posiadać bystrość i wogóle talent badawczy, choćby nawet tak wybitny, jak talent Askenazego; i trzeźwość umysłowa, niezbędną dla wydania wytrawnego sądu o wypadkach dziejowych, o takich zwłaszcza, jak związki tajne, nie podola temu zadaniu, jeżeli nie wesprze jej miłość prawdy i, bez czego niema miłości prawdy, odwaga cywilna.

Otóż i pod tym względem „Łukasiński“ Askenazego jest dziełem znakomitem, dziełem w wielkim stylu (byłoby tym razem krzywdą dla autora powiedzieć: w stylu europejskim, boć dzisiejsza historjografja europejska, niemiecka zwłaszcza, bynajmniej uczciwością nie jaśnieje); i, jeżeli dawniej, opowiadając np. żywot księcia Józefa albo kreśląc przedmowę do „Polski w czasie trzech rozbiorów“ Kraszewskiego, zatykał sobie Askenazy uszy na ludzający śpiew Syren niekoniecznie szczelnie, to teraz, w „Łukasińskim“, miał uszy otwarte jedynie na głos Prawdy.

* * *

Lecz poznajmy teraz nieco szczegółowiej sąd Askenazego zarówno o wypadkach, jak o ludziach.

Na związki tajne (i, co za tem idzie, na powstania polskie XIX wieku) istniały u nas, a poczęści do dnia jeszcze istnieją, dwa biegunowo odmienne poglądy: „bywają one wynoszone w czambuł, jako objaw cnoty najwyższej i wyłączna droga zbawienia; bywają potępiane w powszechności, jako owoc śmiertelnego grzechu i niechybna droga zguby“ (I, 183). Obydwa te sądy są nietylko jednostronne, bo namiętne, a więc fałszywe, ale zarazem, przez samo już stanowisko, z jakiego je wydano, mają charakter wybitnie polityczny, utylitarny, praktyczny, nie historyczny, nie naukowy.

Typowym przedstawicielem pierwszego poglądu jest Maurycy Mochnacki, który, „czerpiąc z własnej fantazji albo samochwalstwa podrzędnych emigracyjnych związkowców, wskazywał z romantycznym entuzjazmem *punkt ciężkości sprawy narodowej w fikcyjnej mocy cudownej związków tajnych*, ażeby w jasności tem bardziej jarzącej wystawić rację i widoki rewolucji, w tem ostrzejszym cieniu pograżać winowajców jej zmarnowania“ (II, 85). Ten pogląd Mochnackiego nie wytrzymuje najpobłażliwszej krytyki w świecie — prawdy dziejowej; cudowna moc związków tajnych nie zdziałała żadnego cudu, owszem pociągała za sobą twardą, straszną, nieubłagłą rzeczywistość nie tylko pod postacią represji, ale, co stokroć gorsza, pod postacią zdemoralizowania i deprawacji, którym się opierały jedynie duchy wyjątkowo silne i czyste.

Typowym przedstawicielem drugiego poglądu jest Henryk Lisicki, który, „czerpiąc z własnego przeświadczenia albo z donosicielstwa lichych relacji metternichowskich, ukazywał *punkt zwichnięcia sprawy narodowej w fikcyjnej mocy piekielnej związków tajnych*, ażeby w tem ciemniejszych barwach unurzyć premedytację i zgubność rewolucji, w świetle tem jaskrawszem objawić jej upadek, jako zasłużoną karę Opatrzności“ (II, 85—86). Pogląd ten jest nie mniej od poprzedniego... naiwny: jego wyznawcy zapominają, czy świadomie nie chcą pamiętać, czy też wreszcie zgoła nie uznają (i to byłoby największą naiwnością)

konieczności dziejowej, wobec której nie wolno poczytywać wypadków za wyłączny produkt wolnej woli ludzkiej. Zapewne, historyk, o ile tylko nie jest wyznawcą ślepego fatalizmu (który nie jest przecie bynajmniej równoznaczny z koniecznością dziejową, pojętą jako determinizm), ma prawo (jeśli nie obowiązek) pociągać ludzi do odpowiedzialności za wypadki historyczne, ale czy do całkowitej, do bezwzględnej? Pociąganie ludzi do całkowitej odpowiedzialności jest może ze stanowiska praktycznego, politycznego, albo, najlepiej, pedagogicznego uzasadnione, może nawet czasem pożyteczne (choć to miecz obosieczny!); ale ze stanowiska historycznego jest błędem nie do darowania, a zarazem jest krzyczącą niesprawiedliwością ze stanowiska etyki (która z czasem, miejmy nadzieję, będzie najwyższą, jeśli nie jedyną, miarą sądu o ludziach i wypadkach); kto chce wydać o wypadku sąd bezstronny, temu nie wolno zamykać oczu na jego źródła, a te tkwią nietylko w człowieku, w jego „wolnej woli“, ale i poza człowiekiem, w „konieczności“. Dzięki swojej „wolnej woli“ człowiek walczy z „koniecznością“, dążąc do jej opanowania, t. j. do wyzyskania obiektywnych praw życia na swoją korzyść; i z czasem, „gdzieś na wieków późnej fali“, ta sama konieczność, która dziś zmusza ludzi więcej do złego, niż do dobrego, będzie ich zmuszała więcej do dobrego, niż do złego; wtedy dopiero w mowie ludzkiej ukaże się dziś jeszcze zgoła nieznane wyrażenie: *bonum necessarium*, bo dotychczas mówimy tylko: *malum necessarium*. Tak czy inaczej, *necessarium* pozostanie na wieki wieków, i na wieki wieków historia i etyka będą się musiały z niem liczyć.

Askenazy liczy się z niem bardzo skrupulatnie, i dlatego jego sąd o związkach tajnych jest sprawiedliwy, jedynie sprawiedliwy i słuszny. „Narody wolne nie znają związków tajnych we właściwym znaczeniu słowa. *To jest klątwa narodów jarzmonych*. To jest trucizna, którą pędem samozachowawczym nieci z siebie *samorządnie* ustrój narodowy, toczony chorobą niewoli“ (I, 183). Związki taj-

ne „są wynikiem i symptomatem wraz nieuniknionym i niezdrowym pewnych warunków przymusowych, a ujemnych. Są wśród takich warunków złem koniecznym, czemś nieraz absolutnie koniecznym, czemś zawsze bardzo złem“ (I, 183). Oto co się nazywa mówić jasno!

Że związki tajne w Polsce XIX wieku były koniecznością, nad tem długo się rozwodzić szkoda czasu i atlasu. Niechaj wolno tylko będzie przytoczyć słowa zmarłego niedawno pisarza, który przez całe swoje życie był, jak powszechnie wiadomo, nieprzejednanym wrogiem tajnych związków i powstań, ale wrogiem sprawiedliwym, bezstronnym, o umyśle głęboko filozoficznym, — Włodzimierza Spasowicza: „Naród który po upadku nie wyczerpie wszystkich sił i środków swoich, by odzyskać niezawisłość, nie godzien jest poszanowania ani w oczach własnych, ani u świata, ani nawet u swoich przeciwników - zaborców“¹⁾. Otóż jednym ze środków odzyskania niezawisłości były związki tajne i być nim musiały, były „czemś absolutnie koniecznym“. Taką absolutną koniecznością było, pomiędzy innemi, i Towarzystwo Patryjotyczne; przyczyna jego powstania tkwiła „w złym sposobie rządzenia Królestwem Polskiem przez Aleksandra I, w fałszywym postawieniu i traktowaniu sprawy polskiej przez niego, przez Rosję i przez Europę kongresową“. Oto dlaczego *nie wolno* historykowi pociągać uczestników związków tajnych do całkowitej odpowiedzialności. „Nie cna rzecz potępiać związkowców polskich, wystawiać ich jako trucicieli narodu i sprawców jego nieszczęść, zwałać na nich winę za ciężką na kraju fatalność, której wszak oni pierwsi padli ofiarą. Trzeba ich szanować i kochać, naśladować ich poświęcenie ale zarazem, *nie naśladować ich błędu, uczyć się z ich doświadczenia*. Kochają wolni Włosi dzisiejsi ówczesnych szlachetnych spiskowców przeciwko Restauracji habsburskiej, swoich Confalonierich, Andryanów, Aresów i tyłu innych, co za niepodległość swego narodu poszli

¹⁾ Pisma, IX, 261.

na rusztowanie lub do podziemi Spielbergu; republikańscy Francuzi dzisiejsi — ówczesnych dzielnych konspiratorów przeciw Restauracji burbońskiej, swoją konspirującą młodzież akademicką paryską i sierżantów z Rochelli, co za wolność swego narodu poszli na gilotynę lub do galer: lecz z tem wszystkim stwierdzają bez wahania całą ochybnosć ówczesnych ich przedsięwzięć, przeświadczywszy się dowodnie, iż ich urzeczywistnienie zgoła odmiennych wymagało czynników. O związkach polskich trzeba w tym samym duchu stwierdzić tę samą prawdę bez żadnych zgoła obsłonek. Bez uprzedzenia w którymkolwiek kierunku, bez apologji ani potępienia, a wyłącznie podług onej zasady najwyższej: *ne quid falsi audeat, ne quid veri non audeat historia*, iż historii zarówno niewolno ani ważyć się na ogłoszenie fałszu, ani też nie ważyć się na wygłaszanie publiczne prawdy, jakkolwiek ta prawda byłaby dotkliwą, do wyjawienia ciężką, *opinię panującą przeciwną*“ (II, 87—88).

Ale pytamy teraz: dlaczego tajne związki były złem? Czy dlatego, że nie doprowadziły do celu? Zapewne,—i dla tego, ale poprzestać na tej jednej przyczynie byłoby to zajmować stanowisko zbyt ciasne, bo utilitarne. Askenazy na niej nie poprzestaje i świetnie a uczciwie, bo z godną najwyższego uznania odwagą cywilną (której dowody zresztą składał nie raz już dawniej, zwłaszcza, jako publicysta), wykazuje, że związki tajne są „czemś zawsze bardzo złem“. Są zaś złem nie tylko dlatego, że nie mają nad sobą i mieć nie mogą kontroli opinji publicznej (II, 40), że zatem narażone są na wszystkie oplakane następstwa jej braku, i nie tylko dlatego, że wykluczają możność owej „armonji i jedności“, do której tak prześlicznie zagrzewał naród Kościuszko, a której brak jest „głównym powodem zwichnięcia tyłu najdonioślejszych przedsięwzięć narodowych“ i „nigdzie z reguły dotkliwiej nie daje się we znaki, jak właśnie w przedsięwzięciach związkowych tajnych, gdzie lęgnie się zazwyczaj jak gdyby pewien specyficzny zarazek szczególnie

zawziętej, nieustępliwej a zazdrosnej, nieufnej i swarnej rywalizacji osób kierowniczych“ (II, 8); ale dlatego nade wszystko związki tajne są dla nas „zawsze czemś bardzo złem“, że są *niezgodne z naturą polską*.

„Istnieje dość rozpowszechniona legenda o osobliwym jakoby uzdolnieniu i skłonnościach polskich... do tajnych dążeń i działań spiskowych. Wyszła ta opinia ze źródeł sąsiedzkich, trójjrozbiorecznych, od gabinetów, polityków, uczonych i publicystów pruskich, austriackich i rosyjskich, tam została wynaleziona dla zohydzenia Polaki i Polaków i stamtąd w świat puszczone. Jestto legenda fałszywa. Odwraca ona na opak najoczywistszą prawdę dziejową. *Niemasz podobno na świecie narodu, który miałby mniej pociągu, mniej talentu do czynności spiskowych, aniżeli naród polski: nie nadaje się do tego sama natura polska, usposobienie narodowe, par excellence* indywidualistyczne, ekspansywne, otwarte, mowne, aż wpadające w łatwości i niekarność, a połączone z wrodzonym głębokim poczuciem prawności, z dochodzącym aż do formalistyki, do przesady instynktem legalizmu i jawności. Jestto do tego stopnia prawdą, że tutaj, w Polsce, wymyślona, urzeczywistniona i udoskonalona została owa rzecz, pod względem prawnopństwowym tak w swej naiwnej konsekwencji logicznej sama sobie przecząca i dziwaczna, żywa *contradictio in adjecto*: spisek legalny i jasny, konfederacja i rokosz. To też w wolnej Polsce spiskowała naprawdę, potajemnie i nieprawnie, magnateria przeciw królowi, krajowi lub między sobą, spiskowała nieraz korona przeciw oligarchji albo i przeciw krajowi: *naród—nigdy*. Właściwa akcja konspiracyjna została dopiero temu narodowi *narzuciona* przez przemoc obcą, przez bezpośrednią, namacalną groźbę upadku i zagłady“ (I, 183—184). Wszystko zaś, co narzucone człowiekowi czy narodowi wbrew jego naturze, co gwałci i paczy jego charakter, co nie pozwala na rozwój normalny wrodzonych, rasowych, czy wyrobionych wiekowym życiem, dodatnich w zasadzie cech i dążeń, jest złem. Dodajmy jeszcze, że w poglądzie

swoim na związki tajne, jako na rzecz, z naturą polską nie zgodną, Askenazy nie jest odosobniony, że zupełnie tego zdania, co on, był Prądyński i... Walerjan Łukasiński. „Gorączka tajemnych związków—są słowa Prądyńskiego—przez niewiele lat przelaciła całą Polskę, ale się w niej nigdy nie mogła zakorzenić, bo *nie znalazła dla siebie stosownego gruntu w charakterze narodowym*; nie wiem, czy przedłużony obcy ucisk potrafi zmienić tenże charakter i usposobić go do tego, czyniąc go skrytym, zaciętym, wytrwałym; ale za moich czasów dalecy byliśmy od tych wad lub tych przymiotów, jeżeli kto woli tak nazwać. Tajemne związki, jak płomień, ogarnęły Polskę, ale płomień słomiany; wnet gasł i pewnie ani śladu nie byłby po sobie zostawił, gdyby nie wdanie się rosyjskiego rządu, które dopiero ożywiło je na nowo i podniosło ich znaczenie“ (II, 41). A Łukasiński pisał: „Z boleścią serca przekonałem się, że *blądziłem, sądząc Polaków zdolnymi do podobnych związków*“ (II, 133). I dalej: „Przebiegając w myśli szereg osób i ich charaktery, licząc głupstwa, które zrobili, ich niesforność i zarozumiałość ich w swoich zdaniach, wreszcie, kiedy widziałem, że *prawie wszyscy weszli do związku bez powołania*, bez zastanowienia się nad osobistym niebezpieczeństwem, osądziłem, że ten związek w żadnym czasie nie przyniesie żadnej korzyści krajowi, lecz przeciwnie, w każdym momencie szkodliwym mu być może“ (II, 134).

* * *

Doskonałą ilustracją i zarazem bliższem uzasadnieniem sądu Askenazego o związkach tajnych jest oparta na faktach (w części poraz pierwszy na światło dzienne wydobytych) charakterystyka zarówno całych grup związkowych, jak poszczególnych postaci. Tutaj znów złożył Askenazy dowody i wytrawności sądu i odwagi cywilnej.

Zatrzymajmy się na chwilę na świetnej charakterystyce jakobinów polskich, która i dziś jeszcze, pomimo, że jakobinów już niby niema, nie utraciła swojej... aktualności. Przyznaje Askenazy, że jakobinizm polski „wyrządził potrzebę przystosowania się w raptowniejszym tempie i głębszym sposobie do społecznych wymagań i zdobyczy ducha i życia nowożytnego“; ale twierdzi, że „funkcję tę wypełniał on wręcz wadliwie, tej potrzebie służył nieporadnie, marnie lub nawet nikoziemnie, z prostą dla niej szkodą“ (I, 187).

„Nie brakło tu — pisze dalej autor — dobrych chęci, nawet ofiarności patryjotycznej, a już pełno było pięknie brzmiących haseł; brakło zupełnie rozumu, charakteru i wszelkiego zgoła poczucia odpowiedzialności. Nie było wśród ówczesnych jakobinów polskich ani jednego wyższej miary człowieka; były tylko dwa gatunki ludzi: *dusze gorące a głowy słabe*, szczerze kochający sprawę narodu i postępu, gotowi służyć jej z poświęceniem, lecz dobrze nieświadomi, jak służyć, ograniczeni, często niepo czytelnicy, — oraz prowadzący ich sugiestywnie na pasku warcholy, dyszący ambicją, zarozumieniem, zawiścią mściwą lub chciwą żądzą załatwienia swoich porachunków domowych lub interesów pod pokrywką zbawienia ojczyzny, prześladowcy i denuncjanci wszelkiego istotnego talentu i zasługi, nietylko przed własnym społeczeństwem, lecz również przed obcym rządem, choćby z największą krzywdą dla narodu, byle tylko utrzymać w garści wyłączny *monopol prawdziwego patryjotyzmu*, prawdziwych dążeń narodowych i demokratycznych, a tem samem monopol władzy nad nieszczęsną rzeczą publiczną. Kto tylko stał im po drodze, jako możliwy konkurent do tej władzy, niechajby najbardziej uprawniony, najczystszy, największy, miał w nich wrogów śmiertelnych; i poprostu nie jest do wiary niesłychana, nieubłagana nienawiść, z jaką ci rzekomi narodowcy czy to zniesławiali i podkopali publicznie, czy też poufnie między sobą opluwali jadem najwyższych przedstawicieli i obrońców narodu“

(II, 187—188), nie wyłączając ani Dąbrowskiego, który był „intrygantem“, „łajdakiem“ i „zdrajcą“, a zresztą „Sasem“, a więc nie Polakiem, ani Kniaziewiczą, także nie Polaka, bo „Kurlandczyka“, ani nawet Kościuszki, który „miał tyle nikoziemności“, że „oddął się całkiem nieprzyjaciołom patryjotów“, który „żadnej stronie narażić się nie chce, aby żadna strona sławie jego nie uwłoczyła“, który „w szczęśliwym próżniactwie pogodne dni pędzi“ i t. d., i t. d. „Pozbawiona wszelkiej wartości samoistnej, wszelkiej rzeczywistej wagi gatunkowej i powagi politycznej“, mogła ta „mizerja jakobińska“ opierać „swoje napaści na samozwańców(!) w rodzaju Kościuszki lub Dąbrowskiego i własne roszczenia do monopolu rządów sprawy publicznej“ jedynie tylko „na rzekomych swych tytułach pełnomocnych, jako przedstawicielstwa zorganizowanej tajemnie opinii i woli narodu“ (I. 190).

Wróćmy jednak do związków tajnych, mianowicie do Towarzystwa Patryjotycznego. Wbrew Mochnackiemu, który wiadomości i sądy swoje o tym związku czerpał często „z powietrza, z przesadnych posłuchów i gadanin“, twierdzi i wykazuje Askenazy, że, przedewszystkiem, „zasadnicze premisy związku były błędne w potrójnym znaczeniu“. „Obliczony w planie pierwotnym na skalę bardzo rozległą, mającą ogarnąć powszechność dzierżaw byłej Rzeczypospolitej, polegał on na nieporozumieniu względem samej istoty charakteru polskiego, pozbawionej po ciągu i zdolności do roboty konspiracyjnej. Obliczony w głównej swej treści na stale przeciągające się trwanie, był on w sprzeczności z samą istotą wszelkiej konspiracji, przydatnej jedynie do skutecznej akcji wybuchowej na krótką metę. Obliczony w ostatniej rezerwie na *ultimam rationem* rewolucji, rozmiął się on z samą istotą ówczesnego stanu sprawy polsko-rosyjskiej, która, nie będąc kwestją wewnętrzną, ale międzypaństwową, rozstrzygniętą być mogła naówczas nie przez zwrot rewolucyjny społeczeństwa przeciw swojemu własnemu rządowi, jak ongi w Anglii lub Francji, lecz przez wojnę polsko-rosyjską.

Chybiony potrójnie w założeniu musiał związek chybić w wykonaniu“ (II, 86—87). Ilość związkowców nie przekraczała liczby kilkuset, kiedy tymczasem Mochnacki podaje cyfrę 5,000!! A co do ich jakości, to nie brakło dusz wielkich i szlachetnych, nie brakło książąt niezłomnych: dosyć przytoczyć dwa tylko nazwiska, — Łukasińskiego i Machnickiego. Tak, ale zato wśród szarego tłumu związkowców wielu było „ludzi, idących do związku bez głębszego namysłu i bez poczucia odpowiedzialności, prostaków, zaufanych, że wchodzi do roboty bezpiecznej i półurzędowej, autoryzowanej przez monarchę, lekkoduchów, biegnących za nazwiskiem swego afiljanta za modą związkową i odgłosem powszechności akcji, gapiów, czipających się rzeczy ciekawej, sekretnej i ważnej, bo wszak nie są gorsi od drugiego, który do niej ma przystęp, karjerowiczów, głodnych znaczenia i wpływu, wreszcie nawet kandydatów donosicielskich i prowokatorskich“! (II, 85).

Zapewne, ci mali ludzie byli małymi, zanim się zapręgli do tajnej roboty, i z pewnością nigdyby się nie wzniesli na wyżyny moralne: ale, że ich udział w tajnej robocie nie wpływał na nich umoralniająco (jeśli nie zawsze i nie we wszystkim, to najczęściej i pod wielu względami), to nie ulega najmniejszej wątpliwości; — tajemnica Alfa na dworze Winrycha była jego tragedją moralną, bo brudziła jego duszę; nie na niego, tylko na Winrycha spada za to odpowiedzialność, ale dosyć, że się dusza Alfa brudziła.

Brudziła się dusza i nie jednego ze związkowców: smutne, bolesne to rewelacje, ale uczynić je należało koniecznie — w imię prawdy dziejowej, „przed którą — jak słusznie mówi Askenazy — żaden przywilej nie przysługuje nikomu, Heltmanowi tak samo, jak Wincentemu Kraśnińskiemu, Mochnackiemu narówni ze Stanisławem Zamojskim“ (II, 200). „Odsłaniać podobne przedawnione zboczenia i słabości ludzi, skądinąd dla kraju zasłużonych

lub spracowanych, jestto funkcja bardzo przykra. Pociąga ona za sobą równocześnie obowiązek przywiedzenia wszystkich okoliczności łagodzących, przemawiających na dobro tych ludzi, którzy się bronić nie mogą i mają prawo pośmiertne do tego, aby ich wina nie przeciążoną, lecz na szali ich trudów, cierpień lub zasług odważoną była. Taka miara, jedynie trafna, łącząca wymagania prawdy z poczuciem słuszności, gdzieindziej z reguły bywa stosowana: i, kiedy np. niezbyt dawno udowodniono we Włoszech, iż taki Pallavicino, jeden z najczynniejszych działaczy spiskowych pierwszej doby *risorgimento*, podczas śledztw medjolańskich, uległ piekielnej, nie ustępującej praktykom Nowosilcowa, sztuce indagacyjnej Salvottiego i przez swoje zeznania spowodował zgubę wielu najznakomitszych związkowców włoskich, wywnioskowano stąd tyle tylko, że pod względem odporności duchowej należy Pallavicina zesunąć jednym stopniem poniżej Confalanierich, Andrianów i równym im spiżowego hartu postaci, lecz bynajmniej jeszcze przez to nie odsądzono go od uznania rodaków dla istotnych jego tytułów zasługi patrijotycznej. Albo znowuż, iżby dać przykład bliższy a wcześniejszy, jeśli rozglądać się w zeznaniach petersburskich, wymuszanych swego czasu przez Katarzynę II na wziętych do niewoli głównych działaczach powstania Kościuszkowskiego, okazuje się, że, obok bezwzględnie godnej i nieustraszonej postawy, zachowanej przy indagacji przez samego Kościuszkę, Ignacego Potockiego albo Fiszerę, w zeznaniach innych natomiast więźniów, jak np. Niemcewicza, przebijały wyraźne ślady wywołanej klęską i postrachem depresji, a choć co prawda nie było delacji, były przecie rzeczy niewłaściwe, zwroty korne i upokarzające, których zapewne wołałoby się tu nie spotykać, których jednakowoż ani brać zbyt dosłownie, ani zbyt surowo policzyć niewolno. W ogólności, przy ocenie tego rodzaju przykrych spraw zeznawczych, jedno jest tylko sprawiedliwe i stosowne wskazanie: należy być surowym dla samego siebie, wyrozumiałym dla innych.

Tania to rzecz zdaleka, w bezpieczeństwie i spokoju, potępić tych, co nie wytrzymali wśród obaw i męki, a tem samem niejako *implicite* deklarować na kredyt, że samemu na ich miejscu byłoby się na pewno lepszym, byłoby się bohaterem. Owóż, wprost przeciwnie, wyrokując w podobnych wypadkach o cudzej słabości lub nawet przewinieniu, przystoi jak najstaranniej potrafić przymus, choćby tylko moralny, zasługę, chociażby nie współrzędną, i dopiero wtedy do zrównoważonego dojść sądu". (II, 201—202).

Warto było w całości przytoczyć ten piękny ustęp, warto, wydając sądy o ludziach, mieć w pamięci i w sercu zawartą w nim zasadę,—u nas zwłaszcza, gdzie się tak lekkomyślnie feruje bezwzględne wyroki, gdzie się tak hojnie szafuje wyrazem: „zdrajca“, gdzie tak łatwo o „posądzanie prędkie i skwapliwość w domysłach i podejrzeniu“ (o czem wiedział już Skarga).

Otóż Askenazy, wydając sądy o ludziach, ma w pamięci tę swoją zasadę: bez litości odsłania prawdę, często prostując, a czasem rozbijając w puch dawne nasze mniemanie o ludziach, ale *bezwzględnie* nie potępia ich nigdy, owszem, świadomie czy nieświadomie licząc się z faktem determinizmu, szuka zwykle „okoliczności łagodzących, przemawiających na dobro tych ludzi, którzy się bronić nie mogą“.

Oto np. Wiktor Heltman, autor słynnego manifestu Towarzystwa Demokratycznego (który, mówiąc nawiasem, jest „zgrubiałą i spospoliconą kompilacją i parafrazą społecznych, nierównie wyższych i dojrzalszych formuł ideowych myśli demokratycznej francuskiej“, II, 200), uchodził na emigracji, wśród swego obozu, za człowieka czystego i bohatera. Tak, bo nie wiedzieli ludzie, że człowiek ten, który nazywał Czartoryskiego zdrajcą, a Mochnackiego zręcznym agentem myśli dynastycznej, który tak lubił mówić o palmie męczeńskiej i cierniowej koronie, który zalecał nieczułość na „męki więzień, katusze inda-

gacji, krew z rusztowań płynącą“ i wielką ostrożność w przyjmowaniu ludzi do związków tajnych,—że człowiek ten pierwszą próbę (w r. 1821) wprawdzie wytrzymał, ale drugiej (w r. 1823) nie wytrzymał: wydał, z najdrobniejszymi szczegółami opisał i związek, założony w Warszawie w r. 1819 pod Adamem Zamojskim, i organizację Wolińskich Polaków; nie zataił ani stowarzyszenia na Dynasach, ani Towarzystwa uczniowskiego w Świsłoczy; „obciążył mnóstwo osób, i to przeważnie przyjaciół, nie oszczędzając zresztą nikogo, wymieniając wszystkich, kogo tylko pamiętał, jako mającego jakikolwiek bądź, choćby najdalszy udział w czynnościach związkowych i narażając tym sposobem kilkudziesięciu młodych ludzi, dotychczas zgola nietykanych, na niebezpieczne przeprawy śledcze“ (II, 192). A te wszystkie zeznania przypieczętował dobijającym go westchnieniem: „Czemuż nie więcej nie mam do odkrycia?“ Wszystko to prawda, bolesna, upokarzająca prawda: ale i to prawda, że ciężka kara, jaka nań spadła w r. 1821, — dwuletnia służba w charakterze prostego żołdaka „pod okrutnym uciskiem fizycznym, w upokarzającym poniżeniu moralnem“, musiała zwątląć jego już z natury wątłą duszę, że owe wyznania poczynione zostały w ciężkiej chwili przygnębienia fizycznego i moralnego, że wreszcie „tę chwilę słabości okupił długoletnim i — bez względu na owocność — ciężkim i ofiarnym wysiłkiem reszty życia“ (II, 202): oto okoliczności łagodzące, na które nie wolno historykowi zamykać oczu.

I jeszcze jeden przykład, smutniejszy, boleśniejszy, bo z życia człowieka, który nie był, jak Heltman, mieronotą: miał umysł świetny, serce ogniste, talent wielki, a duszę—małą. Maurycy Mochnacki, wtrącony w r. 1823 do więzienia karmelickiego, posunął się w swoich zeznaniach jeszcze znacznie dalej, aniżeli Heltman, przekroczył bowiem (czy tylko dzięki swej bujnej fantazji?) granice, zakreślone.... instynktem samozachowawczym: nietylko, broniąc siebie, powydawał i naraził wielu, ale nadto naj-

niepotrzebniej w świecie, przez komisję śledczą do wyznań nie zmuszany, jak Dydak np., którego morzono głodem,—wygotował dla Komisji obszerne pismo, które „nie tylko mieściło w sobie wyraźne insynuacje oskarżycielskie przeciw całkiem określonym osobom, jak przeciw profesorowi historii powszechnej na uniwersytecie warszawskim, t. j. Bentkowskiemu, wydawcom *Sybilli*, *Orla Białego*, *Dekady*, t. j. Morawskiemu, Kicińskiemu i t. d. lecz ponadto, godząc przedewszystkiem w całokształt edukacji narodowej, i podane też z urzędu do bezpośredniej wiadomości i użytku władzy namiestniczej i ministerjum oświecenia, było nie pozbawioną znaczenia, tem dobitniejszą, że pochodzącą z łona samejże młodzieży, eksemplifikacją i usprawiedliwieniem rozkładowych dążeń i robót Nowosilcowa w dziedzinie oświatowej“ (II, 207). Pomimo, a raczej może właśnie dlatego, że miał Mochnacki na sumieniu ten ciężki grzech młodości, lubił się górnie i dumnie powoływać na „młode swoje lata, trawione w tajnych związkach patryjotycznych“, do tego stopnia, że porównywał się z Łukasińskim, opowiadał, że brał udział w gminie Towarzystwa Patryjotycznego, do którego wcale nie należał, kłamał, że do napisania owej nieszczęsnej elukubracji zmusił go Nowosilcow, i t. p.

Że i tutaj są okoliczności łagodzące, na to zgoda. Ale trudno zgodzić się z Askenazym, żeby tę swoją „przejściową brzydką chwilę młodości“ „aż nadto okupił“ Mochnacki „tem wszystkim, co w następstwie dał swemu narodowi“. Okupić upadek moralny można tylko zasługą—z tej samej dziedziny, t. j. zasługą moralną; tymczasem te obydwie zasługi Mochnackiego, które przytacza Askenazy, jako okupienie błędu młodości, a mianowicie „kilka wskazań nadzwyczaj doniosłych a bezwzględnie trafnych“ podczas rewolucji oraz dzieło zuakomite, „arcydzieło rozmachu, ognia, plastyki dziejopisarskiej, a nie mniej też przenikliwych rzutów historyczno-politycznych, w którym jeszcze niejedno pokolenie czerpać będzie naukę i zapal“ (II, 209), — obydwie te zasługi są

nie z tej samej dziedziny, co upadek moralny, bo płyną jedynie z bystrości umysłu i talentu, które można posiadać, będąc nawet—nikczemnym. Takie stanowisko etyczne,—nie dość ściśle rozróżnianie tego, co moralne, od tego, co tylko naturalne, t. j. osobistej zasługi od wrodzonych przymiotów, — jest nieetyczne i mocno przestarzałe, dobre jeszcze dla Hume'a, ale już zwalczane i zwalczone przez współczesnego mu Adama Smitha.

I na inny jeszcze pogląd autora już tenże Adam Smith pisaćby się żadną miarą nie chciał. Mochnacki, zdaniem Askenazego, był „nierównie mniej winnym od Heltmana, gdyż nie wywołał nawet w przybliżeniu podobnie fatalnych, jak tamten skutków,... był od niego o blisko dziesięć lat młodszy“ (II, 209). Ten drugi względ, młodość, jest niewątpliwie okolicznością łagodzącą, ale pierwszy, mniej fatalne skutki, jest okolicznością łagodzącą chyba tylko ze stanowiska tak zwanej etyki utilitarnej, tak zwanej, bo „etyka“ utilitarna jest negacją, jest parodią etyki prawdziwej. Wszakże sam autor poczytuje Heltmanowi za częściowe przynajmniej okupienie błędu młodości „ciężki i ofiarny wysiłek reszty życia“, — „bez względu na owocność“ (II, 202).

Nie ulega jednak wątpliwości, że to tylko stanowisko jest właściwem stanowiskiem autora: świadczy o tem jego pogląd na postępek Prądzyńskiego, który na czoło roboty związkowej wysunął pewną, lichą bardzo, nikczemną nawet figurę (Umińskiego), tłumacząc się później, iż „zmuszony był nie oglądać się na lichotę narzędzia, mając na oku wyższy cel publiczny“. „Tłumaczenie nic nie warte,—mówi na to autor—i to dla dwóch kapitalnych powodów. Naprzód, jak stwierdzono, nie o pobudki dobra publicznego, ale rywalizacji osobistej chodziło tu przedewszystkiem. A następnie, co najważniejsza, tam nawet, tam właśnie, gdzie jest w grze rzecz publiczna, choćby i wypadło z konieczności rozlicznych używać żywiołów, nigdy przecież, pod żadnym pozorem, nie wolno w ich doborze zejść poniżej pewnego obowiązującego poziomu moralnego, niewolno

nigdy dla żadnych względów aktualnych świadomie zapominając, że wartość użytych instrumentów ludzkich jest wagi najpierwszej, decydującej dla wartości samego podejmowanego dzieła" (II, 17). Wobec tak wyraźnego zaznaczenia przez autora stanowiska, tamte dwa poglądy musimy poczytywać jedynie za nieporozumienia, albo też może za wybiegi adwokackie, niezbyt wprawdzie fortunate, ale płynące z chwalebnej ostrożności historyka, z jego dążenia do wydawania sądów możliwie sprawiedliwych i bezstronnych.

Bezstronność bowiem to, raz jeszcze, wybitna cecha i jedna z najwybitniejszych zalet znakomitego dzieła o Walerjanie Łukasińskim. W imię tej bezstronności, w imię prawdy nie zawaha się autor ani wydobyć na jaw wstrętnej deklaracji Skrzyneckiego, „zarówno pod względem etycznym, jak prawnym, haniebnej" (II, 248); ani przyznać otwarcie, że generał Maurycy Hauke był człowiekiem honoru, świetnym oficerem, dobrym Polakiem (II, 113), że nie godzi się jego nazwiska jednoczyć z nazwiskiem człowieka bez charakteru, jakim był Wincenty Krasiński (I, 72); ani przyznać, że W. Książę Konstanty postępował sobie w pewnych wypadkach „z wyrozumiałością i rozważą niezwykłą, zgoła przeciwną jego temperamentowi" (II, 123) i t. d.

* * *

Ten jednak obiektywizm sądu historycznego bynajmniej nie przeszkadza autorowi do wyrażania osobistych uczuć, czasem własnych sympatii albo też, nierównie częściej, antypatii do tej lub owej postaci, do tego lub owego postępu. Te własne uczucia autora uwytatniają się — rzecz, dla jego indywidualności wysoce znamieną — nade wszystko pod postacią gryzącej, niekiedy wręcz sarkastycznej ironji. Kiedy mówi o bohaterstwie, o męczeństwie ludzi, nie zapala się, nie unosi (zresztą życie Łukasińskiego mówi samo za siebie — ze straszną, przeraźliwą

wymową); kiedy mówi o ich nikczemności albo małości, bardzo rzadko się oburza, natomiast bardzo często dogryza im złośliwym, a świetnym dowcipem albo nawet zgola gryzie żrącą ironją. Nowosilcow w jednej tylko jedynej dziedzinie, kradzieży i łapownictwa, „wysoką zachowywał bezstronność i żadnej pomiędzy Rosją a Polską nie czynił różnicy, równie gruntownie i po mistrzowsku kradł ze skarbu rosyjskiego, co prawda, zawsze najskładniej na terenie dzielnicowym polskim" (I, 63); tajny policjant Birnbaum karierę swą zakończył „niefortunnym, więziennym i konopnym sposobem"; rewolucja listopadowa „podniosła go na latarnię" (I, 316); „pani generałowa Zajączkowa, dama wtedy conajmniej sześćdziesięcioletnia (gdyż wieku jej nikt nigdy nie zliczył), nieporównana w zwycięskiej walce z czasem, w cudownej wprost sztuce konserwowania wiecznej młodości,... a sercem młoda aż do zgonu,... przybywszy do Warszawy na plac boju do starego męża, za cnotliwy ten postępek małżeński znalazła nagrodę w obowiązkach opiekuńczych dla siedemnastoletniego, interesującego bezradnością, kontuzją, sentymentem, ładnego chłopca" (Wojciecha Grzymały),... który, „przedstawiony z jej natchnienia, przez powolnego życzeniom pani Namiestnika, na audytora przy Radzie Stanu, nie miał potrzeby trudzić się, jak inni koledzy;... „sumiennie, niż w Radzie Stanu, pełnił czynności, z tą funkcją urzędową związane, nastrojał się do egzaltacji wiekowej bogdanki, pisywał do niej... i odbierał od niej stylem mieszanym, bądź na lepiej jej znaną zamierzehłą manierę Helojzy Russa, bądź też jemu bardziej poręczną modę Atali Chateaubrianda, zawile i wzniosłe epitety miłosne, których nie rozumieli oboje" (II, 66—67).

Że się taka ironja nie mało przyczynia do plastyczności charakterystyki, zbyt uczciwie mówić. Czasem w kilku epitetach ironicznych Askenazego mieści się cały człowiek, np. Andrzej Horodyski, ów „nadpatryjota, wyrobiony w szkole księdza Kołłataja" (I, 17), „okazowy

pseudo-jakobin, specjalista od spisków i powstań, quasi-rewolucyjny, ultrapatryjotyczny zawodowiec i karierowicz" (I, 19).

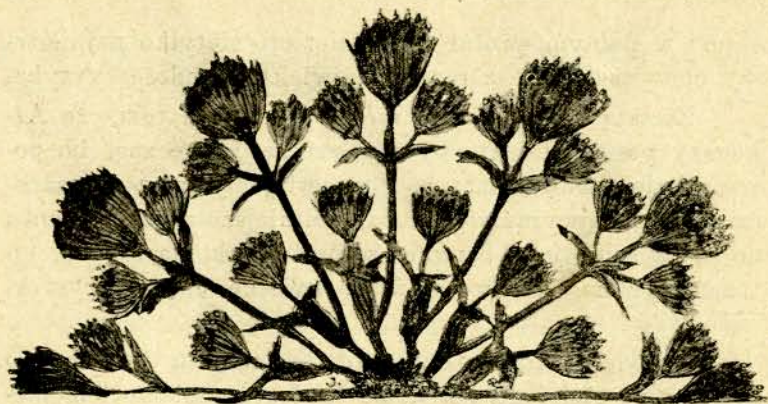
Oczywiście, nie wszystkim będzie się ta ironiczność Askenazego podobała; będą i tacy, którzy mu ją wręcz za złe poczytają, jako rzekome pogwałcenie zasad stylu historycznego i wogóle naukowego. Istnieje przecie pogląd, że się [historyk powinien kryć ze swoim sądem, a coś dopiero ze swem uczuciem, że w przeciwnym razie sugiestjonuje czytelnika, a tego mu robić nie wolno. Ciekawa historia, dlaczego nie wolno! Mommsen nie kryje się bynajmniej ze swoim uznaniem dla mądrości państwowej Rzymian, a sądy swoje i charakterystyki zabarwia czasem nie już sympatją, ale wręcz uwielbieniem albo nienawiścią (wystarczy przypomnieć charakterystykę Cezara i Cyserona): czy przez to jego „Historja rzymska“ przestaje być dziełem naukowym? Zresztą, wolno czy nie wolno, historyk, obdarzony żywym temperamentem i wrażliwością, czy to intelektualną, czy etyczną, czy wreszcie estetyczną, *nie może* się ze swem uczuciem ukryć, jak nie może go zdusić „najobiektywniejszy“ epik, nie wyłączając... Homera, bo i on przecie, jak to słusznie powiedziano, wypowiada swój własny sąd, a czasem swoje własne uczucie, — w epitetach. Na zupełną przedmiotowość stylu zdobędzie się łatwo tylko taki pisarz, który stylu nie ma, albo (co na jedno wychodzi) który nie ma duszy, a przynajmniej jakiego takiego temperamentu i, co za tem idzie, talentu. Otóż takim „pisarzem“ Askenazy, na szczęście, nie jest: ma on temperament wcale nie taki, ale niesłychanie żywy, gwałtowny nawet, jeśli nie namiętny, a i talent pisarski posiada także nie taki, ale pierwszorzędny, ogromny. Świadczą o tem wymownie jego pisma dawniejsze, świadczy jeszcze wymownie jego dzieło ostatnie: „Łukasiński“. Zaznaczyć postęp w rozwoju twórczości każdego pisarza wogóle, a coś dopiero pisarza tej miary i tego wpływu, co Askenazy, stwierdzić, że jego talent niezwykle jaśnieje w „Łukasiń-

skim“ w pełnym swoim rozkwicie: oto nie tylko najpierwszy obowiązek, ale zarazem największa radość krytyka.

Zresztą rozwodzić się szczegółowo nad tem, że Askenazy posiada talent, byłoby rzeczą zbyteczną, bo powszechnie znaną i uznaną. Poprzestajemy więc na zaznaczeniu, że najwyraźniejsze, najdobitniejsze znamię talentu noszą na sobie jego barwne zarówno, jak plastyczne, tętniące życiem, krótko mówiąc, świetne charakterystyki osób.

Szkoda tylko, że na wysokości talentu Askenazego nie zawsze stoi jego język, że szpecą go mianowicie niemożliwie długie okresy, czasem zwroty, duchowi języka polskiego obce, oraz zgoła zbyteczne wyrazy cudzoziemskie, do których autor ma jakieś dziwne upodobanie*). Jeżeli o czystość i poprawność języka dbać powinien wogóle każdy pisarz, to coś dopiero taki, jak Askenazy, którego dzieła nie przemina przecie wraz z dniem dzisiejszym, ale stanowić będą trwałą i piękną pozycję nie tylko w historii dziejopisarstwa polskiego, ale w historii literatury polskiej.

*) Oto, żeby nie być gołosłownym, kilka dowodów: „sposobem eksperymentalnym“ (I, 19); „czynił mu nieraz głuchą opozycję“ (I, 47); „deferencja“ (I, 50); „epuracja“ (I, 92); „środek epuracyjny“ (II, 133); „retroaktywny związek przyczynowy“ (I, 257); „można było przypuszczać, że tę indemnizację, to wielkorządtwo dożywotnie on potrafi utrzymać *naprzeciw* (!!) Mikołaja“ (I, 163); „orientacja“ (I, 231) i „dezorientacja“ (I, 231); „z (!) samego rana“ (II, 18); „brakował mu doradca“ (II, 30); „referowanie się“ (II, 35); „spreczyzować“ (II, 107); „dlatego, *bo* (! II, 122); „tajemnicze intercepta anonimowe“ (II, 150); „intercept“ (II, 211); „charakter incydentalny“ (II, 214); „wyjątkowym sposobem“ (II, 291); „zaufany“ (zam. „ufający“ albo „przekonany“ (II, 85) i t. d. Co szczególnie razi, to częste „wszak“ na niewłaściwym miejscu (np. „on wszak“ zamiast „wszak on“) oraz nieumiejętne (albo też zupełnie niepotrzebne) posługiwanie się formą czasu zaprzeszłego.



A. HERTZÓWNA: PASTORALE.

CZEŚĆ I.

(Łąka u brzegu lasu. Z prawej strony sceny widać rząd wierzb, ocieniających brzeg niewidocznej zresztą rzeki, z lewej na niskim pniu drzewnym siedzi Klelja. Jest widocznie zmęczona i znudzona sobą i resztą świata, Zaciska gniewnie usta, pochyła głowę, szarpie niecierpliwie wysoką puszystą trawę. Od czasu do czasu rzuca krótkie, ostre spojrzenie Filomonowi, który, oparty o drzewo w nawpół leżącej postawie, pali z prawdziwym zadowoleniem fajkę. Milczenie. Nagły powiew wiatru rzuca żółty liść na kolana pięknej panny. Klelja ogląda go zdziwiona, upuszcza, odwraca leniwie głowę w stronę Filemona i mówi):

KLELJA. Żółty liść.

FILEMON. Mhm... (puszcza kłęb dymu).

KLELJA. Wcześniej.

(Znowu milczenie).

KLELJA (po chwili). Od jak dawna siedzimy tutaj?

FILEMON. Od godziny może.

KLELJA. I ani słowa, ani jednego słowa... Właściwie... Chciałam zasięgnąć twojej rady, Filemonie.

FILEMON. Gorąco.

KLELJA. Nie mogę czekać do zimy... (urywa). Tak trudno mówić mi z tobą dzisiaj, jakby ktoś obcy stał między nami. Nie rozumiem. Przecież nie kochasz się teraz w Baucis.

FILEMON (śmiejąc się). Nie, na mą duszę.

KLELJA. I bez zaklęć ci wierzę, a jednak... odezwij że się wreszcie, możebym znalazła odpowiedź, i tak od słowa do słowa...

(Filemon wzrusza ramionami).

KLELJA. Ciężko mi żyć, Filemonie.

(Filemon uśmiecha się ironicznie).

KLELJA. No to nie ciężko, ale nudno, oh jak nudno... A tu moja młodość przechodzi, najpiękniejsze lata mego życia, i nic... Jeden dzień podobny do drugiego, i z dni rodzą się lata, i w końcu starość nadejdzie... Przecież to moje życie, moje własne życie. O, niekiedy chciałabym głośno krzyknąć na uchodzący czas: Stój, czekaj, póki czego nie wymyślę.

FILEMON. Nie trudź się, nic nie wymyślisz.

KLELJA. Może masz i rację. Jestem syta dni swoich, jak Hijob, tylko on żył, a ja... Bo i przez ból żyć można, chociaż teraz możeby nawet nieszczęście mi się sprzyrzyło, jak wszystko i wszyscy.

FILEMON. A Damon przedewszystkiem.

KLELJA. Naturalnie, przecież już od trzech lat wiem, że będzie moim mężem.

FILEMON. W takim razie zdejm ten pierścionek z palca i zobacz, czy przez to słońce nie będzie jaśniej świeciło.

KLELJA. A później?

FILEMON. Zaślubisz innego.

KLELJA (po chwili wahania). Czy Tircis mówił z tobą o mnie?

FILEMON. Aha. (Przygląda się Klelji, która odwraca głowę). Dobrze, dobrze, nie napraszam się na powiernika. jedno tylko: jakiegokolwiek masz zamiary, żądam pośpiechu,

Ty i Baucis życie mi zatruwacie (pokazuje na gardło). Potąd mam tych kłótni w domu.

KLELJA. Nie bój się, uszanuję twój drogocenny spokój, nie pójdę za twoją radą, po co? Albo to nie wszystko jedno: Damon czy Tircis?

FILEMON. W takim razie wogóle nie wiem, czego chcesz.

KLELJA. Choćby we łzach, choćby w bólach, choćby w rozpacz i cierpieniu, chciałabym poczuć moje własne życie, Filemonie. Rozumiesz?

FILEMON. Nie. (Klelja zagryza wargi). Gniewasz się? Wejdź w moje położenie. Jakże ja ci radzić będę, ja, com sobie własnego życia urządzić nie umiał.

KLELJA. O ty! ty jesteś już stary.

FILEMON. Znaczy, do grobu mi pora.

KLELJA. Nie, siedź w kącie i obgryzaj swoje wspomnienia.

FILEMON. Dziękuję, wspomnienia są tylko na to, żeby człowiekowi ciężiej było żyć, no i umierać.

KLELJA. Skarż się, płacz, mało ci życie dało? Nie było szczęścia, któregośbyś nie użył, aż do znużenia, aż do przesyty; wszystko miałeś, wszystko poznałeś i jeszcze chcesz więcej. Zazdroszczę ci twego życia, nawet teraz.

FILEMON. Nie warto, już minęło... (Urywa). A ba! myślałby kto, że z tobą naprawdę poważnie mówić można.

KLELJA. Albo nie?

FILEMON. Eh Kleljo! Wyjdź za mąż, to pogadamy jeszcze ze sobą, a teraz dosyć.

KLELJA (błagalnie). Filemonie.

FILEMON (stanowczo). Nie (po chwili). Dobry był wczorajszy bażant?

KLELJA. Jak bażant. Zawcześnie jeszcze na nie.

FILEMON. Jak bażant! Powiedziała, co wiedziała. Mądra. Takim bażantem mógłbym ugościć aniołów, gdyby mnie odwiedzić raczyli. (Z oburzeniem). Jak bażant!

KLELJA (drżącym głosem). O mojej przyszłości, o moim życiu nie warto mówić poważnie, ale za to o bażancie...

FILEMON. Trudno, i ja żyć muszę, i ja mam duszę nieśmiertelną, z którą nie wiem, co zrobić.

KLELJA. Więc z rozpacz przyprawiasz swoją nieśmiertelną duszą farsz do bażanta.

FILEMON. Eh! są ludzie, których nawet na to nie stać.

(Wbiega Baucis).

BAUCIS. Prezes ministrów przyjechał.

FILEMON. Mhm. (Pali fajkę).

BAUCIS. Takis spokojny? Spodziewałeś się go. No co? Powiedz. Pisał do ciebie?

FILEMON. Może.

BAUCIS. Po co przyjeżdża?

FILEMON. Chce poznać moją kuchnię.

BAUCIS. Kłamstwo.

KLELJA. Ależ Baucis, to bardzo prawdopodobne, mówił mi Damon... (urywa).

BAUCIS. Co?

KLELJA. Nie wiem, zapomniałam.

BAUCIS. Tajemnica! No i tak dowiem się wkrótce o wszystkim, a z wami... Idziecie się przebrać?

FILEMON. Nie.

KLELJA. Wystroiłaś się za nas i za siebie.

BAUCIS. Gdzie stroje moje? Tylko Klelji wolno mieć pełne sukien szafy, a ja ledwo że w łachmanach nie chodzę.

FILEMON. I to także łachman? Fiu!

BAUCIS. Więc muszę wyglądać, jak żebraczka, nawet wtedy, gdy przyjmuję pierwszego dostojnika państwa?

FILEMON. A przypnij sobie rogi, jeśli cię to bawi.

KLELJA. I daj nam spokój.

BAUCIS. Dobrze... Zostańcie w waszych pomiętych

sukniach, nie powiem ani słowa więcej. Ciekawa tylko jestem, co sobie o was prezes ministrów pomyśli.

FILEMON. Nic nie pomyśli, przecież nie będzie zmieniał dla nas na starość trybu życia. Zresztą gdyby myślał, nie nadawałby się już na urząd,—jak to pięknie nazwałaś, Baucis? pierwszego dostojnika państwa.

(Baucis wzrusza ramionami. Wchodzą Damon i Tircis).

BAUCIS. Prezes ministrów przyjechał.

TIRCIS. Trzeba go pójść przywitać z należytą atencją. Idziesz, Filemonie?

BAUCIS. Oczywiście.

FILEMON. Jego dostojność teraz się przebiera, nie będziesz mu chyba butów ściągał?

KLELJA. Czemu nie? Prezesowi ministrów, toż to zaszczyt.

DAMON (stając za nią). Dzień dobry, Kleljo.

(Klelja nie odwracając głowy, wyciąga rękę ku niemu, trzymając ją chwilę w powietrzu i następnie opuszcza powoli).

DAMON. Nie pocałowałem twojej ręki, Kleljo.

KLELJA. Wiem o tem (bawi się kwiatami). Bogu dzięki, przynajmniej jakaśkolwiek zmiana w moim życiu.

FILEMON (do Baucis). A teraz, moja miła, zajmij się obiadem.

BAUCIS. Dobrze, żeś mi przypomniał. (Odwraca się gwałtownie i spostrzega służbę, zajętą nakrywaniem stołu, który przed chwilą wniesiony został na ławkę. Do służących). Odnieście natychmiast.

FILEMON. Aha, tu kazałaś nam podać obiad (do służby). Dalej, do roboty! (do Baucis). Cicho, kwiecie cytryny, później pogadamy ze sobą.

DAMON (do Klelji). I nie dziwi cię to wcale?

KLELJA. Nie.

DAMON. Spójrz mi w oczy, Kleljo. Czy Tircis nie ma żadnych praw do ciebie?

KLELJA. Nikt do mnie prawa nie ma, nawet ty, który będziesz moim mężem.

DAMON. Mówił mi... Zresztą do diabła z jego półsłówkami. Rozzuchwalony jest nad wszelką miarę. I nie dziwię mu się wcale: bezustannie mówisz z nim, pytasz go się nawet o radę.

KLELJA. Nie zwracam się do niego częściej, niż do ciebie.

DAMON. Naprawdę? Dziękuję ci. Gdybym przypuszczał, że umyślnie starasz się mię obrazić...

KLELJA. To co?

DAMON. Posądziłbym cię o miłość dla mnie lub dla Tircisa. Ale nie. Jak ślepy nie może widzieć, jak głuchy nie może słyszeć, tak ty nie możesz kochać, Kleljo.

KLELJA. Skąd ta prawda spłynęła na ciebie?

DAMON. Paget mówił...

DLELJA. A! zapachniało też w powietrzu Tircisem.

(Przez ten czas służba nakryła stół, Baucis kilkakrotnie próbowała protestować, lecz Filemon nie dał jej przyjść do słowa, wreszcie mówi):

FILEMON. Dobrze. A teraz odpowiadaj na pytania i mów prawdę, o ile możesz. Czy wiesz, że jestem człowiekiem, a nie krową.

(Baucis zagryza wargi i tupie nogą).

TIRCIS. Dajmy na to, że wie.

FILEMON (do Tircisa). Jesteś uprzejmy ze swoim dajmy na to. (do Baucis) Czem się człowiek różni od zwierzęcia, czem? Sposobem jedzenia przede wszystkim... Tłumaczyłem ci ze sto razy...

BAUCIS. Dobrze, dobrze.

FILEMON. Czy można jeść z należytym skupieniem na świeżem powietrzu?

BAUCIS. Chciałam przecież kazać odnieść stół do domu.

FILEMON. Pozwól, idzie o zasadę. Wiem, że wolałabyś przyjąć prezesa ministrów w sali jadalnej, ale taki dobry on,

Sfinks.

jak ja. Teraz pytam się po raz ostatni, dlaczego tu kazałaś nakryć do stołu?

BAUCIS. Nudzisz mię. Klelja sobie tego życzyła.

FILEMON. Powiedziałem, staraj się mówić prawdę. Wi-dzę, że nie możesz, ale mogłabyś przynajmniej wymyślić kłamstwo prawdopodobniejsze. Klelja sobie tego życzyła, do-prawdy! Klelji wszystko jedno, co je i gdzie je, byle miała tych dwóch durniów, kręcących się koło jej spódniczek.

TIRCIS. Podziękuj, Damonie.

DAMON. To i ciebie się tyczyło.

TIRCIS. Co do mnie, samo przypuszczenie, że Klelja...

KLELJA. Możesz mówić panna Klelja.

TIRCIS (niezmieszany).... nie patrzy niechętnem okiem na moje hołdy, wynagradza mi w zupełności nieprzyjemny epitet...

FILEMON. A moja stara myślała, że do niej wzdychasz, słowo daję. Zapóźno, moje serce. Jeśli chciałaś przypawić mi rogi, to trzeba było namyśleć się przynajmniej pięć lat temu.

(Baucis dobiega nagle do jednego z lokajów i bije go po twarzy).

KLELJA. Doprawdy, Baucis...

DAMON. Mógłbyś zabronić swojej żonie...

FILEMON (ironicznie). Spróbuj. (do Baucis). Moja słod-ka gołąbko, wiem, że to dla mnie było przeznaczone, ale czy nie nadwyreżyłaś sobie czasem rączki?... I może zdradzisz nam nareszcie wielką tajemnicę, tyczącą się dzisiejszego obiadu.

BAUCIS. Mógłbyś świętego wyprowadzić z cierpliwości. Rocznicą dzisiaj.

FILEMON. Aha! dochodzimy nareszcie do jakiegoś re-zultatu... Tak, moje serce, dziś rocznica bitwy.

KLELJA (z westchnieniem). Już rok.

FILEMON. Ale związku nie rozumiem... Prawda, zastrze-lono tu kilkunastu górali szkockich, no i kilku ludzi... I ty

przybrałaś się na tę zabawę w męskie suknie, wszystko praw-da. Lecz bitwa bitwą, a obiad obiadem.

BAUCIS. Eh! co tam bitwa. Chciałam przypomnieć so-bie zeszłe lato, gdyśmy byli wszyscy tak weseli i szczę-śliwi.

KLELJA. Jak kto. Mogłabyś była oszczędzić sobie trudu.

BAUCIS. Bo ty! Gdyby cię posmarowano miodem i po-sypano cukrem, jeszczebyś się krzywiła.

FILEMON. Więc pastorałe ma się zacząć nanowo. A ja dziękowałam Bogu, że się skończyła. Te śniadania na łączce u brzegu strumyka... Br... I tak dobrze, że reumatyzmu nie dostał, w moim wieku.

BAUCIS. No, nie bój się, po raz ostatni.

DAMON. I pora, żebyśmy przeszłość zapomnieli, i prze-zwiska śmieszne, któreś nas żartem obdarzyła, i samą za-bawę głupią i dziecinną.

TIRCIS. A to czemu?

DAMON. Choćby dlatego, że Ewander nie żyje.

TIRCIS. Très cher, nie wiedziałem, że byłeś przyjacie-lem Hamiltona. Zdaje mi się nawet, że wówczas śmierć jego sprawiła ci prawdziwą satysfakcję.

(Damon wzrusza ramionami).

TIRCIS. Może się mylę. W każdym razie przesadną jest twoja rozpacz, trwająca jeszcze rok po jego zgonie.

KLELJA. Przesadna, nie przesadna. Ewander był bo-haterem.

TIRCIS. Zapewne, jeśli go tak piękne oczy, jak twoje, płakały.

BAUCIS. Ewander bohaterem! Doprawdy? Przede-wszystkiem warchołem był i gburem nieokrzesanym.

FILEMON. A jednak bardzo czule się do niego uśmie-chałaś, póki żył.

TIRCIS (półgłosem). Właśnie dlatego.

BAUCIS (udając, że nie słyszy). Jeśli wszyscy bohate-

rowie są do niego podobni, to Bogu dzięki, że się choć przez wojnę ich pozbywamy.

FILEMON. Z czego wynika, że jest to gatunek ludzi, przeznaczony na rzeź.

KLELJA (z wyrzutem). Słyszysz Damonie. A ty żyjesz.

DAMON (uśmiechając się). Przepraszam. (Całuje jej rękę).

TIRCIS (do Klelji). Płakałaś nad Ewandrem, naprawdę? (Pocichu, prędko) A gdybym ja umarł?

KLELJA (tak samo). Cieszyłabym się bardzo.

TIRCIS. Taak, ale przyjdiesz tu dzisiaj wieczoru? (Klelja kiwa głową, że tak. Głośno). Stanowczo jemy obiad na łące?

FILEMON. Widzisz przecież.

TIRCIS. Musimy pójść po ministra, Filemonie.

FILEMON. Idź sam, o Merkury, pośle bogów... Nie krzycz. Baucis, żartowałem tylko, już pędzę. (Wychodzą Tircis i Filemon).

DAMON (do Klelji). Co powiedziałaś Tircisowi?

KLELJA. Nie wiem, zapomniałam.

DAMON. Kłamiesz.

KLELJA. Może... Miarkuj się w swoich wyrażeniach, nie pozwolę ubliżyć sobie.

BAUCIS. Jesteś mało uprzejmy, Damonie.

DAMON. Od ciebie i Filemona się nauczyłem. (do Klelji) A ty może raczysz mi odpowiedzieć, coś mu szeptała, zbladłaś cała ze wzruszenia.

KLELJA. Wątpię... Powiedziałam, że cieszyłabym się na wieść o jego śmierci.

DAMON. Nieprawda.

KLELJA. Przestań wreszcie, nie udawaj murzyna weneckiego, i tak wiem, że mię kochasz nad życie.

BAUCIS. Ej Kleljo, zazdrość nie przeszkadza wcale do uganiania się za pokojówkami.

KLELJA (zaciekawiona). Naprawdę, Damonie?

DAMON. Przysięgam ci, że nigdy...

KLELJA. Jaka szkoda. Byłoby o tyle zabawniej.

(Wchodzą: Prezes ministrów, za nim Filemon i Tircis, Baucis, Klelja i Damon kłaniają się głęboko, minister wita ich skinieniem głowy).

FILEMON (przedstawiając). Moja żona i siostra, Stairs.

PREZES. Znam go od dzieciństwa. Narzeczony twojej siostry, prawda?

FILEMON. Wasza dostojność raczy pamiętać.

PREZES. Tak żywo interesuje się wszystkim, co ciebie dotyczy.

FILEMON. Zbytek łaski.

TIRCIS (na stronie do Damona). Nauczył się stosunków rodzinnych na pamięć. Ma specjalnego sekretarza, który mu robi notatki.

DAMON. Nie kochasz go, widzę.

TIRCIS. Czemu on, a nie ja, rozumiesz?

DAMON. Jesteś przecie za młody na ministra.

TIRCIS. Wiem, muszę czekać, aż mi wszystkie zęby wypadną, aż ogłupię na starość, aż mię już więcej nic cieszyć nie będzie... Tak wszystko na tym świecie przychodzi za późno.

BAUCIS (dygając, do prezesa). Wasza dostojność wybaczy, że przyjmuję ją tak skromnie i—tutaj.

PREZES. Ależ zachwycony jestem. Nie na to opuściłem miasto, by dusić się w ciemnych jadalniach dworów wiejskich. Chcę właśnie wypocząć na łonie natury po całorocznych trudach.

LOKAJ. Obiad podany.

(Prezes ministrów podaje ramię Baucis, Damon Klelji, wszyscy siadają).

Koniec części I-ej.

(Dokończenie nastąpi).

ZBIGNIEW BRODZKI.

WSPÓŁCZESNA

LIRYKA

FRANCUSKA.

(dokończenie)

IV. DRUGA FAZA.

A. Nowe prądy.

Mylnie głoszone zanik symbolizmu. Psychizm uległ przemianie, lecz istota tworzenia pozostała niezmienną. Nowe środki ekspresyjne nie zostały wytworzone. Ogólny wyraz liryki, zarówno pierwszych symbolistów, jak i późniejszych, wyodrębnił jasno Vielé-Griffin: „Tym, co charakteryzuje symbolizm, jest namiętność ku ruchowi o gości nieskończonym, namiętność ku samemu życiu, radości pełnemu czy smutku, pięknemu całą różnorodnością swych metamorfoz, namiętność proteuszowa i ciągła w ruchu, która zlewa się w jedno z godzinami dnia i nocy, namiętność wiecznie odradzająca się, niewyczerpana i różnorodna jak fala i płomień, bogata swym wiekuistym liryzmem, szczodrobliva jak ziemia, potężna, głęboka i zmysłowa, jak tajemnica.“¹⁾

Samotnictwo dało inne poznanie życia, wskazało w nim głębie, wskazało linie nieskończoności. Wizja życia się przeinaczyła. Nastąpiło odrodzenie głodu namiętnościowego. Ciszę poczęło płoszyć pragnienie. Wszelkie manifesty, wypowiadające nowe potrzeby, są oparte na tym podłożu psychicznym. Jedyna treść zmiany to wieczne prawo tworzenia: „Le rêve ancien est mort et le nouveau se forge“—mówi Verhaeren....

Odzykana cisza dała kierunek dalszemu formowaniu

¹⁾ Mercure de France octobre 1895.



się liryzmu. Pierwszą fazą tego ruchu jest pragnienie ustalenia harmonii. Moréas zapoczątkował t. zw. „Ecole Romane.“¹⁾ Istotę tych pragnień definiuje Roynaud najdobitniej: ²⁾ „Przez odrodzenie romańskie należy rozumieć powrót w myśleniu zarówno jak i w stylu do równowagi i harmonii.“ Trzeba odrzucić obce naleciałości i powrócić do czystej rasy. Wzorem muszą być poeci Wieków średnich i Odrodzenia, kiedy język francuski posiadał swą wyłączną plemienną barwę. Tradycja rasowa utworzyła jasną zrównoważoną harmonię i silny instynkt życiowy. Na nich powinna się oprzeć poezja nowa. Odświeżyć ją powrót do zaginionych dawnych skarbów językowych; umocni prostota i jasność ducha. Romanizm, jako taki, mało dał nowego lirycy, pozostając ciekawym etapem myślowego trudu. Ideje jego rozwinęły się w innej postaci.

Tłem ogólnym stało się pragnienie prostoty i życiowości. Romanizmowi bliską jest grupa poetów, przejętych duchem hellenizmu, wiersze których są proste swą ulotnością i powściągliwym słonecznym urokiem lub południową marzycielską melancholią. Louys, Valéry, Samain i inni. Hellenizm ten, rzecz prosta, to rys pozorny, będący raczej umówionym wyrażeniem.

Inne nieco sfery ducha poruszył ruch, noszący nazwę: „Naturisme“. Powstał on nieco później. Opierając się na odrodzonym namiętnościowym chceniu, wołał o zbliżenie się do życia, o porzucenie wieży z kości słoniowej i oddanie całości tętna bytu. „Nasi starsi bracia głosili kult nierzeczywistości, sztukę marzenia, szukanie nowego dreszczu. Oni lubili kwiaty zatrute, ciemności i upiory i byli niekonsekwentnymi spirytualistami. Nas zaświaty nie wzruszają, my wierzymy w panteizm olbrzymi i promienisty... W uscisku powszechnym chcemy odmłodzić indywidualność naszą. Wracamy ku Naturze. Szukamy wzruszenia zdrowego i boskiego... Misją sztuki jest odbudować pierwotność; z krajobrazu czyni ona raj i wskrzesza zmarłego Boga, który jest w każdym z ludzi. Poeta nic nie tworzy... to eurytmja natury okre-

¹⁾ Szkoła Romańska powstała koło 1893 r. Przy hasłach jej stanęli J. Moréas, Raymond de la Tailhède, Maurice de Plessys, Charles Maurras, Ernest Raynaud, Hugues Rebail, Lionel de Rieux.

²⁾ Mercure de France mai 1895.

śla rytmy jego harmonji.“¹⁾ Natura daje świeżość entuzjizmu, zapal młodoci. „Niech wiersze moje będą modlitwą, niech będą one odami“ woła jego jeden z młodych przewódców, Saint-Georges de Bouhélier. Zamiast ciszy i szeptu—hymn i głośne wołanie...

Było to też raczej teoretyzowanie, niż wnoszenie bezwzględniego pierwiastku do twórczości. „Naturisme“ prędko rozczepił się, wchłonięty przez następne poczynania. Powrót do życia, głoszony jako powrót wgląd przyrody, zwrócił się i do człowieka, jako tej przyrody częstki. Poza ogólną syntezą ujrano wagę i w szczegółach. Lekceważenie zjawiskowej strony bytu zanikło. Jednemi z pierwszych, którzy ku temu pierwiastkowi się zwrócili, była grupa poetów południowych, skupiona około pisma „Effort“ redagowanego przez braci Magre w Tuluzie.²⁾ „Chciałem pisać pieśń ludzi dzisiejszych, pieśń tych, którzy cierpią osłabienie energii, ubóstwo serca, którzy cierpią wszelkie biedy moralne i materialne. Dzieło to jest skargą, lecz też i nadzieją. Pragnąłem śpiewać życie, jego smutki, marzenia i radości, za które się walczy. Pragnąłem wypowiedzieć piękno dążenia, czystość pracy, chciałem mówić, iż trzeba być dobrym i prostym, że kochać należy. Dostatecznie długo poeta marzył zdala od ludzi... Należy, aby głos jego brzmiał dla wszystkich, lub niema on poco istnieć... Niech sztuka przeniknie w obyczaje nasze, obejmie wszelkie postacie życia!... Niech poeta głosi w pieniach nowych królestwo prostoty szczodrej i oczyszczającej.“³⁾

Nowy ten zwrot nazwał Ferd. Gregh w słynnym swym artykule w „Figaro“⁴⁾ „humanisme“m. „Często parnasistom i symbolistom brak było człowieczości. Pragnęli oni być tylko artystami i byli niemi. Nie zwrócili uwagi swojej na to, że właśnie człowiek najbardziej nas interesuje w artyście, że człowieczość jest wspólnym miernikiem między nim a nami. Nauczeni ich przykładem, my, którzy nadchodzimy po nich, marzymy o sztuce bardziej entuzjastycznej jednocześnie i bardziej tkliwej, bardziej

¹⁾ Maurice Leblond. Essai sur le Naturisme.

²⁾ Mniej lub więcej w tym ruchu brali udział: Saint Georges de Bouhélier, Michel Abadie, Albert Fleury, M. Magre, Marc Lafargue, Emmanuel Delbousquet, J. Violis. Pisma: „Effort“ (1893) Rêvue Naturiste (1897)

³⁾ M. Magre-Przedmowa do „la Chanson des Hommes“ 1898.

⁴⁾ 12 grudnia 1903 r.

serdecznej i bardziej szerokiej, o sztuce bezpośredniej, żywotnej, jednym słowem o takiej, która wszystko ogarnia—człowieczej. Pragniemy poezji, która wypowie człowieka, całego człowieka z jego uczuciami i idejami, a nie tylko jego czuciem... Po szkole piękna dla piękna, po szkole piękna dla marzenia, pora nadeszła na szkołę piękną dla życia....“¹⁾

Do głoszonej przez Moréas'a zasady powrotu do tradycji powrócili poniekąd poeci, wyznawcy zasad integralizmu. Panteizm to Saint-Georges'a de Bouhélier tylko w nieco innej postaci. Zasady te sformułował Adolphe Lacuzon w manifestie umieszczonym w „Revue Bleue“ 15 stycznia 1904, a podpisanym również przez Cubelier de Begnac, Adolphe Boschot, Sébastien-Charles Leconte i Léon Vannoz. „Poezja ziszczona jest transcendentną postacią wiedzy... Rolą poezji jest zawsze powiększać świadomość ludzką nawet ponad prawdy kontrolowane, niewolno nam więc nie wiedzieć o tym wszystkim, co się wkoło nas dzieje... Twórczość poetycka jest integracją, a nie syntezą... Poezja przenika wgląd wszelkich tych tajemniczych związków, które pobudzają naszą działalność intelektualną, naszą pamięć, nasze dążenie, nasze „ja“ całe, i stanowią ten stan świadomości, kiedy zdaje się nam, że łączymy się z nieskończonością... Każdy poemat, który się ziszcza, dąży do rozwiązania części odwiecznego zagadnienia indywidualizacji“.... Po części ci sami poeci,²⁾ co przyłączyli się do manifestu Lacuzon'a, założyli w roku 1901-2 „Ewle française“, której celem jest „reintegracja jasności i uczuć człowieczych w poezji francuskiej i wyzwolenie wiersza klasyczno-romantycznego“....

Wstronę techniki zwrócone są nadal usiłowania René Ghil'a, od 1887 r. zacięcie zwalczającego wszelkie postacie symbolizmu.³⁾ Poezja ma dlań podkład naukowy; wypowiada ona filozofję ewolucji. Opiera wierszowanie Ghil na teorii instrumentacji słowa, usiłującej wydobyć nową dźwiękowość z wiersza francuskiego.

Obok nowych poczyniń utrzymały się i dawne teorie. Odżył nawet parnasizm w nowej postaci. Pozostał symbolizm, jako zasada ogólna. Nowe poczynania były

¹⁾ Pismo „Les Lettres“ założone w 1906 grupowało wyznawców tych zasad.

²⁾ Ad. Boschot, Georges Normandy, Mafféo-Charles Poincot etc.

³⁾ Pismo „Ecrit par l'art“.

rezultatem nowego wrzenia psychicznego, powstania nowych pragnień i popędów. Całemu temu chaosowi i całej tej retoryce nie danym było wyjść poza horyzonty symbolizmu. Zasada tworzenia pozostała niezmienną.

B. Ku życiu.

Sily żywotne nie milkną, lecz odradzają się. Wyczuwanie, wewnątrz li tylko idące, wywołało reakcję. Pojawiło się pragnienie brutalności, pragnienie mocy głośniejszej. Jeden z tych, którzy budowali tamte zamki z lodu, którzy żyli marzeniem półsennym, Henri de Regnier jasno formuje ten stan rzeczy. „Myśmy marzyli, oni pragną żyć i wypowiadać to, co przeżyli, prosto, bezpośrednio, lirycznie. Nie chcą oni śpiewać człowieka w jego symbolach, a chcą wypowiadać go w jego myślach, wrażeniach, uczuciach...¹⁾”

Życiem dla nowego pokolenia znowu się stała bardziej zjawiskowa strona bytu, stały się szczegóły w porównaniu z syntetycznością pierwszej fazy symbolizmu. Ustalić granicę między tego rodzaju pojmowaniem życia, a marzeniem niepodobną, gdyż marzenie jest tymże życiem, tylko ujednoliconym w duszy poety, jest syntezą ogólną, opartą na paru ukrytych liniach, wyjaśniających byt cały. Idzie tylko o przemorzenie mgły, jaką zwykła codzienność, stając się coraz więcej absorbującym postulatem, rozsnuwa, idzie o to, aby zmóc gorycz i zrównać smutkowi, odradzając się w radości i weselu. Nie tylko parę linii najwyższej syntezy daje pojmowanie bytu. Życie to wir, chaos, wrzenie, to przypadek, i przeto poeta, drgającą duszą przejmujący wibrowanie, które życiem jest, musi wsłuchać się we wszystkie głosy, musi przemóc zagadnienie perspektywy, aby, unikając zgiełku, nie zatracił zdolności odczuwania, odżywiania się na wielostronne życia głosy, aby mógł, wracając do samotni smutku swego powiedzieć:

„Ô Maison, pendant qu'ici tu dormais close,
J'ai livré la bataille au destin, j'ai vaincu;
Tout le rêve qui me hantait, je l'ai vécu;
Je vais dans la lumière et dans l'apothéose...“²⁾

Tylko jednostka jest tym pryzmatem, który łączy i tęczy wszelkie promienie życia. Napróżno hałasliwie

¹⁾ Mercure de France sierpień 1900

²⁾ Fernand Gregh. La Beauté de vivre 1900.

nieraz niektórzy z początkodawców wyżej wyjaśnionych kierunków wołają o zanurzenie się w ocean wszechzycia, o odruchowość mowy poety, jako głosu natury. To tylko nieporozumienie. „Artysta jest zgubiony, jeżeli nie pojmuje, że człowiek jest bardziej zajmującym niż ludzie...“¹⁾

Samowiedza przemęczyła swym wątpieniem i szderstwem lub melancholją. Poczęto wołać o słońce. Radosną jest już poezja P. Fort'a. Odruchowo-jasny hymn przyrody, kiedy słońce rozwiera kwiatów kielichy, srebrzy pola i odziewa drzewa. Powściągliwość zniknęła. Pojawiło się impulsywne śmianie się na promienie słońca. P. Fort najbardziej przenikniony jest tą nową radością. Refleksyjność francuska zniknęła tu, rozżęcona w zmysłowej odczuwalności, reagującej bezpośrednio. Nie utraciła ona jednak swojej wagi wogóle. Pozostała przeinaczona tylko co do treści, na którą jest jej baczność zwrócona. Nabrała innej zmysłowej barwy. Stała się taką, jaką była i przedtem poezja Vielé-Griffin'a, — wiosną wiecznie młodą, silną swym pragnieniem słońca pomimo wszelkich wiedzeń, że jesień i zima także są koniecznymi...

„... l'homme a trop longtemps calomnié la Vie:
La haine morte enfin, et vive, l'énergie,
O frère, Elle sera ce que nous la ferons!...“²⁾

Życie, które dotąd widziano, jako cichą linię symbolu, posiadało w oczach liryki postać wrzenia, postać zmiany nieustannej. Uwidoczniło się to, czym je widział J. Laforgue. Synteza została przeinaczona. Zamiast szmeru tajemnicy ujrano piętrzenie się groźnych fal, wirowanie wichru i różnogłosowy koncert lasu. W tym wszystkim poczęto szukać nowej treści. Kult energii przeszedł w nabożny hymn uwielbienia. Albert Fleury ciekawi tym nowoczesnym rozmodleniem się. M. Magre wziął zeń miłość dla człowieka i jego cierpień; chciał wypowiedzieć jego bunt przeciw innym i sobie.

„Nous sommes les vaincus, les souffrants qui gémissent;
un souffle fraternel a joint nos humbles coeurs.
La misère a joué dans un grand clairon triste...
Nous marchons après elle à de nouveaux labeurs...
Nous voulons notre place au banquet de la terre,
pouvoir jouir un peu de la clarté du jour,

¹⁾ André Gide w Ankiecie Cardonnell'a i Vellay'a 1905.

²⁾ Edmond Blanguernon—La Vie. La Vie Orgueilleuse.

dormir, boire, rêver, chanter avec nos frères,
notre part de soleil et notre part d'amour...¹⁾

Zbliżenie się do życia dało technienie silniejszej namiętności. Pierwsi symboliści mało byli bezpośrednio namiętni. Chwile ich ekstazy to późniejsza gorycz i smutek opuszczenia. Liryzm ich unikał technień gorących. Tętno krwi poczęło znowu silniej uderzać. Oddalenie od życia dało poezji moc przy powrotnym zbliżeniu się utrzymania swej białej szaty czystą i nieskalaną. Zmiana ta nie tylko jest dziełem nowych innych jednostek, a raczej fazą, którą przeszli i ci dawniejsi. Regnier, Retté choćby—

„Le Désir est le maître innombrable du monde!“²⁾

Technienie namiętniejsze poszło po całej przyrodzie. Liryzm przemówił goręcej, silniej. Ogniem stłumionym mówi Delarue-Mardrus, ogniem tym mówią Fort—Gregh—Klingsor—Gilkin i inni. Namiętność nie jest ciszonym wołaniem, a kwitnieniem, chłoniącym w sobie tysięczne promienie; rzadko jednak posiada ona spokój, rzadko wyzbywa się niepokojących wizji. Pragnienie kochania roztkliwiło nowe pokolenie. Nietylko dało mu nowe odzywanie się na chaosowe szmery przyrody, lecz i zbliżyło do człowieka i to do jako jednego z wielu. W zapamiętaniu woła jeden z młodszych:

„Poète, il faut chanter, l'humanité t'implore:
Il faut par les faubourgs, les villes, et les champs,
Annoncer la splendeurs de la nouvelle aurore,
Et les peuples unis répéteront tes chants.....“³⁾

Zwrot ku życiu to zwrot ku przyrodzie i ku człowiekowi, jako faktowi tej przyrody. Zwrot oparty na znanej symbolizmowi prawdzie, która stwierdza łączność wzajemną szczegółów — zjawisk, która stwierdza istnienie tajemnicy, jako treści Życia od strony nieskończoności, stwierdza rytm ruchu i rytm przemiany, zespalaający przedziwnie wszechzycie z istnieniem jednostki.

„Il ya quelqu'un derrière l'écho,
Debout parmi la vie universelle,
Et qui porte l'arc double et le double flambeau,
Et qui est nous
Divinement.....“⁴⁾

¹⁾ La grande Plainte. La Chanson des Hommes 1898.

²⁾ Fernand Gregh—Le Désir.

³⁾ Jean Canora — Pèlerinage.

⁴⁾ Henri de Regnier. Les Médailles d'argile 1900.

C. Ku całości życia.

Zwrot ten ku życiu w liryce francuskiej nie przecinaczył jej istoty, a tylko zmodyfikował ją, czyniąc częściej bardziej szorstką, bardziej ostrą i deklamacyjną. Niektórzy z nowszych poetów mało mają w sobie wyczulenia; wiersze ich są chropawe, monotonne, przepełnione retoryką. Mniejsze przeważnie talenty. Zasada nowego ruchu głębszą jest nad nowe hasła. Uczuciowo-wrażliwe odgadnięcie tajemniczej wszechtreści, odgadnięcie łączności między kształtem, a nieskończonością, która jest istotą duszy jednostki, przejęciem się znaczeniem, jakie posiada pozorny przypadek, — poszło dalej. Po przez zasadniczą linię bytu dojrzano wielokształtowość tonów i barw jego dziania się, jego stawania się. Wołano ku życiu, ujrano je w zjawiskowości, lecz czyniono to na tle głoszonej przez symbolistów czci dla całości bytu. Nietylko wołano o życie... O całe życie.... o wielostronny rozkwit, o moc w upojeniu i smutku, w radości i tęsknocie, o moc w trwaniu i śmierci. Liryka poczyną przemawiać hymnem skupionym, chwalczym na cześć życia, na cześć mocy i powagi jego, która poprzez wszelkie okropności i agonje ukazuje ważność i cel. Całość życia to poczucie w sobie jasnowidztwa, które słyszy brutalne i ciche rytmy życia, przyswaja je sobie i tworzy. Wyjaśnia je tajemnica, czyli intuicyjne namiętnościowo-czuciowe wiedzenie. Odepchnawszy nagabujące wrzaski zewnętrzne, poeta w sobie samym znajduje odgłos-wiedzenie. Sprosta on duchem swym ogromowi bytu, skoro włączy się w siebie, skoro w swym twórczym trudzie znajdzie moc, skupiającą nieskończoność w jednym znaku. Samotnia dawna nie zniknęła. Tylko duch, czuwający w niej, posłyszał nowe głosy...

„Ma parole est un mur sans porte ni fenêtre
Qui monte autour de moi, dur, puissant et massif,
Avec maint bas-relief gai, trompeur et lascif:
Et nul oeil curieux jusqu'à moi ne pénètre.
Seul je me connais. Seul je sais ce que je suis.....“¹⁾

Kult dla całości życia, dla mocnego technienia i cichego poszeptu — panteizm. Panteizm współczesny. Przy-

¹⁾ Iwan Gilkin. Le mensonge. La Nuit 1897.

roda stała się symbolem, znakiem wszechbytu, stała się odpowiednikiem do nowej psychiki. Panteizm liryki tej to „un très clair panthéisme“ (Em. Verhaeren) Religijność jego wypowiada się w odrodzeniu zmysłów, w poczuciu łączności z rytmem przyrody, w odnalezieniu w niej siebie samego, nie jako pewnego systematu myśli, lecz jako niespokojnego, wrzącego, pełnego przypadku i mistycznej „ja“.

„Que le rythme profond des forêts nous enlève,
Que toute essence nous accueille,
Que notre cœur batte selon les séves,
Que notre âme se fonde en l'Océan des feuilles.“¹⁾

Przyroda nie jest odpoczynkiem — przytulkiem, nie jest księgą — traktatem, lecz świątynią Życia, lecz Życiem samem. I każdy z nas, idąc ku niej, iść może tylko ze słowami, Henri de Regnier.

„Je viens à toi Forêt, je veux vivre.“²⁾

Na bunt, walki, wygrażania i modły jedną jest odpowiedź przyrody:

„... Tu crois, Titan, que tu me braves,
Et tu n'es qu'un peu de moi-même.
Courage sans cesse irrité,
Âme brûlante et généreuse,
Qu'es-tu, sinon ma volonté,
Ma propre force aventureuse?“³⁾

Mistycyzm nie rozplątał się w silnej ufności w ziemskość, przeinaczył się tylko, stał się wewnętrznym wiedzeniem; przeczuwanie w nim stało się potwierdzeniem, lekliwość — pewnością, tajemnica — własną głębią, poznanie — bezpośredniością dzisiejszą. Pewne utrzymane dawne symbole nie negują tej nowej mistyczności. Takim jest małowówny Le Cardonnel. Religją jego jest wiara w dobroć piękna, wiara w jego zbawczą misję.

Wysłuchanie się w rytm całego życia w jednych budzi cichą modlitwę, w innych — upojenie lub siłę artyzmu; rodzi ono halucynacje, szalejące nieraz nowym swym namiętym tempem.

„Voici l'heure qui bout de sang et de jeunesse,
Voici la formidable et merveilleuse ivresse,

¹⁾ Adolphe Retté — Hymne aux arbres. Lumières tranquilles 1901.

²⁾ La Forêt. La sandale ailée 1906.

³⁾ Iwan Gilkin L'Infini. Prométhée 1899.

D'un vin si fou que rien n'y semble amer...
Tout bouge — et l'on dirait les horizons en marche...“¹⁾

Poeta dziś uderza we wszelkie struny liryczne, chce wypowiedzieć treść życia — w drobne nikle, ciche — w głośne, hymnem wielbiące, aż wreszcie wydobędzie ton najwyższy.

„Poeta powinien być tym, który przypomina ludziom odwieczną Ideję Piękną, ukrytą w przemijających postaciach niedoskonałego życia“²⁾

Życie, pragnione przez lirykę, jako życie całe, życie, wagę mające, jest życiem innem. Wszelkie „zblżenia“ nie pogodzą artysty ze szarą pajęczyną, jaką jest t. zw. życie współczesne, jaką jest dziś wspólnota, co co-kroku przemawia. Ukochanie życia, ukochanie życiowości, jako energii niemilknięcej, wiecznie odrazę czuć będzie do banalnych rezultatów, któremi się tak często owa życiowość przejawia. Jedni naiwnie wypowiadają swe niechęci. Léon Bloy co słowo powtarza „Każdą książkę, w której nie bierze się pod uwagę biednego, jest książką wartą tylko tego, aby pluć na nią.“³⁾ Inni skarżą się, że

„la vie est, ô Seigneur, ce soir, âpre et méchante
aux pauvres des chemins, qui n'ont pas de maison,
et comme un vent plus rude au fond des arbres chante
las, nous avons jeté le sac et le bâton...“⁴⁾

lub śnią:

Anarchie! ô porteuse de flambeaux,
Chasse la nuit, écrase la vermine
Et dresse au ciel, fût-ce avec nos tombeaux,
La claire tour qui sur les flots domine!...“⁵⁾

Każdy w to ukochanie Życia, jako nieskończonej, wszvstko obejmującej mocy, wkłada własne złudzenie i własne poloty. Przez ten zachwyt niekiedy snuje się nic złota smutku i rezygnacji.

Marzenie nie utraciło swej wagi dla życia. Ono jedno skupia iluzje złudzenia, dając rozkosz i słodycz. Marzeniem są śmienia P. Fort'a o czasach dawnych i jego rozkoszy pełne tonienie w miękkiej soczystej trawie. Marzeniem są wschodnie sny Klingsor'a o tysięcznych bar-

¹⁾ E. Verhaeren. La Foule. Les Visages de la Vie 1899.

²⁾ Stuart Merrill.

³⁾ Ankietta Cardonnel'a.

⁴⁾ M. Magre. Les hommes des routes. La chanson des hommes 1899.

⁵⁾ Laurent Tailhade. Ballade Solness. Discours civiques 1901.

wach ozdób i arabesek. Marzenie było życiem dla Lerbergh'a, jego śnieniem o budzącej się do istnienia Ewie, jej pierwszych upojeniach i końcowym smutku.

Marzeniem jest cała poezja — — —

Pomimo wszelkiej swej mocy, powrót do życia, żądza gorąca, zwrócona ku całemu życiu, — nie stłumiły smutku; nie stłumiły, bo on, jak ta żądza, jak te wołanie o życie, jest częścią Życia.

„Oh! s'en aller ainsi, quand les feuilles des bois
S'entassent, pour mourir, parmi l'herbe jaunie!
Mourir aussi, mourir avec les feuilles d'or,
Dans la douceur et la tristesse de l'automne,
En écoutant pleurer la bise monotone,
Sourire au soir qui tombe, et rêver qu'on s'endort!...“)

D. Ku prostocie.

Symbolizm dał poezji ciszę. On pierwszy dobitnie stwierdził, że poezja jest sferą odrębną, sferą własne swe wypowiedzianie mającą, że poezja jest siłą ducha, równoważną innym jego potęgom, równoważną, a więc nie podległą im. Liczni późniejsi poeci, wielbicieli integralizmu, humanizmu i t. d., wracają do romantycznej retoryki, wracają do hałaśliwości głośnych słów. Lecz próby te echa nie znajdują i milkną bez znaczenia. Cisza, unikanie wrzawy głośniejszej, stała się koniecznością liryki francuskiej. Praca różniczkująca, praca wyczułająca, zbyt przeinaczyła świadomość, zbyt rozszerzyła horyzonty ducha, zbyt wiele relatywizmu poznała w zjawiskowości, a własnego upragnienia w tajemnicy, aby romantyzm mógł się odrodzić w dawnej swej postaci. Poczucie powagi, jakie ma w sobie symbolizm, czyni go pojemnym na wszelkie głosy, idące ku sztuce, lecz utrzymuje istotę samego artysty niezmienną, utrzymuje tę samą jego odrębność i jego inny sposób reagowania na wrażenia i *inny* sposób ich tworzenia.

Koniecznym rezultatem symbolizmu jest dziś znowu coraz częściej wypowiedziane pragnienie prostoty. Dociekania metafizyczne zmęczyły wyobraźnię. Łaknie ona rozróżnienia się w bujaniu w sferach, łaknie snów barwnych, i dźwięcznych, łaknie bezpośredniego żywiołowego istnienia, które nazywa szczerością. Pragnienie to poniekąd

¹⁾ André Rivoire. Pale et lente... Les Vierges 1895.

wywołało zwrot do dawnej rytmiki, do tradycyjnej jasności. Prostota hasłem dnia się staje. Zewnętrzna reforma rytmiki dać jej nie może, bo jest to kwestja szczerości indywidualnego natchnienia. Vielé-Griffin tak samo jest prosty w swym vers libre, jak Moréas w swych „Stances“. Prostota inne ma znaczenie. Prostota ta to nowa *inna* prostota kultury długowiecznej, skomplikowanej i przepojonej refleksją. Artysta, posiadłszy wiedzenie to *inne*, ogarnawszy bezmiary swego istnienia i bezmiary wszechbytu, czuje gorące chcenie jednolitości, chcenie, aby rozdzwięk tysięczny w nim zamilkł, aby jasność rozszrebrzyła nieskończone przestrzenie jego ducha, aby tworzył w poczuciu miłości, w poczuciu siły twórczej. Siłą twórczą jest całość ducha, jest moc stopienia dysonansów w ogólnej harmonji, jest ton jeden brzmiący w tysięcznych tonach. Tym jest nowa prostota. Przez nią symbolizm dawny, tykając li tylko paru linji, inspiruje głębie całe. Przez nią symbolizm późniejszy, zwiększając ilość linji, zwiększając namiętnościowość swego technienia, pozostał artystyzmem.

Śród poetów nowego pokolenia pojawili się artyści i innego typu. Wrosli w ziemię, wsłuchani w pulsowanie gleby, obcy na wyrafinowanie refleksji, zapoczątkowali prostotę idyli—współzycia z przyrodą, nie jako ze symbolem, lecz jako z rzeczą ściśle ustaloną, jako z roślinnością, wśród której sam poeta jest jednym z kwiatów, drzew i t. d. Francis Jammes to nowe zjawisko. Cierpi on, zachwyca się, pełen niewiedzenia, niechęć ku wiedzeniu posiadający. Idylizm tego jego przyniósł poezji odświeżenie przez napływ młodej nieznającej kultury mocy. Istnienie poety pełne rezygnacji i jasnej melancholji. „Mój Boże, przywołałeś mnie między ludzi. Oto jestem. Cierpię i kocham. Mówiłem głosem, który mi dałeś. Pisałem wyrazami, których nauczyłeś matkę moją i ojca mego, a oni mi je pozostawili w spuściźnie. Idę drogą, jak osioł objuczony, z którego śmieją się dzieci, a który głowę pochyla ku ziemi. Odejdę, dokąd chcesz będziesz, i kiedy chcesz będziesz. Na anioł pański dzwonią...“ ¹⁾

Przyroda ożywia się, jako nieczem nie tknięte odgłosy lasów, pól, sadów, jako prostota żywiołu. Za bliską Fr. Jammes'owi uważaną jest Mathieu de Noailles; mniej w niej o wiele konieczności twórczej, a sporo umyślnego

¹⁾ Wstęp do zbioru wierszy: „De l'Angélus de l'Aube à l'Angélus du Soir“ 1898.

sentymalizmu. Nieco inna idylliczność mówi z „Chansons de pauvre homme“ Max'a Elskamp. To jakby echo czasów dawnych, czasów prostoty wierzenia i spokojnego zdania się na to, co idzie. Więcej tu posępnych chmur, mniej żywiołowości gleby, bo więcej człowieczeńści, jako pewnej jednostronnej, jednotonowej prostoty uczuciowej. W czystości duszy modlitwa to skupiona, wypowiedzana w zwykłych wyrazach spokojnie; mamy tu ton jasny pierwszych malarzy flamandzkich. Ton czystości, przemieniony na skalę inną, na inne marzenie, czyni prostą poezję Lerberghe'a. Zamknięty w śnieniu swoim, utrzymał on lekkość niepokalaną młodości, utrzymał płochliwe świeże tęcze.

Prostota, jako zjednoczenie, jest poniekąd cechą każdego twórcy. W nowej poezji symbolicznej jest ona też powrotem do czystości pierwotnej jakiejś, do świeżości wrażeń, do stopienia w jedno refleksji z czuciowością. Nie, aby refleksja była reakcją na wrażenia, powstającą po otrzymaniu wrażeń, lecz aby była reagowaniem samym, aby artysta reagował refleksją, a myślał wrażeniami, myślał dźwiękiem i barwą.

Prostota dziś pragniona to też nowe przekształcenie umiłowania życia. Nie, aby je naśladować, kopjować, lecz aby je tworzyć, bo rytm życia, a rytm ducha artysty to jedno.

„Poeta nie pragnie nadal kopjować życia na wzór naturalistów, lecz tworzyć pragnie życie lepsze z pierwiastków pojęciowych i czuciowych życia powszechnego. Genjusz wydaje mi się darem uprzywilejowanym, który pozwala podnosić do trzeciej potęgi wrażenia i ideje, lub raczej podnosić je do potęgi tysiącznej.“¹⁾

E. Jednostki.

Symbolizm więc nie zanika. Jako zasada współczesnego artysty, zespaja się on ze wszelkim tej współczesności chceniem. Jest on zwrotem ku wyodrębnieniu poezji i ku odrębnemu stosunkowi poety do świata kształtu. Poza dwie te zasady liryka francuska dalej nie sięgnęła. Czynione próby paczyły tylko i obniżały jej poziom. Pożatym były tylko złudzeniem.

Nowe pokolenie poetów uczyniło symbolizm bardziej

¹⁾ Saint-Pol-Boux w ankiecie Cardonnell'a.

wielostronnym. Jedni z nich, duchowo bardziej zbliżeni do pierwszych mistrzów, więcej zaziemsko i odziemsko utrzymali swe symboliczne wiedzenie. Inni więcej mają w sobie rytmu ziemskiego, więcej brutalności „realnej.“ Niektórzy znów chcą odrębniej życie ujmować, chcą bardziej bezpośrednio je wypowiadać, lecz i oni symbolem mówią, symbolem prostym, jasnym, czasem tylko monotonnym i zwykłym.

Najwięcej przepojonym refleksją jest Camille Maclair, zazwyczaj dający przewagę abstrakcji nad życiowością. Refleksji pełno też w poezji Robert'a de Souza, który utrzymał transcendentalność wizji i pochłonięcie przez zagadnienia wyłącznie z wewnętrzności idące. Wierny vers libre'owi płynnie snuje on swe mówienie. Ku tej stronie psyche cięży Fontainas i Mockel. Fontainas powściągliwie maluje wewnętrzne stany, mało łączące się z odgłosem z zewnątrz idącym. Sporo w nim nawet umysłowości mózgowej. Albert Mockel, jeden z odrodzicieli poezji w Belgji, posiada skalę bardziej rozległą. Punktem ciężkości dlań — dawna sfera wrażeń symbolizmu, lecz wiele w nim chęci ruchu, chęci namiętności i poczucia różnotonowości życia. Cisza panuje w wierszach Le Cardonnell'a. Poezja jego, spokojna modlitwa religijnego artysty, zwraca się ku mało poruszającym pytaniom, ku dobru piękna i pięknu dobra. Odrębność pierwszych symbolistów ma też w sobie Iwan Gilkin, poeta wybitny, a mało znany. Nie jest on wyłącznym, stojąc blisko nowego technienia, pragnącego żaru i pełnego przeczucia chwili.

Inny poniekąd symbolizm jest punktem patrzenia na tworzone zjawy poetów nieco późniejszych. Symbol w ich poezji utracił swą misterność, stał się wyrazistszym, prostym w prostym słowa tego znaczeniu. Cudowne arabeski ustąpiły miejsca równym linjom; umysł zatracił swą kunsztowność i głównym swym ciężarem zwrócił się ku jednotonowości. Symbolizm dawny przez szczegół pozor nie wypadkowy inspirował całość, lekkim szkicem sugerując głębie. Poeci późniejsi, pragnąc bardziej bezpośrednio oddać całość, odrzucają zazwyczaj misterność wyczuloną; symbol jest dla nich o tyle ważnym, o ile pozostaje środkiem, szybko zatracającym się w mówieniu. Poezja ich ma wiele głosów w sobie gorętszych, nieco więcej ognia, lecz i wiele retoryki i napuszonności. Niektórzy tylko utrzymali urok wyczulenia. Wyczulenie to

obcym jest, jak i było od początku symbolizmu, wszelkiej słabości, jest nową mocą, nową kulturą. Wiele w niej zadumy i wiele siły świeżej, wiele młodości wiedzącej i radującej się. Nastrój cichy idzie od skupionej jedno-dźwiękowej poezji Henry Bataille'a. Poezja o małym tonach posiada niewymuszoną świeżą wiosenną pogodę. Cichy jasny smutek idzie przez wiersze André Rivoire'a. Jeden to z mniej licznych, którzy utrzymali samotny nastrój symbolizmu; zmęczenie jego to nie znużenie, a raczej nostalgia za kimś-czymś utraconym i czekającym. Przemasz on nastrojem skupionego smutku, nastrojem uduchowienia kształtu.

Mniej bezpośrednim jest mało znany, a szczerzy i poważny poeta Albert Fleury. Pragnieniem palony religijnej czci dla Życia—syntezy, wypowiada on swe porywy i zniechęcenia w słowach, które innym podobnemi nie są. Refleksyjność rozplywa się w nim w miękkości wyrazów—idei; czasem płoszy je patos, lecz są to tony rzadkie i przełotne. O sile—wieku złotym marzy Marc Lafargue; mniej w nim misterności, lecz wiele własnego słowa.

Ogólnikowe marzenie o przyrodzie, mocy i ogromie są podłożem poezji tych, co głosili zasady bezpośredniości, przez jaką poeta staje się głosem natury, zespala się z jej rytmem, zatracając się w niej. Mało mówią poezje Saint-Georges'a de Bouhélier, bo zbyt wiele w nich roboty i retoryki. Bardziej poetą jest Adolphe Lacuzon. Przejęcie się poznaniem integralnym daje jego panteizmowi nieco ogólnikowo refleksyjny nastrój. Chłód retoryki osłabia oddziaływanie dźwięcznego wiersza. Poeta nie ulega zmysłowemu ciągnięciu, a wiecznie pamięta o całości swego poglądu. Poezja jego jest sporo uproszczoną i przeto monotonna. Podobnemi mu są nieco Boschot i Bouchaud. Adolphe Boschot używa obrazów zwykłych, codziennych. Roztacza w nich wiele uczucia i poezji. Czasem odezwie się i w nim i retoryka, lecz milknie, głuszona przez przejęcie się przyrodą i jej kształtem. Uczuciowo wstrzemięźliwy, posiada momenty kunsztownego tworzenia i wtedy daje rzeczy w rodzaju „Près de la Source.”¹⁾ O świetle i jasności marzy Pierre de Bouchaud. I on opiera się na przyrodzie, jako źródle osobowości; bierze z niej parę tonów zasadniczych, posiadając wiele wrażliwości.

¹⁾ Pierre Rovert 1896.

W pewnym dysonansie z poetami, nawołującymi ku namiętności życia, stoją ci, co przenoszą nad wszystko chłód zdobniczy własnych marzeń, zamknięty w odrębnej sferze. Tristan Klingsor swe pragnienia ubiera w szatę złotą drogiemi tkaną kamieniami. Chłód jego poezji posiada urok odrębny przez swe misterne obrazowanie, lubujące się we wschodnim przepychu wyiębłym i milczącym. Pełnym kunsztu zdobniczego w swych cyzelowanych wierszach jest Robert de Montesquiou. Powściągliwość liryczna daje skupioną jasność jego poezji. Jest ona szeregiem widzeń, spokojnie snutych. Podobnie spokojną jest poezja Raymond'a de la Tailhède. Więcej w nim tylko uczuciowego poruszenia. Poeci ci wszyscy wypowiadają się w obrazach barwnych, unikając bezpośredniości. W podobnym stylu piszą jedni z najmłodszych: Gille i Fage. Valère Gille posiada wiele nowożytnego hellenizmu, w dawna tę formę ubierając swe współczesne nastroje. Wyczułenie szkicuje swe sugestjonujące obrazy André Fage, posiadając lekkość dźwiękową.

Poniekąd malarską jest poezja Francis Jammes'a, lecz malarskość to wiele od powyższej różna. Narzucenie linii paru, ujęcie obrazu daje tylko punkt wyjścia do wielkich uczuciowych melodji. Cechą ich przewodnią — bliskość przyrody, żywiołowe wespółłtchnienie z jej zmiennością stałością, co różni od umyślnego zespajania się. Blisko przyrody stoi Marie Dauguet; mniej w niej melancholicznej rezygnacji, więcej świeżej wiosennej zmysłowości.

Wrażliwym jest na przyrodę Fernand Gregh. Zbyt wiele w nim uproszczenia; zmniejsza to wagę jego dźwięcznej poezji, której czystości nie płoszą umiłowania społeczne poety. Pełno w niej pragnienia życia. Życiowość nie zamazała wrażliwego i misternie delikatnego uczucia. Więcej społeczne umiłowanie kształtowały jakoś poezji Maurice'a Magre. Silny temperament, pchający ku rozwiązywaniu przeróżnych zagadnień, dał w pierwszych utworach jego wiele szlachetnej retoryki, później nastąpiła refleksja i zwrot ku sobie samemu. Podobnym w tym jest do Magre'a Colomb, tylko jego forma bardziej odrazu była wyrobiona.

Człowieczość wypowiada się nie tylko w uczuciach altruizmu. Jej głosem jest też męka wewnętrzna, jest całe istnienie namiętnościowe. Wiele ognia tego jest w poezji Edmond'a Blanguernon. Łączy on umiłowanie przyrody z umiłowaniem człowieka, w tym łączeniu—własne

porywy i pragnienie gorące. Całą skalą rozległej uczuciowości drga poezja Charles Guérin'a. Rzadka intensywność namiętnościowej męki, porywy goryczy, zniechęcenia, żądzy i szukania spokoju w ciszy samotnej—czyni jego poezję niezwykłą. Impulsywność jej—czysta i odruchowo skupiona. Dźwięcznością i szczerą jasną zmysłowością bliski mu jest Paul Géraudy. Stwierdza on nieumilknięcie Verlaine'owskiej harmonii i ciągłość symbolizmu, jako formy dzisiejszego wewnętrznego trwania. Bardziej niezłożonym jest Léo Larguier. Wiersz jego brzmi nieraz monotennie i jednostajnie. Silna to natura, pełna młodej świeżej wrażeniowości. Szczery, bezpośrednie wrażenie czyniący dwuśpiew dali Jacques et Marie Nervat. Pieśń ta prostymi słowami maluje delikatnie stan dwojga ku sobie się kłoniących. — —

Sporo w liryce współczesnej talentów względnie indywidualnych i stojących zawsze na poziomie artyzmu i kultury. Wzmiankowałem tych, co podług mnie już się znacząco wypowiedzieli. Czem jest liryka dzisiejsza, tego najwybitniejszym może wyrazem są Lerbeghe i P. Fort. W nich istota dzisiejszej psychy znalazła najczystsze, najbardziej krysztalowe wypowiedzenie. Nie przewyższają oni innych współczesnych, lecz skupiają w sobie wspólny wszystkich nastrojów wysubtelnienia i świeżości. Liryka ich to czysta nowa melodia, to odrodzenia nieśmiertelnej młodości, która istotą jest człowieka na wszelkim stopniu kultury. Marzenie jest jego skarbem, który uwewnętrznia w jednostki poznaniu czuciowym całość bytu, który czyni ją siłą w ciągłym ruchu i ciągłym zamieraniu.

Symbolizm utrzymał się jako ton zasadniczy współczesnej liryki francuskiej. Pewną przeciw niemu reakcją było usiłowanie mówienia bezpośredniego, lecz ono zamiast przynieść zmianę, było raczej zwrotem ku romantyzmowej retoryce, pełnej głośniejszej hałaśliwości. W poezji zwolenników tych „nowych“ prądów mniej było artyzmu i natchnienia, a sporo chropowatej prozaicznej szorstkości. Nie usunęli oni na stronę symbolizmu. Stał się on tylko rozlewniejszym i wyrazistszym. I nadal artyści—poeci pozostają przy jego zasadzie swobodnej rytmiki, choć mniej usilnie ją indywidualizują, przy jego mistycznej odmienności i pragnieniu zjednoczenia środków twórczych: barwy i dźwięku i wywołania z ich łączenia nowego dreszczu.

Liczba poetów jest spora. Wielu wśród nich prawdziwych artystów, choć mało bezwzględnie odrębnych. Kul-

tura wewnętrzna olbrzymia. Oparta na świadomości. Refleksja wglębiła się w czuciowość, dała jej pozorny chłód i nową prostotę. — —

Liryka stoi dziś poza rynkiem literackim. Pozostaje własnością nielicznego stosunkowo grona, pozostając po-niekąd poza wielkoświatowym targowiskiem. — —

Liryka ta—to współczesny człowiek. Psychika jego, przeinaczona dzisiejszym przełomem, który przeszedł już moment naprężenia agoni i poczyną budować odrębność swą od szarej współzyciowej przeciętności. Budował ją jako samotną wieżę pustelniczą, dziś buduje, jako *inne* wiedzenie, jako dojrzenie poprzez potworność zwykłą innej treści innego życia.

Marzenie zapłonęło żarem pragnienia Życia, całego Życia, potężnego radosnego Życia.





BRONISŁAWA OSTROWSKA.

Z ANTOLOGJI PRZEKŁADÓW.

PAUL VERLAINE.

GREEN.

Oto owoce, kwiaty, listowie i wieńce
I serce me, — dla ciebie bijące orędzie.
Niechaj go nie rozedrą dwie białe twe ręce
I niech twym słodkim oczom dar mój słodkim będzie.

Przychodzę, cały jeszcze sperlony od rosy,
Którą zmroziły szronem porankowe chłody.
Zwól, niech trud mój wypocznie, jako pielgrzym bosy,
Śniąc o chwilach ukojeń i słodkiej nagrody.

Na twą młodą pierś pozwól się stoczyć mej skroni,
Dzwonnej jeszcze ostatnich twych całunków rojem!
Niechaj przepomni burze i w ciszę się skłoni,
I niech zasną, pod dobrych twoich snów ukojem.

NEVER MORE.

Wspomnienie! O wspomnienie! Co tobie? W przestrzeni
Pławili się drozdowie, śpiewacy jesieni, —
A słońce rozlewało jaśń bladych promieni
Na gaj, co złotem liści pod wiatrem się mieni.

Byliśmy sami — dwoje — i szli w cichym śnie.
Włos i myśli wiatr lotny zwiewał jej i mnie...
Nagle zwracając ku mnie gwiazdy oczu dwie,
Rzekła: „Powiedz mi swoje najpiękniejsze dni!”

A głos jej brzmiał anielskich pieśni srebrnym echem,
Więc dałem jej odpowiedź przyćmionym uśmiechem,
I nabożniem całował cudną białą dłoń!

— „O któż zdoła wyrazić pierwszych kwiatów woń,
I ten słodki szmer, pełen obietnic i skarg,
Pierwszego „tak“, — gdy spływa z ukochanych warg!”

NOKTURN.

Pianino, całowane wiotką białą dłonią,
Świeci w różano-szarym niepewnym wieczorze,
Gdy uskrzydłony płynie cichą zmierzchu tonią
Ton, znany w bardzo dawnej, zapomnianej porze,
I błąka się tęskliwy, zalękniony może
W tej komnacie, co jeszcze oddycha jej wonią...

I cóż w tę porę zmierzchu letniego kołysze
Zmęczoną duszę moją tak cicho i słodko?
Jakiż to głos pieszczony, zapomniany słyszę?
Czego ty chcesz, wytworna, rozśpiewana zwrotko,
Konająca powoli poprzez letnie cisze
U otwartego okna, które wonią dysze...

POSŁUCHAJCIE PIOSENKI.

Posłuchajcie pogodnej piosenki,
Która płacze, — ze wam chce być miłą!
Ton łagodny, leciuchny i miękki:
Dreszcz pian srebrnych nad wody mogiłą...

Głos był znany wam niegdyś (i drogi?),
Ale teraz w obłonach oddali,
Jako wdowa rozpacznie się żali,
Dumnie krocząc w samotne swe drogi.

W długich fałdach żałobnej zastony,
Co drży w wietrze na liści kobiercu, —
Ukazuje, to chowa znów sercu
Jako gwiazdę — blask prawdy zgubionej

Mówi głosem, poznanym już ninie,
Że dobrocią li żywot się isci, —
Że z zawiści, klątw i nienawiści
Nic nie przetrwa w ostatniej godzinie.

O tej chwale, co czystych snów zdrojem
Płyne z serca pogodnej prostoty,
I uświęca człowieka ślub złoty
Z bezzwycięskim szczęśliwym spokojem.

O usłyszcie piosenkę powrotną,
Co zawodzi echowo wśród głuszy!
Wszakci skarbem największym dla duszy
Drugą duszę uczynić mniej smutną!

Która znosi bez gniewu krzyż męki
Jak w przelocie jest tutaj, — szczęśliwą.
I jak jasne jest wiedzy jej żniwo...
— Posłuchajcie przemądrej piosenki.

TRISTAN CORBIÈRE: LIST.

(FRAGMENT).

.....
Dzisiaj jedynym gościem rozwalonej wieży
Posród szurów, puszczyków, sów i nietoperzy
Był poeta—ptak dziki, z śrótem w skrzydle chorem
Był gościem i jedynym płatnym lokatorem
..... skazany tak przez sędziów jak i przez lekarzy,
Chciał tu umrzeć samotnie,—lub, jeśli się zdarzy,
Jako dezterter groźną oszukać wyrocznię,
To żyć,—skradzionem życiem,—skazany zaocznie.

.....
Nieumiejętność życia straszna:—przeżył siebie
Nieumiejętność śmierci:—pisał po pogrzebie.

„To stwór ze stu księżyców spadły po sto razy
I twoje czułe serce z legendarnej fazy.

Biorąc lot, kładłem sobie zapytanie wieszczę:
Orzeł czy reszka? widzisz, i pytam się jeszcze!
Tobie składałem smętne żegnanie żywota.
Tobie, coś tak płakała, że brała ochota
Zostać z tobą i płakać po tobie. Lecz w porę-m
Opatrzył się. Dziś jestem tylko upiorem.

Oboje ulubiliśmy—osobliwości:
Przyjdź tu, obejrzyć „okaz“. Mnie bo to już złości.
Wytworne smaki miałem w mych niesmakach zwłaszcza.
Życiem przez rękawiczki brał. Bo wiesz, to plami!
Lecz „tamto“ nie do wzięcia jest i szczypczykami...
Szukam teraz nowego kostjumu i płaszcza.

Przyjdź! och przyjdź! Tu wesoło! Własnymi oczyma
Obaczysz z okna wszystkie plony me. Jest zima:

Ogromne bory sosen, złoty kwiat żarnowców
 Zeschę krzewie—w naręczach na plecach wędrowców.
 Przyjdź odetchnąć powietrzem. Tu wiatr jest tak świeży,
 Bujny,—że właśnie zerwał dach na mojej wieży.
 A słońce tak łagodne,—że marznę żalosno.
 Wiosna... O lat dwadzieścia twoje... O ty wiosno!
 Czekam już tylko ciebie. Patrz! na moje dachy
 Spadła nawet jaskółka—z zardzewiałej blachy.

Jeśli jednak samotność przejmie cię trwogą,
 Będziem mieli przyjaciół—prostych: kłusownika.
 Nie licząc peleryny, która chodzi drogą
 Tam i naprzód i kryje celnego strażnika...
 Pisarków ani księży! księżyc w niebie gotów
 I mnóstwo rozkochanych ubogich pierrotów.

Tu wszędzie wokoło mnie blady cień twój szłocha...
 Wielbię cię, I to nędzne. Wielbić, co się kocha.
 Zjawże się ze sztyletem w piersi! będzie szczerą
 Tragedja. Wierz, zupełnie Inez de la Sierra...
 Stukają... Któż tam? Ach, do drzwi się szczur dobiera!

Śnię o tobie jedynie! Na wszystkie przedmioty
 Wspomnienie twe mży, jako błędny ognik słoty.
 Moja samotność—ty! Me złotoogie sowy
 —Ty! Strzałka w wietrze—ty! Cobądź się czepli głowy
 —Ty! Mych okiennic w burzę rozwarte ramiona
 —Ty! Święto,—pieśń, co echem w oddaleniu kona.
 Wichry twe imię jęczą. To manja szalona,

To manja--ale to ty! Moje serce
 Naścież, jak me okiennice,
 Biję w wichrowej rozterce
 Najdziwniejsze tęsknice.

Patrz! jakoweś przelotne wędrujące cienie
 Nakreśliły twój profil na okna rubieży.

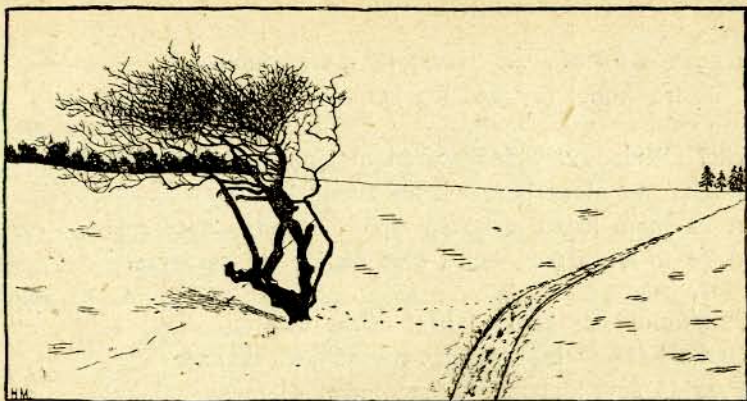
I odwróciłem głowę. Nadzieja? Wspomnienie?
 „Siostró Anno! czy widziałś już tam z twojej wieży?”

Nic! Widzę... widzę pośród mej nędznej komnatki
 Łóżko me niezastane i liche manatki,
 A na mem łóżku cicho śpi—pies. Biedne zwierzę!
 A że to wszystko—boli—więc śmieję się szczerze.

Przywołuję cię kobzą i lirą, Czar działa,
 Serce każe w takt własny rozsądkowi skakać.
 Przyjdź śmiać się, gdyś nad memi wierszami płakała,
 Jeśliś się śmiała—przyjdź płakać.
 To będzie śmieszne! przyjdź! będziem się bawić w nędzę,
 Rzec z natury: „W lepiance serce bez pieniędzy”.
 Deszcz pada w zgasły komin... w zgasłe serca żale...
 Przyjdź! Ogarek dogasa!—ognia niema wcale.

Światło gasło. On okno otworzył szeroko.
 Słońce wstawało. Na list zwrócił senne oko,
 Roześmiał się i podał. Białych strzępków wiew
 Zdawał się w mgłę porannej lotem białych mew.





Dr. ADOLF CHYBIŃSKI: MIECZYŚLAW KARŁOWICZ.

Dotychczasowa polska twórczość muzyczna była skierowana głównie ku pieśni, ku lekkiej czy lżejszej przeważnie muzyce fortepianowej, nieco ku operze bardzo wątpliwego gatunku (przeważnie eklektycznego), najmniej zaś ku muzyce kameralnej a przede wszystkim symfonicznej. Jestto objaw bardzo, a nawet ogromnie smutny, ale i naturalny—objaw zupełnej izolacji od Zachodu, od rozwoju dzisiejszej muzyki, której wszystkie dążenia ogniskują się w orkiestrze, i to nie tylko od czasów Wagnera. Nasza dotychczasowa symfoniczna twórczość przedstawia się, wzgl. przedstawiała się do niedawna tak uboga, że nie należy się dziwić iż zagraniczny świat muzyczny nic o nas niemal dotychczas nie wie. Powody tego stanu są różne: do r. 1900 nie było w Polsce ani jednej stałej orkiestry symfonicznej—tak jak jej obecnie niema w Galicji; stąd, nie mając możliwości usłyszenia swych dzieł, zaniedbali się nasi kompozytorowie na polu symfonii. (W Galicji przedstawia się ten opłakany stan o tyle gorzej, że niema w konserwatorjach ani jednego zdolnego pedagoga kompozycji, czego dowodzą skutki tego stanu—brak kompozytorów wykształconych gruntownie i według dzisiejszych, wielkich wymogów). Technika kompozycyjna starszych kompozytorów, przystosowana do panujących stosunków, jest wprost prymitywna i niedołężna, skrzepowana nieznośnym brakiem wykonawców orkiestrowych—a więc jest przestarzała, i to tembardziej że żaden z tych kompozytorów nie okazywał nigdy chęci ujrzenia tego, co się na Zachodzie dzieje. Muzyczny poziom publiczności w Ga-

licji, tak bardzo niski że prawie żaden, jednostronność w estetycznym pojmowaniu muzyki, przewaga popisów solistów, tak na estradzie jak i na scenie, brak kultury słuchu, spowodowany ciąglem przyzwyczajaniem się do marnego wykonywania (przypadkowego zresztą!) symfonii i t. p. przez orkiestry, których skład lichy i nienależycie ustosunkowany nie pozwala na pełne i porządne brzmienie—nie mówiąc już o technicznych kwalifikacjach instrumentów i instrumentalistów orkiestrowych—wreszcie brak dyrygentów, którzyby obok rzemiosła muzycznego posiadali nietylko rutynę ale i nerw kapelmistrzowski... czyż mam dalej wyliczać tę smutną litanję?... Dość, że wszystko złożyło się na to, aby polska symfoniczna twórczość równała się niemal zeru (na ogół—w stosunku do innych, niekoniecznie zachodnich krajów). Nie mówię już o wstrętnem wyzyskiwaniu nieświadomości muzycznego publicznego w celu tak bardzo zakorzenionego u nas muzykorobstwa i ciągłego wahania się między dyletantyzmem a świadomie popełnionem efekciarstwem. Nie mówię również o niedołęstwie lub świadomej ingnorancji tych krytyków, którzy „też“ komponują, albo o niekulturalności tego rodzaju, że liche wykonanie jakiejś kompozycji nieznaney wpływa u nich na sąd o jej wartości (por. „Powracające fale“ Karłowicza we Lwowie). Warunki zatem rozwoju muzyki polskiej przedstawiały się w Polsce wprost rozpaczliwie. W Galicji niestety stan ten trwa ciągle jeszcze, a ratuje sytuację napływ muzyków „niegalicyjskich“ których nie umie się należyście ocenić, nie dając im pola działania. Inaczej było w Warszawie, gdzie w r. 1900 powstała Filharmonja, rzekomo celem popierania sztuki ojczystej. Wyborna, pierwszorzędną orkiestra miała to zadanie wykonać. Niestety! Przez ośm lat istnienia odbywała się naganka na polską muzykę, aż wreszcie dyrektor tej instytucji i znany nadprowokator, Rajchman, musiał ustąpić, gdy opinja publiczna stanęła przeciw niemu, dzięki protestowi 28 muzyków polskich. Atmosfera oczyściła się nareszcie. Muzykom polskim otworzyło się pole działania. Cudzoziemscy kapelmistrzowie i (powiększej części) wirtuozowie ustąpili miejsca wybitnym siłom ojczystym, od czasu gdy Henryk Melcer został dyrektorem warszawskiej Filharmonji. Oddalona młoda muzyka polska przysłała do głosu, a publiczność zaczęła się entuzjazmować dziełami tych młodych kompozytorów polskich (Karłowicz, Fitelberg, Szymanowski, Różycki, Melcer i t. d.),

których przedajna krytyka z umysłu ogłaszała za niesłychanie groźnych rewolucjonistów.

Wśród tych walk i niedostatków kulturalnych, wśród najfatalniejszych warunków wzrastała nieliczna plejada kompozytorów polskich, których łączyły wspólne ideały. Są one zbyt ważne dla naszej muzyki i jej dziejów, aby można przejść mimo nich, a cała twórczość t. zw. „Młodej Polski w muzyce“ jest tych idei wyrazem.

Otóż przedewszystkiem zrozumieli oni że artysta, a w szczególności—odnośnie do obecnego stanu rzeczy—muzyk jako twórca musi zdobyć bezwzględna swobodę tworzenia, bez oglądania się na to, czy do słuchania jego dzieł społeczeństwo dojrzało czy nie. Brak orkiestry w Galicji a przesładowania przez Rajchmana i krytykę w Warszawie, brak wszelkich widoków na przyszłość wywołały u nich bunt wewnętrzny, w przeciwieństwie do mnóstwa starszych (nawet posiadających t. zw. markę) kompozytorów, których niedogodne stosunki zamiast podnieść do twórczości wyższej, częstokroć upadły rzucając ich niewatpliwe talenty na łup tłumów ignorujących wszelkie szlachetne porywy, a żądających lekkiej strawy. Musimy przyznać „Młodej Polsce muzycznej“, że posiada hart woli, że polityką odporną i obronną dowiodła swej absolutnej wyższości ponad niewolnikami taniego sukcesu. I sprawę wygrała... „Inde irae“ starszych kolegów, którzy się przeliczyli, zbyt wiele budując na „najpoczytniejszych“ i na t. zw. publiczności. A dowodem tego wielkie uznanie dla dzieł Karłowicza, Fitelberga, Melcera w Warszawie i entuzjastyczne przyjęcie „Bolesława Śmiałego“ Ludomira Różyckiego we Lwowie, poprzedzone równie wielkim sukcesem jego dzieł symfonicznych w Krakowie i Lwowie. Wobec takich objawów—krytyka znalazła się w kłopotcie i uznała za stosowne kapitulować przed publicznością, która—mało powiedzieć—przeszła siebie samą.

„Młoda Polska muzyczna“ zrozumiała jeszcze jedną niesłychanie ważną sprawę: mianowicie pojęła dobrze jaką jest przyszłość kompozytora, który pod względem technicznym zaniedbał się, odwrócił się od ogólnej ewolucji pojęć muzycznych, nie szuka nowych dróg. A równocześnie zdała sobie dobrze sprawę z tego, że zacząć iść dalej od tego miejsca, w którym ustali starsi (choćby o nie wiele lat), znaczyłoby być u samego początku swego twórczego dojrzewania spóźnionym. A spóźnieniem tem by-

łoby ignorowanie tych zdobyczy w dziedzinie nowych form, nowych harmonii, nowych kombinacji instrumentalnych, które genialni twórcy, niestety nie-Polacy, mocą autorytetu swej twórczości oddali do rozporządzenia każdemu, komu obce są przesady i Abdera.

Ta młoda plejada muzyczna pracuje, ciągle się rozwija, ciągle dąży na wyprawy odkrywcze. Ona nie zadawała się tem, co jej daly—o ile dać mogły—studja kompozytorskie w kraju; ona zna klasyczne partytury, dawne i nowe, nie powierzchownie, gdyż wie że szkoła jej tego nie nauczy, co studja nad arcydziełami. Że zaś nie wzoruje się na „symfonistach“ polskich — na kimże ma się wzorować, na jakiejże „indywidualności“ lub „szkole“ polskiej? Te jeśli istniały (przeważnie w wyobraźni zarozumiałych komponujących bakałarzy), to w każdym razie były niedostatecznie wzorowymi. Szkoła zaś, z jakiej „Młoda Polska muzyczna“ wyszła, „nie dała — jak pisze śp. Karłowicz w jednym ze swych listów pod datą „Lipsk 28 maja 1908 r.“ — nikomu silnych podstaw wiedzy muzycznej“, co zresztą widać z podręczników napisanych lub protegowanych przez nią. Stąd zwrócić się musiała „Młoda Polska“ do studjów u obcych, a przedewszystkiem musiała, uznając potrzebę gruntownej wiedzy prowadzącej do dojrzałości, przestudjować nowsze klasyczne partytury, o których „szkoła“ (krajowa) wyrażała się często z bezczelną arogancją, zwłaszcza wtedy, gdy spotykała się z rzeczami, których powierzchowna, wystarczająca ledwie dla „natchnionej fuszarki“ lub wykonywania pospolitego rzemiosła muzycznego wiedza, niemogła czy nie chciała (pewnie z braku... czasu) zgłębić. A więc naszym symfonistom młodszym służyły za przykład nie niechlujne lecz klasyczne partytury. W tym sensie pisze w cytowanym liście Mieczysław Karłowicz: „W mojem przekonaniu za przykład służyć może tylko to, co jest napisane z niezbitą logiką i co posiada cechę „klasycznej“ poprawności. Pod słowem „klasyczny“ nie mam na myśli dzieł dawnych mistrzów; dla mnie Wagner w swych późniejszych dziełach, zupełnie jasnych, z bezwzględną celowością i logiką pisanych, jest najtypowszym klasykiem. Partytura „Salome“ (wyjawszy niektóre ustępy) jest dla mnie również dziełem „klasyka“, gdyż posiada też same cechy, o których wyżej pisałem“.

Wkrótce jednak przekonali się młodzi kompozytorowie, wnoszący tyle świeżego pierwiastku i taką kulturę

i wiedzę muzyczną w naszą sztukę, że mają do zwalczania klikę nie cofającą się przed żadną „bronią“, choćby najpospolitszego gatunku. Mniejsza o tę walkę. Wyszli z niej jeszcze bardziej zahartowani i umocnieni w wierze w swe ideały. „Broń“ przeciwników okazała się lichą, a na podszyte prywatą krytyki odpowiedziała publiczność entuzjastycznymi demonstracjami na koncertach Fitelberga i Karłowicza w Warszawie, a Różyckiego (obecnie profesora konserwatorium) we Lwowie. Co więcej, ta część prasy, która sekundowała zbirom, nadsyłanym urzędowo przez interesowanych (i... interesownych) kompozytorów przeciw „Młodej Polsce muzycznej“ zwróciła się przeciw nim. „Tempora mutantur...“, a o wartości „kierunku“, z którego „iure scholae“ wyszła „Młoda Polska“, zawyrokował sam fakt stanowczego i najzupełniejszego odwrócenia się jej od niego. Chwycono się w negatywnej krytyce innej broni: korzystając z silnego ruchu narodowościowego czy narodowego zarzucono „Młodej Polsce“, że niema w niej nic polskiego pierwiastka. Zarzut bynajmniej nie fachowy, a zawsze mający odgłos w publiczności tej kategorii, która niema większych wymogów kulturalnych, żyje nie muzyką, jako sztuką, lecz rytmem i melodią; zarzut, którego krytyk nie potrzebuje udowodniać, gdyż nie umie, a w tym razie, gdyby krytyka zmuszono do udowodnienia zarzutu na mocy studjów nad partyturą (czyżby zbyt wiele... wymagał?!), nie umiałby pozytywnie sformułować swego powiedzenia. Bo krytyk muzyczny polski nie umie dotychczas zdobyć się na ten prosty pewnik, że obok sztuki narodowej, istnieje *sztuka jednostki indywidualnej*, która „sobie śpiewa nie ludziom“; co u malarza lub poety wydaje mu się zbyt naturalnem, tego nie pojmie w muzyce—dowód, że zawsze pojęcia o muzyce rozwijają się najpóźniej. Ci sami krytycy, którzy „Młodej Polsce“ zarzucają naśladowanie Wagnera i Ryszarda Straussa zapominają o tem, że w Moniuszce znajdują do końca jego twórczości wpływ niemieckiego neoklasycyzmu z przeblyskami romantyzmu (K. Loewe, Lortzing, Mendelssohn, Weber, Kreutzer) oraz Włochów (Rossini, Donizetti, najwcześniejszy Verdi); zapominają ci „krytycy“ że „Morskie Oko“ Noskowskiego jest zupełnie mendelssohnowskiem, że jego kameralna muzyka jest nieczystą nawet wtedy, gdy ma rytmy naszych chłopskich tańców, że jego cała twórczość jest, poza eklektyzmem najtypowszym, wzorowaną na pseudo-klasycznym i pseudo-

romantycznym kierunku niemieckim; że to samo można powiedzieć, nawet w większym stopniu, o Żeleńskim, że u Stojowskiego i Paderewskiego obok pierwiastka polskiego (ściślej mówiąc: szopenowskiego) znajdziemy wiele galizmu, i że melodie choćby najbardziej „narodowe“ nie będą jeszcze dziełem sztuki i natchnienia, jeśli dzieło, w którym one są zawarte, nie będzie dziełem sztuki, dziełem artyzmu, w które teńnięty jest duch kultury, indywidualności, pracy artystycznej. Jednostka twórcza ma prawo wypowiadania muzycznie siebie samego, ma prawo i obowiązek wypowiadania tego, co ona i tylko ona czuje lub myśli, bez oglądania się na t. zw. narodowe pierwiastki, zawsze ujęte w szablon rytmiczny lub melodyjny, jakkolwiek one mogą być wypowiedziane wzgl. wyrażone w charakterze całej kompozycji jako takiej, nie zaś koniecznie w jej składnikach (Chopin!). Szukanie tych narodowych cech nie może być uważane za normę krytyczną, gdyż wolno kompozytorowi nie uwzględniać ich, jeśli jest indywidualnością, jeśli chce wypowiedzieć siebie samego — pominawszy te poszczególne wypadki gdy albo tekst (pieśni lub opery) albo specyficzne cechy kompozycji (n. p. warjacje na temat ludowy i t. d.) wymagają utrzymania ludowo-narodowego charakteru, albo wtedy, gdy cały utwór jest z góry pomyslanym „narodowo“ (n. p. symfonia na tematach ludowych danego narodu). Zważyć należy, że co innego jest subiektywne i indywidualne tworzenie, a co innego umiłowanie melodji quasi-narodowych, którym spryt (nie kunszt — ale i nie szczerosc) muzyka potrafi nadawać pozory szczerego „natchnienia“, zazwyczaj celem kaptowania sobie wielbicieli. Ta obłuda, często bardzo efektowana i „estetyczna“, stała się świadomym hasłem reakcyjnie — negatywnej krytyki, występującej przeciw „Młodej Polsce w muzyce“. Nie koniec na tem. Potężna większość „krytyki“, składająca się z ludzi których każde pociągnięcie pióra zdradza najbardziej politowania godne ubóstwo ducha i „wiedzy“ muzycznej — potężna większość tych augurów (por. „Piękna Helena“) i tych spotęgowanych w karykaturalności Beckmesserów pomniejszała pojęcia, których zresztą nigdy nie rozumiała: mianowicie pojęcie treści i formy i pojęcie środków. Z jej krytyk wnosić można, iż do swych idiotycznych kategorii (wypowiadanych zawsze w formie... imperatywu lub... admonicji), doszła w sposób następujący: „Młoda Polska muzyczna“ instrumentuje tak, jak nikt dotąd u nas; pisze

poematy symfoniczne, jak nikt dotąd; harmonizuje — jak nikt dotąd; pisze na wielką orkiestrę, jak nikt dotąd; zatem: niema w sobie cech polskości, tembardziej że właśnie Niemiec, francuscy i inni kompozytorowie piszą też na tak wielką orkiestrę i t. d. Dla zachowania cech swojskości nie wolno jest polskiemu kompozytorowi użyć 8 waltorni lub basowej trąbki, gdyż „u nas“ się nie zna takich „efektów“, wogóle nie wolno dużo umieć, bo Moniuszko i bez tego napisał dużo oper i pieśni. Wolno do podręcznika kontrapunktu dołączyć własne kompozycje z lichą kontrapunktyczną fakturą, ale to zdrowiu społecznemu nie zaszkodzi, bo się nikt na tem nie pozna.

„Młoda Polska“ napotykała w Warszawie przeszkody głównie ze strony tych którzy—ją „wychowali“, którzy przełękli się jej groźnych talentów. Cała reporterja zorganizowana była pod egidą uprzywilejowanych... O takiej walce pisze jeden ze zmarłych niestety kompozytorów polskich: „...wolno więc pochwalić młodego muzyka, o ile jest uczniem...“ uprzywilejowanych, „jeżeli jest zwłaszcza majątny i „skuzynuje się“ przez kieszeń z mistrzami. Ale tylko do pewnych granic. Jeżeli młody muzyk ośmieli się zdradzić „zagrożający“ talent — to biada: należy niezwłocznie grzebać. A robić to łatwo, bo publiczność i tak się nie zna, a mówi o muzyce: „X. napisał“, „Y. napisał“, „Z. napisał“. Więc „hinein in die Versenkung“ młody muzyk: nieważ się sięgać po którą z kości, rozrzuconych na śmietniku warszawskim; my, uprzywilejowani, mamy prawo ogryzać te kości! I choć twarde są, z ręki „Aleksandra“, lecz coby się gryzło, gdyby ich nie było?!”

Ostatecznie nie pozostało wiele do „zysku“ tym uprzywilejowanym, odkąd poznano się, że przywileje zyskać można przez zupełnie wyczerpujące wykształcenie muzyczne, kulturę i uczciwość artystyczną i wyzbycie się ciasnego poglądu na muzykę. „Młoda Polska w muzyce“ wychodzi zwycięsko, a „uprzywilejowani“ zaczynają ze zgrozą spóstrzegać, że przywileje fałszowane nie na długo starczą...

Wśród takiej walki, jakkolwiek zdala od czynnego udziału, *) rozwijał się talent *Karłowicza*.

*) Niezapomnianem dziełem Karłowicza pozostanie idea protestu przeciw Rajchmanowi, która ostatecznie go obaliła, poruszając do głębi całą opinię, a zarazem przyczyniła się do oswobodzenia muzyki polskiej z rąk satrapów i tych „uprzywilejowanych“, którzy z Rajchmanem łączyli się tylko dla osobistego zysku.

Twórczość swą rozpoczął Karłowicz od pieśni, o których już pisałem w pracy p. t. „Najmłodsza polska pieśń solowa“ („Sfinks“, zeszyt styczniowy 1909. str. 140 i nast.). W pieśniach tych czujemy jeszcze związek z dawniejszą pieśnią polską (głównie pomoniuskowską); przeważa w nich dawniejsza forma pieśni, jakkolwiek pod wpływem nowszej liryki muzycznej (głównie Griega, po części Czajkowskiego) są te pieśni subtelniej interpretowane, prozodycznie nienaganne, harmonicznie (jak na owe czasy muzyki polskiej) wytworniejsze, a w formie zapowiadają ową *logiczność* kompozytorskiej dyspozycji, jaką odznaczają się późniejsze dzieła Karłowicza. Zapewne — nie znajdziemy w nich tak głębokich myśli jak w następnych dziełach, panuje w nich jakaś monotonia, która się nie przekształciła jeszcze w indywidualnie karłowiczowski smętny, elegijny lecz i dramatyczny ton, a przyczyną tego jest zapewne to, że pisał je Karłowicz jako uczeń, nie jako dojrzały muzyk, który nie daje się kierować środkami technicznymi narazie zdobytymi, lecz nagina je do swej twórczej woli. Mimo to żadna z pieśni nie jest muzykowaniem na wiatr lub — dla zysku, każda zaś dowodzi bardzo silnego talentu i wielkiego daru charakterystyki, stosowanie się do tonu tekstu; wspomniany zaś w powyższej wymienionej mej pracy karłowiczowski ton, zawarty w pieśniach, „ta melancholja, która później nie skrzepła, lecz zmęźniała i rozwinęła się w kontemplację“ dowodzi jak indywidualnym — mimo skrzeku Beckmesserów — talentem jest Karłowicz. W każdym razie najlepsze pieśni Karłowicza (z op. 1, 4, 6) pod wielu względami przewyższają lirykę muzyczną najbardziej cenionych polskich starszych pieśniarzy. Stąd są popularne, dzięki i talentowi i wdzięcznej melodyjności i jasnej formie. Ale zbyt wiele nowych wartości nie wniosły. Następuje szereg kompozycji szkolnych z których serenada (op. 2) na orkiestrę smyczkową i preludjum z fugą podwójną na fortepian (op. 4) ukazały się w druku, zaś sonata fortepianowa, symfonia zatytułowana „Odrodzenie“, prolog symfoniczny „Bianca de Molena“ i sceniczna muzyka do „Białej Golałki“ Jozefata Nowińskiego pozostały w rękopisach (*z woli kompozytora*, której strzedz jest obowiązkiem Tow. muzycznego w Warszawie jako wykonawcy testamentu). Fuga, w której dolatują nas niewielkie zresztą reminiscencje ze „Śpiewaków norymberskich“, pod względem stylistycznym dowodzi tyl-

ko opanowania form ścisłego kontrapunktu *), jest też najlepszym sposobem na zamknięcie ust tych krytyków, którzy w poemacie symfonicznym, reprezentowanym u nas przez Karłowicza, Fitelberga i Różyckiego, dopatrują się „anarchji formy”. Z poniżej cytowanych słów Karłowicza widzimy, że bynajmniej nie „potępiał” fugi, lecz uznawał, że jako ścisła forma nie nadaje się do wolnej formy poematu symfonicznego, nie sądził jednakże iż bez znajomości fugi, na którą — jak zresztą w rozmowach zaznaczał — kładł wielki nacisk, a niewątpliwie i sam byłby się fugą posłużył, gdyby tego wymagała ideowa treść poematu symfonicznego, choć nie sądził, aby „t. zw. dowcipne wprowadzenie fugi” było w najczęstszych wypadkach niczem innym jak „jednym ze sposobów wiązania rwącej się nitki wątku myślowego”. Jestto pogląd zupełnie osobisty, który nie przeszkadzał Karłowiczowi być wielbicielem gorącym „Zaratustry” Ryszarda Straussa, zawierającej jak wiadomo fugę, użytą oczywiście jako formę wyrażenia pewnej sytuacji, wynikającej z programu. — Serenada op. 2, pisana pod wpływem serenad i suit Griega, Czajkowskiego i Volkmana, odznacza się nie tylko doskonałą formą, pomysłem zastosowaniem dekoratywnego i figuratywnego kontrapunktu, pełnego efektownych ustępów, ale i przepysznym brzmieniem orkiestrowego kwintetu smyczkowego. (Dziwić musi każdego muzyka polskiego, że Filharmonja nie wprowadziła do programu popularnych koncertów tej interesującej i milej kompozycji!). — Jednorazowe słyszenie symfonji i pierwszych

*) Jakkolwiek Karłowicz, jako nawskróś nowożytny symfonista i to tylko symfonista i zwolennik wolnej formy, wiązanej tylko wewnętrzną logiką tematycznych rozprowadzeń, był przeciwnikiem projektowanej przez pewnego polskiego muzyka „reformy fugi”. W liście z dnia 6 września 1908 pisze: „Na kwestję reformy” fugi mogę odpowiedzieć czysto indywidualnie (zważmy na to taktowne zastrzeżenie Karłowicza!). Myśl ta robi na mnie takie wrażenie, jakby ktoś wydał dziś projekt „reformy prawodawstwa b. rzeczypospolitej weneckiej” — praca byłaby oczywiście jałową. Uznając najzupełniej doniosłą historyczną wartość fugi, a także przyznając jej ważne miejsce w uczelni kontrapunktycznej, uważam ją jednak za formę *bezwzględnie przeżyłą*, nie dającą się pogodzić z pojęciami dzisiejszego wyrazu muzycznego”. Ponieważ projektowana reforma wstecz sięgać nie może i Bacha niepodobna dzisiaj do zmiany w nawyknięciach nakłonić, pozostaje więc tylko znaczenie *pedagogiczne* omawianej reformy. Z tego, (obcego mi zresztą!) punktu widzenia sądzę, że lepiej trzymać się tutaj szlaków utartych, gdyż można uczącemu się dać wzory rzeczywiście doskonałe”.

utworów Karł. na pełną orkiestrę (pod dyr. kompozytora za czasów jednorocznego istnienia lwowskiej Filharmonji) nie dozwala mi rozpisywać się szerzej nad niemi. Symfonia, instrumentowana efektownie, a zbudowana według wzorów klasycznych, jest przedostatnim trybutem kompozytora złożonym na część tradycyjnej formy. Wpływ Czajkowskiego i Wagnera, dwóch najbardziej umiłowanych (podczas studjów) kompozytorów, obok pogłosów Griega, jest w tej symfonji, w której już widzimy postęp nie tylko w technice ale i rozwoju indywidualności, bardzo jasnym, temu sam kompozytor nigdy nie przeczył, tembardziej że nawet swój doskonały koncert skrzypcowy uważał jeszcze za... utwór szkolny. Jestto dowód wielkiego, a nawet bardzo surowego samokrytycyzmu, ale niemniej wielce ograniczone są sądy krytyków, którzy pod wrażeniem wpływów, jakie wywierają na Karłowicza Wagner i Czajkowski, ciągle wietrzyli je w ostatnich nawet dziełach przedwcześnie zgasłego twórcy „Rapsodji litewskiej”, który zgasł właśnie w chwili osiągnięcia nie tylko dojrzałości twórczej — tę bowiem widać nawet w pieśniach — ale i niezależności stylistycznej. Koncert skrzypcowy op. 8 (wydany także jako partytura w Berlinie u Schlesingera) odznacza się tem, że jest pisany pod wpływem wzorowym skrzypcowych koncertów (Mendelssohna, Spohra, Brucha, a przedewszystkiem Czajkowskiego) i sam jest w swej fakturze nienagannym, wdzięcznym dla wykonawców, a w swej pierwszej części bardzo nawet cennym pod względem formy i inwencji. Jestto bez wątpienia najlepszy koncert skrzypcowy polski od czasów H. Wieniawskiego, a mniej bezbarwny niż pełen eklektyzmu koncert Młynarskiego — no i daleko szlachetniejszy. Dziwić nas musi, że nasi wirtuozowie go nie wykonywują, a ci którzy to czynili, zaniedbali. Wszak niewiele lepsze są koncerty skrzypcowe Jaques-Dalcroza, Głazunowa, Duboisa, Tora Aulina, Hubaya i t. p. W każdym razie, jakkolwiek Karłowicz uważał swój koncert jeszcze za „szkolny” — nie jeden nasz „mistrz” byłby dumnym z takiego koncertu. — Jakkolwiek część druga i trzecia nie stoją na wysokości części pierwszej, pełnej najszcześniejszych pomysłów technicznych i harmoniczych oraz wdzięcznych tematów, to jednak nawet surowa krytyka niemiecka (także włoska) uznała go za pełną wartości kompozycję. Koncertem skrzypcowym zamknął Karłowicz pierwszą (szkolną) epokę swej twórczości, w której udowodnił, że formy

takie jakie fuga, sonata, symfonia, koncert, pieśń i t. d. opanował kompletnie. Studja odbyte u H. Urbana w Berlinie dały mu możność kompletną dążenia naprzód i szukania własnych dróg. Już wówczas umysł jego zajął Wagner i Ryszard Strauss, twórcy nowych symfonicznych form. Poczul też Karłowicz, że jego jedynym ale i wszechstronnym polem twórczości jest symfoniczna muzyka, a orkiestra również jedynym instrumentem, „który—jak mawiał—wszystko jest w stanie wygrać i wypowiedzieć bez reszty”. Między koncertem a „Powracającymi falami” (pierwszy poemat symfoniczny Karłowicza) trwa epoka fermentu, epoka, w której twórca „Smutnej opowieści” postanowił odbyć drogę od trystanowskiej orkiestry ku spotęgowanemu symfonicznemu aparatowi Straussa—i to nie tylko technicznie lecz i ideowo. Przekonał się przy zagłębieniu się w studjach nad współczesną muzyką, że najodpowiedniejszą dlań formą jest poemat symfoniczny, którego jednak nie przyjął wprost i bezkrytycznie, lecz po własnych dociekaniach nad istotą formy. Bardzo trafnie osądził, że można być w najwolniejszej formie nienagannym, jeśli ona wewnątrz rozwija się logicznie, bez podciągania jej pod strychulec uświęconych form klasycznych. I pod tym względem dzieła Karłowicza są bardziej „klasyczne” niż rzekomo ściśle na klasykach oparte symfonie i uwertury—warszawskiej szkoły. To doskonalenie się i szukanie nowych dróg w budowie kompozycji było jednym z jego celów, a umysł jego był w tym kierunku szczególnie wyteżony. „Niech mi Pan wierzy — pisze z Lipska w dniu 24 listopada 1906 — że przy każdym nowym utworze, który rozpoczynam, mam zapał i wiarę, że ten właśnie odpowie w pełni moim zamiarom i mojemu „credo”—i przy każdym ukończonym czuję dotkliwie, że droga jeszcze niezmiernie daleka, może bezkreśna! I wszystkie myśli odbiegają od rzeczy skończonej, ażeby rzucić się na nowy projekt, by go wcielić bez dawnych błędów i usterek. A powtarza się to stale i jest zapewne przeznaczeniem każdego, kto z całej duszy sztukę ukochał. Szczęśliwi ci, którzy ukończywszy coś, uznają, że „dzieło ich dobrem jest” i umieją się cieszyć; „mnie to nie dane”. I czymże są ci brudni i niechlujni muzykorobowie, którzy się „mistrzami” zwać chcą, czymże wobec Karłowicza ci efekciarze tonów i reklamy, którzy „natchnioną fuszerkę” ponad sztukę stawiać chcą, którzy cygaństwem sentymentu a ordynarną i powierz-

chowną robótką, rzekomo na „klasykach” opartą, za nos wodzą chłopstwo-melomanów, którym alkoholiczny zapach karczmy lub fryzjerska pomada wystarcza, jeśli nie mi czuć muzykę? Czymże ci rubaszni, zagłobowi fałszerze artystycznych wartości?!

(O! „mistrze”! Snać nie zakłóca wam snu myśl o przyszłości! Zważcież że dom silniej zbudowany trwa dłużej niż—fantazyjna chatka chłopska!) Owocem pracy nad przyswojeniem sobie nowych symfonicznych form, wolnych od kazuistycznego klasycyzmu są „Powracające fale”, *poemat symfoniczny* *), a jako taki—*pierwszy w naszej muzyce*, a więc dzieło już *historycznie* ważne. Wprawdzie nazywano tak u nas niektóre utwory orkiestrowe już przedtem, ale to były—uwertury, których nazwa nie przeina-czyła. Mimo silnych ustępów, niezmiernie subtelnej instrumentacji i już świetnej tematycznej roboty, dzieło to jest owocem poszukiwań odpowiedniej formy dla wyrażenia tych idei i ich rozwoju, które zakreslił sobie kompozytor. Część środkowa jest nieco za długa, choć kryje w sobie dość kontrastów i dość interesujących symfonicznych wyzyskań i pomysłowych przemian tematycznego materiału, a całość rozwija się bardzo logicznie, jak wszystko co Karłowicz stworzył od samego początku swej bogatej jakościowo choć nie ilościowo twórczości. Już w tym poemacie symfonicznym zawarte są niektóre cechy karłowiczowskiej indywidualności. Wszystko robi na nas wrażenie czegoś bardzo głęboko *przemyślanego*, obliczonego nie na efekt lecz na rzecz *celowości*, tak że nie znajdziemy tam ani jednej nuty, której istnienie byłoby nieuzasadnione lub zbyt techniczne, ale też zarazem nie znajdziemy tego niechlujstwa formy i techniki w opracowaniu szczegółów, cechującego zwłaszcza szkołę warszawską; nie znajdziemy niczego niedopowiedzianego, w ramach tego, co Karłowicz chciał i mógł powiedzieć i wyrazić. Już w tym dziele widzimy, że Karłowicz (który uzyskał technikę i wiedzę muzyczną, jakiej nikt przed nim u nas nie posiadał) nie poświęcał swego technicznego mistrzostwa na rzecz popisywania się niem, a więc ostatecznie dla efektu, lecz posługiwał się niem dla dania swej kompozycji trwałych podstaw lub dla nadania silniejszego i skuteczniejszego wyrazu. Nie ulega wątpliwości że mistrze, którymi przejął się za czasów swych studjów

*) „Powracające fale” ukazały się w partyturze i głosach orkiestrowych jako op. 9 u Schlesingera w Berlinie. Grane były w Wiedniu, Warszawie (2-krotnie) i Lwowie (2-krotnie).

kompozytorskich u Henryka Urbana w Berlinie, jeszcze w „Powracających falach“ znaczą obecność swego ducha: Wagner, Czajkowski i Ryszard Strauss. Tristanowskim jest pierwszy temat z „Powracających fal“, nie tylko sam przez się, ale i przez udział unisonowy wiolonczeli w odśpiewaniu go wraz z I waltornią. Słychać styl Czajkowskiego w pierwszym odezwaniu się basklarnetu (part. str. 4, takt 13 i nast.), słychać echa V symf. Czajkowskiego (andante) w motywie zaczynającym się od 4-go taktu str. 29, gdzie część kwintetu smyczkowego i drewnianych dętych instrumentów postępuje unisono na tle wolno postępujących akordów „blachy“. W niektórych brzmieniach pełnej orkiestry, zwłaszcza w tych ustępach, które są ożywione dramatycznie, czujemy wpływ doskonałych w tym względzie wzorów: Wagnera, Czajkowskiego i Straussa, obok tego jednak znajdziemy wybitnie samoistne tematy (por. part. str. 22 takt 11 i nast., str. 28 takt 4 i nast., str. 38 takt 10 i nast., i t. d.). Najoryginalniejszym zdaje mi się być kompozytor tam, gdzie operuje odcinkami motywów, tworzeniem nowych tematów z części innych, gdzie tematyczną robotę używa do odzwierciadlenia dramatycznych kataklizmów, gdzie płynie pełny „melos“ orkiestry, skupiający całą intencję kompozytora a uwagę słuchacza na siebie, nie zaś na pewną melodyjną cząstkę. Z „Powracających fal“ otrzymujemy dalej wrażenie, że inwencja Karłowicza, która już w następnych dziełach staje się prawie zupełnie samoistną, płynie naturalnie i bez tego, co zwykł był w rozmowie nazywać „przechodzeniem przez płoty“. Dodać należy że „Powracające fale“ nie odzwierciadlają — jak niektórzy warszawscy „pozytywni“ krytycy (!) głosili i głoszą — ruchu fal morskich czy rzecznych, lecz stan psychiczny który zmienia się pod wpływem odradzających się wspomnień i uczuć, mających zwątpialemu człowiekowi dodać wiary i nadziei w lepszą przyszłość — bezskutecznie. Podobny temat obrał Karłowicz dla swej „Smutnej opowieści.“

W „Trzech odwiecznych pieśniach“, komponowanych od r. 1904 — 1906 *), widać tak potężny skok naprzód

*) Partytura i głosy orkiestrowe wyszły w r. 1908 (z końcem listopada); główny skład u Gebethnera i Wolffa w Krakowie i Warszawie. Były wykonywane w Berlinie (1907), Warszawie i Wiedniu (1908) i Lwowie (1909) — w dwóch pierwszych miastach pod dyr. Grzegorza Fitelberga. — W lutym r. 1906 pracował już Karłowicz nad ostatnią z „Trzech odwiecznych pieśni“, ukończył zaś całą kompozycję z początkiem lata tegoż roku.

w rozwoju i technicznym i twórczym, że właściwie od tej kompozycji zaczyna się nowy okres twórczości Karłowicza. Jeszcze w dwóch pierwszych częściach znajdują się pewne cechy wspólne z „Powracającymi falami“. Jeszcze brzmią echa z „Śmierci i wyzwolenia“ R. Straussa w I temacie „Pieśni o wiekuistej tęsknocie“ (rozek angielski part. str. 4 takt 4 i nast.), II temat z „Pieśni o miłości i śmierci“ (part. str. 26 takt 18 i nast.) również technicznie echem z tegoż poematu R. Straussa; „zaratustrowo“ jest zmieniony w swej drugiej części I temat „Pieśni o miłości i śmierci“ (str. 51 part., takt 2 i nast. wzgl. str. 52, takt 1—2). Wszystko to jednak są szczegóły, które nie uprawniają jeszcze krytyków, zwłaszcza warszawskich, do „robienia wymówek“ (styl recenzenta z „najpoczytniejszego“) Karłowiczowi że „zamiast kroczyć drogą własną naśladuje niewolniczo Straussa — jak zresztą wszyscy młodzi muzycy polscy“. (Cne Beckmessery! Gdy chodzi o młodych muzyków, umiecie handlować tanim patriotyzmem i wśród cynicznych gestów oświadczać biednemu czytelnikowi, że ci muzycy „zaprzędali *polską* duszę *rosyjskiemu* Czajkowskiemu i *niemieckiemu* (szkoda że nie pruskiemu!) Straussowi!“ Dyskutować z wami trudno, trzeba by bowiem władać językiem tym, do którego przyzwyczailiście się. Niekażdy zaś czytelnik „najpoczytniejszych“ wie że się między wami znajdują i tacy, którzy, nim zaczęli swymi „krytykami“ muzycznymi (!) gwałcić dobrą wiarę i dobry gust czytelników, byli sekretarzami policyjno-lekarskiej „ochrony“ i stąd przyzwyczaili się do prowokacji i szpiegowania, aby na podstawie pozorów „robić opinię“. Przywołani przed sąd, złożony z muzyków, który kazalby wam uzasadnić wasze „zdanie“ na podstawie porównywań partytur (w tym razie: Karłowicza i Straussa), zostalibyście z pewnością kawalerami „orderu gęszej skóry“.)

Mimo tych kilku „Straussowskich“ drobiazgów „Trzy odwieczne pieśni“ są dziełem nawskróś oryginalnem i typowo karłowiczowskiem. Naprzód forma: — trylogia symfonicznych poematów stanowiąca pod względem ideowym całość, powiązana wspólnym materiałem tematycznym. Składa się z trzech części: „Pieśń o wiekuistej tęsknocie“, „Pieśń o miłości i o śmierci“, „Pieśń o wszechbycie“. Karłowicz obierając ten rodzaj formy postąpił roztropniej niż inni (obcy) kompozytorowie, którzy chcąc wyrazić czy wypowiedzieć zapomocą wszystkich danych muzyce środków swój „światopogląd“ (niemożliwy chyba do okre-

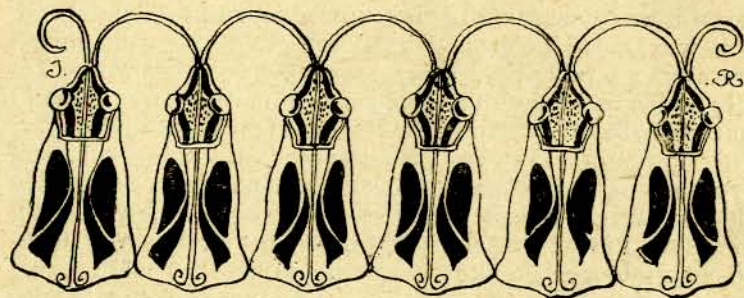
ślenia jednym zdaniem) użyli jednocześnie formy poematu symfonicznego, składającego się z pewnej liczby „powiedzeń”-ustępów, dość luźnie związanych razem a rzadko wspólnym motywem przewodnim „wewnętrznie” skomponowanych. Karłowicz rozumiał to zbyt dobrze i wybrał szczęśliwszą drogę trylogii symfonicznej, w której każda część stanowi dla siebie odrębną całość psychologiczną, wszystkie zaś mają wspólne pewne tematy, zależne od ich stosunku ideowego, od myśli zasadniczej danej części trylogii. Czy można zapomocą muzyki wyrażać filozoficzne myśli? Przeciwnicy „filozoficznej muzyki” negują, zapytując: czy można n. p. napisać „symfonię kantowską” p. t. „Krytyka czystego rozumu”? Zapominają jednak o tem, że muzyk-filozof nie ilustruje *książki* filozoficznej i że wszelki „filozoficzny światopogląd” oparty jest na uczuciach i woli, nie na książkowych kombinacjach—czyli że wynika z tego, co jest źródłem czy też ujęciem twórczości muzycznej. Jaką jest filozofia Karłowicza *jaką muzyką?* *) Jest pesymistyczną. Odwieczna tęsknota dręczy ludzkość i dręczyć nie przestanie nigdy. Nawet osiągnięcie celu swych dążeń budzi jeszcze gorętszą tęsknotę za mirażami, za czemś niedoścignionem. Tęsknota odwieczna usnąć się nieda—wraca bezustanku: oto jeden z elementarnych towarzyszy bytu. Obok tęsknoty miłość władnie ludzkością; miłość, która nawet w najwyższym uniesieniu i szczęściu jest tragiczną, bo budzi tęsknotę za jeszcze wyższym szczęściem, a zawsze sprowadza myśl o śmierci—mało bowiem lub może wcale nie ma miłości innej niż tragiczna! A nad to wszystko potężniejszym jest wszechbyt, potężny i bezlitosny, nie znający litości, ale łagodzący ból ludzkości. Kto go odczuje, kto myśl swoją w nim utopi, ten jest szczęśliwy. Lecz ludzkość o nim nie myśli—stąd godna litości, a wegetuje między dwoma potęgami sobie przeciwnymi a jednak dającymi szczęście: śmierć wzgl. niebyt i byt. Kto w nich rozplynie się całem swem jestestwem, ten szczęśliwy—ale uczucie wszechbytu jest potężniejsze, jeśli w istocie je można w sobie wywołać, najczęściej w obcowaniu z przyrodą. Szczerem tego poglądu wyznaniem jest to, co Karłowicz napisał o swych wrażeniach, gdy siedząc na

*) Karłowicz obok bardzo wielkiej wiedzy muzycznej posiadał niezmiernie bogatą wiedzę przyrodniczą i filozoficzną, także matematyczną.

szczytach tatrzańskich olbrzymów obejmował natchnionym wzrokiem horyzonty dalekie: „I gdy znajdę się na stromym wierzchołku, sam, mając jedynie lazurową kopułę nieba nad sobą, a naokoło zatopione w morzu równin zakrzepłe bałwany szczytów—wówczas zaczynam rozplwać się w otaczającym przestworze, przestaje się czuć wyosobnioną jednostką, owiewa mnie potężny, wiekuisty oddech wszechbytu. Technienie to przebiega przez wszystkie fibry mej duszy, napęnia ją łagodnym światłem i sięgając do głębin, gdzie leżą wspomnienia trosk i bólów przeżytych, goi, prostuje i wyrównywa. Godziny, przeżyte w tej półświadomości są jakby chwilowym powrotem do niebytu; dają one spokój wobec życia i śmierci, mówiąc o wiecznej pogodzie roztopienia się we wszechistnieniu” (por. „Taternik”, 1907, nr. 4). *)

(Dok. nast.)

*) Tatry były w istocie schronieniem dla Karłowicza przed... „wiekuistą tęsknotą” za normalnymi stosunkami muzycznymi w Polsce, szczególnie w Warszawie. Kilka wyjątków z listów: „... tem silniej klęę tych wszystkich, co uniemożliwili w Warszawie normalny rozkwit młodej muzyki polskiej. Będą mieli ciężką odpowiedzialność wobec przyszłości, która ich osądzić musi bez „okoliczności łagodzących”. A ci, co dla sztuki polskiej w europejski sposób służyć chcieli, tułają się po świecie, lub wśród upokorzeń klepią biedę w Warszawie; i nie byłoby nawet dziwne, gdyby przekleli los swój i od Muzy się odwrócili. Co nie daj Boże, Amen. Od zupełnego zniechęcenia i opuszczenia rąk bronię się częstem obcowaniem z potężną przyrodą tutejszą” (Zakopane 9 lutego 1908.) Inym razem pisze: „Choć geograficznie będzie to nieścisłością, jednak muszę powiedzieć, iż mam stale to błogie uczucie, że potężny mur Tatr oddziela i chroni mnie od wyziewów b...a war...skiego. Siedzę wśród swoich, żyję zapasem wrażeń artystycznych, zebranych w Lipsku i Berlinie, nikt mi w pracy nie przeszkadza, mogę chodzić po górach tatrzańskich, które ukochałem, jakbym się wśród nich był narodził...” (26 października 1907). „Myśl moja przebiega długie pasmo wędrowek po Tatrach, wędrowek, co jak woda kryniczna orzeźwiały mi ducha i były mi jednym z ogniw, wiążących i godzących z życiem. Los rzucał mną dużo po świecie: widziałem zastygłe cielska olbrzymów alpejskich, podziwiałem ponurą dzikość Czarnogóra, wpatrywałem się w białą szatę majestatycznej Etny. Lecz żadne z tych gór nie były mi tem, czem Tatry. Te Tatry, co na tygodnie całe otulają się w zasłony z chmur, każąc czekać bez końca na uśmiech, jak najkapryśniejsza z kobiet. Gdy jednak zasłony spadną i błysną modre oczy stawów, gdy zarumienia się śniegi, a turnie odetchną świeżym wiatrem wschodnim—wtedy jakaś tajemnicza, olbrzymia dłoń wyciąga się do mnie z wyżyn górskich, chwyta i porwa z sobą.” („Taternik”, 1907, ur. 4).



Z LIRYKI EROTYCZNEJ.

JADWIGA LIPIŃSKA: GROTA LODOWA.

Pomnisz, jak ciężko było iść pod górę
 Wązką ścieżyną kamiennej moreny,
 Że lica twoje spłonęły w purpurę
 I usta miałaś, jak rubin bez ceny.
 W lodowej grocie mrok niebiesko siny
 Zrazu nas rzeźwym utulił oddechem,
 I tylko jeszcze przez wąskie szczeliny
 Słońce się śmiało blasków swoich echem.
 Niby duch Danta, śladem Beatrycze
 Szedłem w kryształach, w których cud się czyni,
 Przez blaski dziwnie senne, tajemnicze,
 Do czarodziejskiej wiodące świątyni.
 I tak doszliśmy do ostatniej groty
 Pełnej błękitnej barwy i tęsknoty,
 Kędy milczenie wielkie, uroczyste
 Złączyło serca spragnione i czyste.

Lecz na obliczu twem ujrzałem bladość
 i cień od lodów śmiertelny, straszliwy,
 Zem chciał coprędzej opuścić te mroki —
 I uczyniłaś słowom moim zadość.

Lecz gdym na słońcu ujrzał cię szczęśliwy,
 Zgasły lic twoich płomienne uroki —
 I żal niezmierny rozbudził się we mnie,
 Żeśmy wstąpili w zimnej groty ciemnię.

ROMAN KRECZMAR.

POWROTNA FALA.

Gdy zorza uśnie cicha i złota,
 Kiedy godzina bije samotna,
 Zalewa serce fala powrotna,
 Powrotna fala — tęsknota...

Ileż-to razy wraz znocką ciemną,
 Śród mgławych blasków srebrnej poświaty,
 Gdy drży nad ziemią snu duch skrzydlaty,
 Droga twa postać staje przede mną.

I tyle uczuć i pragnień tyle
 Gorącą falą bije do twarzy —
 Dusza wspomina minione chwile —
 Wspomina cicho i słodko marzy...

I w nocnej ciszy znowuśmy razem —
 Snują się nici wspomnień pajęczce,
 Wiją się, wiją w stubarwną tęczę
 I duszę poją twoim obrazem. —

I zda się, słyszę głos cichy, mięki
 I widzę czarne, przecudne oczy —
 Zda się, za chwilę dłoń mą otoczy
 Ciepły, rozkoszny uścisk twej ręki...

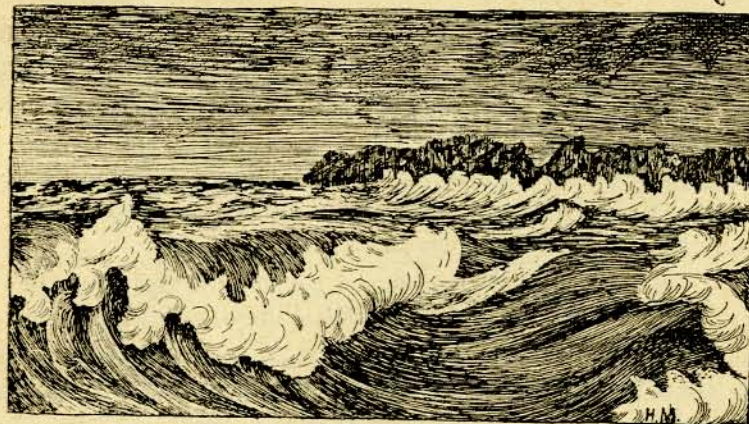
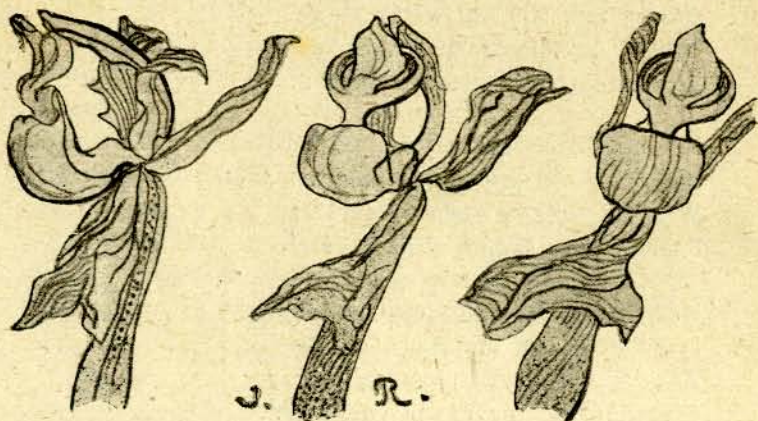
Pierś się podnosi szybkim oddechem —
 Znikło z przed oczu marzenie senne,

I całe szczęście jego promienne
Zostało tylko w piosence — echem. —

Ty teraz kędyś w nurt morskiej fali
Stoisz wsluchana i zapatrzona —
Słuchasz, jak skarży się, jak się żali,
Patrzysz jak wstaje, — pada — i kona...

Jedna za drugą płyną i płyną
Z głuchym i jakimś bolesnym szumem...
O, z rozigranym fal owych tłumem
Poszlę me pieśni — może nie zginą!

Może po jasnym zachodzie słońca,
Gdy zorza uśnie cicha i złota,
Przybiegnie moją piosenką drżąca
Powrotna fala — tęsknota...



TADEUSZ MICIŃSKI.

NIETOTA.

POWIEŚĆ Z TAJEMNEJ KSIĘGI TATR.

IX. Więzienie nad Ładogą.

Tam, gdzie spotykają się ze sobą burzliwa jak morze, bezbrzeżna jak morze, Ładoga i Newa — rzeka — tętniąca falami, jak arterja krwi pod sercem olbrzyma;

tam, gdzie dawniej dzikie ludy walczyły ze sobą, potem zdziczałe drużyny Nowgorodu i Moskwy ze Szwedami, gdzie „tysiące mężnych poległo, pokrywając pole, na którym nie można zasiać kartofli“ — jak mówi stary Wil Szekspir —

tam, gdzie miejsce tylko dla czarnych kruków na żerowiska — kiedy z chmur wichurą gnanych zlecają na ziemię, niosąc w dziobach krwawe ochłapy; tam, gdzie jedynie śmierć powinna zamieszkać na skalistej wyspie —

strzegąc Hyperborejskich krain, gdzie są ciche i cudowne noce białe latem i obłędnie tragiczne zorze borealne, jak zjawy anhelicznych duchów, wśród ciemnościowej męki tego piekła — —

tam forteca o grubych, niskich, żółtawych bastjonach,

potworny krab, zrodzony przez macicę Ładogi, zapłodniony przez Wichera-Djabła, —

jest właśnie miejscem świętem Rosji i Polski, świątynią boleści najszczytniejszych, świątynią dumań straszliwszych, niż Chrystusa na pustyni.

W tej wieży Świetlicznej na drugim piętrze męczyła się piękna żona Piotra Wielkiego, Eudokja Łopuchina — oddana najpierw do klasztoru, potem zmuszona oglądać wbicie na pal tego oficera, który chciał ją wyzwolić. —

Tu umarła też Marja Aleksiejewna — — — z głodu.

O piętro niżej — w izbie, gdzie jest piec kaflami kolorowanymi zdobny — przeminęło niepojęcie smutne życie władcy Jcanna Antonowicza, który od 4 roku życia zamknięty w celkowem więzieniu — bez książek innych, niż Biblia, bez Towarzyszków innych, niż dozorczy — został aż do końca nierozwiniętym dzieckiem — zabity w czasie buntu przez tychże dozorców — ten bohater smutniejszy, niż z Calderona — „Życie to sen“!

Nie wyliczajmy grozy, nie wyczerpiemy jej opisem — ani tych raskolników, co tu zamorzyli się — w ciemnych norach, deskami zakryto im drzwi i okna na głucho — i tylko straż „silne i ostrożne“, nie mogące słowa przemówić z więźniami — przechadzały się za murem.

Tu reformatory zapaleni liberalizmem Katarzyny II, przez też Semiramidę północy uwięzieni i nie wypuszczeni, aż po jej zgonie — —

kiedy już byli żyjącymi trupami (Nowikow, porucznik Krieczetow).

Tu pierwszy konstytucjonalista rosyjski, książę Golicyn umarł.

Tu zamknięci bywali potwory okrucieństwa i tyranii, jak zwalony wremieńszczyk Biron...

W najniższej kondygnacji, pod niskim beczkowem

sklepieniem — gdzie nie było podłogi, lecz zmarzła, wiecznie wilgotna, zapleśniała ziemia — męczył się szczytny Mason Polski, major Łukasiński —

ten cichy, głęboki myśliciel, chcący przeobrazić ducha narodowego w łożach, wznoszący przedziwne dla serca ludów katedry —

po 11 latach męki w fortecach polskich — zapomniany przez rodaków w lochach Belwederu, kiedy Warszawa upajała się wolnością dni listopadowych 1831 r. —

tu został zamknięty — i przez lat 37! żył na tym pokarmie za 3 kop. dziennie miedzią, bo tyle zostawało z płacy na więźniów, kiedy dozorczy więzienni przepuścili ją przez swe kieszenie —

z głodu cierpiał cyngę, od której wypadły zęby — w strachu mroków nocnych, kiedy szatani kręcili się w zamieciach śnieżnych, odpowiadając swój Nokturnowy sabat — w pustce tych dni szarych, jak dusza pajaka —

w trwodze śmiertelnej o rodaków, gdzie rządził Mikołaj I i świstały kibitki z malowniczych wiosek pod górą Świętego Krzyża, aż het — — het — — het w tajgi — —

Starzec krzepiony tą dziwną jogą, której imię było Polska — nareszcie uległ obłędowi, jeśli można tak nazwać melancholję najgłębszą, gdzie wszystkie myśli kierowały się do wzniesienia z upadku kraju.

Córka nadzorczy więziennego, ostatnie dni starcowi umiała troskliwością — —

nie pozwolono mu nawet wtedy widzieć się z rodziną własną. I w tym piekle, nieznanem Dantemu, umarł.

Tu różni rosyjscy myśliciele i działacze w tych „kamiennych workach“ wędli, rozkładali się za żywca, aż który „wołą Bożą (!) umarł z długiej choroby“.

Zwykle suchoty i szkorbut, szczególnie dla tych młodzianków po lat 17...

Tu Bestużewy, tu Kiprskij, tu starszy i młodszy bracia Rajewscy —

z nich jeden w obłądzie oddany pod dozór krewnych.

Tu Ludmiła Wolkensztajn, po latach kilkunastu wypuszczona—zginęła od pierwszej kuli w dniach wolnościowych, na ulicach Władystoku...]

Tu spełniano wyroki śmierci.

Szubienica, knuty, rozstrzeliwanie. W ostatnich latach Bałmaszow, który zabił Sipiagina, potem Kałajew, który zabił Wielkiego Księcia Sergjusza, potem Kono-plannikowa, która zabiła generała Mina.

Kiedy nie był wykonywany wyrok śmierci, odbywała się maskarada: czytano skazańcowi wyrok śmierci, nakrywali go prześcieradłem, na oczy spuszczały biały kołpak — —

Lecz w tejże chwili, gdy kat miał zaciągnąć pętlę, nagle zjawiał się feldjeger, który objawiał ulaskawienie: zamiast śmierci, wieczną katorgę. Takie ulaskawienie działało już jak rozłożony na lata męki jad.

Iszutin odszedł z pod szubienicy obłąkany — i obłąkany żył już w mogile więziennej.

Towarzyszom, pytającym go przed śmiercią, tak mówił syczącym głosem, dziko oglądając się, odmachując od tajemniczych widzeń rękoma:

„Tam straszno — — ale nie można mówić — tam zmije okręcają się dokoła mego ciała — wpijały się w nogi, ścisnęły mi ręce... tam wszystkie strachy... Ale nie wolno mówić o tem: oni słuchają“...

I zaiste:

w każdej celi było małe okienko w drzwiach, przez które zaglądało oko żandarma—lub oświetlone elektrycznością, nieruchome oko obłąkanego towarzysza.

Tu urząd kata sprawował aresztant, skazany na katorgę za 7 zabójstw.

Tu ludzie wieszani patrzyli w niebo, nie chcąc ostatniej chwili skalać wejrzeniem na twarze ludzkie.

Tu jednak żyli myśliciele, którzy rozwiązyli Apokalipsę—Morozow —

i takie dusze, jak Wiera Figner lub Janowicz, który przed powrotem do kraju odebrał sobie życie—nie mając siły już zacząć tam żyć...

Nad brzegiem szumiących wód, na skrawku ziemi wśród głazów, za potwornymi murami fortecy—jest cmentarz bez krzyży — bez drzew — bez furty dla modlących się — —

tam wrony ostrzą swe dzioby —

tam fale w dzikich szkwałach jesiennych wyją i białają nad marnością wszystkiego —

tam leżą nieboszczyki.

Kapitan Anacharzis już przedtem jako osiedleniec na Sybirze, chadzał z rohatyną na niedźwiedzia, uciekał przez tajgi sam ze swoim psem—przez bezmiary milczących lasów, nieznających odgłosu życia—szedł nie mając przez tydzień jedzenia ani wody.

Pies wybiegał na kilka kroków naprzód, potem straszliwie znużony, kładł się i wył.

Dziwną grozą napełniały te jęki obumarły las, który na przestrzeni setek mil był spalony — pnie czarne mroczyły się w księżycu, jak wyobraźnią Edgara Poe stworzone widma.

Kapitan Anacharzis chciał doprowadzić do końca swą na pół genialną, na pół warjacką ideję —

ustanowić prawo dla robienia wszystkich odkryć i wynalazków.

Znajdowali się sami w ciemnościach kancelarii.

Żandarm, znużony nocnymi dyżurami usnął.

Arjaman cicho zaczął się rozbierać i nakazał kapitanowi czynić to samo.

Potem zamienili się odzieżą.

Kapitan się śmiał.

— E, ty jesteś ambitna sztuka—mówił—chcesz abym ja ci wystawił mauzoleum perennius aeris! otóż nie — ludzkość o tem nie dowie się nigdy!

Ukończę me odkrycie, strzelam sobie w łeb—i tam się spotkamy —

rozumiesz? nikogo z tej robaczliwej ludzkości nie będzie, lecz my tam usiadziemy, nad przepaściami Jowisza —

i będziemy radować się.

Znasz Herodota, tę radość Greków, kiedy zbliżali się Persowie, a ci nie pozwolili skracać olimpijskich igrzysk?... Jakaż to słoneczność...

Więc ostatecznie zostajesz tu? daj łapę. Czyżbyś mnie ty nie miłował? a to byłoby kapitalne odkrycie!! więc ty szukasz tylko pretekstu, aby zniknąć ze środowiska szanownych żyjątek ludzkich...

O, to idź do diabła z Twem przebraniem—!

Arjaman uściśnął mu głowę.

— Jestem Twój brat w pustyni?

W takim razie —

Żegnaj! —

Dwa wirchy lodowe gdyby nagle się zrosły—od siły zderzenia roztapiając swe lody i buchając strumieniem łez —

byliby to ci dwaj ludzie.

Arjaman tegoż wzrostu, ubrany w bałachon więzienny, został sam w kancelarji i cicho trącił żandarma.

Żandarm zbudził się, wybąknawszy parę słów niejasnych, prowadził Arjamana do celi, na trzy rygle zamknął.

Nazajutrz miał być wykonany wyrok śmierci.

Lecz jako obcego poddanego i głośnych zasług naukowych Anacharzisa Chelewę—ułaskawiono.

Wprawdzie już Wirgili mówił: Timeo Danaos et dona ferentes.

Ułaskawieniem była katorga; potem już w drodze, zmieniona na Szlisselburg.

Spotkało Arjamana to najwyższe odznaczenie w procedurze więziennej: znalazł się między tymi, których za-

bić dla jakichkolwiek powodów, okazało się niewygodnem i niekorzystnem, a należało usunąć na zawsze.

Mówiono, iż któraś wielka księżna, zwiedzając więzienia etapowe, po dłuższej rozmowie z Arjamanem zmieniła katorgę dożywotnią na wytworną mogiłę nad Ładogą.

Tak czy inaczej, znalazł się tam Arjaman.

Gdybyśmy mogli teraz przeniknąć za te mury — ujrzelibyśmy wielką niską celę o beczkowem sklepieniu.

Tam w blaskach polarnej nocy rozmyśla więzień.

— Zgłębiam pojęcie przepaściste, jak Gehenna: niepowracalność.

Wielki Lewiatan ziemi, dysząc, zrodził miljardy pęcherzyków ludzkich, które wirują, siłą się dopłynąć słonecznej powierzchni — — rozkładają się na węglowodór i t. d.

Pomnę, kiedyś, gdy mi pewien rabin żydowski z pianą mówił, że gdyby Chrystus żył teraz, należałoby Go ukrzyżować —

ja wtedy, biały, dumny Templarjusz, stanąłem nad duchem tego rabina, świecąc mocą rycerza Świątyni Bożej. Rabin wyznał mi, że nocami lęka się sypiać — lęka się iść w ciemności teraz do domu—czuje się on bowiem zawsze nocą w jakimś piekle.

Chrystus był mi najbliższym: słońce mogłoby zgasnąć, mnie byłoby z Tym mrokiem jeszcze jaśniej; ziemia gdyby zapadła w niewiadomą otchłań, ja mogłem jak Szymon Stylites, na jednej kolumnie stać, mając dokoła przepaście...

Ile skrzydlatych mar runęło już — — godnych obcować z Nim na Ostatniej Wieczerzy, równie jak wstąpić na rydwan słoneczny Hipariona...

Niepowracalni już...

— Jam więzień zamurowany w najciemniejszej celi. Nawa szumi nademną; na mojej pościeli

gryzie szczur resztkę chleba—tam krzyk—to ludzie [wieszani!

Widzę nadchodzi djabeł, ubrany w szaty z Nocy Polarnej — w błękity, w mroki i w srebro; gra mi tak rzewnie jak słowik nad mogiłą narzeczonej; tak wspaniale, jak wycie jesiennej burzy tu nad Ładogą... Instrument muzyczny jego tworzy kombinację wioli z mandoliną, jak miewają mieszkańcy zaświatów portretowani przez Fra Angelica.

Dziwną serenadę gra djabeł.

Zakwitła raz w ciągu istnienia
palma Karjota:

sto lat czekała miłosnej ofiary,
aż w kwieciu, lito-złota,
miłości nieziemne czary
z miesięcznym blaskiem przeżywa wśród burz roz-
[modlenia!

— — — — —
Miną raje kwitnienia.

I stoi, jak Isztar w podziemiach, obnażona!

Gałązki jej, jak zaschłe lzy.

I wiecznie zda się, kona...

I w mroku wiecznym zwątpienia

upiorne ją męczą sny... —

Jestem tą nocą majową nieco wzruszony, gdyż do-
prawdy:

— W więzieniach moich są cedry Libanu,

ptaszki świegocą, jak strumyki gór —

nie mogę przejść przez ten mur,

co mię oddziela od szczęścia — i żyję podobien
[szatanu!

Na te ostatnie słowa swe djabeł ironicznie wpraw-
dzie, lecz surowo zmierzył mię od stóp do oczu — i rzekł
mi głosem okropnym, wychodzącym jakby z trumny po-
grzebanej pod podłogą, lecz tak mocnym, że zadrżały
sklepienia:

— Mogę przejść ten mur — lecz tam nie czeka mię
królowna z pieśni nad pieśniami.

Ja — król omamień i arcy mistrz demonicznych per-
spektyw: udaję, że łańcuch dla mnie zbyt mocny.

Nie, tamta góra magnetyczna jest w gruncie rze-
czy tylko szafą ładnych fatalasek.

Jestem więc mądry, mędrszy niż całe istnienie.

Dalem się tu wraz z Tobą zamknąć w więzieniu, aby
módtę tęsknić — choćby za wolnością... Najgłębsze cho-
wam dla siebie... pustynie me głębsze są, niż całe ist-
nienie! —

Przypomniałem z dawnych legend średniowiecznych,
że Djabeł sili się wywołać stan pychy —

a za ten jeden jej włos gotów zawłec, aż na ostatnie
dno bredzącej halucynacji.

Więc w skupieniu słuchałem, stając się rzeczywis-
tym tajnym djabła spowiednikiem —

(bowiem, gdy wykopano dół i wbito dwa słupy —
i mieli rozstrzelać skazańca — — on sam podszedł do
słupa, objął go rękoma i gładził, jakby żegnając się
z nim) —

tak i djabeł w braku zaświatowej istoty, mnie uczy-
nił swym spowiednikiem.

Djabeł widząc zdradzonym swój zamiar wypysznie-
nia mnie tą zaszczytną misją, zmienił się nagle w musz-
kę brzęczącą, chcąc mnie wyrwać z mej zadumy.

W brzęku jej skrzydełek słyszę wszystkie tchuienia
letniego wieczoru —

i zdało mi się, że wszedłem w mroki litewskiego
dworku pod zasłonę, gdzie kryje się sypialnia i czeka
mię w ciemności tajemniczej przed walką gorącą, rado-
sna, umiłowana o nagiem, gibkiem pod koszulą ciele —
lecz gdzież to jestem, hola!

Ja gram na wioli, ukradzonej z nieba,

zły duch — precudne szaty na mnie tej Nocy Po-
[larnej,

błękity i mrok głębin—srebrzystość, jak Feba,
 niosącego w pomroku blask czaszy ofiarnej!
 Widzę, że wykopano dół i wbito dwa słupy;
 mają rozstrzelać Nestora Mignejszwili.
 On podszedł sam—i jakby maszt tonącej szalupy,
 objął rękoma ten słup, i gładząc, zegnał... Ha --
 [zabili!

Nie spocznij, muszko, na mym czole!
 wichrze nie przynoś mi technień!
 niech się rozpostrze nad ziemią wieczny cień —
 niech Myśl zejdzie w tę czarnych królestw mych
 [niedole!

Żaden owad, który wchodzi w głębie Nepenthesu,
 óma, zaczepiona w rosiczki łzawnicach,
 nie jest tak pogrzebana—żaden brahmanin Gangesu
 tyle swej krwi nie wylał, co ja w mych świątyni-
 [cach! —

Nagle szatan otoczył mię podzwrotnikową rozszala,
 łą roślinnością—i oczywiście chciał mi przez to wykazać
 że mógł mi całe to królestwo fantasmagorji oddać, jeśli
 wyrzeknę się atawizmu: iść z narodem — i w rezultacie
 jeśli ukochem Szlisselburg.

Lecz za przykładem Mistrza kuszzonego na pustyni
 byłem obojętny na wszystko.

To też djabeł wkrótce sam złowił się w swe sieci,
 język zapadł w jakieś vibracje haszyszu; widocznie czu-
 jąc się księciem wschodnim, mówił, klęcząc przed ścia-
 ną, którą brał — ach za wejście do świątyni miłości w Jo-
 sziwarze:

Lilje czerwone Japonji —
 me serce, zamienione w pagodę rozpusty,
 mirty dziewic, wycalowane bezśmiertnymi usty
 aż do oblędu — w agonji!...
 Ładoga groźnie wciąż huczy nademną,
 w burzy—widzącej mrocznych mór Arktyki —

schodzę w otchłań serc moich, wiekuistnie ciemną,
 gdzie jest mogiła i napis: Tu leży Walmiki!

Nieukrywane było zdziwienie na mądrej skądinąd
 twarzy djabła, gdy usłyszał to ostatnie swe wyznanie,
 w którym zlekka uchylał, lub raczej dawał się domyślać,
 że ja — obecny numer więzienny, jestem twórcą indyjskiej
 Mahabcharaty, i że wcieliłem się teraz w moje więzien-
 ne miłujące jestestwo.

I co więcej, że mam tyle serc, ile paw ma oczu
 w swym chwoście tęczowym,

Zamyślił się ów mieszkanić kręgów zatracenia pod
 księżycem i rzekł, z tą złośliwą pedanterją warszawskie-
 go krytyka, który był wielbicielem komuny i Jarosława
 Dąbrowskiego, a potem dla przymilenia się baronowi de
 Mangro, podającemu dwa palce mu na raucikach partyj-
 nych—gotów pisać anonimy przeciw wszelkiej indyjskiej,
 albo li polskiej Mahabcharacie!

— Ja Tobie zaprzeczam: ty nomier Tridecatyj, jak
 możesz być Walmiki?! —

Na taką brutalność przygotowany nie byłem. Ude-
 rzyłem pięścią w miejsce, gdzie złożyły się djonizyjskie
 różki djabła — i on runął wzdłuż kamiennej posadzki,
 błagając mnie o dalszą cierpliwość.

Nie wyszło mu jednak to zbyt wzruszenie na
 dobre, bo skorzystawszy z leżącej pozycji jakaś Mroczna
 Zmora wystąpiwszy ze ściany, owładnęła nim—wspaniała
 zaśmiertna o szerokich biodrach i pasie miłosnym z ru-
 binów, Messalina północy.

I śpiewał, choć leżący, djabeł:

— Ja na zimnych granitach obejmuję ciało
 cudownej wizji, lecz upiór północy
 miażdży mi głowę łapami, i nad mroczną skałą
 pisze me imię wśród duchów niemocy!
 Chciałbym iść z Tobą wśród pustyń Tybetu,
 i wstąpić w żądz Twych święte osokory.

Nad mrokiem świata jestem księżyc chory
i dobywam, jak Hamlet, dźwięki—z męczarni moich
[fletu!

Mroczna Zmora odjęła swe olbrzymie skrzydła z djabła twarzy

(o nędzo upokorzenia, siedziała więc na muzyku nocy polarnej okraciem ta Wiedźma)?

Nagle ujrzałem postać djabła, jaśniejącą wytartem czołem tryumfu i znów mówił mi z pewną protekcyjnością, jak zawsze mówi djabeł, nawet kiedy się spowiada:

— Z towarzyszami więziennymi porozumiewam się wybornie przez kanał kanalizacyjny, po kilka godzin deklamując im swe poematy... Czemuż więc nie użyłbym tej zuchwałości, lecz istnie Dantejskiej obrazowości, gdybym rzekł:

W więziennej pustce wyzywam upiory,
mówiąc me wiersze przez rurę... trzech zer...
Zagłada w me okno jedlina bez kory...
W czarnej Ładodze świeci księżyc chory,
i ze mnie, jak z fletu, dobywa pieśń — więziennych
[sfer!

Zawiele było już mi tej tyranji: ja Walmiki, aczkolwiek nieznany w swym nowym wcieleniu, mogłem znosić, że na mnie czynił zasadzki byle zbir, na którego baron de Mangro gwizdnął, —

lecz z tym, który stawał ze mną na równej platformie poezji byłem dumny — oh!

Uczyniłem gest Apollina, który w jednej osobie zjednoczył kobietę i mężczyznę, w harmonijnej boskości mrok i świty, Wiedzę i Letargiczne Sny...

Napiąłem myśli mej łuk adjamantowy, łuk nie znający drzeń, łuk posyłający śmierć wszelkiej banalności...

I stała się cisza tak niezmierna, nawet djabeł ci chaczem wyniósł się —

Ujrzałem z mrocznych kątów idące długie korowody ludzi sponiewieranych i nieszczęsnych. Cyt, przyszli do mnie odmówić wieczorne pacierze:

— Nocy czarna, która idziesz nad wodami
i zamieniasz je w srebro pełne błękitu,
módl się za nami —
bośmy jak brzoza moczarna,
która widzi w mogile odbity blask swojego szczytu...
Módl się za nami!
bo wszelka dusza kona, jak my — pośród gwiazd —
[bezmocy!

Tam płynie Wolność, jak dzikiej Imatry
pęd — tam kwitną żądze, jak lilje czerwone,
tam znowu orły na Kaukaz i w Tatry
lecą—po jasną rozświtów koronę!
Umrzeć—tak ciężko, kiedy nas wieszać będą w imię
[Chrysta —
módl się, o Nocy, za nas — mądra, straszliwa, wie-
[czysta!

— — — — —

Białe omdlewające, niemające swej widzialnej przyczyny światło, zalewało całą przestrzeń, gdzie byłem zamknięty. Nademną huczała Ładoga.

Słuchałem fal, jakby potwornej kroniki ludzi umęczonych.

Światło to było już jak owa miłość, w której mieszkając, mieszkamy w Nim —

ale tu lękam się wymówić imię, które zawsze wywołuje przez kontrasty echa — ową mroczną trwożącą mnie tak często postać szatana.

I zrozumiałem naraz precudne słowa:

„Zwyciężyliście go, gdyż większy jest Ten, co w was jest, niż ten, co na świecie!“ *)

*) Kronikarz Turowego Rogu ten szczególny dokument rozpacznej samotni podaje bez żadnych komentarzy.

Minał rok—za kratami żelaznymi, W szmat zimnego błękitu spoglądały nie tęskniące już za niczem oczy. W celi szarej, jak dusza pajaka, świecił wciąż równy znicz — tatrzańskiego Jogi.

Mur okna, gruby niby w zamczysku, cisza przerażająca, zdrętwienie wszelkiej nadziei.

Obłoki płynęły; czasem w mroku śpiewały błyskawice; wygwiażdżone niebo jedyną było przechadzką.

Arjaman miał jednak towarzysza Morozowa. Z celi rozmawiać przez wypukiwanie nie było możliwem: wołoki tamują, tudzież zbyt gruby mur.

Więźnie rozmawiali ze sobą, — jak o tem świadczy w swym pamiętniku panna Wolkensztein — przez rurę kanału, gdzie rezonans był wcale dobry. Arjaman opowiadał o Tatrach, Morozow opowiedział swój wykład Apokalipsy.

Były to objawienia dla każdego z nich.

Morozow zamknięty w wieku bardzo młodym, przyrodnik, dostał dopiero w końcu roku Biblię po francusku. Lektura, nie dość zajmująca dla wolnodumcy! lecz umysł badawczy umiał się zainteresować. Wyrozumiał astrologję w symbolu Panny, która gniotła węża, zrozumiał strzelców, niosących śmierć. Data określić się dała bardzo dokładnie, na r. 395. Autorem był niewątpliwie Jan Chryzostom, który tu na wyspie Patmos obserwował zaćmienie słońca, a trafiła się nadto burza.

Tak więc w księdze morza i gór wyczytał Jan swe Objawienia! takie tłumaczenie bardzo przemówiło do Arjamana, jako żyjącego zawsze morzem, obłokami i piekłem.

Arjaman postanowił czas więzienny (dożywotni) zużyć na ćwiczenia w Jodze.

Poczynił w niej zadziwiające odkrycia i ogarnął niebywalej rozległości krainy.

Księżyc, niby Mag Litwor — Hermes Trismegistos wiódł go w tę przepaść, z której mógł się już dotykać duszy wszechświata.

INKANTACJA.

Niech Orzeł z gór Kaukazu, który żywił się wątroba i sercem Prometeusza —

tu przyleci, skrzydła rozpostrze nademną.

Tu, w tych dolinach mrocznych, niemających światła, wśród których żyję.

Tu jest pustynia, bezbrzeż samotnych myśli, przewiercających Kosmos—w jednym ogromnym Luciferycznym Malsztremie Buntu.

Na cmentarzu więziennym rosną młode żółte kwiatuszki na grobach dawnych bohaterów—potworna żmija zwinęła się w czerepie, sycząc przeciw słońcu.

Nadziemny Orle, przyszła godzina północy, wyszedłem z katakumby więźniów umarłych —

oczy moje zagatowały od widoku, którego nie opisze mowa życia.

Zaiste, serce moje wije się, jak chmura pełna piorunowych dreszczów —

otchłań piekieł staje się jawą —

patrzy we mnie wzrokiem straszliwego Władcy gór Króla Wężów.

Nad wielką mogiłą czaszek rozlega się krakanie kraków i głos umierającego na krzyżu:

Eli-Eli-lama sabachtani?

Ale głos Króla Wężów wzywa mnie, bym leciał na góry najwyższe, na lodozwały oświecone w gwiazdach,

skąd widać bezmiar Oceanu, niby misę wydrażonego turmalinu —

wyżej —

gwiazdy zieją ogniem kosmicznym w nocach wieszczych nieodgadnionych —

a tam —

kometa, wędrowiec wieczny, dąży w pustynie, by

wieścić samotnemu Złemu Myślicielowi epokę zagłady dla żyjących na ziemi...

Teraz mówię do najwyższej woli mej—wzleć wyżej—do rozżarzonej wulkanami myśli mej — wyjdź z labiryntów!

Ty Orle, szum Twoich skrzydeł, niby Ocean huczący, unosi mię, zamiast poszarpać, — płuca me napelniają się ambrozją dzikiego świszczącego powietrza, które jest naelektryzowane Zorzą.

Unosisz mnie pędem krążącym, jak myśl nagłym — nad krainą Rosji — i aż na wielkim Meru, rozpostartym niby ptak nad krainą lodów, nad indyjskimi lasami zachowanymi w dolinach Turowego Rogu, nad morzem Pratatr, gdzie świecą wirchy niby rubinowy korowód mnichów modlących się przed bogiem swym, Królem Wężów!

Tu powietrze niewchłonięte nigdy piersią śmiertelnika, poi mię, nakarmia i ekstatycznie rozognia myślami!

Nadziemny Orle, przywiódłeś mię, abym wśród tych gór najeżonych tajemnicami, budował świątynię wielkiego przebudzenia — jaźni narodu polskiego.

Jeśli Szatan, ni Bóg nie mogli kałuży życia przeobrazić: Ten w Królestwo Boże, tamten w Wielki Pałac Djabłów; w imię pierwsze tyłu już umarło; w imię drugie — tyłu wciąż naradza się do nowej potwornej imprezy —

jakie mam prawo to czynić?

Jaźń moja wydaje się mi studnią, do której wejście zasypała ręka Nieszczęścia —

a nad tą ciszą morską postawiła dla ironji pół dysku słońca, które zapadło już w morze, lecz ludzi mirażem swym, że jeszcze świeci — —

jeszcze tańczy na wzdętych olbrzymich beznadziejnie huczących falach: to słońce — Polska!

Chcę wyjść już z więzienia — nie tylko mą duszą, płonącymi skrzydłami rozmiatającą wszystkie okowy i klatki —

chcę wyjść stąd z całym Królestwem mej krwi i marzenia!

Widzę wzrokiem telepatji w sprężynę zwinięty stalowy włos, który ofiarowała Łukaszińskiemu starcowi modląca się doń córka dozorey i włożyła w mur.

Lecz mędrzec nie chciał już wracać do—Polski!

Gdyż wśród polskiego moczarów—on nie znał tej wyspy, która jest Turowym Rogiem.

Przepiłowuję kraty!

Czynię to szybko i z mocą niezrównaną. Po godzinie pracy uważnej—widzę czarną toń Ładogi.

Daleko—het—miga wśród nocy latarnia morska od brzegu Oneńskiego.

Tu bliżej mnie, czernieje w lazurowej poświatli księżyca—brzeg.

Tam — płynę! — — — — —

— — Nie zdążył już Arjaman dokończyć myśli

Rozległ się szczepek otwieranych zamków, dwóch żandarmów i klucznik rzucili się ku oknu, gdzie ujrzeni raz pierwszy kwadratową przestrzeń okna, usianą gwiazdami.

Wystrzały karabinowe —

Odpinane łodzie — zbudziło się naraz całe więzienie.

Morozow ze swego okna daremno silił się ujrzeć Arjamana, gdyż to że on był, nie kto inny—to wiedział.

I uśmiechał się, myśląc o tym jogi silniejszym, niż tury w puszczy Białowieżskiej, mającym w sobie więcej instynktu życia, niż niedający się nigdy podejść, ani zranić Morski Wąż.

Arjaman, wychynawszy z fal, ujrzał nad sobą nisko obłoki śniegowe —

nad wodą w cudownej tęczy księżycowej przelatywało skrzydlate widmo aeroplanu, niby czarny na zbrzeżach tęczujących wampir —

Baron de Mangro nisko nad wodą kierował powietrzny statek. Obok niego Zolima.

Obserwowali niskie, przysiadłe, jakby potworny krab, bastjony forteczne.

Zolima bowiem miała chęć ujrzeć więzienie, gdzie siedział Łukasiński.

Zolima ujrzała rozchylaną kratę.

Ze zdumieniem zauważyła człowieka, który rzucił się w głębiny i płynął.

Usłyszawszy wystrzały karabinowe, prosiła de Mangra, aby zechciał uratować więźnia.

Lecz baron de Mangro, z trudem zmuszający się do patrzenia w więzienie, teraz za skarby wszystkich Golkond miłosnych nie chciał przyjąć katorżnika.

— Mam wstręt fizyczny, rozumiesz mnie, mówił, szybko nakręcając ster w stronę nadobłoczną, a motor nstawiając na 200 kilometrów na godzinę.

Zolima miewała swoje wspaniałe wybuchy.

Poczuła się naraz wyższa o wiele kondygnacji od tego, który miał wstręt fizyczny do katorżników, walczących za wolność.

Wstrzymała dłoń Barona.

Statek musnął powierzchnię wody.

Twarz Arjamana patrzyła w lico kobiety.

Był to wzrok bez nienawiści—nieopisane zdziwienie malowało się w nim. Wyniosła duma człowieka, który naraz pojął, iż on, tonący w polarnem zimnem jeziorze jest możniejszy, niż tych dwoje unoszących się w aeroplanie nad światem.

Wzrok jego i Zolimy zawarły się z sobą, jak niebo ze ścianą granitu.

Zolima, pochylona tuż nad twarzą płynącego, wyglądała na Salome wpatrującą się w misę z głową św. Jana.

Miał ją wybawić z błań piekielnych, czy miała pogrążyć na wieki w toń?

Nie wyciągnęła ręki, jak bóg Wisznu z lotosem —

nie pogrążała szponem w toń, jak Charybda—zwróciła nieznacznie wskazówkę motoru.

Zabić można duszę tylko nieznacznym gestem.

Wysadzić w powietrze można skałę olbrzymią tylko nieznacznym pociśnięciem elektrycznej baterji.

Był to ukazanie obcości większej niż ta, która dzieli gatunki dwóch zamieszkałych planet?

Lecz te przynajmniej karmią się z jednego słońca!

Aereplan wzbił się, jak pocisk w górę, zasłonił jezioro obłokiem śniegów.

(D. c. n.)





Z cyklu „Arcana“. *)

WACŁAW WOLSKI.

KABARET W PIEKLE.

...W potępieńczej łunie płonących kotłów ze smołą,

gdzie cicho, szatańsko się śmieją buchające w piekielnym wichrze płomienie...

uwijają się, niby czarne salamandry, djabły - kelnery, roznosząc przybitym, trupio-bladym gościom, siedzącym przy mrocznych, bazaltowych, wiwisekcyjnych stołach, puhary z płonąłą smołą, płomiennym ponczem piekła!..

Trzeba przecież odwilżyć spiekłe wargi, kiedy się jest skazanym, samemu krajać, szarpać skalpelem żywą, własną duszę!...

Trzeba zalewać robaka — pamięć ducha płomiennem oszałamiającem opjum!..

Może się przecież choć na mgnienie uśpi świadomość, zapomni!...

*) Z IV serji poezji.

KABARET W PIEKLE.

517

...Naprawdę!... Niewyczerpać oceanu beczką, nie napęlić morskiego łożyska krwawymi łzami!...

Na trupie, upiorne twarze skazańców-gości, szarpane wichrem, potężne smolne płomienie kotłów rzucają krwawe refleksy!...

Płomienie hańby i potępienia!...

...Z jednego z płonących kotłów ze smołą, ustawionego trochę na podwyższeniu, na czarnym, ponurym szafocie, niby piekielnej estradzie, dobywają się przejmujące, żałosne dźwięki skrzypiec...

To jakiś Wilhelmi, Paganini czy Lotto**) piekiel, żywcem w ogniowej smole przez djabłów-oprawców obdzierany ze skóry, wczarowuje, zaklina w spiżowe, rozpalone do białości skrzypce, swoją nieludzką, nieprawdopodobnie potworną mękę — katuszę!...

Prometeusz — ukrzyżowany na skałach Kaukazu — byłby przy tym skrzypku lichym komedjantem, śmiertelną bladeścią umączonym koturnowym statystą!...

...Płyną spiżowe, rozpalone do białości pianissima skrzypiec, ostre, jak lancet cieniuchny, włosowaty, co dociera zwolna do najtajniejszych głębin ducha i powoduje nieznaczone, niewidzialne, a jednak śmiertelne, wewnętrzne krwotoki. Pianissima szarpiące, jak delikatne, subtelne, niby narzędzia zegarmistrza, stalowe pincet'y!...

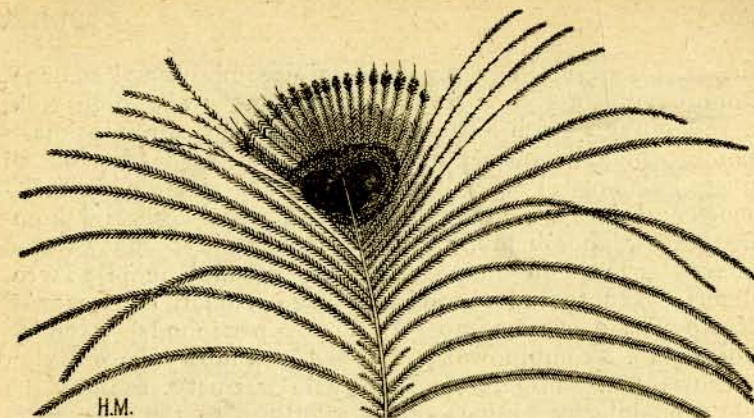
Trupio-bladzi, przybici goście piekła, pochłaniają okopiałami, jak zgłiszcza piersiami, płonąca smołę zapomnienia (skłamał podle, kto ją tak nazwał!...)...

Djabły-kelnery, niby czarne salamandry, uwijają się pośród bazaltowych stołów, na których śmiertelnie znużeni goście dokonywują straszliwych wiwisekcji własnych, żywych duchów!...

**) Genjalny skrzypek warszawski, nie uznany za życia, zapomniany (nie wiadomo mi nawet napewno, czy już zmarł, czy też jeszcze żyje...), artysta-legenda, coś w rodzaju Norwida skrzypiec... *Przyp. aut.*

...Kipi płomienna smoła w puharach!...

A okrutna, molochowa muzyka skrzypiec (jak gdyby As-tarte śpiewała kołysankę dziecięciu, poczętemu przypadkiem w potwornych rozkoszach i zrodzonemu niechętnie i nienawistnie) w rozpalonym powietrzu, w kaźniowej łunie buchających kotłów ze smołą, płynie... płynie...



JULJUSZ FRANKOWSKI: WRAŻENIA MUZYCZNE.

Koncerty abonamentowe Fitelberga stanowią prawdziwą ozdobę obecnego sezonu w Filharmoniji: wielce interesujący i bogaty program, złożony z najpierwszych, a często zupełnie nieznanych u nas pereł literatury muzycznej, udział sił pierwszorzędných, nakoniec wykonanie bez zarzutu pod kierunkiem takiego kapelmistrza, jak Fitelberg—wszystko to składa się na całość, która pociąga nawet naszą, tak wybitnie „wybredną“ publiczność.

To też sala w czasie wieczorów Fitelberga bywa przepełniona. Wyjątek stanowił przedostatni, niestety, przeznaczony na benefis orkiestry. A szkoda, gdyż i program był nad wyraz artystyczny i orkiestra nasza zasłużyła sobie chyba na pewien objaw sympatji i poparcia ze strony ogółu. Ale publiczność nasza jest nieobliczalna i kapryśna. Świeży a oczywisty tego dowód mieliśmy na koncercie Leliwy, w czasie jedyne go występu w Warszawie: Leliwa—ulubieniec Warszawy, Leliwa—benjaminek publiczności, Leliwa, który wzbudzał szczere zachwyt krytyki europejskiej—zmuszony był sprowadzać słuchaczy z galerji, aby zapłacić choć część krzeseł—ten sam Leliwa, któremu niedawno jeszcze cała Warszawa rzucała kwiaty pod nogi.

Jednym z najciekawszych koncertów w ostatnich tygodniach był wieczór, poświęcony pamięci Karłowicza, na którym poznaliśmy dwie, nieznane dotąd zupełnie kompozycje nieodżałowanego twórcy: „Rapsodję litewską“ i „Smutną opowieść.“

„Rapsodja“ sięga jeszcze pierwszego okresu twórczości Karłowicza: utwór utrzymany jest w stylu swobo-

dnym, instrumentacja prosta — miejscami niemal naiwna, kompozycja ujęta w formę suity z motywów poleskich, z rodzinnych stron autora. Za „leitmotiv“ służy tęskna — ponura melodia obrzędowa, używana przy każdej okazji przez lud z nad Piny i Prypeci, a zwana w narzeczu miejscowem *holoszeńje*; przewija się ona przez ciąg całej kompozycji w sposób monotony, beznadziejny; motyw ten charakteryzuje dosadnie całą bezbrzeżną melancholję i wrodzoną tęsknotę ludu, wśród którego urodził się i wzrósł Karłowicz; z czasem motyw główny przechodzi w cudną kołysankę, skombinowaną z tematów ludowych polskich i litewskich, zmienia się na chwilę w pusty, szalony, na nie niepamiętny taniec — ale — niedługo to trwa: w rytm tańca wplata się znowu ponura melodia „leitmotiv’u“, pieśń radosna milknie — jakby zawstydzona — i znowu rozlega się tęskna, żalosna, bólem przepojona skarga biednego, ciemnego ludu; płynie, płynie — hen aż pod niebiosy, stopniowo cichnie, milknie, już gdzieś z oddali jak echo się jakieś odzywa — na koniec zamiera w echowym przebolesnym akordzie...

Co do „Smutnej opowieści“, trudno mi się zgodzić z komentatorem jej w „Scenie i sztuce“, nie widzę tu bowiem psychologii samobójcy, tego (podobnie jak w „Odwiecznych pieśniach“) dramatu duszy człowieka wrażliwego, głęboko czującego i kochającego, który wobec bezmiaru złego na świecie, porywa się do walki z nim, życie swe poświęca, aby wzniesić ludzkość na wyżyny, lecz spostrzega niestety, całą beznadziejność tej walki i na koniec pada wyczerpany, a w ostatnim przedśmiertnym jęku, w ostatniej chwili agoni i rzuca we Wszechświat straszliwe pytanie, na które nawet echo odzewu mu nie da: „Quousque tandem?... I z tym przeokropnym okrzykiem na ustach odchodzi w nieskończoność, aby tam może pojąć rozwiązanie zagadki wszechbytu.

Nie daje się tu odczuć nigdzie „idée fixe“ samobójstwa, jak twierdzi p. Chabielski; tem mniej jakiś strzał. Karłowicz zanadto subtelną miał duszę, za wielkim był artystą, aby się uciekać do tak tanich efektów, niegodnych polotu ducha wielkiego artysty. Karłowicza stać było na ilustrację wewnętrznych walk życiowych, na odzwierciadlenie najsubtelniejszych drgnień ludzkiej duszy, a natchnienia swego nie wysilałby on nigdy napewno nadsładowanie strzałów z browninga.

Co do programu koncertu, na którym dzieła powyż-

sze były wykonane, to zrobiłbym p. Fitelbergowi jeden zarzut: jaką rolę na tym wieczorze odgrywać miały „Warjacje na wesoły temat“ Regera? Fitelberg uczynił tem krzywdę i Czajkowskiemu i Karłowiczowi i Regerowi i na koniec słuchaczom. Że na pośmiertnym koncercie Karłowicza wykonaną została „Patetyczna“ Czajkowskiego — wybór był nad wyraz szczęśliwy, trudno było znaleźć nawet coś odpowiedniejszego, ale poco było nastrój, wywołany takim arcydziełem, jak symfonia Czajkowskiego i takimi kompozycjami, jak poematy Karłowicza, psuć klasycznie „zrobionemi“ zadaniami Regera, które do prawdy ze świętą Sztuką niewiele mają wspólnego? Po zatem „wesoły temat“ nie bardzo chyba odpowiada programowi koncertu, poświęconego pamięci świeżo zmarłego twórcy. „Warjacje“ te, jako finał — wprowadziły do nastroju ogólnego dyssonans nad wyraz przykry.

Wspomnieć jeszcze należy o drugim interesującym cyklu koncertów, o t. zw. koncertach historycznych, zainicjowanych przez p. Marję Sobolewską, znaną kierowniczkę Szkoły śpiewu. Koncerty miały na celu zapoznanie szerszych mas, szczególnie uczącej się młodzieży, ze stopniowym rozwojem i rozkwitem sztuki muzycznej, poczynając od Palestriny aż do naszych czasów. Cel to bardzo piękny i ze wszech miar godzien poparcia; do niedawna jeszcze zapomnienie imienia którego z Faraonów, lub pominięcie przy kolejnem wyliczaniu jednego z cesarzy rzymskich — uważane było za objaw nieledwie analfabetyzmu, chociaż nie słyszeć wcale o Bachu, nie wiedzieć kim był Beethoven, uważane było za rzecz całkiem naturalną. Słuchając takich koncertów historycznych, młodzież nie tylko dowiaduje się o wielkich koryfeuszach sztuki, ale zarazem zapoznaje się z ich dziełami; jak dalece koncerty takie były potrzebne, świadczy najlepiej ogromny popyt na bilety; prowincja, zachęcona powodzeniem koncertów historycznych w Warszawie, zorganizowała już wieczory podobne w kilku miastach Królestwa. Zasługą p. Sobolewskiej jest jeszcze i to, iż tak umiejętnie dobiera dzieła najbardziej wartościowe, które mogą stanowić zarazem charakterystykę twórczości danego kompozytora.

Obecnie cykl historyczny dobiegł już do końca, ale życzyliby należało, aby w sezonie przyszłym został wznowiony; koncerty takie powinny być pewnego rodzaju „école libre“ muzyki, w którejby młodzież, interesująca się sztuką, mogła sobie smak estetyczny wyrabiać.

D. 6 marca Szkoła Towarzystwa Muzycznego przechodziła próbę ogniową: zorganizowała koncert, w którym udział brali wyłącznie wychowawcy Szkoły — i wyszła z niej — zamało powiedzieć zwycięsko: odniosła tryumf zupełny. Gdyby się niewiedziało z góry, kto będzie wykonawcą programu, nikomu ze słuchaczy na myślby chyba nie przyszło, że to nie skończeni artyści występują, tak dalece wykonanie przekraczało, już nie dyletanckie, ale nawet akademickie wykończenie.

Zarówno kwartet Beethoven'a jak kwintet Schumann'a, były wykonane bez zarzutu, szczególnie zostały wyrzeźbione z rzadką finezją i odczuciem; jedynie septet Saint-Seëns'a szwankował może trochę. Najokazalej przedstawiała się klasa fortepianu prof. Domaniewskiego: temat z warjacjami Schütt'a w wykonaniu pp. Domańskiej i Męczyńskiej wywarł wrażenie wspaniałe, oba fortepiany brzmiały tak idealnie czysto i zgodnie, iż w miejscach unisonowych, dźwięki obu instrumentów zlewały się absolutnie ze sobą. Ciekawe były miejsca, w których te same tematy odtwarzane były *solo* przez obie pianistki; tam można było dokładnie rozpoznać i ocenić indywidualność każdej; u p. Domańskiej nie jest ona jeszcze dostatecznie zarysowana, ale u p. Męczyńskiej skrytykowała się już zupełnie; młodą debutantkę można już śmiało nazwać artystką: zadziwiająco duży, śpiewny ton, nadzwyczaj szlachetne frazowanie i ogromnie wiele uczucia, zupełne zrozumienie przewodniej myśli autora, bez ślepego naśladowstwa innych wykonawców — oto wybitne cechy jej gry. O ile talent p. Męczyńskiej i nadal tak się będzie rozwijał — droga przed nią na wyżyny Sztuki otwarta.

Szkoła Muzyczna powinna częściej urządzać podobne koncerty, aby zapoznać społeczeństwo ze swym kierunkiem, a wychowawców oswajać z estradą.

Mówiąc o Szkole, niepodobna pominąć tak ważnego i radosnego zarazem faktu, jak powołanie na katedrę śpiewu solowego prof. Aleksandra Myszugi; kim jest Myszuga — wiemy aż nadto dobrze, artysta, który dziś jeszcze ma głos równie świeży, jak przed laty trzydziestu, potrafi niezawodnie w młode pokolenia wszczepić zasady swej iście czarodziejskiej szkoły, a czy dobrze uczy — dość o to spytać w Kijowie.

Punktem, wzbudzającym największe zainteresowanie w urządzonym świeżo koncercie Instytutu muzycznego,

była kantata p. Łopuskiej „Smutno mi Boże“, do słów hymnu Słowackiego. Zdaje się, iż jak na początek kariery kompozytorskiej, porwała się p. Łopuska na rzecz zbyt trudną; aby nie zepsuć precyzyjnego hymnu Słowackiego — na to trzeba Szopena i to Szopena — symfonisty. Pierwszy zarzut, jakoby można p. Łopuskiej zrobić, jest ten, że natchnione myśli Słowackiego powierzyła chórowi: „Smutno mi Boże“, jest to rzecz zbyt subiektywna, aby ją mogło sto głosów powtarzać; Słowacki nie wyrażał tu bynajmniej uczuć wszechludzkich, ogólnych, on wyśpiewał to tylko, co sam ośobiście czuł, swoją własną tęsknotę, swoje własne łzy... to nie jest wiersz „Na przeniesienie zwłok Napoleona“, gdzie wielki twórca wyrażał myśli całego współczesnego społeczeństwa, Polski całej. Powie mi może p. Łop., że na śpiew solowy byłoby to za długie i za monotonne — prawda, to też przypuszczalnie głos ludzki nigdy nie będzie w stanie odtworzyć godnie tej cudnej perły wielkiego poety.

Rzecz cała sprawia wrażenie monotonne (utrzymana jest od początku do końca w h-moll). W hymnie Słowackiego na tle ogólnej tęsknoty, przewijają się różne nastroje — przeto zmiana w pewnych miejscach tonacji zbliżyłaby nawet może muzykę ze słowem, a ożywiła akcję, na koniec partję solową niesłusznie powierzono barytonowi: skala jest tak niska, iż p. Borkowski, jako solista, nie mógł sobie dać z nią rady, i to może niekorzystnie wpłynęło na wrażenie ogólne. W każdym razie znać w p. Łopuskiej talent, który z czasem może się wspaniale rozwinąć, przy takich środkach technicznych, jakimi młoda kompozytorka swobodnie już włada.

Na ostatnim wielkim koncercie symfonicznym wystąpił jeden z najslawniejszych kapelmistrzów doby obecnej, Feliks Weingartner, dyrygent opery wiedeńskiej. Warszawa nie ciekawa była występu kapelmistrza, który obecnie w jednym Nikisch'u ma współzawodnika, a tymczasem pod kierunkiem takiego mistrza orkiestra Filharmonji wprost samą siebie przeszła; tak subtelnej cieniowania, tak mistrzowskiego frazowania, tak idealnej zgodności brzmienia (zwłaszcza w Eleonorze № 3) nie notowano w niej chyba dotąd. A wszystko to dzięki jednemu człowiekowi, który stanął na podium kapelmistrza, dzięki jego magicznej batucie; trudno uwierzyć doprawdy, że to ten sam zespół, który występował tak niedawno na wieczorze Griega, kiedy to słuchacz zadawał sobie pyta-

nie, czy to wielka symfoniczna orkiestra, czy też grupa wędrownych grajków z prowincjonalnego miasteczka. Weingartner panuje nad orkiestrą niepodzielnie, najdrobniejszy, niedostrzegalny prawie ruch jego batuty — to rozkaz, odczuty już i wykonany; taki kierownik z orkiestrą naszą cudów potrafiłby dokonać.

Jako kompozytor p. Weing. nie stoi na takich wyznach: symfonia jego Es-dur, ma niektóre ciekawe kombinacje instrumentalne, mile wpada w ucho, ale głębi w niej niewiele, przytem więcej tam się znajdzie reminiscencji z Beethovena, Webera (początek finału) i innych, niż tematów oryginalnych.

Ostatnią nowością w operze była „Thais“ Massenet'a.

Gdyby nie tak idealni artyści, którzy objęli role główne, jak Carmen Melis i Fatti Cinti — opera nie wytrzymałaby chyba nawet trzech przedstawień: muzyka prócz osławionej medytacji i ślicznego duetu Thais z Atanaelem przed klasztorem Białych siostr — ma wartość b. wątpliwą. Dekoracje nad wyraz słabe: pnie palm, wykrojone z arkusza tektury, wywierają wrażenie komiczne; papierowy bałwanek, t. zw. „dzieło sztuki“, które Atanael rozbija na znak znikomości rzeczy ziemskich, wzbudzić może w wielu jedynie wesołość: głowa w prawo, nogi w lewo — korpus w pośrodku: to dobre w teatrzyku marionetek, w chwili gdy śmierć ścina Herodowi głowę, ale w operze...

Przytem bez liku anachronizmów miejsca i czasu: grzmoty i pioruny w Tebaidzie?... żaden z jej mieszkańców napewno widowiska takiego nie oglądał; ażurowe habitery eremitów, słabe dają wyobrażenie o ascezie ich posiadaczy, Siostry białe noszą klasycznie wierne habitery Niepokalanek, a, o ile wiem, w tych czasach zakon ten jeszcze nie istniał, i przy boku mają różańce, chociaż o św. Dominiku mowy jeszcze nie było...

Jeśli dyrekcja nie uważa opery jakiejś za arcydzieło muzyczne, powinaby się starać tembardziej o wynagrodzenie braków wewnętrznych przyzwoitą szatą i uniknąć podobnych błędów historycznych (zresztą jest to winą reżyserji).

Redaktor „Sfinksa“ Władysław Bukowiński, wyjechał na parę tygodni zagranicę:

Warunki konkursu dramatycznego,

urządzonego przez Dyрекję Teatrów Rządowych,

zatwierdzone

przez generał - gubernatora warszawskiego.

Dla zasilenia repertuaru dramatu i komedji utworami oryginalnymi, Dyrekcja Teatrów rządowych ogłasza niniejszym konkurs dramatyczny na warunkach następujących:

1) ubiegające się o nagrodę utwory dramatyczne, napisane prozą albo wierszem, z wyłączeniem krotoczwili i wodewilu, winny posiadać, przy koniecznej wartości literackiej, przymioty sceniczne o ile możności zastosowane do warunków teatrów Rozmaitości i Wielkiego i wypełniać mają całe przedstawienie;

2) nagrody ustanawia się trzy: za najlepszy z nadesłanych utworów rb. 1.000, za dwa następne, według uznanego przez sędziów stopnia ich wartości, rb. 500 i 300. Utworom, które nagrody nie otrzymały, jury ma prawo przyznać odznaczenie. Każda z wyznaczonych nagród przyznana będzie w całości i żadna rozdzieloną być nie może;

3) utwory, które uzyskają nagrodę, będą przedstawione na scenach rządowych w Warszawie;

4) utwór nagrodzony staje się własnością Dyrekcji, która jednak pozostawia autorowi swobodę ogłoszenia go drukiem. Przyznana mu nagroda nie pozbawia go prawa do wypłacanej autorom tantiemy;

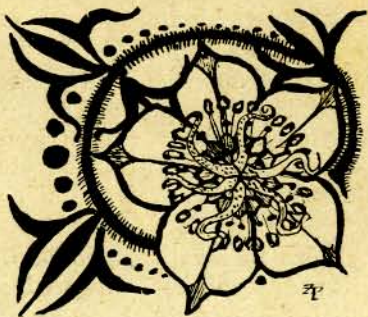
5) ostateczny termin nadsyłania prac konkurso-
upływa 31 Grudnia 1909 roku. W razach wątpliwych rozstrzyga data stempla pocztowego. Sąd konkursowy kończy swoją pracę w dniu 1 Maja 1910 r.;

6) każdy rękopis winien być napisany czytelnie i zaopatrzony godłem. Godło to ma znajdować się również na kopercie zapieczętowanej, zawierającej imię, nazwisko i dokładny adres autora;

7) nazwiska autorów, odznaczonych przez sędziów będą ujawnione jednocześnie z nazwiskiem nagrodzonego twórcy, o ile na rękopisie utworu nie będzie wyraźnego zastrzeżenia, że koperta tylko w razie przyznania nagrody, może być odpieczętowana;

8) rękopisy nadsyłać należy pod adresem Dyrekcji Teatrów rządowych, na ręce kierownika literackiego J. Kotarbińskiego z wyraźnem zastrzeżeniem na rękopisie i opakowaniu, że manuskrypt przeznaczony jest na konkurs;

9) sąd konkursowy składają osoby następujące: Bogusławski Władysław, Dębicki Zdzisław, Frenkiel Mieczysław, Gawalewicz Marjan, Jankowski Czesław, Kempner Gabrjel, Kotarbiński Józef, Kozłowski Stanisław, Lorentowicz Jan, Matuszewski Ignacy, Rabski Władysław, Śliwicki Józef i Święcicki Adolf.



II/05